

**Bunsch Karol**

**OLIMPIAS**

„...jak bajka będzie brzmiało to,  
na co my własnymi patrzyliśmy  
oczyma.”

*Ajschynes*

## ROZDZIAŁ I

Na samym krańcu portowej dzielnicy Efezu, przed rozpadającym się domkiem o jednospadowym dachu, troje nagich, brudnych i wynędzniałych dzieci darło się zgodnym chórem. Matka, młoda jeszcze kobieta o zniszczonej, czerwonej z rozdrażnienia twarzy, ocierała oczy wierzchem dłoni. Dzieci od rana bez przerwy nagabywały ją o pożywienie, a nie miała w domu ani obola, ani nawet garści bobu. Bliska rozpaczy, nie mogąc zaspokoić ich głodu, chciała przynajmniej je uciszyć, ale na próżno; dzieci rozkrzyczały się na dobre, zaś winowajca ich nędzy, małżonek jej, Herostratos, zniknął jeszcze w nocy, nie było więc na kim wyrzucić rozdrażnienia, które przeszło w gniew. Inni ojcowie też pobiegli do pożaru, ale ich dzieci miały co jeść. Zresztą wracali już; nadchodzili jeden za drugim, rozprawiając w podnieceniu. Nie myślała o tym, że powrót męża niewiele zmieniłby położenie. Całymi nocami, zrywając oczy, potrzebne do pracy, i wypalając oliwę, której brakło na okrasę nędznego pożywienia, zaczytywał się wszystkim, co mu wpadło w ręce, 'we dnie zaś podrzemmywał przed demem na swym szewskim, trójnogim stołku, obojętny na wszystko, a zwłaszcza na coraz rzadziej trafiającą się pracę.

Ongiś , gdy się pobrali, bywało inaczej. Miał pracownię w mieście, a że był zdolnym rzemieślnikiem, powodziło im się nie najgorzej. Zrazu robił sandały i trzewiki z czarnej skóry dla pospolitych ludzi, ale raz i drugi nadarzyła mu się robota wymyślnych trzewików różnokolorowych i ozdobnych. Wywiązał się z zamówienia tak dobrze, iż stroić się u niego jeły najbardziej wzięte w mieście hetery i bogaci nicponie, którzy zamawiali buty do konnej jazdy. Wówczas Herostrates nabył dwóch biegłych w rzemiośle niewolników i zdało się, że jest na drodze do majątku. Ale to go właśnie zgubiło. Uczęszczając do domów próżniaczej klienteli, zetknął się z życiem, którego nigdy przedtem nie widział, a własne wydało mu się jałowe i nędzne. Zaczął czytać poezje i rozprawy filozoficzne i opętał go demon. Coraz bardziej zaniedbywał swą pracownię, a nie pilnowani niewolnicy pracowali coraz mniej i coraz gorzej. Gdy małżonka czyniła mu wyrzuty, odpowiadał wyniośle, że nikt nie stał się wielkim człowiekiem szyjąc buty. Całymi dniami wylegiwał się z księgami w rękę, które skupywał, póki starczyło /pieniędzy. Potem sam usiłował pisać poezje, a gdy wyśmiano jego utwory, zamierzył zostać mówcą. Pobierał naukę u najślawniejszego w mieście sofisty, a ten póty umacniał szewca w wierze w jego niezwykle uzdolnienie, póki dług za naukę nie urósł do sumy, której splata stała się nieprawdopodobna. Wówczas dopiero wyjaśnił Herostratosowi, że właśnie szewstwo jest najodpowiedniejszym dla takiego głupca zajęciem. Proces, w którym sofista publicznie wydrwił i ośmieszył swojego ucznia, wykazując mu na tym przykładzie, że nie nadaje się na adwokata, pozbawił Herostratesa resztek zasobów, ale nie wewnętrznej pewności, że stworzony jest do wyższych przeznaczeń. Gdy wyrzuty wyrokiem z mienia znalazł się w nędznej chacie stanowiącej odpowiednie schronienie dla kóz niż dla ludzi, i zamiast robić wymyślne obuwie dla wytwornych heter, zmuszony został łątać cuchnące, przepocone sandały niewolników i robotników portowych, szare życie obrzydło mu do reszty. Opanowany jedną myślą, zdał się nie widzieć braków, nie słyszeć płaczu dzieci i wyrzekañ żony. Gdy usnęły i miał wreszcie

spokój, upajał się wielką poezją, a nieśmiertelna sława jej bohaterów wydała mu się jedyną godną pożądaną rzeczą, dla której warto życie poświęcić.

U żony jednak nie znalazł zrozumienia. Powiedziała mu wprost, że woli chleb od sławy, do której mu zresztą, nie bliżej niż do gwiazd. Wówczas Herostrates zamknął się w sobie i myślał. Poprzedniego wieczoru, po zwyczajnej sprzeczce z żoną, powiedział:

— Dzisiaj sięgnę do gwiazd.

Przywykła, że gada głupstwa, więc nie zwróciła na to uwagi. Zauważyła natomiast, że wcześniej niż zwykle zgasił światło. Zasnęła znużona. Wkrótce obudził ją gwar na przystani. Gdy wyszła na pole, niebo na wschodzie czerwieniło się łuną wielkiego pożaru. Płonęło Artemizjon, a kto żył, biegł na ratunek, bowiem najuboższy nawet wyrobnik zdawał sobie sprawę ze znaczenia klęski.

Lekki podmuch z zachodu wydymał żagle trójrzędowca, cicho furkocąc napiętym płótnem. Szum rozpiętej dziobem fali był drugim odgłosem, który zakłócał nocną ciszę nad ciemną powierzchnią Egejskiego Morza, a wlokąca się za okrętem biała smuga piany świecić się zdała własnym, przytłumionym światłem od chwili, gdy błada bogini księżycy zatoczyła swój rydwan za dalekie góry, by odwiedzić w grocie Latmosu śpiącego Endymiona.

Trierarcha Onesikritos stał na rufie okrętu i spoglądał sennym wzrokiem ku ginącym w mroku zarysom wyspy Samos, której przystań opuścił wieczorem, korzystając z pomyślnego wiatru. Wioślarze odłożyli wiosła, cisza więc panowała na okręcie, nie zakłócana chrobotem ich o burty ni krzykami rozkazów lub stukiem młotka wybijającego takt wioślarzom. Jednostajny szum wody i furkot żagli usypiał Onesikritosa, który oparty o pomost zdrzemnywał się chwilami. Morze spokojne było jak dziecko, przy słabym wietrze Macedończycy zawiną przed świtem do przystani efeskiej, u ujścia Kajstrosu, dokąd wieźli dary dla bogini Arte-

midy od królowej Olimpiady z prośbą o wróżbę i błogosławieństwo. Onesikritos spojrział na niebo, by w iskrzących się na ciemnym jego granacie gwiazdach sprawdzić czas, i znów zapadł w drzemkę.

Ocknął się na odgłos kroków dudniących po deskach pokładu. Biegł Ajgistos wołając:

— Obacz, co się dzieje!

Rękę wyciągnął ku wschodowi, ale żagiel zasłaniał widnokrąg. Onesikritos wychylił się i spojrział: niebo różowiło się na wschodzie.

— Jutrzenka otwiera wrota dnia — powiedział zaspianym głosem.

— O tej porze? — Ajgistos wskazywał na gwiazdę Arktosa, z której żeglarze miarkują czas. — Dziś mamy dzień szósty miesiąca Loos, czyli jak w Attyce mówią — Hekatombajon. Do świtu daleko.

— Prawda! — przytaknął Onesikritos uprzedzając sobie, że spał jeno przez mgnienie oka. — Niezwykły to jakiś znak, świt o tej porze.

Patrzył na ciemną toń, z której różowa poświata zgarniała iskierki gwieźdnego światła. Ajgistos odezwał się:

— To nie świt. Blask się rozszerza, ale nie podnosi. Pożar chyba.

— Tedy Efez płonie, skoro lunę widać z tak daleka. Stali długo, aż brzask rozjaśniać zaczął nieboskłon na wschodzie, gasząc lunę, natomiast w spokojnym powietrzu dźwigały się nad widnokregiem dymy, zaciągając go półprzezrystą zasłoną, przez którą rude i zmalale słońce rzuciło pierwsze promienie na niedaleką już przystań i miasto. Efez leżał spokojnie na swym miejscu odwiecznym, natomiast położone na wschód od niego wzgórze nad Kajstrosem wyglądało jak olbrzymi stos, na którym płonie heros nadludzkiej piękności i siły, wielkości i sławy. Z dymem ulatywała największa świętość ludów Hellady i Azji Mniejszej, siódmy cud świata, skarbiec kultury nawarstwionej tu od zamierzchłych czasów, kiedy ręce zapomnianego mistrza wyciosały z oliwnego pnia posąg księżycowej bogini, patronki łowów i porodów — Artemidy. Cokół jego obryzgiwała niegdyś krew ludzkich ofiar, a pierwszą

świętyńkę o drewnianych kolumnach zdołały wota królów, których imiona żyły jeszcze w poezji i legendzie. Dziesiątki wieków składały się na wspaniałość i bogactwo tej świątyni, aż w czasie osiemdziesiątej trzeciej olimpiady budowle w jej najświetniejszej postaci ukończyli mistrzowie z Knossos — Pajonios i Demetrios. A starczyło jednej żagwi i jednego dnia, by zamieniła się w ogromny stos, by arcydzieła największych mistrzów obrócić w stertę palonego wapna, zdatnego już jeno na wysypanie polepy lub obielenie ścian.

Gdy Onesikritos dobił do brzegu, ruchliwa zawsze przystań niezwykle przedstawiała widok. Okręty leżały opuszczone przez ludzi, tu i ówdzie jeno na statku handlowym stał dozorca, czuwający, by niewolnicy przykuci do wiosł, korzystając z zamętu, nie wyrwali się na wolność. Zamknięci w dusznych wnętrzach, nie pojeni i nie karmieni od wczoraj, pomiarkowali już bowiem, że dzieje się coś niezwykłego, coś, co wzbudziło w nich nadzieję, że uda im się zrzucić jarzmo, od którego cięższe dźwigał chyba tylko niewolnik w kopalni.

Onesikritos wysiadł na ląd. Składy i pracownie również opustoszały; tu i ówdzie kręciły się rzezimieszki, dla których dzień powszechnego nieszczęścia jest porą zniw. Przed małymi domkami na krańcach przystani stały zaniepokojone niewiasty; od nich Onesikritos dowiedział się, czego był i tak już pewien: w nocy pożar wszczął się w Artemizjon, a kto jeno ręce miał zdatne, pobiegł na ratunek.

Ale próżne były chęci i trudy. Onesikritos, biegnąc przez przysiadłe w milczeniu pod obuchem kłęski, na poły opustoszałe miasto, wy dostał się na łąki nad Kajstrosem. U stóp świątynnego wzgórza stały głuche tłumy z oczyma wlepionymi w przerażający widok. Świątynia tajała w oczach jak lód pod słońcem. Gdy już płomień strawił rzeźbione, malowane i złoczone stropy, bogate sprzęty wykładane kością słoniową i złotem, barwne szaty, zasłony i kobierce — czarne dymy rozwiały się. Teraz powietrze drgało żarem rozpalonych kolumn z białego marmuru, trzyłokciowej grubości u podstaw, okrytych bogatą płaskorzeźbą, daru króla Krezusa. Słynny fryz przedstawiający walkę Lapitów

z Centaurami, zdał się w ogniu nabierać życia. Przeciągły krzyk przeleciał przez tłumy, gdy południowa ściana — ruchem zrazu niewidocznym — zaczęła się chylić coraz szybciej, aż runęła z trzaskiem, po czym zaległa głucha cisza, w której wyraźnie słychać było tylko zjadliwy syk płomienia.

Gdy opadła wrzawa iskier, zasłaniająca przez chwilę zarysy świątyni, oczom tłumu ukazało się otwarte wnętrze. Rzeźby Eudajosa, Skopasa, Dajdalosa, Rojkosa i innych mistrzów zdały się w płomieniach nabierać życia jak posągi dziewic sporządzone w kuźni przez chromego boga Hefajstosa, by wspierały jego kroki. Gdy podmuch wiatru zgarnął na chwilę zasłonę ognia, tłumy ujrzały jeszcze malowidła zdobiące ściany: Meneleos Zeuksisa po raz ostatni składał pośmiertną ofiarę za brata Agamemnona. Ogień ofiarnego stosu ożył, by strawić nie tylko ofiarę, ale i ofiarnika. Mignęło jak we śnie malowidło Timantesa, przedstawiające scenę zabójstwa Palamedesa, by zniknąć na zawsze. Ze ścian jak wosk skapywały złote i srebrne wota, arcydzieła sztuki złotniczej zapomnianych już mistrzów z Krety i Myken, dowody wdzięczności wiernych za wypełnienie próśb.

Onesikritos, nadbiegłszy, nie wmieszał się w tłum, lecz stanął nieco opodal. Zastanawiał się, co mu teraz uczynić należy z przywiezionymi darami. Żar, bijący od olbrzymiego ogniska, był nieznosny, zatykał dech w płucach, zwłaszcza że i słońce doskwierało już niezłe. Onesikritos obejrzał się za jakąś zasłoną i zauważył, że niewysoki mur, otaczający okrąg świątyni na północnym stoku wzgórza, daje nieco cienia. Oblepiony był teraz ludźmi, którzy stamtąd w niezwykłym milczeniu patrzyli na ponure widowisko. Gdy się zbliżył, dostrzegł siedzącego pod murem człowieka, który odwrócony plecami do pożaru, z całą obojętnością pożywiał się gotowanym bobem, wypluwając łupiny. Onesikritos podszedł do niego i rzekł:

— Pozdrowienie ci, Diogenesie, synu Hikesiasa.

— Witaj, Onesikrotosie — odparł zagadnięty, nie przerywając swego zajęcia. — Czy do mnie przyjechałeś uzupełnić swoją naukę?

— Niestety, nie. Przywiozłem dary od królowej dla bogini i właśnie się zastanawiam, co z nimi uczynić.

— Możesz je cisnąć do ognia, skutek będzie ten sam, zarówno dla królowej, jak i dla bogini. Gdyby dary składali ci, których prośby zostały nie spełnione, nie pomieściłaby ich świątynia, choćby większa była od egipskich piramid. Bogowie jednak, w przeciwieństwie do swych kapłanów i innych darmozjadów, albo nie dbają o nasze ofiary, albo nie umieją bronić swej własności. W obu wypadkach szkoda im coś dawać.

— A jednak ludzie wierzą w opiekę bogów — rzekł cicho Onesikritos, patrząc ponad mur na stojący w posępnym skupieniu tłum. Istotnie, teraz, gdy ginęła owiana wiekami legendy świętość, wszyscy przejęci byli wiarą w skuteczność orędownictwa bogini. Nie czas było jeszcze myśleć o innych stratach, jakich przyczyni klęska: o zaniku dochodów płynących rzeką wraz z rzeszami pielgrzymów ze wszystkich stron ówczesnego świata, zarówno dla miasta jak i dla świątyni, która była zarazem największym bankiem na ruchliwym wybrzeżu Azji Mniejszej. Złożyć w niej można było bezpiecznie choćby największą sumę lub pożyczyć za stosownym zabezpieczeniem i odsetkami. Ale teraz serca ścisnęła żal za ginącym pięknem i świadectwem odwiecznej sławy dumnego miasta. Załzawione i czerwone od żaru i żalu oczy spoglądały w niebo, jakby stamtąd oczekiwały ratunku. Ale niebo było przeraźliwie pogodne i tylko stada gołębi, gnieźdzących się zazwyczaj w portykach i załomach murów świątyni, krążyły niespokojnie nad pożarem, lśniąc w słońcu białym upierzeniem.

Koło południa przepalone mury sypać się jęły w wielkie rumowisko, które niczym już nie przypominało zarysów wspaniałej świątyni. Milczący dotąd tłum zaczął szemrać. Oczy już nie żalem błyszczały, lecz gniewem, żądzą pomsty nad sprawcami bezprzykładnej klęski, o której wieść biegła już od miasta do miasta, od wyspy do wyspy, budząc wszędzie przerażenie. Świat helłeński, zazwyczaj skłócony i rozdarty, jednoczył się we wspólnym bólu. Runął szczyt wspaniałej budowli, którą wysiłkiem najlepszych mózgów i rąk jako wieczy-



sty pomnik swej chwały wzniosła Hellada. Magowie babilońscy potwierdzali przepowiednię kapłana Artemidy, że nocy tej zażegniona została gdzieś pochodnia, która strawić ma cały Wschód.

Sprawcy nieszczęścia nie trzeba było szukać. Gdy kapłani, ochłonawszy, dopytywać jęli w tłumie, kto pierwszy zauważył pożar, który z czterech rogów naraz ogarnął świątynię, uniemożliwiając wszelki ratunek, wystąpił mizerny człeczyna i rzekł:

— Ja pierwszy widziałem.

Porwano chudziaka, wiodąc go do naczelnego kapłana, który przed skwarem schronił się w domku odźwiernego, jedynym, jaki ocalał z zabudowań świątyni. Gdy stawiono przed nim pierwszego świadka pożaru, znużony Diotimos krzyknął:

— Coś robił w nocy koło świątyni?!

— Przyszedłem ją podpalić — odparł spokojnie Herostrates.

Obecni osłupieli. Zarówno sam czyn, jak i dobrowolne przyznanie się do niego były niesłychane. Zrazu myśleli, że świadek oszalał. Ale on jeden był spokojny wśród podnieconego tłumu. Chwila upłynęła, zanim arcykapłan zdołał wydobyć z siebie głos:

— Jak się zowiesz?

— Herostratos.

— Czy wiesz, coś powiedział?

— Wiem. To prawda. Ja spaliłem Artemizjon.

Głos jego nabrzmiały był dumą. Diotimos krzyknął z rozpaczą:

— Przecześ to uczynił?!

— Chciałem pozyskać sławę.

Tłum zaszumiał jak morze poruszone uderzeniem wichru. Najbliżej stojący rzucili się ku podpalaczowi, ale Diotimos skinał na straż świątyni, która otoczyła przestępcę, by go uchronić przed zbyt lekką śmiercią. Potem wszystko ruszyło w stronę miasta. Na czele pochodu dumnie kroczył Herostratos. Szedł jak triumfator, uśmiechając się z zadowoleniem: dokoła słyszał powtarzane swe imię. Osiągnął, czego pragnął.

Na tyłach zaś pochodu włókł się Diogenes, przysta-

jąc co chwila i gadając w pół do siebie, w pół do Onesikritosa:

— Zamęczą biedaka, a w końcu za co? Pożar też jest piękny, a świątynia nie pierwszy raz spłonęła. Stratę poniosło kilku kapłanów i nie ma się co o nich troszczyć. Dorobią się znowu. Czy nie tańsza taka sła-  
wa niż jakiegoś zdobywcy, który spaliłby całe miasto, połowę ludności wyrznął, a resztę sprzedał w niewolę? Wówczas nikt by nawet nie pomyślał o świątyni. Ludzie zawsze bardziej się troszczą o rzeczy mało ważne niż o istotne.

— Sądzę jednak, że zdobywcy prócz sławy chcą osiągnąć coś jeszcze — zauważył Onesikritos.

— Zastanów się, co i dla kogo? Czy wasz Filip jest głodny, czy brak mu kobiet, czy nie ma co włożyć na grzbiet lub gdzie się schronić?

— Zapewne, dla siebie nie potrzebuje już niczego i mógłby żyć jak sybaryta. Ale to przecież nie jest celem dzielnego człowieka. A dla Macedonii jest w każdym razie dobroczyńcą. Zaprzeszono nas łupić.

— Za to teraz wy łupicie innych. Czy oddać głodnemu chleb, zabrany innemu głodnemu, jest uczynkiem godnym dzielnego męża?

— Bez wątpienia — nie.

— Widzisz więc. Ludzie po to naprawiają świat, by o nich mówiono, nie zaś po to, by lepszy był. Gdyby im na tym zależało, naprawialiby samych siebie. Ale to jest trudniejsze niż zburzyć miasto lub spalić świątynię. Wolą zaś, by o nich mówiono źle, niż by nie mówiono wcale.

Gdy minęło południe, cierpliwość małżonki Herostatesa wyczerpała się do cna. Niech płonie cały Efez, byle jej dzieci miały co jeść. W kącie chaty sterta cuchnącego obuwia czekała na naprawę. Niewiasta zerwała się i pobiegła szukać nicponia.

Tłumy ciągnęły już od pożaru. Raz za razem padało imię jej męża. Zaczepiła jakiegoś nieznanomego, pytając:

— Co zrobił Herostratos?

— Nie wiesz jeszcze? Spalił Artemizjon, przekłętą głupiec! Sąd się właśnie głowi nad wymiarem kary, która by choć w przybliżeniu dorównywała przestępstwu.

Nie słuchała dalej i pobiegła. W rynku tłum był tak gęsty, że z najwyższym wysiłkiem przepychać się musiała, narażając się na szturchańce i wyzwiska, zanim zobaczyła męża. Stał spokojnie przed sądem. Postać jego, zwykle zgarbiona od ślęczenia na szewskim zydlu, wyprostowana była dumnie, obojętna zazwyczaj twarz promieniała, jakby prytań , odczytujący wyrok, deklamował najpiękniejszą poezję:

— Herostratos, syn Herostratesa z Efezu, za zbrodnię świętokradztwa i podpalenia skazany zostaje na śmierć pod kijami. Ciało jego, jako ciało zdrajcy, pozabawione ma być pogrzebu i wbite na krzyż na łup ptakom. Żona i dzieci sprzedane zostaną w niewolę. Gdy zaś, jak wyznał, do zbrodni skłoniła go żądza sławy, przekłete jego imię wymazane ma być z ludzkiej pamięci. Ktokolwiek by je wymówił, ukarany zostanie utratą mienia i wygnaniem.

Wśród powszechnego milczenia zabrzmiał głos Herostratesa:

— Brzemie sławy zostało rozwiązane tej nocy. Nie w waszej mocy wymazać moje imię z ludzkiej pamięci.

Półoblakany szewczyzna mówił jak w natchnieniu, jakby wiedział w godzinę śmierci, że imię jego przeżyje wieki. Jego żona wracała do domu, zataczając się jak pijana. W uszach jej brzmiały słowa męża, a dokoła nawet kamienie zdały się szeptać:

— Herostratos! Herostratos!

Nad dziełem jego zaś, o którym wieść leciała już w świat, dogasała luna, a przez drgające od żaru powietrze migotać zaczynały gwiazdy.

Te same gwiazdy, które nad Efezem zgasła luna płonącego Artemizjonu, świeciły spokojnie królowej, leżącej na dachu zamku Fakos w Pelli. Światła w mie-

ście pogasty i w zamku spało już wszystko, bo Filip, jak zwykle, bawił gdzieś daleko na wojennej wyprawie. Królowa utkwiała oczy w nocne, wyiskrzzone niebo i z ulgą chłonęła wilgotny powiew, który ruszył od Zatoki Termajskiej. Chwilami pociągnął z południa, niosąc chłód wiecznych śniegów, majaczących błękitnawym poblaskiem na szczytach Olimpu — i wówczas głębszy oddech poruszał pierś królowej. Miniony dzień był upalny, dziecię w łonie Olimpiady rzucało się niespokojnie, jakby wyrwać się już chciało na świat. Nadchodził jego czas.

Spokój i cisza nocna zdały się przenikać udręczone jej ciało, wyzwalając myśl, która zwróciła się do przeszłości, do krótkiej jak lot spadającej gwiazdy i płomiennej jak ona miłości Filipa.

Wołano wówczas królową dziecinnym imieniem Myrtale, które pozostawiła jej matka, iliryjska księżniczka. Pamiętała matkę jak przez sen. Piękna była i dzika niczym Mimallona z orszaku Dionizosa, a jej drapieżne pieszczoty budziły w dziecku trwogę. Zniknęła, gdy zjawił się braciszek, Aleksander. Ojciec, król Neoptolemos, zajęty walką, niewiele czasu dzieciom poświęcał. Jedno, co pozostało w pamięci dziewczyny po zmarłym też wkrótce ojcu, to kult, jakim darzył legendarnego przodka rodu królów Epiru, trojańskiego bohatera Achillesa. Stał się on dla Olimpiady ideałem męskiej piękności i siły i zakorzenił się w jej wybujałej wyobraźni, od dziecięcych lat nie znającej granic między własnymi wytworami a rzeczywistością. Tracka niewolnica Eufemele, na której po śmierci rodziców niemal wyłącznie spoczywał ciężar wychowania dzieci, karmiła dziewczynkę opowieściami o dziwach i czarach dzikiej przyrody górskiej, pojąc ją mieszaniną helleńskiej wiary w bogów i trackiego kultu natury. Wróżebny szum świętego dębu Zeusa Naiosa w stolicy Epiru — Dodonie — wcześniej stał się dla dziewczyny zrozumiałą mową, przez którą obcowała ze światem nadprzyrodzonym. Bliższy był jej on niż otaczający ją ludzie, na których patrzyła z pogardliwą wyższością, gdy rozkwitająca z wolna kobiecość ciągnąć zaczęła ich oczy niezwykłą urodą dziewczyny. Drobne jej stopy nosiły lek-

ko śmigłe jak topola ciało, gładkie, bez skazy jak pentelikoński marmur, i miękkie niby płatek róży. Ze smukłej szyi wykwiłała główka o delikatnych, regularnych rysach twarzy i ogromnych ciemnofioletkowych oczach, tchnących ogniem i życiem, ukoronowana ciężkim węzłem złotoszarych włosów, godna dłuta Fidiasza, pieśni Homera i pędzla Parrhasiosa. Z podziwem otoczenia łączyła się jednak zabobonna trwoga, jakby płonący w niej ogień groził zagładą temu, kto zbliży się do niej.

Stryj Arybbas nie troszczył się zbytnio o sieroty po bracie, ale zgodnie z panującym już na dworze zwyczajem sprowadził dla nich helleńskich nauczycieli, dzięki którym Olimpias poznała poezję helleńską, znajdując w niej jeden więcej pokarm dla swej wyobraźni, a nauki orfików zatarły w niej jeszcze bardziej granice między światem rzeczywistym a nadprzyrodzonym. Czekala na boga, który by zapłodnił jej łono, aby światu cieniów wyrwać Achillesa, przywracając go życiu.

Wiedziona tą myślą udała się na Samotrake, tajemniczą wyspę. Samotny szczyt górski opadał w morze przepaścistymi urwiskami, których szczeliny zdały się być wejściem do podziemi. Tam wywoływano duchy zmarłych. Podczas dziewięciodniowych misterii dorocznych gasły na wyspie wszelkie światła, by znowu zapłonąć od świętego ognia, zapalonego u ołtarza delijskiego Apollina.

Nie boga tam spotkała, ale Filipa.

Gdy Olimpias na czele dionizyjskiego chóru przewodziła obrzędowi dokoła świętego dębu, nadjechało dwóch obcych. Jeden z nich zeskoczył z konia i podbiegł do niej, zastępując jej drogę. Przywykła odpychać mężów oczyma — obrzuciła go dumnym spojrzeniem, ale musiała wzrok opuścić pod jego wejrzeniem przenikliwym i palącym. Wyciągnął rękę, jakby oliwkę chciał uszczknąć z przydrożnego drzewa, nie widząc, zda się, jej wzburzenia. Towarzyszki otoczyły ją i razem z nimi uciekła, a w uszach jej długo brzmiał jego śmiech szeroki i donośny jak śmiech satyra.

Noc spędziła Olimpias bezsennie. Wciąż patrzyły na nią oczy zdobywcy, który wszystko bierze jak swoje.

Chciały go ukarać i upokorzyć. Wstawał w niej gniew, a zarazem chęć ujrzenia jeszcze zuchwalca, którego nie znała nawet z imienia. Dowiedziała się: był najmłodszym synem króla Macedonii. Przyjechał, by „koies” oczyścić go z krwi, może i matczynej — Eurydyki, która zgładziła męża i dwóch synów. Zgoła jednak nie wyglądał na ściganego przez Erynie pokutnika.

Ojciec Filipa, Amyntas, zmarł wśród klęsk, które wydały kraj na łup barbarzyńcom, tron wraz z ręką wdowy królewskiej, Eurydyki, opanował jej zięć i kochanek, Ptolemaios Alorites, zgładziwszy jej najstarszego syna, Aleksandra. W kraju pozostał jedynie średni, Perdikkas, mimo poparcia niezadowolonej szlachty niepewny życia pod ręką uzurpatora, najmłodszego zaś, Filipa, oddał ojczym Pelopidasowi w zakład przymierza, które zawarł z Tebami.

Młodziak chował się w Tebach, w domu bohatera Epaminondasa, pod kierunkiem pitagorejskiego filozofa. Z nauk mędrca wyniósł dla helleńskiej kultury cześć podobną do pobożnego lęku, jaki odczuwa prosty wieśniak, gdy po raz pierwszy stanie przed posągiem Fidaszowego Zeusa — oraz świadomość, iż wiedza i ogląda są równie dobrymi środkami do osiągnięcia celów jak chytrość, pieniądz i brutalna siła. Nie gardził jednak żadnym z tych środków i bacznie przyglądał się nowej organizacji wojska i taktyce, jaką właśnie w Tebach wprowadzał Epaminondas — stworzonym do walki umysłem przewidując, że dadzą one wkrótce Tebom przewagę w Helladzie. Całe życie uważał zresztą Filip za walkę. Tęgi, sprawny, wytrzymały i zawzięty, w Tebach na razie zaznaczył swój pobyt zwycięstwami w zapasach z silniejszymi nieraz przeciwnikami oraz podbojami niewiast, począwszy od sprzedajnych dziewczek do czcigodnych małżonek najpoważniejszych obywateli. Hojny, gładki, lubiący i umiejący wypić, dość miłe zostawił po sobie wspomnienia, gdy po trzech latach uznał, że niczego więcej w Tebach nie zyska, i zbiegł do ojczyzny, by nadmiaru swych sił spróbować na szerszym polu.

Pierwszą w tym przeszkodą był ojczym, zdecydowa-

ny wyplenić Amyntasowe potomstwo, by się umocnić na tronie. Fdlip działał szybciej. Po trupie ojczyma utorował drogę do tronu bratu, który za radą Platona dopuścił go do współrządów.

Ale współrzady Filipowi nie wystarczały. Krytycznym okiem patrzył na przygotowania do zrzucenia iliryjskiego jarzma, nie mieszając się do nich, chociaż sztuka wojenna, której napatrzył się w Tebach, nie była mu obca ni obojętna. W krwawej bitwie z Ilirami i zbuntowanymi przez matkę Lynkami, w której zostawili swe kości Perdikkas i cztery tysiące jego towarzyszy, Filip nie odznaczył się walecznością. Widząc klęskę, uciekł przezornie i z mocy prawa, jako opiekun bratanka Amyntasa, objął ster rządów w chwili, gdy okręt, którym miał kierować, zdawał się bliski zatonięcia.

Gdy Olimpias ujrzała znowu Filipa, był już władcą Macedonii. Przyjechał na dwór Arybbasa, by zawrzeć przymierze przeciw Ilirom.

Do Achillesa nie był podobny, raczej do swego mitycznego przodka Heraklesa, syna Zeusowego, który zwyciężał we wszystkich walkach, a zginął z rąk zazdrosnej kobiety. Filip był tęgi, grubokościsty, z wielką głową na muskularnym karku, z twarzą pociągłą, przyciemnioną od słońca i wichrów, z wydatnym prostym nosem nad kształtnymi, o czerwonych wargach ustami. Czoło miał gładkie i bielsze od reszty twarzy, przysłonięte opadającymi krótkimi, ciemnymi kędziorami. W duszy Olimpiady powstał zamęt, z którego ochłonąć nie mogła. Siedząc już w megaron królewskiego pałacu przy osobnym stole niewiast na uroczystości zaślubin, które wzmocnić miały zawarte z Filipem przymierze, patrzyła na niego przez zasłonę pytając. Czy ją poślubia dla przymierza, czy przymierze zawarł, by ją poślubić? Wedle obyczaju nikt jej o zgodę nie pytał. Wieści, jakie jej naznosiły niewiasty, zasiały bolesną niepewność w rozbudzonej straszliwej namiętności dziewczyny. Wiedziała już, że pojął Filę, córkę księcia Elimiotis, gdy potrzebował jego przychylności, by zjednoczyć pod swym berłem Macedonię. Wygnał żonę, gdy tylko dokonał swego. Ale jej, Olimpia-

dy, cały musi być jak głównia ogarnięta płomieniem, aż spali się w popiół. Kiedy jednak podnosił na nią zuchwałe oczy — oczy zwycięzcy w bitwach, zapasach i nad kobietami — dziewczyna opuszczała swoje, choć nie mógł widzieć jej twarzy za ślubną zasłoną. Ona nie będzie jednym więcej łupem, zabranym nawet bez walki, uszczkniętym mimochodem jak rosnący przy drodze owoc.

Teraz Olimpias wiedziała już, że Filip ma tylko jeden cel w życiu: zdobycze. Zawsze będzie musiała dzielić się z nim z boginią Zwycięstwa. Gdybyż jej choć pozwolił mieć udział w tej swojej namiętności.

Rozmyślania królowej przerwała Eufemele. Nadeszła na palcach, niosąc krater wody z winem i miodem. Widząc poblask w otwartych oczach królowej, spytała: — Nie śpisz? Tedy wina się napij i staraj się zasnąć, bo czas twój niedaleki. Wnet zaczną się dla ciebie bezsenne noce.

— Tak mi się zdaje, że to już dziś.

— Dziewiąty miesiąc dobiega końca. Czujesz co? Może zejdiesz do talamu?

— Duszno tam. A nie czuję nic. Nawet dziecię uspokoiło się. Śpi maleńki.

— Tedy śpij i ty. Sił ci będzie potrzeba. Posiedzę przy tobie.

Lśnienie oczu Olimpiady zgasło, a po chwili równy jej oddech oznajmił, że zasnęła istotnie. Eufemele, siedząc na niskim stołku bez oparcia, też walczyła ze snem. Nie pierwszą noc czuwała przy swej wychowawicy. Wkrótce głowa jej pochyliła się na kolana i Eufemele zasnęła twardo. Przez sen postyszała daleki grzmot nadciągającej burzy i krzyk, który rozległ się i urwał. Z trudem zbierała zmysły. Gdy otworzyła oczy, spostrzegła, że królowa siedzi na łożu.

— Czy już? — zapytała niespokojnie.

— Nie wiem — odparła cicho Olimpias. — Znowu śniło mi się, że w moje łono ugodził grom Zeusa. Cały świat zajął się od świętego ognia, a potem zgasł nagle...

— Ten sam sen, co wówczas, nim po raz pierwszy wstąpiłaś z małżonkiem do łoża — szepnęła Eufemele. — To Zeus zapłodnił twoje łono.



Olimpias milczała, a niańka podjęła:

— Szkoda, że Aristandros bawi przy królu.

— Nie trzeba mi wieszczka. Wiem, że urodzę Achillesa, bo gdzieś godniejszy przybytek znalazłaby dusza herosa niż w moim synu?

Niańka skuliła się i umilkła. I królowa milczała, a obydwie myślały o jednym: Achilles z własnego wyboru krótki miał żywot, ale sławę nieśmiertelną. Czyż nie to samo oznacza sen Olimpiady? Po chwili królowa przerwała milczenie, mówiąc zmienionym głosem:

— Sprowadź mnie do talamu i zawołaj niewiasty. Chyba to już będzie.

Nie rzekła ni słowa skargi, nie wydała jęku, gdy przez wlokące się godziny wyrzucić z siebie usiłowała płód, zda się ogromny jak świat, który trząsał się od huków gromów i migotał od błyskawic jesiennej burzy. Westchnęła z ulgą, gdy w głosy budzącego się ptactwa wdarł się krzyk dziecka. Dzień wstał cichy i pogodny. Usnęła kamieniem i nie czuła, jak niewiasty krzątały się przy niej i przy niemowlęciu, spełniając obrzędowe czynności. Gdy umyte ciepłą wodą, rozgrzane ciało kładziono na stole, by namaścić je wonną oliwą, niewolnica podniosła dziecię do twarzy i rzekła:

— Pachnie miodem.

— Jakby żywicą — dodała druga.

— Jak świeżo upieczony chleb — rzuciła trzecia i zaśmiała się z porównania.

— Pachnie nektarem i ambrozją — ucięła surowo Eufemele.

Odebrała dziecko z rąk niewolnicy i namaściwszy je owinęła od stóp do głów w cienkie płótno lniane sprowadzone z Fenicji, po czym wedle obyczaju ułożyła małego w pięknie plecionej kobjalce do czyszczenia zboża, symbolu błogosławieństwa Demetry. Odmówiwszy modły, by odegnąć czary i uroki, odprawiła służebne i usiadła przy maleństwie, kołysząc je i nucąc z cicha, by nie zbudzić królowej.

Olimpias spała jednak twardo i bez marzeń. Nie zbudziła się, aż słońce zatoczyło dzienny krąg, a niebo rozświetlił blask księżyca. Ze snu wyrwał królową płacz dziecka, którego w pierwszej chwili słuchała ze

zdziwieniem. Musiała sobie przypomnieć, że urodziła syna. Piersi ma nabrzmiąle pokarmem. W słabym po-  
blasku księżycowego promienia, wpadającego przez  
otwór pod stropem, nawykłe do mroku oczy rozeznały  
kołyskę i pochyloną nad nią Eufemele w uśpieniu tak  
przyciągnęła ku sobie zawieszoną na pasach, na belce  
głębokim, że płacz dziecka jej nie obudził. Królowa  
malowanego stropu, kołyskę i wyjmując płaczącego  
synka, przytuliła go do piersi. Cicho i miarowo słowa-  
mi Tetydy mówiła do swego dziecka po raz pierwszy:

*Teknon, ti klajeis, ti de se jrenas hiketo penthos?  
Exauda, me keuthe noo, hina eidomen amfo!*

Ona, która nie znała płaczu, teraz rozplakała się, jakby  
składając zadatek bólowi, na który skazywała ją włas-  
na duma i wiara w przeznaczenie syna.

„Teknon, ti klajeis...” (gr.) — „Dziecię, czemu płaczesz, czemu ból twoje serce ogarnia? Wyjaw mi, nie skrywaj swej myśli, niechaj wiemy oboje!” (Homer Iliada)

## ROZDZIAŁ II

Świat ludów Morza Śródziemnego zbyt był wstrząśnięty ponurą wieścią o klęsce pożaru Artemizjon, by zwrócić uwagę na wydarzenie, jakie tej samej nocy zaszło w Pelli, mało znanej stolicy niezbyt głośnego kraiku Macedonii. Dobijającemu się dopiero znaczenia Filipowi urodził się syn.

Macedonia, położona na północ od świętej góry Olimp, poza którą leżące kraje uważano w Helladzie za barbarzyńskie, niewielką dotychczas odgrywała rolę w jej życiu. Chłopski ten naród chwalił wprawdzie bogów helleńskich, ale nie wydał prawodawców, filozofów, sofistów, poetów, rzeźbiarzy ni malarzy. W górzystych swych, graniczących z Epirem okolicach hodował owce, kozy i świnie, na przymorskich równinach uprawiał zboże i żywił konie, które mniej jednak znane były od pochodzących z sąsiedniej Tesalii. Poza tym służył za łup sąsiadem.

W życiu Hellady po raz pierwszy zaznaczył się w bitwie pod Platejami. Aleksander, pierwszy tego imienia król macedoński, syn Amyntasa, ciągnął wraz z Kserksesem na pedbój Hellady. Stojąc ze swym wojskiem naprzeciw Ateńczyców, u których nieraz bywał w gościnie, przybył do nich nocą potajemnie, by przestrzec ich, aby sami nie wszczynali walki. Persowie bowiem z powodu braku zapasów wkrótce odejść będą musieli.

Po zwycięstwie Ateńczycy nie zapomnieli Aleksandrowi wyświadczonej przysługi, którą się wkuł do

helleńskiej wspólnoty. Helladonikowie, badający czystość helleńskiego pochodzenia, nie robili już więcej trudności macedońskim królom w dopuszczeniu ich do panhelleńskich igrzysk olimpijskich, uznając ich za Heraklidów. W czasie panowania króla Archelaosa kultura helleńska przesiąkać zaczęła do barbarzyńskiego kraju, w stolicy Ajgaj zjawili się ateńscy artyści i myśliciele. Szlachta, zorganizowana przez Archelaosa w hufiec konny hetajrów — towarzyszy królewskich, przebywając na dworze, szybko przyswajając sobie zaczęła helleńskie pojęcia i obyczaje; warownie umocniły kraj, rzeźby i malowidła przyozdobiły świątynie i pałace. Ale wkrótce po śmierci Archelaosa Macedonia popadła w zależność od barbarzyńskich Ilirów, a Hellada przestała troszczyć się o nią.

Ilirowie gotowali się do ostatecznego podboju, Leonowie pustoszyli kraj, tracki Berisades popierał sięgającego po berło zarządcę macedońskiego dworu, trzy tysiące ateńskich hoplitów wiodło swego pretendenta, a przyrodni bracia Filipa też mieli w kraju własnych stronników. W Helladzie, która po raz pierwszy usłyszała o Filipie, panowało mniemanie, że długo już o nim słyszeć nie będzie. Nikt nie przypuszczał, by dwudziestodwuletni młodzieniec, pozbawiony wszelkiego poparcia, naciskany przez wrogów z zewnątrz, a podkopywany w kraju, zdołał się utrzymać już nie przy państwie, ale nawet przy życiu. Podrwiwano z niego, że gdyby się nie nazywał Filippos — miłośnik koni — mógłby się zwać Filogynes — miłośnik niewiast — lub Filojnos — miłośnik wina. A jednak najwłaściwszym byłoby Filonikos — miłośnik zwycięstwa; w każdej walce, o każdą stawkę, każdym sposobem i za każdą cenę. Upajał się zwycięstwem, nigdy nie nasycony, nie znający granic swych celów, ale za to doskonale umiejący wytknąć drogę do ich osiągnięcia, świat cały uważając za nagrodę zwycięzcy.

Z położenia, w którym najdzielniejszy załamałby ręce, wyszedł szybko i zda się bez wysiłku. Przyrodniego brata Archelaosa schwytał i zabił, pozostali uciekli. Przekupił Traków złotem, Ateny obietnicą oddania Amfipolis w zamian za Pydnę, tak że pozbawiony ich

poparcia rywal Filipa uległ pod murami Ajgaj jego nowej taktyce; Peonom Filip okupił się tymczasem, by uwolnić Macedonię od Ilirów dla siebie, w czym nie chciał dopomóc bratu. Gdy w ustawicznych walkach przerzedziło się rycerstwo, Filip sięgnął do bitnego i nawykłego do walki chłopstwa, rozbudzając ich dumę nazwą pedzetajrów - pieszych towarzyszy króla, i stwarzając z nich niezwyciężony swój oręż — falangę, wypróbowaną i udoskonaloną wśród walk. Z łupów wziętych na Peonach uzbroił wojska i od Ilirów zażądał opróżnienia zajętych ziem macedońskich. Siedem tysięcy iliryjskich trupów i strata kraju aż po jezioro Lichnitis były ceną, jaką Bardylis zapłacił za odmowę, a niezależni dotychczas książęta macedońskich kraików bez oporu uznali już zwierzchnictwo Filipa i przeszli na jego służbę. Filip stał się samowładnym władcą zjednoczonej Macedonii, przekupstwem i zdradą zajmując Pydnę stał się panem niemal całego macedońskiego wybrzeża, od ujścia Aksiosu po dolinę Tempe. Teraz postanowił sięgnąć w głąb kraju i zawarł przymierze z potężnym Olintem, na co Ateny odpowiedziały zawarciem przymierza z Tracją, Peonią i Ili—rią. Nim przeciwnicy cokolwiek przedsięwzięć zdołali, Filip wysłał najlepszego ze swych strategów — Parmeniona przeciw Ilirom, a sam na murach zdobytej Potidai, upojony zwycięstwem, czekał jeno na wieści, gotów już wyruszyć przeciw Trakom.

Jeszcze rozgrzany walką stał na wieży w otoczeniu swej agemy, zwróciwszy oczy ku północy — na przesmyk półwyspu Pallene. Na gościńcu, widącym przez istmos ku lądowi, kurz, wzbijany stopami długiego łańcucha niewolników, zasłaniał widok. Ciągnęli już do kopalń złota koło jońskiej kolonii Krenides, która wezwała pomocy Filipa przeciw Trakom. Na targach helleńskich cena niewolników nie jest wysoka, płacą za nich po dwie miny. Rozbudowane kopalnie dadzą tysiąc talentów złota rocznie, każdy z niewolników, nim zdechnie, zarobi wielokrotnie więcej, niż wart. Będzie czym przekupywać polityków, by zdradzali własną ojczyznę, i opłacać helleńskich najemników, by przeciw niej walczyli. Filip uśmiechnął się.

Uwagę króla zwróciło zamieszanie na drodze. Dozorcy zganiłi z niej jeńców, chcąc widocznie komuś uczynić miejsce. Filip dostrzegł wynurzającego się z tumanów kurzu jeźdźca, który pędem zmierzał ku miastu. Mając bystry wzrok i pamięć doskonałą, Filip poznał Hajrona, ilarchę wojsk Parmeniona; Hajron zeskoczył z konia pod bramą i rozpytawszy się strażników, biegł do króla. Już z wyrazu twarzy poznać było, że niesie wieść pomyślną. Gdy dopadł, Filip zapytał:

— Z czym przybywasz, Hajronie?

— Zwycięstwo! — odparł posłaniec zdyszczanym jeszcze głosem. — Parmenion rozbił Grabosa. Śle z zapytaniem, czy ciągnąć ma ku tobie?

— Jak widzisz, nie ma po co. Niech wraca do Pelli wojska ćwiczyć. Jazdy nam więcej będzie potrzeba.

Uśmiechnął się dumnie i zdejmując łańcuch z szyi, ciągnął:

— Warta twoja wieść złota...

Nim wręczył nagrodę, przez tłum precisnął się drugi posłaniec wołając już z dala:

— Zwycięstwo! Oto wieniec olimpijski! Twój zaprzęg najlepszy.

Twarz Filipa zarumieniła się z uciechy. Cisnął łańcuch Hajronowi, który cofnął się z pokłonem, nieco zadowolony, że król większą radość okazał ze zwycięstwa koni niż wojsk. Istotnie, Filip przejęty zwrócił się do towarzyszy:

— Śmiejecie się, że konie przepłacam. Zwycięstwo nigdy nie jest zbyt drogie.

Przepłacał, bo jeśli mu się koń nadał, umiał zapłacić i kilkanaście talentów, gdy na targach płacono kilkanaście min. Toteż w Pelli roiło się zawsze od koni, które przyprawdzano zewsząd, i najlepsze rumaki zasilały stadniny królewskie, pasące się na łąkach nad Haliakmonem i Aksiosem.

Król, zagadawszy się o koniach, nie zauważył, że na uboczu stanął trzeci posłaniec oczekując, aż uspokoi się podniecony gwar. Dopiero gdy król zwrócił się, by odejść na ucztę, zgotowaną ku uczczeniu zwycięstw, zastąpił mu drogę, mówiąc cicho:

— Małżonka powiła ci syna.

Filip stanął osłupiały, jakby tej właśnie wieści nie był się spodziewał. Przeląkł się własnego powodzenia. Twarz czerwieńiała mu i bladła na przemian. Potem oczy i ręce wznosił ku niebu, wołając:

— Mojry! Do tak różnorodnego szczęścia dołóżcie mi odrobinę nieszczęść!

Gałązki oliwne, zdobiące marmurowe kolumny przy wejściu do pałacu w Pelli, oznajmiały wszem wobec, że królowi urodził się syn. Zarazem odganiały demony, a wabiły gości, od których zaroił się megaron i dziedzińce. Wieść już poszła po kraju i hetajrowie królewscy ciągnęli na zwyczajne uroczystości — amfidromia — jakie piątego dnia po urodzeniu wyprawić należało. Z przyjaciół Filipa jeno niezdolni do broni bawili w kraju, ale powrotu Parmeniona z wojskiem z Ilirii spodziewano się każdej chwili. Król natomiast pociągnął do Olintu, gdzie czekały go uroczystości na cześć zwycięstwa, i wiadomo już było, że nie przybędzie, skoro Parmenionowi zlecił, by w jego zastępstwie wziął udział w obrzędach urodzinowych.

Zaszczyt to był dla Parmeniona niemały i zazdrośni krzywili się na wyróżnienie, jakie spotkało surowego górala. Dzięki swym wojennym przymiotom szybko postępował w godnościach. Za Perdikkasa był już ilarchą przybocznego oddziału królewskiego, wierny jak pies i jak pies w boju zajadły. Z bitwy z Ilirami, w której Perdikkas położył życie, on jeden z całej ili królewskiej je wyniósł wraz ze zwłokami króla, by nie stały się pastwą zwierza i ptaków, co by duszy zamknęło wstęp do Hadesu. Przypuszczano, że nie zechce służyć Filipowi, jak wielu innych mając mu za złe, że uszedł z pola przed końcem bitwy.

Jakoż Parmenion wyjechał do domu w górach, gdzie chowały się dzieci po żonie zmarłej przy ostatnim porodzie, w czasie gdy on bawił na wyprawie przeciw Uirom. Porzucił dla życia prostego jak za Homerych czasów wojnę, do której zdał się stworzony, i dwór, gdzie czekały go godności i znaczenie. Albo nie zależało mu na nich, albo nie wierzył w Filipa.

Filipowi natomiast zależało na takich ludziach jak Parmenion.

Choć w pierwszym okresie panowania nieraz brakło mu czasu na posiłek i sen, sam pojechał do Parmeniona, by go przekonać i ściągnąć do Pelli, dokąd z Ajgaj na stałe przeniósł stolicę. Mówiono, że Parmenion przyjął króla — jak świniopas Eumajos Odysa — szwininą, którą sam upiekł na rożnie w kurnej chacie ze stodołą i stajnią pod wspólnym, trzcinią krytym, dwuspadowym dachem. Wysłuchał milcząco usprawiedliwienia króla, że bitwę porzucił, bo wiedział, że była przegrana, a gdyby i on zginął, Macedonia na łup obcym wydana by została. Potem odparł krótko, a stało to za przysięgi:

— Będę ci służył. Tylko dzieci musiałbym wziąć ze sobą.

— Zabierz. Dam ci dom w Pelli, koło pałacu, gdzie się lepiej chować będą niż tu, między kozami i świniami. Podrosną ci synowie, przyjmę ich do „chłopców królewskich”.

Parmenion służył Filipowi, jak dawniej jego poprzednikom, zbierając godności i nagrody, których anie potrzebował dla siebie, bo pozostawał przy prostym i surowym trybie życia. Stał się prawą ręką króla, który jemu w znacznej mierze zawdzięczał, że wybrnął z początkowych, niepokonalnych, zdało się, trudności. Lotny umysł Filipa, ciągle zajęty snuciem nowych przymierzy i knuciem nowych wojen, raz za razem rzucał pomysły ulepszeń uzbrojenia, taktyki i strategii, nie zajmując się ich wykonaniem; przeprowadzał je bowiem Parmenion z żelazną wytrwałością i dokładnością do najdrobniejszych szczegółów. Toteż nawet gdy bawił w Pelli, niewiele czasu mógł swym dzieciom poświęcać; chowały się one pod opieką niewiast, które, korzystając z obfitych zasobów domu, psuły malców wymyślnymi pokarmami, strojami i zabawkami. Wódz krzywił się, ale wiedział, że rzadko bywając w domu, nie potrafi temu zapobiec. Z utęsknieniem przeto czekał, aż najstarszy syn ukończy siedem lat, a wtedy wedle obyczaju da mu pedagoga, który by i na młodszych miał oko, ażeby chowano ich w surowości, do jakiej Parmenion nawykł w stosunku do siebie i innych. W woj-



sku ceniony przez starszyznę, a lubiany przez podwładnych za sprawiedliwość i dbałość o każdego człowieka, nie cieszył się mirem na dworze, bo powściągliwy był i niedostępny. Liczyć się z nim jednak musiano, a obecne wyróżnienie wynosiło go na pierwsze w państwie miejsce po królu.

Nie lubiła go również Olimpias. Gdy Parmenion zastępował króla, niczego zyskać nie potrafiła, nawet obsadzenia stanowiska zwykłego lochagosa. Wódz zawsze odpowiadał z szacunkiem, że jeśli jeno sprawa na tym zyska, będzie się starał uczynić zadość życzeniom królowej, ale różne o tym mieli zdania. To by mu jeszcze może Olimpias wybaczyła, bo gdy król był obecny, od niego umiała uzyskać godności i nagrody dla oddanych sobie ludzi, których pragnęła mieć wszędzie. Drażniła ją jednak obojętność niespełna trzydziestoletniego męża na jej urodę, której urokowi nie umieli się oprzeć nawet starcy i kobiety. Eufemele wszakże, znająca życie, ludzi, a zwłaszcza swą wychowanicę, mówiła do niej:

— W głębokiej wodzie ryby nie widać, ale tam bywają największe! Staraj się mieć Parmeniona po swej stronie, bo może być potrzebny do większych rzeczy, niż by jakiegoś chłystka uczynić dostojnikiem.

Królowa zamyśliła się. W pierwszym okresie swego małżeństwa miała nadzieję, że uda jej się opanować Filipa. Ale prędko spostrzegła, że łatwiej by płomień utrzymał w rękę niż jego. Gdy w chwilach zbliżenia starała się choć wybadać jego zamysły, zbywał ją, mówiąc, że chce wypocząć, albo ze śmiechem wykręcał się, iż sam nie wie, co jutro poczynać mu przyjdzie, i czeka na sen wróżebny, który by mu Aristandros wyjaśnił. Olimpias wiedziała jednak, że nie przypadki lub sny kierują działaniami Filipa. Po kolei odbierał wszystko, czym zapłacił za utrzymanie się przy władzy w pierwszym okresie, wyczekawszy chwilę słabości przeciwnika. Ramię Filipa sięgało do północno-wschodniej podstawy Chalcydyckiego Półwyspu, nic nie wskazywało jednak, by król, odebrawszy swoje, zamierzał na tym poprzestać. Ostatni krok jednego okresu działania zdawał się być pierwszym następnego,

Zbierał i ćwiczył wojska, zbroił się i zawierał przymierza.

Olimpias chciała znać zamysły Filipa, chciała mieć swój udział w poczynaniach męża. Parmenion zaś musi wiedzieć o jego zamierzeniach. Czas dłużył się królowej, gdy czekała na niego.

Słońce niewiele dopiero zeszło z zenitu, gdy dźwięki spiżu oznajmiły przybycie wodza. Witano go uroczystie jako królewskiego przedstawiciela, Parmeniona zdała się jednak niecierpliwie uroczystość. Suchą, szeroką dłonią powściągał karego rumaka, który również rwał się do domu, czując stajnię. Gdy zarządca dworu skończył przemówienie, w którym podniósł udział wodza w nowych zwycięstwach Filipa, Parmenion jeno głową skinął tak nieznacznie, że ledwo poruszyła się zdobiąca jego hełm purpurowa kita z końskiego włosia. Ręką wskazał swemu orszakowi, że może się rozjeść, a sam wraz z pacholkiem skierował się ku swemu domowi.

Przy wejściu zeskoczył z konia, zmówił krótką modlitwę przy słupie Demetry, ale udał się nie do auli, lecz do stajni. Obejrzał swego konia od kopyt do grzywy, kazał przed napojeniem przeprowadzić zgrzanego i dopiero gdy rumak zanurzył pysk w wonnym sianie u żłobu, wódz poklepał go i przez dziedziniec zwrócił kroki ku niewieściej części domu.

Niewolnice wybiegły witać pana, biorąc się do zdejmowania spiżowego pancerza, kutego do kształtu potężnej piersi Parmeniona, ale wódz zdjął jeno hełm i oddał miecz, skinieniem ręki odprawiając niewiasty.

Piastunkę Klimenę zagadnął o synów.

— Hektor i Nikanor pobiegli patrzeć na wojska i niewolników, których przywiodłeś, a Filotas śpi.

Wódz skierował się do talamu, a Klimenie, która szła za nim, polecił:

— Kąpiel mi zgotuj i posiłek. Zaraz przyjdę do łaźni.

Wszedł do mrocznej komórki, oświetlonej jedynie padającym przez otwór pod powalą promieniem chyłącego się już słońca, w którym wirowały niewidoczne niemal pyłki. Promyk wpłynął właśnie na twarz śpiącego malca, którego powieki zadrgały od światła, a okalające twarzyczkę loki zalśniły złotem, Parmenion ci-

cho usiadł na niskim stołku bez oparcia i spaloną na brąz dłonią gładzić jął ostrożnie jasną główkę pacholecia. Jedwabiste loki przelewały się między jego palcami, mile łaskocząc. Na surowej, nieruchomej twarzy wodza zjawił się wyraz smutku. Filotas podobny był do zmarłej matki. Może dlatego wódz do tego tylko synka odnosił się z tkliwością, a nawet słabość żywił dla niego.

Mimo że ruch twardej, do miecza i włóczni nawykłej ręki lekki był jak powiew Zefir a, chłopczyma znowu zamrugał oczyma i usiadł na posłaniu. Zaspianymi, okrągłymi ze zdziwienia oczkami patrzył na ojca. Widocznie nie był pewny, czy nie śpi. Nagle zerwał się, skoczył ojcu na kolana i z radosnym krzykiem bębnić jął małymi piąstkami po pancerzu.

Zabawę przerwała Klimena oznajmieniem, że kąpiel i posiłek gotowe i że z pałacu przysłano już po wodza. Parmenion ujął chłopczyka za rękę.

— Pójdziemy się wyparzyć. A na amfidromia czas jeszcze.

— Królowa chciała przedtem mówić z tobą — przypomniała Klimena.

— Pomówimy potem.

Zbudowany przez króla Archelaosa pałac w Pelli nie zadziwiał ogromem, ale obszerny był i wygodny, a i dla ozdoby jego uczyniono niejedno. Największą stanowiły malowidła słynnego Zeuksisa, o którym wieść głosiła, że malował tak ładząco, iż zwieść potrafił ptactwo namalowanymi winnymi gronami. Istotnie, postacie bogów i ludzi, zdobiące mroczniejszy już, lecz jeszcze pusty megaron, zdały się tłumem skamieniałym w oczekiwaniu na wieczorną uroczystość. Pośrodku rozległego wnętrza starym obyczajem tliło się wątlym płomieniem ognisko domowe na okrągłym palenisku między czterema kolumnami, obok zaś stał tronos pana domu z wysokim, prostym oparciem, poręczami i podnóżkiem, przy nim zaś — niższy klismos z oparciem pochyłym, miejsce gospodyni, wszystko bogato rzeźbione oraz wykładane złotem, srebrem i kością słoniową.

Nowym obyczajem, który Hellenowie przejęli z Azji, dokoła ustawionych w podkowę, stołów stały klina — również bogato zdobione, miękko wyłożone wełną — na pasach rzemiennych legowiska dla biesiadników. Te wprowadził już Filip wraz z wielu innymi urządzeniami i ozdobami pałacu, gdy przeniósł tu swą stolicę, by zbliżyć ją do morza. Zamulana wodami Aksiosu przystań u jego ujścia odsuwała się wprawdzie od stolicy i niezbyt była dogodna, ale wody te niosły z gór potężne pnie drzew, z których biegli cieśle pod kierunkiem fenickich mistrzów budowali okręty. W Pydnie i Potidai przystanie są dogodne, nie brak ich zresztą na rozwiniętych brzegach Egejskiego Morza — trzeba je tylko zająć.

Wejście do pałacu zdobne było dwiema kolumnami i tympanonem przedstawiającym centaura Chejrona, położony zaś u podstaw napis: *me den eisito kakon* — niech nic złego nie wejdzie — bronił dostępu demonom i złym wieściom. Od czterech lat, odkąd Filip objął rządy, nadchodziły same dobre, a ukoronowaniem jego powodzenia były narodziny następcy.

O tym mówili wojskowi i dworscy dostojnicy, których przybycie raz za razem oznajmiał młotek odźwiernego przy wejściu.

Od pasterzy i drwali z gór na pograniczu Ilirii i Epiru — do najwyższych dostojników, wszyscy czuli, jak wraz z Filipem bogacą się i rosą. Toteż uroczystości w Pellii zgromadziły nie tylko zaproszonych gości, ale i tłumy ludu, które otaczały teraz pałac, dając wyraz radosnym uczuciom. Ściągały je tu zresztą nie tylko uroczystości. Gdy w Pellii zaczęło przelewać się złoto, miasto zaroilo się od kupców z towarami, obcych rzemieślników, artystów, mówców, filozofów i sofistów, a przede wszystkim od wolnych obywateli demokratycznych państw helleńskich, którym nie uchodziło zajmować się czym innym jak tylko polityką i wojną. Wielu dość miało jałowej gadaniny i bezpłodnych sporów w swych rodzinnych miastach. Zresztą omal połowa obywateli miast Hellady, wygnana i pozbawiona praw, żyła na obczyźnie. Zamiast przeto, jak poprzednio, wynajmować swe usługi satrapom perskim, VWM

leli iść na służbę Filipa, bo bliżej, a wodzem był szczęśliwym i hojnie płacił. Filip zaś przyjmował ich tym chętniej, że potrzebował nie tylko cieszących się zasłużoną sławą hoplitów, ale i wiadomości, co się dzieje, mówi i myśli w miastach helleńskich.

Przeważały jednak w tłumie rosłe postacie górali, nawykłych do walki ze zwierzem i rozbójnikami, odpornych na trud i niewygody. Mało który z nich nosił sznur, oznaczający, że jeszcze nie zabił człowieka. Szli służyć w stworzonej przez Filipa niezłomnej falandze, obyci zaś z końmi chłopci z nizin nadmorskich i łąk nad brzegami Aksiosu i Haliakmonu zaciągali się do lekkiej jazdy. Przyszli żołnierze pokrzykiwali wodzom bardziej znanym, gdy zaś ukazała się wreszcie potężna postać Parmeniona, górującego głową nad tłumem, powstała wrzawa, jakby sam Filip nadjechał. Każdemu wiadomo było, że to on wykuwa niezwycięzony oręż dla króla. Zarazem był dla nich przykładem, do czego dojść można dzięki męstwu i oddaniu takiemu jak Filip królowi. Choć Parmenion pochodził z hetajrów i jako efeb bawił w Atenach, górale uważali go za swego, bo pozostał prosty i surowy jak oni, i nikt lepiej od niego nie wiedział, co żołnierz czuje, myśli i czego mu trzeba.

Teraz jednak wódz kroczył uroczyście, przybrany bogato w długi do stóp chiton z cienkiego sydońskiego płótna, z krótkimi rękawami, i przerzuconą przez oba ramiona wełnianą chłajną z tyryjskiej purpury, wzorzyści e haftowaną, spiętą złotą sprzączką. Od chłajny padał czerwony poblask na spaloną wichrami twarz o twardych, lecz szlachetnych rysach, okoloną splotami długich, spadających z przodu na czoło i ujętych złotą opaską włosów. Krótka czarna broda dodawała mu wieku i powagi, ale w postawie i ruchach nie znać było ani znużenia trudami niedawnej wojny, ani znoju dalekiej podróży w skwarne dni.

Oczekujący nadejścia wodza tłum biesiadników poruszył się na kamiennych płytach zewnętrznego dziedzińca rozległ się tupot sandałów i przez obszerną sień goście wchodzić zaczęli do pałacu, wypełniając megaron, który tymczasem rozjarzył się od światła, płoszących resztki blasków zorzy zachodu. Na palenisku mię-

dzy kolumnami ogień pożerał cedrowe polana, po wewnętrznej stronie podkowy stołów stały trójnogi z brązu z oliwnymi lampami, na ścianie zaś zawieszono latarnie z szybkami z cienko struganego rogu.

Parmenion skierował się ku tronowi i stanął na podnóżku, samotny i widny z dala w drgających blaskach płomieni ogniska. Goście cisnęli się pod ścianami, pozostawiając wolną przestrzeń wewnątrz podkowy. W tej chwili podniosła się zasłona u drzwi wiodących w głąb pałacu i weszła Eufemele, za nią zaś piastunka Lanike niosła dziecko owinięte w płótno i nakryte przezrzystą zasłoną. Piastunka po trzykroć obiegła z dzieckiem ognisko, Eufemele zaś stała tymczasem przed nim ze wzniesionymi rękoma, polecając w modlitwie nowo narodzonego opiece bogów domowych. Potem wzięła dziecko z rąk niańki i odkryła zasłonę. W powszechnej ciszy rozległy się jej słowa:

— Na Zeusa przysięgam, że to dziecko własnymi rękoma odebrałam od królowej Olimpiady.

Zwróciła się do Parmeniona i zapytała:

— Czy pan nasz, król Filip, uznaje je za swego syna?

Parmenion wziął chłopczyka z rąk piastunki. Pochylił nad nim głowę. Wielkie, błękitne, nieruchome oczy dziecka zdały się patrzeć gdzieś w dal, poprzez wodza. Ogarnęło go nieznanne uczucie, jakby lęku, który dreszczem przeszedł mu po ciele. Powściągnął się i rzekł donośnie:

— To jest syn króla Makedonów i jego prawowita następca.

Goście wzniesli radosny okrzyk, a Parmenion, oddając dziecko piastunce, zwrócił się do zarządcy pałacu, Agatona, mówiąc:

— Teraz uczcij królewskich gości.

Wszczął się ruch i gwar, biesiadnicy zajmowali wyznaczone wedle godności miejsca. Skrajnie, po lewej stronie podkowy, jako honorowe zajął Parmenion, ale nie położył się jak inni. W domu i w obozie zwykł siadywać na niskim stołku lub wiązce grochowin, nakrytej kozią skórą. Pozwolił sobie umyć nogi i uwieńczyć różami głowę, przyjął podaną czaszę wina, ulewając z niej wedle obyczaju kroplę dla Zeusa i bogów olim-

pijskich, po czym nie czekając na potrawy, które służba zaczęła roznosić — mięsiwo na srebrnych i złotych tacach, a pieczywo w ozdobnie plecionych koszykach — zwrócił się do leżącego dowódcy wojsk technicznych i konstruktora machin wojennych — Bramarbas — mówiąc:

— Nie pij za dużo wina, bo rano chcę mówić z tobą. Teraz idę do królowej.

Bramarbas skierował na Parmeniona swe bystre i ruchliwe orzechowe oczy, rozbiegane w czerwonej, rudym zarostem okolonej twarzy, i odparł ze śmiechem:

— Trzy zwycięstwa, w których nie brak i twego, godne są uczczenia. A urodziny dziedzica raz jeno się święci,

— Uczcisz je raz jeszcze na g e n e t l i a c h . Basileus sam przyjedzie, by imię nadać następcy. Będziesz świętował do woli — odparł Parmenion i wyszedł.

— Wolę z tobą wojować niż ucztować — rzucił za nim Bramarbas. — Jeszcze człowiek nie zjadł, a już mu się odbija — dodał sam do siebie.

Wzruszył ramionami, a wzięwszy pieczonego pawia, zjadł mięso z piersi, resztę rzucając psom, i sięgnął po przepiórki pieczone w cieście, nie zaniehbując przy tym libacji na cześć herosów, Zeusa Zwycięzcy, a potem już bez przerwy czystym winem czcił Dionizosa.

Dla Parmeniona jak i inni żywił szacunek, ale właśnie dlatego strateg zepsuł mu apetyt przyganą jego niepowściągliwości. Rad był przeto, że wódz odszedł.

Parmenion tymczasem przez wewnętrzny dziedziniec udał się do niewieściej części pałacu. Królowa wstała już, ale nie opuszczała jeszcze domu. Pewna była jego przybycia, skoro je zapowiedział, ale gniew ją ogarniał, że jej czekać pozwala. Gniew przygał cokolwiek, gdy wkrótce po powrocie Eufemele zjawiła się niewolnica oznajmiając przyjście Parmeniona. Królowa wyszła ku niemu do auli. Pomna rad piastunki, twarz okraśliła uśmiechem, którego urokowi nikt się oprzeć nie umiał. Ręką wskazała wodzowi miejsce naprzeciw siebie, na

niskim stołku, sama zaś usiadła na pokrytej barwnym kobiercem marmurowej ławie i zapytała życzliwie:

— Bogowie dali ci szczęśliwą podróż?

— Szczęścili nam we wszystkim. I tobie.

— Mówisz o urodzeniu mego syna? Czy basileus prędko przyjedzie go zobaczyć? Niespieszno mu...

W głosie jej zabrzmiał jakby żal i wyrzut. Parmenion odparł:

— Liczne i ważne są sprawy, które go wstrzymały. Ale przybędzie sam imię nadać następcy.

— Mów! Rada posłucham o czynach mojego małżonka, skoro nie mogę jak Andromacha patrzeć z murów na czyny Hektora. Niechże wiem przynajmniej o tych, które już zostały dokonane, skoro zamysłów znać nie jestem godna. Tyś szczęśliwszy ode mnie.

Wódz patrzył na spoczywające na kolanach szerokie swe dłonie, a królowa utkwiała w nim badawczy wzrok. Gdy się nie odezwał, ciągnęła:

— Od dziecińczych lat lubiłam słuchać o czynach herosów, dlatego miłuję Homera. Ale jego znam już na pamięć i rada bym o nowych herosach posłyszeć.

— Nie jestem poetą, a polityka nie jest poezją.

— Ale wojna.

— Wojna też jest polityką... gdy nie ma lepszej.

— To mówi strateg, który na wojnie zyskał bogactwa, znaczenie i sławę. I teraz, słyszę, rozbiłeś i zmusiłeś do posłuszeństwa Ilirów, choć wielokrotnie byli silniejsi. Podziwiam twoją skromność... czy małowówność. Ale wolałabym podziwiać czyny bohaterskie.

— Połączeni z Trakami i Peonami istotnie byłiby silniejsi. Ale nie udało się im połączyć nie dał. Bijemy zawsze słabszych.

— Tedy zdradź mi czary Filipa, które sprawiają, że zawsze bywa silniejszy. Nikomu nie wydam tajemnicy... chyba memu synowi. A tobie nie zapomnę... nigdy — dodała.

— Basileus z silniejszymi nie walczy. Gdy starczy złota, nie szafuje krwią. Gdy starczy słowa, nie trwoni złota. Gdyby umyślił na Ateny uderzyć, za godzinę wojska byłyby w drodze i nikt by nie wiedział, ile ich i jakie. Gdyby zaś Ateny na nas chciały napaść, mie-



siąc naprzód wiedzielibyśmy o tym i do ostatniego pacholka znalazłbyśmy już ich siły. Oto i całe czary.  
Królowa zaśmiała się.

— To iście proste. Ale czemuż inni tego nie potrafią?

Parmenion zdał się namyślać. Potem odparł:

— Stado koni paść się może bez koniucha albo i z dziesięcioma. Gdy zaprzęg idzie w zawody, kierować nim może tylko jeden woźnica. A gdy idę do walki i mam w rękę sarysę, wiem, że grot jest z żelaza, a nie z wody, jak uczy Tales z Miletu. Gdy mi zaś niedźwiedź owce porywa, nie myślę, że mi się to jeno zdaje, jak twierdzi Ksenofanes z Kolofonu. Przebijam drapieznika i odbieram mu owcę. Niech jemu się zdaje, że grot jest z wody i że to jeno sen.

Olimpias uśmiechnęła się znowu.

— Widzę, żeś się więcej nauczył pasąc kozy niż w ateńskiej Akademii od filozofów. Ale i Filip nie uczył się tego od swego Pitagorejczyka. Nie w wysokiej, widzę, cenie u was filozofia i poezja. Po cóż tedy Filip ściąga tu i opłaca sofistów, mówców i poetów?

Parmenion odparł z namysłem:

— Lubi to, czego nie ma. I chce wiedzieć, co myślą i mówią inni, by się nauczyć odróżniać plewę od ziarna. Myśli oświełają drogi czynów, ale chodzą własnymi.

Królowa wstała i oparła swe długie, wąskie dłonie na ramionach Parmeniona. Biel ich na tle ciemnej purpury chłajny zdała się świecić własnym światłem. Powiedziała cicho:

— Wiem, jakie są czary Filipa. Zjednywać umie takich jak ty ludzi. Jeno nie wiem czym... a chciałabym wiedzieć. Potrzebni będą memu synowi. Dałabym za to... wszystko.

Parmenion siedział nieruchomy jak posąg. Gdy się nie odezwał, królowa zapytała obojętnie:

— Czy syn mój wedle obyczaju nosić będzie imię dziada Amyntasa?

— Nie! — odrzekł krótko Parmenion ochrypłym głosem.

— Nie? — Królowa bawiła się kręceniem złotego

naramiennika w kształcie węża. — Tedy chciałabym, by nosił imię mojego ojca, Neoptolemosa,

— Twój syn będzie się zwał Aleksander.

— Aleksandros! Podpora mężów! To imię mojego brata i Filipowego.

— To imię króla, który rozszerzył granice Macedonii aż do Strymonu i zyskał dla niej uznanie i przyjęcie do helleńskiej społeczności.

— Ty miłujesz Macedonię?

— Miłuję.

Po chwili królowa zapytała cicho.

— I nic więcej?

— I synów moich. Będą służyli twemu synowi.

— Bogowie sprawią, że inie będą gorsi od swego rodzica, jak i mój nie będzie gorszy od swego. Dziękuję ci.

Parmenion wstał zegnając się. Królowa rzekła łaskawie:

— Wiem, że należy ci się wypoczynek, tedy nie zatrzymuję. Ale myślę, że znajdziesz dla mnie wolną chwilę?

— Nie na wypoczynek przyjechałem. Basileus kazał mi zaciąg uczynić do konnicy i maszyny przygotować wspólnie z Bramarbasem.

— Widzę, że twoją miłością nie umiesz się dzielić. Nie tak jak Filip.

Parmenion nic nie odrzekł i skłoniwszy się, wyszedł.

W megaron obyczajowy porządek uczt rozpływał się już w nadmiarze wina. Skończono obnoszenie potraw, rozmowy podchmielonych biesiadników zlewały się w gwar, który potężnym głosem usiłował pokonać rapsod, recytujący poezję Hezjoda.

Parmenion chyłkiem przemykał się pod ścianą ku wyjściu. Gdy mijał rapsoda, stojącego między ramionami podkowy stołów, uderzyły go słowa:

*Nie pozwól się niewieście o pięknym tyłku ogłupić,  
Gdy cię w twej chacie nawiedzi, pochlebne niosąc ci  
słowa.*

*Bo kto wierzy kobiecie, ten wierzy oszustom i łotrom.*

Słowa te utkwily w uszach Parmeniona jak drwina lub przestroga.

Choć zdruzony był, długo nie mógł usnąć. Wysiłkiem woli zwrócił myśl ku wojnie z Atenami. Tymczasem starczy na nią złoto, a te sprawy zawierzone ma Antypater. Jego rzeczą przygotować wojska do zajęcia Metony. Ateny pozbawione sprzymierzeńców, odcięte od rynków drzewnych i zbożowych, ulegną wzrastającej potędze Filipa. Nadchodzi zmierzch „słońca Hellady”. Wieści jednak o powstaniu w Atenach wrogiego Filipowi stronnictwa wojny zdawały się zapowiadać krwawy zachód.

## ROZDZIAŁ III

Światło zachodzącego księżyca wyгнаło cień spod kolumnady świątynki Dionizosa Eleuterosa, u stóp południowego stoku Akropolu . Od lśniącej bieli marmurowej posadzki, w kącie, pod murem odcinała się kupa łachmanów, z której rozlegało się jakby psie warczenie, przechodzące zaraz w rozgłośne chrapanie. Zwabiło to scytyjskiego strażnika, nadchodzącego drogą wzdłuż wodociągu Pizystrata. Zboczył do świątyni i trącając nogą leżącego człowieka, rozkazał:

— Wstawaj!

Spod fałdów chłajny z ciemnej koziej wełny wychyliła się brodata, okrągła twarz, świecąca w poblasku latarni strażnika, i zaspany głos zapytał:

— Czy już rano?

— Spieś się? Noc. Idź do domu, tu spać nie wolno. Nie dla ciebie świątynię zbudowali.

— Właśnie że dla mnie, skoro tu sypiam. Dionizosa zaś nikt tu nie widział i nie wiadomo nawet, czy w ogóle istnieje.

Scyta dość już dawno przywędrował w pętach do Aten, by choć z wierzchu nasiąknąć helleńskimi pojęciami, a sprawowana nad opojami i włóczęgami władza nastrojała go legitymistycznie . Powiedział, choć z niezbyt szczerą surowością:

— Uważaj, by cię cykuta nie poczęstowano, co się

już niejednemu bezbożnikowi przygodziło. Spiłbyś się raz na zawsze.

— Ateny chowają truciznę dla swoich mędrców.

— Zabieraj się do domu — niecierpliwie burknął Scyta, ale wybity ze snu włóczęga widno nabrał ochoty do rozmowy, odparł bowiem:

— Nie zdążę już przed świtem, bo do Synopy daleko. Zresztą odechciało mi się spać.

— Dość mamy w Atenach roboty ze swoimi opojami i włóczęgami.

— Przykro mi, ale nie mogę wracać do Synopy, bo skazałem ją na moją nieobecność.

Strażnik uśmiechnął się poufale i porozumiewawczo.

— Powiedz, że ciebie wygnali.

— Tak to się wedle nich nazywało. Ale ja jestem obywatelem świata, nie dbam o żadne prawa i przebywam wszędzie, gdzie mi się podoba.

Strażnik, który przez całą noc obchodził dokoła Akropol, dość miał widocznie przechadzki. Obejrzał się, po czym usiadł na stopniu i zapytał:

— Za złodziejstwo cię wygnali?

— Za politykę.

Scyta spojrzął z niedowierzaniem i zauważył:

— Nie wyglądasz na polityka.

— Masz słuszość, albowiem jestem filozofem. Ale nim doszedłem do rozumu, byłem politykiem.

Strażnik zaśmiał się.

— To znaczy, że politycy są ludźmi bez rozumu? Tylko nie powiedz tego na rynku, bo cię psami wyszczują.

— Znowu masz słuszość, przynajmniej jeśli chodzi o Ateny. Tu każdy głupiec, który się do niczego innego nie nadaje, trudni się polityką. Ale psów się nie obawiam, ponieważ są to bratnie dusze. Tak samo jak ja nie uznają praw ni granic.

Scyta przysunął się do włóczęgi i powiedział półgłosem, złośliwie:

— Tu polityką zajmują się ci, co nie potrzebują pracować, żeby jeść. Pyskują od rana do wieczora to na Pnyksie, to w teatrze, to w rynku, uchwalając raz to, raz owo, zależy, kto drugiego przegada, a potem

idą do heter, nie troszcząc się zgoła o wykonanie ani co z tego wyniknie. Im kto ma większą gębę, tym większym jest politykiem.

— Widzę z przyjemnością, że bystry z ciebie człowiek i nie straciłeś na darmo czasu pobytu w Atenach. Czy nie dziwne, że w mieście największych głupców najwięcej się można nauczyć? Ja też tutaj pobierałem naukę u Antistenesa.

— I czego się nauczyłeś?

— Myśleć. Chcesz, to i ciebie nauczę, bo widzę, że masz do tego przyrodzone skłonności.

— Co mi po tym, ja jestem niewolnikiem.

— Niewolnikiem jest ten, kto się boi. A kto myśli, jest filozofem, choćby nic więcej nie umiał..

— Nie brak w Atenach głupców, którzy nie wiedzą, jak wydać swoje złoto, i płacą za naukę wydrwigroszom. Może i ty się nowego płaszcza dorobisz — dodał wskazując na podarty łachman, służący zarazem za płaszcz i posłanie. — Ale nie ode mnie.

— Nie potrzebuję nowego płaszcza.

— Tedy cóż ci z twojej filozofii?

— To, że jestem obojętny na każdy zwrot losu. Szukam prawdy i głoszę ją, czy kto chce słuchać, czy nie.

— Był już taki w Atenach. Tam oto — strażnik wskazał na pogrążony w cieniu wąwóz między wzgórzem Pnyks i Akropolem — jest więzienie, gdzie wypił cykutę. Lepiej byś uczynił pozostając przy polityce. Tu nieźle się można na tym dorobić, byle gadać to, czego chcą słuchać. Ale widocznie jako polityk także mówiłeś prawdę i dlatego cię wygnali.

— Mylisz się. Właśnie że oszukiwałem, a wygnali mnie, gdy się dowiedzieli prawdy, mimo, że korzyści, których im przysporzyłem, były niewątpliwe.

— To ciekawe. Opowiedz.

— Chciałem podnieść ojczyznie miasto, a przy tym pozyskać sławę. To też choroba, która się szerzy w Helladzie, zwłaszcza wśród tych, co się przejadają. Udałem się po wyrocznię do delijskiego Apollina i poradził mi, by zmienić ustrój. Być może, że myślał o politycznym ustroju. To bardzo źle, że bogowie nie mówią z ludźmi sami, jak za Homerowych czasów, lecz przez kapłanów,

wróźbitów i wykładaczy snów. Ci są dość sprytni, by zbijać za pośrednictwo pieniądze, ale nie dość, by rozumieć swoich mocodawców. Albo więc bóg źle powiedział, albo ja źle rozumiałem. Polityczny ustrój szkoda zmieniać, bo wszystkie razem nic niewarte, a każdy dobry dla tego, kto sprawuje władzę. Ale pieniężnym warto było się zająć, bo pieniądze służą wszystkim, a przynajmniej mogą służyć, gdyż towaru wszędzie dość. Cóż z tego jednak, gdy pieniądza ze szlachetnego kruszcu jest mało i nie ma za co kupować. Rozumiesz tedy, że pieniądz im gorszy, tym lepszy.

— Nie rozumiem.

— To znaczy, że im gorszy, tym lepiej służy swemu celowi, którym jest pozbycie się go. Ojciec mój, Hikesias, był bankierem, kupcy w Synopie potrzebowali dużych i tanich kredytów, a złota było mało i kredyt drogi. W zwykłych interesach, jak wiesz, kosztuje rocznie piętnaście od sta, w morskich najmniej trzydzieści. Zacząłem tedy bić pieniądz, w którym było więcej spiżu niż złota, a wyglądał całkiem jak złoty. Pieniądza się nie je, coś tedy komu zależy, z czego jest zrobiony, byle towar za niego dostać. Zaczęliśmy pożyczać łatwo i tanio, handel w Synopie rozkwitł, ludzie nas szanowali, aż jakiś ciekawski zaczął dochodzić, z jakiego materiału są nasze darejki. Ludzie zawsze chcą wiedzieć, czego im nie trzeba. Gdy się dowiedzieli, na całym wybrzeżu powstało w handlu zamieszanie, nawet prawdziwym złotym darejkom już nikt nie chciał wierzyć. Sławę pozyskałem, ale ojca wsadzili do więzienia, a mnie wygnali. O to mniejsza, bo i tak nie uznają opłotków, w których zamyka się każde miasto. A opłotki są po to, by się było o co bić i ludzi skąd wyganiać, ale są tak spróchniałe, że niech się znajdzie ktoś śmielszy, kto je kopnie, to wywróca się od razu.

Scyta pokiwał głową.

— Tedy byłeś oszustem, a nie politykiem.

— To wszystko jedno. Polityka jest sztuką osiągnięcia swych celów, w której każdy środek dobry, a najłatwiejsze i każdemu dostępne jest kłamstwo. Równie dobry zresztą jest pieniądz i siła, ale te trzeba mieć.

Scyta wstał i powiedział niechętnie:

— Bardzo to mądre, co mówisz, ale mnie z tego nic nie przyjdzie. Wolę po nocach zbierać pijaków i włóczągów, niż dostać się do kopalni w Laurion, co łatwo mogłoby mi się przytrafić, gdyby nas tu zastał który z prytańców. Ja jestem niewolnikiem, a nie filozofem, obojętnym na każdy los. Dlatego zbieraj się stąd, bo tu nocować nie wolno.

— Przecież dnieje już.

Scyta spojrział na niebo rozjaśniające się w oczach i machnąwszy ręką, odszedł. Świeży powiew ruszył od wzgórza Likabettos, odezwało się ptactwo, z którego głosami wkrótce zaczął się mieszać ludzki gwar. Na grocie włóczni Ateny Promachos na Akropolu zaświecił płomyk, jak zwiastun wstającego słońca. Od południowych bram — Diomejskiej, Itońskiej i Pytiona, pieszo i wozami ciągnął już koło podnóża Akropolu wzrastający tłum chłopów z jarzynami, owocami, miodem, serem i innymi produktami. Nie było tylko zboża. Na szczęście wysłana pod Charesem flota ateńska zatrzymała dalszy pochód Filipa i statki z żywnością przybyły do Pireusu, a w Atenach nastąpiło uspokojenie. Ateński mieszczuch chciał wierzyć, że pasmo powodzeń Filipa urwało się i można nie troszczyć się o niego więcej.

Trudno było jednak podzielić to zdanie zawodowym politykom, którzy od sześciu lat widzieli nieustanną ruchliwość Macedończyka i jej skutki. Ateńska wyprawa na Chios, zakończona procesem strategów, nie udała się i spowodowała odpadnięcie ważniejszych sprzymierzeńców. Ateńska „arche” rozsypywała się jak zmurszały pień i mimo świetnego blasku swej kultury i sztuki „słońce Hellady” chyliło się ku zachodowi wobec z wolna i podstępnie dojrzewającego starcia z Filipem. Jako wykonawca wyroku Rady Amfiktionów przeciw świętokradzkim Focyjczykom, mieszać się zaczynał otwarcie w wewnętrzne sprawy Hellady, wszędzie wypychając się ze swym złotem i usługami. W Atenach, jak we wszystkich niemal miastach helleńskich, tworzyły się dwa stronnictwa: pod przewodnictwem bankiera i kierownika finansów, Eubulosa, kształtowało się stronnictwo rozwagi, aby w myśl zasady „pieniądz to czło-



wiek" dbać tylko o utrzymanie istniejącego stanu. Skłonne było do wszystkich ustępstw, byle uniknąć wojny, mogącej jak peloponeska znowu rozpętać namiętności motłochu i umożliwić ucieczkę niewolników, która niemal do ruiny przywiodła przemysł ateński. Stary zaś idealista Likurg skupiał dokoła siebie ludzi wpatrzonych w minioną wielkość Aten, wierząc w jej odnowienie gadaniem, bo w istniejącym ustroju nie było innego sposobu wywierania wpływu na tłum pełnoprawnych obywateli, który słuszność wniosków oceniał wedle poziomu sztuki krasomówczej wnioskodawcy.

Kształtujące się przyszłe stronnictwo wojny pozyskało właśnie mówcę, który żelazną pracą wybił się przed sądami. Sam siebie zwał „przyjacielem trudu nad siły”, zaś lud przezywał go „Zmiją” z powodu jego zjadliwości i wykrętności. Wyzuty przez opiekunów ze spadku po ojcu, fabrykancie broni, w wieku lat trzydziestu zdołał dorobić się już znacznego majątku oraz domu w dzielnicy bogaczy w Pireusie, z odpowiednią ilością niewolnej służby, wchodząc do rządzącej klasy Aten. Dziś po raz pierwszy wygłosił na Pnyksie przemówienie polityczne, a choć przedmiot był suchy, dotyczący okręgów podatkowych, mówca zyskał sobie poklask tłumu, gdyż umiał ganić — schlebując lub schlebować — ganiąc. Słuchali go z zaciekawieniem nawet ci, co nie zwykli tracić czasu na zgromadzenia, zmuszeni pracą zarabiać na utrzymanie, na które nie starczyły „symbola” otrzymywane od państwa za udział w sprawach publicznych.

Teraz Demostenes siedział z najmożniejszymi członkami tworzącego się stronnictwa we frontowej izbie gospody przy drodze wiodącej podnóżem Areopagu na rynek. Kręciło się tam mnóstwo ludzi, ale widząc zgromadzonych najwybitniejszych obywateli przyciszali głosy, szepcząc między sobą z zaciekawieniem. Uwaga ich skupiała się zwłaszcza na niepozornym człowieku o zapadniętej piersi, z twarzą przedwcześnie pomarszczoną, okoloną wątlym zarostem, przybladłą z podniecenia, które widniało jeszcze w ponurych i namiętnych oczach. Imię jego po raz pierwszy powtarzało

całe miasto: Demostenes! Gdy inni nie zwracali uwagi na przewijających się, jego ucho nie przepuszczało żadnego szeptu dotyczącego jego osoby, słuchając jednocześnie słów uznania towarzyszy. Wrota sławy, o której marzył od dzieciństwa, nie posiadając, zda się, żadnych po temu warunków prócz żelaznego uporu, stały przed nim otworem. Zbierał pochwały jako pierwsze słodkie owoce swego trudu nad siły.

Członkowie kolegium strategów — Diopejtes i Leostenes oraz Chares, świeżo wstawiony zwycięstwem nad flotą Filipa, a ongiś sprzeniewierzeniem pieniędzy publicznych i uchyleniem się od odpowiedzialności pogroźką użycia siły — powściągliwsi byli w pochwałach, uważając młodego mówcę za narzędzie swych celów. Natomiast zachwyty Likurga były entuzjastyczne i szczere. Idealista żyjący przeszłością, ciasnym umysłem nie wybiegający poza jej wzory, był jej namiętym kaznodzieją, a osobistym wrogiem Eubulosa, którym gardził za jego wyrachowanie i oportunizm. Wiekoci Aten takich, jakie istniały już tylko w jego skostniałym umyśle, skłonny był poświęcić wszystkiej. i wszystko, i w pochwałach jego brzmiała radość, że znalazł podobnego sobie sprzymierzeńca.

Demostenes jednak więcej uwagi zwracał na rzeczową, z wielkim znawstwem i wielkopańską niedbałością wygłaszaną krytykę Hypereidesa. Uczeń Isokratesa, wytworny i naturalny zarówno w stroju, jak i w obejściu, był zupełnym przeciwieństwem Demostenesa i w sztuce wymowy, z której zasłynął w Atenach. O kilka lat starszy od niego, polityką zaczął się zajmować z chwilą, kiedy na widowni ukazał się Filip. Gdy inni widzieli w Filipie niebezpieczeństwo dla Helady i Aten, skłonni jednak szukać sposobów porozumienia się z nim, wytwornego Hypereidesa drażnił prostak, który upija się czystym winem jak barbarzyńcą, uprawia po pijanemu wyuzdane tańce, a sztukę miłości, uważaną przez mówcę za wykwint i owoc wszystkich innych, traktuje bez smaku i wyboru. Między wyrafinowanym ironistą a żywiołowym obłudnikiem nie było możliwości porozumienia, dlatego Filip nie miał bardziej zacieklego i upartego wroga. On też pierwszy na-

prowadził rozmowę na ten przedmiot, gdy zwracając się do Charesa zapytał:

— Macie wieści w strategion , co robi barbarzyńca?

— Donosi Likofron z Fer, że Filip zaciąga konne wojska w Tesalii — odparł zagadnięty. — Zapewne zechce próbować z Onomarchem do trzeciego razu.

— Trzeba by wysłać pomoc Focyjczykom — wtrącił Likurg, ale Diopejtes zaśmiał się:

— Zbój ze zbojem najłatwiej sobie poradzi. Onomarch dość skarbów złupił w delfickiej świątyni, by zaciągnąć, ilu zechce, najemników, których nie brak w Helladzie. Nam zaś Eubulos nie pozwoli naruszyć funduszu teatralnego, którym skarbi sobie łaski hołoty.

— Konnica zaś nasza nie może zbrukać potem i krwią pięknego rynsztunku, w którym wystąpić ma na Wielkich Dionizjach — zadrwił Hypereides.

— Nie przystoi nam wspomagać rabusiów świątyni — zauważył Leostenes, ale młody mówca przerwał mu gwałtownie:

— Wszystko przystoi, byle raz skończyć z barbarzyńcą, który udaje Hellena, by mieszać się w nasze sprawy, i nie potrzeba nam wyroczeni, która „filipizuje” za macedońskie złoto.

— Czemuż sami tylko bogowie mają zostać nieprzekupni, skoro filozofowie z dawna biorą pieniądze — zjadliwie wtrącił Hypereides.

Wszyscy wiedzieli, że to przytyk do Platona, który utrzymywał stosunki z Filipem i pobierał od niego zasiłki na swą Akademię. Znany był zresztą ze swych sympatii dla monarchii, choć jasne było, że królowie są przyrodzonymi wrogami demokracji.

— Nawet małe dzieci w szkole wiedzą — ciągnął drwiąco Hypereides — kto bierze pieniądze od perskiego, a kto od macedońskiego króla, choć złoto ich niczym się nie różni.

Odpowiedzią na tę złośliwość było milczenie, tylko Likurg, który miał czyste ręce, ozwał się gniewnie:

— Od Persów zabezpiecza naszą wolność „pokój królewski”, Ateny zaś same potrafią zjednoczyć Helladę i nie potrzeba nam na to macedońskiego Agamemnona, którym twój mistrz głosi Filipa.

— Prawda, że Isokrates zgłupiał na starość, ale bezpłatnie. Dlatego możemy go pozostawić na boku — odparł Hypereides.

— Zostawmy na boku nasze bolączki — pojednawczo wtrącił Leostenes — a myślimy o tym, by pomoc nasza dla Likofrona i Peitalosa nie przyszła za późno.

— Gdy odłożycie wasze bolączki, to nic z was nie zostanie — przerwał rozmowę głos Diogenesa, który drwiąc i kłując ludzi po drodze, przywędrował do gospody i od pewnej chwili przysłuchiwał się rozmowie.

Zaczeplieni udali, że nie słyszą, jedynie Demostenes rzucił:

— Znowu przyszedłeś szczeakać?

— Łaszę się do tych, co mi dają, szceakam na tych, co nie dają, a łotrów kłusam. Wobec tego daj mi obola, Demostenesie, bym cię nie ukąsił.

— Jałmużnę daję kalekom, a nie wydrwigroszom — odparł Demostenes wstając, gdyż już zaczęli się przysuwać ciekawie, obiecując sobie rozrywkę. — Bo możesz sobie wyobrazić, że zostaniesz kiedyś kaleką, ale nigdy filozofem.

Zaczeplony nic nie odparł i skierował się w głąb, do tylnej izby, a Diogenes rzucił za nim:

— Tam bardziej będziesz w gospodzie — wskazując zaś pogardliwie środkowym palcem na Demostenesa, powiedział do obecnych:

— Oto wasi służalcy. Dlaczego zachowujecie się wobec nich, jakby byli panami, podczas gdy to oni muszą wam schlebiać, bo nic nie znaczą bez was.

Ospaly gospodarz, były atleta, widząc, że włóczęga wypłasza mu dostojnych gości, zjadliwie i groźnie zwrócił się do filozofa:

— Czy widziałeś nad drzwiami napis: „Niech nic złego nie wchodzi”?

— Oczywiście. I dziwiłem się, że sam sobie zakazujesz wchodzić do własnej gospody.

Odpowiedź jego powitał wybuch śmiechu, który do reszty rozwścieklił karczmarza. Chwycił Diogenesa za kark i doprowadziwszy do drzwi, wyrzucił kopnięciem na pole. Dokoła leżącego zebrał się tłum wyrostków,

- Pies! Pies!

Gdy jednak Diogenes podniósł się, pierzchnęli na wszystkie strony. Zawołał za nimi:

— Nie lękajcie się! Psy nie jedzą zieleniny. — Do gromadzących się zaś gapiów powiedział wskazując na właściciela gospody, który założywszy na piersi potężne ramiona, groźnie spozierał na niego:

— Atleci dlatego są tępi, bo zbudowani są ze świńskiego mięsa. Nie ma tu na co patrzeć. Nieciekawa walka człowieka z bykiem ani rozmowa filozofa z głupcem.

Potań z namysłem siedzenie i dodał:

— Gdy Sokrates dostał po gębie, żałował, że nie wie, kiedy nosić hełm z opuszczoną przyłbicą. Ciekawym, co by powiedział, gdyby go ktoś kopnął w tyłek? Nie ma się z czego śmiać — wykrzywił się do ryczącego zbiegowiska. — Doskonały temat do diatryby z Platonem w jego katatrybie .

Skierował się ku Akademii. Starszek Platon jednak jest filozofem. Za zasiłki, których udzielał Diogenesowi, pozwalał się obszcze kiwać bezkarnie. Diogenes przypominał mu nieodżałowanego mistrza, Sokratesa. Jak on, żył byle ochłapem i nie zwykł lizać ręki, która go rzucała. Platon zaś nie mógł zaprzeczyć, że jego sympatia dla tyranii i monarchii, choć szczerą, wygodną była i korzystną, co mu nieraz z drwinami wyrzucał Diogenes. Teraz jednak trudno było zamknąć oczy na niebezpieczeństwo dla Aten, gdy Filip usadowił się w Tesalii.

## ROZDZIAŁ IV

Związki, jakie w Tesalii nawiązał Filip, były bardzo wszechstronne, a z jednego z nich, z heterą Filinną, urodził mu się syn Arridajos.

Olimpias jeszcze zajmowała trochę miejsca w życiu Filipa; spłodził z nią córkę Kleopatrę. Ale królowa dawna miała świadomość, że Filip lekce sobie waży wymuszoną na nim przysięgę. Jej miłość do małżonka przytłumiła dumę, jak ziemia ognisko. Olimpias zawrzała na myśl, że jest dla niego tylko jedną z takich, jakie ma w każdym mieście, w którym chwilowo przebywa. Znając go już wiedziała, że nie pomogą skargi ni wyrzuty, ale pewna się czuła jako matka jedyne syna królewskiego — przedmiotu dumy i miłości Filipa — przez którego wpływ swój i władzę utrzymać się spodziewała. Jeżeli wśród rozlicznych zajęć Filip zaszedł kiedy w ciągu dnia do niewieścich budynków, to tylko dlatego, by patrzeć z zachwytem, jak chłopak rozwija się i rośnie. To była jeszcze jej siła wobec Filipa, na której budowała, i w niej poczuła się zagrożona, na wieść o przyjściu na świat naturalnego syna. Filip zaszedł do niej, jakby się nic nie stało, prosto z przeglądu wojsk, które znowu gdzieś ciągnąć miały, przybrany jeszcze w pozłocistą zbroję i hełm z podwójną kitą z końskiego włosia. Nie zwrócił uwagi na małżonkę i nie zauważył w jej fiołkowych oczach twardego wyrazu, jakiego nie bywało w nich przedtem.

Wziął na kolana chłopczyka, który z radością wybiegł na spotkanie ojca, a teraz wyciągnął ręce do świecącego hełmu. Filip z uśmiechem dał go synowi, patrząc, jak malec z wysiłkiem włożył ciężkie nakrycie na swe złote loki i zszedłszy z ojcowych kolan, przechadzał się z powagą, zataczając się od ciężaru.

— Popatrz! Wygląda w nim jak Pallas Atenę. Piękny, ale do dziewczyny podobniejszy niż do chłopca.

— Czy Arridajos podobniejszy do chłopca? — rzuciła sucho królowa.

— Nie wiem — zaśmiał się Filip — jeszcze go nie widziałem.

— Tedy pewnie znowu pociągniesz do Larysy. Filinna musi czekać na ciebie.

— Niejedna na mnie czeka — odparł Filip lekko, choć wyczuł gniew w słowach Olimpiady. — Twój królowie z Homera też nie zwykli sypiać sami. Gdyby nie to, nie byłoby „Iliady”. Ale przecie nie możesz się zalić, bym nie był *taleros parakoitis* ?

Chciał ją objąć ramieniem, ale odrzuciła jego rękę, mówiąc twardo:

— Nie byłoby i Orestei. Jam nie Penelopa i bacz, że nie Telemacha możesz zastać w domu, gdy kiedyś do niego powrócisz.

Filip zrozumiał pogrózkę i zmarszczył ciemną brew pod gładkim czołem. Nie zwykł jednak okazywać gniewu i odparł:

— Telemach był niedołągą. Myślę, że mój syn nie będzie taki, choć jak Tetis Achillea na dziewczynę go hodujesz, tyle że miast nektarem karmisz go poezją. Ale on i dziś już do broni rączki wyciąga.

Wstał i zaśmiał się sarkastycznie, mówiąc słowami Homerowego Achillea:

*Idźmy walczyć, rąk naszych wielkie dzieło wzywa.  
Niechaj na słowach droga chwila nie upływa;*

Chłopczyk stał przysłuchując się rozmowie rodziców. W przedwczesnie dojrzałych oczkach widać było głę-

bokie zamyślenie, jakby usiłował zrozumieć to, co wyczuwał. Słowa Homera, na których matka mówić go uczyła, były mu zrozumiałe. Odetchnął z ulgą i podnosząc rączkę dokończył z powagą:

*Nie odradzaj mi, matko. Twe łzy, twe zaklęcia  
Niezdolne mnie od tego cofnąć przedsięwzięcia.*

Filip porwał syna w ramiona i całując go, rzucił do Olimpiady:

— Oto masz odpowiedź i wróżbę!

Stawiając syna na ziemi i biorąc od niego hełm, po wiedział:

— Poczekaj, już niedługo. Od matki nauczyłeś się pięknych słów. Ja cię nauczę w czyny je zamieniać, gdy już hełm nie będzie dla ciebie zbyt ciężki.

Na odchodnym rzekł do małżonki z uśmiechem, jakby nic między nimi nie zaszło:

— Jutro wyruszę. Przyjdę cię jeszcze pożegnać.

Nie widział wyrazu jej oczu, gdy odwrócił się i odszedł przybrać się do biesiady, na którą sprosił wybitniejszych wodzów, by jeszcze pomówić o wyprawie.

Goście czekali dosyć długo, bo król wzięwszy kąpiel zasnął. Skracali więc sobie czas opowiadaniem o niechybnym łuczniku, jaki zjawił się w Pelli, by zaciągnąć się do wojsk Filipa. Gdyby nie to, że opowiadał o nim sam Parmenion, trudno byłoby uwierzyć w podobną sprawność człowieka. Do stu kroków trafiał, zda się, nie mierząc, w najmniejszy cel, jakby kto strzałę ręką wkładał. Usłyszawszy jednak, jakiego domaga się żołdu, wrzuszali ramionami.

Rozmowę odwrócił Antypater, który przyniósł obiegającą już pałac plotkę, że król poróżnił się z małżonką. Posypały się uwagi. Nietrudno było się domyślić, że przyczyną była wieść o urodzeniu Arridajosa. Żartowano z miłostek Filipa. Tylko Parmenion nie wziął w tej rozmowie udziału, patrząc, jak zazwyczaj, w zamyśleniu na swe potężne dłonie. Antygonos, spojrzawszy na niego spod oka, rzucił:

- Cóż się tak przyglądasz własnym ręką, jakbyś się bał, by ci ich kto nie zamienił?



— Myślę, że Filip zbyt lekko bierze te sprawy — odrzekł Parmenion budząc się z zadumy.

— Dość ma większych — wtrącił Stasanor.

— Najczęściej się człowiek o mały kamień potknie na który nie zwraca uwagi — dodał Parmenion.

— Dla Filipa niewiasty to piasek, nie kamienie — zaśmiał się Bramarbas.

Zaczął wyliczać miłości króla, opisując szczegóły urody nałożnic, dając zarazem do zrozumienia, że i on przy królu nieraz skorzystał, gdy niespodzianie wszedł Filip. Słyszał widocznie, o czym mówiono, bo drwiąco, ale bez gniewu, zwrócił się do Bramarbas:

— Chwalisz się, żeś kości po mnie ogryzał?

Towarzyszom trudów wojennych i wypoczynku pozwalają na poufałość. Toteż Bramarbas nie zmieszany odparł:

— Chwałę ciebie, że się znasz na niewiastach, niczym ja na potrawach, i wcale się nie skarżę, bo na tych kościach pozostało jeszcze po tobie trochę smacznego, białego mięsa.

Zaśmiał się i oblizał lubieżnie, ciągnąc:

— Ale na głodno nawet o miłości myśleć się nie chce, a zgłodnieliśmy czekając na ciebie.

Filip kazał wносить potrawy i wychyliwszy pierwszą czasę wina zmieszanego z wodą, zaczął pić czyste. Sprowadzał najlepsze, jakich dostarczyć mogły słynne ze swych winnic Chios, Lesbos, Tasos, Rcdos i Knidos. W winie również lubił odmianę. Patrząc na zajadającego chciwie Bramarbas, odezwał się:

— Zresz jak Beota.

— Jem jak Tesalczyk. Dobrze i dużo. Nie ma lepszej kuchni niż w Tesalii. Dobrze, żeś zawarł z nią przymierze. Wielce cię tam cenią za to, że umiesz ucztować.

— I konie tam najlepsze — dorzucił Attalos.

— Bramarbas na koniach się nie zna — wtrącił zjadliwie Antypater.

Nie lubił Bramarbas, który wśród wodzów, pochodzących ze starych rodzin rycerskich i książęcych, był jedynym człowiekiem nowym.

Pochodził z demiurgów i służbę zaczął jako prosty cieśla, a wyniesienie swe na jedno z pierwszych w woj-

sku stanowisk zawdzięczał tylko niebywałej pomysłowości w budowie i ulepszaniu machin wojennych. Lubił zresztą swoją pracę, ale nie mniej lubił jej owoce; nędzną młodość, karmioną grochem i soczewicą, nagradzał sobie przebieraniem w najbardziej wyszukanych potrawach.

Był dla Filipa niezastąpiony. Wiedział o tym i dla tego odparł lekceważąco:

— Starczy królowi, że znam się na machinach, a mnie, że na żarciu. Ty zaś nie znasz się na niczym.

Mylił się. Antypater był Filipowi niezbędny. W kraju i wojsku zażywał wielkiej powagi, a nie wahał się wykonać żadnego rozkazu, przed którym kto inny by się wzdrynął. Urodziwy, choć w sile już wieku, starannie i wytwornie przybrany, robił wrażenie estety — nie wojownika, gładki i zwinny jak łasica, jak ona okrutny i bezwzględny. Bramarbas nieostrożny był zadzierając z tym człowiekiem.

O tym widocznie pomyśleli i zebrani wodzowie, bo umilkli. Milczenie przerwał Filip zaczynając o wyprawie na Metonę, jak zwykle przed wojną rozdzielając funkcje między dowódców i omawiając szczegóły. Gdy Parmenion wspomniał o niechybnym łuczniku, Filip zaczął wypytywać z zaciekawieniem. Dowiedziawszy się jednak, że zażądał talentu złota miesięcznie, zaśmiał się:

— Tyle nie bierze nawet Bramarbas. Dobrych łuczników dostanę po dwadzieścia drachm . Jemu możesz ofiarować minę srebra, niech idzie, gdzie mu lepiej wpłaca.

Wstając wziął lampkę oliwną i rzekł:

— Uczujcie sobie, byle ,nie do rana. Ja idę jeszcze pożegnać małżonkę.

— Nie wiem, czy będzie cię żegnała jak Andromacha Hektora. Musiała już słyszeć o Arridajosie i pewnie gniewna o to, że siejesz po całym świecie — rzucił Antypater.

- Mam taki sposób, że każdą przebłagam — zaśmiał się Filip i wyszedł.

Wodzowie siedzieli jeszcze, rozmawiając, gdy król nieoczekiwanie wrócił. Twarz miał bladą i wzburzoną

był widocznie, gdyż wziął się do picia. Bramarbas odezwał się krótko:

— Nie trap się, królu. Nawet moje maszyny zawiodą, gdy ich zbyt często używać...

Urwał, bo Filip spojrzął na niego przekrwionymi oczyma i zmroził swym groźnym wzrokiem. Obecni myśleli, że wbrew zwyczajowi wybuchnie gniewem. Ale powiedział tylko bełkotliwie:

— Spać idźcie!

Cisza gwiazdnej nocy dopiero wyparła dzienny gwar w Metonie, gdy zadudniło coś przy furcie północnej bramy. Strażnik z muru spojrzął w dół i zauważywszy cień stojącego przed bramą człowieka, odezwał się obojętnie:

— Spóźniłeś się.

— Spieszno mi, otwieraj.

— Nie będziesz dziś spał w mieście. Odstąp.

— Nikt nie będzie dziś spał w mieście. Filip tu ciągnie z wojskiem.

— Poczekaj!

Zaniepokojony wartownik pobiegł do dowódcy straży i naradzali się, co począć. Bez zezwolenia archonta, mającego nadzór nad bramami, nie wolno było nikogo wpuszczać w nocy do miasta. Dlatego obcy długo czekał klnąc, zanim zaskrzybiała furta i posłyszał starczy głos:

— Wejdz!

Archont Hajrefon przy świetle pochodni przyjrzał się przybyszowi podejrzliwie, zanim go zagadnął:

— Skąd masz wiadomość, którą niepokoisz nas po nocy i płoszysz Hypnosa ?

— Dziś rankiem sam widziałem wojska w Pelli, gotowe do wyjścia.

— Co robiłeś w Pelli?

Głos archonta wyraźnie zdradzał nieufność.

Obcy zniecierpliwił się. Rzucił szorstko:

— Dlatego Filip zawsze zwycięża, bo działa, gdy inni gadają. Postójmy tu jeszcze, to może się go doczekamy

— Przysiężesz na Zeusa, żeś prawdę rzekł? — zapytał archont.

— Na kogo chcesz. Nie zdzieralbym nóg po nocy, gdybym nie niósł wieści, o której prawdziwości sami się bez przysięgi przekonacie. Jenó, że może być za późno.

— Tedy pójdź do Prytaneion . Trzeba Radę zwołać.

— Trzeba zaradzić, a nie radzić. Kaź budzić wszystkich zdatnych do broni mężów.

— To rzecz stratega, a nie moja ani twoja.

Archont ruszył poprzedzany przez pacholków z pochodniami. Obcy, westchnąwszy, poszedł za nim. Wołałby jednak przyjść tu z Filipem. Metona była bogata. Jeśli ją Filip weźmie, obłowi się łupem. Zgrzytnął zębami: król wyśmiał go i znieważył. Jeśli cienie w Erebie zachowują pamięć, Filip wkrótce przekona się, że talent złota to aż nazbyt niska cena za sztukę Asterosa.

Mimo, że strateg spał jeszcze, sama Trwoga budzić jąła ludzi w mieście. Wieść ze straży rozeszła się lotem i na rynku gromadzić się zaczął tłum, niespokojny i milczący, w oczekiwaniu na to, co uradzą w ratuszu. Natomiast na potwierdzenie przyniesionej przestrogi niedługo trzeba było czekać. Od przystani nadbiegł człowiek z wieścią, że na zatoce widać zarysy zbliżających się statków, ani chybi floty Filipa. Zamykał miasto naprzód od morza, którejdy jedynie mogła nadejść pomoc.

Jednakże barka z posłańcem do Aten, wiozącym wiadomość i prośbę o odsiecz, zdołała jeszcze przemknąć się szczęśliwie. Ale wcześniej od niej było tam już złoto Filipa. Partia rozważi dołożyła starań, by obrady nad wysłaniem Metonie posiłków przeciągały się tak długo, aż posiłki staną się zbędne. Pierwszy świt zaczynał dopiero różowić pogodne niebo i siać błyski na falach zatoki, gdy od dochodzących niemal pod miasto pogórzy pasma Olimpu załśniły blaski na zbrojach i broni, z północy zaś, od równiny u ujścia Haliakmonu, zbliżający się szybko tuman kurzu zwiastował nadejście jazdy.

Ciemno było jeszcze, gdy już cała niemal ludność

wyległa na mury. Teraz rozległ się płacz niewiast i dzieci oraz krzyki starszyny, zganiającej niepotrzebnych z obwarowań, by nie przeszkadzali przygotowaniom do obrony. Asteros patrzył spod zmarszczonych brwi na panujący zamęt i nieład. Zaraz jednak rozpoznał się. Pięć talentów złota otrzymał za przyniesioną wiadomość, dwadzieścia ma otrzymać, gdy sprzątnie Filipa. U niego musiałby za to służyć przez dwa lata. Co więcej, czeka go sława, może posąg na Akropolu, taki, jakie mieli zabójcy tyrana, Harmodios i Aristogejton. Karne i wyćwiczone wojska Filipa górowały nad obroną składającą się z kupców, rzemieślników i żeglarzy. Ale gdy Filip legnie, pójdą w rozsypkę. Asteros będzie wybawcą całej Hellady od zagrażającej tyranii macedońskiego króla.

Mimo tych myśli Asteros z pewnym niepokojem patrzył na rozwój spraw. Teraz dopiero zwłóczono na mury kotły i paliwo, celem rozprażenia piasku do zasypywania wdzierających się na mury. Pachołkowie dźwigali tramy i głązy na pociski do machin, których liny dopiero mokły w kadziach. Inni znosili naręcza bosaków do spychania drabin oraz tyki z umocowanymi sierpami do cięcia lin szturmujących taranów.

Nikt jednak nie przypuszczał, by uderzenie mogło nastąpić wcześniej niż nazajutrz. Wojska Filipa muszą przecież wypocząć i przygotować się. Tymczasem można spróbować układów. Wiadomo było, że Filip woli je niż walkę. Można go zwodzić przez kilku dni udaną powolnością, tymczasem zaś doczekają pomocy z Aten, jaką miasto ojczyste winno związkowemu.

Nadzieje i przypuszczenia, żywione w mieście, zdały się zrazu potwierdzać. Spośród okalających je namiotów macedońskich podniosły się dymy. Widocznie gotowano posiłek zdrożonym, przed udaniem, się na spoczynek po nocy spędzonej w drodze. Jednak gdy weszło słońce, rozległ się przed zachodnią bramą dźwięk spiżu, oznajmiający przybycie poselstwa Filipa. Strateg Antygonos w jego imieniu wezwał kogoś ze starszyny na rozmowę.

Mur po obu stronach zaczernił się od głów. Wszyscy czekali na przybycie Rady, zaciekawieni, co powie wy-

ślaniec. Gdy zjawiła się starszyzna, Antygonos, nie zsiadając z konia, rzekł donośnie:

— Król Macedonów śle wam pozdrowienie. Jeżeli otworzycie bramy jego załodze, wydacie broń i zaprzysiężecie posłuszeństwo, wzajem poręcza i gotów zaprzysiężyć bezpieczeństwo życia i mienia mieszkańców.

Na murach rozległy się szmery. Wielu chętnie przyjąłoby warunki Filipa, byle móc zaraz wrócić do swych sklepów i pracowni. Starszyzna jednak, postanowiwszy przewlekać układy, odpowiedziała, że musi się naradzić.

— Poczekam, póki słońce nie rzuci cienia krótszego niż człowiek — odparł Antygonos i zsiadłszy z konia, którego oddał trębaczowi, na pozór obojętnie przechadzał się wzdłuż murów. Nie zwracano na niego uwagi, wszyscy bowiem zajęci byli obserwowaniem wojsk Filipa. Na przedpolu wyszły oddziały mechanopojów, które szybko i sprawnie czyniły przygotowania, jakby uderzenie miało zaraz nastąpić. Składali maszyny oblężnicze, ustawiali beczki, zbijali daszki do ochrony taranów, znosili pęki drabin, kopali ziemne osłony i ryli rowy. Uspokajano się tym, że Filip chce widocznie wywrzeć nacisk na starszyznę i wymóc powolność dla swych żądań. Toteż oblężeni nie przyspieszali przygotowań, czekając na wynik poselstwa. Antygonos wrócił pod bramę i dosiadłszy konia, również czekał na odpowiedź. Niedługo. Odpowiedziano mu, że miasto jest związkowe i nie może samo powziąć postanowienia. Natychmiast wysłał poselstwo i w ciągu kilku dni zaawiadomił o wyniku.

Antygonos nie odezwał się ni słowem. Zawrócił konia i odjechał. Mury zaczęły się opróżniać. Zbliżało się południe i większość ludności i załogi udała się do domów na posiłek.

Czekać musieli, bo niepokój i zamęt w mieście nie oszczędziły także gospodarstw domowych. Niewiasty biegały jedna po drugiej, co chwilę wysyłając którąś do bram po wiadomości, zamiast dbać o pożywienie. Zanim posiłek był gotowy, niejedna wysłuchać musiała, że troszczy się o sprawy, które nie do niewiast należą.

Spory i utyskiwania przerwała wrzawa dolatująca od

murów, nie pozostawiając wątpliwości, że Filip uderzył. Kto żył, porywał broń i pędził z krzykiem, niewiasty podniosły lament i hałas powstał taki, że słowa rozkazów słyhać nie było. Nikt nie pamiętał, gdzie jego miejsce, pchali się i potracali wzajemnie, gdy tymczasem ze szczupłych oddziałów wojsk macedońskich każdy żołnierz zdał się dokładnie znać swe zadanie. W odległości około trzech stadionów stały maszyny Bramar-basa: oksiboloi, miotające belki, petroboloi do wyrzucania głazów; te tłukły w regularnych odstępach mury. Organa o wielkiej sile wyrzutu płaskim torem były ołowianymi kulami w bramy, które teraz dopiero zasy-pywano gruzem i kamieniami. Palintona wielkim łukiem miotały olbrzymie kamienie, które, lecąc z groźnym furkotem, padały na miasto, siejąc popłoch i wzma-gając zamieszanie.

Zatroskany strateg Hermolaos stał na wieży przy zachodniej bramie i usiłował wprowadzić ład. Filip jednak czekał widocznie, aż maszyny zrobią wyłom lub wybiją bramy, i oszczędzał swych wojsk, nie pchając ich na mury.

Sama walka zaczęła narzucać pewien porządek w obronie. Maszyny stanęły wreszcie w gotowości, znacznie mniej jednak donośne od Filipowych, czekały aż peltaści — lekka piechota, składająca się z wolnych Macedończyków, która pod osłoną daszków podciągała pęki drabin, podsunie się na odległość strzału. Afraktoi, jazda bez pancerzy, używana zazwyczaj do wywiadu i pościgu, ustawiona w kliny z ilarchami na czele, stała w gotowości, konie trzymając przy pyskach, czekając na wybicie bram. Agriańscy łucznicy posuwali się z piechotą, widocznie, by osłaniać ją pociskami, gdy rzuci się na mury do walki wręcz, do której jednak nigdzie dotychczas nie doszło, a latające z obu stron strzały niezbyt były celne i skuteczne.

Asteros stał obok Hermolaosa i również przyglądał się bitwie. Żołnierz z urodzenia i rzemiosła uprzytomnił sobie przewagę Filipa, mimo że obrońcy wielokrotnie przynosili liczbą nacierające wojska. Po stronie macedońskiej widać było, że działaniem kieruje jedna głowa; wydawane sygnałami trąb rozkazy wykonywano

sprawnie i bezzwłocznie. Na tę jedną głowę polował Asteros, zdając już sobie sprawę z tego, że strzała, przeznaczona dla Filipa, ocalić ma nie tylko Metonę, ale i jego, Asterosa.

Tymczasem wąż macedońskich wojsk dookoła miasta zacieśniał swe pierścienie. Piechota, choć posuwająca się z wolna, równo z toczonymi pod bramy taranami, była już tylko o jeden stadion. Strzały, aczkolwiek rzadkie, stały się skuteczniejsze. Hermolaos zwrócił się do Asterosa:

— Czemuż stoisz bezczynnie? Zapłacimy ci za Filipa, ale przecież faretę masz pełną strzał. Starczy dla niego, starczy i dla innych.

— Dla króla starczy ta jedna strzała — odparł łucz-  
nik wyjmując ją z kołczanu i okazując wodzowi. Na  
bełcie z białego pióra widniał napis czarnymi literami:  
„W prawe oko króla Filipa”.

— Czyś nie nadto pewny siebie. Traf go jeno.

— Byle jak trafić — umie byle kto. Ja mam strzały  
wypróbowane i nie zwykłem ich marnować. Nie strze-  
lam nigdy na darmo ani... za darmo.

— Chciwyś! Ale mógłbyś choć pokazać swoją sztuką.  
Z własnej kiesy dam ci minę srebra, jeśli trafisz tego -  
strateg pokazał żołnierza, biegnącego widocznie z roz-  
kazem od namiotów ku walczącym.

— Gdzie mam go trafić?

— Traf jeno — rzekł Hermolaos niecierpliwie.

Odległość była duża, a goniec biegł szybko, nieco  
w lewo.

Asteros zdjął z pleców łuk z bawolich rogów. Zda  
się, bez wysiłku naprowadził cięciwę, choć na żyłastych  
ramionach jego wyskoczyły mięśnie jak sęki. Potem  
założył strzałę i powiedział:

— Tedy w lewe oko.

Dociągnął cięciwę do brody, aż dotknęła nosa, i przez  
ułamek chwili stał jak posąg z brązu. Zadzźwięczała  
i choć żadne oko nie zdołałoby uchwycić lotu strzały,  
patrzył za nią. Goniec podrzucił ręce, zakręcił się i padł.  
W oku jego tkwiła strzała.

Hermolaosowi głos dygotał, gdy mówił:

— Teraz wierzę, że ubijesz Filipa. I słusznie czynisz



nie zważając na innych. Kto poluje na lwa, nie powinien bawić się drobną zwierzyną. Pilnuj go tedy.

Dostrzec króla nie było trudno ni poznać, bo znaczny był z dala świetną zbroją i podwójną purpurową kitą na hełmie. Otoczony przez ośmiu olbrzymich somatofilaków — straż osobistą, w towarzystwie wodzów zjawiał się raz tu, raz tam, widocznie bacząc na bitwę i wydając rozkazy. Koło jego namiotu, większego od innych, stał w pogotowiu hufiec królewski — ile b a s i l i k e, złożony z najtęższych, ciężkozbrojnych hetajrów, wybór rycerstwa macedońskiego. Kręcili się koło niego „chłopcy królewscy”, synowie najprzedniejszych rodzin, których od pacholących lat zaprawiano do widoku walki i krwi. To byli przyszli wodzowie, którzy nim osiągną wiek sprawny, nabędą już doświadczenia w nowych i zawitych sposobach walki, jakie wprowadzał Filip. W marszu towarzyszyli królowi konno, w bitwie nie brali bezpośredniego udziału, używani do noszenia rozkazów i innych posług wojennych przy królu.

Filip jednak nie zwykł narażać się bez potrzeby. Mawiał, że waleczność jest cnotą żołnierza, ale nie wystarczy wodzowi. Umiał w razie potrzeby stawiać swoje życie, gdy wymagała konieczność, ale w tym chluby nie szukał. Dlatego Asteros na próżno krążył po murach, żywiąc nadzieję, że gdy wojska przystąpią do ogólnego uderzenia, król podsunie się na tyle, by mu wykonanie zamierzenia umożliwić. Dotychczas ni razu Filip nie zbliżył się na zasięg pocisku, mimo że w kilku miejscach, gdzie szczyrby powstały w murach, obrońcy odpierać musieli uderzenia pojedynczych oddziałów. Potem słońce poczerwieniało i pochyliło się nad pagórki, a znużeni i głodni obrońcy z westchnieniem ulgi patrzyli, jak tarcza jego dotknęła widnokregu, krańca swej wędrówki. Od Homerowych czasów walka zawsze kończyła się z dniem. Nawet barbarzyńcy nie zwykli walczyć w nocy, którą bogowie dali dla wypoczynku.

Jakoż zdało się, że walka zamiera. Macedońskie oddziały cofały się ku namiotom, pozostawiając na przedpolu sprzęt i trupy towarzyszy. Zapewne wkrótce he-

rold poprosi o rozejm, by pozbierać zwłoki i uczcić wedle obyczaju pogrzebem.

Okazało się jednak, że słusznie Filipa przezywano dzikusiem: nie zamierzał uszanować spokoju zapadającej nocy. Gdy słońce ostatnim błyskiem zapadło na siniejące w dali wzgórza, z obozu Filipa wystąpiły nowe oddziały wojsk i biegiem puściły się ku pustoszącym już murem. Metońska starszyzna krzykiem zaczęła zganiać z powrotem ludzi, którzy zbierali się do domów na posiłek i wypoczynek. W jednym miejscu Macedończycy niemal bez przeszkody wdarli się na mur i Hermolaos zaledwo zdołał opanować popłoch. Odrzucono ich przewagą liczby, ale rozpętana na nowo wrzawa przez całą noc płoszyła sen z oczu niespokojnych mieszkańców. Zwolenników poddania miasta przybyło do rana. Wschodząca jutrzienka oświetliła twarze szare ze znużenia i bezsenności, ale i ona nie przyniosła spokoju. Przy jej blaskach świeże oddziały macedońskie złuzowały walczących, gdy obrońcom ze zmęczenia opadały ręce, a poczerwieniałe oczy kleiły sen.

Hermolaos pomiarkował, choć późno, że Filip walkę zamierza prowadzić bez przerwy. Mimo że na murach gotowało się od wrzasków i szczęku broni przy odpieraniu coraz silniejszych uderzeń, połowę ludzi zwolnił na wypoczynek. Pozostali muszą wytrzymać do wieczora, a dzień zapowiadał się krytyczny.

Dlatego strateg puścił się ku zachodniej bramie, gdzie na wysokiej wieży obrał sobie Asteros miejsce, skąd najłatwiej było śledzić poruszenia Filipa. Brama przy wieży stanowiła już tylko kupę drzazg zmieszanych z gruzem i w tym miejscu można się było spodziewać stanowczego uderzenia. Jakoż silny czworobok hoplitów wyszedł z obozu i mając na skrzydłach procarzy i łuczników, podsuwał się ku bramie, na którą lunęła ulewa ołowianych kul i strzał. Za czworobokiem widać było Filipa w otoczeniu starszyzny, jak ręką pokazywał coś na murach.

Asteros stał z twarzą ponurą i patrzył na króla. Hermolaos doskoczył do niego i przekrzykując gwar, zawołał:

— Strzelaj, bo może być za późno!

— Mam dla Filipa tylko jedną strzałę, której mi zmarnować nie wolno. Jeszcze poczekam !

— Aż zdobędzie miasto! — krzyknął strateg z rozpaczą.

Obawa stratega zdała się być uzasadnioną, w tej chwili bowiem hoplici, wydawszy okrzyk na cześć Enyaliosa, boga wrzawy bojowej, biegiem puścili się ku bramie, przy której rozpętała się walka.

Hermolaos zbiegł z wieży, by zażgrać obrońców i ściągnąć posiłki, Asteros natomiast nawet nie spojrzał na kłębiących się pod nim ludzi. Jego bystre oczy spod zmarszczonych w skupieniu brwi utkwione były w postaci króla i przesuwały się wraz z nim. Filip skierował się ku północy, zbliżał się jednak. Łucznik, nie odrywając od niego wzroku, jakby z obawy, by go nie stracić z oczu, zdjął łuk, nie patrząc naprowadził cięciwę, założył strzałę i czekał.

Król zatrzymał się nie zważając na latające pociski, którymi usiłowano dosięgnąć go z miasta. Odległość była jeszcze znaczna i groty z rzadka i nieszkodliwie dzwoniły po pancierzach.

Kto tylko z obrońców nie był zajęty bezpośrednią walką, patrzył z niepokojem na Filipa. Z gromadki, w której stał, coraz to oddalał się ktoś szybko, widocznie niosąc rozkazy do ogólnego natarcia, z obozu bowiem występowały nowe oddziały wojsk macedońskich. Południowy skwar wysysał resztki sił z obrońców. Hermolaos pchnął gońców po zwolnionych ludzi, by natychmiast biegli ku murom, a gdy z najwyższym wysiłkiem i krwawymi stratami odparto hoplitów spod bramy, skoczył pędem na wieżę, klnąc Asterosa, którego zaczynał podejrzewać, że lękając się w razie zdobycia miasta wpaść w ręce Macedończyków, nie chce wykonać zobowiązania. Nim dobiegł, jeden ogromny krzyk rozległ się na murach i urwał się nagle, od strony macedońskiej natomiast doszły wódza, zmieszane odgłosy.

Hermolaos stanął i spojrzał; gromada, w której stał przed chwilą Filip, kłębiła się w popłochu. Króla nie było widać.

Leżał na ziemi otoczony swymi ludźmi, którzy po-

chylali się nad nim, strwożeni i bezradni. W prawym oku króla tkwiła strzała, która przebiegła w skos od góry, przebiła powiekę i utkwiła w nasadzie nosa. Twarz króla była trupio biała, usta miał sine i zaciśnięte, zdrowe oko zamknięte. Niektórzy w pierwszym zaskoczeniu myśleli, że nie żyje. Ale rana nie była śmiertelna. Na swoje szczęście Filip w ostatniej chwili odwrócił się, by odejść, i dzięki temu strzała nie dotarła do mózgu.

Nie czas jednak było rozmyślać, gdyż nagle jeden ze straży przybocznej, pochylając się nad królem, zwałił się na niego, ze strzałą w karku, tuż poniżej okapu hełmu. Antygonos krzyknął:

— Brać króla i uchodzić!

Sam puścił się biegiem ku obozowi. Inni porwali Filipa i nieśli go szybko ku namiotom. Wieść o rzekomej śmierci króla wichrem obleciała mury. Obrońcy wrzeszczeli jak pijani z uniesienia. Macedońskie wojska zachwiały się wszędzie, natarcie załamało się, wrzawa bojowa, która bez przerwy już drugi dzień przewalała się nad miastem, ustąpiła radosnym okrzykiem, jak gdyby niebezpieczeństwo minęło. Asterosa niesiono na tarczach jak zwycięzcę, niewiasty pokazywały go dzieciom jako wybawcę i mianem „soter” powitano go w urzędzie prytanów. Wśród powszechnego zapału wręczono mu prócz nagrody złoty wieniec i uchwalono wzniesienie posągu na rynku, bogini Tyche zaś, która opiekowała się miastem, złożono ofiarę stu wołów w podzięcie za ocalenie, o którym już nikt nie wątpił.

Filip leżał tymczasem w swoim namiocie. Dokoła niego tłoczyła się starszyzna, czekając z niepokojem na wiadomości. U króla był już lekarz, Ajetes Akarnańczyk. Stał nad nim bezradnie, wahając się, co począć. Król widocznie musiał być przytomny, gdyż rzekł chrapliwie przez zaciśnięte zęby:

— Wyjmij strzałę.

Gdy Ajetes wahał się jeszcze, Filip gwałtownie, chwycił za drzewce i wyszarpnął pocisk. Potok krwi lunął z oka, ale ranny odetchnął z ulgą. Lekarz rzucił się teraz do tamowania krwi, a Antygonos ze zdumie-

niem oglądał pocisk. Gdy król opatrzony legł spokojnie, powiedział do niego:

— Jest na strzale napis „W prawe oko króla Filipa”. To bez wątpienia sprawa tego łucznika, któremuś namięcia odmówił.

Król nic nie odrzekł. Po chwili zapytał szeptem:

— Dlaczego nie słyszę walki?

— Odstąpiliśmy, bo w wojsku wieść poszła, żeś poległ.

— Natychmiast zacząć całą siłą. Miasto musi być wzięte.

— Będzie, jak każesz. A jeśli dostaniemy tego Asterosa?

Filip milczał przez chwilę, jakby nie dosłyszał pytania. Twarz miał ściągniętą bólem. Potem odparł cicho:

— Muszę go mieć. Zapłacę, ile żąda.

Rozrzutny Filip tylko raz pożałował złota i zapłacił za to własną krwią. W Pelli natomiast krążyła plotka, podawana szeptem z ust do ust, że król stracił oko, ponieważ podglądał boga w talamie swej małżonki. Inni mówili, że zastał go w postaci węża w jej łóżu. Podawano nawet w wątpliwość, czy Aleksander jest synem Filipa, czy boga. Wspominano, że Olimpias, jeszcze jako dziewczyna, w dionizyjskim pochodzie niosła węża i już wówczas uważano ją za czarownicę. Teraz jej zemście przypisywano zranienie króla. Jedno było pewne, że król przestał odwiedzać sypialnię swej żony, a Chajrosa z Megapolis wysłał do Delf z zapytaniem, co ma myśleć o plotkach. Odpowiedź była tajemnicza: „Zeusa-Amona winien czcić ponad wszystkich bogów”.

Natomiast przywiązanie, jakie okazywał synowi, zdało się przeczyć plotkom o pochodzeniu Aleksandra. O wzajemną jednak miłość syna rozgorzała między rodzicami cicha, ale zawzięta, przez lata trwająca walka, najdonioślejsza ze wszystkich, jakie stoczył Filip. Ale zajęty innymi, król nie przywiązywał do niej należytej wagi.

## ROZDZIAŁ V

Wieść o zranieniu Filipa spadła na Ateny jak deszcz na spieczoną ziemię. Zasilane macedońskim złotem potężne stronnictwo rozwagi przycichło, wzrastające wojenne nabrało głębszego oddechu, najgłębiej jednak odetchnęli wnukowie bohaterów spod Maratonu i Salaminy, stojący w pogotowiu pod bronią, by lada dzień wyruszyć z pomocą związkowemu miastu. Z ulgą rozeszli się do domów, a jednocześnie rozpuszczono najemników, których utrzymanie nieznośnie obciążało skarb. Za oszczędzone pieniądze można przygotować uroczystości i procesje dziękczynne. Los troszczył się lepiej o Ateńczyków niż oni sami. Nikt nie przypuszczał, by okaleczeni Filip nadal prowadził walkę.

Zbyt późno spostrzeżono omyłkę. Znowu zaczęły się narady. Wysłana wreszcie odsiecz wróciła przynosząc wiadomość o upadku Metony i strasznej doli jej mieszkańców. Powracająca flota ateńska zawinęła o świcie do portu Pireus, ale jeszcze nie zapadł zmrok, gdy wieść rozlała się po całej Attyce, wywołując złorzeczenia i obelgi przeciw Filipowi, a zarazem przygnębienie. Wojna, rozpoczęta dla ukarania Filipa, nie chciała się skończyć zwycięstwem bez ofiar. Domagała się nie tylko pieniędzy, ale nawet krwi. Filip nie żałował ni jednych, ni drugiej.

Gdy minął pierwszy zamęt wzajemnych wyrzutów

i zarzutów, archont-basileus zwołał lud. Teatr, w którym się zazwyczaj odbywały zgromadzenia, gdy brali w nich udział tylko najbogatsi obywatele, nie zdołałby pomieścić tłumów, jakie ściągnęły ze wszystkich stron Attyki, niespokojne i poruszone. Gromadziły się na Pnyksie, gdzie z wykutej w skale mównicy głos miał zabrać Demostenes, od niedawna podpora stronnictwa wojennego. Wielu nie słyszało go jeszcze i tych ciągnęła ciekawość: mowa, jaką w ubiegłym roku wygłosił spoliczkowany przez Midiasa w teatrze mówca — istny pożar wściekłości i zemsty — głośna była ze swej zjadliwości.

Idealiści z Likurgiem na czele mieli nadzieję, że młody mówca zmiądzzy Filipa swą wymową, a wraz z nim Eubulosa i jego stronnictwo, które zapomniawszy o wielkiej przeszłości, prowadziło politykę z dnia na dzień, byle upływał w spokoju i dostatku. Wojna ze sprzymierzeńcami wytworzyła dokoła Aten przerażającą pustkę. Hellada nie chciała już płacić Atenom haraczu za swą wolność, gdy taką samą mogła mieć z dopłatą od Filipa. Co gorzej, wszelkie wstrząsy sięgały aż do podziemi kopalń, gdzie w nieludzkim trudzie, bez światła i powietrza, rzesze niewolników niczym krety ryły skaliste zbocza przylądka Sunion. Od wojen peloponeskich nie brakło między nimi i Hellenów, ale mówić o tym uchodziło za nieprzyzwoitość. Srebro jest potrzebne, a wolny obywatel nie będzie go wydobywał sam. I teraz głośno wyrażano współczucie dla ofiar Filipa, a po cichu ten i ów starał się dowiedzieć, gdzie będą do nabycia więci w Metonie niewolnicy. Przeciągająca się wojna groziła nowymi podatkami, na które trzeba pieniędzy, by — jak właśnie mówił Demostenes — „toczyła się nie tylko na uchwały i listy, ale i na czyny”.

Wbrew oczekiwaniu mówił jednak spokojnie, rzeczowo, a nawet powściągliwie, zakończył zaś trwożliwym życzeniem: jak słuchanie dobrych rad będzie z korzyścią dla Ateńczyków, tak chciałby być pewny, że i dawanie ich wyjdzie na korzyść dobremu doradcy.

Przekonał, ale nie porwał. Wnioski i środki utrzymania stałego pogotowia uchwalono i tłum odpływać

zaczął do własnych spraw, rozczarowany i zniechęcony. Ateński mieszczuch nawykł już do tego, że państwo jest po to, by płacić, a nie brać. Pod prąd odpływającej fali pchała się gromada ulicznych wyrostków, wśród których szedł człowiek w podartej chłajnie z koziej wełny, przekomarzając się z ulicznikami, wspiał się na mównicę i nawoływać zaczął, by wysłuchali jego rad, których udzieli bezpłatnie, nie oczekując w zamian żadnych korzyści. Wzruszano objętnie ramionami. Ci, którzy znali ulicznego filozofa, wiedzieli, że zwykł drwić ze swych słuchaczy, inni nie byli ciekawi tego, co powie człowiek w odzieży niewolnika. Zresztą spieszo im było do zamkniętych od rana kramów i pracowni. Gdy jednak Diogenes zaczął naprzód szczekać jak pies doskakujący do łydek, a potem ćwierkać jak ptaszek, wywołując wybuchy śmiechu wyrostków, ten i ów zatrzymał się oczekując jakiejś uciesznej krotchwili.

Widząc, że zwrócił na siebie uwagę, Diogenes rozpoczął:

— Na poważną mowę szkoda wam czasu, ale błazeństwo i głupstwo zawsze zdoła was przywabić. Potem zaś macie mi za złe, że mówię do was, jak do tych oto chłystków, którzy tę mają wyższość nad wami, że słuchają wszystkiego, co powiem.

Z obecnych jedni odwrócili się wzruszając ramionami, inni zaczęli wykrzykiwać.

— Wyzwoleniec!

— Nie wyzwoleniec. Niewolnik!

— Naśladujesz Sokratesa. Bacz, byś za nim nie poszedł!

— Chciałbym go naśladować. Ale że jestem obywatelem świata, nie wy będziecie moimi sędziami. Chory zaś słucha lekarza, choćby ten był niewolnikiem, tedy i wy posłuchajcie.

Zaczęli się jednak rozchodzić, a Diogenes rzucił za nimi:

— Uciekajcie i zamknijcie drzwi waszych domów. Inaczej i tam wciśnie się za wami prawda i przeszkodzi wam służyć Charybdzie waszego brzucha.

Zwracając się zaś do kilku pozostałych, zapytał:

— Dlaczego nie uciekacie wraz z nimi? Czy chce-



cie być świadkami, jak psuję młodzież, by mi wytoczyć proces?

— Chcę posłuchać mówcy, który waży się zabierać głos po Demostenesie — odezwał się ktoś.

— Lubię słuchać prawdy — rzucił inny.

— Ja zaś szczekania psa — powiedział trzeci, wywołując śmiech.

Diogenes skłonił się:

— Gdybym był Ateńczykiem, mowę rozpocząłbym od inwokacji do bogów, od których zbożne miasto zwykło wszystko zaczynać i na nich kończyć. Rękoma niewolników nastawialiście im wiele pięknych świątyń, tedy powinni być z was zadowoleni, tak jak i wy z nich, że nie żądają od was niczego, co wymagałoby trudów i wyrzeczeń.

— Zostaw bogów w spokoju, bo to śliska sprawa — rzucił ktoś pogrózkę.

— Słusznie czynisz broniąc ich. Bogowie od was czekają obrony, a wy od nich. Podobnie dzieje się, jak ze sprzymierzeńcami, o których mówił Demostenes: „wyśmiewają się z tej pomocy nieprzyjaciele, a sprzymierzeńcy są w śmiertelnym strachu”. Gdy zaś istotnie prawdą jest, że wybieracie strategów na procesję, nie na wojnę, nic w tym dziwnego, że częściej giną z wyroków sądowych niż z ręki wroga. Ale też i nie dziwcie się, że szukają własnych sprzymierzeńców, którzy by ich przed tym obronili.

— To już nam mówił Demostenes. Jeśli nie masz nic innego do powiedzenia, to nie zabieraj nam czasu.

— Demostenes wygłosił epitafium waszej wielkości, oblewając jej trupa potokiem gadaniny, z której ja, jak kluski z pomyj, wyławiam żdźbła prawdy — i namaszczył go pochlebstwami, by nie cuchnęła, czego ja nie namierzam robić.

— Nuże tedy! Nie oszczędzaj nam prawdy. Słuchamy.

— Cieszę się, że słuchacie, jakkolwiek wiem, że nie posłuchacie. Również rad jestem — zwrócił się do przerywającego — że wolisz dialog od monologu. Ja też, bo choć wam nic nie przyjdzie z tego, co powiem, to przynajmniej dowiem się czegoś. Nazywacie się demokracją, przeciwstawiając jej doskonałość tyranii i mo-

narchii. Żeby jednak zrozumieć tę różnicę, musiałbym wiedzieć, kto to dla was jest demos ?

— Każdy wie, że to lud ateński.

— A więc wszyscy, którzy zamieszkują Attykę?

— Skądże! Tylko my, pełnoprawni obywatele.

— A metojkowie i niewolnicy?

— Głupio pytasz. Gdzie widziałeś w Helladzie, by rządili obcy, a tym mniej niewolnicy?

— Nigdzie. Zastanawiam się właśnie, dlaczego tak jest.

— To chyba jasne. Obywatele mają w tym interes, by ich miastu dobrze się wiodło.

— Ich miastu, to znaczy im. Bo chyba nie murom i budynkom?

— Oczywiście.

— A gdyby niewolników zrobić obywatelami, mieliby także w tym interes?

— Czy to jest rada, której zamierzałeś udzielić — Obywatel był wzburzony. — Mamy dziesiątki tysięcy niewolników. Czy po to kupujemy ich, żeby nami rządili? Zresztą nasi własni chłopci nie przybywają na zgromadzenia, bo nie znają się na wojnie ani na polityce, a cóż mówić o barbarzyńcach! I gdzie byś odbył takie zgromadzenie?

— To prawda — przyznał Diogenes. — Natomiast nie potrzebowalibyśmy szukać poza Attyką sprzymierzeńców przeciw Filipowi. Bo chyba jasne, że metojkowie, a zwłaszcza niewolnicy nie dbają o wasz interes, skoro wy o nich nie dbacie.

— Rządzimy sprawiedliwie i mądrze, dlatego winni dbać o nasz interes.

— Zdaje mi się, że jesteś zwolennikiem tezy Trazymacha, iż sprawiedliwość to interes silniejszego.

— Chyba tak — przyznał obywatel.

Mądrość zaś polega na umiejętności jego zabezpieczenia?

— Słusznie.

— Musicie być jednak bardzo silni, skoro dziewięć tysięcy pełnoprawnych obywateli potrafi utrzymać w posłuszeństwie paręset tysięcy hołoty?

— Oczywiście,

— Jestem ciekawy, jak wybieracie tych dziewięć tysięcy najmądrszych i najsprawiedliwszych.

— Obywatelstwo się dziedziczy.

— A więc sądzisz, że mądrość jest dziedziczna?

— Po części tak. Każdy najlepiej umie to, czym zajmuje się stale. Obywatele zajmują się polityką i wojną i dlatego tylko oni mogą w tych sprawach zabierać głos.

— Wynikałoby jednak z tego, że tej mądrości można się także nauczyć?

— Po części tak — przyznał obywatel.

— Może by się przeto jej także i inni nauczyli?

— Znowu wracasz do swoich głupstw. My rządzymy, bo mamy pieniądze i władzę.

— Przekonałeś mnie. Tylko jeszcze jedno: zastanawiam się, czy łatwiej znaleźć jednego mądrego, czy wielu?

— Oczywiście że jednego.

— To dziwne. Może znowu powiem głupstwo, ale zdaje mi się, że zachwalasz tyranię i monarchię.

— Istotnie. Rozumujesz głupio. Tyran i monarcha rządzi tylko w swoim interesie, jest naturalnym wrogiem wolności, jak mówi Demostenes.

— Mniemasz więc, że rządzić w swoim interesie jest niesprawiedliwie? Zdawało mi się, że przedtem mówiłeś co innego.

— Mylisz się i nie rozumiesz, co się do ciebie mówi. Tyran rządzi dla siebie, demokracja dla obywateli.

— Rozumiem. Rządzić w interesie większej ilości ludzi jest sprawiedliwiej.

— Tak.

— Im większej zatem, tym sprawiedliwiej?

— Naturalnie.

— A najsprawiedliwiej w interesie wszystkich?

Obywatel poskrobał się po łysinie, po czym rzekł ze złością:

— Znowu wracasz do swoich głupstw. Wszystkich obywateli oczywiście. Nie podchwytuj mnie. Gdy tyran lub król rządzi, to jest niesprawiedliwe, bo nie ma wolności.

— Kto? On?

- Głupiś. Ci, którymi rządzi.
- A gdy, jak ongiś u was, rządzi trzydziestu tyranów, to jest sprawiedliwie?
- Tyrania jako taka sprzeciwia się wolności, jest więc niesprawiedliwa.
- A więc jest niesprawiedliwa z zasady?
- Teraz trafnie zrozumiałeś.
- Gdyby więc rządziło nawet trzystu tyranów, to by było niesprawiedliwe?
- Naturalnie.
- Nawet dziewięć tysięcy?
- Słuchaj, nie drażnij mnie. Wiem, do czego pijesz. Zdaje mi się, że chcesz nas obrazić.
- Niech mnie Zeus chroni! Chcę się tylko czegoś nauczyć, gdy spotkam mędrszego od siebie. Poucz mnie przeto jeszcze, co to jest wolność. Wciąż powtarzacie to słowo, a nie mogę ani rusz zrozumieć, co ono u was znaczy.
- Przedtem udawałeś mędrca, który udziela rad, teraz zaś udajesz głupszego, niż jesteś. Każdy wie, co to jest wolność, nawet te chłystki, które włóczą się za tobą.
- Diogenes zwrócił się do uliczników:
  - Na Heraklesa! Przynajmniej wy nie odmawiajcie mi swojej wiedzy, z którą, jak widzę, każdy rodzi się w Atenach.
  - Teraz zgadłeś. Wolność jest dla Hellenów rzeczą wrodzoną.
  - Słyszałem, że tak uczy Arystoteles, ale on mówi, że rzeczy wrodzone nie dadzą się odmienić.
  - I to jest prawda.
  - Barbarzyńcom zaś wrodzona jest niewola?
  - Słusznie. Dlatego muszą pozostać niewolnikami.
  - Słyszałem, bodaj od Demostenesa, że Filip jest barbarzyńcą.
  - Oczywiście.
  - Niewola jest mu przeto wrodzona, choć jest królem?
  - Niby tak by wynikało.
  - Hellenowie zaś pozostają wolni, choć pracują w waszych kopalniach w Laurion?
  - W zasadzie tak — przyznał obywatel niechętnie.

— Otoś mnie pouczył, jak Eutyfron Sokratesa. Ale ja nie jestem taki tępy jak Sokrates i już rozumiem, co to jest wasza „wolność”. Ale nie rozumiem, po co macie się troszczyć o Filipa i jeszcze wydawać pieniądze? On pozostanie niewolnikiem, choćby zdobył całą Helladę, a wy wolnymi, choćbyście dla niego wydobywali złoto w Pangaion.

Cierpliwość obywatela wyczerpała się. Skoczył z pięściami do Diogenesa, ale młodzieniec, który przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu, zastąpił mu drogę, mówiąc:

— Widzę, że masz jeszcze silniejsze argumenty. Czy nie zechciałbyś ze mną dokończyć dialogu, który mnie bardzo zainteresował?

Obywatel obejrzał młodzieńca wyniośle i odparł:

— Mam nauczkę, by się z byle kim nie wdawać w rozmowę.

Oddalił się dostojnie, ścigany śmiechem uliczników, młodzieniec zaś przystąpił do Diogenesa, mówiąc:

— Pozdrowienie od mego ojca, Onesikritosa. Jestem jego synem, Filiskos z Pelli. Cieszę się, że słuchałem waszej rozmowy, bo po to tu przybywam, by się od ciebie czegoś nauczyć.

— Doskonale. Zaczniemy od rzeczy prostych i na co dzień potrzebnych. Pokażę ci, gdzie się kupuje ser i fasolę. Pomału przystąpimy do rzeczy ważniejszych. Szkoda, że głaskaniem brzucha nie można zaspokoić głodu, bo mielibyśmy więcej czasu na poważne tematy.

Choć Filiskos rad był poznać Ateny, musiał je opuścić wraz ze swym mistrzem, którego ulicznicy przestrzegali, że poszukuje go straż scytyjska. Jak długo oczekiwał i kasał tylko obywateli, znosili to, choć niechętnie, nie umiając się odgryźć. Gdy jednak zadrwił z ustroju Aten, przebrała się miarka, tym bardziej że przygotowania do wyprawy na pomoc Onomarchowi i Fccyjczykowi wzmogły w mieście wrogość przeciw Filipowi, a także drażliwość i podejrzliwość. Każdego, kto się z przekąsem wyraził o urządzeniach ateńskich, uważano za stronnika Filipa. Tym niebezpieczniej było pozostać w mieście Filiskosowi, który, jako Macedończyk, uchodziłby niewątpliwie za szpiega.

Filiskos z żalem opuszczał Ateny, ale Diogenes pocieszył go:

— Tutaj z coraz innej strony wiatr wieje. Wrócimy tu jeszcze. Wcale się nie zdziwię, gdy pewnego dnia ujrzymy na agorze posąg Filipa.

— Czy ty istotnie jesteś jego zwolennikiem? Ojciec mówił, że nie sprzyjasz monarchii, w przeciwieństwie do Platona i Arystotelesa.

— Platon i Arystoteles sprzyjają monarchom, trudno więc, by nie sprzyjali monarchii. Zaś monarchowie sprzyjają im wzajemnie, a zatem także ich filozofii. Platon jednak nie znalazł lepszego argumentu przeciw mojej niż wyrażenie mi współczucia, że sam nunże płukać swoje jarzyny, czego bym nie musiał robić, gdybym się dał powodować Dionizosowi z Syrakuz.

— Sądzę, że nie pozostałeś mu dłużny odpowiedzi?

— Nigdy nie pozostaję dłużny odpowiedzi. Poradziłem mu, by się zdecydował sam płukać swoje jarzyny, a wtedy nie będzie musiał wysługiwać się tyranom.

Filiskos zaśmiał się, ale odparł:

— Mnie pozostałeś dłużny. Nie odpowiedziałeś, czy jesteś zwolennikiem Filipa.

— Czy lubisz robactwo? — miast odpowiedzieć zapytał Diogenes.

Skrobał się po kudłatym łbie, a Filiskos patrzył pytająco, nie rozumiejąc, do czego zmierza filozof. Diogenes dorzucił:

— Czemu się dziwisz? Twoje pytanie jest zupełnie podobne. Czy wolałbyś mieć jedną wesz, czy dziewięć tysięcy?

— Oczywiście, że jedną — odparł Filiskos Uśmiechając się, zaś Diogenes ciągnął:

— Jakie to proste, nieprawdaż, jeśli tylko człowiek nie boi się myśleć. Jedna wesz ma tę zaletę, że choćby była żarłoczna jak Filip, prędzej się nasyci, mniej dokucza, a wreszcie łatwo ją zabić. Zaś wytłuc tysiące, to jest trudna sprawa.

— Mówisz o ateńskiej demokracji. Ale Ateny to jeszcze nie cała Hellada.

— Jeśli chcesz poznać Helladę, powinieneś zacząć od jej pępka, którym są Delfy. Jak skromnie twierdzą, jest to także pępek świata, *ges omfalos*. Tam jest kamień, na którym usiadły dwa orły, wypuszczone przez ojca bogów i ludzi z dwóch przeciwległych krańców ziemi, by wyznaczyć jej środek. Kto przy tym był, nie wiadomo. Apollo to sprytny bóg prawie tak jak Filip — wiedział, gdzie obrać sobie siedzibę. Tam się zbiegają wszystkie nici spraw Hellady — i jej bogactwa.

— Zdaje się jednak, że Delfy leżą w przeciwnym kierunku, niż ten, w którym idziemy?

Istotnie pieli się na pasmo wzgórz, ku wschodowi. Diogenes odparł:

— W Helladzie wszystkie drogi prowadzą do Delf. Zresztą mamy czas. Filozof nie spieszy się nigdy, bo droga jest równie ważna jak cel. Koło Sunion łatwo spotkać statek płynący z Eubei do Koryntu, a stamtąd do Naupaktos. Wsiądziemy po drodze w Zatoce Krysajskiej, skąd do Delf już niedaleko.

— A masz pieniądze na przejazd?

— Za kogo mnie bierzesz? Nie mam nawet obola, by Charonowi zapłacić za przewóz w Krainę Cieni.

— Nie wiem, czy mi wystarczy dla nas obu.

— Nie szkodzi. W Laurion możemy zarobić na przejazd, to jest — ty możesz zarobić na mój, bo potrzebują teraz rąk do kopalni. Mnie tym zapłacisz za naukę, a zarazem dowiesz się, co Hellenowie rozumieją przez wolność. Ścisłość definicji jest dla filozofa równie ważna jak odwaga myślenia.

Widząc, że Filiskcs skrzywił się niechętnie, Diogenes ciągnął:

— Jesteś Macedończykiem, nie powinna cię więc mierzić praca ręczna. Jeżeli zaś sądzisz, że mądrość można nabyć słuchając gadania, to wstąp do Platońskiej Akademii. Tam szybko i bez trudu zdobędziesz wiedzę, która nie odpowiada żadnej rzeczywistości. Ponieważ jej nie cenię, mogę ci jej udzielić bezpłatnie: z przymiotnika lub czasownika robi się rzeczownik, daje się mu samodzielny byt w zaświatach, którego nikt nie jest w stanie stwierdzić, i to się nazywa idea. Jeżeli jednak chcesz być cynikiem, musisz stąpać po

ziemi, choćbyś miał poobijać nogi. M a t h e m a t a -  
- p a t h e m a t a ! Człowiek naprawdę wie tylko to,  
czego sam doświadczył, przy czym pojęcia najjaśniej  
wynikają z przeciwieństw. Kto chce wiedzieć, co to  
jest wolność, musi wiedzieć, co to jest niewola.

— A ty skąd wiesz?

— Byłem niewolnikiem, to znaczy — schwytali mnie  
korsarze, gdy jechałem z Synopy do Aten, by się  
kształcić u Antistenesa. Sprzedali mnie na Krecie Kse-  
niadesowi z Koryntu. Wprawdzie był na tyle mądry,  
że wiedział, iż jest głupszy ode mnie i słuchał mnie  
we wszystkim, a nawet powierzył wychowanie swych  
synów, ale sama podróż wystarczyła, bym się dowie-  
dział, co to jest niewola. Ja jestem pojętny, a sądzę,  
że i tobie wystarczy parę dni pobytu w kopalni.

— Jeżeli uważasz, że to konieczne, mogę popraco-  
wać. Spodziewam się jednak, że nie wszelką mądrość  
każesz mi kupować tak drogo.

— Rzeczy zbytkowne są zawsze droższe od niezbęd-  
nych — odparł Diogenes z kpina. — Miarka mąki, ko-  
nieczna do życia, kosztuje dwa obole, a kolumna na-  
grobną, bez której zupełnie dobrze można umrzeć —  
trzysta. Że zaś mądrość jest zbytkiem, wynika oczy-  
wiście z tego, że większość ludzi obchodzi się bez niej  
i nawet nie wiedzą, że są głupcami.

Filiskos odparł z uśmiechem:

— Ja wiem. Ale mimo to chciałbym ją posiadać.  
Pójdźmy do Laurion.

Wkrótce minęli szczyt pasma i przed nimi roztoczył  
się rozległy widok na morze, wypukłe i świecące jak  
olbrzymia wypolerowana tarcza. Ku południowi jedna  
za drugą, coraz bardziej spłaszczone i zacierające się  
sinawą mgiełką, leżały wysepki: Keos, Kynikos, Serifos,  
Sifnos; wzrok zdał się lecieć aż ku odległej Krecie,  
tam gdzie morze zlewało się z horyzontem. Pochylone  
już słońce kładło swe skośne promienie na wodnym  
bezmiarze, mieniającym się barwami perłowej konchy.  
Widok był urzekający swym pięknem, ale gromad, które  
Diogenes i Filiskos, zstępując w dół, spotykali  
na każdym kroku, zgoła nie pragnęły sycić nim wzroku.  
Nadzy, zakuci w kajdany ludzie wypelzali z nor,



którymi zryte było zbocze, wyglądające z dala jak pole kretowisk, i mrużyli lub, zasłaniając rękami szkliste i jakby zmatowiałe oczy. Świeciły tylko białka w twarzach czarnych od kopcium lampek przytwierdzonych na czole, na rzemiennym pasku. Po zdjęciu go wolna od sadzy smuga wyblakłej skóry odcinała twarz od ostrzyżonej krótko czaszki. Wszyscy chudzi i drobni. Trudno było rozpoznać ich wiek z twarzy i zmęczonych, starczych ruchów. Filiskos zasłonił nos, gdyż wstający powiew od morza niósł woń dymów, pomieszaną ze smrodem ludzkich odchodów. Diogenes zauważył:

— Każdy chroni się przed tym, do czego nie nawykł: oni przed światłem, ty przed smrodem. Ale przyzwyczaj się, bo w tych norach musi śmierdzieć jeszcze bardziej. Pracują tam na dwie zmiany, od wschodu do zachodu i od zachodu do wschodu, a wychodzić nie wolno, tylko z urobkiem, po olej do lampek i po jedzenie.

Prawdę jego słów potwierdzał wygląd niewolników umazanych błotem i łajnem, którego wonią przesiąknięte były ich ciała. Dozorcy rozdawali im zawieszistą polewkę z mąki i fasoli oraz po kawałku ciemnego chleba. Niektórzy z nich myli przed jedzeniem ręce w kamiennych korytach, inni z całą obojętnością brali się do jedzenia brudnymi rękoma.

Diogenes wskazał na nich, mówiąc:

— Jak widzisz, do wszystkiego można nawyknąć. Ci, co myją ręce, zapewne niedawno tu przyszli. Ale nawykną i oni.

Filiskos wzdrygnął się i odparł:

— Sądzę, że nie wszyscy.

Zapewne myślał o sobie. Ogarniało go obrzydzenie.

Diogenes ciągnął:

— Nawykliby wszyscy, gdyby nie wiedzieli, że można żyć inaczej. Zresztą ludzie powszechnie naśladują jedni drugich, bo nie wiedzą, co im jest istotnie potrzebne. Dopiero gdy nie mają nic, wiedzą, bez czego obyć się nie można. Dlatego niewolnicy zawsze się będą buntowali, ilekroć zdarzy się sposobność, to jest — ilekroć ich panowie biją się między sobą. Ale pójdź obejrzeć sobie tę helleńską „wolność”, o której tyle mówią w Atenach. Ksenofont proponował, by na każ-

dego obywatela pracowało tu trzech niewolników. Tylu ich jeszcze nie ma, bo nie chcą długo żyć, ale ta góra jest gęściej zaludniona niż Ateny.

Jakoż z każdego niemal otworu ziemnego wynoszono, a raczej wyciągano ludzi niezdolnych wyjść o własnych siłach. Przez sinożółte, ściśnięte jakby w uśmiechu wargi i wyszczerzone zęby łapali powietrze w nierównym oddechu. Niektórzy już cichli. Składano ich na uboczu wszystkich razem i nikt się nimi więcej nie zajmował. Przeważali wśród nich mali chłopcy. Filiskos patrzył ze zmarszczoną brwią, a Diogenes zauważył:

— Odrzuca się ich jak połamane narzędzia, których nie warto naprawiać. Są zresztą tańsi.

— Wolni ludzie nie pracują tu chyba — powiedział Filiskos idąc za własną myślą.

— Rzadko. I chyba z głodu. Zresztą ateńscy obywatele nigdy, chyba u Filipa w Krenides, ale nie lubią tego. Stworzeni są przecie do wolności. Podam, że jesteś moim niewolnikiem. Wprawdzie za wynajem niewolnika płacą tylko obola czynszu dziennie, wolnemu zaś więcej, ale za to prędzej nabędziesz wiedzy.

Schodzili w dół wśród stert głazów różnych rozmiarów. Rośli niewolnicy tłukli większe bryły młotami. Wielu miało twarze pokaleczone od odprysków kamienia, niektórzy byli ślepi na jedno oko.

— Gdy stracą drugie, pójdą tłuc kamienie w moździerzach — powiedział Diogenes.

Moździerze stały w długich szeregach. Zsypywano do nich kamienie wielkości pięści i rozbijano je żelazną stępą na szuter wielkości grochu. Poniżej znowu kobiety i starcy, po kilkoro trzymając za antaby kamiennych żaren, kręcili się w kółko, mieląc ten groch na mąkę. Panował tu ogłuszający i nieustanny hałas, ponad który wybijały się tylko krzyki dozorców nie żałujących bata, gdy tylko któryś z niewolników zwolnił tempo pracy. Filiskos zatkał uszy i skręcił w bok. Gdy Diogenes zbliżył się, Filiskos zapytał:

— Dlaczego tu pracują dorośli, a pod ziemią sami chłopcy?

— Nie sami, ale prawie sami. Wyrostek nie udźwignąłby łomu wagi pięćdziesięciu talentów którym kruszy

się skałę. Do tego używa się najsilniejszych niewolników, póki mają siły. Chłopcy zaś służą tylko do wynoszenia urobku, bo nory są tak niskie, że dorosły musi pracować klęcząc lub nawet leżąc, gdy taki malec wciśnie się wszędzie.

Jeszcze niżej na zboczu dymiły ziemne piece, w których wytapiano srebro, miejscami zaś, pod zbiornikami wody, stały kamienne stoły na których je wypłukiwano, pozostały zaś pył skalny, wyrzucany od setek lat, tworzył strome zwały zbiegające ku morzu. Wstąpić na nie było niebezpiecznie, bo zjechać można było wraz z obsuwającymi się masami w fale i nie wynurzyć się więcej. Mimo to stały i tu scytyjskie strażę, by zamknąć nawet i tę ostatnią drogę ucieczki. Między zwalami były jednak przejścia szczególnie ostro strzeżone, przez które niewolnicy przynosili bierwiona dostarczane wodą, Attyka bowiem na równi z resztą innych kraików południowej Hellady od dawna była już bezleśna i drzewo sprowadzano z lesistych krajów północnych. Diogenes, wskazując na stosy bierwion, powiedział:

— Oto jeszcze jeden powód, dla którego w Atenach jedni nienawidzą waszego króla, inni zaś znowu uważają za konieczne zawrzeć z nim przymierze. Jak widzisz, ta sama przyczyna wywołuje różne skutki. Przez Filipa bowiem drzewo podróżowało tak, że tylko najbogatsi mogą sobie pozwolić na pogrzebowy stos. Dusze ubogich muszą opuszczać ciała bez spalenia, natomiast srebro nie chce wyjść z kamienia bez ognia. Dawniej, gdy Ateny miały kolonie na całym wybrzeżu, drzewo można było dostać wszędzie. Teraz już tylko z Eubei, i to nie wiadomo jak długo jeszcze, bo triery Filipa grasują już koło samej Attyki. Niedawno pod Maratonem porwały święty statek „Salamis”. Tak oto powracają imiona dwu największych zwycięstw ateńskich, których Demostenes ma pełną gębę. Nie dziw, że toczy pianę, mówiąc o Filipie.

Prawdę tych słów potwierdził zarządca kopalni, Agatokles, do którego Diogenes zwrócił się proponując wynajęcie niewolnika. Zarządca obmacał Filiskosa, pokiwał głową z uznaniem i powiedział:

— Twój niewolnik więcej wart od ciebie. Właśnie mi takiego zasypała ziemia. Eubulos, dzierżawca kopalni, zakazał stemplować chodniki, bo drzewo drogie, a niewolników nie brak. Wolałbym kupić go, bo po co mamy się potem spierać o odszkodowanie.

— Nie sprzedam, bo potrzebuję tylko pieniędzy na drogę, a on wart jest z górą cztery miny i tyle musiałbyś zapłacić, gdyby go zasypało. Dlatego będziesz musiał podstemplować chodnik.

— Ani czterech min nie zapłacę, ani chodnika stemplować nie myślę. Mogę natomiast dać większy czynsz, bo mi niewolnik potrzebny.

— Jestem do niego ogromnie przywiązany — odparł Diogenes. — Za cztery miny mógłbym zaryzykować stratę. Ale nie chcesz, tedy weź go do tłuczenia kamieni. Silny jak koń.

— Tam używam tych, którzy już się sterali w kopalni — odparł Agatokles — a takich mi nie brak, ale płacę tylko obola czynszu dziennie.

— Niech będzie obol, byle porządne wyżywienie. Widzisz, że wygląda jak nowy pieniądz, prosto spod stempla. Nie chcę, by mi się wytarł, bo gdybym go sprzedawał, nie dadzą mi tyle, ile bym chciał.

— Mówisz przecie, że nie chcesz sprzedawać. Nie zabieraj mi czasu jednym niewolnikiem. Albo sprzedaj go za dwie miny, jak się płaci za silnego niewolnika, albo wynajmij jak wszyscy... albo idź wraz z nim do Erebu!

— Nie chcę sprzedać za dwie miny, bo, jak rzekłem, jestem do niego przywiązany. Ale gdybym dostał cztery, to czyż człowiek może się oprzeć pieniądzwowi? Byle był dostatecznie wielki.

— Masz słuszość, pieniądz to człowiek. Ale i czas nie jest za darmo. Wynajmiesz więc?

— Co mam robić, skoro potrzebuję pieniędzy.

Zarządca zawołał kowala, polecając zakuć Filiskosa, ale Diogenes sprzeciwił się temu:

— Będzie miał skazy na skórze i straci na wartości. Przecie bez kajdan lepiej będzie pracować.

— Jak chcesz. Ale w takim razie nie biorę odpowiedzialności, gdyby uciekł.

— Nie ucieknie. Widzisz, jak dbam o niego. Nic nie robi i jeszcze go pasę. Tedy co mu po wolności?

Agatokles zaśmiał się:

— Jak długo go pasłeś, to istotnie nic. Ale jak zaczniesz nim orać, może mu się zachcieć.

— Złamałaby mi serce taka niewdzięczność.

— Czekaj na wdzięczność niewolnika — rzucił zarządca gorzko. — Tysiące ich przepuszczam przez ręce i jeszcze żaden nie był za nic wdzięczny. A dbam o nich jak o konie, nie tak jak inni, co jeszcze na ich wyżywieniu okradają swoich chlebobawców. To jest bydlę bez żadnych ludzkich uczuć.

— Nie wątpię jednak, że Hermes błogosławi twój uczciwości. Zapewne masz za to więcej srebra z każdej pary rąk niż inni zarządcy?

— Oczywiście — odparł Agatokles z dumą. — Obędę się bez wdzięczności niewolników. Jeszcze jedno: jakiej twój jest narodowości?

— Jest Ilirem.

— To dobrze. Wygląda na Scytę, a tych niechętnie biorę, bo mogliby się porozumieć ze strażą. Wierz mojemu doświadczeniu, że i pies, choć stawia się go za wzór wierności, dogadałby się ze złodziejem, gdyby mówili tym samym językiem.

— Dziękuję ci. W tym, co mówisz, jest głęboka mądrość. Ale komu w takim razie powierzasz straż nad helleńskimi niewolnikami?

Pytanie było zapewne drażliwe, bo zarządca nie odpowiedział, przywołał tylko dozorcę i kazał mu zaprowadzić Filiskosa do pracy przy móżdziejach. Czas jego nie był widocznie zbyt drogi, bo rozgadał się, a Diogenes naiwnymi pochlebstwami wyciągnął go na zwierzenia. Słońce zaszło tymczasem i zapłonęły beczki ze smołą, których blaski walczyły coraz skuteczniej z resztkami dziennej poświaty. Hałas przechodził w gwar, zmieniano niewolników przy pracy. Nagle powstało zamieszanie, rozległy się krzyki. Zarządca urwał zwierzenia i skoczył popatrzeć. Za chwilę wracał prowadząc dozorcę, który trzymał się za twarz. Już z dala słychać było, jak Agatokles klnie, a gdy się zbliżył, wrzasnął na Diogenesa:

— Głupcze"; oto masz skutki cackania się z niewolnikiem! Uciekł i jeszcze mi dozorcą uszkodził. Zapłacisz za to!

— Zapłacić — nie zapłacę, bo nie mam pieniędzy. Rozpatrzmy sprawę spokojnie, jak przystoi filozofom. Co się stało?

— Ot co! — warknął Agatokles. — Twój niewolnik zaczął pracę od gadania z sąsiadem. Gdy go dozorca smagnął batem, wyciął dozorcę w twarz i uciekł tam — wskazał na usypiska. — Ścigaj go sam, jeśli chcesz życie stracić. A nie, to zapłać za uszkodzenie albo ciebie wezmę za niego do roboty.

— Ja go nie będę ścigał, bo i tak ty mi za niego zapłacisz. A do roboty się nie nadaję, bo jestem obywatelem.

— Zapłacę ci tym, co za ciebie dostanę, jeśli kto kupi takiego starego głupca.

— Musiałbyś mieć na to wyrok — odparł Diogenes spokojnie — a w Atenach prawo zakazuje bić niewolników. Gdyby twój dozorca nie był go uderzył, nie byłby uciekł. Jasne więc, że ty za to odpowiadasz wraz ze swoim panem.

— Głupiś — burknął zarządca cokolwiek wybity z rozpędu. Prawo odnosi się w rzeczywistości do służby domowej, która ma możliwość ucieczki, ale tutaj jest zbędne.

— To byłby ciekawy dylemat, gdyby nie to, że rzeczywistość wykazuje błąd w założeniu. Masz najlepszy przykład, czy stąd nie można uciec.

Agatokles ciskał się w złości:

— Wynoś się! Tylko czas przez ciebie straciłem i dozorcę muszę zmienić!

— Pójdę, ale do tesmotetów, jeśli zaraz nie zapłacisz czterech min. Mój przyjaciel Demostenes, jak ci zapewne wiadomo, ma z Eubulosem porachunki i potrafi zrobić z tego sprawę polityczną.

— Masz tu drachmę i wynoś się zaraz. Czterech min nie dałbym nawet za to, by dostać w ręce tego łotra — warknął zawzięcie.

— Wstydz się — rzekł Diogenes. — Chcesz się mścić na niewolniku, który nie jest przecie człowiekiem, nie

może więc odpowiadać za swoje czyny. A co gorzej, chcesz się mnie pozbyć byle czym dlatego, że jestem ubogi, nie bacząc na to, że niewolnik miał dopiero osiemnaście lat i mógł mnie utrzymywać swą pracą do końca życia. Jesteś niesprawiedliwy i chciwy. Czy mam ci powiedzieć, ile srebra kradniesz codziennie Eubulosowi, czy może wolisz, bym to powiedział jemu? Agatokles uchwycił Diogenesa pod ramię, mówiąc szeptem:

— Cicho. Pójdź na bok. Załatwimy tę sprawę. Jesteś przecież człowiekiem rozsądnym.

— Widzisz więc, że nie jestem takim głupcem, jakim ci się zdałem. Należy unikać pochopnych sądów pod wpływem namiętności i nie naruszać ustalonego porządku: mały złodziej okrada większego i tak dalej aż do góry, a ten, co jest na górze, okrada wszystkich. *Panta rhei* .

Schował do torby otrzymane pieniądze, mówiąc:

— Hellenowie to mądry naród: po co się trudzić, gdy można żyć z cudzej pracy. To rozumiem — wolność. Warto za nią gardłować do ostatniego tchu.

Znalazłszy się w Koryncie, Diogenes zaszedł do swego dawnego pana, Kseniadesa, gdzie go radośnie powitali wychowankowie i podejmowali gościnnie, radzi zatrzymać. Diogenes jednak postanowił udać się do Delf wraz z Filiskosem, przypuszczając, że jeżeli nie zniechęciły go pierwsze kroki na drodze do mądrości, powinien i on przybyć do Koryntu.

Poszukiwanie zbiegłego ułatwił mu Kseniades, wysyłając syna do Demaratos, który był macedońskim proksenosem i przywódcą partii Filipa w Koryncie. Filiskosowi zapewne było wiadome, a musiał gdzieś szukać pomocy, pozbawiony środków w obcym mieście.

Jakoż domysł okazał się słuszny, wkrótce bowiem Eutykles wrócił prowadząc ze sobą Filiskosa, który witał Diogenesa cokolwiek zmieszany i niepewny, czy filozof zechce być nadal jego nauczycielem. Diogenes jednak powiedział tylko:

— Każdy używa w dyskusji najsilniejszych, jakie,

ma, argumentów. Jeżeli zamierzasz nadal kształcić się w tym samym kierunku, to jedź do Rrotony, gdzie jest najlepsza szkoła atletów.

— Wybacz! — odparł Filiskos — ale nie nawykłem, by mnie bił niewolnik.

— Przypominasz mi psa, który zamiast chwycić za gardło bijącego, gryzie kij, którym go biją. Gdybyś pomyślał przez chwilę, zrozumiałbyś, że za to płacą Agatoklesowi, by ten judził niewolników wzajem przeciw sobie. Tylko tym sposobem niewola jest możliwa, bo niewolników jest więcej niż panów.

— Niełatwo myśleć, gdy człowieka biją — odparł Filiskos.

— Myśleć w ogóle niełatwo, ale należy się uczyć, bo to jest swoista funkcja człowieka. Wrażeń zmysłowych doznają i zwierzęta i nimi kierują się w postępowaniu. Postępowaniem filozofa zaś nie kieruje przyjemność lub przykreść, cechy namiętności, lecz rozważa. Jak zaś uczy Arystoteles, przez stałe postępowanie w ten sposób powstaje trwała dyspozycja — ethos — która cechuje człowieka, a tym bardziej filozofa.

— Będę się starał myśleć — odparł Filiskos. — Ale trudno mi przyrzec, że się pozwolę bić.

— Mądry lekarz zwalcza chorobę, a nie jej objawy, ale na to musi ją rozpoznać, co nie jest możliwe bez myślenia. Czy nie uważasz, że gdyby wszyscy ludzie byli równi, byłyby się między sobą tylko wyrostki, którym to sprawia przyjemność?

- Sądzisz więc, że człowiek nie potrafi być dobrym panem drugiego?

— Miałeś kiedy niewolnika?

— Nie. Mój ojciec, zgodnie z twoją nauką, sam zapokaja swe potrzeby i nas tak uczył.

Tedy miast wyjaśniać, kupię niewolnika. Sam spróbuj, czy potrafisz być panem.

Skąd wzięłeś pieniądze?

Z kopalni. Zgodnie z programem Ksenofonta i tak przeznaczone były na zakup niewolników. Ponieważ zaś niewolnicy więcej wydobywają niż kosztują, czy nie sądzisz, że po pewnym czasie wszyscy ludzie staną się niewolnikami?



— Jest chyba błąd w tym rozumowaniu  
— Nawet nie jeden. Możesz nad mimi rozmyślać,  
a tymczasem chodźmy kupić niewolnika.

Nad zatoką, koło przystani, leżał gaj zwany Kraneion, a na placu obok niego odbywał się targ. Za czasów tyra Perisandra liczba niewolników w Koryncie została ograniczona, by nie odbierać pracy wolnej, ubogiej ludności. Obecnie jednak, gdy w małej Helladzie posługiwano się tańszą pracą niewolną, i Korynt musiał przejść na nią, by zbyć swe wyroby. Najruchliwsze miasto Hellady było też największym targiem siły roboczej, dzięki swemu położeniu otrzymując ją ze wszystkich stron, i liczyło kilkakrotnie więcej niewolników niż obywateli, a wciąż jeszcze zakupywano ich masowo do wielkich ergasteriów. Obok jasnowłosych barbarzyńców z północy, o dzikim spłoszonym spojrzeniu jasnych oczu, stali niewolnicy z południa i wschodu, o ciemniejszej cerze i lśniących czarnych włosach. Nie wolno im było usiąść, stali więc jak konie, przestępując z nogi na nogę. Diogenes, zwracając się do Filiskosa, powiedział:

— Ryby wystawia się na sprzedaż leżące i nikt nie baczy, jak są przechowywane. A niewolnik musi stać.

— Sądzę, że dlatego, iż ryba nie może stać. Jeden z niewolników widocznie nie mógł stać, gdyż usiadł. Bat handlarza spadł na jego plecy, ale niewolnik tylko podniósł głowę i wielkimi płonącymi oczyma, patrzył na bijącego. Diogenes przystąpił mówiąc do kupca:

— Czy mógłbyś przerwać na chwilę to zajęcie? Psujesz przecie własny towar.

— Co cię to obchodzi? — odburknął zagadnięty.

— Być może, że go kupię.

— Bierz. Tylko żre za darmo. Dam go za pół ceny.

Wychudła twarz niewolnika, z której, zda się, pozostał tylko wydatny nos i ogromne oczy, nie wskazywała, by się zbyt obżerał, wątła postawa zaś — by nadawał się do pracy. Diogenes zwrócił się do niego:

— Rozumiesz helleńską mowę?

Niewolnik skinął głową. Handlarz przerwał:

— Co chcesz wiedzieć, sam ci powiem, bo szkoda

czasu. Jest Judejczykiem, we łbie ma pomieszane, jaki jest — widzisz. Bierz go albo odejdz.

— Przecież nawet garnek opukuje się przy kupnie — odparł Diogenes. — Ja mam czas, a twojego nie żal mi bardziej niż tobie moich pieniędzy. — Zwracając się zaś do niewolnika, zapytał:

— Jak ci na imię?

— Manes.

— Jak zostałeś niewolnikiem?

Zamiast odpowiedzieć na zapytanie, Manes zaczął mówić patrząc w górę, jakby tam widział kogoś, do którego się zwracał:

... I dałeś nas w ręce nieprzyjaciół naszych, niesprawiedliwych i złośliwych, i przestępcików, i królowi niesprawiedliwemu, najgorszemu nad wszystką ziemią..."

— Oto coś dla nas — rzekł Diogenes do Filiskosa. — Judejczycy pono znają jakiegoś boga, przy którym nasi wyglądają na zgraję łobuzów. Zdałoby się czegoś o nim wiedzieć. Może taki bóg, który sam nie cudzołoży i nie kradnie, zrobi jakiś znośny porządek na świecie.

Zwracając się do handlarza, zapytał:

— Ile chcesz za niego?

— Jak rzekłem, pół ceny. Jedną minę.

— Albo za mało, albo za dużo. Ale że nie wiem, tedy nie będę się targował.

Zapłacił i kazawszy zdjąć więzy z Manesa, skierował się do domu. Gdy przechodzili koło świątyni Posejdo-  
na, Manes splunął. Diogenes zapytał:

— Nie podoba ci się ta świątynia?

— Świątynia jest jedna — odparł Manes.

— Musimy uzgodnić pojęcia, inaczej trudno nam się będzie dogadać.

— Czy kupiłeś mnie, by ze mną gadać?

— Masz, będziesz nosił torbę, a uważaj, byś jej nie zgubił, bo to jest cały mój majątek. To będzie twój pan — dodał wskazując na Filiskosa. — Jeżeli zaś jesteś człowiekiem żądnym prawdy, możemy się wzajem czegoś nauczyć.

— Prawda jest jedna i ja ją znam, tedy twojej nie jestem ciekawy.

— Ale ja jestem ciekawy twojej, bo szukam prawdy. Twierdzisz, że wasi filozofowie ją znaleźli?

— Naszym mędrcom objawił się sam Adonai. A wy szukacie jej tak, jak ślepiec rękami szukający słońca.

— Piękna metafora. A dlaczego objawił ją waszym, a nie naszym?

— Bo jesteśmy narodem wybranym.

— Widzisz — rzekł Diogenes zwracając się do Filsosa. — Nie sami tylko Hellenowie uważają się za coś lepszego od innych narodów.

Do Manesa zaś powiedział:

— Z tego, co mówiłeś, wnioskuję, że wasz Adonai oddał was w niewolę złemu królowi. Takich wybranych narodów jest więcej.

— Ale nam przyrzekł zesłać Zbawcę. A zesłanie go poprzędzi przyjście władcy świata z zachodu.

— To ciekawe. I u nas przepowiadają przyszłość, ale znaczenia przepowiedni można się domyślić dopiero, gdy już jest przeszłością.

— Nasi prorocy zaś wiedzą naprzód. Daniel widział w Suzach cztery bestie wielkie, które są królestwa, jakie powstaną na ziemi. I powstało już babilońskie, a potem perskie. I widział je jako barana, rzucającego rogi na zachód i na południe, i na północ, i wszystkie inne nie mogły mu się sprzeciwić ani się wyzwolić z ręki jego; i czynił wedle swej woli, i stał się wielkim.. Alić kozioł kóz przychodzi od zachodu i na całą ziemię, i przyszedł do barana onego rogatego i skoczył do niego w popędliwości swojej. I obaliwszy go, zdeptał, a żaden nie mógł wybawić barana z ręki jego. A kozioł kóz stał się bardzo wielki. A gdy urósł, złamał się róg wielki i wyrosły pod nim cztery rogi na cztery wiatry niebieskie.

— To również poetyczne, ale nie bardziej zrozumiałe niż nasze przepowiednie — zauważył Diogenes.

Manes odparł pogardliwie:

— Niezrozumiałe dla ludzi. Ale Danielowi wyjaśnił archanioł Gabriel: „Baran, któregoś widział, jest król medyjski i perski. A kozioł kóz jest helleński, a róg

wielki, który był między oczyma jego — to jest król pierwszy. A iż po złamaniu wyrosły cztery miasto niego — czterej królowie z narodu tego powstaną, ale nie w mocy jego."

Manes mówił zarliwie, z każdego słowa przebijało głębokie przekonanie o prawdzie tych słów. Diogenes powściągnął zwyczajną uszczypliwość, by go nie spłoszyć, i powiedział:

— Hellada taka, jaka jest, nie może pokonać perskiego króla; wysługuje mu się za złoto.

— Ale słyszeliśmy, że na jej północy powstaje wielki król. Mędrcy nasi wysłali mnie, bym go ujrzał na własne oczy. Ale rozbójnicy napadli mnie w drodze i sprzedali.

— Hm! To ciekawe. Podobnie jak mnie. Widocznie droga do prawdy prowadzi przez niewolę.

Zwracając się zaś do Filiskosa, powiedział:

— Ten kozioł kóz to chyba wasz Filip. Istotnie przypomina capa w swym nienasyceniu wszystkich żądz.

Zwracając się do Manesa, zapytał:

— I on ma wyzwolić wasz naród?

— Wyzwoli. Ale potem przyjdzie bestia czwarta, królestwo czwarte będzie na ziemi, które większe niż wszystkie inne królestwa, i pożre wszystką ziemię, i pdepcze, i zetrze ją.

— Tedy i twój naród będzie w niewoli?

— Będzie, jak wszystkie inne. Ale Daniel widział jeszcze, jak z obłoków szedł Syn Człowieczy i aż do Starowiecznego przyszedł i stawili go przed oblicze jego. I dał mu władzę, i cześć, i królestwo; władza jego, władza wieczna, która nie będzie odjęta; a królestwo jego, które się nie skazi.

Diogenes skrobał się po głowie w zamyśleniu, po czym rzekł:

— Ciekawe. Może jednak ten kozioł to Aleksander, bo jego urodzeniu towarzyszyły przepowiednie klęski dla Azji. Ale ciekawsze, że nie przypuszczałem, iż będę czegoś zazdrościł niewolnikowi: jego wiary w prawdę i przyszłość. Najciekawsze zaś, że Hellada, która sypie się jak mąka, ma jeszcze odegrać wielką

rolę. Być może, że wasz Filip jest zaczynem, który robi z niej ciasto. W każdym razie gdybym zmarł, kaźcie mnie pochować głową w dół, bo świat niewątpliwie musi się przewrócić do góry nogami. Taki, jaki jest, pozostać nie może.

Filiskos chciał zaprowadzić Manesa do balwierza, by mu jako niewolnikowi ogolić głowę, ale Manes odparł:

— Niewierne ręce nie tkną moich włosów. Możesz je ściąć razem z głową.

— Głowy ci nie zetnę, bo Diogenes będzie chciał zapewne jeszcze mówić z tobą. I ty mógłbyś się od niego czegoś nauczyć. Tymczasem naucz się słuchać.

— Uszy moje głuche są na głos niewiernych.

Filiskos wzruszył ramionami i powiedział:

— Masz szczęście, że cię nie kupili do kopalni. Tam potrafią przemówić i do głuchych.

Przestał zwracać uwagę na niewolnika i szedł do Demaratososa, rozglądając się po mieście. Nie brakło tu wspaniałych budowli, których styl wydał się Filiskosowi odmienny niż w Atenach. Postanowił, że musi tu wrócić. Gdy w pewnej chwili przypomniał sobie o Manesie i obejrzał się, niewolnika nie było. Zakłopotany Filiskos zawrócił, ale szukanie go było szukaniem kropli w morzu. Tłumy przewalały się po plecach i ulicach. Pobiegł tedy do domu Kseniadesa, niepewny, jak Diogenes przyjmie wiadomość. Ale filozof machnął ręką, mówiąc:

— Byłoby śmieszne, gdyby Manes mógł żyć bez Diogenesa, a Diogenes bez Manesa nie.

— Ale ja miałem się uczyć, jak być panem dla niewolnika.

— Widocznie równie mało się nadajesz na pana, jak na niewolnika. Z czego wniosek, że jesteś człowiekiem ..naprawdę wolnym.

— Ale on zabrał twoją torbę i znowu nie mamy pieniędzy.

— Bogowie opiekują się filozofami. Statek Kseniadesa jutro odpływa do Kirry i przewiezie nas bezpłatnie. Zaś Manesowi przydadzą się pieniądze, by swoim mędrcom zawieźć wiadomość, że cap już zjawił się w Helladzie. Jeśli to prawda, co Manes mówił, Demostenes na darmo strzępi sobie język na Filipie.

## ROZDZIAŁ VI

Gdy w zabawie z Krokosem Hermesowy dysk rozbił głowę młodzieńca, bogowie zmienili krew w kwiaty szafranu, które z pierwszą wiosną jednolitym kobiercem okrywały kotlinę, zamkniętą od południa pasmem Otrysu — od północy Psich Głów, a na wschód przechodzącą w błękitne wedy Zatoki Pagażyjskiej. Od kwiecia, które tu się rozpleniło, nazywano je Polem Krokosa, choć — gdy minęła wiosna — stoki czerwieniały różami, dolina bieleła się od lili, a nad brzegami licznych strumyków, biegnących od wzgórz ku morzu, nieprzejrzaną gęstwą rosły kosańce, szmerząc z cicha, gdy wiatr powiał od zatoki. Rzadko inny głos zakłócał spokój kwietnej równiny.

Jednak w ten ciepły wiosenny dzień wrzask dziesiątek tysięcy piersi bił bez przerwy w pogodne niebo, wiatr niósł ostry zapach potu i krwi, a gdy słońce pochyliło się ku wzgórzem, zdać się mogło, że jakiś rozgniewany bóg znowu kwiecie zamienił w krew. Tysiące trupów zaległo już pola, ale zaciekłość walki nie słabła. Filip po raz trzeci mierzył się z Onomarchem, który za zrabowane w świątyni delfickiej skarby uzbroidł dziesiątki tysięcy najemników i drwił z bogów, Amfiktionów i Filipa, któremu dwukrotnie już zadał porażkę. Znowu Związek Amfiktionów Filipowi powierzył ukaranie świętokradcy i wojska macedońskie szły do świętej walki uwieńczone białym kwieciem, jako

obrońcy bogów. Kwiaty już zwiędły w upale lub wdeptane zostały w krwawe błoto, w którym ślizgały się nogi, ale sztyk falangi nie zachwiał się mimo naporu przeważającej siły. Lewe skrzydło, oparte o morze, tkwiło w miejscu, prawe, uderzeniowe, chodziło jak wahadło, posuwając się naprzód, gdy nacisk folgował, a ustępując z wolna, gdy wzrastał. Wówczas wysuwały się ruchliwe oddziały lekkobrojných peltastów, chroniąc falangę przed okrążeniem, a agriańscy łucznicy, rozrzućeni w małych oddziałkach po sąsiednich wzgórzach, szyli z łuków w gąszcz Onomarchowych najemników i zastępów focyjskich, do których wkradło się już znużenie i zniechęć. Ten i ów oglądał się czekając, kiedy Onomarch wprowadzi do walki jazdę, by spędziła ruchliwe oddziały, a pozwoliła całą siłą uderzyć i przełamać falangę. Rozproszona, w walce męża z mężem, musi ulec przewadze broni i liczby. Onomarch był jednak wodzem przezornym. Wiedząc, że Filip otrzymał posiłki jazdy tesalskiej, czekał, kiedy ją wprowadzi do bitwy, by sparować uderzenie swoją. Ale dzień miał się już ku schyłkowi, a widać jej nie było. Jeżeli Filip zostawił ją pod Farami, skąd - w pośpiechu ruszył z częścią swych sił przeciw ciągnącemu na odsiecz Onomarchowi, by nie przyjąć bitwy pod murami oblężonego miasta — po raz trzeci ulec musi przewadze. I zapewne ostatni, przymusowi bowiem jego sprzymierzeńcy zaczną odpadać, wrogowie zaś podniosą się i wlokąca się od lat „wojna święta” skończy się klęską Filipa. Przestanie udawać Heraklida, by mieszać się w domowe sprawy Hellady. Onomarch ze sprzymierzeńcami uładzi je sam.

Gdy jednak słońce pochyliło się nad wzgórze, Onomarch postanowił kończyć. Wojska jego, znużone całodzienną walką, uderzają coraz słabiej, ale i macedońskie, uznojone, nie wytrzymają uderzenia świeżych sił jazdy.

Filip od dłuższego już czasu wycofał się z bitewnego skrzyżtu i stał w otoczeniu swej straży przybocznej na nieznacznej wyniosłości za prawym skrzydłem, bacznie śledząc przebieg bitwy. W jasnym świetle pochyłonego już słońca widoczna była długa linia bojowa aż do



odległej zatoki, na której tkwiły jego triery, pilnując, by Onomarch od strony morza nie otrzymał posiłków ze stojącej w zatoce floty ateńskiej. Nieco w tyle, nad brzegiem Amfryzосу, stała jazda Onomarcha. W niej Filip utkwiał swe jedyne oko i czekał.

Jak świetlisty pocisk zaślśniły w skośnych promieniach spiszowe pancerze focyjskiej jazdy. Uszykowana w klin, mierzyła w lewe skrzydło armii Filipa. Słoneczne iskry zagrały na grotach sarys, gdy pochyliły się na przyjęcie uderzenia.

Ale jednocześnie na wzgórk, na którym stał Filip, trzykrotnie zabłysło zwierciadło, wysyłając odbłaski słońca ku pagórkom na zachodzie. Filip nie patrzył już na bitwę. Wzrok skierował ku przedgórzom Otrysu. Ale wcześniej ucho jego przez ożywiony znowu gwar bitwy pochwyciło głucho dudnienie. Potem dopiero między wzgórzami nad potokiem Kuasios ukazała się jazda. Na czele jechał ogromny mąż w świecącej zbroi, z czerwoną kitą na hełmie. Ila za ilą wysuwały się kłusem zza wzgórz, zaraz rozwijając się w ławę. Gdy wyjechali ostatni, Parmenion ręką dał znak i równina zatętniła odgłosem tysięcy kopyt idących w skok koni. Bojowy okrzyk targnął powietrzem i dopiero wówczas zajęte walką Onomarchowe szeregi dostrzegły, co nadchodzi. Ten i ów z focyjskich dowódców usiłował zawrócić swój oddział czołem ku pędzącej jeździe, ale było już za późno. Wrzaski i łomot żelaza zagłuszyły głosy rozkazów i dźwięki trąb. Przed wspinającymi się, jak delfiny na fali, końmi pomykały ku morzu tysiące już, wrzeszcząc w popłochu i ciskając broń. Jazda prawym skrzydłem wyprzedziła tłum i wихrem gnała ku zatoce, by zamknąć drogę odwrotu.

Onomarch spostrzegł się za późno, ale nie stracił głowy. Wydobywszy, ilu się udało jeźdźców z zamętu, skoczył jak szalony w bok nadbiegającym, by na chwilę ich powstrzymać i pozwolić choć części własnych sił wycofać się na bagniste u ujścia brzegi Amfryzосу. Ale sam, obalony wraz z koniem, poszedł w pęta, a focyjscy wojownicy, przyparci do morza, stłoczeni w bezładną już ciżbę, jedni rzucali broń, wyciągając ręce na znak poddania, inni szukali ratunku

w morskich falach, łudząc się nadzieją, że uda im się dopłynąć do statków ateńskich, i ginęli od pocisków miotanych przez flotę Filipa. Bitwa gasła wraz ze słońcem, fala przyływu podchodziła pod stosy trupów zalegających wybrzeże. Wcda barwiła się czerwono od krwi i blasków zachodu.

Gwar bitwy zmieniał się w szum obozu, wraz z przyływem podsuwały się trójrzędowce Filipa, na które ładowano trzy tysiące jeńców, obłuskanych już ze zbroi, z pętami na rękach. Sześć tysięcy focyjskiej młodzieży krwią swą użyźniło Krokosowe Pole, i znowu krew zamieni się w kwiecie.

Dowodzący flotą Antypater na brzegu oczekiwał króla, który w towarzystwie Parmeniona i innych strategów z wolna obchodził pobojuwisko. Zazwyczaj zimny i spokojny w czasie walki, po zwycięstwie potrafił tańczyć z upojenia. Dziś jednak zły wyraz hamowanego gniewu nie opuszczał jego twarzy. Chwilami przystawał oglądając większe sterty trupów, jakby je liczył, lub ze zmarszczonym czołem słuchał sprawozdania dowódców o stratach. Zwycięstwo było wielkie, ale nie tanie. Gdyby nie uderzenie jazdy Parmeniona, Onomarch po raz trzeci zostałby zwycięzcą.

Teraz stał z więzami na rękach, siwiejące włosy zlepięte od potu opadły mu na oczy o groźnym spojrzeniu drapieżnika. Poruszeniem głowy odrzucił je, patrząc na zbliżającego się zwycięzcę. Nie uważał gry za skończoną. Brat jego, Falajkos, ma w ręku skarby *t* świątyni, za które uzbroić potrafi większą jeszcze armię najemników, sprzymierzone Ateny i Sparta nie mogą pozostawić w ręku barbarzyńcy jedyne go wodza, który umiał nad Filipem odnosić zwycięstwa. Gdyby posiłki helleńskie na czas były nadeszły, Filip stałby teraz na jego miejscu z więzami na rękach. Onomarch opuścił oczy, jakby nie chciał, by Filip mógł z nich wyczytać, co by się wówczas stało. Znał Filipa i czekał, kiedy obłudnik zacznie mówić o układach.

Ale zwycięzca obrzucił tylko pokonanego zagadkowym spojrzeniem i zwracając się do wodzów, powiedział:

— Bogowie wydali nam w ręce świętokradców,

należy im się hekatomba . A oto było ofiarne — dodał wskazując na jeńców, i zwracając się do Antypatra, rozkazał:

— Ty złożysz tę ofiarę w moim imieniu. Do ostatniego!

Krzyż, na który wbito Onomarcha, sterczał na kształt jedyne drzewa na równinie, a na rufie triery stał Antypater i patrzył obojętnie, jak wrzucano w morze powiązanych jeńców. Gdy nie wszyscy szli zaraz na dno, kazał ich spychać w głębiny bosakami. Wreszcie na powierzchni został tylko jeden, widocznie dobry nurek, bo po trzykroć zatapiany wypływał. Oprawcy jęli szeptać między sobą, że Posejdon widocznie chce go ocalić, i patrzyli beczynn timer, jak jeniec, płynąc na wznak, oddala się w kierunku ciemniejszego brzegu. Wówczas Antypater wziął łuk od żołnierza, zmierzył spokojnie i wypuścił strzałę. Patrzył, póki ugodzony trzepał się na wodzie jak postrzelony ptak. Gdy woda się wygładziła, wsiadł do łodzi i zawrócił do lądu. Rozkazy zwykł wykonywać dokładnie.

Otrzymałszy polecenie zabezpieczenia przejścia do środkowej Hellady, Antypater powrócił na statek i z zapadnięciem ciemności flota macedońska, jak gromada cieni bez głosów i światła, ruszyła na południe i wtopiła się w mrok. Ateńczycy dopiero nad ranem spostrzegli jej odejście i ile wiatru w żaglach, a sił w wiosłach pognali do Termopil. Odetchnęli, nie zastawszy tam już Antypatra, który widząc wawóz obsadzony przez wojska ateńskie i sprzymierzonej Achai i Sparty, zawiadomił o tym Filipa, a sam wypłynął na pełne morze. Tym razem sprzymierzeńcy, choć spóźnili się z pomocą Onomarchowi, uprzedzili Filipa, zmuszonego obchodzić zatokę. Otrzymałszy w Lamii wiadomość, z miejsca zawrócił do Fer, które pozbawione nadziei na odsiecz poddały się bez walki.,

Wieść o tym przyniósł Ateńczykom Likofron, któremu udało się zbiec. Po zniesieniu Onomarcha siły sprzymierzonych zbyt szczupłe były, by szukać rozstrzygnięcia w bitwie z połączonymi siłami Filipa i jego tesalskich stronników. Pozostawiwszy tedy załogę w Termopilach, sprzymierzeńcy odeszli do domów,

Filip zaś kazał się obwołać tagosem Tesalii, przyjmując ją jako zasłużoną nagrodę za bogobojność i pomoc udzieloną bogom. Urządził się w nowo zdobytym kraju i zabezpieczywszy panowanie przez obsadzenie swymi załogami większych miast, Filip — nie wstępując nawet do Pelli, by nie zetknąć się z małżonką — pociągnął do Tracji, niszcząc — bezwzględniej niż niedawne trzęsienie ziemi — jońskie kolonie na wybrzeżu Egejskiego Morza, i zatrzymał się o dwa dni drogi od Heliespontu. W powrotnej drodze obiegł Olint, do Pelli wysyłając stratego Attalosa z poleceniem odebrania Olimpiadzie Aleksandra, który właśnie ukończył siódmy rok życia.

— Czy ojciec mój większy jest od Agamemnona, Lanike?

— Agamemnon przez dziesięć lat oblegał jeden gród, ojciec twój zaś w samej Chalkidike zburzył trzydzieści dwa miasta — odparła nianka.

Dlaczego zachwalasz zniszczenia? Czy ich rozmiar jest miarą wielkości? — ostro przerwała Olimpias, a zwracając się do syna, dodała:

— Ojciec twój w Odysa się wdał i jego przewyższył, bo ma całe stado koni trojańskich, które wprowadza wszędzie. Agamemnon zaś był wodzem wszystkich Hellenów. Twój ojciec chciałby nim być... ale nie jest nim... i nigdy nie będzie.

Urwała, chłopiec zaś patrzył na nią niespokojnym, pytającym wzrokiem i odezwał się z wyraźną przykrością:

— Klejtos mówił, że takiego króla jak ojciec nie widziała jeszcze Hellada. Nikt go nie zwyciężył.

— Klejtos kłamał — odparła Olimpias patrząc ostro i znacząco na Lanike. — Onomarch dwukrotnie pobił Filipa.

— Ale ojciec pokonał go potem i zabił — marszcząc czoło odparł Aleksander.

— To Parmenion z tesalską jazdą otoczył Focyjczyków i wyciął, a Antypater na rozkaz Filipa wytopił

trzy tysiące focyjskiej młodzieży. Oto i czyn godny bohatera! Lepiej czytamy dalej o prawdziwych, godnych pieśni herosach.

Aleksander zachmurzony przysiadł u stóp matki na podnóżku i oparłszy się ramieniem na jej kolanach, zadumane oczy utkwił w malowanym pułapie. Gdy Olimpias zaczęła czytać, przymknął powieki i słuchał nieporuszony, choć niemal na pamięć znał już dzieje swego legendarnego przodka.

*Biada ci, mężny Pelido, wieść żalosną usłyszysz,  
Przerażającą. Obyż przenigdy to się nie stało.  
Zginął boski Patroklos, i koło nagiego trupa  
Biją się, bowiem twą zbroję zabrał Hektor świetlisty.*

Aleksander otworzył oczy i przerwał:

— Czy ty bardzo będziesz płakała, matko, gdy ja zginę?

Drgnęła i zapytała nieswoim głosem:

— Dlaczego o tym myślisz? Tym, którzy dokonali wielkich czynów, bogowie dają nieśmiertelność...

Zadumana twarzyczka chłopca nie zmieniła elegijnego wyrazu; jakby swej myśli odpowiadając, rzekł drgającym głosem:

— Chciałbym mieć przyjaciela takiego jak Patroklos... którego śmierci bym nie przeżył. Ojciec mówił, bym zbierał przyjaciół. Ale ja chciałbym mieć tylko jednego...

— Ojciec twój myślał o takich przyjaciółach, jakich ma sam... kupionych za złoto.

Aleksander zwrócił na matkę swe ciemnobłękitne oczy z wyrazem żalu i niespodziewanie spytał:

— Dlaczego ty nie miłujesz ojca?

Zagryzła czerwone wargi, by nie wybuchnąć złym śmiechem. Odparła:

— Nie myśl o sprawach, których nie możesz jeszcze rozumieć.

— Dlaczego nie mogę rozumieć. Miłuję przecież ciebie. Powstał i objął matkę czułym uściskiem. Oddała mu go, mówiąc:

— I ja miłuję cię, ale jest i inna miłość. Idź się teraz bawić z Kleopatrami. Lanike pójdzie z wami nad rzekę.

— Nie chcę się bawić z Kleopatrami — odparł. Twarz chłopca przybrała nagle wyraz stanowczy i zacięty. Olimpias zapytała z westchnieniem:

— Dlaczego nie chcesz się bawić z siostrami? Zawsze bawiliście się razem.

— Inni chłopcy już się nie bawią z dziewczętami. Jestem duży i chcę się bawić w wojnę.

— Pomniesz, jak Achilles chował się razem z córkami króla Likomedesa? A większy już był niż ty.

— Bo matka chciała go ukryć, by nie szedł na wojnę. Ale ja się ukryć nie pozwolę...

— Nie chcę się ukrywać... a choćbym chciała, nie wolno mi.

Jej dźwięczny zazwyczaj głos przytłumiony był.

Przez zaciśnięte gardło dodała:

Kończysz już siedem lat. Wkrótce zabiorą mi cię.

Jasne i lśniące oczy Olimpiady zamglily się. Chłopiec gwałtownie przytulił się do niej, mówiąc żarliwie:

Nie płacz. Choćbym był na drugim krańcu świata, ni na chwilę nie przestanę myśleć o tobie... póki żyw będę.

Stali jeszcze w uścisku, gdy Lanike ujęła chłopca rękę, mówiąc:

— Pójdź. Nie będziesz żałował.

Gdy ruszył za nią z ociąganiem, patrząc pytająco, pochyliła się i rzekła szeptem:

— Klejtos przyjechał. Opowie nam o nowych zwycięstwach twego ojca. To ciekawsze niż Homer, który choć piękny, stoi jak posąg, zawsze taki sam. Twój ojciec jest jak fala, którą wicher żenię. Nikt nie przewidzi, gdzie się unieży, gdzie wzniesie.

Szorstki, gwałtowny, zuchwały i bitny Klejtos różnił się od jasnowłosych towarzyszy kruczą, niesformą jak sam czupryną, od której nazywano go Czarnym.

Chował się na wojnie, bo ojciec, Dropidas, chłopcem oddał go Filipowi, gdy siostra jego, Lanike została piastunką Aleksandra. Rodzeństwo, w niczym niepodobne do siebie, przywiązane było wzajem uczuciem ; raczej matki i syna, bo Lanike starsza była o kilka lat od brata. Klejtos zaś matki nie pamiętał. Nieczęsto się zresztą widywali, bo jako „chłopiec królewski” brał udział we wszystkich wyprawach Filipa. Teraz, już dojrzały, służył w ili królewskiej, lubiany przez towarzyszy za szczerość i wylewność. Wpatrzony niemal od dziecka w swego króla, żywił dlań uwielbienie, za które Filip płacił mu życzliwością. Znając jego przywiązanie do siostry, wysyłał go do Pelli, ilekroć zachodziła potrzeba, zresztą nie bez ukrytej myśli, że zetknąwszy się z Aleksandrem przez siostrę, udzieli mu swego zapalczywego podziwu dla czynów ojca. Filip od dawna pomiarkował, że Olimpias — chowając jego dziedzica na kapłana lub wróżbitę — z zemsty za zawiedzioną miłość, odebrać mu usiłuje przywiązanie chłopca, którego kochał jedynym trwałym uczuciem spośród miotających się w potężnej a niespokojnej piersi zdobywcy wszystkich i wszystkiego. Szanując jednak macedońskie obyczaje, na których budował swą siłę, i znając przywiązanie do nich prostego ludu jak i rycerstwa, zarazem świadomy przywiązania Aleksandra do matki, nie chciał ani jej oddalić, ani syna z jej rąk odebrać przed czasem. Ale niecierpliwie oczekiwał chwili, gdy chłopca spod wpływu matki usunie i otoczy ludźmi swego wyboru. Wśród zawilego splotu swych rozlicznych poczynań Filip niewiele czasu mógł poświęcać synowi, ale myśl o nim towarzyszyła mu zawsze. Nie trzeba było nawet takiego jak on znawcy ludzi, by przewidzieć, że z potomka tytana dzielności, jakim był sam, i demonicznej Olimpiady niewyczajny wyrośnie człowiek. Każdemu rzucało się w oczy, że od chwili, gdy Aleksander mówić zaczął, nie zaśmiał się nigdy, a wyraz skupionej zadumy nie opuszczał niemal jego twarzy. Mimo to spostrzegawczy był i nic z tego, co działo się dookoła, nie uchodziło jego uwagi. Trudny był do prowadzenia, samowolny i zacięty, a próby łamania oporu doprowadzały jedynie do wybuchów sza-



lonego gniewu, który przerażał otoczenie. Filip śmiał się z kłopotów Olimpiady, upatrując ich źródła w rozbudzeniu wyobraźni syna poezją i mistyką, w której niewyżyta namiętność i żądza władzy Olimpiady szukały swego ujścia. Pamiętał jednak, że w jego domu dużo już przelało się krwi i sam jej przelał немало, jakkolwiek przeto zwykł kobiety traktować lekko, starał się nie drażnić małżonki, przynajmniej w drobniejszych sprawach, i Olimpias, choć odrażona, zachowała swe stanowisko królowej, a Filip nałożnic swych nie trzymał w pałacu, przekonany, że niezbyt miły i długi żywot ścieliłby się im pod ręką Olimpiady.

Teraz jednak Filip obawiał się poważniejszego starcia, gdy nadszedł czas odebrania jej syna, którego niewątpliwie hodowała sobie na narzędzie swych celów. Filip wyznaczył już ludzi, z Lizymachem z Akarnanii na czele, którzy podjąć się mieli dalszego wychowania Aleksandra, nie mógł jednak sam jechać do Pelli, zajęty zdobywaniem Olintu, które dokończyć miało zjednoczenia jego państwa od Hellespontu po Termopile, pozbawiając ateńską flotę oparcia na całym północnym wybrzeżu Morza Egejskiego. Wybór osoby, która w jego zastępstwie przeprowadzić mogła sprawę z Olimpiadą, nastęrczał trudności. Antypater wprost odmówił nie chcąc, jak Filip sądził, pozwolić się wciągnąć w tarcia między królem a jego małżonką. Parmenion bawił na Eubei, gdzie wiązał morskie i lądowe siły Aten, by odciągnąć pomoc dla Olintu. resztą o ile Filip był całkowicie pewien wierności przywiązania wodza, jak i powszechnej powagi, którą się cieszył nawet u Olimpiady, odczuwał, że milczący góral nie pochwalał jego postępowania z małżonką, a instynktem człowieka mającego ustawicznie do czynienia z niewiastami czuł, że i Olimpiada nie odnosi się do Parmeniona z wyniosłą obojętnością, jaką zachowuje wobec innych wodzów. Rozważywszy wszystko, wysłał Attalosa, człowieka gładkiego, ambitnego i podstępnego, którego bynajmniej nie razila rozwiązłość; króla, raczej nawet zdał się ją podsycać, widocznie na przekór królowej. Nie było przeto obawy, że ulegnie jej wpływowi lub da się nastraszyć. Z nim razem.

przyjechał teraz Klejtos i Lanike miarkując, że królowa niechętnie słucha pełnych zapału opowieści jej brata o czynach Filipa, spotkanie mu wyznaczyła nad rzeką, dokąd zazwyczaj udawała się z dziećmi na przechadzkę.

Klejtos czekał przy moście za miastem i patrzył, jak leniwe już u ujścia fale Aksiosu niosą z gór potężne pnie, przeznaczone na budowę floty, jedyne go czynnika siły Aten, któremu Filip nie dorównywał jeszcze. Potrzebna zresztą była również do zwalczania piratów, stanowiących postrach przybrzeżnych mieszkańców i przeszkodę w handlu. Roily się od nich liczne, nie zamieszkałe wysepki i samotne, niedostępne od lądu skaliste zatoki Morza Egejskiego.

Klejtos mniej jeszcze od innych rówieśników przejął się nowinkami. Choć przyjechał wieczorem, zdołał już wprowadzić popiół macedońskim obyczajem nie mieszane z wodą wina, ale nie zdążył zmienić zakurzonych i przesiąkniętych wonią własnego i końskiego potu szat ni doprowadzić do lądu rozwichrzonej czupryny, która nosiła jeszcze widoczne ślady ucisku hełmu.

Lanike, witając brata, pogładziła go po włosach, mówiąc:

— Mógłbyś się choć wykąpać i przebrać strojnziej. Wszakże ci chiton utkałam, w którym samej królowej mógłbyś się pokazać.

Zaśmiał się, aż błysnęły wilcze zęby, i odparł:

— Królowej nie myślę się pokazywać, ale właśnie zamierzałem się wykąpać. Sam czuję, że cuchnę.

Bez namysłu zrzucił chiton i sandały. Spalony był na brąz, suchy i sękaty jak buk wyrosły na nieurodzajnym stoku. Skoczył w wodę, że jeno tysiące kropel załśniło w słońcu, i zniknął. Za chwilę jego czarna głowa wynurzyła się poniżej mostu i płynął, parszcząc, w skos ku brzegowi, gdzie cieśle wylawiali pnie i na wysokich kozłach tarli je na deski. Nim jednak zdumiona Lanike pomiarkować zdołała, w ślad za Klejtosem skoczył Aleksander. Kleopatra i Lanike wydały okrzyk przerażenia, Klejtos obejrzał się, a widząc, co się stało, zawrócił, potężnie rozgarniając wodę ramionami, pod leniwy prąd rzeki. Gdy jasna głowa

Aleksandra ukazała się na powierzchni, podpłynął mówiąc:

— Uchwycić mnie za barki, dociągnę cię do brzegu.

— Nie chcę — odparł Aleksander. — Sam dopłynę.

Lanike odetchnęła, ale patrzyła jeszcze z pewnym niepokojem, jak Aleksander mozolnie zmierzał ku brzegowi. Gdy wyszli z wody, uchwyciła Kleopatę za rączkę i zabierając szaty Klejtosa, pobiegła ku nim. Przystąpiła do leżących roztrzęsiona:

— Dziecko! Aleś mi strachu napędził...

— Nie jestem dzieckiem — przerwał Aleksander. —

Klejtos przyjechał z Attalosem, który ma mnie odebrać od matki. Będziesz teraz mogła chować własnych synów, zamiast wciąż troskać się o mnie.

Odparła z wyrzutem:

— Myślałam, że żal ci będzie mnie opuścić.

— Nie trap się, Lanike. Nie zapomnę o tobie. Ale teraz zostaw nas, mamy o swoich sprawach do pomówienia.

— I możesz mi przynieść nowy chiton, jeśli chcesz, bym wyglądał jak mydłek z dworu królowej — dorzucił śmiejąc się Klejtos.

Gdy Lanike z Kleopatą oddaliły się, Aleksander pytał chmurnie:

— Jeśli ojciec nie może, dlaczego nie przyjechał po mnie Parmenion? Któż to jest Attalos? — dorzucił pogardliwie. — Ojca zapytaj — odparł Klejtos. — Parmenion, gdyby mógł, sam zapewne by przyjechał, bo i jego Kleotasa dawno już czas odjąć niewiastom, które lalkę robią z piękнисia. Pewnie razem chować się będziecie. Basileus chce, byś miał towarzyszy. Nie zabraknie ci rówieśników, bo Hefajstion i krewniak mój, Leonnatos, też wyszli z dziecięcych lat, Anteias zaś i Amyntor prosili twojego ojca, by ich synowie razem z tobą się chowali. Pewnie chcą, byś między nimi znalazł swego Parmeniona czy — jak ty wolisz — Patroklosa. Aleksander zadumał się, ale zaraz zdradził, że myśli o czym innym.

Matka nie lubi Attalosa — powiedział.

Kejtos wzruszył ramionami i odparł: Mnie też królowa nie lubi. A może i ty już nie-  
rad będziesz słuchać o czynach ojca?

— Mów. Chcę je znać.

Słuchał z rozchylonymi wargami i oczyma utkwio-  
nymi w przestrzeń. Gdy Klejtos skończył, Aleksander  
rzekł z westchnieniem:

— Zanim dorosnę, ojciec pobije wszystkich. Co dla  
mnie zostanie?

Klejtos roześmiał się i wskazując na szkielety budu-  
jących się okrętów, dokoła których pracowicie krzatali  
się cieśle, odparł:

— Prędzej dorosisz, niż się spodziewasz, a tymcza-  
sem oni skończą budować triery. Popłyniemy za morze.  
Świat zda mi się większy, niż prawią. Bywałem ja  
z królem daleko, a choćby z najwyższej góry krańca  
ziemi nie widać. Chyba może z Olimpu, skąd bogowie  
patrzą na swoją dziedzinę.

— Tak sądzisz? — odparł Aleksander zamyślony. -  
Muszę dotrzeć do krańców świata.

## ROZDZIAŁ VII

Okazały dworzec Attalosa wznosił się na stoku wzgórza Kaladrosu. Choć inni towarzysze królewscy pobudowali swe domy w pobliżu pałacu, Attalos wolał siedzieć nieco na uboczu, gdzie Olimpiadzie trudniej było mieć oko na to, co się u niego czyni i mówi.

Stanowisko swe, jednego z osobistych strażników króla, bardziej niż męstwu i zdolnościom wojennym — choć i tych mu nie brakło — zawdzięczał Attalos umiejętności, z jaką schlebiał wszystkim słabostkom Filipa. Sam miał tylko jedną prawdziwą namiętność: żądzę władzy, do której, jak Filip, zmierzał z dalekowzroczną przemyślnością, niczego nie pomijając dla jej osiągnięcia. Choć trzydzieści lat przeszło już nad jego głową, wbrew macedońskim obyczajom nie żenił się dotychczas, upatrzwszy sobie za żonę dziesięcioletnią dopiero, najstarszą córkę Parmeniona, którego poparcie i wpływ uważał za niezbędne do swych celów. Nie bez myśli też o nim podjął się niemiłego posłannictwa. Mimo że pozyskanie wziętości u wojska, którego zgromadzenie było najwyższą władzą Macedonii, wymagało udziału w wyprawach, skłonny był nawet sam objąć przy Aleksandrze stanowisko pedagoga, znając słabość Filipa do syna i już teraz licząc na wpływ u przyszłego władcy. Gra Olimpiady była dla niego jasna i zamierzał postawić w niej swą stawkę po stroniu Filipa.



Na postanowieniu przyjazdu do Pelli zaważył jeszcze jeden wzgląd: brat jego, Klearchos, który na skutek — odniesionych na wojnie obrażeń siedział w rodowej majątności w Lynkestis, zmarł pozostawiając dwoje nieletnich dzieci, zupełnych sierot, bo i matka odumarała je przed czterema laty przy urodzeniu córeczki, Eurydyki. Ona jeszcze dla zamierzeń Attalosar nie miała znaczenia, ale bratanek Hipostratos wkrótce miał skończyć siedem lat i nieźle byłoby go umieścić przy Aleksandrze; w dziecięcych latach łatwo rodzą się przyjaźnie. Dlatego Attalos polecił przywieźć dzieci ze wsi do Pelli, a choć przyjechał wieczorem, jeno się wykąpał, kazał je sobie sprowadzić.

Hipostratos, którego zaciekało nowe otoczenie, a stryja pamiętał z domu, wszedł śmiało i powitał go swobodnie, ale mała Eurydyka, rozbudzona ze snu, tuliła się do niańki, patrząc spłoszonymi jak u sarenki oczyma na nieznanego człowieka, który w niczym nie był podobny do ojca. Attalos poklepał łaskawie chłopca i obejrzawszy go dokładnie, powiedział parę zdawkowych serdeczności. Gdy jednak niańka chciała mu podać dziewczynkę, która czepiając się jej kurczowo zaczęła płakać, machnął obojętnie ręką. Nie uszedł jednak jego uwagi niezwykle wdzięk dziecka. Pamiętał piękność jej matki, do której była podobna, a znał się na kobietach. W ruchliwym umyśle już zakiełkował zamiar: może się uda wychować z niej żonę dla Aleksandra. Królowie macedońscy żenili się zazwyczaj w kraju, ród jego spokrewniony był z panującym domem, reszta zależy od pokierowania sprawą.

Odesłał dzieci. Mała Eurydyka nie mogła zasnąć. Kwiląc cichutko jak pisklę wypadła z gniazda, długo w noc przyzywała ojca. Niańka mówiła, że ten obcy mąż z zimnymi oczyma ma go zastąpić. Chciałaby uciec przed nim, wracać do domu, gdzie znała każdy kąt i gdzie nawet w ciemnościach nie tailo się nic wrogiego. Chciała przytulić się do śpiącego obok brata, ale on odwrócił się, mruknąwszy coś przez sen. Była samotna.

Zamierzenia, jakie żywił Attalos, nie lęgną się w słabym i płochliwym człowieku, ale gdy nazajutrz

stanął przed królową, nie mógł taić przed sobą, że póki choć tylko z imienia jest żoną Filipa, nie jest równym jej przeciwnikiem. Groźba, jaką wyczytał w jej oczach, wymowniejsza była niż słowa. Zimny i sceptyczny Attalos nie wierzył w czary i uroki, o jakie powszechnie pomawiano królową. Ale wierzył, że stara wiedźma Eufemele umie warzyć trucizny, a Olimpias potrafi ich użyć. Na myśl przyszedł mu naturalny syn Filipa, Arridajos. Choć był pod dobrą opieką w dalekiej Larysie, cudem tylko uniknął śmierci, ale cherłał, niedorozwinięty, po nieznannej, nagłej chorobie, która zwałała tęgiego i zdrowego chłopca.

Gdy Attalos oznajmił królowej zlecenie Filipa, długo mierzyli się oczyma jak dwoje przeciwników, zanim uderzą na siebie. Bystry Attalos widział w jej wzroku straszliwą nienawiść, której przyczyną nie mogła być tylko niechęć do zleconego poselstwa. Domyślił się, że królowa przejrzała jego grę i wie, kto i w jakim celu rozpowszechnia wśród macedońskiego rycerstwa przekonanie, że Olimpias, w której żyłach płynie po matce barbarzyńska krew iliryjska, nie jest równa urodzeniem Filipowi. Attalos w ten sposób przygotowywał królowi grunt, by mógł oddalić małżonkę, gdy zapłonie nową namiętnością, którą jmo przez małżeństwo będzie mógł zaspokoić. Macedończycy bowiem, jak Homerowi Achajowie, z pobłażaniem patrzyli na miłostki z nałożnicami, ale stanowisko prawowitej małżonki silniejsze u nich było niż u innych ludów helleńskich — których obyczaje rozluźniły się po wojnach perskich — czego król nie mógł lekceważyć.

Attalos rozważał jeszcze, kto o jego poczynaniach mógł donieść królowej, gdy Olimpias rzekła:

— Małżonek mój wiele ma widocznie spraw ważniejszych dla niego niżli syn. Ale skoro sam nie mógł przyjechać, winien przysłać kogoś, z kim mogłabym mówić o tych sprawach. Nie będę się spierała, kto będzie Aleksandra uczył pisać czy grać na cytrze. Ale kto będzie wychowywał, nie tobie o tym stanowić.

— Parmenion nie mógł, a może i nie chciał przyjechać — odparł patrząc na nią przenikliwie a drwiąco.

Ale że z rozkazu króla tu przyjechałem i w jego imieniu, tedy możesz ze mną o tym mówić.

— Skoroś jest posłańcem króla, odniesiesz mu wiadomość: pedagogiem zwać się może Lizymach; wiem, dlaczego musiał uchodzić ze dworu w Dodonie i dlaczego nadał się królowi — wtrąciła pogardliwie. — Ale wychowywać mego syna będzie krewniak mój, Leonidas. Wychował brata mego na króla Epiru. Ty zaś bacz, byś dla bratanka swego znalazł pedagoga, który by go na wiernego sługę królewskiego wychować potrafił — gdy tobie samemu czasu może nie starczyć.

Wstała i nie obejrzawszy się, wyszła.

Attalos zrozumiał groźbę, ale postanowił wzmóc ostrożność. Docenił przeciwnika.

Surowy aż do okrucieństwa, a obowiązkowy aż do zaparcia się siebie, Leonidas mawiał, że sztuka wojenna najwyższa jest ze wszystkich sztuk, bo wszystkie żyją pod jej osłoną. Nie znał zresztą żadnej innej i za swój obowiązek uważał zaprawianie powierzonych mu chłopców do wojny. Daleki od wyrachowania, nie czynił między nimi żadnej różnicy i pod twardą jego ręką tęginal się zarówno rozpieszczony Filotas, spokojny i nad wiek wyrośnięty Hefajstion, żywy i pewny siebie Itrewniak królewski Leonnatos, chciwy wiedzy Marsjas, jak i sam Aleksander. Skończyły się, jak nożem uciął, swawolne zabawy, pieszczoty i przysmaki. Nie otrzymywali niczego, co nie było niezbędne. Często natomiast w zamian wieczery mieli całonocny marsz, a lekką wieczere z zamiast obiadu. Mozolnym dniem i nocą na twardej ławie, zimą i latem pod szorstką derą z kózkiej wełny, a pięścią pod głową, czuli nad sobą twardą rękę wychowawcy, który jedną miał tylko słabość: kazał się zwać trofeusem — przewodnikiem królewicza, uważając tytuł pedagoga za zbyt mały w stosunku do wielkiego zadania. Zbrojna w kij ręką jego z nieomylną pewnością i bezwzględnością spadała na grzbiety chłopców za każde najdrobniejsze przewinienie. Po pierwszym jednak okresie przygnębienia i przemęczenia.



Chłopcy musieli przyznać, że równie surowy był dla siebie. Sypiał i jadł razem z nimi, nie szukając przyjemności, których im odmawiał, a waga jego sprawiedliwości nie znała najmniejszych odchyień. Ilość plag za każde uchybienie ustalona była z góry, bez względu na to, na kogo spaść miały, i chłopcy, przywykły, zabawę sobie robili z obliczania, ile który zarobił, współzawodnicząc w obojętnym znoszeniu chłosty. Górował w tym nad innymi Hefajstion, Filotas zaś, który początkowo usiłował się wypraszać, zresztą bez żadnego skutku, był przedmiotem pokpiwań. W miarę zresztą jak nawykali do nowego trybu życia i poznawali wymagania wychowawcy, kary stawały się rzadsze, a przyrodzona wiekowi wesołość zapanowała w gromadce. Odbijała od niej zaduma Aleksandra. Trudy i wyrzeczenia znosił chętnie i łatwiej od innych, z myślą tym, że wkrótce przyda mu się na wojnie zaprawa, Starał się nie zasługiwać na karcenie, które budziło w nim bunt, hamowany jedynie kamiennym spokojem wychowawcy. Jego bezwzględność zdała się żywiołem, przeciw któremu opór nie przyda się na nic. Chwalić ni nagradzać Leonidas nie miał zwyczaju, najmniej za postępy w naukach, których chłopcom udzielali najlepsi nauczyciele. Polynejkes z Pelli uczył ich czytać i pisać na utworach najślawniejszych poetów, pisarzy i mówców, umiając przelać na wychowanków własny zachwyty nad ich doskonałością. Uczeń Eudoksosa i Platona, Menajchmos z Alopekonesos, wykładał geometria, wdrażając chłopców do ścisłego myślenia, zaś Alkippos z Lemnos uczył ich muzyki i śpiewu.

Najchciwszym wiedzy okazał się Marsjas, który dla nauki potrafił się wyrzec nawet zabaw i gier oraz związanej z nimi swobody. Aleksander natomiast, mimo że czytać niezmiernie lubił i pojętny był niezwykle, nie znosił i tu przymusu i narzucał nauczycielom swoje zainteresowania. Gdy próbowali wpłynąć na niego przez Leonidasa, pedagog wrzucił ramionami: chłopcy mają być wojownikami, a nie filozofami czy mówcami. Król kazał ich uczyć, by w Helladzie wiedziano, że na północ od Olimpu nie mieszkają barbarzyńcy. Sam Leonidas jednak, choć otarł się o filozofię i poezję, uważał, że

najteższy pyskacz ateński nie oprze się macedońskiemu drwalowi, który jednym ciosem topora umie ściąć gruby jak noga konar. Miał własną filozofię, którą streszczał w tym, że należy wiedzieć, czego się chce, i umieć do tego zdążać, a z poezji stale cytował Hezjoda, wiersz o słowiku i jastrzębiu, co już chłopcy umieli na pamięć:

*Głupcze! Czemu tak krzyczysz? Silniejszy cię dźrzy  
w uchwycie,  
Iść musisz, gdzie mnie się spodoba, pomimo twojego  
śpiewu.  
Pożrę cię wedle swej woli albo pozwolę ci uciec.  
Szalony, kto się porywa do walki z silniejszym  
wrogiem;  
Zwycięstwo mu nie jest pisane, a jeszcze mu hańba  
przypadnie.*

Aleksander nie był wielbicielem Hezjoda, uważając go za chłopskiego poetę, ale wiersz ten utkwiał mu w pamięci. Nie żeby śpiew słowika specjalnie go zachwycał, choć był wrażliwy na muzykę, a głos miał silny i dźwięczny, brakło mu jednak cierpliwości do ćwiczeń. Gdy Alkippos usiłował go skłonić, by się do nich przyłożył, król bowiem dowiadywał się o postępy syna w muzyce, Aleksander zapytał:

— Czyż to nie wszystko jedno, czy gram na tej strunie, czy na innej?

— Dla króla tak, ale nie dla muzykanta — odparł Alkippos.

— Ale ja nie będę muzykantem — odparł pogardliwie Aleksander.

Po kilkuletniej nieobecności Filip zapowiedział swój powrót do Pelli. Wracął okryty chwałą nowych zwycięstw, które wyniosły go na czoło, ale zarazem zaciążyły na karku Hellady. Staruszek Isokrates napisał list otwarty do macedońskiego króla, witając go jako nowego Agamemnona i zachęcając, by zamiast zużywać siły helleńskie w samobójczych walkach wewnętrznych, zjednoczył je we wspólnym wielkim celu i powiódł przeciw perskiemu królowi, a najemników bez zajęcia, ciężących Helladzie nieznośnym brzemieniem, osadził

ku ogólnemu pożytkowi w zdobytych miastach Azji Mniejszej.

Filip polecił odczytać ten list publicznie na igrzyskach które w powrotnej drodze wyprawił w Dionie ku czci Zeusa Zwycięzcy. Po raz pierwszy wzięli w nich udział zawodnicy i artyści helleńskich państweczek. Mimo, że Ateny na nalegania Demostenesa wysłały odsiecz Olintowi, Filip, rozbiwszy ją, a znaczną jej część pojawszy w niewolę, głosił wszem wobec, że nie uważa się za pozostającego w stanie wojny z Atenami i niczego więcej nie pragnie, jeno pokoju z nimi i przy-  
mierza.

## ROZDZIAŁ VIII

Zakamieniały arystokrata Fokion gardził zarówno przywódcami stronnictwa wojennego, uważając ich za głupców, jak i zachowawczego, złożonego przeważnie z dorobkiewiczów, dla których istotne były tylko zysk i używanie. Jedyne wyjątki czynił Fokion dla Hype-reidesa, jak i on sam pochodzącego z zasłużonego i możnego od pokoleń rodu, który nie szukał w polityce zysków ni znaczenia.

Żołnierz z rzemiosła i doświadczony wódz, Fokion wiedział, że Ateny, takie jakie są, nie potrafią się oprzeć Filipowi i powinny skorzystać z zaofiarowanego przez niego pokoju. Sprawa Olintu umacniała jeszcze wodza w przekonaniu, że demagodzy potokiem wyzwisk zdolają jedynie poruszyć lud do uchwał przeciw Filipowi, ale nie do skutecznego działania. Dlatego, wprawdzie niechętnie, przystąpił do filornacedońskiego stronnictwa, w sprawie pokoju jednak postanowił działać na własną rękę, ufając, że potrafi dojść do porozumienia z Hype-reidesem i przez niego wpłynąć na stronnictwo wojenne, by zajęło rozsądne stanowisko i zgodziło się na wysłanie do Pelli poselstwa. Zebrał się przeto i udał do domu Hype-reidesa, położonego w dzielnicy bogaczy koło portu.

Hype-reides przyjął Fokiona — jak zwykle niedbały, wytworny i uperfumowany. Stary wódz zagadnął bez wstępu:

— Czy wierzysz mi, że za to, czego będę się od ciebie domagał, nie otrzymałem zapłaty od Filipa?

— Sądzę, że nie potrzebujesz kłamać, żeby żyć, i należysz do nielicznych w Atenach ludzi, zbyt bogatych na to, by opłacało się Filipowi kupować ich.

— Obojętne, dlaczego mi wierzysz.

— Wierzyłbym ci nawet, gdybym wiedział, że bierzesz złoto od Filipa, ponieważ wiem, że jesteś człowiekiem rozsądnym, dlatego i mnie nie możesz uważać za łatwowiernego.

— Tym lepiej. Jenemu gdybym wziął złoto, wypadłoby mi podzielić się z tobą. Ja zaś zamierzam skorzystać z twojej powolności bezpłatnie.

— To bardzo szczęśliwy pomysł. Inaczej skończyłbyśmy rozmowę, zanim skończysz ten przydługi wstęp, po którym nietrudno mi się domyślić, że chodzi ci o zawarcie z Filipem pokoju.

— Twoja bystrość ułatwia mi zadanie. Tym chętniej posłyszę, co o tym sądzisz.

— Co ja sądzę? — odparł Hypereides. — Uważam Filipa za gburę, który potrafi zdobyć wszystko, z wyjątkiem mojego szacunku. Czy wolno wzajem zapytać, co ty myślisz o nim?

— Istotniejsze to, coś powiedział. Filip może zdobyć wszystko. Rzeczywiście, takiego wodza nie wydała jeszcze Hellada.

— Hellada nie wydała Filipa — odparł Hypereides pogardliwie.

— Nie będę się o to spierał. Natomiast zbyt wysoko cenię twój rozsądek, bym mniemał, że podzielasz zdanie tego krzykacza Demostenesa, iż Hellada na podstawie niezmiennego wyroku Losu ma do wyboru hegemonię Sparty, Aten i Teb, gdy zaś Sparta została przez Teby obalona, one zaś zajęte są wojną focyjską, jakoby zmiana straży w kolejności przypadła Atenom?

Gdy Hypereides milczał, Fokion podjął:

— Widzę, że mi nie przeczysz. Czy jako strateg mam ci wyliczyć, jaki jest stosunek ateńskich sił, ludzi, pieniędzy, zasobów do macedońskich, czy może wystarczy ci fakty? A jako polityk, czy nie przyznasz, że naszą stawką wobec Filipa jest szacunek, który Filip chciałby

pozyskać, a wie, że nie zdobędzie go siłą ani nie kupi złotem?

— Mojego szacunku niczym. A silniejszą jeszcze stawką jest nasza flota.

— Ale potrzebne do jej budowy drewno i smołę ma Filip. Pogarda zaś i nienawiść nikogo nie zabijają, nie są więc żadnym orężem w walce. Nie mówię już o wyziskach, których nie szczędzi Filipowi Demostenes, bo z nich Filip śmieje się za darmo, gdy za sprośne piosenki, jakie dla niego układają nasi wesołkowie w Diomeis, musi płacić. Filip bez wyboru łyżkami jadłby sól attycką, kupuje wszystko, co od nas pochodzi. Niechże tedy kupi jeszcze pokój, który nam bardziej potrzebny niż jemu. Gdy się samemu nie jest najsilniejszym, trzeba być przyjacielem najsilniejszego.

— Takim jak on przyjacielem mogę być dla niego i ja. Nie sądzisz chyba, że dotrzyma jakiegokolwiek układu?

— Postawię sprawę inaczej: czy sądzisz, że możemy teraz, gdy cała Hellada łąsi się i ubiega o względy Filipa — prowadzić z nim inną wojnę niż na obelgi i uchwały?

— To, co mówisz, jest właśnie podstawą polityki waszego stronnictwa, której nie podzielam: byle dziś było dobrze!

— I ja przyłączam się do niej nie dlatego, bym ją pochwalał, lecz że nie widzę lepszej. Na prowadzenie wojny bez nadziei zwycięstwa jest zawsze czas.

Widząc, że Hypereides zbiera się do złośliwej odpowiedzi, Fokion ciągnął:

— Nie mów mi jeno zaraz o Termopilach. Spartanie umieją umierać, bo, jak u nas się mówi, tak jak żyją oni, nie warto żyć. Ale sam wasz Demostenes stwierdził, że nie można roboty z siebie zrzucić nawet na przyjaciół, a cóż dopiero na bogów, co nie przeszkadza mu zapewniać nas o ich życzliwości, która ma położyć kres potędze Filipa, ponieważ ta nie wyrosła na uczciwej polityce. Jeżeli nie uważasz tego sądu za naiwny, to zdajmy wszystko na bogów. W przeciwnym razie korzystajmy z prawdziwej czy udanej, ale w każdym

razie trzymającej się ziemi życzliwości Filipa i zawrzyjmy pokój w tej wojnie, którą on prowadzi rzeczywiście, mówiąc, że jej nie chce, my zaś gardłujemy za nią, nie robiąc nic.

— Możecie ślać do niego — odparł Hypereides — ale nie mnie. Ja umiem i lubię żyć, ale nie na sposób i z łaski Filipa. Mogę ci najwyżej przyrzec, że nie będę nikomu przeszkodą! żyć z jego łaski.

— I ja potrafię żyć bez jego łaski — odparł Fokion sucho, czując przytyk w słowach gospodarza.

— Wiem, że Persowie dobrze ci zapłacili za zdobycie Cypru — rzucił Hypereides.

— O ile wiem, i ty bierzesz pieniądze za obronę łotrów przed sądami, bo to jest znowu twój zawód — odparł Fokion. — Ale w sprawie, o której mówimy, ani ja nie wziąłem macedońskiego złota, ani ty perskiego. Dlatego możemy wzajem zachować dla siebie szacunek, na których nie zasługują inni członkowie naszych stronnictw.

Hypereides zaśmiał się i odparł:

— Przekonałeś mnie. Dla słuszności wyjątek zrobiłbym jeszcze dla dwóch: Isokrates z twojego i Likurg z mojego stronnictwa.

— Mam szacunek dla ich uczciwości, ale nie dla ich rozumu. Jeżeli zaś są jeszcze inni, którzy nie biorą złota, to jeno dlatego, że im nikt nie daje.

Porozumiawszy się z Hypereidesem, Fokion bez trudu przeprowadził swe zamierzenia. Na wniosek Filokratesa, poparty przez Eubulosa, zgromadzenie uchwaliło wysłać do Pelli dziesięcioosobowe poselstwo, w którym ze stronnictwa wojny miał wziąć udział Demostenes. Znając ambicję mówcy, który karierę swą budował na zwalczaniu macedońskiego króla, bez względu na skutki, jakie to może wywołać dla Aten, Fokion podejrzewał, że bierze on udział w poselstwie po to, by je udaremnić. Nie sposób jednak było pominąć w nim udziału sławnego mówcy bez narażenia się na zarzuty, że Fokion ma w tym interes, by w poselstwie uczestniczyli sami stronnicy Filipa.

Dla Demostenesa jednak najistotniejsze było, że po raz pierwszy trafia mu się sposobność wystąpienia wo-

bec całej Hellady i zabłyśnięcia przed mą swą wymową. Zwyczajem swym przygotowywał się do tego dniem i nocą, ważąc i polerując każde słowo i gest. Ogolił sobie pół głowy, by zmusić się do ślęczenia w domu, a skończywszy opracowanie, ćwiczył się w wygłaszaniu, chodząc stromą ścieżką na wzgórza Likabetos lub stojąc pod kanciastą belką, zawieszoną nad prawym ramieniem, starał się opanować odruch podrzucania nim, gdy się zapamiętał. Gdy nadeszła chwila wyjazdu, pewny był już swego i przechwalał się, że zatka Filipa, demaskując go wobec całej Hellady i zmuszając do poszanowania praw i umów. Z góry przeżywał chwilę wymarzonego zwycięstwa helleńskiego umysłu nad chytrością barbarzyńcy.

Pierwsze wątpliwości naszły Demostenesa po przyjeździe do Pelli. Miasto nie mogło zaimponować Ateńczykowi swym wyglądem, ale ruchliwością i rozmachem przewyższało wszystkie miasta helleńskie. Wolny od cła port roił się od obcych statków. Powitanie Filipa, którego świadkiem był Demostenes, napełniło jego serce gorzką pewnością, że nieprawdą było, o czym zapewniał Ateńczyków, iż ustawiczne wojny budzą niechęć ludu macedońskiego do wojowniczego króla. Filip był jego bożyszczem, począwszy od cieśli i robotników portowych, a kończąc na najwyższej arystokracji, która strojem, obyczajem i wykształceniem niczym nie ustępowała Hellenom.

Sam Filip również zaskoczył Demostenesa. Słyszając o jego opilstwie i rozpuście, spodziewał się ujrzeć zniszczonego człowieka o spłoszonym wejrzeniu, nadrabiającego niepewność błazeństwem. Tymczasem ujrzał człowieka w pełni sił, pięknej postawy, mimo kalectwa o czerstwym i żywym wyglądzie, w zachowaniu pełnym spokojnego dostojeństwa i pewności siebie, gdy w otoczeniu swych wodzów i odzianych w skóry naczelników podbitych barbarzyńskich plemion przyjmował uniżone holdy, jakie składały mu poselstwa. Demostenes musiał przyznać, że wiele ukrytych uszczypliwości i aluzji, którymi umiejętnie naszpikował przygotowaną mowę, odniosłoby skutek przeciwny zamierzeniu, nie było zaś czasu na przygotowanie nowej. Po-



nadto Filip w swym gładkim i swobodnym przemówieniu powitalnym wybrał wiele wiatru z żagli mówcy. Demostenes stracił pewność siebie i z wzrastającym niepokojem oczekiwał swej kolejności przemówienia. Jako najmłodszy w poselstwie ateńskim, mówić miał ostatni i gorączkowo, jednym uchem słuchając, co mówią inni, starał się ułożyć swoje przemówienie, nie nawykł bowiem mówić bez przygotowania.

Gdy wreszcie nadeszła jego kolej i Demostenes wystąpił przed zgromadzonych, twarz drgała mu z podniecenia i nie był pewny swego głosu. Całą uwagę skupić musiał na tym, by nie podrzucać ramieniem. Z nieważnością patrzył na króla, który ręką sięgnął do ust, jakby chciał ukryć uśmiech — i gwałtownie zaczął, od pierwszego słowa czując, że nie panuje nad tym, co mówi. Rozpaczliwie starał się schwycić uciekający wątek, który wreszcie urwał się i zaległa kłopotliwa cisza. Demostenes poprzez dudnienie w uszach podchwytował coraz głośniejsze szepty. Milczenie przerwał Filip odzywając się pobłaźliwie:

— Mówca nie jest aktorem, który musi umieć na pamięć swą kwestię. Przypomina raczej wojownika, zdolnego w każdej chwili zmienić swe postanowienie, a najsilniejsze uderzenie — znacząco skłonił głowę — zastosować na ostatku. Ale skoro się okaże niepotrzebne, potrafi od niego odstąpić. Wiem — ciągnął uśmiechając się wyrozumiale — że gotowałeś się do walki ze mną. Ale widzisz, że jest zbędna. Gdybyś jednak był odmiennego zdania, odroczę posłuchanie do jutra. Zresztą najlepszego śpiewaka słuchać należy bez chóru.

Król powstał zapraszając poselstwo na ucztę. Demostenes patrzył na niego przekrwionymi oczyma. Ni poszedł z innymi biesiadować. Siedział w swej gospodzie i płakał. Dotychczas zwalczał Filipa jako przeciwnika politycznego. Teraz znienawidził go i nienawiść ta stała się treścią jego życia, siłą swą czerpiąc w bezsilie. Prócz jadowitej śliny nic nie miał do przeciwstawienia genialnemu obłudnikowi.

Gdy nad ranem powrócili podchmieleni posłowie ateńscy do gospody i Ktesifon zachwycał się obejściem

króla, Ajschynes zaś, nie bez złośliwości, jego krasomówstwem, Demostenes odparł pogardliwie:

— Nasz aktor Aristedemos lepiej odgrywa króla niż Filip i jest, wytworniejszy. Ale ty tego nie potrafisz ocenić, Ajschynesie, bo aktorem byłeś trzeciorzędnym, dlatego imponuje ci nawet ten barbarzyńca. Jeśli zaś chodzi o pijaństwo, to nasz Filokrates jest lepszą gąbką niż Filip, bo nawet po pijanemu potrafi nie pokazywać swej prawdziwej natury.

Ajschynes, wzruszając ramionami, odparł:

— Nie dziwię się twej złości. Nawet mnie było niemiło po twoim wczorajszym wystąpieniu, choć — jak wiadomo — nie jestem twoim przyjacielem. Filip gotów pomyśleć, że Ateny nie mają nie tylko godnych jego wodzów, ale nawet mówców.

— Wyklóćcie się teraz — wtrącił drwiąco Filokrates. — Po południu mamy rozpocząć układy. Nie wyjdzie im na korzyść, jeśli Filip pomiarkuje, co wzajem o sobie myślicie.

Filip jednak wiedział wszystko, co mu było potrzebne. Nie szczędził Atenom nieokreślonych obietnic, za uznanie jednak swych dotychczasowych zdobyczy zobowiązywał się jedynie nie atakować ostatniej już większej posiadłości ateńskiej, trackiego Chersonezu, i zawarłszy rozejm na zasadzie obecnego stanu posiadania, wysłał do Aten poselstwo z Antypatrem na czele celem ostatecznego ułożenia traktatu i odebrania przysięgi.

Wraz z nim wracało sownie obdarowane ateńskie poselstwo. Zadowolony był nie tylko Filokrates, który został bogatym człowiekiem, ale nawet Demostenes, przekonany, że dzięki niemu położona została tama zachłanności macedońskiego króla. Postawił wniosek o uwieńczenie legacji i naśladując sposoby Filipa, podejmował posłów we własnym domu hojnie i wystawnie, postarał się dla nich o honorowe miejsca w teatrze i usiłował pozyskać ich własną i publiczną gościnnością w nadziei, że przy układach okażą się względniejsi.

Rychło spostrzegł jednak, że wydatki na ich podejmowanie są stracone. Układy prowadził sam Antypater, gładki i uprzejmy, lecz twardy jak kamień, a śliski jak wąż. Ateny znał nie gorzej od samego Demostenesa,

z wielkim uznaniem wyrażał się o ich sztuce, literaturze i filozofii, a niemal z uwielbieniem o swym mistrzu Platonie. Cierpliwie wysłuchiwał dzień po dniu ateńskich projektów, zmierzających do ścisłego ujęcia traktatu i zabezpieczenia sprzymierzeńców przed napaciami Filipa. Żądań zwrotu Amfipolis słuchał Antypater z pobłażliwym uśmiechem, jak paplania dzieci, wzmianek o włączeniu Focydy do układu zdał się nie słyszeć. Gdy wreszcie, mimo protestów Demostenesa, wniesiono projekt na ogólne zgromadzenie, mówca zaatakował jego brzmienie. Ku jego zdziwieniu Antypater ustąpił bez większego oporu, zgodził się na włączenie do układu innych państw helleńskich, nie wyłączając Halonezu i Focydy. Zaprzysiężony układ, wyryty na kamiennej tablicy, umieszczony został na rynku i Demostenes, dumny z osiągniętego wyniku, wyjechał z pozostałymi posłami do Pelli, by z kolei odebrać przysięgę od Filipa.

Króla jednak nie zastał w stolicy i teraz dopiero Demostenes zrozumiał, co oznaczała niespodziana ustepliwość Antypatra. Gdy on przewlekał układy, Filip wykorzystał każdy dzień, zbierając zdobycze jak pilny gospodarz snopy, z którymi ucieka przed ulewą. Widoczne było, że zanim zaprzysięże pokój, postanowił je zaokrąglić. Piorunującym działaniem wziął Abderę i Aenos, rozbił Kersobleptesa, łamiąc resztę oporu w Tracji, i zawarłszy przymierze z tyranem Kardii, zamknął dla Aten Hellespont, odcinając im drogę do portów zbożowych na Morzu Czarnym, gdy poselstwo ateńskie czekało na niego w Pelli, mile spędzając czas na ucztach i zabawach.

Powrócił wreszcie i późną wiosną Pella zaroiła się od przyjezdnych. Przybyły poselstwa niemal wszystkich państw helleńskich z prośbami, żadaniami i życzeniami, których spełnienie zawisło od macedońskiego króla. Focyjczycy pragnęli zakończenia wojny świętej, Teby chciały zniszczenia Fokidy i oddania Beocji. Sparta osłabienia znienawidzonych Teb, które obaliły jej hegemonię i na jej sławie wojennej położyły niezatartą plamę Leuktry i Mantinei, a wyjątkowo Ateny zgodne były ze Spartą, lękając się wpływów tebańskich na

Eubei. Z kolei państw<sup>3</sup> peloponeskie z obawy przed Spartą żądały ochrony, spodziewając się uzyskać miejsce w Radzie Amfiktionów. Przeciw temu występowała Tesalia, zmierzająca w Radzie do przewagi. Jak we wklęsłym zwierciadle skupiały się w Pelli wszystkie przeciwieństwa świata helleńskiego, które umiejętnie wygrywał Filip, rozkoszując się tym, że w jego ręku znalazło się rozstrzygnięcie. Z przyjemnością słuchał kłótni, wyzwisk, obelg i zarzutów, jakich nie szczędzili sobie wzajem przedstawiciele Hellady, a jalcby dla powiększenia zamętu niespodzianie przychylność swą zwrócił ku Atenom, których poselstwo oczekiwało zatwierdzenia układu, zawartego po przegranej wojnie. Sprzymierzone Teby były zaniepokojone, Sparta zawiedziona, ale Filip nie troszczył się o to. Postanowił widocznie kupić sobie Ateny, i to nie tylko jak zwykle hojnie obdarowując posłów i obiecując ustępstwa cudzym kosztem, ale nawet ponad żądanie przyrzekł zwolnić jeńców bez wykupu.

Tu jednak natrafił na przeszkodę, z jaką się nie liczył. Demostenes nie tylko odmówił opryskliwie przyjęcia podarunków, ale nawet odebrania jeńców bez zapłaty, a pokłóciwszy się o to z Ajsohysem, napisał do Aten list, zarzucając zdradę współposłom, a nawet usiłując wynająć statek, by odjechać. Filip potrafił to udaremnić i przejął list mówcy. Ale mimo że przejrzał grę Demostenesa, iż stworzyć zamierza jedynie dla swego stronnictwa pozory, że w ostatniej chwili chciał zerwać rokowania, i mimo, że jasne było, iż Ateny nie mogą sobie pozwolić na dalszą wojnę z Filipem, król nie potrafił przełamać zaciętości Demostenesa.

Filip umiał być cierpliwy w miarę potrzeby. Choć więc dobrze znał wystąpienia mówcy skierowane przeciw niemu, chybiwszy przekupstwem, postanowił ująć mówcę pochlebstwem. Wydał wspaniałą ucztę na cześć ateńskiego poselstwa, na której szczególnie względy okazywał Demostenesowi, odstępując mu miejsce gospodarza. Z przesadną uprzejmością rozmawiał z nim, jakby sprawy ateńskie jeno od niego zawisły, dając mu do zrozumienia, że jest jedynym w Helladzie godnym króla przeciwnikiem i porozumienie między nimi usunie na

drugi plan wszystkie inne sprawy. Z wyrozumiałym uśmiechem zaczął cytować ustępy wrogich dlań przemówień Demostenesa i wreszcie wyraził chęć zaznajomienia go ze swym synem, który mimo pacholęcych lat zachwyca się już wymową retora i pragnąłby poznać największego mówcę Hellady.

Demostenes łykał pochlebstwa jak należy sobie hołd, ani na chwilę jednak nie zapominając, że stronnictwo wojenne w Atenach straciłoby znaczenie, gdyby dał się przejednać Filipowi. Dlatego zachowywał się powściągliwie, nie mógł jednak odmówić prośbie zawarcia znajomości z Aleksandrem, tym bardziej że i sam był ciekaw ujrzeć następcę Filipa, o którym wiele już słyszał.

Filip zaraz kazał posłać po syna, zamierzając przy sposobności pokazać mówcy, że wychowuje Aleksandra helleńskim obyczajem na wykształconego człowieka, a może i w nadziei, że Aleksander, do którego łąnęli ludzie, potrafi przejednać przeciwnika.

Długo jednak trwało, zanim wezwany przyszedł. Chłopcy bowiem, korzystając z zamieszania, używali swobody, wałęsając się po mieście, zaglądając wszędzie; wdając się z przejezdnyimi w gawędy, oglądając konie, broń, stroje, dopytując się o obyczaje, okolice, ludzi i sprawy. Aleksander bez trudu dowiedział się przy tym, jaką rolę odgrywa w Atenach Demostenes, bo mówili o nim wszyscy, a wracając do zamku, powiedział do nieodstępnego Hefajstiona:

— Trzeba by zapytać Leonidasa, co robić, gdy **krp-gulec** chce puścić słowika wbrew jego woli?

— Myślisz o Demostenesie? — zaśmiał się Hefajstion. — Król chce, aby zaśpiewał dla niego.

— A tymczasem śpiewa przeciw niemu i nadal **tak** będzie. A starczy szpony ścisnąć, by zamilkł.

— Ojciec twój rad by przewodzić Helladzie, a, jak mówią, Ateny są jej słońcem.

— A cóż to jest Hellada?! — odparł Aleksander.

— Jak to? — zapytał Hefajstion zdziwiony. — Od czasów Archelaosa dobijamy się o to, by nas za swoich uważano. I cóż znamy lepszego ponad Helladę?

— **Cóż** znamy innego? Od dziecka mówią nam wciąż

o Helladzie. Czy Hellada to ci pyskacze, co tu przyjeżdżają klócić się jak przekupnie i łasić Filipowi jak psy? Czy gdyby ich zadusić, zamilknie razem z nimi Homer i Ajschylos, i Pindar?

— Dziwne to, co mówisz — odrzekł Hefajstion. — Ale, jak głosi Leonidas — twój ojciec wie, czego chce i jak do tego zmierzać. A ty musisz ojca słuchać.

— Muszę. Ale nie chcę.

Hefajstion nic nie odrzekł. Przywykł do wypowiedzi swego towarzysza. Dumny był, że jemu tylko się zwierza.

Przy bramie zamku wpadł na wracających Alkippos uprzedzając Aleksandra, że król ma go przedstawić ateńskiemu poselstwu.

— Przebierz się i weź ze sobą cytrę. Masz im zaśpiewać.

Aleksander zachnął się.

— Czy mało tam cytrzystek? — zapytał.

— Ale ojciec chce, byś ty śpiewał — odparł nauczyciel.

— A czy oni mnie też będą śpiewać?

— Zapytaj o to ojca. Może i im każe śpiewać, ale na razie kazał tobie.

Znając Aleksandra, pewny był już jednak, że popis się nie uda. Nigdy jeszcze Aleksander nie śpiewał tak fałszywie ni tak nie lekceważył, w jaką strunę uderzy. Posłowie podśmiewali się, król był widocznie niezadowolony, chcąc jednak zatrzeć wrazenie, przywołał syna i poznajomiwszy go z Demostenesem, usiłował wciągnąć do rozmowy. Aleksander patrzył na mówcę, jakby konia oglądał, ale na zadanych z uprzejmości kilka pytań nie odpowiedział ni słowem. Demostenes wzruszył nieznacznie ramionami i zaniechał dalszych pytań, w przekonaniu, że onieśmiela chłopca, a to, co słyszał o bystrości i pewności siebie Aleksandra, zdało mu się zwyczajnym pochlebstwem.

Wracając po nieudanym występie Alkippos, który obawiał się nagany ze strony króla lub co gorsza nawet zwolnienia z dobrze płatnego stanowiska nauczyciela, nie mógł wytrzymać i rzucił zgryźliwie:

— Zachowałeś się jak gamoń!

— Czy gamoniem jest dla ciebie każdy, kto fałszywie śpiewa? Tedy szukaj mędrców między fletnistami.

- Gamoniem jest ten, kto nie potrafi, gdy trzeba, zdobyć się nawet na zwykły wysiłek.

- Mnie nie trzeba — odparł Aleksander.

- Ale Demostenes będzie cię uważał za gamonia.

- Jeśli tak myśli, to jest zarozumiałym głupcem.

Alkippos westchnął. Po chwili rzekł:

— Król będzie niezadowolony...

— Tym lepiej. Nie każe mi więcej robić tego, na co nie mam ochoty.

Nie było co odrzec Alkippos pomyślał jednak, że dość wcześnie syn zaczyna się buntować przeciw ojcu. Gdy zaś powiadomiony przez niego o zajściu Leonidas jeno wzruszył ramionami, muzyk postanowił nie wchodzić w te sprawy, za którymi stoi niewidoczna niemal dla otoczenia królowa. Alkippos zaś, choć wiedział, że syn często do matki zachodzi, nie domyślał się jednak, podobnie jak i inni, że królowa z dziesięcioletnim synem omawia wszystkie pociągnięcia Filipa. Pozbawiona wszelkiego na nie wpływu, Olimpias namiętnie śledziła ich przebieg, usiłując własne poglądy wpoić w syna, na tym budując nadzieję odzyskania utraconych wpływów.

Głęboki i trwałe rozdźwięk między rodzicami ciążył n». dzieciństwie Aleksandra, który zrazu do obojga był przywiązany, teraz zaś już zaczynał sobie zdawać sprawę z istoty rozdźwięku. Choć bardziej ulegał wpływem matki, Aleksander wewnętrznie zaczynał bronić się przed nimi, widząc, że matką kieruje niechęć do Filipa. Buaziło to w nim jednak uczucie osamotnienia, zamykaj się w sobie i przedwcześnie starał się wyrobić własny sąd o sprawach, które od dzieciństwa podniecały jego wyobraźnię. Dlatego gdy rówieśnicy jego zajmowali się rozrywkami, on, jedynego powiernika mając w milczącym Hefajstionie, dojrzywał do najważniejszych spraw tak szybko, że nie domyślało się tego otoczenie. Nawet gdy czasem zdradził się ze swymi myślami, starsi brali jego zachowanie za objaw upor, którym odznaczał się od dzieciństwa, lub niedojrzałej zarozumiałości. Nikt nie podejrzewał, że nie uznaje już

niczyjej powagi i ma własny sąd o ludziach i sprawach. Pozostała mu jedynie dziecięca wiara w bogów, ale w miarę jak wczytywał się w dramaty Eurypidesa, i ta powaga zaczynała chwiać się. Wierzył jeszcze, że są od ludzi silniejsi, ale wiedział, że nie są od nich lepsi. Zeus, który stracił do Tartaru własnego ojca, a wszechmocy swej używał do zaspokojenia zachcianek z ziemiankami, przypominał mu Filipa, a zazdrosna o nie Hera — matkę. Bolesną próżnię, jaką u chłopca wywoływał brak wszelkiego oparcia wewnętrznego, wypełniać zaczynał pełen zapału podziw dla ludzkiej myśli i sztuki.

Może najzdolniejszym do zrozumienia chłopca byłby sam Filip, który pamiętał, że i on, rako wyrostek kilkunastoletni, niczym nie rozporządzając, potrafił obmyślać szerokie i dalekie zamierzenia, które inni wówczas również uważaliby za mrzonki zarozumiałego młokosa. Teraz stały się rzeczywistością, która zdumiewała przyjaciół i zaskakiwała wrogów. Demostenes z goryczą w sercu sam musiał przemawiać za pokojem, w głębi żywiąc jednak uporczywie nadzieję, że to nie pokój, jeno rozejm. Hellada nie może ulec barbarzyńcy.

;

Trzeźwiej patrzył na sprawy Ajschynes, twierdząc, że w Atenach nie brak ludzi gotowych gardłować przeciw Filipowi, ale nie znajdzie takich, którzy by chcieli z nim walczyć. Wnukowie bohaterów spod Maratonu i Platei woleli spychać obowiązek służby wojskowej na barki wałęsających się wszędzie najemników, obliczywszy, że pociąga to za sobą mniejsze straty niż zaniedbanie interesów, przymykając oczy na to, że strategowie prowadzą własną politykę, o której nawet mówić było niebezpiecznie. Gdy Filip na Wielkie Pana-? tenaje odesłał jeńców, nie tylko bez okupu, ale nawet sownie obdarowanych, wraz z uspokajającym piśmie, zaczęło się spożywanie owoców pokoju. Ateńczycy rozpuścili najemników, z ulgą zrzucając ciężar, Filip zaś uderzył na Ilirów i Dardanów. Mimo zamętu w Persji uznał, że jeszcze nie pora przeciw niej wyruszyć, zanim się ze wszystkich stron nie ubezpieczy, i korzystał z chwilowego spokoju w Helladzie, by umocnić owoce swych zdobyczy na Chalcydyckim Półwyspie.



Dopiero ciężka rana, jaką odniósł w tej wojnie, zmusiła go do powrotu, ale nie do zaniechania dalszych przygotowań. Teraz skierował oczy na Eubeę i Peloponez, nie przestając zabiegać o przychylność ateńskiego demosu, zawsze skłonnego wierzyć gestom schlebającym jego dumie i obietnicom pozwalającym spokojnie myśleć o zarobkach.

## ROZDZIAŁ IX

Po raz pierwszy też od dawna mógł się Filip zająć wychowaniem syna. Rozumiał go lepiej niż inni i w związku z Demostenesem widział objaw uporu, z którym dotychczasowi wychowawcy nie umieją sobie poradzić. Leonidas utrzymuje karność tępym sposobem, jakby psy zaprawiał do łowów, nauczyciele pozwalają chłopcu wodzić się, gdzie mu się podoba. Filip nie chciał łamać syna, i dlatego oglądaj się za pedagogiem, który by potrafił zyskać u Aleksandra powagę, nie uciekając się do przymusu. Gdy zaś dotarła do niego sława Diogenesa z Synopy, przez przyjaciela Demaratos z Koryntu zwrócił się do niego, by objął wychowanie syna lub wskazał mu któregoś ze swych uczniów na pedagoga.

Odpowiedź przywiózł Filiskos. Diogenes pisał: „Słusznie czynisz zabiegając, by syna wychować na rozsądnego męża, bowiem trzeba się uzbroić w rozsądek, by żyć, albo w powróż, by się powiesić. Ale rozsądku nie przybywa ani z gry na cytrze, ani z matematyki, ani z retoryki. Mówcy bowiem umieją mówić rzeczy słuszne, ale sami ich nie wykonują, matematyk patrzy na księżyc i gwiazdy, a nie widzi tego, co ma pod nogami, muzyk troska się, by instrument miał nastrojony, ale nie duszę. Poezja zaś podobna jest do malowanych owoców, które są piękne, ale trudno nasycić się nimi. Najpiękniejsza jest wolna myśl, która jak

świeży owoc zaspokoić umie wszelkie pożądania, nawet głód i pragnienie.

Posyłam ci młodzieńca, którego nauczyłem myśleć, losowi przeciwstawić odwagę, prawu — naturę, namiętności — rozsądek. Syna, o którym słyszałem od Demaratosy, że jest dzielnym chłopcem, jakich spotykałem tylko w Lakedajmonie, pomoże ci on wychować na dzielnego męża, jakich brak w Helladzie, o czym ty wiesz najlepiej. Ponieważ Filiskos nie dba o twoje złoto ani nie ceni królów wyżej niż innych ludzi, sądzę, że podoła swoim obowiązkom. Nie ujeździ bowiem żrebaka, kto do niego przystępuje z obawą i pozwala mu się nosić, miast nim kierować. Za nagrodę stanie mu przekonanie, że wszystkim wyjdzie na użytek, by ci, co władzę sprawują, mieli przynajmniej tyle rozsądku, co siły, czego i tobie życzę. Chajre!"

Filip uśmiechał się, czytając list filozofa, po czym zwrócił się do Filiskosa mówiąc:

— Pisz mi twój mistrz, że gardzisz złotem i łaską królewską. Nie wiem przeto, co ci zaoferować za to, byś syna mego wychował na dzielnego męża?

— A co dałeś tym, którzy ciebie na dzielnego męża wychowali? — spytał Filiskos.

Król zaśmiał się:

— Nikt mnie nie wychowywał. Ale z nauk Pitagorejczyka wiem tyle, że o wszystkim można myśleć tak albo inaczej. Nie miałem czasu rozmyślać, kto ma słuszność. Platon mówi zaś, że dobrze byłoby, gdyby królowie byli filozofami.

— Trafnie mówi twój Pitagorejczyk, że można mieć różne poglądy na tę samą sprawę. Diogenes bowiem uważa, że lepiej, by królów nie było.

Filip zaśmiał się znowu:

— Przekonaj o tym swego ucznia. A tymczasem przebierz się, byś jak platończyk był, a nie cynik. Sądzę bowiem, że piękny ubiór nie przeszkadza dzielności, jak dobremu koniowi ładna uprzęż.

— Nie zamierzam twego syna przekonywać o niczym więcej, jak tylko, że własny rozsądek kierować ma człowiekiem, jak jeździec koniem. A dojeżdżacza rzeczą jeno wrodzone zalety konia rozwinąć.

## ROZDZIAŁ IX

Po raz pierwszy też od dawna mógł się Filip zająć wychowaniem syna. Rozumiał go lepiej niż inni i w zajęciu z Demostenesem widział objaw uporu, z którym dotychczasowi wychowawcy nie umieją sobie poradzić. Leonidas utrzymuje karność tęym sposobem, jakby psy zaprawiał do łowów, nauczyciele pozwalają chłopcu wcdzić się, gdzie mu się podoba. Filip nie chciał łamać syna, i dlatego oglądał się za pedagogiem, który by potrafił zyskać u Aleksandra powagę, nie uciekając się do przymusu. Gdy zaś dotarła do niego sława Diogenesa z Synopy, przez przyjaciela Demaratos z Koryntu zwrócił się do niego, by objął wychowanie syna lub wskazał mu któregoś ze swych uczniów na pedagoga.

Odpowiedź przywiózł Filiskos. Diogenes pisał: „Słusznie czynisz zabiegając, by syna wychować na rozsądnego męża, bowiem trzeba się uzbroić w rozsądek, by żyć, albo w powróż, by się powiesić. Ale rozsądku nie przybywa ani z gry na cytrze, ani z matematyki, ani z retoryki. Mówcy bowiem umieją mówić rzeczy słuszne, ale sami ich nie wykonują, matematyk patrzy na księżyc i gwiazdy, a nie widzi tego, co ma pod nogami, muzyk troska się, by instrument miał nastrojony, ale nie duszę. Poezja zaś podobna jest do malowanych owoców, które są piękne, ale trudno nasycić się nimi. Najpiękniejsza jest wolna myśl, która jak

świeży owoc zaspokoić umie wszelkie pożądania, nawet głód i pragnienie.

Posyłam ci młodzieńca, którego nauczyłem myśleć, losowi przeciwstawiać odwagę, prawu — naturę, namiętności — rozsądek. Syna, o którym słyszałem od Demaratosy, że jest dzielnym chłopcem, jakich spotykałem tylko w Lakedajmonie, pomoże ci on wychować na dzielnego męża, jakich brak w Helladzie, o czym ty wiesz najlepiej. Ponieważ Filiskos nie dba o twoje złoto ani nie ceni królów wyżej niż innych ludzi, sądzę, że podoła swoim obowiązkom. Nie ujeździ bowiem zrebaka, kto do niego przystępuje z obawą i pozwala mu się nosić, miast nim kierować. Za nagrodę stanie mu przekonanie, że wszystkim wyjdzie na pożytek, by ci, co władzę sprawują, mieli przynajmniej tyle rozsądku, co siły, czego i tobie życzę. Chajre!"

Filip uśmiechał się, czytając list filozofa, po czym zwrócił się do Filiskosa mówiąc:

— Pisze mi twój mistrz, że gardzisz złotem i łaską królewską. Nie wiem przeto, co ci zaofiarować za to, byś syna mego wychował na dzielnego męża?

— A co dałeś tym, którzy ciebie na dzielnego męża wychowali? — spytał Filiskos.

Król zaśmiał się:

— Nikt mnie nie wychowywał. Ale z nauk Pitagorejczyka wiem tyle, że o wszystkim można myśleć tak albo inaczej. Nie miałem czasu rozmyślać, kto ma słuszność. Platon mówi zaś, że dobrze byłoby, gdyby królowie byli filozofami.

— Trafnie mówi twój Pitagorejczyk, że można mieć różne poglądy na tę samą sprawę. Diogenes bowiem uważa, że lepiej, by królów nie było.

Filip zaśmiał się znowu:

— Przekonaj o tym swego ucznia. A tymczasem przebierz się, byś jak platończyk był, a nie cynik. Sądzę bowiem, że piękny ubiór nie przeszkadza dzielności, jak dobremu koniowi ładna uprząż.

— Nie zamierzam twego syna przekonywać o niczym więcej, jak tylko, że własny rozsądek kierować ma człowiekiem, jak jeździć koniem. A dojeżdżacza rzeczą jeno wrodzone zalety konia rozwinąć.

— Cieszę się, że ty i mistrz twój rozumiecie się na koniach. Spotkałem już bowiem głupich mówców i filozofów, ale nigdy jeszcze dojeżdżacza. Powierzam ci tedy mojego łoszaka . Gdybyś sobie nie mógł z nim poradzić, do mnie masz się zwracać i do nikogo więcej. Wielu jeźdźców może konia tylko znarowić. Idźże się tedy z nim zaznajomić. A choć jesteś cynikiem, sądzę, że nie pogardzisz królewską wdzięcznością, póki są jeszcze królowie.

Filip skinieniem ręki odprawił Filiskosa, ten zaś, załatwiwszy z zarządcą dworu sprawę swego zamieszkania na zamku, udał się do miasta, by powitać ojca i u niego zasięgnąć bliższych wiadomości o swym wychowanku i stosunkach na dworze, o których różne dochodziły go wieści.

Idąc rozglądał się ciekawie po mieście, które w czasie jego nieobecności zmieniło się znacznie, rozrosło i zaludniło. Rozmach i żywotność króla udzieliły się widocznie jego stolicy. I ona i jej mieszkańcy zdali się nadrabiać stracony czas, gdy w rybackiej mieścinie, nad zamuloną zatoką, trudem własnych rąk zdobywali codzienne utrzymanie.

Pella wciąż jeszcze przypominała wielką wieś, kamiennych budynków bowiem niewiele przybyło, ale drewnianych, które okazałe były, narosło jak grzybów. W Atenach, tłocznych od skamieniałych świadectw wielkiej przeszłości, wciąż jeszcze z przekąsem powtarzano dawne powiedzenie, że jedyne, co godne jest widzenia w macedońskiej stolicy, to malowidła Zeuksisa. Ale Filiskos z ironią pomyślał, że i to powiedzenie zwierzało już. Wszędzie słychać było dialekt attycki, zbyt często, by przypuścić, że ze wszystkich stron Hellady przybywają tu ludzie oglądać jeno malowidła. Ateński demos, jak w komedii Arystofanesa, przypominał zdziecinniałego zgryźliwego starca, który sługusów swych zdręcza kaprysami i zrzędzeniem, młodości zawidzi jej rozmachu, a nieopanowanym łakomstwem szkodzi własnemu zdrowiu.

Filiskos uśmiechnął się; tutejszy lud czyni wrażenie rozhukanego efeba, który szuka ujęcia dla nadmiaru swych sił, z równym łaknieniem spożywa prażony bób,

jak pieczone pawie, a najadłszy się, żałuje czasu na sen, bo dzień zda mu się zbyt krótki, by go wykorzystać wszechstronnie i do dna. Choć Filiskos, jak i jego mistrz, nie uznawał narodów ni granic i postanawiał być widzem, a nie aktorem życia, panujące tu napięcie udzielało się i jemu, a różnica między Atenami a Pellą rzucała się w oczy: przeszłość i przyszłość! Zbyt młody był, by — zmuszony do wyboru — wahać się, po której stanąć stronie. Czuł związek z krajem, w którym się urodził, i spieszył się do swego zadania. Nie żałował jednak lat spędzonych z Diogenesem. Urok starego kpiarza był nieodparty, a swoboda jego myśli, której użył uczniowi, urzekająca. Wewnętrzna wolność zdała się skrzydłami u ramion, jakimi nieśmiertelny Fidiasz zaopatrzył boginię zwycięstwa.

Filiskos zastał ojca zajętego płukaniem jarzyn na posilek w rzece odległej o kilkanaście kroków od domu. Nie zmienił się nic. Syn po staremu objął ojca za kolaną, drugą ręką gładząc brodę, w której zauważył parę srebrnych nitek, ale spalona od słońca i słonych wichrów twarz żeglarza czerstwa była jak dawniej, a bystre oczy, nawykłe patrzeć w dal, skierował na syna z życzliwą kpina, gdy zapytał:

— Jużes został mędrcelem czy sprzykrzyła ci się filozofia?

— Ni jedno, ni drugie. Diogenes mnie przysłał, bo król zażądał od niego pedagoga dla syna.

Onesikritos pokiwał głową.

— Jaki z Filipa pitagorejczyk, taki cynik będzie z Aleksandra. Nie wyrośnie pies z lwiego szczeniaka. Filiskos, siadając na brzegu, powiedział:

— Nie spodziewam się paść owieczki. Wolę biegać za lwem niż prowadzić osła. Słyszałem o nim już w Atenach. Demostenes uważa jednak, że w tym, co mówią o Aleksandrze, jest więcej pochlebstw niż prawdy.

— A Diogenes uważa Demostenesa za głupca, który schlebia pysze motłochu, wmawiając w niego, że wywalczyć potrafi nowy Maraton... sprzedajnymi wodzami i kupnymi najemnikami.

— Widzę, że zostałeś wielbicielem Filipa — uśmiechnął się Filiskos.

— Jestem wielbicielem życia. Lubię na nie zarówno patrzeć, jak i brać w nim udział. A Hellada jest jak zamulona rzeka, która przeszła w rozlewisko. Rosną na niej piękne nenufary, ale woda cuchnie i stoi w miejscu. Ani jej pić, ani żeglować po niej. A od Macedonii spływa w nią świeży prąd.

— I podmywa brzegi. Hellada widzi, do czego zmierza Filip, i będzie bronić swej wolności.

— Rękoma najemników, za wyduszone z niewolników pieniądze, a i tych nawet żałują.

— Mówisz o Hellenach, jakby obcy byli. Czy my nie jesteśmy Hellenami?

— Dla Hellady jesteśmy barbarzyńcami. Czy dlatego nie odczuwamy potrzeby wolności? A jak powiedział mistrz nasz — Ateńczyk najszczęśliwszy by się czuł, gdyby nie potrzebował sam się wysmarkać. Gdy nie ma pod ręką niewolnika, który by mu włożył obuwie, siedzi w domu. Stał się niewolnikiem swoich niewolników. Wolność Hellady umarła, Filip sprawi jej tylko pogrzeb.

— Może nie doceniasz Hellenów. Stworzyli rzeczy wielkie.

— To, co jest prawdziwie wielkie, nie umiera. A świat nie kończy się na Helladzie, raczej zaczyna się od niej. Spadek po umarłych biorą żywi.

— Mylisz się. Hellada jeszcze nie umarła.

— Tak sądzisz? Tedy może dokonać jeszcze jednego; umrzeć pięknie, jak Kasandra, która przed śmiercią przytrzymuje szaty, by upaść przyzwoicie.

— A jednak Hellada żyje w każdym z nas, eh )ć mówisz, że jesteśmy barbarzyńcami. To Hellenowie dali myśli ludzkiej skrzydła, którymi oderwać się umie od ziemi.

— A Hellada nie umie już z nich zrobić lepszego użytku, niż kura, co przefrunie cudzy płotek, by grzebać w śmietniku. Ale pójdz zobacz tego, którego masz uczyć myśleć. Pochlebcy nazywają go Achillesem. Zda je mi się jednak, że pochlebiają Achillesowi.

Zaciekawiasz mnie. Tylko w mitach chłopcy, jak Neoptolemos, dokonują czynów godnych pamięci. Nie wierzysz chyba wróżbitom?



— Nie wierzę, by los człowieka można było odgadnąć z lotu ptaka lub z wnętrzości barana. Ale można przewidzieć los narodu z czynów człowieka. Macedonia idzie do wielkości. Aleksander jednak przewyższy ojca, bo kto wcześniej wyjdzie, znajdzie dalej. Pójdź go zobaczyć — powtórzył po raz drugi jak zakłęcie.

— Dokąd?

— Koło południa grywa w piłkę z towarzyszami nad Borborą.

Filiskos odparł z uśmiechem:

— To zaiste nic niezwykłego. Już za Homerowych czasów grywali w piłkę nie tylko chłopcy, ale i dziewczęta, jedni lepiej, inni gorzej. Ale sławny żaden z nich przez to nie został. Śmieszna jest zresztą nawet sława zwycięstw olimpijskich. Koń, a nawet pies, zawsze biega prędzej od człowieka, a wół jest od niego mocniejszy.

— Słusznie. Ale nawet kamieniarz, gdy przystępuje do głazu, musi nie tylko wiedzieć, czy chce zrobić koryto dla świni, czy posąg Zeusa, czyli mieć ideę, ale musi też umieć ją wykonać, czyli posiadać dzielność.

Rozmawiając szli przez miasto wzdłuż strumienia' dzielącego je na dwie części. Filiskos rozglądał się z ciekawością. Zwracając się do ojca powiedział:

— Nie poznałbym Pelli. Nie dlatego, że się zmieniła, ale czuć w niej jakiś niepokój. Niespokojne są i Ateny, ale inaczej.

— Bo inny jest niepokój rodzącej kobiety, a inny konającego.

— Jak Kasandra Troi, wróżysz upadek Helladzie.

— I jak Kasandrze nie uwierzyłaby, wpatrzona w świetną przeszłość, by nie widzieć teraźniejszości. Zresztą nie przepowiadam, tylko przewiduję. Życie jest jak koło: musi się toczyć, by nie upaść. Życie Hellady stanęło, a ci, co chcą ją ratować, chcieliby potoczyć ją w tył. Ale prędzej ten strumień popłynie w górę — wskazał na rzekę, wzdłuż której szli pozostawiwszy już za sobą ostatnie domy miasta. Gwar jego nacichał, natomiast z przeciwnej strony dochodziła wrzawa. Wszedłszy na nadbrzeżny pagórek, ujrzeli na obszernej łące rozsypaną gromadę chłopców. Na jej środku, wydepta-

nym jak klepisko, przewalał się z wrzaskiem kłęb nących ciał, spalonych na brąz od słońca i wiatru. Jak płomień wśród dymu migotała w kłębowisku biała skóra jednego z nich.

Nagle pod błękitne niebo wystrzeliła pleciona z rzemienia ciężka piłka i gromada rozprysnęła się. Jedni pędzili za piłką, inni starali się ich powstrzymać. Chłopcu o jasnej skórze zastąpił drogę o głowę od niego wyższy zawodnik. Jasne ciało śmignęło nad nim w jelenim skoku. Filiskos plasnął w dłoń, o Onesikritos rzekł z uśmiechem:

— Widzę, że sam zagrałbyś z nimi. Ale lepiej patrz. Czy tak grają chłopcy w Atenach?

— Tam gra w piłkę przypomina taniec, a tu bitwę.

— Masz słuszność. I nietrudno dostrzec zwycięskiego wodza, choćby nie miał tak białej skóry.

— Tc Aleksander?

Onesikritos skinął głową i patrzyli na zmagania się dwóch drużyn prowadzone z zaciętością i wytrwałością, jakby istotnie o życie chodziło. Zaciętość, zamiast słabnąć, w miarę wzrastającego upału i znużenia, wzmagala się. Nie obeszło się bez krwi. Kilku już odnieśli na brzeg towarzysze, napędce cucąc ich wodą, i każdy wracał do gry. Z wolna jednak przewaga przechylała się na stronę drużyny Aleksandra. Jednocześnie grał i kierował grą, czego nie umiał jego przeciwnik, którego drużyna nadrabiać musiała brutalnością. Filiskos kilkakrotnie zerwał się, gdy zdawać się mogło, że z kłębowiska ciał wyniesą trupy, ale wówczas ojciec kładł mu rękę na kolanie:

— Nie lękaj się. Tak jest zawsze. Wszyscy na własnych nogach pójdą do domu. To nie ateńscy pięknieści, t<sup>^</sup>i, co nie wytrzymują takiej gry, odpadają za pierwszym razem. Aleksander nie lubi mazgajów.

— To dzika zabawa — powiedział Filiskos. — Czy nie piękniejszy helleński agon, gdzie mąż walczy z mężem? Widać piękno celowego wysiłku ciała, umiejętność i wytrwałość zawodnika. A to jakby dwa stada rozjuszonych molosów.

— Piękny jest każdy wysiłek zmierzający do celu, który nie jest marny, ale gdy piękno zaczyna być ce-

lem samo dla siebie, przestaje służyć życiu. A zabawę można by raczej nazwać taką wojnę, jaką prowadzili Achajowie pod Troją, zda się po to, by ten czy inny heros pochlubić się mógł przed motłochem zřęcnościami i siłą lub by Homer miał o czym pisać. Ale też zdobywali dziesięć lat jedno miasto. Filip potrafił to uczynić w kilka dni, a Aleksander przygotowuje sobie ludzi do takiej walki.

Tymczasem na łące walka skończyła się i wrzaski rozsypały się w gwar. Chłopcy hurmem rzucili się ku rzece, by ochłodzić rozpalone ciała, i pluskali się w niej jak stado delfinów. Onesikritos, wskazując na nich, powiedział:

— To samo czynią i zimą, którą Hellenowie uważają za srogą. Dlatego Filip może prowadzić wojnę o każdej porze, a oni tylko o ciepłej. Rozumiesz, że nawykli do wygod pięknie nie oprą się takim wojownikom?

— Tak. Ale żal mi, że zgaśnie ognisko myśli i piękna!

— Albo rozniesie się na cały świat. Nie tylko Hellenowie są oliwą, która może podtrzymywać ten płomień.

Rozmowa urwała się, chłopcy bowiem jeden po drugim wychodzili na brzeg, omawiając z ożywieniem przebieg gry, klóćąc się i opatrując zadrapania i potłuczenia. Aleksander usiadł na uboczu z Hefajstionem, który nacierał towarzysza oliwą. Onesikritos skinął na Filiskosa i zbliżył się do królewicza. Pozdrowiwszy go, Onesikritos rzekł z uśmiechem:

— Dobrze prowadziłeś grę. Ale syn mój, ten oto Filiskos, mówi, że w Atenach piękniej grają.

Błękitne oczy Aleksandra spojrzały na Filiskosa przenikliwie:

— Czy sądzisz, że z nami by wygrali? — zapytał.

— Nie. Ale milej patrzeć na ich grę.

— Widocznie grają, by na nich patrzeć. A my, by wygrać. Byłeś w Atenach?

— Stamtąd wracam. Ale byłem i w Koryncie, Megarze i na Peloponezie. Mistrz mój, Diogenes z Synopy, lubi nowe miejsca i nowych ludzi, a łatwo mu się przenosić, bo całe mienie nosi w swojej torbie.

— Musisz mi o tym opowiedzieć.

— Będziecie na to mieli dość czasu — wtrącił Onesikritos — bo król na to właśnie Filiskosa sprowadził.

Oczy Aleksandra spoczęły badawczo na Filiskosie. Zapytał:

— Czy matka moja wie o tym?

— To nie moja sprawa.

— Ale moja. Lepiej, byś wiedział, czego się trzymać: każdy chciałby wywierać wpływ na mnie. Jeżeliś po to przyjechał, trudziłeś się daremnie.

Onesikritos zaśmiał się i wtrącił:

— Filiskos miał cię uczyć myśleć. Mówiłem mu już, że sam umiesz. Może ci jednak powiedzieć, co myślą inni.

— Chętnie posłucham — odparł Aleksander i zwracając się do Hefajstiona, rozkazał:

— Zabierz chłopców i powiedz Leonidasowi, że przyjdę później. Jutro zaś zagramy w piłkę na koniach. Chcę, by Filiskos mógł porównać, czy w Atenach potrafią tak jeździć, jak my.

— I ja was pożegnam — powiedział Onesikritos wstając. — Odplywam z Parmenionem na Eubeę i muszę jeszcze opatrzyć statek.

Aleksander i Filiskos zostali sami. Przez dłuższą chwilę nie przerywali ciszy, jaka nastąpiła po gwarze. Filiskos z zaciekawieniem patrzył na Aleksandra, który z wyrazem zadumy utkwiał wzrok w majaczących na widnokręgu szczytach Olimpu. Twarz jego miała wyraz skupienia. Niespodziewanie, wskazując na góry, powiedział:

— Mówią, że tam mieszkają bogowie? Czy są bogowie?

— Pytanie twoje nie jest proste. Gdy o to samo handlarz leków Lysias zapytał Diogenesa, mistrz mój odparł: „Jak mógłbym nie wierzyć, skoro uważam się za ich wroga!” Sokrates zaś, oskarżony o bezbożność, powiedział w swej obronie, że skoro wierzy, iż są sprawy boskie i dzieci bogów, to tym samym wierzy w bogów.

— Ja się nie pytam, czy wierzysz w bogów, tylko czy bogowie są.

— Dla tego, kto wierzy, są. Jakaż jest różnica między wiedzą a wiarą?

— Doświadczenie — odparł z namysłem Aleksander.

— Kiedyż możemy doświadczyć, czy są bogowie? Po śmierci. Tedy w życiu musimy się zadowalać wiarą. Diogenes słusznie mówi, że bogowie są ludziom potrzebni. Bez nich zniknąłby wszelki porządek i prawo.

— Jeżeli bogowie mieszkają na Olimpie, to można się za życia dowiedzieć. Pytam o takich bogów, o jakich pisze Homer, że można ich zobaczyć. Mówią, że był u nich w gościnie przodek mój, Herakles, a podejmował ich na swym weselu mój przodek Peleus.

— Tego nie wiem. Sokrates wierzył w jakichś innych bogów, tak samo wierzy Platon. Diogenes, gdy zobaczył niewiastę, która, padłszy na kolana przed posągami Zeusa, biła czołem, powiedział do niej: „Patrz, byś nie obraziła boga, wypinając na niego tyłek. Bóg bowiem jest wszędzie”. Skoro jest wszędzie, nie może być w jednym miejscu.

Z lekka ściągnięte brwi Aleksandra zdradzały wyśięk myśli, ale milczał, Filiskos zaś ciągnął dalej:

— Diogenes nie uznaje państwa, a więc nie uznaje bogów państwowych, którzy są jakby bóstwami domowymi narodu. Wiara w nie łączy ludzi, jest ostoją ładu, pcręką wspólnej pomyślności. Dlatego państwo kai . •> tych, co znieważają bóstwa państwowe lub nie wierzą w nie. Za to zginął Sokrates, który służył Bogu, którego inni nie znają i nie rozumieją.

— Widocznie potrzebują bogów, których znają i rozumieją. Inni bogowie mogą ich tylko dzielić.

— Masz słuszność. Dlatego zarówno w Homerowej, jak i w Hezjodowej teogonii bóstwa są zgoła podobne do ludzi: jedzą, piją, kochają, walczą i mogą odnosić rany. Podobnie jak ludzie mają swych przodków. Są jeno potężniejsze i nie można ich zabić.

— Jeżeli są tacy jak bóstwa domowe, to można ich zabić burząc dom.

—r Znowu masz słuszność — odparł Filiskos patrząc na chłopca z uwagą. — Bóstwa narodów pokonanych przestają istnieć. Naród po to oddaje cześć i składa ofia-

ry bogom, by go chronili. Jeśli tego nie potrafią, muszą ustąpić silniejszym.

— Takim bogiem może być przeto i człowiek, byle był tak potężny, żeby mu się nikt inny nie zdołał oprzeć.

Filiskos skinął głową.

— Takich zwą ludzie herosami i przypisują im boskie pochodzenie. Wszystko, co w człowieku jest ponad ludzką miarę, musi być boskiego pochodzenia. Ale nie ma owoców bez drzewa, choćbyśmy go nie znali i nie widzieli. Ponadto herosi żyją wiecznie na wyspach szczęśliwych, a na pewno w ludzkiej wdzięczności i pamięci. To bóstwo, które ich zrodziło, musi być przeto również wieczne i szczęśliwe i cnoty, w które wyposażyło herosów, posiadać musi samo w wyższym stopniu.

Aleksander myślał w skupieniu. Po chwili jednak rzekł z uporem:

— Nie odpowiedziałeś mi jednak, czy są bogowie na Olimpie, czy ich nie ma? A to przecież można sprawdzić, bo Olimp mamy przed oczyma każdego dnia.

— Jeżeli są, to nie dopuszczą zwykłego śmiertelnika do swych siedzib. A czy warto życie stawiać, by się przekonać, że ich nie ma... skoro i tacy są potrzebni zwykłemu człowiekowi? — uśmiechnął się Filiskos.

Dochodzili z wolna do miasta. Gdy byli już opodal zamkowej grobli i Filiskos żegnał królewicza, pragnąc jeszcze odwiedzić ojca przed jego wyjazdem, Aleksander rzekł:

— Podobasz mi się i chciałbym, byś ze mną został. Zanim zamieszkaż na zamku, pójdz do królowej. Będę z nią mówił o tobie. Niechętnie patrzy na ludzi, których postawił przy mnie ojciec.

Odszedł ku zamkowi, a Filiskos zamyślony skierował się nad rzekę.

Równie zamyślony Aleksander szedł ku gynecceum. Rozmowa z Filiskosem uspokoiła go, że nauczyciel nie ma żadnych ubocznych zamiarów. Chciał tedy osłonić Filiskosa przed niechęcią matki, niemniej pytanie, które mu postawił, nurtowało chłopca od dawna. Filiskos "mówi, że bogowie są ludziom potrzebni. A jeżeli ich nie ma?"

Myśl Aleksandra odwróciła się jednak od tej sprawy.

gdy przyszedłszy do gynecceum dowiedział się, że u matki bawi ojciec i że zakazał puszczać kogokolwiek. Zdarzenie było niezwykle, gdyż Filip dawno przestał odwiedzać małżonkę. Aleksander odszedł głęboko zadumany.

Królowa natychmiast dowiedziała się, że Filip sprowadza do syna nowego pedagoga. Konieczność ciągłej czujności męczyła ją, a niepokoiło to, że syn, dojrzewając, zaczyna się wymykać spod jej wpływu. Coraz częściej odczuwała, że nie mówi z nią jak dawniej o wszystkim, co zaprzęta jego umysł. Zdawała sobie jednak z tego sprawę, że wyobraźnia Aleksandra zaczyna się skupiać na tym samym szlaku, jakim podąża król, i w miarę jak syn dojrzewa, może go zbliżyć do ojca, tak że matka utraci na niego wszelki wpływ.

Wiadomość o Filiskosie przyniosła Eufemele i patrząc na królową, zapytała:

— Co zamierzasz począć?

— Cóż mogę począć? Choćbym odsunęła Filiskosą, nie usunę wszystkich. Jenó patrzeć, jak Filip zacznie brać Aleksandra wraz z chłopcami królewskimi na wyprawy, a powstrzymać syna nie zdołam. Któż tam dopilnuje, by król nie przerabiał go na swoją modłę?

— Może znalazłby się taki — odparła Eufemele, a na pytające spojrzenie królowej dodała:

—i Parmenion. Basileus ufa mu w zupełności, Aleksander przyjaźni się z jego synami, do których strateg, bardzo jest przywiązany, a będzie ich chciał mieć przy sobie, bo lęka się, zwłaszcza o Filotasa, który jest zgoła różny od swego ojca. Nie będzie trudno podsunąć Aleksandra Parmenionowi.

— I cóż z tego? Parmenion jest prawą ręką Filipa, zimny i twardy jak gład. Nie poruszy go nic. Zresztą unika mnie.

— Skąd wiesz, że przed tobą, a nie przed sobą ucieka? Kto chce zbadać wnętrze głazu, musi go rozgrzać, a potem polać zimną wodą. Wtedy pęknie. A nie masz takiego kamienia, by w nim rysy nie było.

Eufemele zaśmiała się drwiąco, ale królowa odparła niechętnie:

— Żywię dla niego szacunek, ale nic więcej. Trudno go rozgrzać. Mówiłaś już o tym i wiesz, że usiłowałam. Powiedział mi wprost, że miłuje Macedonię i swoje dzieci. A ja miłuję swoje, a Macedonią chcę władać. Nie widzę, jak byśmy mogli się porozumieć.

— Skąd wiesz, że powiedział ci prawdę? A kto miłuje, chce posiadać. Czyż miłośnik Amyntasowej Gygei nie został królem, pojawiając się wdowę po jego śmierci?

— Nie potrzebuję kochanka — odparła dumnie Olimpias.

Z gniewnym zmieszaniem patrzyła na Eufemele, która zaniósła się drwiącym śmiechem. Urwała i powiedziała:

— Możesz oszukiwać samą siebie, ale nie mnie, co znam cię od niemowlęcia. Myślisz, że nie słyszę, jak nocami przewracasz się po łożu? Potrzebujesz miłośnika, a nie widzę godniejszego niż Parmenion. On mógłby obydwie twoje namiętności zaspokoić. Któż by oparł się najpiękniejszej w kraju niewieście, która mu w wianie jego berło przyniesie?

Patrzyła pytająco na królową, ale Olimpias opuściła jasne oczy i milczała. Stara podjęła:

— Sama sobie prawdy nie mówisz, ale mnie nie oszukasz. Ty nie chcesz Parmeniona, bo jeszcze miłujesz... Filipa!

— Milcz! — krzyknęła Olimpias. — Nienawidzę tego rozpustnika. Zabiłabym własnymi rękami, gdyby...

— Gdyby nie to, że żywisz jeszcze nadzieję, iż będziesz go miała tylko dla siebie wraz z Macedonią.

Olimpias zacisnęła wąskie dłonie. Po chwili odparła zduszonym głosem:

— Gdyby nie to, że Aleksander jeszcze nie dojrzał, by spadek objąć po nim...

— Nie kłam samej sobie. Gdy Aleksander dojrzeje, nie ty będziesz rządziła. Dwie namiętności słabsze są niż jedna; on będzie miał tylko jedną, samaś go tak chowała. Tedy łącznie już przez Filipa. Spróbuj małżonka odzyskać. Są młodsze od ciebie, ale jeszcze me ma piękniejszej. A Filip w sile wieku, może się nasy-



cił dziewczkami, a odwykł od ciebie. Dla wszystkich tak byłoby lepiej... a zwłaszcza dla ciebie.

Królowa długo milczała. Wreszcie szeptem, jakby sobie samej, rzuciła pytanie:

— A jeśli się nie uda?...

— To przestaniesz się wahać. Będziesz miała jedną drogę przed sobą. Życie bieży prędko, kto chce coś zdziałać, nie śmie tracić ni dnia. A ty już straciłaś" lata.

Olimpias odetchnęła głęboko i powiedziała:

— Sprowadź do mnie króla... jeśli zechce przyjść. Powiedz, że chcę z nim mówić o synu. A jeśli się nie uda... — powtórzyła, ale tym razem w głosie jej brzmiała groźba.

Ponad spodziewanie Filip przyszedł natychmiast, ledwo Eufemele zdążyła przygotować swą panią na przyjęcie małżonka. Król miał złamany obojczyk i prawą rękę nosił na opasce, ale wygląd jego wskazywał, że wrócił już do zdrowia. Wszedł bez zapowiadania i zastał małżonkę przeglądającą się w zwierciadle z polerowanego srebra. Nim odwróciła oczy, przez jego twarz przemknął drwiący uśmiech. Potem patrzyli wzajem na siebie przez chwilę w milczeniu, które przerwał Filip:

— Sam wybierałem się do ciebie, by ci oznajmić, że postanowiłem brata twego Aleksandra wprowadzić na tron Epiru.

Olimpias uśmiechnęła się kusząco i odparła:

— Dziękuję ci za niego i za siebie. Miło mi, że ojcowe dziedzictwo obejmie prawowity następca. Czy nie za młody jednak?

— Nie byłem starszy, gdy zamierzałem objąć tron po moim ojcu. Jenó mnie nie było komu wprowadzić, a twego brata wprowadzę ja. Nie utrudzi się ani zdobywaniem tronu, ani panowaniem.

Lekki cień przeleciał przez twarz Olimpiady, ale zapytała spokojnie:

— Ale co stryj pcwie na to? Czy ustąpi dobrowolnie? Nie chciałabym, by brat mój wstępował na tron przez krew własnego ludu.

Filip machnął ręką lekceważąco:

— Rzadko się władzę zdobywa bez krwi. Ale ja to potrafię. Najwyżej Arybbasowa się poleje, bo za moimi plecami wacha się on z Ateńczykami. Epir ma broń mojej zachodniej granicy, gdy ja zajęty jestem gdzie indziej. Dobrze byłoby, gdybyś i ty o tym pamiętała, a przykład Arybbasa zda się jako przypomnienie, że łatwo zmieniam władców, gdy mi są niedogodni.

Filip zaśmiał się. Oczy Olimpiady błysnęły, ale udała, że nie rozumie przestrogi ni groźby. Wstała i z nieśmiałym wdziękiem położyła wąską dłoń na chorym ramieniu Filipa. Jej dźwięczny, wysoki głos przytłumiony był, gdy rzekła:

— Jeszcześ się z jednej rany nie wygoił, a po nowe się wybierasz. Czy nigdy nie przestaniesz wojować? Igrasz własnym zdrowiem i życiem... Co jeszcze chcesz osiągnąć? Jesteś dożywotnim archontem Tesalii, twoi triarchowie rządzą w jej miastach. W Amfiktionii wszystko dzieje się wedle twojej woli...

Urwała, a na jej białą twarz wystąpił jaskrawy rumieniec. Cofnęła rękę, której Filip, zda się, nie zauważył i podjęła z wymuszonym uśmiechem:

— A cóż będzie robił nasz syn, gdy ty zdobędziesz wszystko? Dojrzewa już, o nim chciałam mówić z tobą.

— Wkrótce już będzie mi pomagał. Ja sam staram się, by wychować sobie godnego następcę. Nie kapłana ni wróżbitę, na jakiego ty go chowałaś. A niewiastom lepiej kądziel i krosna przystoją niż polityka. Nie zwykłem o niej mówić z kobietami, bo nigdy nie wiadomo, jaki z tego zrobią użytek.

Olimpias drgnęła, odparła jednak spokojnie:

— Tkałabym płaszcz dla ciebie i przez dwadzieścia lat... jak Penelopa,.. gdybym wiedziała, że mam na co czekać.

Odwróciła oczy i ciągnęła jakby z wysiłkiem:

— Pogodziłam się z tym, że masz inne. Tacy już są mężowie — dodała z wymuszonym uśmiechem. — Ale inni wracają...

— Nigdy nie zdobywałem dwa razy tego samego miasta — odparł król drwiąco. — I lękam się, bym w twoim łóżu znowu węża nie znalazł.

Wstał, jakby gotując się do wyjścia. Olimpias pa-

trzyła na niego nieodgadnionym wzrokiem. Zapytała cicho:

— Czy tylko to pamiętasz? Nie przypominam ci twej przysięgi, bo wiem, że masz ją za nic. Ale czy nie rozumiesz, że obawiałam się o stanowisko naszego syna? Czy w twoim własnym domu brak przykładów, że nawet rodzeni bracia bywają najniebezpieczniejszymi wrogami? Czy ty sam nie kazałeś zabić przyrodnych po Gygei?

Filip rzucił z lekceważącym uśmiechem:

— Nie mam ci też za złe, że chciałeś otruć Arridajosa. Aleksandra jednak nie broń przede mną... a tym bardziej nie nastawiaj przeciw mnie. Chciałem ci właśnie oznajmić, że zwalniam Leonidasa ze stanowiska pedagoga. Sam dobiorę Aleksandrowi ludzi, którzy go nauczą, czego trzeba.

Olimpias zagryzła wąskie wargi. Głos jej rwał się:

— Odrzucasz zgodę. Nie dbam o twoją rozpustę. Ale gdyby kiedy Aleksandrowi miała zagrozić, miej się na baczności!

Filip roześmiał się beztrąsko i odparł:

— Nareszcie mówisz, jak myślisz. I ja ci tak odpowiem. Więcej jest takich, co by mnie na marach ujrzyć chcieli. Bawi mnie to, a reszta to sprawa moich somatofilaków. Rozumiesz jednak, że przy moim łożu stać nie będą i tam chcę mieć pewność, że mnie nikt nożem nie pchnie, gdy zasnę. Piękna jesteś — dodał patrząc na jej skamieniałą twarz. — Ale przy tobie nie byłbym pewny.

Gdy nic nie odrzekła, wyszedł.

Jak za dziecinnych lat, kiedy matka opowiadała mu baśnie, Aleksander siedział na podnóżku u jej stóp, głowę wsparłszy na kolanach Olimpiady, ale miast rozmarzenia w oczach jego był wyraz ponurej zadumy. Nie przerywał jej, gdy mówiła:

— Jeśli chcesz, zatrzymaj przy sobie Filiskosa. Ale pamiętaj, że Filip nie bez myśli o swoich sprawach sprowadził go dla ciebie. Chce cię obstarwić swoimi

ludźmi, by mieć wyłączny wpływ. Dlatego oddalił Leonidasa. Nie żal ci go?

Aleksander odparł po chwili, budząc się z zadumy:

— Nie. Leonidas jest sprawiedliwy, ale tępy. Robi tylko to, do czego nawykł, nie zastanawiając się po co. Dziś rano, gdy składałem ofiarę bogom domowym, wysypałem na ogień całą puszkę kadzidła. Leonidas rozgniewał się mówiąc, że na kadzidło ma minę srebra na miesiąc, a bogom starczy garść, jak co dzień. Obiecałem mu odkupić tyle, że będzie miał na wszelkie ofiary do końca życia, choćby żył sto lat.

Olimpias zapytała z uśmiechem:

— Po cóżeś spalił tyle na raz? Leonidas nie jest tępy, tylko rozsądny. Jeżeli jest obyczaj, by palić garść kadzidła przy modlitwie, po cóż palić całą puszkę?

— Jeżeli bogowie naprawdę opiekują się nami, nie można im skąpić ofiar. A jeżeli nie, to obyczaj jest głupi. Chciałem się przekonać, czy za większą ofiarę bogowie domowi spełnią moją prośbę.

— Jakaż to prośba?

Aleksander milczał, Olimpias westchnęła. Syn coraz częściej zamykał się przed nią. Znając go jednak, domyślała się, co mu leży na sercu. Podjęła:

— Jeżeli się ich znieważa, nie spełnią prośby nawet za hekatombę...

Urwała czekając na zapytanie Aleksandra, ale on milczał, tylko gładkie jego czoło przecięła zmarszczka. Ciągnęła:

— Nie pytasz, bo wiesz. Tedy wiedz wszystko, byś nie do mnie miał żal, że dom nasz wypełnia rozdwojenie. Upokorzyłam się, by je usunąć... na darmo. Rozpusta Filipa jest jak płomień. Nie wraca tam, gdzie raz się już wypaliła. Chciałam zamknąć oczy na to, co robi poza domem. Jeszcze drwił ze mnie...

Urwała dysząc. Aleksander przytulił głowę do jej kolan. Zdumienie i zaskoczenie przez chwilę odebrało jej głos, gdy zapytał:

— Czy Zeus może przybrać postać węża?

Zawahała się z odpowiedzią. Po chwili zaczęła:

— Przybiera, jaką chce. U Alkmeny zjawił się pod postacią jej małżonka, u Europy w postaci byka. Na

Ledę spłynął łabędziem. Może przybratką każdą postać,  
nawet złotego deszczu...

— Można go więc ujrzeć?

— Ukazuje się, komu zechce.

Czekała, pewna, że Aleksander jeszcze o coś zapyta.  
Ale milczał zadumany. Po chwili wstał i powiedział:

— Pójdę już, matko.

Zawahał się jeszcze i rzucił niespodzianie pytanie:

— Dlaczego o mnie bardziej się troszczysz niż o Kleo-  
patrę?

W pytaniu brzmiała podejrzliwość. Gdy nie odpowiedział, wyszedł. Olimpias westchnęła. Dawna otwartość i szczerłość, jaka istniała między nią a synem od najmłodszych lat, zaczynała znikać. Coraz częściej między nimi pytania pozostają bez odpowiedzi, a odpowiedzi daremnie czekają na pytania.

## ROZDZIAŁ X

Do ujścia Haliakmonu przybiła łódź. Aleksander wyskoczył na brzeg i zaczekawszy, aż wysiądzie Hefajstion, cisnął wiosło do łodzi i zepchnął ją nogą na wodę, mówiąc:

— Możemy iść.

— Powiedz wreszcie, dokąd? I dlaczego nie poszliśmy ładem na Beroję? A znajdą łódź, będą myśleć, żeśmy potonęli.

— Niech myślą. Idziemy na Olimp.

Hefajstion przywykł do niezwykłych pomysłów swego przyjaciela. Niemniej odparł z trwożnym powątpiewaniem:

— Nie był tam jeszcze nikt ze śmiertelnych. Bogowie bronią przed nimi dostępu do swoich siedzib.

— Cóż można ciekawego zobaczyć tam, gdzie bywa każdy? Właśnie tam chcę być, gdzie nikt nie był przede mną. Zresztą na Olimpie był przodek mój, Herakles.

— Bogowie prosili go na ucztę, bo był synem Zeusa i herosem.

— A ja muszę wiedzieć, czy jestem synem Zeusa, czy Filipa. Wiesz, co ludzie szepcą. Chcę znać prawdę.

— Czy warto stawiać życie, aby poznać prawdę? I cóż ci po niej? Tak czy inaczej będziesz królem Macedonów.

— Macedonów! — rzucił Aleksander lekceważąco,

idąc już ostrym krokiem w kierunku widniejących na południu za lekką prześwietloną mgiełką szczytów Olimpu. — To już nawet Filipowi nie starczy.

Przez chwilę szedł w milczeniu. Potem podjął, mówiąc jakby do siebie:

— Gzy warto stawiać życie, by poznać prawdę? A czy warto żyć dla czego innego? Ale nawet ci, co jej szukają, nie lubią się trudzić. Mówią, że szukają jej w sobie, bo wygodniej jest leżeć popijając wino i gadać niż działać. Lubię zresztą filozofów i poetów, bo uczą nas myśleć i myśli ubierać w piękne słowa. Ale im nie wierzę. Homer pięknie opisał pałace i uczyty bogów na Olimpie, ale nie był tam nigdy. I po cóż mam mu wierzyć, skoro Olimp każdego dnia mam przed oczyma? Jeżeli ty się lękasz, pójdę sam.

— Lękam się — odparł Hefajstion. — Strach pomyśleć, że stanąć mamy przez obliczem Gromowładnego. Ale z tobą pójdę wszędzie, choćby do Erebu. Nie umiałbym już żyć bez ciebie.

— Wiem — powiedział Aleksander kładąc dłoń na ramieniu towarzysza. — Jak ja bez ciebie. Nie miałbym nikogo, komu mógłbym zupełnie zaufać. Nikogo! — powtórzył chmurnie.

Szli w milczeniu, które po chwili przerwał Aleksander:

— Do Erebu pójdziemy kiedy indziej. Tam był nie tylko Herakles, ale i Odys, i Orfeusz. Wracając odwiedzimy jego grób w Dionie, bo teraz nie chcę, by nas kto ujrzał. Tam najczęściej wyznawcy Orfeusza odbywają d r o m o i . Mówią, że znają tajemnicę życia po śmierci. Chcę być wtajemniczony.

— Czy nie lepiej, byś stanął do igrzysk, które tam ku jego czci wprowadził twój przodek, Archelaos? Zdobylbyś wszystkie wieńce.

— Nie — odparł Aleksander. — Szkoda wysiłku dla takiej sławy, którą co parę lat zdobywa kto inny, a za dalszych parę lat nikt o niej nie pamięta. Niech Filip zbiera takie zwycięstwa, jak chciwiec obole. Zresztą i on tylko końmi obsyła igrzyska. Konie są od tego, by biegały. Choć ja nawet końskich nóg bym załował.

— Ale gdyby nie igrzyska, ludzie nie staraliby się ani o dobre konie, ani by własne ciało utrzymać w sprawności — odparł Hefajstion.

— Cóż to za sprawność, która się tylko do jednej rzeczy nadaje — pogardliwie odparł Aleksander. — Atleci żyją jak starcy w ciągłej obawie, że opuści ich umiejętność, z której zrobili rzemiosło. Włóczą się z jednych igrzysk na drugie, a wieńce są symbolami, za które pobierają pieniądze.

Spierali się jakiś czas, potem ze znużeniem i zmiłowaniem zaczęli rozmawiać o koniach. Rozprawiali o wadach i zaletach koni różnego pochodzenia. Hefajstion powiedział:

— Skoro już będziemy na Olimpie, możemy zejść na południe, za Tempe. Tam zobaczymy najlepsze na świecie konie tesalskie. Może znajdziesz coś dla siebie.

— Co mają najlepszego, prowadzą do Pelli, bo nigdzie nie osiągną wyższej ceny — odparł Aleksander. — Ale jeszcze nie przywiedli takiego, którego bym chciał mieć.

Na pytające spojrzenie Hefajstiona dorzucił:

— Takiego, którego by nikt nie dosiadł prócz mnie.

— Takiego trudno ci będzie znaleźć — odparł Hefajstion. — Jeździć u nas umieją. Król wielką wagę przykładą do jazdy, którą już niejedną bitwę rozstrzygnął.

— Ale jeszcze zbyt małą. Gdy ją będę dowodził, jazda będzie bitwy rozpoczynać. Filip zawsze zmierza do tego, by wymęczyć przeciwnika, bo nasi falangiści są wytrwalsi od innych. Jazda ma tylko dobić znużonych. Ale to nie wystarczy do wywalczenia zwycięstwa, gdy przyjdzie się spotkać z siłami wielekroć liczniejszymi niż nasze.

— Gdzież są takie siły?

— W Persji.

— Słyszałem, że król zamierza ją podbić, gdy skończy z Helladą. Ale pewnie swoim sposobem: przekupi jednych satrapów, by walczyli z innymi, lub będzie popierał jednego pretendenta przeciw drugiemu. Gdyby tak nie postępował, i Hellada potrafiłaby wystawić większe siły niż nasze.



— Ale stracił na to już dwanaście lat i jeszcze nie skończył. Politykę prowadzi tak samo jak bitwy. Pasa się z przeciwnikiem, czekając, aż ten siły wytraci lub potknie się, zamiast zaraz uderzyć go w głowę. Sam traci czas i też może się potknąć, a każdy głupiec już wie, do czego Filip zmierza. Uderzać należy niespodzianie i całą potęgą, jak grom Zeusa, przed którym nikt się nie zdoła osłonić.

Drugi już dzień wędrowali zboczem doliny, okrytym lasem, który coraz częściej przerywały nagie skały,;; a coraz rzadziej w jej głębi widniały pasterstkie osiedla. Natomiast gdy tylko las urywał się, jawiły się przed nimi szczyty Olimpu, zda się wciąż jednakowo bliskie, lecz coraz wyżej pnać się ku błękitnemu niebu, jakby drwiąc z ich wysiłku. Wreszcie dolinę zamknęła skalista przełęcz. U stóp siodła maleńka jak dziecinna zabawka widniała pasterska szopa, z której wznosiła się strużka błękitnego dymu. Długie milczenie przerwał Hefajstion:

— To już chyba ostatnia ludzka siedziba. Trzeba nam zejść i zaopatrzyć się w żywność, bo nasza już się kończy.

Istotnie, zanikająca roślinność urywała się tu, a na południe ciągnęły się skaliste, nagie i poszarpane grzbie-ty.

— Zejdz sam — odparł Aleksander. — I możesz tam zanoćować, bo nie zdążysz już wrócić przed zmrokiem. Ale wracaj o świcie, byśmy cały dzień mieli przed sobą. Jutro musimy wspiąć się na szczyt.

Wskazał ręką: potrójna, poszarpana turnia o niemal prostopadłych ścianach i oddzielona od niej przepaścistą przełęczą, górująca nad nią kopa jarzyły się już od blasków zachodu. Barwa ich ze złotej przechodziła w czerwień, potem we fiolet, cienie stały się ostre i pełzną od dołu za uciekającym światłem, obejmowały coraz większą przestrzeń. Przez chwilę jeszcze świecił osamotniony w zapadającym zmroku kopulasty wierzchołek, tak bliski i wyraźny, że widać było naj-

mniejszą szczelinę. Gdy zgasł, góry szerniały i zdały się zapadać, jakby cofały się w dal. Z przepaścistych wąwozów powiało chłodem. W ciszy słyhać było oddalające się kroki Hefajstiona. Aleksander wyszukał zagłębienie w skale i wymoścwiwszy je trawą i mchem, ułożył się z rękoma pod głową, oczy utkwiwszy w ciemniejące niebo, na które, wielkie i jasne, wysypywać się zaczynały gwiazdy. Czysty ich blask długo odbijał się w otwartych oczach Aleksandra.

Zbudził go odgłos kroków po kamieniach. Usiadł na posłaniu i rozejrzył się. Słońce musiało już wzejść, gdyż nad głową wisiał blady, coraz bielejący błękit nieba. Z wąwozu, ciągnącego się łukiem do stóp najwyższych szczytów Olimpu, dźwigała się mgła, strzępami przemykając się przez przełęcz i spływając w dolinę, ledwie już widoczną w tumanie. Jednocześnie wznosiła się w górę, a za jej ruchomą zasłoną niepewnie majaczyły szare szczyty. Poszarpana linia ich grzbietów zdała się falować i wraz z mgłą wznosić ku górze, aż zniknęły z oczu, które nigdzie już nie znajdowały oparcia.

Hefajstion usiadł obok Aleksandra i jakiś czas pozywiali się w milczeniu. Potem Aleksander wstał mówiąc:

— Pójdźmy!

Hefajstion schował pozostałą żywność do torby i powstał. Gdy podeszli do skraju przełęczy, wskazując w dół, powiedział:

— Spójrz!

Przed nimi otwierała się otchłań, zda się, bez dna. Przez strzępy mgieł, czepiających się prostopadłych niemal ścian, wzrok leciał w dół, nie znajdując oparcia. Hefajstion dorzucił niepewnie:

— Bogowie nie chcą, by podglądać ich tajemnice.

Aleksander zdał się nie słyszeć. Stał w milczeniu, zwyczajnym swym ruchem przechyliwszy głowę na lewe ramię, a spojrzeniem przebijał mgłę dzielącą go od celu. Zaczął cicho:

*Na górskich szczytach Notos rozpostarł mglistą*

*zasłonę,*

*Bogów zaś na zgromadzenie zwołał Zeus...*

Urwał patrząc na pobladłą twarz towarzysza i powiedział:

— Boisz się, tedy zostań, pójdę sam.

— Nie opuszczę cię... choćbym miał tam zostać.

Patrzył na przepaść, zionącą jak dymem z potwornego kotła strzępiastą mgłą, przez którą z trudem przebijął się wzrok. Dorzucił cicho:

— Chyba schodzimy do Erebu.

— Choćby droga na Olimp wiodła przez Hades, ja idę. A ty, jak chcesz.

Ruszył ku krawędzi przełęcz i zwinnie jak kozioł górski opuszczać się jął w dół, tak że chwilami ginął z oczu idącego za nim Hefajstiona. Wznosząca się w górę mgła rzedła, aż zniknęła zupełnie, ale ziejąca pod nogami schodzących przepaść, pogrążona w ponurym półmroku, nie mniej była straszna. Nisko w dali przechodziła w półkolisty wąwóz, na którego zboczach martwą bielą świeciły śniegowe pola, wionące surowym chłodem. Cisza panowała jak pod wodą, tak że niczym błuznierstwo brzmiał odgłos strąconego stopą kamyka. Długo leciał w dół, a stukot jego, zwielokrotniony echem, rozsypywał się gdzieś w szmer suchy i przeciągły.

Przygnębiające uczucie samotności i zupełnego odcięcia od świata żywych popędzało Hefajstiona, by dogonić towarzysza. Choć roślejszy, z trudem nadażał za Aleksandrem, który opuszczał się szybko, nie bacząc na niego. Mrok szarzał, a spotniałe z wysiłku ciało Hefajstiona przenikał chłód. Zdawało mu się, że na zawsze zostawia za sobą barwy i wonie, światło i ciepło. Nadażał z trudem, łapiąc ustami powietrze, a serce tłukło się niepokojem nieznanego. Przestał myśleć, dokąd i po co idą, pragnął tylko bliżej być Aleksandra. Uczucie zupełnej od niego zależności ogarnęło Hefajstiona tak silnie, że gdyby tamten skoczył w przepaść, on skoczyłby za nim bez zmrużenia powiek. Zarazem jednak ta zatrata samego siebie przepoiła go spokojem zbliżonym do szczęścia. W tej groźnej pustce związa-  
nie z Aleksandrem zdało mu się czymś nie tylko nieuchronnym, ale pożądanym. Skacząc ze skały na skałę, z głazu na głaz, nie myślał już, że przy każdym

nieostrożnym kroku połamać może kości lub kark skrzyć. Podążał jak we śnie, byle tylko zbliżyć się do towarzysza.

Dopadł go wreszcie, gdy Aleksander zatrzymał się na dnie wąwozu, tak wąskim, że miejscami ściany tworzyły raczej szczelinę skalną, przez którą z trudem można się było przecisnąć, i groźnie chyliły się nad śmiałkami, jakby chcąc ich przywalić. Aleksander bez wahania ruszył naprzód, a Hefajstion trzymał się go tak blisko, że czuł ciepło i woń rozgrzanego ciała towarzysza. Ten drobny, dopiero dojrzewający chłopiec zdał mu się tytanem, który zerwał więzy i idzie wyzywać bogów.

Za skalnym zeskokiem wąwóz rozszerzał się, tak że można już było iść obok siebie. Pochyłość stała się mniej stroma, ściany skalne rozstępowały się coraz szerzej, otwierając widok na pokryte piargiem podnóża górskich szczytów, niewidocznych jednak w gęstej mgle, rozpiętej jak opona między ścianami.

W jednym miejscu pole śniegowe schodziło wysunie tym cyplem aż na dno wąwozu. Aleksander przystanął mówiąc:

— Stąd pójdziemy w górę.

Wskazał ręką. Biała płaszczyzna, na której wzrok nie znajdował żadnego oparcia, pięła się wysoko na zbocze, w połowie wysokości występem skalnym przedzielona na dwie odnogi, z których południowa, zwężając się, wchodziła w komin skalny i ginęła pod chmurami. U stóp idących szemrała struzka wody, niewidoczna między głazami. Długo szukali jej, odwalając kamienie. Gdy znaleźli, napili się przeraźliwie zimnej wody, po czym Aleksander bez słowa ruszył w górę.

Pokryte zmarzniętym śniegiem zbocze stawało się coraz bardziej strome, nogi zaczynały się ślizgać. Krok za krokiem zmuszeni byli wybijać oparcie dla nóg, które pod Hefajstionem trzęsły się już z utrudzenia, gdy wreszcie dotarli do komina skalnego. U wejścia spocząć można było na gołej skałce. Hefajstion legł na niej dysząc, Aleksander zaś usiadł, oczyma usiłując przebić mgłę, której pułap wisiał tuż nad ich głowami, ciąg-

nać z wolna na północ. Chwilami zwisające z niego strzępy ogarniały ich, przenikając wilgotnym chłodem. Aleksander powstał i jął się wspinać. Śnieg skończył się i nogi przestały się ślizgać, ale bardziej rąk trzeba było, by piąć się niemal prostopadłym miejscami kominem. Szli teraz jeden za drugim, pomagając sobie nawzajem, jak zanurzeni w coraz gęstniejącej mgłę, która zamykała widok na kilka kilometrów. Niespodzianie znaleźli się na dość obszernej półce skalnej, nad którą wznosiła się druga, przewieszona na całej niemal szerokości. Tylko w jednym miejscu ściana jej była prostopadła, ale tak wysoka, że nawet stanąwszy na barkach Hefajstiona Aleksander nie mógł dosięgnąć krawędzi. Gdy zeskoczył na ziemię, Hefajstion powiedział z ulgą:

— Wracać nam przyjdzie.

Zamiast odpowiedzi Aleksander zdjął trzewiki i cisnął je na górną półkę. Hefajstion patrzył zaskoczony.

— Cóżżeś uczynił? Jak pójdziesz boso po śniegu?

— Nie pójdę.

! Pchnął towarzysza pod ścianę i wspiąwszy się na jego barki, rozkazał:

— Wyciągnij ręce!

Gdy Hefajstion to uczynił, Aleksander po jego głowie przeszedł na dłonie, czepiając się najmniejszych nierówności ściany, by od niej nie odpaść, dosięgnął krawędzi i zniknął na chwilę. Potem wychylił głowę i powiedział:

— Jeśli nie wrócę do jutra w południe, wracaj sam. Powiedz, że zostałem na Olimpie.

Nie czekając odpowiedzi, ruszył. Słysząc było, jak się wspina, polem głucha cisza zadzwoniła w uszach Hefajstiona. Lewy zradny, zawieszony w mglistej pustce czekał, wiedząc, że gdyby Aleksander nie wrócił, on już tu, jak pies na grobie pana, zostanie na zawsze. A może jak Kastora i Polideukesa Zeus zawiesi ich obu na firmamencie niebieskim jako dwie gwiazdy, by na wieki pozostali złączeni.

Aleksander piął się w górę. Ubiegłego wieczoru z przełęczą przeszedł wzrokiem drogę, którą teraz pokonywał wysiłkiem namiętnego pragnienia, by własnymi oczyma ujrzeć, ile prawdy jest w opisach poetów. Jeżeli nie zmyliła go mgła, wkrótce już winien znaleźć się na przełęczu między turniami a kopą Olimpu.

Jakoż komin rozszerzał się i przechodził w stromy wąwóz, którego pochyłość łagodniała jednak. Jednocześnie pojaśniało, mgła rzedła widocznie.

Szedł teraz bez większego wysiłku, a wkrótce pochyłość wyrównała się. Od północy zamykała ją niemal prostopadła ściana, której szczyt ginął we mgle, na południe piętrzyły się poszarpane skały. Gdy Aleksander zaczął się wspinać na nie, każda zdała się ostatnią, gdy dotarł do szczytu, nad nią wyrastała następna. Wreszcie zatrzymał się, by obetrzeć pot, który zalewał mu oczy. Gdy się rozejrzał, zrazu nieomal niedostrzegalne, lecz z każdą chwilą jaskrawsze różowe światło przesycać zaczęło rzedniejącą mgłę, przechodząc wreszcie w potok rozjarzonego złota. Piękno widoku było niezrównane, wszystko dokoła, skały i powietrze, płonęło czerwienią, przygasającą w coraz ciemniejszy fiolet.

Niemal nagle i bez przejścia mgła poszarzała i zgasła jak uśmiech. Szybko zapadła ciemność. Aleksander teraz dopiero poczuł, że jest u kresu sił. Wyszukał poziomą szczelinę pod głazem i wsunął się do niej. Za ledwie przymknął oczy, usnął.

Zbudziło go przeraźliwe zimno. Długo rozcierał zgrabiłe członki, zanim wyszedł ze swego schronienia i rozejrzał się dokoła. Nad jego głową granat nieba roił się gwiazdami niezwykle blasku, oświetlającymi leżący w dole ocean mgły, z którego jak wyspy wyłaniały się ciemne masywy szczytów. Podobieństwo byłoby zupełne, gdyby nie martwa cisza, w której dudnienie własnej krwi w uszach zdało się głośnie jak grom.

Choć znużony i obolały, piął się dalej. Ruch rozgrzewał go i przywracał sprawność ciała. Aleksander czuł jednak, że jeśli stanie, nie będzie już miał sił, by ruszyć. Posuwał się teraz na czworakach, nie widząc, że skały zaczynają nabierać barwy, a jaśniejący pas nieba

fia wschodzie rozszerza się nasycając powietrze światłem. Aleksander pelznął już resztką sił. Wreszcie do cna z nich wyzbyty, legł na płaskiej skałce. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo leżał, jeno czuł przesączające się światło przez zamknięte powieki. Otworzył je z wysiłkiem.

Na głębokim błękitnie nieba gasnącym blaskiem migotały ostatnie gwiazdy. Aleksander zerwał się podniecony. Był na szczycie, nad nim już jeno błękitne, bez chmurki niebo wstającego dnia. Oko jego nie szukało Homerowych pałaców ze złota i pereł, przykute pięknem widoku. Mlecznobiałe morze mgły leżało już nisko na dole, zasłaniając głębiny górskich przepaści. Rozrzucony po nim archipelag skał zdał się wznosić w górę, w miarę jak opadała mgła, wreszcie złączył się w jedno pasmo, którego szczyty rozjarzyły się oślepiającym blaskiem, a biel mgły perłowymi barwami, gdy legły na niej promienie wschodzącego słońca, które przygniatała ją coraz niżej, potęgując złudzenie, że góry oderwały się od podstaw i wznoszą się ku niebu.

Aleksander stał, jakby na coś czekając. Wzbijające się szybko słońce przepajało miłym ciepłem znużone jego ciało i rozganiało mgły, które odsłaniały dno przepaścistych wąwozów. Płachty jej wałęsały się leniwie, poszukując cienia, lub tęczową kaskadą przelewały się przez przełęcz w ucieczce przed słońcem. Zniknęły wreszcie, pozostawiając góry panowaniu światła.

Aleksander poczuł głód i uprzytomnił sobie, że Hefajstion czeka na niego z żywnością. Bogowie nie zaprosili go na ucztę. Uśmiechnął się i jak wyzwanie rzucił słowa Eurypidesowego Prometeusza:

*Wszystkich ja zgola bogów nienawidzę...*

Stał jeszcze przez chwilę, jakby czekając na odpowiedź, ale głucha cisza panowała dokoła. Niechętnie ruszył ku zejściu.

Hefajstion noc spędził bezsennie, drżąc z zimna i wewnętrznej niepokoju, Gdy pojaśniało - usnął jednak

tak głęboko, że Aleksander długo szarpać go musiał, zanim go obudzić zdołał. Heiajstion zerwał się, niemal przerażony, patrząc na towarzysza. Aleksander twarz miał ściągniętą z wyczerpania, jasne włosy pozlepiane od polu opadały na czoło, łokcie i kolana czarne od zaschłej krwi. Leżał na skale bez słowa, a Heiajstion, o nic nie pytając, jął go karmić. Gdy skończyli jeść, król wczł wstąpił z westchnieniem i zaczął schodzić.

Hefajstiona paliła ciekawość, ale szedł przodem, nie przerywając milczenia. Aleksander nie lubił, by go wypytywać, zresztą całą uwagę poświęcić trzeba było niebezpiecznemu zejściu. Na skałce przed polem śniegowym spoczęli przez chwilę, po czym własnymi śladami zeszli na dno wąwozu. Choć sam znużony, Hefajstion nie pozwolił się zatrzymać. Wiedział, że gdyby Aleksander teraz zasnął, spać będzie przez kilka dni i nie obudzi go nic. Zapas żywności skończył się i musieli jak najszybciej dotrzeć do ludzi.

Schodzili długo i mozolnie. Hefajstion miejscami dźwigać musiał towarzysza, sam tak już wyczerpany, że gdy należeli się na przełęczy, ostatnim wysiłkiem woli nie pozwolił sobie nawet usiąść. Zorze już gasły, surowy chłód tchnął na nich z mrocznego wąwozu. Zataczając się i ślizgając po pokrytym suchą trawą zboczach, włóknął raczej niż prowadził Aleksandra. Gdy zbliżyli się do chaty, z wnętrza doszły ich głosy. Hefajstion uchylił płachty zakrywającej wejście. Od paleniska, na którym płonął ogień, powstał Filiskos. Patrzył na chłopców z wyrzutem:

— Gdzie byliście? — zapytał.

— Na Olimpie — odparł Hefajstion.

Aleksander nawet nie spojrział na Filiskosa. Zatoczył się jak pijany, padł na legowisko pod ścianą i zasnął.

Unieruchomione ramię Filipa skutecznie zastępował Parmenion. Pod jego dowództwem macedońskie wojska zajęły Portmos, osadziły tyrana w Eretrii; Echinós, Nikaja i Antron przyjęły macedońskie załogi, a epirocki Aleksander z pomocą macedońską zajął Ambrację.



Macki Filipa od wschodu i zachodu obejmowały Hella-  
dę, sięgając już na Peloponez, gdzie uciśnione przez  
Spartę państewka skłonne były szukać jego opieki.

Sam Filip, zmuszony siedzieć w Pelli, gotował wy-  
prawę na Trację, by uprzedzić Artakserksesa, który  
umocniwszy się na tronie, z helleńską pomocą zajął  
Fenicję, Egipt i wyspy na wybrzeżu Azji Mniejszej.  
Filip wprawdzie zawarł z nim układ, ale napaść Ker-  
sobleptesa na Kardię i miasta nad Pontos oraz naru-  
szenie granicy przez ateńskiego stratega Diopejtesa  
w drodze na Chersonesz stworzyły dla Filipa dogodny  
pozór do wyprawy na Trację.

W tym położeniu szczerze pragnął pokoju z Atenami,  
ale mimo że szastał złotem, wszędzie czuł opór na swej  
drodze. Gra bawiła Filipa. Czynił wszystko, by uspić  
i osamotnić Ateny, gdy Demostenes budził je swym  
krzykiem i gorączkowo szukał sprzymierzeńców. Jak  
potężny zapaśnik, który trafi na słabszego, ale zacię-  
tego do ostatniego tchu przeciwnika, Filip z uśmiechem  
czytał przemówienie, które w czasie objazdu Pelopo-  
nezu Demostenes wygłosił w Messenie:

*Jak myślicie, Messeńczycy? Czy mała złość ogarniała  
Olintyjczyków, gdy ktoś źle mówił o Filipie wówczas,  
gdy oddawał im Antemunt, o który ubiegali się wszy-  
scy poprzedni królotoie macedońscy, oraz Potidaję,  
z której wyrzucił kleruchów ateńskich, na siebie bio-  
rąc naszą nienawiść, a ziemią oddając Olintowi? Czy  
spodziewali się tego, co ich spotkało, czy uwierzyliby  
komu? A jednak krótkie tuczenie się cudzym przypla-  
cili trwałą utratą własnego, wygnani bezwstydnie, nie  
tylko pobici na polu walki, ale we własnym domu zdra-  
dziecko zaprzędani. Zbytńia zażyłość z monarchami nie  
wychodzi na zdrowie republikanom... Patrzycie na dary  
i obietnice Filipa, ale proście bogów, jeżeli naprawdą  
macie jakiś rozsądek, byście poniewczasie nie ujrzeli  
oszustwa jego krętackiej polityki. Są, przebóg, różne  
pomysły celem obrony miast, jak wały, mury, rowy  
i inne. To wszystko jest dziełem rąk ludzkich i wyma-  
ga nakładów. Ale ludzie trzeźwo myślący mają z na-  
tury środek ochronny, w ogóle dobry i zbawienny,*

*a szczególnie dla ludu przeciw tyranom. Cóż to jest? Nieufność! Tej przestrzegajcie i trzymajcie się! Z nią nic wam nie grozi. Czegóż chcecie? Wolności! Nie widzicie, że same tytuły Filipa są od niej jak najbardziej odległe? Bo król i monarcha jest naturalnym wrogiem wolności i przeciwnikiem państwa. Pilnujcież się, byście za ceną pokoju nie kupili despoty .*

Filip uśmiechnął się, bo wszystko to prawda. A jednak Messeńczycy woleli pokój. Państewka helleńskie będą mu wierzyły, bo chcą wierzyć. Łatwiejsze to niż prowadzić przeciw niemu wojnę. Po kolei, jak dojrzałe figi, wpadną w ręce Filipa.

Posunął się tak daleko, że oferował korzystną dla Aten zmianę warunków pokoju Filokratesa i zgodę na przystąpienie do niego innych państw helleńskich, czego przedtem odmówił, by nie dopuścić do wspólnego frontu wszystkich przeciwko sobie. Demostenes udaremnił i to pociągnięcie, żądając zwrotu wysp i oddania wszelkich zdobyczy, które Filip zagarnął po zawarciu, a przed zaprzysiężeniem pokoju. Na to król nie mógł się zgodzić i zmuszony był pilnie dawać baczenie na południe, jednocześnie nie spuszczać północy z oczu.

Wszystko to zaprzętało go tak, że o zniknięciu Aleksandra dowiedział się dopiero, gdy każdy już o tym mówił. Ogarnął go zarazem niepokój i gniew, który zwrócił się przeciw Filiskosowi. Zawezwał go i zaraz, nie odpowiadając na pozdrowienie, rzucił ostro:

— Mówiłeś swemu ojcu, że wolisz biegać za lwem niż paść osła. Tedy biegaj za lwem albo będziesz paść osły. Obojętna ci łaska królewska, ale nie wiem, czy obojętna ci będzie niełaska.

Gdy Filiskos milczał, król podjął spokojnie:

— Czy nie wiesz, dokąd mógł się udać Aleksander?

— Mogę się jedno domyślać — odparł Filiskos. — Ilekroć mówiliśmy o bogach, syn twój zdradzał chęć by zbadać samemu, czy są bogowie na Olimpie.

Filip zmarszczył się znowu.

— Nie bogowie rządzą światem, ale ludzie, i nie o bogach miałeś go uczyć. Dość mu matka nakładła w głowę bogów i cudów. Niech się wieszczowie i kapłani zajmują tym, co się dzieje w niebie, skoro z tego żyją.

Gdy Filiskos milczał, Filip zakończył gniewnie:

— Szukaj tedy Aleksandra i bez niego nie pokazuj mi się na oczy.

Niemniej sam na wszystkie strony rozesłał ludzi w poszukiwaniu syna. Filiskos zaś na własną rękę dopytał się w przystani, że właśnie w dniu, gdy zniknął Aleksander, zginęła łódź. Przeprowadził się tedy na drugą stronę zatoki, i w Pierra stwierdził, że znaleziono ją u ujścia Haliakmonu, gdzie wyrzuciły ją fale. Nie stropił się tym, pewny już, że wpadł na ślad, ale idąc ku Olimpowi daremnie poszukiwał dalszego, coraz bardziej niespokojny. Jeżeli nie znajdzie go przed wejściem w skalistą pustynię, szukanie tam dwóch niedoświadczonych wyrostków równało się szukaniu kamyka rzuconego do strumienia. Zaniechał dopytywania się o chłopców po osadach, przekonany już, że umyślnie ich unikali, i parł naprzód z postanowieniem, że pójdzie na szczyt Olimpu, choćby miał stamtąd nie wrócić. Gnał go niepokój o Aleksandra, do którego nie tylko przywiązał się; chłopak wywierał na nim nieodparty urok. Choć był cynikiem nawykłym do trzeźwego i niezależnego myślenia, niedaleki był od wiary, że Aleksandra zesłało na świat bóstwo, zlecając mu wypełnienie jakiegoś wielkiego zadania, którego świadomość zdała się cechować wszystkie jego postęпки.

Zajęty tymi myślami wędrował na południe i gdy już żadnej nie żywił nadziei, niespodzianie odnalazł ślad całkiem pewny. Trafił do chaty w wąwozie u stóp Olimpu i z opisu starego górala ponad wszelką wątpliwość poznał Hefajstiona. Postanowił tedy przenocować w chacie, by rankiem ruszyć ku groźnie wyrastającym szczytom, gdy wkrótce po zapadnięciu ciemności zjawili się zbiegowie.

Filiskosa paliła ciekawość, ale cierpliwość jego wystawiona została na długą próbę. Hefajstiona zdołał dobudzić nazajutrz w południe, ale niewiele się od niego

dowiedział. Aleksander zaś spał jak kamień. Nie zbudził się, gdy mu opatrywano zadrapania i stłuczenia, przez sen napił się trochę mleka i spał dalej, jakby się nigdy nie miał obudzić. Filiskos czuwał przy nim cały dzień i większą część nocy, wreszcie sam znużony usnął nad ranem. Obudził go głos Aleksandra:

— Co tu robisz?

Filiskos zerwał się patrząc na wychowanka. Nie znać było po nim ni śladu znużenia. Z lekka zaróżowiona twarz zdała się przeświecać wewnętrznym światłem. Powtórzył pytanie.

— Szukałem was. Król zakazał mi wracać bez ciebie — odparł Filiskos. W głosie jego był wyrzut. Aleksander odparł obojętnie:

— Możesz zostać ze mną. Nie wracam jeszcze do Pelli.

Filiskos wiedział, że darmo spierać się z Aleksandrem lub wypytywać o to, czego sam powiedzieć nie chce, i umilkł. Stary góral, który ze swego legowiska przysłuchiwał się rozmowie, wstał i przystąpiwszy do Aleksandra, jedną ręką objął go za kolana, drugą gładząc go po twarzy, powiedział:

— Tyś jest synem Filipa? Jak ojciec bogów trzyma on w ręku boginię zwycięstwa. Niechaj ci w spadku po nim przypadnie.

Odszedł w głąb chaty i grzebał w drewnianej skrzyni. Wyjął naszyjnik z zębów nanizanych na sznurek i wręczając go Aleksandrowi powiedział:

— Niedawno były jeszcze lwy w górach Macedonii. Nie brakło nam serca, by z nimi walczyć, a jednak bił nas, kto chciał. Ja widziałem same klęski, moi synowie już tylko zwycięstwa. Nie mam nic cenniejszego, ale tobie nie złota potrzeba, jeno siły.

Aleksander, biorąc naszyjnik, zapytał:

— A cóż ja mogę ci wzajem dać?

— Czegóż mi trzeba? Chyba psa, bo mi niedźwiedź ostatniego zatłamsił, owce podbiera i barcie psuje, a nie ma go komu ubić, bo ja już stary, a synowie hypaspi-stami są u twego ojca. Trzech ich jest, jak trójka koni dobranych, jednej maści i kształtu: Abreas, Adajos

i Admetos. Póki byli w domu, nie uchował się tu niedźwiedź ni wilk. Brak mi młodych rąk, ale sam ich wyślałem. Niech służą twojemu ojcu. Z takimi jak on łatwiej o zwycięstwa, z niedźwiedziem sam sobie jakoś poradzę.

— Dziękuję ci — odparł Aleksander. — Będziesz miał psy, molosy z Epiru, które nie złęką się niedźwiedzia ni wilka. A może niewolników chcesz, by ci pomogli strzec trzody, skoro synów nie ma?

Góral zaśmiał się:

— Psy są od tego, by człowiekowi służyły, i wdzięczny ci będę za nie. A człowiek, który służyć musi po niewoli, służy źle. Wolę ją sam — dawnym obyczajem — trzody pilnować niż niewolników.

Aleksander nic nie odrzekł i zamyślił się. Filiskos naglił już do odejścia, ale gospodarz ani słyszeć o tym nie chciał, by ich bez posiłku wypuścić:

— Rzadko mi bogowie gości zsyłają, a takiego jeszcze nigdy. Jeżeli nie chcecie obrazić Zeusa Kseniosa, ostańcie. Oliwy ni wina nie mam, do których pewnie nawykliście, ale nie strujecie się masłem, które po staremu tu jadamy. A już sera ni mleka lepszego nie znajdziecie nigdzie, ni miodu z górskich ziół, skutecznych na wszystkie choroby.

Musieli tedy zostać, nie chcąc obrazić gospodarza, i z południa już było, gdy ruszyli.

Szli teraz doliną wolno, bo Aleksander zatrzymywał się co chwila to rozglądając się dokoła, to wspinając się na zbocza, by obejrzeć jakąś roślinę czy kamień. Filiskos czekał cierpliwie, kiedy Aleksander sam zacznie mówić. Wreszcie spytał Hefajstiona:

— Byliście na Olimpie?

— Ja nie byłem. Aleksander poszedł sam, ale nie opowiada o tym. Może bogowie zakazali mu zdradzać swe tajemnice.

Umilkli, bo zbliżył się Aleksander, ale słyszał widocznie, o czym mówili, bo powiedział:

— Tajemnicą Olimpu jest to, że nie ma na nim bogów. Ja byłem jedynym, a jeżeli był inny, to taki, o jakim mówi Diogenes: który jest wszędzie.

Zamyślił się i dodał:

— Taki może być tylko jeden i niezrozumiały dla ludzi, którzy potrzebują bogów im podobnych. Ale ja chcę zrozumieć. Pójdę do Dionu, by mnie wtajemniczono.

— Ojciec twój nie chce, byś się zajmował bogami, a o zwłokę gniewać się będzie — odparł Filiskos. — Mówił, że to jest sprawa wieszczków i kapłanów, którym. x. to płaci, by wiedzieć, czy/ago ha^ame chcą lub. co zamierzają. Ty zaś nie kapłanem masz być, jeno królem.

— Ale nie mam też być muzykaniem, a muzyki kazał mnie ojciec uczyć, choć tego nie chciałem. Ojciec nie pyta mnie o zdanie w swoich sprawach...

Filiskos przerwał mu:

— Wędrowni kaznodzieje chodzą wszędzie, tedy nie potrzebujesz chodzić do Dionu. Nie mówią nic nowego, bo w rzeczywistości trzymają się Hezjodowej teogonii. Kazał wierzyć w Apollina, boga światłości, i Dionizosa, boga wyzwolenia, pożartego przez tytanów, gromem Zeusa obróconych w popioły, z których powstał ludzkość. Stąd w każdym człowieku jest część dionizyjska, która się przechowuje i pomnaża przez życie orfickie.

— Może wtajemniczonym mówią coś innego — powiedział Aleksander zamyślony. — A czego od nich żądają?

— Ascezy i pobożności. A że wszystko, co żyje, obciążone jest grzechem tytanów, żądają oczyszczenia. Za to wtajemniczeni idą po śmierci na Wyspy Szczęśliwych, gdy nie wtajemniczeni cierpią w Erebie.

Filiskos mówił z uśmiechem. Aleksander patrzył na niego nieufnie; zapytał:

— Czy ty jesteś wtajemniczony?

— Widzisz przecie, że noszę wełniany chiton, jem jaja i groch. Orfikom zaś nie wolno zabijać nic żywego, by nie pożreć części dionizyjskiej i nie popaść w grzech tytanów. Grochu zaś nie jedzą, bo mówią, że kto je groch, może pożreć głowy swych rodziców. Ojciec mój żyje, a jeśli nawet głowa matki weszła w groch, to małe jest prawdopodobieństwo, bym ją pożarł. Umarłych jest dużo, a grochu jeszcze więcej.

— Ty kpisz!

— Kpię z niedorzeczności, którymi głupcy i oszuści zawsze zaciemniają sprawy ważne, by zyskać na znaczeniu i ciągnąć korzyści. Gdy Diogenesa namawiano, by przyjął wtajemniczenie, mistrz mój odpowiedział: „Byłoby śmieszne, gdyby Agesilaos czy Epaminondas wąleśali się w Erebie tylko dlatego, że nie byli wtajemniczeni, a nicponie tylko dlatego, że otrzymali wtajemniczenie — przebywali na Wyspach Szczęśliwych”. Zaś agyrtesa , który chciał go oczyścić poświęconą wodą, wyśmiał mówiąc, że dziw, jak łatwo pozbyć się tak ważnej rzeczy, jak grzech, a jak trudno tak błahej, jak gramatyczne błędy.

— Gdzież więc szukać prawdy? — zapytał Aleksander chmurnie. — Na Olimpie jej nie znalazłem i, jak mówisz, nie znajdę w Dionie.

— Prawda bezwzględna jest ideą, należy tedy do metafizyki, nie może więc być osiągnięta. Dlatego ci, co mówią, że ją posiadli, albo są głupcami, jeżeli w to wierzą, albo oszustami, jeżeli nie wierzą. Ale prawda jest potrzebą człowieka. Kto nie szuka jej, żyje jak bydlę.

— Ale gdzież jej szukać?

— Wszędzie. Nawet cieśla, gdy szuka kąta prostego, lekarz odpowiedniego lekarstwa czy matematyk trafnego rozwiązania, wszyscy oni szukają prawdy. Bo prawda nie jest celem sama dla siebie, ale służyć ma jakiemuś dobru.

— Wiesz, :( nie o takie dobro mi idzie — przerwał gniewnie Aleksander.

— Wiem. Ale jak słusznie mówią pitagorejczycy, dobro jest ograniczone. Chybić można na tysiąc sposobów, trafić tylko na jeden. A nawet najmędrzy z ludzi, Sokrates, gdy po życiu, spędzonym na szukaniu prawdy, stanął u progu śmierci, powiedział do swych sędziów: „Oto i czas odejść. Mnie do śmierci, wam do życia. Kto z nas idzie do lepszego, nie wie jasno nikt — chyba tylko bóg”.

Gdy Aleksander milczał zadumany, Filiskos dokończył:

— Znowu mówimy o sprawach, którymi ojciec twój

nie chce, byś się zajmował. A ja nie będę ani ukrywał przed tobą tego, co myślę, ani mówił, czego nie myślę. Dlatego będziemy musieli się rozstać.  
Widząc gniewny błysk w oczach Aleksandra, dodał:  
— Prawdy każdy sam szukać musi. Czy ty ją znajdziesz, nie wie nikt — chyba tylko bóg.



## ROZDZIAŁ XI

Starcie z synem po jego powrocie do Pelli zastanowiło Filipa. Chłopiec słuchał wyrzutów ojca z opuszczonymi oczyma, a na twarzy jego zjawił się znany królowi wyraz zaciętości. Filip opanował podniesiony głos i zapytał:

— Powiedz mi, czego ty w końcu chcesz ?

Zdziwił go wybuch, jaki wywołało zapytanie. Wbijając w ojca spojrzenie rozgnionych oczu, Aleksander krzyknął:

— Chcę być sam i mieć spokój!

— Usiądź — powiedział Filip. — Jeżeli potrafisz, powiedz mi, co cię niepokoi i dlaczego chcesz być sam? Gdy Aleksander milczał, Filip podjął:

— Gdybyś nie był synem królewskim, mógłbym ci pozwolić żyć, jak chcesz... gdybyś sam wiedział, czego chcesz.

— Ja się ciebie nie pytam, czego ty chcesz — odparł Aleksander.

Filip zmarszczył brwi, ale powiedział spokojnie:

— Dobrze! Mówmy jak równy z równym, nie jak ojciec z synem. Czy masz do mnie zaufanie?

— Nie!

— W takim razie trudno mówić. Ale w jedno możesz wierzyć: kiedyś masz być królem. Królowie nie miewają spokoju.

— Ale ja królem jeszcze nie jestem. Czy dlatego

nam tylko słuchać, a mieć się na baczności przed każdym, kto się do mnie zbliża?

— Czy przede mną też?

— Sądzisz, że nie widzę gry, którą o mnie prowadzicie z matką — rzucił Aleksander.

Filip poczerwieniał, ale opanował się i odparł łagodnie:

— Grę prowadzi matka, bo czegoż ja mogę chcieć? Wychować cię na dzielnego męża, byś podolał zadaniom, które czekają króla.

I

— Czy długo mnie jeszcze będziesz wychowywał? [ czy tylko ty wiesz, jakie są zadania króla?

— Dosyć — rzekł Filip marszcząc brwi. — Tymczasem jeszcze ja jestem królem i ojcem. Ale nie chcę ci tego dać odczuć. Chcesz być sam, pojedziesz do mojego majątku w okolicy Miezy. Weźmiesz z sobą, kogo ci się spodoba. Ale że jeszcze uczyć się musisz, pisałem już po najmędrszego z żyjących, Arystotelesa. Dostanie rozkaz, by w niczym ci się nie sprzeciwiał. Tymczasem żądam tylko, byś nie opuszczał Pelli bez mojej wiedzy. Sam rozumiesz, że jesteś synem królewskim, a ja dość mam wrogów, którzy radzi by dostać cię w swoje ręce, by moje skrupować... bo wiedzą, że ja ciebie miłuję — zakończył miękko i zdał się czekać na odpowiedź. Aleksander jednak oczy opuścił i milczał. Filip zakończył sucho.

— Możesz odejść.

Obstawiony księgami Aleksander leżał na płaskim dachu pałacu i czytał uśmiechając się drwiąco. Tak był zatopiony, że siedzący u jego stóp na podnóżku Marsjas musiał powtórzyć pytanie:

— Czytasz Arystofanesa?

Aleksander oderwał oczy od papirusu i odparł

— Nie. Tukidydesa „Wojnę peloponeską”.

— Czytałem to — odparł Marsjas. — Bardzo mi się podobało, ale nie znalazłem tam nic śmiesznego.

— A „Lizystratę” czytałeś? Czy i w niej nie znalazłeś nic śmiesznego?

<sup>1</sup> „Gromiwoja”, komedia Arystofanesa

Tak, ale to jest komedia.

Tukidydes opisuje, jak ci, co rozpoczęli wojnę, nie umieli jej prowadzić, Arystofanes zaś, jak nie umieli jej skończyć. Nie wiem, co jest śmieszniejsze. Ale tym, którzy nie wiedzieli nawet, po co się prowadziło tę wojnę, a musieli za nią płacić, nie chciało się chyba śmiać nawet z Arystofanesowej komedii. Ja zaś śmieję się z tych pomników zwycięstw, którymi obie strony usiały całą Helladę, a na które pies nogę podnosi. Wspaniałe zaiste i godne pamięci zwycięstwa, po których obie strony wojnę przegrały, a owoce zbiera Filip. Ale choć jego zwycięstwa są więcej warte, zbiera je, również nie wiedząc po co.

— Jak to, nie wiedząc po co? Słyszałem — dodał zniżając głos — jak ojciec mój, Periandros, rozmawiał z Parmenionem, że król już czyni przygotowania przeciw Persom. Wyprawę zaś do Tracji, za Nestos, król gotuje, by stanąć nad Hellespontem i łądem dostęp uzyskać do Azji.

— I co dalej?

— Jak to, co dalej? Uderzy na Persów, by pomścił Helladę.

— Po co? Przecież bliżej do Teb, które szły razem z Persami.

— Gdy Marsjas milczał zmieszany, Aleksander ciągnął — To dobry pozór, by do wyprawy zachęcić niektórych Hellenów. Ale nie tych, którzy wolą perskie darejki od naszych staterów .

— Może po to — ciągnął Marsjas niepewnie - by uwolnić kolonie jońskie i rozszerzyć Macedonię?

— I co dalej?

— I cóż byś ty uczynił? — zakrzyknął Marsjas, ale odpowiedzi nie otrzymał, gdyż w tej chwili nadbiegł Hefajstion czymś podniecony, wołając na Aleksandra:

— Pójdź prędko! Zobaczysz konia, którego nikt dotychczas nie może. Dwuletni ogier, ale mówię ci, nie koń, lecz ogień.

Aleksander zerwał się i pozostawiając zadumanego Marsjasza, wyszedł z Hefajstionem, który mówił:

— Filonikos z Laryssy, który konie sprowadza z Tessalii dla naszej jazdy, przywiódł ogiera i żąda za niego

trzyście talentów. Król miałby ochotę kupić konia, podobno ogier pochodzi od nieśmiertelnych koni Achillesa. Ale choćby i nie, to istne dziwo. Pierś i pęciny jak u kobiety, czarny jak noc, tylko plamkę białą ma na czole, kształtu głowy byka. Dlatego zowie się Bufalos. Próbują go właśnie, bo nie ujeżdżony.

Z dała już, wśród gromadki ludzi stojących na łące dostrzegli ciskającego się konia, którego z trudem trzymało dwóch stajennych. Właśnie dosiadł go iliarcha Andromachos, słynny jeździec, ale nim dobiegli, rumak pozbawił go już sławy, a omal że życia, bo zrzuciwszy go, gwizdnął mu kopytami nad głową. Andromachos dzwigał się z trudem i wstydem, a do konia przystąpił dojeżdźacz osobistej stadniny króla, Agaton. Potężnego wzrostu i olbrzymiej siły, jeszcze nie spotkał konia który by się pod nim nie położył. Jednak i on widocznie nie lekcewał sprawy, bo stał przez chwilę namyślając się, jak konia zażyć. Niespodzianie skoczył na grzbiet i krzyknął na stajennych:

— Puścić!

Koń w miejscu zrobił młynka, usiłując ukąsić go w nogę, Agaton jednak ściągnął go potężną dłonią. Wówczas ogier, wsadziwszy głowę między nogi, bić zaczął zadem, usiłując jeźdźca przerzucić. Agaton przygotowany był na to i zsunąwszy się ku przodowi, ścisnął go potężnie kolanami i poderwał łeb do góry. Tego jednak, co teraz nastąpiło, nie mógł przewidzieć. Koń wyprostował się na całą wysokość i runął na grzbiet. Przytomny Agaton w ostatniej chwili zdołał się odepchnąć i potoczył się pod nogi króla, zaś stajenni doskoczywszy, schwytali rumaka za wodze, nim zdołał się dzwignąć. Miotał nimi na wszystkie strony król zaś zwrócił się do Filonikosa, mówiąc:

— Koń piękny jak cena, którą za niego żądasz. Ale nic mi po koniu, na którego można tylko patrzeć. Dlatego nie kupię.

Aleksander, stojący za ojcem, odezwał się do Hefajstiona:

— Takiego pięknego konia chcą się pozbyć dlatego, że nie umieją się z nim obchodzić.

— Król odwrócił się do syna i zapytał:

Czy sądzisz, że potrafisz lepiej obejść się z koniem?

Tak sędę — odparł Aleksander bez namysłu.

A jakiej karze się poddasz, jeśli się okaże, że jesteś tylko zarozumiały?

— Zapłacę cenę konia.

— Bogaty jesteś — rzekł Filip. — I bardzo pewny siebie. Tedy spróbuj!

Może rad byłby upokorzyć syna, który się wyraźnie wyłamywał spod jego władzy, ale jednocześnie patrzył z mieszanym uczuciem dumy i niepokoju, jak Aleksander śmiało przystąpił do wrywającego się konia. Poklepawszy go po karku, uchwycił za wodze i zrzuciwszy chłajnę, zawołał do stajennych:

— Odstąpić!

Koń z miejsca porwał się wyciągniętym klusem, Aleksander zaś biegi koło niego, jeno migotały białe nogi. Przy potężnym rumaku zdał się jeszcze drobniejszy, Niespodzianie jak żbik skoczył na grzbiet konia, który stuliwszy uszy, pomknął po błoniu jak jaskółka i małał w oczach. Obecni zakrzyknęli myśląc, że koń go ponosi, opodal zaś znajdowały się doły, z których wybierano glinę. Aleksander jednak pamiętał o tym i widocznie panował nad koniem, gdyż zatoczywszy łuk, ominął je i zniknął z oczu za wzniesieniem. Hefajstion rzucił się w kierunku pagórka, ale nim dobiegł, Aleksander ukazał się z przeciwnej strony i dojechawszy w pędzie do Filipa osadził konia na miejscu, po czym zeskoczywszy poklepał go i oddając wodze nadbiegającym parobkom, zwrócił się do Filonikosa, mówiąc:

— Ja kupuję konia.

Król miał łzy w oczach. Podeszedł do syna i chwytając go w objęcia, powiedział:

— Synu! Szukaj sobie większego królestwa, bo Macedonia jest za mała dla ciebie.

Aleksander nic nie odpowiedział. Świecące oczy utkwiał swym zwyczajem gdzieś w dali.

## ROZDZIAŁ XII

Filip znał Arystotelesa z czasów, gdy ten jako chłopiec przybył ze Stageiry do Pelli, gdzie ojciec jego, Nikomachos, był lekarzem przybocznym króla Amyntasa. Po śmierci króla drogi młodzieńców się rozeszły. Filip przebywał w Tebach jako zakładnik, Arystoteles zaś w wieku *siedemnastu* udał się do Aten, gdzie przez lat dwadzieścia naprzód studiował, a potem uczył w Platońskiej Akademii, zwany jej mózgiem przez mistrza, który zwykł mówić, że Arystoteles trąca go jak żrebię kobyłę. Coraz częściej i więcej słyszeli wzajem o sobie, gdy Filip potęgą, Arystoteles zaś wiedzą przerastać zaczęli otaczający ich świat. Choć zupełnie różni umysłowością i zamiłowaniem, w tym byli podobni, że znali się na ludziach i umieli ich dobierać do swych celów. Arystoteles szukał przyjaźni z królami, a ożeniony z córką tyrana z Atarneos w Myzji, szczególnie się nadawał Filipowi na pośrednika w nawiązaniu potrzebnych mu w Azji Mniejszej stosunków przed zamierzoną już perską wyprawą. Filip napisał tedy do Arystotelesa pochlebny list, zapraszający go do Pelli jako nadwornego filozofa i nauczyciela dorastającego syna. Arystoteles bez wahania zwinął swą szkołę w Mitylenie, gdzie nie czuł się pewny przed Persami, by podjąć się kształcenia następcy macedońskiego króla. Możliwości, jakie ta przed nim otwierało, były nieograniczone, a skorzystał z nich zaraz, żądając wyna-

grodzienia nie mniejszego niż jego sława: odbudowania zburzonej przez Filipa Stageiry.

Filip umiał płacić, gdy kogoś potrzebował. Kiedy rozmawiał o tym z Antypatrem, który — jako przyjaciel filozofa z młodzieńczych lat w Akademii — podsunął królowi myśl sprowadzenia Arystotelesa, roześmiał się mówiąc:

— Dość gruzów zostawiłem na Chalkidike, by choćby dziesięć miast odbudować.

Z własnej już woli ustanowił filozofa prawodawcą Stageiry, a na Lesbos wysłał po niego wojenną trierę, jak po króla, wiedząc, że filozof nie jest obojętny na zaszczyty. Gdy zaś zawiadomiono go, że widać już na zatoce żagle powracającego statku, udał się wraz z Aleksandrem, w otoczeniu dworu i dostojników, na przystań, by powitać filozofa jak równego sobie.

— Ród jego — na równi z królewskim — boskiego był pochodzenia. Protoplasta Asklepios, syn ApoUina i nifmy Koronis, a uczeń centaura Chejrona, spłodził Machaona, lekarza trojańskich herosów, i od mitycznych czasów potomkowie jego trudnili się leczeniem, przekazując wiedzę z ojca na syna. Także Arystotelesa wtajemniczył ojciec w swą sztukę, lecz chłonnemu jak gąbka umysłowi młodzieńca nie starczyło poznanie świata tylko od strony chorego ciała. Nigdy nie syty wiedzy i niestrudzony w jej zdobywaniu, chciał zagarnąć całą, jaką dotychczas zdobyła ludzkość. Sam jednak dotąd niewiele napisał, ograniczając się do niewielkich rozprawy dla uczniów swej szkoły i złośliwych dialogów, w których — w przeciwieństwie do mistrza swego, Platona — na pierwsze miejsce wysuwał własną osobę.

Wiatr dął od zachodu, niosąc chmury i marszcząc spokojną zazwyczaj powierzchnię zatoki w srebrnoszarą łuskę, na której zwinawszy żagle rosła w oczach triery z syreną na rufie. Gdy się zbliżyła na odległość jednego stadionu, sto wiosel jak jedno dźwignęło się i znie ruchomiąło, a statek sunął po płaszczyźnie bezgłośnie; przylgnął bokiem do pomostu i szarpnięty kotwiczną liną, zatrzymał się, z lekka kołysząc. Filip z zadowoleniem patrzył, jak szybko i sprawnie rybacy jego na-



uczyli się obchodzić z wojennymi statkami. Zgasi przewagę Aten i na morzu, jak dopalający się stos, którego nie ma czym podsycać.

O tym myślał Filip patrząc jednocześnie na filozofa, który schodził już po przerzuconym pomoście.

Stojący za ojcem Aleksander z zaciekawieniem spoglądał na zbliżającego się szczupłego i wątłego męża, o którym ostatnio wiele mówiono na dworze. Nieskłonny do podziwu Antypater nie szczędził go dla niezwykłych uzdolnień dawnego towarzysza.

Świadomość poczucia własnej wartości odgadnąć można było z całej postaci i zachowania się filozofa, jak również, że lubi on życie nie tylko badać, ale i używać go. Chiton z tyryjskiej purpury, bogato haftowany, spięty na prawym ramieniu ogromną złotą zapinką, rzucał czerwony poblask na szeroką twarz o wydatnych policzkach, zarośniętych do połowy krótką, starannie trefioną brodą o jedwabistym połysku. Z zarostu wyłaniały się pełne, czerwone i zmysłowe usta, z lekka skrzywione jakby w dobrotliwie drwiącym uśmiechu. Szeroko rozstawione, przenikliwe, bystre i zimne oczy świeciły jasną i trzeźwą myślą, a nad nimi sklepiało się niezmiernie wypukłe czoło, zda się napęczniałe jak miech chciwca od zawartości ponad pojemność.

Z dostojną uprzejmością odpowiedział na królewskie powitanie, po czym serdecznie, starannie dobierane słowami skierował do Antypatra, jakby umyślnie nie zwracając uwagi na Aleksandra, o którym wiedział już, że karmiony przez matkę od niemowlęcia przekonaniem o nadprzyrodzonym swym przeznaczeniu niczyjej powagi nie uznaje. Dopiero gdy król zwrócił się do niego ze słowami:

— A oto syn mój, którego uczyć masz, jak stać się wielkim władcą — filozof spojrzął na chłopca i podając mu rękę, z uśmiechem rzekł do Filipa:

— Rozważania należy zacząć od rzeczy znanych, bowiem każdy ma trafny sąd tylko w znanej sobie dziedzinie. Nauka o państwie jest zaś najwyższą, ale na szczyt wspinać się trzeba krok za krokiem. Dlatego młodzieniec nie jest jej odpowiednim słuchaczem, brak

mu bowiem doświadczenia, łatwo ulega namiętnościom, a pod ich wpływem ludzie czynią to, o czym nawet wiedzą, że jest złe.

Z dobrotliwą wyrozumiałością spojrzął na Aleksandra, przekonany, że go onieśmielił. Nie dał poznać zdziwienia po sobie i uśmiech z wprawą dworaka zmienił z dobrotliwego na pochlebny, gdy Aleksander odpowiedział zapytaniem:

— Czy królowie i filozofowie wolni są od namiętności, czy zwalnia od nich doświadczenie? A ty, czy tylko tego nauczyć mnie potrafisz, czego się sam nauczyłeś od innych? Gdzież jest państwo, którym rządziłeś, by mnie tego uczyć?

Arystoteles skłonił się z powagą i odparł:

— Masz słuszność. Orły nie muszą wspinać się na szczyt ani ich latać nikt nie uczy. Ale i one czekać muszą, aż się ich skrzydła okryją piórami. Dzielność jest sprawcą czynów, ale myśl oświeciła ich drogi.

Zwracając się zaś do Filipa, który nie tając ojcowskiej dumy przysłuchiwał się rozmowie, dodał:

— Po raz pierwszy spotkałem ucznia, od którego będę się mógł czegoś nauczyć.

Mimo że powiedzenie podyktowała filozofowi gładkość dworaka i chęć przypodobania się władcom, nie były one dalekie od prawdy. Zarówno szeroki i fantastyczny, jak wnikliwy i krytyczny umysł ucznia, który niczego nie przyjmował dla powagi nauczyciela, zmuszał filozofa do uporządkowania i skontrolowania olbrzymich swych wiadomości. Sprzyjał także temu spokój wyznaczonego mu przez króla na pobyt górskiego zakątka, uroczej dolinki u podnóży Olimpu, którą ożywiały wesoły strumyk, zbiegający w podskokach po skalnych progach, od źródelka poświęconego nimfom ku zielonym łąkom w dolinie, ciągnącym się aż do odległej zatoki. Zabudowania królewskiej posiadłości, zwanej od źródelka — Nimfajon, leżały u zejścia na równinę, z dala zaś od nich, na południowo-wschodnim stoku doliny stał dworzec obszerny i wygodny, zasłonięty od północy kępą wyniosłych górskich jesionów, od zachodu zaś dostępną jeno dla kóz skałą. Najsrozsze nawet wichry zaznaczały się tylko szumem w wierzchoł-

kach drzew, podkreślając spokój i ciszę, jakie tu panowały.

Zwolniony od ciężaru spraw, które zaprzętały go przedwcześnie, niepokoju, jaki dokoła siebie wytwarzał Filip, i rozterki głuchej walki między rodzicami, umysł Aleksandra odprężył się, skupił i z wrodzoną gwałtownością rzucił się zarówno na otaczający świat przyrody, jak i świat myśli, który otwierał przed nim filozof.

Nie tylko na skutek nakazu króla Arystoteles nie starał się niczego Aleksandrowi narzucić. Od pierwszego zetknięcia poznał, że wobec tego ucznia nie można rzeczy małych czynić wielkimi, a wielkich małymi, do czego wzorem Gorgiasa i sofistów nawykł w swej szkole. Aleksander uporczywie i nieufnie ścigał każdą myśl aż do jej najgłębszych zakątków, zmuszając do wewnętrznej uczciwości. Rozmowy, które wiedli nieraz, aż świt zarumienił niebo, znajdowały swe odbicie w krytycznych rozprawach filozofa. Nieodstępny Hefajstion zasypiał przy nich najczęściej. Marsjas słuchał w milczeniu, usiłując nadążyć za przeskokami myśli Aleksandra, dumny z tego, że poza Hefajstionem, z którym się Aleksander nie rozstawał, jego tylko wybrał na towarzysza swej samotności. Z tym samym wysiłkiem usiłował nadążyć Aleksandrowi na łowach, gdy zima śniegową pościelą okryła lesiste zbocza górskich podnóży. Zwierz pozostawiał ślad, Aleksander zaś ścigał go, marząc o spotkaniu potworów tak wielkich jak dzik Erymantu czy Kalidonii. Nie marzył jeno o spotkaniu Atlanty, choć dojrzewająca męskość coraz częściej wyganiała jego towarzyszy na przygody do niezbyt odległego miasteczka Mieza, gdy jeno wiosna okryła zielenią górskie zbocza, a kwieciami doliny. Aleksander wówczas samotnie wałęsał się po górach. Od dzieciństwa zmuszony patrzeć na te sprawy oczyma Olimpiady, żywił do nich uprzedzenie graniczące z obrzydzeniem. To jedno pozwalało mu ująć w karby siłę, która burzyła się w nim jak młode wino. W wędrówkach swych odwiedzał chaty pasterzy, bartników i drwali, jak pszczoła miód zbierając ich wiedzę o gwiazdach, ptakach, roślinach i zwierzętach, przekazywaną z po-

kolenia na pokolenie. Wracał z pękami ziół i znajomością ich właściwości, razem z mistrzem rozpatrując i porządkując je. Podczas tych wędrówek umacniał się w przekonaniu, którego nabrał po raz pierwszy w chacie górala pod przełęczą Olimpu, że prosty naród uwielbia Filipa. W długich samotnych rozmyśleniach starał się zrozumieć to uczucie, którego nie podzielał. Ręce tych ludzi mają kiedyś wykonywać jego zamierzenia. Filip pozyskał ich, czyniąc łowcę ze ściągane zwierza. Ale świata nie można zdobywać jedynie po to, by go łupić. Czy jednak Parmenion i Antypater inaczej rozumieli wielkość Macedonii, która była ich celem? Nawet sam Arystoteles szczyt ludzkich osiągnięć widział w wielkości Hellady, której służyć ma reszta ludzkości. Może cele Aleksandra przeczuwał dziki i nieokiełznany umysł Filipa, gdy mówił synowi, by szukał sobie większego niż Macedonia królestwa? Tym królestwem był cały świat.

W zaciszu tej samej małej górskiej miejscowości dojrzał w pełni lat męskich drugi umysł, który zasięgiem swym miał również objąć cały świat. Arystoteles, słabując na nogi, niemal nie ruszał się z domu, układając swe wiadomości w system. Nigdy przedtem ni potem nie pisał tak dużo, łatwo i swobodnie, bez myśli i celów ubocznych, poza jednym, którym była prawda. Oderwał się nie tylko od sofistów, ale nawet od urzekającego wpływu mistrza swego, Platona. Nie potrzebował już schlebiać nikomu ni dbać o modę i uczniów, Z dworaka i sofisty, który z myślą o zyskach i znaczeniu podjął swe zadanie, stał się świadomym odpowiedzialności wyrazicielem helleńskiej kultury, by nie zginęła wraz z upadającą Helladą. Nie przeczuwał jedynie że na to trzeba przełamać zmurszałe jak Hellada przesady, z których sam nie potrafił się wyzwolić — ani że uczyni to burzliwy demon Aleksandra.

Wraz z księgami, które dla swego ucznia sprowadzał Arystoteles, docierały do Nimfajon echa ze świata. Filip wojował w Tracji. Wieści przynosiły najczęściej listy z Pelli od Olimpiady. Rozłąka i spokój przytłumiły wstającą ostatnio nieufność Aleksandra, a wzmogły przywiązanie. Olimpias zaś w postępowaniu swym sta-

ła się ostrożniejsza i bardziej przemyślna. Przysłała synowi ostatnią mowę Demostenesa przeciw Filipowi oraz dzieło Ksenofonta o wychowaniu Kyrosa, wiedząc, że narzuci Aleksandrowi porównanie postępowania Filipa z życiem i działalnością twórcy potęgi perskiej, który umiał skupić pod swą władzą dziesiątki różnorodnych, odmiennych obyczajami i wiarą narodów.

Zamierzenie jej nie chybiło celu. Aleksander pochłoniął księgę, ale wbrew przyjętemu zwyczajowi nie mówił o niej ze swym mistrzem. Natomiast w rozmowie z Hefajstionem powiedział:

— Arystoteles chce, bym był przywódcą Hellenów, a despotą barbarzyńców, jak zaś wolę na odwrót.

Mimo że Hefajstion nie zwykł się dziwić myślom towarzysza, tym razem wyraził wątpliwość:

— Jak możesz przewodzić ludom, których nie znasz i z którymi nic nas nie łączy?

— Czy nie mogę poznać ludów, których nie znam, i mam uważać, że są stworzone na niewolników dlatego tylko, że tak uważają Hellenowie? Przeczytaj to.

Wręczył Hefajstionowi papirus, ciągnąc:

— Demostenes twierdzi, że nie tylko nie jesteśmy Hellenami, ale nawet nie nadajemy się na porządnym niewolników. Sądzi, że to nam ubliża. Ja zaś myślę, że Hellenowie będą porządnymi niewolnikami. Czyż sam tego nie przyznaje? Mówi, że każdy z nich dba jeno o własne powodzenia i znaczenie, a na czyny mego ojca patrzą jak na grad, prosząc bogów, by spadł na kogo innego, ale sami nie umieją temu zapobiec.

Wskazał na zakreślony ustęp i przeczytał:

„Było coś, Ateńczycy, w duszy ludzkiej, czego dzisiaj nie ma, co było silniejsze od złota perskiego, co wiodło Helladę do wolności”.

Zaśmiał się drwiąco i dodał:

— A to mówi ten, który sam bierze złoto od Persów, gardząc tymi, którzy biorą je od Filipa, jednym tchem w zamian za nie wzywając do przymierza z Persami w obronie helleńskiej „wolności”. Gdy ja wezmę sprawę w swoje ręce, za posłuszeństwo nie dostaną ani perskiego, ani macedońskiego złota. Arystoteles mówi, że

Hellenom wolność jest wrodzona i do życia potrzebna. Przekonamy się, ilu z nich przeniesie śmierć nad niewolę.

Trzy lata wspólnego pobytu w spokoju i samotności Nimfajon zadzierzgnęły węzły przyjaźni między dwoma ludźmi różnymi jak dwa żywioły: filozofem, mężem w sile wieku, o szeroko rozwiniętym, dociekliwym, ścisłym, sceptycznym umyśle, a poetą czynu, którego twarz dopiero zaczynał okrywać pierwszy puch, myśli zaś jego i poglądy układały się w wizje. Jeżeli jednak systematyczna nauka pod kierunkiem doświadczonego pedagoga nie zdołała zakreślić wyraźnej granicy między wyobraźnią a rzeczywistością, przerzuciła między nimi pomost, pozwalający Aleksandrowi iść za tokiem cudzych myśli. Chłonał wiedzę z tą samą namiętnością, z jaką pierwiej uprawiał fizyczne ćwiczenia, w przekonaniu, że nauka prowadzi w dziedzinie niedostępne dla zwyczajnych ludzi. Uczył się gramatyki, geometrii, filozofii, retoryki i medycyny. Wiele nocy spędził nad księgami, trzymając w ręku metalową kulę, której upadek budził go, gdy zasnął czytając. Sam jednak pozostał niezrozumiały nawet dla swego nauczyciela. Wewnętrzne osamotnienie wraz z wrodzonym uporem, samowolą i wpojonym przez matkę zapatrzaniem w zaświaty — wytworzyło w nim poczucie olimpijskiej wyższości. Ludzie, nie wyłączając własnego ojca, mają być jeno wykonawcami jego zamierzeń, których nie potrzebują i nie mogą rozumieć. Wieści o dalszych oszałamiających zdobyczach Filipa słuchał spokojnie, jakby były same przez się zrozumiałe: zadaniem ojca jest przygotować dla niego drogę; wybiegnie nią daleko, poza cele starej Macedonii. Była dla niego skorupa, którą porzuci bezpowrotnie, skoro tylko skrzydła rozwinię do lotu. W umyśle jego nie powstała najmniejsza wątpliwość, by mogło nie spełnić się to, co wyhodował w marzeniu. W miarę lat rosła jego niecierpliwość, kiedy wreszcie marzenia urzeczywistnią się.

Filip tymczasem kroczył własną drogą. Wygnawszy

z Epiru Arybbasa, który zbiegł do Aten, urządził kraj wedle swej woli i potrzeby, przyłączywszy do Epiru port Ambrację, uzyskując wyjście na Morze Jońskie. Postawił stopę na Peloponezie, po czym zawrócił i uderzył na Ilirów, by uspokoić ich przed swą wyprawą do Tracji. Mimo że ranny w ramię, ciągnął ku Hellespontowi, wyrzucając z punktów obronnych ateńskie załogi. Po ciężkiej zimie, chory z trudów i niewygód, bez wypoczynku wyruszył do Moesji brzegiem Morza Czarnego i Marmara, docierając do Odessos i rzeki Istru — północnej granicy znanego Hellenom świata.

Aleksander rozumiał, co to oznacza — ojciec zabezpiecza się przed oskrzydleniem przez Persów w chwili, gdy sam pociągnie do Azji. To jednak była już droga, którą Aleksander dla siebie przeznaczył. Ogarnął go znowu pełen niecierpliwości niepokój. Kończył lat sześćnaście, a pewny był, że jak Achilles, za którego wcielenie zwykł się być uważać, nie ma przed sobą długiego żywota. Przybycie posła od Filipa, który wzywał syna pod oblężony Perynt, przyjął Aleksander jak jeden więcej znak, że zamierzenia jego spełnić się muszą.

Perynt leżał na skalistym przylądku, silnie obwarowany od strony lądu, z akropolem na wyniosłej skale od strony morza. Wraz z niedalekim Bizancjum stanowił ostatni punkt oparcia dla działań ateńskich i perskich na trackim wybrzeżu. Zajęcie tych miast było koniecznością, oblężenie jednak nie rokowało rychłego wyniku, tym bardziej, że zaraz w pierwszych walkach pod Peryntem Filip znowu został raniony. Złamany obojczyk obezwładnił jego prawe ramię, król nie mógł osobiście dowodzić wojskami, które nawykły widzieć wodza na czele. Ateńskie poselstwo pod Demostenesem przebywało w Suzie, ofiarowując Artakserksesowi przymierze przeciw Filipowi, który, by nie popaść w otwarty konflikt z Atenami, udawał, że uważa to jedynie za intrygę partii wojennej. Dlatego postanowił wezwać syna, by w wojska, przygnębione pierwszymi niepowodzeniami, tchnąć świeży zapach, a zarazem pod własnym okiem wdroyć Aleksandra w zawile tajniki wojowania. Wojna ogryzała Filipa jak zły pies własnego pana, ale jej nie mógł i nie chciał poniechać.

Dla nauczyciela i ucznia nadszedł przeto dzień rozstania. Konie stały już gotowe do drogi, a w cieniście portyku, w którym tylekroć, przechadzając się, uczniowie słuchali jego nauk, Arystoteles żegnał Aleksandra i jego towarzyszy, udzielając im ostatnich wskazań i pouczeń. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że dzień ten stanowi przełom w ich życiu i że nie powrócą już nigdy do cichego zakątka, którego spokój i piękno układało się w harmonię z wewnętrznymi przeżyciami, dalekimi od zamętu spraw przewalających się poza nim niczym nieustanna burza. Toteż mimo że młodzieńcy rwali się, by wziąć udział w życiu, nie byli wolni od żalu, jaki zawsze towarzyszy pożegnaniu na zawsze z czymś pięknym, choćby to, co przyszłość niesie, było porywające i wspaniałe.

Nawet filozof nie mógł się oprzeć pewnemu wzruszeniu, mimo że rola, jaka przypadła mu w przygotowaniu Aleksandra do wielkich przeznaczeń, które przewidywał, napawała go dumą. Wręczając królewiczowi własnoręcznie przepisany i przez siebie poprawiony tekst „Iliady”, powiedział:

— Niech te dzieje przodka twego towarzyszą ci we własnych zwycięstwach. Jak w kryształym promieniu słońca, tak w nich skupia się piękno i mądrość Hellaady. Czyny twoje niech znajdą kiedyś piewcę takiego, jakim był Homer.

— Dziękuję ci — odparł Aleksander krótko, biorąc papirus.

On sam tylko szedł na spotkanie przyszłości, jak gdyby nie kryła przed nim żadnych tajemnic. Niecierpliwiło go już pożegnanie, które filozof rad był przedłużać; by jak najgłębiej utkwilo w pamięci wychowanków; nie wątpiąc, że wkrótce będą potężnymi i wpływowymi mężami, mimo przejścia się bowiem nie zapominał o sobie. Zwracając się do Hefajstiona, Arystoteles zapytał:

— Gdy będziesz już sławnym wodzem, jak uczcisz swego starego nauczyciela?

— Nakazę wszystkim, by okazywali ci cześć i szacunek — odparł zagadnięty. — Przy moim stole pierwsze miejsce zawsze będzie dla ciebie.



Arystoteles skinął głową z zadowoleniem i skierował pytanie do Marsjasa, który rzekł:

— Będziesz moim głównym doradcą we wszystkich sprawach.

Arystoteles po to zadawał pytania towarzyszom Aleksandra, by jego skłonić do wypowiedzi. Gdy ten jednak milczał, filozof wprost go zagadnął. Aleksander zachnął się:

— Jakim prawem pytasz o to? Poczekaj, a sam zobaczysz.

Arystoteles zrozumiał, że popełnił błąd. Aleksander sam chce rządzić przyszłością, i nie pozwoli sobie niczego w niej narzucić. Filozof uśmiechnął się więc z pewnym przymusem i powiedział:

— To dobra odpowiedź. Choć przyszłość zakryta przed nami, pewny jestem, iż będziesz wielkim królem.

Mówiąc to filozof był jednak szczerzy i gdy patrzył, jak wychowankowie jego, dosiadłszy koni, ruszyli z miejsca wyciągniętym kłusem, nie wątpił, że los pozwolił mu być świadkiem pierwszych kroków na wielkiej drodze. Stał, aż zniknęli za zakrętem, po czym wszedł do wnętrza domu i zasiadł do pracy. To była jego droga, równie wielka jak tamta. Wiedział, że i Aleksander to rozumie, mimo szorstkiej odprawy, jaką mu dał. Ale w Nimf a jon są rozstaje dróg myśli i czynu.

Olimpias także czekała niecierpliwie na dzień, w którym syn jej wyruszy naprzeciw swych przeznaczeń. Gdy jednak nauki i wpływ Arystotelesa związały marzenia Aleksandra ze światem rzeczywistym, Olimpias w zamęcie dymów ofiarnych, przepowiedni, przeczuć i snów oddalała się od niego coraz bardziej, wierząc, że syn jej, poczęty z gromu Zeusa, tylko po to urodził się w królewskim domu Macedonii, by Filip ułatwił mu zadanie. W miarę jak zwiększał się tłum kobiet, które dzieliły łożę z rozpustnikiem, królowa usiłowała wymazać z pamięci, że była jedną z nich. Zazdrość, którą niegdyś uprzytomniła jej Eufemele, zmieniła się w pogardliwą niechęć, wieści o coraz to nowych związkach Filipa przestały ją dotykać. Nie zniosłaby już tyl-

ko, gdyby innej ofiarował to, czego jej odmówił: całego siebie. Ale na taką myśl Olimpias uśmiechnęła się lekceważąco. Młodość Filipa już mija, zawierucha, jaką wzniecał, nie oszczędza i jego samego, niszcząc zadziwiającą i wszechstronną sprawność. Gdzieś musi być kres sił, które miotają nim na wszystkie strony. Resztkę ich traci w ramionach nałożnic. Wkrótce już jeno ich oploty dawać mu będą pozór żywotności, jak uschniętemu drzewu oplatający go bluszcz.

Widok syna, którego nie widziała od blisko trzech lat, był dla Olimpiady olśniewającym potwierdzeniem jej wiary. Takim był heros jej snów dziewczęcych. Nad potężnie już sklepioną pierśią, na silnym karku kształtna głowa, opromieniona złotymi kędziorami, z twarzą o delikatnych, już wyostrajających się rysach i z błękitnymi oczyma, z których jedno, wyraźnie ciemniejsze, nadawało marzącemu spojrzeniu tajemniczy wyraz. Niski jego i silny, o elegijnym brzmieniu głos zawibrował w jego piersi, gdy obejmując matkę, powiedział czule:

— Witaj mi i żegnaj. Ojciec wzywa mnie do Peryntu.

Posadziła go na stołku z oparciem i odstąpiwszy, patrzyła jak na arcydzieło rzeźbiarskie, w granicznym z ekstazą zachwycie. Odpowiedziała jakby samej sobie:

— Ojciec wzywa cię dalej. Nie zatrzymuję cię, synu, bo droga daleka. Ale jest na niej przeszkoda, której jeszcze usunąć nie można.

Urwała i szukając rękoma za sobą oparcia, usiadła na łożu, jakby wyczerpana. Aleksander spuścił oczy, na twarz jego wybiegł lekki rumieniec. Słuchał jak wróżby kapłanki Apollina, nie chcąc czy nie śmiejąc pytać. Olimpias wstała po chwili i podszedłszy do skrzyni, wydobyła z niej tarczę okrągłą, ze skór bawolich, zdobną w bogate, pozłociste rzeźby. Twarz królowej, ściągnięta napięciem rozświetliła się w czułym uśmiechu. Wręczając tarczę synowi mówiła:

— Nie wykapałam cię w Letejskim strumieniu, jak Tetis Achillesa. Ale przecie i on nawet miał tarczę, by jej nie zbrakło w zbroi herosa, gdy opiewał ją Homer,

Nie masz na świecie takiego żelaza, które by przeciąć mogło twoje przeznaczenie, ale niech ci tarcza towarzyszy jak moja miłość.

Objął matkę żegnając i dziękując z wylaniem. Oddał mu uśmiech, mówiąc:

— Nie żegnam cię jeszcze. Wróżby mówią, że ujrzymy się wkrótce.

## ROZDZIAŁ XIII

Aleksander ciągnął wolno, mimo że gnała go niecierpliwość. Król polecił mu zabrać z Pelli oddziały łuczników oraz mechanopojów ze sprzętem i machinami. Widocznie poniechał prób wzięcia Peryntu przewagą swej trzydziestotysięcznej armii, a zamierzał przystąpić do oblężenia sztuką. Dlatego też zapewne wraz z Aleksandrem polecił przybyć flocie pod Alkinosem i Demetriossem oraz Bramarbasowi, który siedział w Pelli celem przygotowania machin.

Bramarbas wyruszył niechętnie. Roztył się i ociężał, odwykł od trudów wojennych. Wyższego stanowiska już nie zdobędzie, zebrany majątek starczyłby do końca życia na wszelkie wygody i rozkosze. Dlatego nie mógł zrozumieć króla: jak długo i po co zamierza jeszcze wojować, tracąc na to resztę zdrowia i sił, gdy zdobył już więcej, niż mógł się spodziewać, kiedy ongiś zaczęli. Ogarniała go złość przeciw Filipowi i jego doradcom, a zwłaszcza Antypatrowi. Wódz zawsze odnosił się do Bramarbasu pogardliwie jak do najemnika, jakby było czymś haniebnym, że człowiek pracuje, by się dorobić. Sam Antypater co prawda, z rodu bogaty i wpływowy, wcale nie potrzebował wojować, by wygodnie żyć. Ale niech się trudzi, skoro do szczęścia jego dwanaściorga dzieci potrzebna mu Macedonia aż po Eufrat, Szkoda, że nie po Nil! Bramarbas nie rozumiał,

jak można się wyrzec przyjemności, jakie daje majątek, władza i znaczenie, dla celów, które — nawet osiągnięte — w niczym ich nie powiększa. Człowiek ma tylko jeden żołądek i jedno łóżko. Byle nie były puste, czegoż więcej chcieć od życia.

Jeszcze mniej rozumiał Bramarbas młodą agemę Aleksandra, a najmniej jego samego. Sfinks otoczony zgrają zapatrzonych w niego wilków, posłusznych każdemu skinieniu. Powszechnie szeptano, że nie zna jeszcze niewiasty, a już rwie się, by służyć Aresowi. Dla niego Olimp był za niski, a Eufrat za bliski. Bramarbas patrzył, jak Aleksander i jego towarzysze wyrastali z dzieci na zuchwałych młokosów, którym osiągnięcia starego pokolenia zdały się niczym. Nie mówili wprawdzie o tym, ale Bramarbas był dość bystry, by pomiarować, że sławą okryte imiona starych wodzów zastępują przezwiskami. On sam zwał się w ich języku „Barychodos”. Prawda, że z trawieniem nie był w porządku — to dostrzegł. Ale nie zauważyli ruin miast na drodze przybrzeżnej, które w znacznej mierze były jego dziełem. Gdzie ongiś leżały kwitnące kolonie, nie raz trudno było już domyślić się ludzkiej siedziby. Bramarbas czuł ucisk w zatłuszczonym sercu. Nie miał już siły, by brać udział w straszliwych trudach i wyrzeczeniach, jakich król domagał się od każdego, począwszy od prostego hypaspisty, a skończywszy na sobie samym; nie pojmował, jak stary rozpustnik potrafi przerzucać się od rozwiązłości do ascezy, a co gorsze, wymagać tego od innych. Wodza najemników hellenickich wygnał za to tylko, że kąpał się w ciepłej wodzie, mówiąc pogardliwie, że w Macedonii nawet dzieci kąpie się w zimnej. *Co gorsze, Bramarbas nie czuł się już na siłach sprostać wymaganiom króla w dziedzinie swej sztuki. Dość się nagłowił po nocach, jak udoskonalić maszyny. Teraz wołał noce spędzać w przyjemniejszy sposób. Budził się w nim bunt i niepokój.*

Przy wjeździe do obozu pod Peryntem ucisk, jaki odczuwał w sercu, wzmógł się jeszcze. Przy drodze, wbity na krzyż, wił się w męce jakiś człowiek. Dwaj żołnierze, którzy go pilnowali, grali w kości, skracając

sobie czas oczekiwania, aż skazaniec skona. W wykrzywionej cierpieniem twarzy Bramarbas ze zdziwieniem, graniczącym z przerażeniem, poznał łucznika Asterosa. Gdy Aleksander przejechał nie spojrzawszy, a towarzysze jego wymienili obojętne uwagi, Bramarbas zatrzymał się. Żołnierze na widok stratega powstali przerywając grę. Bramarbas drżącym z nieznanego wzruszenia głosem zapytał:

— Za co król kazał go ukrzyżować?

— Przecie to on wybił królowi oko — odparł zapytany, wzruszając ramionami.

— Jak to? Lata minęły od Metony. Od tego czasu służył królowi.

Bramarbas mówił do siebie, ale żołnierz odparł:

— Brał za to pieniądze, a chybił perynckiego stratega, którego mu król ubić kazał.

Bramarbas nie pytał więcej. Los Asterosa zdał mu się wróżbą złowrogą. I on jak Bramarbas sprzedawał swe umiejętności. Gdy go zawiodły, życie postradał.

Powitanie z królem nie podniosło Bramarbasu na duchu. Filip obejrzał przywiezione maszyny i zasypał stratega wyrzutami, że ich nie ulepszył i że przerwy w wyrzucaniu pocisków są nadal zbyt długie.

— Czy mało miast zdobyłeś tymi maszynami? — odparł rozdrażniony Bramarbas.

Król warknął:

— Nie po to ci płacę, by tuczyć cię jak wieprza. Potrzebuję takich maszyn, jakich nie ma nikt inny.

— Takich jak moje nie ma jeszcze nikt.

— Ale są już mury, które im się oprzeć potrafią — odparł król. — Czym zamierzasz je burzyć?

Obecny przy tym Antypater wtrącił pogardliwie:

— Darmo mówić Bramarbasowi o tych sprawach. Jest demiurgiem, nie strategiem. Nie rozumie, że na wojnie kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Ale mamy już młodszych od niego, którym jeszcze będzie zależało, jeśli nie na łasce twojej, to na twoim złocie. Tesalczyk Polyejdos potrafi go zastąpić.

— Mamy też młodszych od ciebie — wybuchnął Bramarbas. — A nawet od samego króla!

Patrzył przekrwionymi oczyma w zimne oczy Anty-

patra. Wyrażały groźbę. Bramarbas nie od dziś wiedział, że Antypater znosił go jeno, póki był potrzebny. Jak Filip Asterosa.

Wyszedł rozdrażniony, przygnębiony i zły na samego siebie, że dał się ponieść i nieopatrzonym słowem ukłął Filipa. Wiedział, że w Pelli szeptano, iż Olimpias skarbi sobie stronników przeciw mężowi, a niewątpliwie syna przeznacza na ich przywódcę. Jeśli on wie, wie także Antypater, który najdokładniej znał kraj i ludzi. Niewątpliwie przedstawi go jako jednego ze stronników królowej.

Przez chwilę przyszło na myśl Bramarba&uwi, że u niej znalazłby może ratunek, ale przypomniał sobie przewisko, jakim obdarzyła go agema Aleksandra: Barychodos! Przy takich młokosach dopiero byłby niczym. U nich ze starych powagę mogą mieć tylko Parmenion i Antypater, których synowie zresztą są wśród najbliższych Aleksandra. Bramarbas zaś jest sam, obcy młodym, niepotrzebny starym.

Czuł, że zaczyna go boleć żołądek, jakby się przejadł lub przepił.

Mimo to przyszedłszy do namiotu zabrał się do picia. Trunek rozjaśnił mu myśli. Byłby jeszcze sposób pokazać, że nie jest tylko demiurgiem, ale i strategiem: zdobyć Perynt! Gdy zaś podpił, jedna myśl olśniła go tak, że niemal się przestraszył: sława jego jako zdobywcy miast jeszcze żyje. Wódz pokonanego Kersobleptes, Charidemos, zbiegł do Aten i tam nie tylko uzyskał azyl i obywatelstwo, ale został strategiem. I on mógłby nim zostać.

Nastrój Bramarbasa poprawił się. Wino pulsowało mu w stronach wraz z krwią, rozjaśniając przygaszony umysł. Działać trzeba szybko. Jeśli Perynt oprze się jego machinom, może być za późno. Z pijacką determinacją powziął postanowienie, ale zarazem ogarnął go mściwy gniew. Przez kilkanaście lat korzystano z jego wiedzy i umiejętności, a gdy sterał swe siły, gctowi go odrzucić, jak on nadwątlone liny machin. Złość jego zwróciła się przeciw zuchwałym młokosom. Tłustą pięścią wyrznął w stół i krzyknął:

— Barychodos?! Poliorketes jestem — zdobywca miast! Jeszcze mnie każdy kupi, skoro nie chce mnie ten... Ojfoles !

Wybuchnął pijackim śmiechem, wstał i zatoczywszy się, legł na posłaniu w kącie namiotu i niemal natychmiast chrapać począł.

Z ciężkiego snu obudził Bramarbasa herold, który z rozkazu króla zwołał wodzów na radę. Bramarbasa bolała głowa, ale umysł miał już trzeźwy. Obmył się i po namyśle przybrany jak do boju w przyciasny już trochę pancerz i hełm z purpurową kitą, oznaką stratega, szedł wolno między namiotami, rozglądając się naokół. W obozie panował zwykły ruch. Równina, na której położony był obóz macedoński, wznosiła się ku miastu, odciętemu od niej potężnym murem, dalej zaś ku południowi przechodziła w skalisty przylądek, na którego cyplu nad morzem położony był akropol. Wiodące do miasta dwie niskie i szerokie bramy w cofniętych wnękach muru chronione były jego zaskokami od pocisków o stromym torze. By je rozbić, trzeba by albo wzmocnić maszyny, aby uzyskać bardziej płaski tor, albo podsunąć je na niebezpieczną odległość. Wprawnym i doświadczonym okiem Bramarbas od razu ocenił, że muru maszyny jego nie ugryzą nigdzie, natomiast z ukształtowania terenu widział, że część muru wraz ze wschodnią bramą nie ma skalistego podłoża i można by je zwalić podkopem. Zawahał się w pozitym wczoraj postanowieniu.

Przed namiotem króla w oczekiwaniu na Filipa siedzieli wodzowie, wśród których Bramarbas spostrzegł Aleksandra. Na ten widok ogarnęło go rozdrażnienie. Gcłowąż, który nie osiągnął wieku efeba, macedońskim obyczajem winien jeszcze nosić sznur, na znak, że nie zabił żadnego wroga, nie zaś kitę stratega na hełmie dlatego że urodził się u stóp tronu. A zajmować go winien nawet nie Filip, ale dojrzały już, od wszystkiego odsunięty Amyntas.

Aleksander siedział zamyślony, jakby pozował Lizypowi do posągu młodego Achillesa. Nie odpowiedział nawet na pozdrowienie Bramarbasa. Margites! Sławę i stanowisko ma z góry zapewnione ciężką pracą takich



jak Bramarbas i jeszcze mniejszych, którzy giną w zapomnieniu, gdy tylko zawiedzie ich sprawność.

Wodzowie powstali, gdy król wyszedł z namiotu. Obezwładniona ręka Filipa zwisiała na temblaku, zapadnięta twarz zdradzała cierpienie. Lewą ręką dał znak wodzom, by usiedli, i zaczął:

— Nie możemy stać tu długo ni wykrwawiać się pod jednym miastem. Uderzenie na mury kosztowało nas zbyt wiele, dlatego sprowadziłem Bramarbasę z machinami. Co radzisz czynić? — zwrócił się do niego.

Bramarbas wstał. Jeszcze raz zawahał się. Przywiązał się do Filipa i przyzwyczał. Żąda zbyt wiele, ale również rękę ma szeroką, a nie jest wyniosły. Gdy przyjdzie wypoczynek, potrafi pić i bawić się nawet z prostymi hypaspistami. Przy nim Bramarbas nigdy nie czuł się upośledzony z powodu swego niskiego pochodzenia, braku ogłady i wykształcenia. Ale gdy podniósł oczy i rozejrzał się dokoła, napotkał wzrok Antypatra, pogardliwy i nieufny. Przestał się wahać.

— Mury od północnej strony — zaczął — zdają się być nie do przełamania. W całości jeszcze się nie rozejrzałem, bez wątpienia jednak od strony morza, jak zazwyczaj, będą węższe. Gdy nadpłynie nasza flota, tam będziemy mogli spróbować. Tymczasem objadę przylądek, by zmiarkować, gdzie uderzyć.

Król zmarszczył się niechętnie i zwrócił do pozostałych wodzów z zapytaniem:

— Co wy o tym myślicie?

— Dobrze, jeżeli nasza flota zdoła przeszkodzić dowozowi żywności i posiłków do Peryntu — zabrał głos Antypater. — Tę prawdę, że od strony morza umocnienia zazwyczaj słabsze bywają, ale nie dlatego, by brakło kamienia, jeno że każdy wie, iż łatwiej strzaskać najsilniejszy statek niż najsłabszy mur. Jeszcze by tego brakło, byśmy prócz kości naszych żołnierzy drzazgi naszej floty tu zostawili. Niechże tedy Bramarbas objedzie przylądek, może mu mędrsza myśl zaświta. My zaś radźmy, jakby go nie było.

Gdyby gniew nie ślepił oczu Bramarbasę, byłby może jeszcze zawrócił z obranej drogi. Coś gorszego było

w głosie Antypatra niż lekceważenie. Bramarbas zerwał się i powiedział:

— Radźcie tedy beze mnie, choć czas mieliście i przedtem. Może i mnie, i Antypatrowi coś mędrszego przyjdzie do głowy niż dotychczas.

Zwracając się do króla, dodał:

— Objadę Perynt dokoła. Gdy wrócę, powiem, co myślę.

Gdy wyszedł, Antypater rzucił:

— Ja zaś powiem wcześniej.

Na pytające spojrzenie króla przystąpił do niego i coś szepnął. Gniew i zaskoczenie wystąpiły na oblicze Filipa. Powiedział krótko:

— Idź!

Do pozostałych zwrócił się mówiąc:

— Możemy radzić nad dalszym oblężeniem. Postanowienie powezmę, gdy wróci Antypater.

Aleksander powstał i rzekł do ojca:

— Skoroś tu sprowadził maszyny i Bramarbas, zamierzasz zapewne ich użyć?

— O tym też później radzić będziemy — odparł król wymijająco.

— A mnie też nie po to, bym widział, jak obóz wygląda, ale bym udział wziął w walce — ciągnął Aleksander.

— Ani maszyny nie będą stały bezczynnie, ani ty.

— Sądzę jednak, że gdybyś nie odniósł rany, próbowałbyś jeszcze uderzenia.

Filip spojrział z goryczą na swe bezwładne ramię i odparł:

— Dość nas tamto kosztowało. Żołnierze zniechęceni bezpłodnym wysiłkiem, a w ciężkiej walce zwykli króla widzieć przed sobą.

— Wiem, że natarcia poprowadzić nie możesz — odparł Aleksander. — Ale im dłużej człowiek stoi nad zimną wodą i rozmyśla, czy skoczyć w nią, tym bardziej odchodzi go ochota.

Król uśmiechnął się niechętnie.

— Słuszne porównanie. Widzę, że ty rad byś skoczyć bez namysłu. Ale lękam się, że inni nig pójda z tobą.

— A ja się nie lękam — odparł Aleksander. — Pozwól mi poprowadzić uderzenie.

Wśród wodzów rozległ się szmer i szepty, a król odparł porywczo:

— Zbyt pewny jesteś siebie. To nie objeżdżanie konia i nie po to cię sprowadziłem, byś nas pouczał...

— Sądziłem, że wezwałeś mnie dlatego, że sam do walki jeszcze zdolny nie jesteś. A komuż, jeżeli nie mnie, wypada cię zastąpić, gdy bogom spodobało się od walki cię odsunąć? I czy nie lepiej, bym zaczął pod twoim okiem?

Widząc wahanie na twarzy ojca, dodał przymilnie:

— Choćby to było tylko ujeżdżanie konia, czy nauczył się ktoś tego, patrząc, jak jeżdżą inni?

Rozmowę przerwało wejście Antypatra. Spojrzenie jego skrzyżowało się porozumiewawczo ze wzrokiem króla. Filip rzekł do niego:

— Aleksander radzi spóbować jeszcze uderzenia. Chce je sam poprowadzić.

Spodziewał się, że Antypater, który przeciwny był wzywaniu Aleksandra, będzie odradzał.

Milczący dotąd Antygonos wtrącił:

— Czy nie lepiej poczekać z postanowieniem, aż wróci Bramarbas?

— Nie ma na co czekać — odparł Antypater szorstko. Zwracając się zaś do króla, ciągnął:

— Byłem przeciwny, by syn twój zaczynał wojować, zanim dojrzeje. Skoroś jednak swemu i naszym synom przybyć tu kazał, to nie po to, by ich oddać do chłopców królewskich. Inna sprawa, czy postanowisz raz jeszcze próbować brać miasto szturmem. Ale jeżeli tak, niech uczy się dowodzić.

— Dziękuję ci — odrzekł Aleksander. — Nie będę także przecie jak Bramarbas zaczynał jako prosty żołnierz.

— Ani jak on kończył — mruknął Antypater, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, bo wodzowie jeden po drugim zaczęli zabierać głos.

Jakby świeży wiatr pociągnął po niemrawym dotąd zgromadzeniu. Wszystkich gnębiła bezczynność. Choć

jeszcze król nie rzekł ostatniego słowa, omawiać zaczęli natarcie, jakby już było postanowione.

Ale król wahał się jeszcze. Na powierzchni kłębiących się w nim uczuć wybijał się lęk o życie syna. Znając go wiedział, że zechce zabłysnąć przykładem męstwa i porwać innych za sobą. To samo czynił on, gdy wymagała konieczność, i wiedział, że niedługo już będzie mógł syna powstrzymać. Sam przecie chciał, by Aleksander był wojownikiem, by doczekać się od niego pomocy i wyřeki. Ale jeśli nie powiedzie się uderzenie? Wojsko ogarnie zniechęcenie tym większe, Aleksander zaś zacznie pod złą wróżbą, która wlec się może za nim jak przeznaczenie. A jeśli się powiedzie? Filip nie chciał sobie uświadomić, że na tę myśl w głębi jego serca poruszyła się zazdrość, zmieszana z ojcowską dumą, dlatego trudna do wykrycia.

Wahanie króla przeciął Antypater. Rozumiał Filipa jako ojca i jako króla, znał go jako człowieka. Zwrócił się do niego:

— I mój syn pójdzie z twoim. Może nowi ludzie potrzebniejsi nawet niż nowe maszyny. Cieszyć się nam raczej, że lepszych nie ma nikt. Niech więc zaczynają, nim nam kończyć wypadnie. Spójrz na nich — wskazał wodzów rozmawiających z ożywieniem. — Całe wojsko czeka, jak oni, by się coś odmieniło. Czy po toś sprowadził ich z Pelli, by wyszła na jaw zdrada Bramarbasa? Ona nie podniesie serc.

— Czy pewny jej jesteś? — zapytał cicho Filip. — Po pijanemu niejeden gada, czego nie myśli naprawdę. A ty — dokończył podejrzliwie — zawsze nie znosiłeś Bramarbasa.

— Nie lubiłem go, bo wiedziałem, że służy sobie. Mnie dowodów nie potrzeba, ale potrzebuję ich dla ciebie i wojska. Będziesz je wkrótce miał. Kazałem zaufanym ludziom opłynąć przylądek z drugiej strony i pod skałami się przytacić. Gdyby chciał zbiec do Peryntu, przywiodą go z powrotem, by mu wymierzyć karę. Nie ufam ludziom — ciągnął Antypater — których z krajem wiąże jeno własny zysk. Tacy są zawsze do kupienia. Kto korzeniami nie tkwi w przeszłości, ten nie będzie dbał o przyszłość, Ale gdybym się nawet pomy-

lił, Bramarbas kończy się jak jego maszyny. Przejadł i przepił, co było w nim dobrego.

— Czy ty nie do mnie pijesz?

— Zapewne, że i ty mógłbyś nie pić. Ale jesteś trzy-nastym władcą Macedonii z Perdikkasowego pokolenia, które budowało jej wielkość. Wiesz, że nie zaczęła się od ciebie i nie na tobie się skończy. Dlatego pozwól działać Aleksandrowi. Jego sława nie ujmie twojej.

— Dobrze — odparł Filip.

Przywołał wodzów do porządku i zaczęto radzić, a po chwili spierać się, czy jednym zamachem nie próbować wziąć i akropolu. O wzięciu miasta mówili wszyscy, jakby to żadnych nie przedstawiało trudności. Rozeszli się w końcu, by natychmiast przygotować swe oddziały. Wieść, że uderzenie powiedzie młodociany następca Filipa, wzbudziła w wojsku radość i zapał, niczym wśród Achajów pogodzenie się Achillesa z Agamemnonem.

Wieczorem obóz macedoński zabrzmiał odgłosami uczty. Noc była ciepła, wielki księżyc stał na granatowym niebie i srebrzył fale zatoki i morza. Zwracało uwagę niektórych, że wśród sproszonych przez króla wodzów nie było Bramarbasa. Miejsce jego zajmował młody Polyejdos z Tesalii i on nazajutrz objął dowództwo mechanopojów, którzy od świtu jak mrówki zaroił się na przedpolu między obozem a miastem. Naprzeciw wschodniej bramy, niemal w oczach wyrastał szkielet osiemdziesiąt stóp wysokiej oblężniczej wieży, dookoła którego krzątali się cieśle, oddziały zaś górników pod osłoną tarcic przystąpiły do ziemnych robót. Od rana też, mimo że uczta skończyła się późno, Filip naradzał się z wodzami, rozdzielając zadania. Choć godził się na uderzenie, nie zezwolił wykonać go zaskoczeniem, bez przygotowania, jak chciał Aleksander. Chiliarcha oddziału machin, Filon z Miletu, przegłądał sprowadzony sprzęt i wraz z Marsjasem obliczał stosunek ciężaru pocisków do wielkości machin, inni zaś towarzysze Aleksandra na jego rozkaz kręcili się po całym obozie, przepatrując wszystko i wszczynając rozmowy ze starymi wojakami Filipa.

Beztraska pewność siebie młodzików, ich wesołość

i żądza walki udzielała się wszystkim, obóz wrzał przygotowaniami, zbijano drabiny, ostrzono broń, młodzieńcza niecierpliwość ogarnęła całe wojsko.

Polyejdos jednak, który podkopem zamierzał zwalić bramę i część murów, nie obiecywał dokonać tego wcześniej niż za trzy dni. Sprawa mogła zaważyć na powodzeniu przedsięwzięcia i bez sprzeciwu zgodzono się czekać. Wodzowie zbierali się już do swych oddziałów, gdy wystąpił Antypater:

— Pozostała jeszcze jedna sprawa: ukaranie Bramarbas za zdradę.

Domyślano się już, że Bramarbas popadł w niełaskę, nie wykonawszy rozkazów króla. Teraz jednak ku Antypatrowi zwróciły się wszystkie spojrzenia i posypały pytania, które jednak zbył ruchem ręki, ciągnąc:

— Opowiem bez pytania. Starzy pamiętają, a młodzi wiedzą, że Bramarbas zaczynał jako najemny cieśla.

— Wiadomo nam, że nigdy nie lubiłeś Bramarbas — wtrącił Pyton.

Antypater zmierzył go oschłym spojrzeniem.

— Nie lubię ludzi na nie swoich miejscach — odparł. — Nie hańbi u nas, jak w zniewieścialej Helladzie, praca ręczna, ojcowie nasi i z nas niejeden, jak Odys, własnymi rękoma dom sobie budował. Ale kto siłę swych rąk sprzedaje, ten dla mnie nie lepszy od niewolnika. Podobało się królowi uczynić go strategiem. Czy go miłuję, czy nie, nie o to idzie, i nie sądzę go, lecz oskarżam. Wy rozważycie, czy słusznie, a zgromadzenie wolnych wyda wyrok.

Dumnym spojrzeniem obrzucił zebranych. Na wynędzniałej twarzy Filipa zjawił się wyraz niechęci. Przerwał Antypatrowi:

— Sam potrafię go osądzić. Nie potrzebuje wiedzieć całe wojsko, że Bramarbas popełnił zdradę.

— I ja bym to potrafił — odparł Antypater. — Ale z twojej woli jest strategiem, nam przeto służy prawo ustalić jego winę. Zaś prawo życia i śmierci nad wolnym Macedończykiem nie królowi przysługuje, jeno całemu zgromadzeniu. Ty oznaczysz tylko rodzaj śmierci.

— Nie wiemy jeszcze, czy na śmierć zasłużył

wtrącił Antygonos. We wszystkich walkach Filipa brał od początku udział wraz z Bramarbasem i wesoły opój milszy mu był niż surowy Antypater. Wódz odparł:

— Nie wiemy. Ale służy mu prawo bronić się samemu, tedy twoja obrona niepotrzebna. Zaraz go przesłuchamy.

Wyszedł z namiotu. Zgromadzeni czekali szepcząc między sobą. Po chwili uchylila się zasłona i wrócił Antypater, za nim zaś dwóch żołnierzy wiodło związanego Bramarbasę. Antypater odprawił straż i z oschłą surowością zwrócił się do podsądnego:

— Masz prawo przyznać się lub zaprzeczyć temu, co ja powiem. To co my za prawdę uznamy, będzie podane ogólnemu zgromadzeniu wolnych, które wyda wyrok. Teraz wysłuchasz oskarżenia.

Bramarbas, który stał z opuszczonymi oczyma, podniósł je, wpijając rozognione spojrzenie w Antypatę, i krzyknął:

— Tyś mnie osądził i skazał, zanim myśl o zdradzie powstała w mej głowie! Bo mnie nienawidzisz za to, że osiągnąłem równe twemu stanowisko, choć nie z książęcego rodu pochodzę. A was wszystkich, którzy od lat ze mną razem wojujecie, biorę za świadków, czy nie słuszniej mi się to należało niż błaznowi Agatoklesowi, który dostojnikiem został za to tylko, że przy piąństwie król śmiać się lubi?

— Nigdy nie byłeś mi równy — odparł Antypater pogardliwie.

Król zachnął się gniewnie, a między wodzami wszczęły się szepty. Wszyscy pochodzili ze strrych rodzin rycerskich i książęcych, choć nie wszyscy, jak Antypater, krzywo patrzyli na to, że Filip łamie dawne obyczaje, których stary wódz także wobec samego siebie surowo przestrzegał. On jeden na zarzut Bramarbasę pozostał obojętny, jakby nie człowiek mówił, ale pies szczekał.

Antypater odparł:

— Przyznajesz tedy zdradę. Więcej nie trzeba.

— Nie przyznaję! — wrzasnął Bramarbas. — Uciec jeno chciałem, bo z dawna wiem, że zgubę mi gotowa-

leś, gdy tylko przestanę być potrzebny. Dla was sterałem swe siły — zwrócił się do wodzów. — Gdy starej głowie brakło pomysłu, na życie moje nastaje.

— Starszym od ciebie. I król dzieckiem był jeszcze, gdy ja już walczyłem o kraj nasz. Ale nie straciłem jeszcze swych sił na pijaństwie i obżarstwie jak ty!

— A król na czym swoje traci? — nie panując już nad rozdrażnieniem, zachłysnął się Bramarbas.

— Wiem, że go przeważałeś „Ojfoles”. Pijany język cię wydał. Nad królem jednak sąd nie służy nikomu, a najmniej tobie.

— Ale przyjdzie taki czas, że i wy siły straciecie! — krzyczał z odwagą rozpaczy Bramarbas. — Wtedy będziecie niepotrzebni im — oczyma wskazał na Aleksandra, który spokojnie rozmawiał z Perdikkasem. — Wiesz, jak przeważałem króla! Ale oni drwią z nas wszystkich. Nie tylko mnie przezywają pogardliwie, ciebie też: zowiesz się „Pajdurgos”. Zaczekajcie, aż tym wilczym szczeniętom wyrosną zęby!

— Milcz! — przerwał mu zimno Antypater.

Bramarbas umilkł i sapał chrapliwie.

Aleksander zwrócił się do Perdikkasa, mówiąc półgłosem:

— Głupiec.

Wstał i wyszedł z namiotu.

Antypater zwrócił się do Bramarbasa:

— Mówisz, że tylko uciec chciałeś. I ucieczka do nieprzyjaciela jest zdradą. Ale łżesz, bo ci się zdaje, że lżejszą śmierć zdołasz uzyskać.

Zwracając się do Polyejdosa, Antypater zapytał:

— Kto ci powiedział, że bramę można zwalić podkopem?

Zapytany odparł niechętnie:

— Bramarbas.

Wolałby zastrugę pomysłu przypisać sobie, ale lękał się zaprzeczyć. Antypater musiał wiedzieć, skoro o to pytał. Wódz zwrócił się do obwinionego:

— Nie ze wszystkim widać brak ci pomysłów. Ale czemużeś tego nie powiedział na radzie?

Gdy Bramarbas zgnębiony opuścił oczy i milczał, Antypater podjął ze żrącą pogardą:



— Milczysz? Tedy ja ci powiem: wkupić się chcia-  
łeś wrogom, ostrzegając ich o tym. Każdy z nas wio —  
ciągnął zwracając się do wodzów — że starczyłoby  
Peryntianom zrobić podkop pod bramą i umocnić go,  
by udaremnić nasze zamierzenie.

Bramarbas załamał się. Trząsł się na całym ciele,  
obfity pot spływał mu po twarzy. Król, który dotąd  
milczał zasępiony, jakby coś przeżuwał, zakończył  
z obrzydzeniem:

— Zabrać już tego Terystesa, bo patrzeć na niego  
nie mogę. Sąd zwołać jutro, a śmierć dla niego już  
obmyśliłem.

Filon z Marsjasem przez dwa dni robili próby machin,  
trzeciego zaś, późną nocą, Polyejdos doniósł królowi,  
że górnicy dotarli podkopem pod bramę. Teraz go po-  
szerzają i umacniają podporami. Nie było jednak czasu  
do stracenia, ruch bowiem w podkopie mimo najwięk-  
szej ostrożności mógł zwrócić uwagę obłązonych. Filip,  
choć słaby się czuł, wyszedł z namiotu, by osobiście  
dopatrzeć ostatnich przygotowań do uderzenia, i zastał  
czekającego już Aleksandra.

— Nie możesz spać przed walką? — zapytał pobłaź-  
liwie. — Potem przywykniesz.

— Przespałem się już — odparł Aleksander. — Pro-  
sić cię chciałem, byś pozwolił mi nie tylko prowadzić,  
ale ustawić wojska do uderzenia.

Król ręką wskazał synowi, by wszedł do namiotu,  
a gdy usiedli, zaczął:

— Dowodzić masz pierwszy raz, nie chciej być mędr-  
szy od tych, co wojowali, gdy ciebie na świecie nie  
było. Jesteś tu od kilku dni, nie znasz peryntyjskich sił,  
obwarowań ni sposobów wojowania. Moi strategowie  
sami wiedzą, jak należy zaczynać. Dobre wojsko jest  
jak machina, działa samo, ale trzeba je znać. A ty,  
jeśli istotnie możesz, prześpij się jeszcze. To nie zaba-  
wa, którą skończyć można, gdy się człowiek zmęczy.

Przy blasku oliwnej lampki patrzył na twarz swego  
syna. Nie zdradzała niczego. Jednak nie znał go. Po-

dobny był do niego samego, a inny. Króla drażniło to. i— Sądzę, że i Peryntianie znają twoje siły i sposoby wojowania i nietrudno im będzie właściwie odpowiedzieć — odparł spokojnie Aleksander.

— Zapewne. Ale nie wiedzą o podkopie, a jeśli nawet już wiedzą, nie zdążą mu zapobiec. Jeno się rozwidni — uderzymy.

— Sądziłem, że dowodzić to nie tylko iść na czele — odparł niechętnie Aleksander.

— Spodziewam się ciężkiej walki, dlatego zgodziłem się, byś ty szedł, skoro ja nie mogę. Ale nie sama waleczność czyni wodza. Gdy raz się zacznie, głowa ważniejsza niż ręka, bo wszystkiego przewidzieć nie można. Hellenowie dlatego przegrywają, że zdaje im się, iż raz na zawsze da się ustalić sposoby walki, jak na zawodach. A my wygrywamy, bo umiemy je zmieniać. Dlatego Antygonos pójdzie z tobą.

— Spróbuj tedy, czy ja tego nie potrafię — odparł Aleksander. — Wolę sam dowodzić małym oddziałem niż z opiekunem dowodzić całym wojskiem.

— Dobrze — odparł król hamując wzrastające rozdrażnienie. — Weź swoją agemę i Langarosa z łucznikami i uderzaj na własną rękę. Poznałeś go po drodze, łatwiej się uładzicie.

— Czy mogę dobrać sobie towarzyszy z chłopców królewskich?

— Weź takich, którzy już mają doświadczenie. Wojny trzeba się uczyć. Antygonos sam poprowadzi uderzenie, a ty rób, co chcesz — zakończył niecierpliwie, bo w tej chwili nadbiegł goniec i oznajmił:

— Polyejdos donosi ci, królu, że jego ludzie zauważyli szczelinę między murem przybramnym a basztą. Mówi, że może być widoczna od strony miasta.

— Powiedz mu, że zaraz zaczniemy — odparł król spoglądając na niebo, które ledwo dostrzegalnie zaczynało zielenieć na wschodzie. W obozie już słychać było przyciszoną krzątanicę. Przy blednym świetle gwiazd jakby krze wyrastały na równinie: przed wejściem do podkopu stawały już głębokie szeregi peltastów, za nimi zaciężni hoplici i pedzetajrowie, po bokach oddziały łuczników i procarzy. Słychać było zgrzyt wle-

czonych machin i skrzywienie ich napinania. Równina przed wschodnią bramą pokrywała się milczącą cizbą. Chłopcy królewscy biegali na wszystkie strony z rozkazami, z zazdrością myśląc o towarzyszach, których zabrał Aleksander. Im wolno już będzie wziąć udział w walce.

Stali wraz z nim na prawym skrzydle, mimo nakazanej ciszy szepcąc w podnieceniu, królewicz zaś rozmawiał z olbrzymim barbarzyńcą. Odziany w skórę niedźwiedzia, którego czaszka służyła mu za hełm, Langaros przy drobnym i smukłym Aleksandrze wyglądał jak olbrzymi czarny ogier przy cisawym źróbku. Agriański książę z pobłażliwą życzliwością patrzył na młodzieńca. Król na uboczu prosił, by w walce dał baczenie na jego syna, przestrzegając przed jego porywczością i samowolą. Langaros uśmiechnął się myśląc, że mógłby go nosić na ręku.

Niebo rozjaśniło się już i można było rozeznąć ruch na murach przy wschodniej bramie. Peryntianie musieli zauważyć przygotowania, a nawet podkop. Aleksander jednak nie patrzył w tę stronę. Gdy Langaros w półmroku spojrzął z bliska w jego twarz, oczy Aleksandra zwrócone były na zachód, ku załomowi muru między dwiema bramami. Wskazując ręką, powiedział:

— Tam uderzymy.

— Jak chcesz — odparł Agrianin. — Ale po cóż piąć się na mury, gdy bramą wejść można?

— Daj mi ludzi do niesienia drabin — odparł Aleksander, jakby nie słysząc uwagi.

Langaros wzruszył ramionami i po cichu wydał rozkaz w peońskim narzeczu. Aleksander zaś odszedł do swej agemy.

Rąbek nieba na wschodzie załśnił złotem i jakby na dany znak, z murów gromadą jak ptaki wyfrunęły głązy i belki, z furkotem lecąc na sterczącą na równinie wieżę i szeregi macedońskich szyków. Nim doleciały, okrzyk targnął powietrzem i peltaści biegiem ruszyli ku bramie. Jednocześnie Polyejdos doskoczył do ludzi trzymających w pogotowiu końce liny i rozkazał:

— Ciągnąć!

Dziesiątki potężnych ramion wyprężyło linę, aż stwardniała jak żelazo.

Ułamek chwili zmagali się, po czym jak na rozkaz padli na ziemię. Podpory wykopu puściły. Z dala widać było, jak skrzydła bramy zasunęły się jedno na drugie, a baszta po wschodniej ich stronie zaczęła się ku niej wychylać. Ruch jej był coraz szybszy, aż runęła zasypując gruzami bramę, z grzmotem, który wybił się ponad wrzask przelewający się nad równiną.

Filip stał i patrzył, jak sępa kamieni zaroża się ludźmi i w tej chwili zawrzała walka wręcz. Kazał przeto ruszyć hoplitów i podsunąć pozostałe oddziały, sam zaś skierował się do machin, które były już w całą długość murów i miały głązy na miasto. Zatrzymał się koło największego petrobolu i patrzył, jak ośmiu ludzi z wysiłkiem nakręcało grubą jak ręka linę na kołowrót. Założyli zaczep i zamierzali dźwignąć głąz na wyrzutnię, gdy król wstrzymał ich ruchem ręki. Stali czekając na rozkaz, Filip zaś zwrócił się do przybocznego strażnika z poleceniem:

— Sprowadzić Bramarbasa.

Król rozglądał się za Aleksandrem. Syn niecierpliwił go i niepokoił. Zarazem dumny był, że taki jest, i rad byłby ukrócić jego pewność siebie. Wspomniał, że raz już chybił w próbie z Bukefalosem. Wolał jednak, że Aleksander nie znalazł się w kotłującym się na gruzach bramy i baszty kłębowisku ciał. Peltaści parli ze straszliwą zaciętością, ale z murów i od miasta szła na nich ulewa pocisków i przewalali się w miejscu, nie mogąc przemóc wroga. Opór był przygotowany i tężał z każdą chwilą. Widocznie większość nieprzyjacielskich sił ściągała w zagrożone miejsce. Filip zmarszczył się i skinął na gońca, chcąc Antypatrowi zlecić, by uderzył na długość murów dla odciążenia walczących, gdy oko jego padło ku zachodowi. W świetle wstającego pogodnego dnia widać było, że tam już szło uderzenie. Drobne postacie pięły się po drabinach i niknęły za murami. Filip w podnieceniu klepnął się po udzie. To Aleksander! Król poznał agriańskich łuczników; część z nich z łuków prażyła obrońców na murach, inni pięli się

bez przeszkód po drabinach. Aleksander ze swymi musiał być już w mieście.

Uwagę Filipa odwrócili strażnicy, którzy wiedli Bramarbasa. Twarz miał zmiętą, tłuste niedawno policzki Dbwisły, małe oczki, otoczone ciemnymi obwódkami, patrzyły na króla z niemą prośbą o litość.

Filip jednak od dziecka nigdy i nigdzie nie zaznał tego uczucia, nawet u własnej matki, i obce mu było zupełnie, zdradę zaś uważał za własne narzędzie, którego strzegł zazdrośnie. Wskazując na miasto, rzekł do Bramarbasa:

— Chciałeś być w mieście. Zaraz tam będziesz, a ja wkrótce po tobie. Możesz im to powiedzieć.

Zaśmiał się okrutnie i strażnikom kazał związać więźniowi ręce pod kolanami, po czym skinął na lochagosa i wskazując na Bramarbasa, powiedział:

— Oto pocisk dla twego petrobolu.

Swym jednym okiem patrzył, jak związanego Bramarbasa posadzono na wyrzutni maszyny. Więzień oczy miał zamknięte i trząsł się. Otworzył je jeszcze i spojrzął na króla, jakby chciał coś powiedzieć, ale w tej chwili lochagos wyszarpnął zaczep i jakby wiatr zdmuchnął skazańca. Ujrzeni go już w górze, jak koziołkując zataczał łuk w powietrzu i malał w oczach, aż zniknął za murem.

Gdy jeno pierwsze krzyki rozległy się za zburzoną bramą, Aleksander wyskoczył przed szeregi swej agemy.

— Starzy nie ufają, że wy umiecie walczyć, a ja dowodzić. Pokażemy, że się mylą. Dzień ten zapamiętam każdemu z was. Wschodzące słońce ujrzy nas w mieście. Naprzód!

Ruszyli biegiem zwartą ławą, za nimi zaś łucznicy Langarosa. Gdy ubiegli kilkadziesiąt kroków, zaświstały pierwsze strąły i szły coraz gęściej, a pierwsza krew zaznaczyła początek wojennej drogi Aleksandra. Obok niego biegł nieodstępny Hefajstion, po drugiej zaś stronie zuchwały i lekkomyślny Antygonos z Pallene, któ-

rego Aleksander wziął na wyraźne życzenie ojca, od blisko czterech lat bowiem młodzieniec brał już udział w walkach Filipa, odznaczając się męstwem płynącym z zupełnego braku wyobraźni i poczucia niebezpieczeństwa. Z pozostałych niektórzy mieli już doświadczenie wojenne jako chłopcy królewscy, ale wszyscy po raz pierwszy mieli brać udział w bitwie. Biegli z wesołymi okrzykami, jak na zabawę, za nimi zaś, niby nianka za dziećmi, olbrzymimi krokami z pobłażliwym uśmiechem Langaros.

Gdy dotarli na pół stadia do murów, agriański książę krzyknął coś do swoich. Tylne szeregi łuczników zatrzymały się i ponad biegnącymi zaświstały groty ich strzał, krzyżując się z pociskami z murów. Tu i ówdzie rozległy się krzyki rannych. Aleksander przyspieszył kroku i pędem przypadł pod mur, tarcze trzymając nad głowami.

Na murach rozlegały się zmieszane glosy i tupot nóg po kamieniach. Tu widocznie nie spodziewano się uderzenia i większość obrońców ściągnęła pod bramę, skąd bijący bez przerwy wrzask wskazywał, że toczy się tam ciężka walka. Ale już i na murze zaczerniało od głów. Agrianie niosący drabiny zdążyli zaledwie jedną ustawić, gdy Aleksander, nie czekając ni chwili, jął jak kot piąć się w górę, a za nim tylko zdołał się docisnąć.

Langaros zatrzymał się o kilkanaście kroków od muru i nie zważając na pociski, potężnym głosem ponad gwar wydał rozkazy i ulewa strzał lunęła na skupionych nad drabiną obrońców. W tej chwili jednak Aleksander przesadził blankę muru i zniknął z oczu Langarosa, za nim zaś jeden po drugim przeskakiwali jego towarzysze.

Langaros niespokojnie targnął brodę. Skoczył pod mur i nie mogąc dopchać się do drabin, wygiętych pod ciężarem tłoczących się ludzi, pochwycił w międzwiedzie łapy drabinę porzuconą przez poległych i jednym ruchem oparłszy ją o mur, skokami wspiał się w górę. Drzewcem włóczni zepchnął wrogów, którzy rzucili się na niego. Jeden za drugim przeskakiwali blankę wierni Agrianie, podążający za wodzem, który szukał wzro-

kiem Aleksandra. Dojrzał go i zmartwiał. Gdy przy drabinach na murze kłębili się walczący, on zeskoczył w dół i na czele kilku towarzyszy gnał ku bramie, od której wrzask dochodził coraz większy. Ale już na przeciw niego doskakiwali peryntyjscy wojownicy, zarówno od strony miasta, jak i od zejścia z murów.

Spod niedźwiedzich kłów błysnęły oczy barbarzyńcy. Jak zwierz rzucił się na wrogów, prąc ku zejściu, strącając z muru i gnając przed sobą obrońców. Jak głaz runął ze schodów na walczących w dole Peryntian, a za nim jego ludzie i całe kłębowisko walczących potoczyło się ku bramie, aż wrzawa złała się w nieustający grzmot jakby rozszalałego morza, bijącego falami o skalisty brzeg.

Gdy Langaros dopadł gruzów bramy, na szczycie ich sterty dojrzał znowu Aleksandra. Dojrzeć go musieli i peltaści z drugiej strony, gdyż natarli ze wzmoczoną zaciekłością. Naciskani z dwóch stron obrońcy wymyknąć się zaczęli na boki i tłok koło Aleksandra zelżał. Langaros rzucił się ku niemu i w tej chwili spostrzegł, jak walczący obok niego Antygonos padł ugodzony oszczepem w twarz. Jeszcze tylko Hefajstion chronił Aleksandrowi plecy. Langaros z rykiem skoczył naprzód, ale już trąby od miasta wzywały obrońców do odwrotu, a gdy peltaści rzucili się za ustępującymi, cały tłum przetoczył się na plac pod bramą. Scisk powstał taki, że rękę trudno było dźwignąć, szybko jednak rzednąć począł. Peryntianie bezładnie rozsypali się, szukając ocalenia w wąskich stromych uliczkach oraz po domach i również bezładnie ścigał ich, kto mógł.

W tłumie tym raz i drugi mignęła Langarosowi purpurowa kita na hełmie Aleksandra. Pościg i rzeź rozlewały się po całym mieście, wodzowie peryntyjscy na darmo usiłowali jeszcze wprowadzić ład i stawiać opór. Z domów wysypywali się mieszkańcy, powiększając zamęt, i z okrzykami trwogi i rozpaczycy uchodzili na południe, mając nadzieję znaleźć ocalenie za murami akropolu.

Langaros starał się zgromadzić dokoła siebie swych łuczników, ale nie zdołał. Zmieszani z macedońskimi wojownikami, ścigali uchodzących, wpadając za nimi do

domów, mordując i biorąc jeńców. Langaros porwał kilku ludzi, nie bacząc już na nic i na nikogo, pędził w ślad za Aleksandrem. Tymczasem przez sterty gruzów i kupy ciał wkraczał do miasta sam król na czele swej ili przybocznej i oddziału hetajrów, obsadzając oczyszczone już z nieprzyjaciół dolne miasto.

Aleksander zaś na czele kilkunastu ludzi dotarł za główną falą uciekających aż do teatru u stóp akropolu; i tam się zatrzymał. Z góry zstępował potężny oddział najemnych hoplitów, promienie wysoko już stojącego słońca grały na hełmach i pancerzach. Jak potok przed skałą rozstępowały się przed nimi gromady uciekających i resztką tchu pnąc się po zboczach, wlewały się w otwarte bramy akropolu.

Aleksander patrzył za nimi i rozognionymi oczyma szukał ludzi, na których czele mógłby jednym zamachem spróbować wykorzystać popłoch i opanować górne miasto. Gdy Langaros dopadł do niego, wskazał w górę i zawołał:

— Tam uderzymy!

— Można by, jeno przecie nie sami.

— Król zezwolił mi czynić, co zechcę.

— Ja z tobą pójdę — odparł uśmiechając się Langaros. — Wolałbym jednak dłużej wojować przy twoim boku i doczekać się takiego syna jak ty.

W oczach Aleksandra płonęło jeszcze szaleństwo walki, ale otrzeźwiły go słowa Langarosa i dźwięki trąb, wzywające do gromadzenia się rozproszonych.

— Pójdźmy i my — rzekł Agrianin. — Jeżeli uderzać, to nie głową o skałę. A tak czy inaczej trzeba uczcić twoje pierwsze zwycięstwo. Będiesz wielkim wojownikiem.

W porywie zachwytu przytulił Aleksandra do swej potężnej piersi. Królewicz uśmiechnął się i oddał mu uścisk, ale stojący obok Hefajstion z zazdrością ogarnął go ramieniem, mówiąc:

— Czy nie mnie należy się pierwszy uścisk?

Aleksander ucałował go i powiedział:

— To nasze zwycięstwo. Ty i ja — jedno jesteśmy.

Rzucili się pozostali towarzysze, ściskając dłoń Aleksandra, wznosząc okrzyki na jego cześć, po czym wszy-



scy razem ruszyli z powrotem ku bramie, mieszając się z wojownikami, którzy zewsząd ścigali, obciążeni łupem.

Aleksander z Hefajstionem wycofał się na tyły idących i rozglądał się. Twarz jego już przybrała zwyczajny wyraz. Wodził oczyma po spustoszonych domach, wyrzuconych na ulicę cennych sprzętach i leżących zwłokach.

Przed progiem jednego domu zatrzymał się. Leżała przed nim młoda niewiasta niezwykle urody. Pod fałdami miękkiej i ozdobnej, niemal przezrzystej szaty rysowało się jej smukłe ciało w harmonijnym układzie, jakby nie cios żołnierskiej ręki rzucił je na kamienie, lecz ułożyła je ręka artysty, który uwiecznić chciał jego piękno. Długie rzęsy przymkniętych oczu rzucały cień na gładkie policzki, jeszcze kwitnące gasnącym rumieńcem, jakby cień uśmiechu rozchylił jej kształtne usta, z których białą przeświecały drobne zęby. Leżała na lewym boku z głową przechyloną na toczone ramię, z którego jak kwiat wykwiatała maleńka dłoń. Biel jej odbijała od ciemnych splotów miękkich i lśniących włosów. Z prawego ramienia peplos zesunął się ukazując zarys drobnej, jak w różowym marmurze wykutej piersi. Gdyby nie sącząca się kałuża krwi, można by sądzić, że niewiasta śpi i uśmiecha się do dziecka, które niezdarnie pełzło ku matczynej piersi, nie bacząc, że drobne rączyny nurza w jej krwi.

Aleksander stał i patrzył jak urzeczony. Hefajstion zrazu nie przerywał jego milczenia. Po chwili powiedział cicho:

— Szkoda takiej pięknej niewiasty. Ale pójdźmy. Tam czekają na ciebie.

Aleksander zdał się nie słyszeć. Hefajstion położył cłu rękę na ramieniu i powtórzył:

— Pójdźmy.

Królewicz ocknął się z zadumy. Twarz miał chmurną. Powiedział jak do siebie:

— Nie należy wracać własnymi śladami.

Ruszył szybkim krokiem i za chwilę dotarli na plac pod bramą, gdzie w ładzie już gromadziły się oddziały macedońskich wojsk ze starszyzną na czele. Król stał

przed frontem. Zobaczywszy Aleksandra, powiedział do otoczenia:

— Oto nadchodzi dzisiejszy zwycięzca.

Słowa jego jakby zerwały jakąś tamę. Złamały się szeregi i jeden krzyk uderzył w niebo:

— Aleksandros!

Królewicz stanął, jakby zaskoczony, ale twarz nie rozjaśniła mu się, gdy ze wszystkich stron otoczyli go krzyczący w zapale wojownicy. Unieśli Aleksandrą w górę i usadowiwszy go na tarczy podawali jedni drugim, że zdał się płynąć, spokojny i obojętny.

Stojący obok króla Antypater także pozostał spokojny, zwracając się do Filipa, który wierzchem dłoni pocierał jedyne oko, powiedział:

— Syn twój zdobył dziś więcej niż to miasto. Ale dwóch wodzów jednemu wojsku za wiele. Odeślij go do Pelli. Nie potrzebujesz się już obawiać, że Olimpias wychowa go na kapłana.

## ROZDZIAŁ XIV

Opór przeciwko poczynaniom Filipa tężał, wszędzie dawały się odczuć intrygi Demostenesa i perskie złoto. Artakserkses, zajęty własnymi zdobyczami, nie spieszył się do otwartego starcia z Macedończykiem, ale tym chętniej popierał wszelkie opory przeciw niemu w Helladzie, pozostawiając w tym wolną rękę satrapom. Frygijski Arsites nadesłał już silny oddział najemników helleńskich do Peryntu, wraz z biegłymi wodzami, a zagrożone Bizancjum, mając przyręczone poparcie Aten — przysłało potężne maszyny. Ateny skierowały flotę pod Charesem na Hellespont, a górskie plemiona Traków w Haemos podniosły się znowu na wieść o niepowodzeniach Filipa.

Były to ciosy, Filip jednak należał do szermierzy, którzy nawet klęcząc je oddają. Pod Hieron pojmał podstępem dwieście trzydzieści statków liczącą ateńską flotę pod Laomedonem, groźnym pismem zawiadamiając Ateńczyków, że uważa pokój za zerwany przez nich, na skutek rzekomego przemytu broni do Selymbrii. Było to nieprawdą, ale w ten sposób sprzymierzeńcom stworzył pozór do uchylecia się od wojny po stronie Aten. Jednocześnie gdy oblężenie Peryntu musiało się ograniczyć do zamknięcia akropolu od strony lądu, pozostawił je Antygonosowi, sam zaś uderzył na Bizancjum. Poselstwu, które zjawiło się przed nim w nadziei, że zdoła jeszcze załagodzić sprawę, jawnie już

dał do zrozumienia, że czekał jeno na pozór, by zająć miasto. Zapytany bowiem o przyczynę napaści, odparł drwiąco:

i— Pytacie głupio, jak małżonek pięknej niewiasty, który dziwi się, że zabiegają o nią zalotnicy.

Niemniej Bizancjum było przyczyną wojny z Atenami, której wszelkimi sposobami starał się uniknąć, gdy i innych wojen mu nie brakło. Antypater z lekką konnicą i oddziałami łuczników i procarzy wyruszył przeciw górskim plemionom i zachodziła konieczność! Ściągnięcia Parmeniona, który bawił z wojskiem na Eubei, popierając w Oreos, Eretrii i innych miastach stronnictwa Filipa. Trzeba było w kraju pozostawić namiestnika, który by powagą swą i wzięciem zdołał zapewnić spokój wewnątrz państwa, a męstwem obrzydzić napaści niespokojnym sąsiadom.

Takim okazał się Aleksander, który od pierwszego wystąpienia zyskał wzięcie u wojska i zaufanie króla. Wbrew obawom Filipa, bez sprzeciwu zgodził się wrócić do Macedonii i ciągnął na czele swej wypróbowanej już młodzieńczej ili, wyposażony w pełni władzy królewskiej aż do powrotu ojca, którego nierychło można się było spodziewać. Filip z pobłażliwym uśmiechem słuchał, jak żołnierze między sobą królem zwą Aleksandra. Takiego potrzebował zastępcy i następcy. Polecił jednak Arystotelesowi ściągnąć do Pelli, by wspierał radą i pomocą młodocianego namiestnika.

„Słońce wojny” zaćmiło się, a sława Aleksandra rozbrzysła nad krajem jak jutrzienka. Jak z nowym dniem wiązał też niejeden z młodocianym rządcą własne nadzieje, przez niego spodziewając się osiągnąć swoje cele lub choćby tylko korzyści.

Wieści o wypadkach w Peryncie biegły jak fala, docierając do najdalszych zakątków Macedonii, przelatowały pasma górskie i rozlewały się po całym helleńskim świecie, jak kręgi od rzuconego kamienia. Gdy jedni uważali te wypadki za zwiastuny końca macedońskiej potęgi, inni dopatrywali się w Aleksandrze

nowego czynnika jej wzrostu i spieszyli, by przy boku nowego władcy zająć miejsce zapewniające im wpływy i znaczenie.

Może i Arystoteles, jadąc do Pelli, żywił nadzieję, że przez wychowanka będzie mógł wcielić w życie swe idee, którymi go karmił, a teraz spisał je własnoręcznie i wiózł mu je w podarunku. Aleksander powitał mędrca ze szczerą radością, dziękując za dar, przyrzekając dla jego badań wszelką pomoc w ludziach i pieniądzech. Przeznaczył mu dom koło pałacu i często zapraszał na uczyty, podczas których nieraz do białego dnia rozprawiał z myślicielem ku utrapieniu swych towarzyszy, oni bowiem nadmiar sił, pozostały im po ustawicznych ćwiczeniach i zapasach, woleli zużyć przyjemniej, by do dna wykorzystać uzyskaną przed czasem swobodę i zażyły stosunek z rzeczywistym teraz władcą kraju.

Jeżeli jednak filozof żywił swoje nadzieje, to bystry i trzeźwy jego umysł ostrzegł go, że nie należy ludzić się młodością i niedoświadczeniem Aleksandra. Mędrzec, obyty w obcowaniu z królami, a przestrzeżony już zajęciem przy pożegnaniu w Nimfajon, nie zdradził się ze swymi rachubami, zadowalając się stosunkiem nadwornego filozofa do władcy, gdy stosunek mistrza do ucznia skończył się bezpowrotnie.

Równie szybko istotę zaszłej w przyjacielu zmiany przeniknął Hefajstion. Wspólne przeżycia w Peryncie zbliżyły ich jeszcze i ani on sam, ani nikt inny nie wątpił, iż kiedyś przy boku młodego władcy przypadnie mu pocześniejsze miejsce niż to, jakie przy boku Filipa zajmowali Parmenion i Antypater. Na wstępie jednak otrzymał przestrożę, że miejsce to zająć ma nie z myślą o korzyściach.

Aleksander zgodnie z poleceniem ojca czynił zaciąg do ii, tworzonych na wzór macedoński, w zdobytych prowincjach Apollonii, Antemos, Leugai i innych. Wbrew dorodom starszych, a nawet ich niechęci, zwalniał żołnierzy od wszelkich innych świadczeń i danin, stanowiska dowódców zaś obsadzał autochtonami, równając ich z Macedończykami w przywilejach. Zabiegano też o godności na wszelki sposób: podarunkami, prze-

kupstwem, pochlebstwem, wreszcie przez hetery, starając się trafić do towarzyszy Aleksandra. Hefajstion, mimo że najlepiej znał swego przyjaciela, nie zdołał się w końcu opędzić od nagabywań i przy obsadzaniu dostojęństw w Ili z Amfipolis poprosił o stanowisko chiliarchy dla Hermiona. Zagadnięty Aleksander popatrzył badawczo na druha, który zarumienił się pod jego spojrzeniem.

— Czy uważasz, że nie ma godniejszego niż on? —> zapytał Aleksander, a gdy Hefajstion milczał zmieszany, dodał:

— Dobrze, że wobec mnie nie chcesz skłamać. Straciłbyś moją przyjaźń, a wiesz, że warta więcej niż Hermionowe złoto. Ale jeśli potrzebujesz pieniędzy, każę Eumenesowi, by ci dał zlecenie do skarbnika. Nie chcę dla złota stracić twej przyjaźni.

— I ja nie chcę! Za nic! — zakrzyknął Hefajstion. — Mojej miłości nie potrzebujesz kupować.

— To dobrze — odparł z uśmiechem Aleksander. — Ale przestrzeż i innych, by pamiętali, że majątność rośnie z dzielności, a nie odwrotnie. Niech tedy będą cierpliwi, a my nie. mówmy więcej o tym.

Nie tak łatwo jednak przyszło Aleksandrowi uchylić się od wpływów matki. Król przewidywał, że zechce je wywierać, i pragnąc im zapobiec, przydzielił synowi wiernego i zapalczywego swego wielbiiciela, Klejtosa, by jako doświadczony już wojownik, a z dawna pozostający w zażyłości z Aleksandrem, pomagał mu w pracy nad przygotowaniem wojsk.

Nie chcąc drażnić Olimpiady drobiazgami, Filip pozwalał jej utrzymywać własny dwór, chociaż wiedział, iż gromadzi na nim oddanych sobie ludzi, lekcewał ich jednak, widząc, że są to nicponie, którzy nie mając możliwości wybić się zasługami i zyskać imienia w kraju, przy boku królowej szukają łatwej drogi zysków i znaczenia. Teraz królowa sądziła, że nadeszła pora, by dworakami swymi otoczyć Aleksandra. Nie było dla nikogo tajemnicą, że są oni Filipowi niechętni, Aleksander jednak nie umiał się oprzeć jej żądaniom. Gdy usiłował się wymawiać, Olimpias rzekła:

— Bądź pewny, że niczego nie czynię bez myśli o to-

bie. Kiedy nabędziesz doświadczenia, sam uznasz, że dobrze przemyślałam wszystko.

Gdy usiłował jej czynić wyrzuty z powodu samowolnych poczynań, przerwała mu z rozżaleniem:

— Nie spodziewałam się, byś i ty jak Filip do krosien mnie odsyłał.

Odszedł rozdrażniony, w rozterce z samym sobą. Pewien był, że latami hamowana namiętność matki szuka teraz ujścia w żądzy władzy i nie skrywanej wrogości do Filipa, którego niepowodzeniami się radowała, budząc niechęć wśród przywiązanych do króla ludzi i tych, którym na sercu leżało dobro Macedonii. W jej gusłach szukano przyczyn porażek dotychczasowego zwycięzcy, który nie bacząc na rany i chorobę, wciąż jeszcze bezskutecznie oblegał Bizancjum i akropol Peryntu. Wreszcie przyszła wieść o wydarzeniach, które powszechnie przypisywano jej czarom.

Rok mijał wkrótce, jak wojska macedońskie ciężko zmagaly się pod Peryntem i Bizancjum. Nowe sposoby oblężnicze Filipa, które epokę stanowiły w tej sztuce, nie dały dotychczas wyniku. Znużenie i zniechęcenie ogarniało nawykłych do zwycięstw wojowników. Wieści od Antypatra były złe. Rozzuchwalone niepowodzeniem Filipa górskie plemiona trackie i surowa zima zdziesiątkowały szczupłe siły Antypatra. Wódz domagał się żywności i posiłków, zawiadamiając, że jeśli ich nie otrzyma, wróci pod Bizancjum. Oblężenie należało kończyć za wszelką cenę. Wrogowie w Helladzie podnosili głowy, na granicach Macedonii wszczynały się niepokoje.

Chybiwszy siłą i sztuką, Filip postanowił chytrą próbą dokonać próby. Przez kilka dni zaniechał wszelkich działań oblężniczych, porzucając rozpoczęte roboty i ściągając maszyny ze stanowisk, tak by stworzyć pozory, że zamierza odejść. Czekał na now księżyc. Nocami zaś pod osłoną palisad rył podziemne chodniki.

W mroku i ulewnym deszczu oddziały lekkobronnych rowami pełzły pod mury. Szczyty drabin, dla uniknięcia hałasu przy ich dostawianiu, kazał król owinać szmatami i stał z Parmenionem, patrząc, jak gro-

mady cieni bezgłośnie ruszały rozmazując się w ciemności i dżdżu.

Doświadczeni wojownicy wiedzieli, iż najłżejszy odgłos udaremnić może przedsięwzięcie. Wstyd i gniew ogarniał ich na myśl, że nieprzyjaciel drwić będzie, gdyby nic nie wskórawszy odejść musieli, bez pomsty za poległych towarzyszy. Tarcze pozostawili, miecze, dla uniknięcia hałasu oplecione skórami, zawiesili na karkach, by mieć wolne ręce. Zadaniem ich było tylko wdrzeć się na mury i utrzymać się tam, póki nie nadbiegną za nimi hoplici, których rzeczą będzie uporać się z załogą i zająć miasto.

Droga, którą przebyć mieli, licząca niespełna dwa stadia rozwlekać zdała się w parasangi. Tymczasem deszcz ustał, chmury przetarły się i na niebie zarysował się cienki jak kreska sierp młodego księżyca. Przy jego niepewnym poblasku z ciemności wyłaniały się potężne mury. Panowała na nich głucha cisza, w której każdy rad by stłumić nawet odgłos mocno kołającego serca. Rozstrzygająca chwila zbliżała się z wolna i napięcie doszło do szczytu, gdy idący w przedzie wojownicy dostawiać jęli drabiny. Pozostali drżeli z niecierpliwości, czekając, kiedy przyjdzie ich kolej wspinać się na nie, by w walce wyładować nieznośny ucisk, a krzykiem przerwać przygniatającą ciszę, w której zdało się czaić coś złowrogiego. Żaden odgłos nie dochodził z miasta. Spi czy gotuje zasadzkę?

Filip czekał, na pozór spokojny, ale wiedział, o jaką stawkę idzie gra. Jeśli wygra, będzie panem Bosforu, droga do Azji stanie przed nim otworem. Co będzie, jeśli przegra, o tym starał się nie myśleć. Z każdą chwilą wzrastała jego pewność siebie, ale zarazem niecierpliwość, niezwykła u męża umiejącego trzymać się na wodzy. Szeptem zwrócił się do Parmeniona:

— Zaczynaj już podsuwać hoplitów. Tamci musieli dojść, lada chwila zacznie się walka.

— Zaczekajmy na jej pierwszy odgłos — odparł strateg.

Zamiast niego w ciszy dzwoniącej w uszach gdzieś i daleka rozległo się szczekanie psa, przechodząc w żalodne wycie, a zaraz zawtórowały mu inne.



Król drgnął i rzucił szorstwo:

— Ruszaj!

Parmenion bez słowa skierował się ku stojącym w głębokim milczeniu szeregom ciężkozbrojnych. Nagle stanął jak wryty. Jaskrawozielone światło, wydobywając z głębokiego mroku każdy szczegół, zalało całe niebo. Olbrzymia gwiazda spadająca przecięła je z zachodu na wschód i rozsypała się w rój iskier. Przez chwilę jeszcze świecił płomienny ślad jej drogi, gdy świat pograżył się już w mroku, jeszcze głębszym niż przedtem, niemal dotykalmym.

Graniczące z popłochem przerażenie ogarnęło wszystkich. Na murach zabrzmiały pojedyncze okrzyki, przechodząc od razu we wrzawę, która jak wichur ogarniała miasto i wojska. Parmenion oprzytomniał pierwszy i rzucił się do falangi, by porwać ją do natarcia. Lecz na całej długości murów jedna za drugą rozpłomieniały się beczki ze smołą, a w czerwonym ich świetle widać było wracające w popłochu i bezładzie gromady lekkiej piechoty pod ulewą pocisków sypiących się z murów. Nic nie dało się uratować.

Do świtu wodzowie z trudem starali się opanować bezład, który w ciemnościach ogarnął całe wojsko. Filip polecił rozniecić ogień, obawiając się, by wycieczka z miasta nie powiększyła zamieszania, do reszty odbierając serca przeniknięte zabobonną trwogą. O świcie zwołał wodzów na naradę. Przygnębione i ponure twarze nieustraszonych zwycięzców w setkach bitew wskazywały, że i oni nie czują sił do walki przeciw mocom, które rozstrzygnęły sprawę.

Nawet sam Antygonos, jednooki jak Filip, a twardszy jeszcze od niego, który drwił z każdego niebezpieczeństwa i niepowodzenia, teraz, wezwany do głosu, odparł niechętnie:

— Hekate broni tego przeklętego miasta. Nie nam z nią walczyć.

Król odparł spokojnie:

— Gdybyśmy zaczęli o jeden obrót klepsydry wcześniej, popłoch powstałby w mieście, nie u nas. Łaska bogów jest z tym, kto umie w porę zaczynać. Ale nawet wieszczkom trudno wolę bogów zrozumieć. Znamy

natomiast naszych ludzi. Wojska nie mogą wracać do domu po klęsce.

— Czy nie lepiej odstąpić teraz, a z wiosną zacząć z nowymi siłami? — wtrącił rozważny Parmenion. — Zima też walczy przeciw nam, wojska znużone, a i ty...

— O mnie się nie troszcz! — przerwał szorstwo Filip. — Ja wñem, dlaczego nie chcę teraz wracać do kraju.

Starzy wodzowie szli do swych oddziałów w milczeniu! Król nie po raz pierwszy zmusza wojsko do wysiłku, zda się ponad jego możliwość, ale dotychczas zawsze trafnie oceniał, gdzie są granice. Teraz jednak budziły się wątpliwości.

Parmenion pierwszy przerwał milczenie, zwracając się do Antypatra:

— Żal mi króla. Nie nawykł do klęsk, a tym razem bogowie zdają się zwracać przeciw nam.

— Czego chcą bogowie, o tym dowiadujemy się po wyniku — odparł Antypater — a czego chce Filip, on sam wie najlepiej i dotychczas nigdy nie zabrakło strzał w faretrze jego myśli.

— To prawda — przytaknął Parmenion w zamyśleniu. — Ale sędzę, że gdyby jedyne osiągnięcia pod Peryntem nie przypisywano Aleksandrowi, basileus nie upierałby się przy obleganiu miast pod Propontydą. Wie, że rozstrzygnięcie nie tutaj zapadnie, lecz w Heladzie.

— Może masz słusność — odparł Antypater — ale Filip ci jej nie przyzna. A i on ma słusność, że wojska nie mogą iść na wypoczynek po klęsce. Trzeba im dać jakieś zwycięstwo.

— Są tu posłowie Scytów — mówił z namysłem Parmenion. — Król ich, Ateas, za pomoc przeciw Istrianom przyrzeka uczynić Filipa swym następcą. Starzec ma dziewięćdziesiąt lat, a zdałoby się stopę postawić przy ujściu Istru, zwycięstwo zaś trudne chyba nie będzie.

— Mógłbyś ty iść z konnicą, która i tak przy oblężeniu nie na wiele się zda. Sędzę też, że gdy król znajdzie powód czy choćby pozór, by odejść, uczyni to.

Filip zawsze i wszędzie chętnie mieszał się do każdej walki, by od obydwu stron odnieść korzyści, i gdy wśród zimowych ulew i wichrów wojska stały beczynnie, wysłał Parmeniona z jazdą do Ateasa. Nie próżnował jednak ruchliwy umysł króla. Od jeńców wiedział, że znaczna część bizantyjskiej załogi składa się z wojsk sprzymierzonych miast pontyjskich, które w razie upadku Bizancjum ulec musiały Filipowi. Wykorzystując wyprawę Parmeniona, rozpuścił przeto wieść o upadku. Posiłki sojuszników odeszły bronić własnych siedzib, ateńskiej zaś pomocy, którą przywiódł Chares, Bizancjum nie chciało przyjąć, nie ufając strategowi, który zwykł prowadzić własną politykę i łatwo mógł się okazać podatny na przekupstwo. Filip zaś znany był z tego, że do kiesy sięgał łatwiej niż do miecza.

Oslabiwszy w ten sposób znacznie załogę Bizancjum, Filip gotował się znowu do uderzenia. Gdy pobita przez Charesa przy Skałach Bakchijskich flota macedońska wpędzona została na Pontos, ateńska zaś zakotwiczyła się koło Chrysopolis odcinając dostęp do Bizancjum, król przerzucił most przez Złoty Róg i ubezpieczywszy go kamieniami z rozebranej świątyni Hadesa, czekał tylko pogodnego dnia, by przypuścić szturm. Wcześniej jednak nadpłynęły dalsze posiłki ateńskie ze Skiatos i Erterii pod Ftfkionem i Kefisofonem, dowódca zaś bizantyjski, Leon, znając Fokiona z Akademii, poręczył za niego współobywatelom i Bizancjum uzupełniło załogę ateńskimi hoplitami; most stał się nie do użycia. Tak spełzły na niczym przygotowania Filipa. Co gorsze, pozbawione osłony floty wybrzeża trackie i macedońskie stały się bezbronne wobec kaperstwa ateńskiego i rozwijający się ostatnio pomyślnie handel macedoński musiał ustać. Jednocześnie powstały trudności w zaopatrzeniu wojsk.

Cios był bolesny i wiadomo już było, że oblężenie ma się ku końcowi. Filip wprawdzie zastąpił Demetriosą Antypatrem, ale nawet męstwo i doświadczenie starego wodza nie pozwalało spodziewać się, by zdołał wyprowadzić flotę przez cieśninę, którą nawet łódź bez wiedzy Charesa nie zdołałaby się przemknąć. Ja-

koż Filip wysłał poselstwo na Rodos z prośbą o pośrednictwo w układach. Nie miał nic do ofiarowania i widocznie chciał jedynie wyprowadzić flotę.

Sprawa zdała się wyjaśniona, gdy w ciemną noc schwytano łódź wiozącą rozkaz Filipa do Antypatra, by niezwłocznie ruszył na północ wzmocnić i przestrzec Parmeniona, że w Tracji wybuchło powstanie, macedońskie załogi zostały wyrżnięte, a droga powrotna zagrożona. Sam król odchodzi na zachód, dlatego równobrzmiące rozkazy wysłał jednocześnie przez kilku ludzi, by pewnym być, że dojdą Antypatra.

Jakoż ruch w macedońskim obozie potwierdzać zdał się prawdziwość wieści i złożona natychmiast w mieście rada wojenna uchwaliła, by flota pod Charesem ścigała i zniszczyła Antypatra, pozostała zaś pod Fokionem ruszyła wybrzeżem, zmierzając za Filipem, by wspierać zbuntowane miasta. Zdało się już, że nadszedł kres potęgi Filipa. Bizancjum w szale radości dy-mem ofiary stu wołów złożyło podziękę bogini nocy za ocalenie i ku jej czci wybito monetę z sierpem młodego księżycy, który na zawsze pozostał znakiem miasta.

Radość jednak była przedwczesna. Chares, nocą jeszcze przepłynąwszy Bosfor, na pełnych żaglach gnał na północ. Gdy jednak rozjaśniło się, nie dojrzał przed sobą nikogo. Płynął jeszcze przez czas jakiś, po czym zawrócił i w Bizancjum dowiedział się, że przytający Antypater, korzystając z odejścia ateńskich sił morskich przepłynął Bosfor i Hellespont i pożegłował za Fokionem, Filip zaś odszedł, ale na północ, a na wybrzeżu Tracji panuje spokój.

Król jechał na czele swych wojsk spokojny, a nawet pogodny, jakby nie zmarnował dopiero co bez mała rocznych trudów. Wyprowadzenie floty było jednym z tych zwycięstw, jakie cenił najwyżej — zwycięstwem własnej przemyślności. Jego chwały nie musiał dzielić z nikim.

## ROZDZIAŁ XV

Burzliwa fala zimowa miotła statkiem, który pełzał mozolnie ku spokojniejszym wodom Zatoki Termajskiej. Gdy wydostał się na nie, niewolnicy przykuci do wiosel odetchnęli i otarli czoła, spocone mimo przenikliwego chłodu. Mgła leżąca nad zatoką nie pozwalała płynąć zbyt szybko, zresztą cel podróży był już niedaleki. Poselstwo Artakserksesa zmierzało do Pelli, by próbować układów z Filipem. Wprawdzie już na Samos przywódca poselstwa, Sakkas, otrzymał wiadomość, że Macedończyk wojuje nad Istrem, a rządy z ramienia króla sprawuje młodociany namiestnik Aleksander, wolał nawet odprawić poselstwo pod nieobecność doświadczonego, przebiegłego i słynącego z podstępności męża, zwłaszcza że za główne swe zadanie uważał sprawdzenie na miejscu otrzymanych w Suzie od Demostenesa wiadomości. „Pokój królewski”, który ustalał rozbić Hellady na sto kilkadziesiąt rzekomo niepodległych państewek pod opieką króla królów, nie był już do utrzymania wobec rosnącej potęgi i zaborczości Filipa. Dalsze dotrzymanie warunków tego pokoju groziło nieuchronnie starciem z Filipem, w czasie gdy Artakserkses, zajęty zdobyczami w Azji i Afryce, pragnął go uniknąć. Wykryte knowania Filipa z tyranem Atarneos, Hermejasem, które ten śmiercią na krzyżu przypłacił, wykazały, że Filip zmierza do rozgrywki. Ostatnie jego porażki pod Bizancjum stwarzały jednak do-

godną sposobność do układów o podział wpływów na Morzu Egejskim.

Sakkas nie pierwszy raz prowadził poselstwo, **ale** właśnie dlatego stał teraz zadumany na rufie statku oczyma usiłując przeniknąć mgłę, a myślą czekające go w stolicy młodej potęgi trudności, Demostenes w czasie pobytu w Suzie zapewniał, że następca Filipa jest zarozumiałym, nawykłym do pochlebstw młokosem, Sakkas jednak znał ludzi i wiedział, że mówca mówił to, co mu było potrzebne, choć może nawet sam w to wierzył. A może samo imię Aleksandra budziło nie-miłe skojarzenia. Żyła jeszcze wśród Persów pamięć Amytasowego następcy tegoż imienia, który wyrznął poselstwo króla królów, przybyłe z żądaniem ziemi i wody, pod pozorem, że zachowało się nieprzystojnie wobec niewiast, a potem już jako hołdowniczy król Macedonii zdradą przyczynił się do klęski Mardoniosa pod Platejami. Toteż Sakkas przestrzegł swój orszak, by zachowywał się z największą powściągliwością i ostrożnością. Obecność Arystotelesa, zięcia i przyjaciela straconego przez Persów Hermejasa, nie pozwalała im oczekiwać życzliwego przyjęcia ze strony młodego następcy Filipa. Znane w Suzie listy ateńskiego Isokratesa, zachęcające macedońskiego króla, by stanął na czele Hellady przeciw Persom, wskazywały, że Filip znajdzie w Helladzie dla swych zamierzeń poparcie. Wprawdzie Demostenes zapewniał, że zdzienniały starzec nie ma żadnego wpływu w Atenach, ale dla niego głupcem jest każdy, kto myśli inaczej niż on. Sakkas nie miał o Demostenesie zbyt wysokiego mniemania i sądził nawet, że szkoda złota, które otrzymał na podsycanie oporu przeciw Filipowi. Zapewne znaczną jego część wypłaci samemu sobie za przemówienia, które wygłasza, ale Sakkas nie wierzył, by gadaniem można było pokonać wroga.

O tym rozmyślał, gdy gajera dotarła do pomostu przystani u ujścia Aksiosu, a poselstwo oznajmiło się dowódcy straży z prośbą o posłuchanie.

Persowie wylegli na pokład i z lekceważeniem patrzyli na ruchliwą i rozległą, ale w niczym nie przypominającą innych miast helleńskich stolicę „dzikusa”,

jak macedońskiego króla zwał Demostenes. Z pogardą spoglądali na gromadzący się tłum gapiów, zwabiony niezwykle widowiskiem, złożony przeważnie z półnagich, mimo przenikliwego chłodu, wyrostków z odkrytymi głowami, którzy wymieniali między sobą głośnie uwagi. Po raz pierwszy musieli widzieć Persów, gdyż śmieszyły ich niepodobne do helleńskich stroje: długie i obszerne spodnie, kaftany z rękawami, ściągnięte szerokimi pasami z barwnej tkaniny, i turbany na głowach. Rozumiejąc macedońskie narzecze, posłowie chwyтали drwiące uwagi:

— Wstydzą się ciała pokazać słońcu.

— Noszą kandysy i anaksyridy, by nie pocięrać łokci i kolan, gdy jak psy pełzają przed swoim królem.

— Ciekawym, czy Aleksander też każe im pełzać?

— Chciałbym zobaczyć, jak ich król będzie przed nim chodził na czworakach.

Rozległy się śmiechy, a młody Aglajtadas, który jarzącymi, czarnymi oczyma spoglądał z pokładu na zuchwalców, syknął gniewnie do Sakkasa:

— Czy wielki król długo będzie musiał znosić w naszych osobach obelgi tych...

— Wielkiego króla nie dosięgną żadne obelgi. My zaś znosić je będziemy, jak długo będzie trzeba. Nie zapominaj, że przyjechaliśmy zasięgnąć wieści. I to są także wieści.

Sam jednak odetchnął z ulgą, gdy od strony miasta ukazał się oddział jazdy, który, rozpierając tłoczącą się ciżbę, dotarł do przystani. Jadący na przedzie okazały mąż zeskoczył z konia, wszedł na pokład i oznajmiwszy się zarządcą dworu, > nieniem Aleksandra prosił w gościnę do pałacu.

Szczupły i obronny zamek Fakos zbyt okazałym nie wydał się dostojnikom perskim znającym najwspanialsze w świecie pałace w Babilonie, Suzie, Persepolis i inne. Objawy gościnności, jakiej się nie spodziewali, pozwoliły jednak zapomnieć o pierwszych niemiłych wrażeniach i wzbudziły nieufność do niepochlebnych uprzedzeń ateńskiego poselstwa. Zarządca dworu, Agaton, osobiście dopytywał o życzenia posłów, dotyczące

codziennego życia, prosząc, by się rozgościli, ponieważ na powrót króla zapewne długo czekać im przyjdzie. Sakkas odparł uprzejmie, że choć radzi byłoby poznać wślawionego wodza i króla, dary jednak, dla niego przeznaczone, mogą złożyć do rąk jego zastępcy, o którym również wiele słyszeli, jego rzeczą będzie zaś uznać, czy sprawy, które ich przywiodły, sam może rozstrzygnąć, czy też królowi prześle do rozstrzygnięcia. Zapewniał zarazem, że macedońskie poselstwo cieszyć się będzie w Suzie przyjęciem równie gościnnym jak to, z którego perskie poselstwo korzysta w Pelli.

Doświadczony Sakkas nie łudził się jednak, by okazywana gościnność była zapowiedzią uległości żądaniom Artakserksesa, któremu nietajne były zamiary Filipa. Zdawał sobie także sprawę poseł perski, że przebiegły i przewidujący władca Macedonii wie dobrze, iż Persom potrzebny jest chwilowo spokój w jofiskich koloniach na wybrzeżu Azji Mniejszej, w których działalność Filipa budziła wrzenie przeciw nim. Ale przeciąganie układów, któremu sprzyjała nieobecność króla, dawało potrzebną zwłokę, Sakkas nie spieszył się też z odprawieniem poselstwa, wykorzystując pobyt w Pelli do zbierania wiadomości i nawiązywania stosunków z ludźmi, którzy mieli wpływ na bieg spraw w Macedonii.

Wrychle jednak Sakkas przekonał się, że złoto perskie, niezawodny środek w państewkach helleńskich, bezskuteczne jest w Pelli. Ustawiczne wojny Filipa napełniły skarbiec złotem, którym szastał dla każdego, kogo potrzebował. Toteż perskie złoto zdołało trafić tylko do ludzi, którzy żadnego wpływu nie mieli, ale i tym Sakkas nie żałował go, otrzymując w zamian wiadomości o słabych stronach macedońskiego króla.

Zagadką dla wszystkich był Aleksander. Przywiązany do matki, jawnie niechętny Filipowi, zdawał się jej ulegać. Po namyśle Sakkas przesłał bogate dary królowej, licząc, że przez nią zdoła przychylnie usposobić młodego następcę.

Jakoż zdało się, że krok nie był chybiony. Aleksander zawiadomił, że zamierza poselstwu udzielić posłuchania, i posłowie z zaciekawieniem oczekiwali poznania królewicza.



Mimo iż przypuszczali, że przez Demostenesa przemawiała złość i zawiść w przedstawieniu Aleksandra, spodziewali się wszakże ujrzeć młodzieńca, który brak doświadczenia będzie starał się nadrobić pozorami pewności siebie i olśnić ich przepychem. Ujrzeni natomiast efeba, ujmującego prostotą stroju i obejścia, pełnego wrodzonej, dostojnej powagi. Jeśli zaś olśniło co posłów perskich, to bogactwo darów, jakie, dziękując za złożone matce, Aleksander złożył wzajem dla małżonki Artakserksesa. Gdy zaś Sakkas kwiecistymi zwrotami słać ją jego zalety, Aleksander przerwał rnu z uprzejmym uśmiechem mówiąc, że raci będzie, gdy posłowie, poznawszy go bliżej, nie zmienią swego pochlebnego o nim zdania, wyrażając nadzieję usłyszenia od nich czegoś więcej o wspaniałym państwie Kyrosa, którego jest wielbicielem.

Posłowie ujęci byli uznaniem dla herosa swego narodu, a wieczorem stwierdzili, że nie były to próżne słowa. Aleksander znał żywot twórcy perskiej potęgi, historię monarchii, jej ustrój, urządzenia i zwyczaje, które porównywał z helleńskimi, rzucając trafne uwagi i słuchając z zaciekawieniem opowiadań o, licznych narodach podległych królowi królów, dopytując o ich sposoby życia i wojowania, stan dróg, przyrodę i zasoby. Rozmowę prowadził tak żywo, że posłowie ani się spozstrzegli, jak minęła noc. Wracając z uczty omawiali spokojnie, pewni już, że wszystko, co słyszeli od Demostenesa, jest równie z prawdą niezgodne, jak to, co mówił o panujących na macedońskim dworze rozpucie, wyuzdaniu i pijaństwie. Sam tylko Sakkas był milczący i zadumany. Gdy Aglajtadas zapytał go o zdanie, odparł:

— Gdyby Aleksander był następcą naszego tronu, brakłoby mi słów na jego pochwałę. Ale i wrogowi przyznać należy, że cnót jego pozazdrościć mógłby nikt, którego włosy posiadały pod tiarą, a przebiegłości — doświadczeni mężowie, od których dowiedział się wszystkiego, czego chciał, niczego ty zamian nie odradziwszy.

— Jakikolwiek jest — odparł pobudliwy Aglajtadas — wolę takiego wroga niż helleńskich sprzymie-

rzeńców, którzy nawet gdy pełzają na brzuchu przed naszym monarchą i brudne ręce wyciągają po jego złoto, nie potrafią ukryć, że mają się za coś lepszego od nas.

— Mądry wróg jest niebezpiecznym wrogiem — odparł Sakkas. — Jedną korzyść wszelako osiągnęliśmy z poselstwa: wiemy, że Hellada długo już oprzeć się nie może takim ludziom jak Filip i Aleksander. A gdy ulegnie, niech bóg światła ześle nam przywódców, którzy im oprzeć się będą zdolni.

Poselstwo perskie wkrótce wyruszyło w powrotną drogę. Aleksander bowiem, powziawszy wiadomość o nadejściu floty ateńskiej pod Fokionem, odszedł z wojskiem z Pelli, a Persowie nie mieli już pozoru, by tam pozostać. Otrzymali sowite dary i niejasne obietnice. Przy pożegnaniu Aleksander przemówił do nich jak łaskawy władca do swych podwładnych i wyraził nadzieję, że wkrótce spotka ich znowu w ich własnym kraju.

## ROZDZIAŁ XVI

Fokion, ruszywszy spod Bizancjum na zachód, przekonał się wkrótce, że Filip zwiódł go. W obsadzonych przez macedońskie załogi portach panował spokój. Pustosząc przeto wybrzeża trackie i macedońskie, flota ateńska zmierzała ku Attyce, kilkakrotnie usiłując lądować w nieprzyjacielskim kraju, jednak bez skutku. Wreszcie ranny w jednej z potyczek Fokion postanowił wracać do Aten.

Wieści, często przesadne, uprzedziły jego powrót i gdy flota opłynęła przylądek Sunion, kierując się do Pireusu, tłumy głowa przy głowie zalegały stoki wzgórza Munichii i przylądka Akte. Zdać się mogło, że całe Ateny wyroiły się, by powitać flotę powracającą po zwycięstwie nad Niezwyciężonym. Po raz pierwszy bowiem od dwudziestu lat Filip zmuszony został do poniechania swych zamierzeń.

Morską płaszczyznę marszczył wstający wraz ze słońcem lekki powiew ze wschodu i złote blaski skakały na fali, ale choć oczy bolały, wyteżał je każdy, by pierwszy ujrzeć żagle — symbole zwycięstwa. Stronictwo Filipa, do niedawna jeszcze pewne poklasku, gdy występowało przeciw wojnie, do której parł Ateny Demostenes, teraz zdało się nie istnieć. Gdy złotobłękitny przestwór morza na wschodzie poszczerbił się żaglami, jeden olbrzymi okrzyk podniósł się, szedł wzdłuż wybrzeży jak burza. Nie ustawał, kiedy wo-

jenne triery zawinęły do portu w Munichii i odsłoniły flotę handlową wiozącą do Aten zboże z portów Morza Czarnego, otwartych znowu dla handlu. Wśród wzmagających się okrzyków opływała przylądek Akte i statki jeden za drugim wchodziły do portu Kantaros, zakotwicząc się długim szeregiem przy Emporion. Tłumy towarzyszyły im wzdłuż brzegów i z radosnymi okrzykami patrzyły, jak spędzeni z całego miasta niewolnicy wnosić jęli worki, które napełnić miały puste spichrze. Przepelnione dumą serca głośno witały zwycięstwo, a puste brzuchy jeszcze głośniej jego owoce. Toteż mniejsze tłumy były na Munichii, mimo że tam areopag z archontem na czele witał zwycięskich wodzów. Pokrzykiwały im jednak z zapalem, zwłaszcza na cześć Fokiona, który szedł z trudem, osłabiony raną. Stary wódz obojętnie przyjmował oznaki czci i wdzięczności współobywateli. On sam zdawał się nie dzielić zapału, jaki ogarnął ateński demos do rozprawy z wrogiem, przed którym niedawno drżał. Z wyrazem pewnego zniecierpliwienia Fokion wysłuchał przemówienia archonta, po czym, wymówiwszy się słabością, udał się do swego domu, położonego przy północnym Długim Murze, biegnącym z miasta do portu. Natomiast Chares i Kefisofon wraz z miejskimi władzami skierowali się ku Emporion, skąd jeszcze dochodziły wrzaski zachłystującego się radością tłumu. Gdy się zbliżyli, można było rozróżnić, że krzyczą na cześć Demostenesa, którego dojrzeli z dala, jak stojąc na schodach Makra Stoa ręką dziękował tłumom. Chares zgrzybliwie zwrócił się do idącego obok pryтана:

— Kto by nie wiedział, sądziłby, że to on odniósł zwycięstwo.

Prytan uśmiechnął się i odparł:

— Starczy wieńców i dla was, i dla niego. On je przygotował. Gdyby nie zreformował symmoriów podatkowych i nie zmusił bogaczy do płacenia, nie zdążylibyśmy wysłać sprzymierzeńcom pomocy... po raz pierwszy na czas.

— Ja rozbiłem flotę Filipa przy Skałach Bakchijskich, zanim nadpłynęła reszta pod Fokionem — odparł Chares.

— Stronnictwo nasze będzie pamiętało o twej zasłudze.

Prytan mylił się jednak. Demostenes upojony triumfem nie chciał go dzielić z nikim. Popularność zresztą była mu potrzebna, chciał bowiem wykorzystać ogólny zapał, by poderwać Ateny do działań zaczepnych w Macedonii, zanim powróci Filip. Po latach ciężkich wysiłków, gdy innym nieraz opadały ręce, po raz pierwszy zdołał doprowadzić do przewagi nad Filipem i cały lud miał za sobą. Nie myślał wyrzec się ani wpływu ani zasługi, a nie ufał nie tylko Fokionowi ze stronnictwa rozwagi, ale nawet Charesowi z własnego. Dlatego gdy wodzowie składali sprawozdania na Areopagu przed Radą i strategion, Demostenes ostro napadł Fokiona, którego niezrozumiałej u tak doświadczonego wodza nieopatrzności przypisywał wypuszczenie z pułapki floty Filipa, a w skutku tego niepowodzenie lądowania w Macedonii, w czasie gdy nieobecność Filipa stwarzała najdogodniejszą ku temu sposobność. Gdy jednak Kefisofon usiłował bronić nieobecnego Fokiona, który z powodu rany nie opuszczał łoża, Demostenes przerwał mu mówiąc, że nie zamierza oskarżać starego wodza, ponieważ odniesiona rana chroni go przed podejrzaniem o rozmyślną opieszałość.

Hypereides skrzywił się z niesmakiem. Wiedział, że jeśli Fokion należy do macedońskiego stronnictwa, to z przekonania, że Ateny nie oprą się Macedończykowi. Gdy wbrew radom Fokiona Demostenes doprowadził do wojny, stary wódz obowiązki swe pełnił uczciwie. Rozumiał Hypereides jednak, do czego zmierza teraz Demostenes, po którego przemówieniu nie tylko nikt nie odważył się postawić wniosku o uwięczenie wodzów, ale co więcej — po raz pierwszy od trzydziestu dziewięciu lat — Fokion nie wszedł do kolegium strategów. Wobec zbliżającej się nieuchronnie rozgrywki z Filipem Hypereidesowi chwyt Demostenesa wydał się nie tylko niesmaczny, ale też nierozważny.

Gdy Ajschynes doniósł gorączkującemu z ran staremu wodzowi, jaki obrót przyjęło sprawozdanie, Fokion uśmiechnął się drwiąco:

— Dotychczas oskarżano wodzów, którzy przegrali

Ale dla demagoga zwycięzki wódz jest niebezpieczniejszy. Może go pozbawić łaski motłochu.

— Złe się stało, żeś nie był na zebraniu. Nikogo z naszych nie ma już w strategion. Stracimy wpływ na sprawy, a nawet nie będziemy wiedzieć, co się tam mówi...

— Nie lękaj się — przerwał Fokion pogardliwie. — Nie uwierzę, by z dziesięciu strategów ani jeden nie przyjął pieniędzy od Filipa.

Ajschynes udał, że nie rozumie przytyku, i odparł:

— Będą się bali. Dziś nie możemy liczyć na nowych stronników, gdy starzy niepewni.

— Nie liczcie przede wszystkim na mnie. Jestem ranny i chory, a poza tym nic nie mam przeciw temu, by Ateny zwyciężyły, nawet gdyby przez to ten potomek trackiej niewolnicy miał zostać nowym Peryklem... jak mu się marzy.

Ajschynes jednak nie podzielał zdania starego wodza i odszedł niespokojny. Jeśli Filip przegra, Dernostenes ogłosi się zbawcą Hellady, a wygnanie będzie najmniejszym złem, jakie spotkać może jego przeciwników. Filip zaś zdaje się lekceważyć sprawę, skoro mając wojnę z Atenami, zabawia się daleko na północy. Jego siłą była zawsze szybkość działania. Obecnie zostawia wrogom czas, który pracuje przeciw niemu. Pozostaje wysłać Filipowi wieści o stanie spraw w Atenach i czekać jego powrotu.

Filip zaś rzeczywiście zabawił w Tracji dłużej, niż zamierzał. Ruszywszy spod Bizancjum otrzymał wieści od Parmeniona, że Ateas tymczasem sam uporał się z Istriami i odmówił nie tylko ogłoszenia Filipa swym następcą, ale nawet dostarczenia żywności wojskom macedońskim, które na skutek tego znalazły się w trudnym położeniu. Co gorzej, zdrwił oświadczając, że ma własnego syna, który lepiej mu się nadaje na następcę niż Filip. Klęska pod Bizancjum zaczęła wydawać cierpkie owoce i Filip nie mógł pozwolić drwić z siebie bezkarnie. Mimo że wodzowie radzili ściągnąć Parmeniona i wracać co prędzej do Macedonii, król postanowił ukarać Ateasa. Jak zwykle posłużył się naprzód podstępem i wysłał Pytona z oznajmieniem, że jakkol-

wiek słusznie domagać mógłby się dopełnienia zobowiązań, gdy nie z jego przyczyny pomoc okazała się zbędna, gotów odstąpić od ich żądania, jeżeli Ateas zawrze z nim przymierze przeciw wszystkim wrogom, a w dowód szczerości udzieli gościny wojskom Filipa, by w ich obecności, jak to sobie ślubował, ustawić mógł nad Istrem posąg swego przodka Heraklesa.

Ateas odpowiedział Pytonowi z kpina, że chętnie udzieli gościny posągowi Heraklesa i sam go ustawi. Gdyby jednak chciał to uczynić Filip wbrew jego woli, każe posąg przekuć na groty do strzał i z łuków odeśle je Filipowi.

W krwawej bitwie Ateas położył głowę, ale za falangą stać musiała jazda hetajrów z rozkazem zabijania każdego, kto będzie się chciał wycofać. Po zwycięskiej walce jednak macedoński żołnierz odzyskał zaufanie do wodza i we własne siły, a pustynia, jaką pozostawił po sobie, miała być przestrogą dla innych wrogów. Teraz król zażądał od Tryballów swobodnego przejścia i żywności i ruszył w górę Istru, by uspokoić północnych hołdowniców przed rozgrywką w Helladzie. Rozzuchwaleni jednak odpowiedzieli, że zgodzą się na jego żądanie, jeśli im odda scytyjskie łupy, dwadzieścia tysięcy jeńców i tyleż kłaczy, które długim węzłem ciągnęły za wojskiem, opóźniając jego pochód. Wśród ustawicznych utarczek Filip parł przed sobą nieprzyjaciela niszcząc wszystko po drodze i szerząc popłoch. Co żyło, uchodziło w góry, wzmacniając szczepy, które nigdy nie uznawały zwierzchności Filipa. Bez oporu dotarł król do Serdika, u źródeł Styrmonu, gdzie zatrzymał się na dłuższy postój, wysyłając wieści do Macedonii, że najkrótszą drogą, przeszedłszy dział wód Styrmonu i Akiosu, zamierza wrócić do Pelli.

Najkrótszą, ale nie najłatwiejszą. Gdy w dolinach kobierzec traw barwił się już kwieciem, w górach panował jeszcze surowy chłód, a w cienistych wąwozach i na szczytach górskich leżał śnieg. Zahartowany żołnierz macedoński znosił noce bez ognisk, których nie było czym rozpalić, ale konie i jeńcy padali setkami. Wodzowie szeptali między sobą, że lepiej było oddać łup Tryballom. w zamian za pomoc w przejściu, niż narażać

wojska na zgubę. Jakoż od czasu gdy zanurzyli się w górski wąwozy, nie było niemal spokojnej chwili. Górskie szczepy, niedostępne w swych kryjówkach, a wzmocnione zbiegami z dolin, zawałały głazami wąskie przejścia, staczały na idących kamienie. Zza każdego załomu leciały pociski, mimo że złożone z górali oddziały peltastów w nadludzkim trudzie szły przepaścistymi zboczami w bocznych strażach, sam król zaś w przedniej, dając przykład męstwa i wytrwałości. Krok za krokiem, mozolnie posuwali się w dół Strymonu, wiedząc, że już nie ma odwrotu.

Po kilku dniach, w miejscu gdzie wąwóz stanowiący koryto złotodajnej rzeki rozszerzał się w kotlinę, król zatrzymał wojska na wypoczynek. Ludzie byli u krańca swych sił, żywność i pasza na ukończeniu. Teraz jeszcze mieli porzucić wodę, by górami przejść w dolinę Aksiosu. Nadchodziła najcięższa próba.

Król zwołał wodzów na naradę. Jasne było, iż jest tylko jedno wyjście: wydostać się najrychlej z wąwozów, gdzie brakło wszystkiego prócz śmierci. Toteż wodzowie milczeli. Sam tylko Parmenion, spokojny i poważny jak zawsze, zabrał głos:

— Lepiej dotrzeć do Pelli później niż wcale. Ruszajmy dalej bez zwłoki wzdłuż Strymonu do Krenides. Tam wypoczniemy.

— Przejdziemy w dolinę Aksiosu — rzekł krótko Filip. — Nad tym radźcie.

Milczeli. Wpadnięte oczy i szerniała twarz Filipa wskazywały, że i jego niespożyte siły mają granice. Ale nie jego upór. Parmenion odezwał się niepewnie:

— W takim razie śłać nam do Aleksandra. Niech z posiłkami i żywnością wyjdzie naprzeciw.

Wodzowie patrzyli pytająco na króla, który siedział ze ściągniętą brwią i opuszczonymi oczyma. Gdy milczenie się przedłużało, Parmenion wstał, by wydać rozkaz.

Domyślali się i inni, dlaczego Filip nie chciał wracać do kraju jako pobity. Gdy podniecony Klejtos pierwszy przybiegł z wieściami od Parmeniona do Aleksan-



dra, domagając się gwałtownie, by natychmiast z posiłkami ciągnął do Tracji, królewicz odparł:

— Ojciec wie, dlaczego odesłał mnie z Peryntu i dlaczego teraz nie on mnie wzywa.

— Ale wiesz i ty. Na przepadłe zostawimy największych wodzów Macedonii?! — wybuchnął Klejtos. Aleksander jednak odparł chłodno:

— Mnie czy ciebie ojciec rządcą tu ustanowił?

— Wybacz — powiedział Klejtos zmieszany. — Mijuję twojego ojca i ciężko mi myśleć, że wielki król, ranny i chory, wystawia się na trudy i niebezpieczeństwa, gdy my tu ucztuujemy.

— Nie tylko ucztuujemy — odparł Aleksander. — Ale nie mam za złe twej chęci. Królowie potrzebują oddanych ludzi i ja ich kiedyś będę potrzebował. Na ciebie też liczę — dodał łaskawie. — Przygotuj jazdę do odejścia, a ciebie na ucztę zapraszam i nie rób sobie z tego wyrzutów. Król też ucztuje, ilekroć trafi się sposobność — zakończył z uśmiechem.

Aleksander lubił i cenił zapalczego Klejtosa. Zamianował go strategiem i podarował mu wspaniałą hełm, dzieło słynnego płatnerza Teofila Ateńczyka. Zapowiedziana biesiada jednak inny cel miała niż uczczenie młodego wodza. Na życzenie matki obsadziwszy wiele stanowisk w nowo utworzonych oddziałach jej zausznikami, chciał by przechodząc ze służby Afrodycie w służbę boga wojny zżyli się z resztą towarzyszy, a zwłaszcza z Klejtosem, który nie taił swego dla nich lekceważenia. Sam Aleksander nie cenił również wytwornisiów z dworu królowej, woniejących pachnidłami, którzy obyciem i wykształceniem przewyższali chowaną na wsi lub w obozie młodzież, w Pelli rej wodzili w zabawach dzięki znajomości tancerek i fletnistek oraz domów rozpusty, począwszy od nor portowych do przybytków rozkoszy najwytworniejszych heter. Ściągały do Pelli z całej Hellady jako chętne ofiary podbojów Filipa, szastającego złotem z rozrzutnością prawdziwego dorobkiewicza, nie traciły jednak czasu także pod jego nieobecność.

Ucztuując z dostojnikami i artystami, Aleksander przestrzegał wystawności i ceremoniału. W towarzy-

stwie młodzieży wojskowej, wzorem ojca, zezwalał jednak na żołnierską swobodę i poufałość, uważając, że najprędzej zbliżają ze sobą ludzi. Sądził zaś, że gwałtowny i nienawykły ukrywać swych myśli Kleitos łatwiej zdoła się z nowymi towarzyszami uładzić przy winie niż wśród trudów wojennych, gdzie zniewieściałość ich mogła budzić tylko jego pogardę.

Wśród tłumu, który o zachodzie słońca wypełniał zaczął megaron pałacu, z łatwością rozróżnić można było dwa odłamy, nie tylko z zachowania, ale także ze stroju. Gdy gotowani dla wojny od dzieci młodzi, hetajrowie Aleksandra nadchodzili przybrani w krótkie chlamidy do konnej jazdy, często woniejąc końskim potem, wytwornisie strojni byli w długie lniane chitony, barwnie haftowane, skropione pachnidłami Sydonu i Tyru. Niejedną noc spędziwszy na wspólnej rozpuście i pijaństwie, mieszały się teraz między sobą, ale rozmowy, które wszczynali, wskazywały, że to jest jedyna więź, jaka ich łączy.

Z hetajrów Aleksandra na wzór wykwintnisiów przybrany był tylko Peukestas z Miezy. Tam zawarł znajomość z królewiczem, a pod Peryntem odznaczył się męstwem. W różowym chitonie, bogato ozdobionym wyszyciami, z pierścieniami na palcach, przy swej dziecinnej niemal twarzy wyglądał na dziewczynę. Lubił być powszechnie, ale drwiono z jego skłonności do strojów, on zaś odgryzał się wesoło, a kaśliwe śmiechy rozbrzmiewały dokoła niego. Potężny Krateros, roztrąciwszy towarzyszy tłoczących się przy Peukastacie z drwiącymi docinkami, ogarnął go ramieniem i pocałował, po czym splunął i odtrąciwszy go, rzekł:

— Na Heraklesa, pomyliłem się. Myślałem, że to Peukaste.

Peukaste była słynną z urody heterą, której piękno uwiecznił Apelles, a o względy jej ubiegali się wszyscy. Wyrachowana niewiasta wolała jednak czekać na króla, a tymczasem polowała na Aleksandra, może dlatego, iż drażniło ją, że on jeden oprzeć się umie jej urokom. Uparła się, że zdobędzie nietykalnego półboga. Każdy zaś wiedział, że Krateros bezskutecznie trwoni pieniądze na ubieganie się o jej względy. Elegant Gor-

gatas, który przysłuchiwał się przekomarzaniom, powiedział z niezdrowym błyskiem w oczach:

— Ja wolałbym się tak pomylić...

Wszyscy zrozumieli, co miał na myśli, bo znany był ze swego wyuzdania, które wraz z attycką kulturą przesiąkać zaczynało do Macedonii. Peukestas zmarszczył gładkie czoło i, równie szybki w ręce, jak w języku, rąbnął:

— Gdy Krateros dostał po gębie od Peukasty, to się jeno obtarł, ale gdybyś ty oberwał od Peukastasa, to byś zęby zbierał. Nie pomyliłbyś się po raz drugi.

Obecni ryknęli śmiechem. Cios był podwójny, ale dobroduszny Krateros śmiał się razem z innymi. Gorgatas również usiłował się uśmiechnąć, by w żart obrócić swe odezwanie. Peukestas bowiem patrzył na niego zaczepnie i widać było po nim, że nie trzeba go prosić, by dał poznać rozpustnikowi różnicę, a i towarzysze jego, rozbawieni widocznie, spodziewali się widowiska.

W tej chwili jednak ruch się uczynił, bo wszedł Aleksander z Klejtosem przybranym jak do boju, z purpurową kitą stratega na hełmie, oznaką swej nowej godności. Mimo to Antygonos z Pallene, chociaż wiedział, że Aleksandrowi zależy na zbliżeniu między starymi a nowymi towarzyszami, gardząc wytworniami, nie chciał porzucić sposobności dokuczenia im. Ozwał się więc na cały głos:

— Prawda, że Peukastas podobny do Ganimeda. Ale ty — zwrócił się do Gorgatasa — tak podobnyś do Zeusa jak żółw do łabędzia.

Nowy wybuch śmiechu powitał jego odezwanie. Mimo więc iż Hefajstion widząc, że Aleksander zmarszczył czoło, trącił Antygonosa ostrzegawczo, ów dodał:

— Każę Apellesowi wymalować Ledę z żółwiem, który będzie miał twój pysk.

Antygonos, straciwszy w obronie Aleksandra pod Peryntem oko i mając na zawsze zeszpeconą twarz, nie zważał na jego obecność; Peukastas jednak, który cieszył się niezwykłymi względami królewicza i byłby wszczął zajście, bał się narazić Aleksandrowi i by odwrócić uwagę, rzekł ze śmiechem do Klejtosa;

— Z czerwonym grzebieniem wyglądasz zgoła jak kogut. Zazdroścę ci. Pewnie nawet sypiać będziesz w hełmie.

Lubił Klejtosa, lecz śmieszyło go, że na ucztę przyszedł z oznaką nowej godności, o której i tak wiedzieli wszyscy. Antygonos roześmiał się:

— A ja nie zazdroścę. Im większy dostojnik, tym więcej musi tancerkom płacić.

Znowu rozległy się prześmiejki, Gorgotas jednak, dotknięty do żywego, odgryzł się teraz:

— Z takim pyskiem jak twój możesz nie myśleć o dziewczkach, chyba że będziesz miał tyle złota, co król. Może i ciebie wtedy nazwą „Ojfoles”.

Aleksander w milczeniu, niechętnie przysłuchiwał się przekomarzaniom, teraz jednak oczy jego błysnęły gniewnie, zanim jednak coś rzekł, Klejtos, który uśmiechnął się pobłaźliwie na dogryzki towarzyszy, przyskoczył do Gorgatas. Na jego suchej twarzy widniał gniew, żyły nabrzmiały mu na czole i rzekł zduszonym głosem:

— Ty wiesz, że nazywamy króla „Ojfoles”, Ale nie wiesz, że zwiemy go także „Androfonos”. A takiego jak ty „Andropornos”.

Gorgatas zaczerwienił się po białka oczu, ale lękał się zadrzeć z Klejtosem, znanym z gwałtowności. Zacinając się ze zmieszania, by się usprawiedliwić, odparł:

— Wiem, że przezywacie wszystkich, ale ja mówiłem o Antygonosie.

— I on, jak Filip, oko stracił w walce. A ty masz gębę gładką, póki cię po niej nie zdzielię...

Odwinął kościstą pięść, a Gorgatas odwrócił się zasłaniając twarz ramieniem. Klejtos kopnął go potężnie, aż elegant przewalił się przez stojące za nim kline, lecz zerwał się zaraz i wybiegł z megaron. Peukestas, śmiejąc się, zawołał:

— To nie była gęba Gorgatas! Teraz ty pomyliłeś się, Klejtosie.

Wybuch śmiechu powitał wyjaśnienie. Roześmiał się nawet Klejtos, którego gniew równie nagle, jak przyszedł, minął. Sam tylko Aleksander stał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, po czym, nie rzekłszy słowa,

wyszedł, a za nim jeden po drugim wymykali się wykwinisie.

Klejtos zdjął hełm i jakby cokolwiek zmieszany gładził niesforną, czarną czuprynę. Widocznie jednak mimo gniewu wiedział, co robił, bo machnął ręką i rzekł do Hefajstiona:

— Aleksander gniewny, zem mu gości przepłoszył, ale odjadę spokojny, że nie będą się tu panoszyć figurki królowej.

— Masz szczęście, że i on ich nie lubi — odparł Hefajstion. — Ale jeszcze mniej lubi, by mu się mieszać w jego zamierzenia. Na przyszłość bądź ostrożniejszy.

Pozostali towarzysze jednak innego byli zdania, gdyż obkoczyli Klejtosa, krzycząc, śmiejąc się i przypijając na cześć jego „zwycięstwa”, nowej jego godności i na pomyślność wyprawy. Sprowadzili tancerki i fletnistki, po czym, podpiszy sobie, śpiewali, tańczyli, aż cały zamek trzął się od wrzasków.

O świcie Klejtos wylał sobie na głowę amforę wody, włożył hełm i krzyknął:

— Ostatni krater za króla! A potem na koń!

Wypili z okrzykami i chwyciwszy Klejtosa, nieśli go jak zwycięzcę wśród śpiewów i wrzasków przez groblę ku łące nad Borborą, gdzie gotowe już do drogi stawały szeregi jazdy.

Królowa zaraz rano dowiedziała się o zajściach na uczcie i właśnie miała posłać po syna, gdy sam nadszedł. Z chmurną twarzą wysłuchał jej wyrzutów, a na żądanie ukarania Klejtosa odparł wymijająco:

— Strategów może karać tylko król, a do króla z tym żądaniem ślać chyba nie będziesz. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, do czego zmierzasz, ale takimi ludźmi, którzy się pozwalają kopać jak psy, nie osiągniesz niczego.

Odwrócił się i wyszedł. Królowa siedziała ze ściągniętą brwią. Milcząca dotychczas Eufemele odezwała się:

— Nie bądź gniewna, słusznie ci rzekł. Darmozjadów możesz trzymać po to, by wiedzieć, co ludzie Filipa mówią po pijanemu u heter. Ale do rządzenia szukaj takich, co wpływ mają w kraju. A takim będzie przede wszystkim twój syn, bacz, by jego nie spłoszyć.

Król zbyt długo wyzywa los, który zda się już odwracać od niego. Bądź jeszcze cierpliwa, przyjdzie twój czas. A tymczasem zbieraj zasoby, przydarzą się zawsze, i nie żałuj ofiar Hekacie.

— Masz słuszność — odparła królowa. — Nie ma dnia, bym się nie modliła do bogów podziemnych, by zniszczyli rozpustnika...

— Możesz im nawet dopomóc — zaśmiała się stara. — Ale o tym nie musi nawet wiedzieć twój syn, skoro wiedzieć nie chce.

Z wysokiej przełęczy wzrok Filipa zbiegał w dół po skalnych zboczach i napawał się zielenią doliny Aksiosu, który srebrną nicią wił się u stóp górskiego pasma, gubiąc się w sinawej dali, w żyznych równinach Ematii, stanowiących kres krwawej drogi. Długi wąż wojsk wciągał się mozolnie na ostatnie wzniesienie i rozsypywał po stokach górskiego siodła. Żołnierze z westchnieniem ulgi zrzucali z bark brzemiona, a ciężar spadał im z serc. Kto nie zostawił kości w skalistych, ponurych wąwozach, sycił oczy widokiem ojczystego kraju, leżącego hen w dole, za błękitną mgielką. Gdyby skrzydeł od ptaka pożyczyć, można by już spocząć pod ojczystą strzechą, nim słońce, które pochyliło się z południa, schowa się za widnokretem, zamkniętym postrzępioną linią pasma gór Barnos. Ci, których kolebki stały na ich zboczach lub dalej jeszcze — w Oretis, wiedzieli, ile dni drogi dzieli ich od domów, ale miło choć okiem lecieć ku nim po latach spędzonych na obczyźnie. Trud, jaki jeszcze czeka wychudłe ciała, zda się miły, a niczym wobec już poniesionych. Choć znużeni, biegliby jak konie czujące bliskość stajni, z zazdrością jednak patrzyli na Agrianów, którzy są już na progu własnego kraju. Ale wszystkich czeka obfitość jada i spokojny sen na oba oczy, nie przerywany wrzaskami mordujących się w ciemnościach ludzi.

Już ostatnia noc przyniosła przedsmak wypoczynku. Król czując, że nieprzyjaciel gotuje się do stanowczej

rozprawy, zanim wojska wyjdą z gór, kazał Langaroso-  
wi bezdrożami wyprzedzić nieprzyjaciół. Sami wpadli  
w zasadzkę, którą gotowali Macedończykom, a ocaleli  
jeno ci, co na czas zdołali wspiąć się na skaliste zbo-  
cza, i to niejednego strąciły w dół pociski agriańskich  
łuczników. Wojska spędziły noc spokojnie, niejeden  
spał z ciepłym jeszcze trupem pod głową. Nim rozpro-  
szony nieprzyjaciół zdoła się zebrać, będą już bezpiecz-  
ni. Nieraz, nad siły utrudzeni, sarkali na króla, że wy-  
stawia ich na zgubę, że szpik wydusza z kości. Teraz  
patrzyli na niego z uwielbieniem. Siebie najmniej szcze-  
dził, dzielił z nimi brzemień walk tak samo, jak po  
zwycięstwie pijaństwo i rozpustę.

Rozmawiali obiecując sobie niedalekie już rozkosze,  
a niejeden zasypiał w dogrzewającym jeszcze słońcu,  
gdy dociągnęła tylna straż i Parmenion zbliżył się do  
króla mówiąc:

— Ruszajmy. Konie nie pojone od rana, szkoda  
zmarnować tę resztę, z takim trudem przeprowadzoną.

— Spocząłbyś i nam dał spocząć — rzucił król  
z uśmiechem.

— Ty możesz spoczywać — odparł wódz. — Nim ca-  
łe wojsko ruszy, zdążysz się nawet przespać.

— Nie zdążę, bo idę z przednią strażą.

— Pozwól, że pójde ja.

— Teraz? — zaśmiał się Filip. — przyrzekłem woj-  
sku, że je do kraju przeprowadzę.

— Pływakowi najczęściej sił braknie przy brzegu.  
Słaby jesteś — odrzekł Parmenion z troską patrząc na  
wychudłą twarz i wpadnięte oczy króla. Myślał, że  
Filip zawsze i wszędzie niepotrzebnie nadużywa swych  
sił, a młodość ma już za sobą. Nawet z odniesionej  
rany leczył się na koniu.

— Zobaczysz, czym słaby, gdy wrócimy do Pelli —  
odrzekł król.

Pokazał białe zęby w rozpustnym uśmiechu i ciągnął

— Zbyt jesteś ostrożny i na wojnie i w życiu. Ja  
będę pił, póki jest co, i bił, póki jest kogo.

Parmenion odparł:

— Tylko patrzeć Aleksandra, który winien wyjść  
naprzeciw. Wtedy będziemy pewni, że droga przed na-

mi wolna. Ale teraz ostrożność nie zawadzi. Dlatego pozwól przodem iść mnie, skoro sam jesteś znużony.

— Zręda z ciebie — rzekł król. — I po coś wzywał Aleksandra — dodał marszcząc brwi. — Ja pójdę przodem z Agrianami, którzy tu już znają kraj. Ty zaś doprowadź do ładu resztę wojska i ciągnij za mną.

Wstał i skinąwszy na pacholka, który trzymał mu konia, ruszył, a za nim straż przyboczna. Parmenion widział, jak król rozmawiał z olbrzymim Langarosem, który podniósł swych łuczników, i zakosem jęli się opuszczać po stromym zboczu. Poszedł wykonać rozkaz i wkrótce przełęcz opustoszała.

Filip prawdę powiedział Parmenionowi. Po blisko trzech latach trudów i niebezpieczeństw, po przejściu ciężkiej choroby i odniesieniu dwóch ran, wracając do domu, jeśli myślał o wypoczynku, to wśród pijackich orgii w towarzystwie opojów i heter. Tylko to mogło złużyć napięcie, w jakim żył bez przerwy. Jak spadająca gwiazda musi lecieć, by świecić. Wstrzymana staje się natychmiast martwym głazem. Starość?! Filip otrząsnął się z odrazą. Jak Ateas chciałby lec w walce w dziewięćdziesiątym roku życia. Aż do tego czasu chce zdobywać kobiety i kraje. Już teraz myśl jego krążyła dokoła nowej wojny, która go czekała. Gdy pokonał Ateny, reszta Hellady podda się bez walki. Ale przykład Bizancjum jasno wykazywał mu, że miast z morskim zapleczem i silniejszą flotą, w skalistej i górzystej Attyce, pokonać nie zdoła, a nie może po raz drugi podjąć bezpłodnego, przewlekłego wysiłku. Wroga należy wywabić w równiny, na których tylekroć już zwarta falanga i ruchliwa jazda Filipa okazały się niepokonane.

Starość? Nieraz już bardziej bywał znużony, a nie przychodziła mu na myśl. Po raz pierwszy dopiero pod Peryntem, gdy wyczerpany raną i chorobą przyglądaj się musiał bezczynnie, jak walczy syn jego, niemal pacholę. Nagły gniew na Parmeniona ogarnął Filipa, Wódz, od niego starszy, chciałby go wyręczać jak nie-



dołęgę. Nie proszony też wezwał Aleksandra. Po to chyba, by wojska krzyczały na cześć królewicza!

W królu kłębiły się uczucia splątane tak, że ich rozwikłać nie umiał: podziw i zazdrość, przywiązanie i niechęć. Zarazem chciałby syna ujrzeć jak najprędzej i nie chciał jego pomocy. Poradzi sobie sam, zawsze i wszędzie. Przyspieszył krok konia i wysunął się na czoło.

Należało zresztą pospieszać. Szli otwartą połonią, ale trzeba zanurzyć się w leżący poniżej las i przebyć go, zanim zapadnie ciemność. Nie sądził, by nieprzyjaciel po wczorajszej porażce zdołał się już zebrać, ale przezorność doświadczonego wodza nakazywała ostrożność. Gdy natrafili na strumień zmierzający do Aksiosu, król skręcił w jego koryto, tworzące szerszy pas, wolny od lasu. Widoczność była lepsza i droga łatwiejsza, choć miejscami zwalone pnie i narzucone głazy zamykały ją i utrudniały pochód.

Skłon stawał się łagodniejszy. Strumień przestał skakać po skalnych progach, skręcił na północ i biegł pod urwiskiem, poniżej jednak od czasu do czasu otwierały się polanki okryte już świeżą trawą i wiosennym kwieciem. Słońce pochyliło się i król rozglądał się szukając miejsca na obóz. Wzdłuż strumienia wiódł jakby ślad drogi, do Aksiosu nie jest już chyba daleko.

Król przystanął i obejrzał się za idącym z tyłu Langarosem, by zasięgnąć jego zdania, czy przed zapadnięciem zmroku zdążą zejść w dolinę, gdy przedwieczorny spokój pękł jak od nagłego uderzenia burzy. Las zatrzęsł się od wrzasków, które zwielokrotnione echem przewalały się jak grom po górach. Jednocześnie ze wszystkich stron wyroiły się gromady dzikich wojowników. Odziane w skóry postaci, zbrojne w łuki i oszczepy, biegły przez polankę, zsypywały się ze skalnego urwiska, brnęły przez strumień i rwały z wrzaskiem ku gromadce, wśród której świetna zbroja Filipa zdradzała wodza.

Król dobył miecza, ale straż przyboczna, otoczywszy go, przecięła ku Agrianom, obalając po drodze wrogów. Agrianie jednak; skupiwszy się i szyjąc z łuków w gęstwą nieprzyjaciela, cofali się ku głównym siłom, a ciżba napastników otoczyła straż Filipa. Ginęli pod

ciosami pancernych olbrzymów, ale po trupach poległych darli się inni z zajadłością wilków i rozerwali królewską drużynę.

Król spał konia i rzucił się na najbliższych, by się przebić, gdy nowe wrzaski rozległy się zewsząd. Nie czas było patrzeć, co się stało, gdyż drogę zastąpił Filipowi olbrzymi wojownik. Król zamachnął się do, cięcia, ale chybił, a przeciwnik pchnął go z potworną siłą oszczepem. Cios ugodził Filipa w nogę, złamał goleń, i ostrze wbiło się na łokieć głęboko w pierś konia, który padł na miejscu z przygwożdżonym do siebie jeźdźcem. Czarne płaty zawirowały przed oczyma króla; nie widział już, jak otoczeni ze wszystkich stron napastnicy, zepchnięci w strumień, barwili swą krwią, wodę, a nad królem, zeskoczywszy z konia, stanął Aleksander i osłaniał leżącego swą tarczą. Gdy dokońrzywszy rzezi, nadbiegli towarzysze, Aleksander z ich pomocą wydobyl spod konia Filipa i ułożywszy na posłaniu z mchu, opatrywał mu złamaną nogę.

Król nie wiedział o niczym. W ciemności, jaka go ogarnęła, załśniło coś niepewnym, zielonym blaskiem.. Jakby para oczu, które zbliżały się i rosły rozjarzając się, aż rozlały się w zielone światło ogarniające cały świat, po czym jęło przygasać jak ślad spadającej gwiazdy pod Bizancjum. Znowu zapadła przerażająca ciemność. Ale przez zamknięte powieki przeświecać jęło światło, tym razem czerwone. Król otworzył oczy i zacerpnął oddechu. Przy blaskach ogniska dojrzał pochyloną nad sobą, znaną mu twarz w hełmie, po której igrały iskierki. Nie był pewny, czy to jawa, odechnął głębiej. Straszliwy ból przywołał go do przytomności. Przez zaciśnięte szczęki wyszeptał:

— Synu! To ty?

— Ja, królu! Bogowie pozwolili mi przybyć w porę, by cię ocalić — usłyszał głos Aleksandra.

Filip przymknął oczy. Nie syn ojca, lecz żołnierz wybawił króla. Wyciągnął rękę do Aleksandra i szepnął:

— Dziękuję ci. Gdyby mi ramię dopisywało, ocaliłbym się sam. Niedołęstwo potrzebuje podpory

— Jak możesz tak mówić — odparł Aleksander ży-

wo. — Nie żałuj ran, które nam wszystkim, na każdym kroku będą przypominać twoje męstwo.

Król nie odrzekł nic. Przeżuwał ból i gorycz. On jest ofiarą walki, a bohaterem jej znowu Aleksander.

Przygnębienie jednak nie zostawiło na Filipie większego śladu, niż ptak w powietrzu. Gdy nazajutrz lekarz Ajetes składając nogę króla, kiwał nad nią głową, Filip odezwał się szorstko:

— Dziwisz się, jakbyś rany nigdy nie widział, zamiast się cieszyć, że znowu zarobisz parę talentów. Żyjesz przecie z cudzej krwi jak giez.

— Myślę jeno, że czas by ci zacząć się szanować, królu.

— Tedy myślisz głupio. To samo zresztą pisał do mnie Isokrates. Lubię staruszka, który za darmo dmucha w moje żagle, szkoda tylko, że dech ma słaby. I ciebie lubię, bo nie pierwszy raz mnie leczysz i pewnie nie ostatni, jeżeli dobrze to zrobisz. Natychmiast muszę być w Pelli.

Jakoż wieści przywiezione przez Aleksandra były naglące. Demostenes odsunął od władzy stronników Filipa, Eubulos stracił na rzecz Likurga urząd skarbnika, a z nim razem możność wpływania przez uczy i rozrywki z funduszu teatralnego na ateński demos. Bardziej jednak zastanawiające było, że Demostenes nie tylko ważył się postawić wniosek o zawieszenie tego funduszu na czas wojny z Filipem, ale nawet zdołał wniosek swój przeprzeć. Usłyszawszy o tym, król powiedział drwiąco:

— Ateny przestaną karmić kota jego własnym ognem.

Śmiał się, ale nie lekceważył objawu wzrostu antymacedońskich nastrojów. Ateński biedak dla wojny z Filipem dobrowolnie zrzekał się zabawy i kawałka mięsa, które jadał tylko z tego funduszu w święta i uroczystości. Demostenes umiejętnie potrafił wykorzystać potaniecie zboża w wyniku klęski Filipa pod Bizancjum. Filip wiedział, że sprawa zmierza do rozstrzygnięcia.

Toteż przybywszy do Pelli, choć przykuty do łoża, czasu nie tracił ni w dzień, ni w nocy. Gorączkę chło-

dził winem, a nowy związek z Melą, córką króla Getów, zawarty w zakład przymierza dla utrzymania buntowniczych Tryballów, słodził mu ból rany. Pogodził się już z tym, że okaleczony nigdy już nie będzie zdolny współzawodniczym z synem o pierwszeństwo w walce. Ale jeśli Aleksander jest Achillesem, to Odys dzieckiem jest wobec Filipa. Słuchał sprawozdania Antypatra z wypadków w Helladzie i wracało mu zadowolenie z siebie. , Niecierpliwie oczekiwał chwili, kiedy Ajetes pozwoli mu opuścić łożo. Znowu gotował się do wystąpienia w roli „obrońcy bogów”

## ROZDZIAŁ XVII

Gdy wojska Filipa brnęły jeszcze w śniegach gór Haemos, położone u stóp skalnego urwiska Fedriadów, na południowym stoku Parnasu, Delfy święciły już powrót do hiperborcjów promiennego boga. Ze wszystkich stron Hellady ciągnęły poselstwa z darami dla Apollina, pylagorowie państw zasiadających w Kadzie Amfiktionów, gromady pielgrzymów po wróżbę, kupcy w interesach, przekupnie z towarem, śpiewacy, poeci i muzycanci z instrumentami, tancerki, złodzieje i paśterze ze stadami ofiarnego bydła. Obwiedziony murem Święty Okręg Temenos z trzech stron obsiadło niepełna tysiąc mieszkańców liczące miasteczko, które gromady przybyszów wypełniły po brzegi, rozlewając się poza nie setkami namiotów i spływając aż do potoku Pleistos, nabrzmiałego jeszcze wiosennymi wodami. Siódmego dnia delfickiego miesiąca Bysios tłumy, głowa przy głowie, zatłoczyły do ostatniego miejsca obszerny plac Hermos przy Drodze Świętej i w nabożnym skupieniu patrzyły na misterium, przedstawiające zwycięstwo boga jasności nad smokiem Pytonem. Zawody śpiewaków i muzyków uświetniły uroczystość, po czym tłumy mówiącej wszystkimi narzeczami Hellady, zgodnie odśpiewawszy hymn ku czci Fojbosa, zaczęły się rozchodzić. Młodzież ciągnęła na stadion, górujący nad Świętym Okręgiem, lub na hipodrom nad Pleistosem, pokutnicy do tryskającego ze skalnej szcze-

liny Fedriadów świętego źródła Kastalia, by oczyścić się w nim. Inni czekali przed domem kapłana na otrzymanie wyroczni, większość jednak, przybyła tu po raz pierwszy, zwłaszcza mieszkańcy dalekich wysp i wybrzeży Azji Mniejszej, pod kierunkiem przewodników zwiedzała Święty Okręg, dziwiąc się tłumowi posągów, liczniejszych niż mieszkańcy Delf, lasowi kolumn i wspaniałym skarbcom poszczególnych miast, od wieków gromadzących wszystko, co było najpiękniejszego w Helladzie. Ze złożonych tam wotów odczytać można było jej dzieje nie gorzej niż z napisów na pelasgijskim murze, podtrzymującym stromą szkarpę nad Świętą Drogą, wiodącą do świątyni Apollina.

Sama świątynia jednak od trzydziestu czterech lat wciąż jeszcze była w odbudowie. Gdy ongiś pierwszą zniszczyło trzęsienie ziemi, Alkmeonidzi bez trudu zebrali w Helladzie trzysta talentów, za które w ciągu ośmiu lat wybudowali nową, jeszcze wspanialszą. Teraz nie pieniędzy brakło w Helladzie, lecz hojności i pobożności, a skarbiec świątyni w czasie drugiej wojny świętej opróżnili bezbożni Focyjczycy. Gdy zaś od tego czasu, jak mówił Demostenes, natchnieniem wyroczni przestał być Apollo, a stał się Filip, małały też wpływy z wyroczni, u której szukali rady maluczcy i łatwowierni, a szczodroblivość miast helleńskich odżywała tylko wówczas, gdy chodziło o ukłucie współzawodnika. Niemal jedynym funduszem, jaki miał służyć odbudowie, było nałożone na Focyjczyków odszkodowanie w wysokości sześćdziesięciu talentów rocznie. Trudno było jednak wydusić taką sumę ze zniszczonego dziesięcioletnią wojną świętą nieszczęsnego kraju, któremu Filip z mocy wyroku Amfiktionów wyciął młodzież, zburzył miasta i zabrał broń i konie.

Promienisty bóg okrutnie obszedł się z ludem, u którego podobało mu się założyć swą siedzibę. Ongiś należało tu do Focyjczyków wszystko i bogacili się z dochodów portu, obdzierając pielgrzymów tak, że niewiele pozostawało dla boga, który też wywarł swą zemstę, po pierwszej wojnie świętej przyłączając do delfickiego okręgu żyzną dolinę Krissy wraz z portem Kirra. W rzeczywistości jednak zawładnęli tym Lokrowie

z niedalekiej Amfissy, opanowując przez to jedno z dwóch przejść z północnej do południowej Hellady, odbudowali port i pobudowali w dolinie osiedla, zaś bóg przymykał na to promieniste oko, a może tylko nie miał przez kogo upomnieć się o swoją krzywdę, pylargowie bowiem i hieromnemoni Amfiktionii otrzymywali słuszny udział w dochodach.

Teraz jednak pylagor Ateński, Ajschynes, jechał na zwyczajne wiosenne zgromadzenie Rady zaopatrzonej w złoto Filipa i jego zapewnienie, że z wdzięczności za hojność, z jaką bóg odplacił mu za pomoc w drugiej wojnie świętej, gotów jest wziąć na siebie ciężar trzeciej.

Ajschynes nie był poślednim aktorem, za jakiego uważał go Demostenes, ale powierzona mu rola łatwa nie była. Filip jeszcze wojował gdzieś w Tracji, Ajschynes nie mógł działać wbrew innym pylargom ateńskim oraz hieromnemonowi Diognetosowi z Anaflintos. Amfisa wprawdzie sprzyjała znienawidzonym w Atenach Tebom, ale i stosunki Teb z Filipem popsuły się od czasu, gdy odebrał im Nikaję i Echinos. W obliczu wojny z Filipem Ateny winny były raczej szukać zbliżenia z Tebami. I Tebanie zdali się skłaniać ku temu, udając, że nie widzą złotej tablicy, jaką Ateńczycy umieścili w przedsionku odbudowującej się świątyni, z napisem: „Z łupów na Medach i Tebanach, gdy walczyli przeciw Helladzie”.

Obrażony bóg jednak, zda się, zaślepił Lokrów: by się przypocholebić Tebanom, nie proszeni, wnieśli o ukaranie Aten grzywną pięćdziesięciu talentów za umieszczenie tego napisu, a co gorzej, zarzucali w uzasadnieniu, że Ateńczycy, jako wyklęci za pomoc udzieloną bezbożnym Focyjczykom, nie mają prawa brać udziału w uroczystościach ani zasiadać w Radzie.

Gdyby rozważny hieromnemon ateński Diognetos był obecny, skończyłoby się zapewne na przegłosowaniu wniosku, który sami Lokrowie postawili jedynie po to, by wytknąć Atenom, że i im zdarzało się wojować nie po tej stronie, po której nakazywała nabożność i dbałość o dobro Hellady. Ale Diognetos i pozostali pylagorowie ateńscy leżeli złożeni złą gorączką, Ajschynes zaś

uchwycił się wniosku jak kija wsadzonego w mrowisko, tak że przewodniczący Rady, Kottypos, zmuszony był odroczyć dyskusję do następnego dnia.

Ajschynes zażądał publicznego posiedzenia i nazajutrz zjawił się w teatrze upoważniony przez Diognotosa, by przemawiać w obronie Aten. Podniecenie jeszcze wzrosło, wśród gromadzących się tłumów Lokrowie nie mieli życzliwych, wszyscy bowiem odczuwali ciężar ich zdzierstwa.

Ajschynes, dawny aktor, dobrze wiedział, jak należy przygotować występ, by osiągnąć zamierzony skutek. Jeden dzień zwłoki wystarczył przebiegłemu a bez skrupułów człowiekowi, by z kapłanami — pozbawionymi przez zdzierstwo Lokrów z Amfissy większości dochodów — ułożyć plan, jak poruszyć niechętne Lokrom tłumy, a panowanie nad wypadkami wyrwać z rąk hieromnemonów i pylagorów. Chociaż bowiem ci przeważnie pozostawali również na żołdzie Filipa, niemniej i w dochodach Amfissy mieli znaczny udział, na skutek czego obecny stan odpowiadał im najlepiej. Że jego obrona więcej szkody przyniesie rodzinnemu miastu niż lekkomyślny wniosek Lokrów, o to Ajschynes nie dbał. Nie dbał nawet o odpowiedzialność, jaką to nadużycie stanowiska mogło ściągnąć na niego samego. Filip był hojnym mocodawcą i umiał wynagradzać takie poświęcenia.

Toteż wstępując nazajutrz na orchesterę, by przemówić do Rady wobec zgromadzonych w teatrze tłumów, Ajschynes pewny był swego. Byстрыm okiem ogarnął teatr, by sprawdzić, czy wszystko przygotowano jak należy, i czy potakiwacze są na miejscu. Ukrywając drwiący uśmiech, przybrał przygnębioną postawę i przemówił głosem cichym, lecz wyraźnym:

— Omal nie rozpocząłem zwykłym wstępem, że przypada mi zaszczyt przemówienia tu, wobec całej Hellady, imieniem miasta, które dotychczas przez wiele wieków było jej chlubą. Z tego miejsca widzę — podniósł patetycznie rękę, wskazując na położony poniżej skarbiec Ateńczyków — wiekopomne dowody jego chwały, która zarazem była chwałą całej Hellady. Tam, na kolumnie platejskiej, wykute są imiona trzydziestu je-



den plemion, które sławę tego zwycięstwa dzielą z Atenami. Nie ma tam Lokrów z Amfissy, ale mniejsza z tym. Nie o tym chcę mówić, wszak oni oskarżają, a my jesteśmy oskarżeni — uśmiechnął się boleśnie — lecz wykazać, że nigdy nie było żadnej wielkiej i chwalebnej sprawy, w której nie miałyby udziału moje miasto ojczyste, Ateny.

Przerwał, jakby wzruszenie odebrało mu głos, i z opuszczonymi oczyma słuchał potakującego szmeru tłumów. Z gestem przygnębienia pochylił głowę, gdy podjął:

— Od pierwszej chwili, gdy sławni przodkowie nasi ustanowili Związek Amfiktionów dla obrony wspólnej helleńskiej świętości, Ateny zawsze w tym celu podnosiły tutaj swój głos, którego z szacunkiem słuchała cała Hellada. Nie z grzywien, ale z pobożnej hojności płynęło tutaj nasze złoto na odbudowę tej oto świątyni, z której głos boga wieścił jego wolę i udzielał porad w naszych wielkich i małych sprawach. Któż mógł przewidzieć, hieromnemoni, że przedstawiciel Aten miast zasiadać pośród was, stać będzie przed wami jako oskarżony? I o co? O świętokradztwo!

Zaśmiał się gorzko i urwał. Tu i ówdzie rozległy się okrzyki oburzenia, jednak Kottypos uspokoił je podniesieniem ręki, Ajschynes zaś dźwignął głowę, wyprostował się i ciągnął:

— Lżej mi mówić, gdy słyszę, że wołająca o pomstę bogów niesprawiedliwość znalazła i u was zrozumienie. Mamy zapłacić pięćdziesiąt talentów za to, że ku przestrodze potomnych uwieczniliśmy na tych świętych murach, które trwalej niż księgi przechowują historię Hellady, że Tebanie walczyli po stronie Medów, gdy my przeciw nim broniliśmy helleńskiej wolności. Czy może to nieprawda?

Teraz wybuchła wrzawa ze wszystkich stron. Głosy sprzeciwu Teban zagłuszył wrzask tłumów, które Kottypos daremnie r siłował uspokoić i wreszcie skinął na heroldów, by przywrócili spokój. Gdy zapanowała cisza, Ajschynes jął ciskać słowa jak kamienie:

— Szczekanie parszywych psów nie zgłuszy głosu prawdy. A wy — zwrócił się w stronę Lokrów, którzy usadowili się przy murze zamykającym od wschodu

Święty Okrąg — sądźcie, że wasze głupie i bezczelne wnioski zdołają go odebrać Atenom? To my dla was jesteście świętokradcami?! Czy dlatego, że widząc grożącą nieszczęsnym Focyjczykom zagładę — może i nie bez ich winy — podaliśmy im pomocną dłoń, narażając się na pamstę Filipa? To mówię ja, którego nazywają jego stronnikiem. Aleć przecie i on, strateg — autokrator naszego Związku, a rzeczywisty zwycięzca w wojnie świętej, ulitował się nad błędzącymi i nie wykonał w całości srogiego wyroku. Czy może i on, którego Związek uwieńczył jako obrońcę bogów i w uznaniu zasług przyznał mu poczesne miejsce w Radzie, jest świętokradcą i bezbożnikiem?

Rozległy się zaprzeczenia i wrogie okrzyki przeciw Lokrom. Ajschynes zaś ponad wrzawę podniósł potężny głos:

— Któż to i po co waży się lepszym od siebie stawić zarzuty? Komu zbyt małą zdaje się kara, jaka dosięgła Focyjczyków, choć oni tylko dochodzili praw do swych dawnych ziem?! Miasta ich zburzone, młodzież wytracona, odebrano im broń i konie. Na jakąż przeto karę zasłużyli ci, którzy te same ziemie, do jakich nigdy nie mieli żadnego prawa, zajęli i dzierżą drwiąc z bogów i ludzi? Kto z nabożnej hojności naszej uczynił sobie źródło wielkich i łatwych zysków, kto z ostatniego obola obdziera pielgrzymów?

— Lokrowie! Lokrowie! — rozległy się wrzaski i nasilały się jak burza, zwielokrotnione echem od Skał Fedriadów. Lokrowie zbili się przy murze w trwożną gromadkę, ten i ów, płochliwszy, przesadzał go i uchodził. Heroldowie daremnie usiłowali uspokoić wzburzony tłum. Przycichło dopiero, gdy Ajschynes podniósł rękę na znak, że jeszcze chce mówić. Nie mówił, ale ryczał:

— Oto dlaczego chcieli odebrać głos Atenom w Radzie Amfiktionów! Bym nie postawił wniosku, aby natychmiast, nie czekając ni dnia, odebrać własność bogów świętokradcom. Ale ja stawiam ten wniosek, a w waszej mocy go wykonać.

Kottypos 'ile miał nawet czasu zarządzić głosowania. Tłum wrzeszczał, ryczał i gwizdał. Lokryjscy posło-

wie, wiaząc, co się azieje, z truaem i meDezpieczenstwem życia ledwie zdołali wymknąć się, a wszystko co żyło, rzuciło się w dolinę. Roznamiętniony tłum wpadł na spokojnych pasterzy i rolników, paląc ich osady, niszcząc winnice, tratując zasiewy, zabijając bydło. Tym samym rozpędem wtargnął do portu Kirra, zniszczył urządzenia i gruzami domów zasypał port, po czym, upojony zwycięstwem, uwięczył głowy wiosennym kwieciem, wśród śpiewów i radosnych okrzyków wracał do Delf.

Z Delf do Amfissy było jednak jeno półtorej mili i posłowie zdążyli już zawiadomić miasto o wypadkach. Na wracające w podniosłym nastroju bezładne gromady wpadły znienacka zbrojne zastępy lokryjskie, bijąc, mordując i biorąc do niewoli, nie mając względu nawet na nietykalność poselską pylagorów. Delfy jakby wiatr wymiótł, Lokrowie zajęli je zbrojną ręką, biorąc sobie wynagrodzenie za doznane szkody.

Kottypos, który zdołał ująć wraz z innymi, natychmiast zwołał nadzwyczajne posiedzenie Rady Amfiktionów w dawnej siedzibie, w świątyni Demetry w Antele koło Pył, celem orzeczenia kary na przestępców.

Zgromadzenie, mimo że nie obeślały go nie tylko Ateny, ale nawet Teby, uznało się za prawomocne, ogłosiło wojnę świętą przeciw Amfissie i pod nieobecność Filipa powierzyło godność stratega Kottyposowi, który nałożył grzywnę na Lokrów, a gdy odmówili zapłaty, a nawet zajęli ponownie port i dolinę Krissy, zbierać zaczął wojska, by zbrojnie przeciw nim wystąpić. Ci jednak nie troskali się tym zbyt wiele wobec sprzeciwu Aten i Teb oraz niechęci innych państw do ponoszenia trudów i kosztów wojny. Wiadomo także było, że Filip wprawdzie powrócił, ale leży ranny, wojska zaś jego wyczerpane długotrwałą wyprawą czeka już wojna z Atenami, która na razie utknęła na martwym punkcie. Gdy jednak nadszedł Bukatios, miesiąc jesiennego zrównania dnia z nocą, a zarazem czas zwyczajnego zgromadzenia Amfiktionów, Filip już przyszedł do zdrowia i zgromadzenie, mimo nieobecności Aten i Teb złożyło Kottyposa z dowództwa, a poselstwo macedońskie wróciło do Pelli, wioząc Filipowi.

godność stratega-autokratora Związku Amfiktionów.  
Teraz już pewne było, że wojna nabierze rumieńców.

Dla Aten wszelako pora nie była odpowiednia do wojennych poczynań. Po żniwach i winobranii pilniejsze zdały się inne zajęcia niż ćwiczenie poborowych roczników, odciągające najlepsze ręce od pracy. W porcie też panował wzmożony ruch, zanim jesienne wichry uniemożliwią żeglugę. Wojska Filipa, mające za sobą ciężką zimę i trudy przewlekłej wyprawy, wymagały wypoczynku i uzupełnienia, i nie sądzono, by zdolne były przedsięwziąć coś przed wiosną.

Zły znak spowodował jednak poruszenie w Atenach: podczas oczyszczenia na misteriach eleuzyńskich przyszła wielka fala i kilkanaście osób utonęło. Wysłano więc do Zeusa tesprockiego blaszki z prośbą o poradę i wróżbę. Do Dodony było znacznie dalej niż do Delf, lecz Pytia nie cieszyła się już zaufaniem Ateńczyków. Czekano na odpowiedź, a tymczasem życie toczyło się w Atenach zwyczajną koleją.

Fokion nie brał w nim udziału, choć wyleczył się już z ran. Siedział samotny w swym wspaniałym domu, czytał, porządkował bibliotekę i rozmyślał. Rzadko nawet kto go odwiedzał, jego stronnictwo bowiem utraciło znaczenie i urzędy, a wódz, który nigdy nie szukał poufałych przyjaźni, teraz uczynił się opryskliwy. Odsunięcie od wpływów po niewątpliwych osiągnięciach w wojnie z Filipem, mimo że wszczętą została wbrew jego doradom, napełniło go gryzącą pogardą zarówno dla ateńskiego motłochu, jak i intryg demagogów. Fokion wiedział, że nie ma w Atenach wódza, który by mu dorównywał doświadczeniem. Odsunięcie go w czasie wojny z Filipem kryło w sobie ostrze podejrzania, że złoto Filipa znaleźć może dostęp i do niego. W swej długiej działalności wojennej Fokion nieraz wynajmował swe usługi obcym, ale zawsze otwarcie. Złota nzbierał dość, ale nie takiego, z którym musiałby się kryć. Sprzedawał swe umiejętności, lecz nie przekor nania.

W jesienny wieczór siedział w perystylu swego domu i rozmyślał gorzko. Znał słabości swego miasta, ale mimo wszystko przywiązany był do niego. Wodzowi takiemu jak Filip przeciwstawiano bankierów, handlarzy i demagogów, którzy dowodzić uczyli się z książek, zastępom macedońskim wykutym w bojach i posłusznym jak maszyny — kramarzy, rzemieślników i rolników, wczoraj oderwanych od swych zajęć, w najlepszym razie najemników, jakich dostarczają za siebie bogatsi obywatele, którzy nie mają zamiaru umierać za ojczyznę; a najemnicy tym mniej za parę min. Potem zaś sądzi się wodzów, którzy przegrali, zamiast sądzić tych, którzy spowodowali wybór. Ale przecież wybiera lud! Demagodzy, którzy nim kręcą, zawsze się mogą zastąpić jego uchwałą.

Fokion uśmiechnął się gorzko i powstał, by wejść do wnętrza domu. Zmrok już zapadał, chłód pociągnął od zatoki. Z portu dochodził wzmożony gwar, niezwykły o tej porze, ale wódz nie zwracał na niego uwagi, bo w tej chwili zastukał młotek przy bramie i rozległy się szybkie kroki po kamiennej posadzce. Fokion zmarszczył się niechętnie. Zamierzał przez odźwiernego oznajmić przybyłym, że jest chory i nie przyjmuje nikogo, gdy zamiast niego ujrzał sąsiadów, Diotimosa i Nauzyklesa. Obaj należeli do stronnictwa wojny, toteż Fokion, który nigdy nie utrzymywał z nimi stosunków, powitał przybyłych chłodno zapytaniem, czy nie mogliby przyjść o innej porze, słaby się bowiem czuje i zamierza udać się na spoczynek.

Diotimos chciał się cofnąć, ale towarzysz jego, widocznie podniecony, odparł:

— Nie przychodzimy w swoich sprawach ani w gościnę.

— Nie zajmuję się żadnymi sprawami, na które wpływu nie mam — rzekł Fokion sucho.

— Sądzę jednak, że zajmuje cię los Aten?

— Teraz doszliście do tego przekonania? Zaiste, musiało zajść coś, czego głupcy nie potrafili przewidzieć i co gadaniem nie da się odwrócić.

Diotimos zachnął się, Nauzykles jednak odparł:

— Może masz słuszość. Filip zajął Kitynion i Elateę.

Twarz Fokiona zmierzchła. Lepiej od innych zdawał sobie sprawą ze znaczenia wypadków. Zajęte miejscowości leżały na granicy Beocji. Jeżeli zawsze wrogie Atenom Teby ruszą razem z Filipem lub choćby przepuszczą Macedończyków, Filip za kilka dni może stać pod murami Aten.

Fokion nic nie odrzekł, jeno kazał sobie podać ciepłą chłajnę i wyszedł wraz z gośćmi. Na drodze wiodącej wzdłuż Północnego Muru wmieszali się w tłum, który mიაł się w popłochu, jakby nieprzyjaciel już zdobył miasto. Z Aten do portu ciągnęły wozy i szli ludzie z tobołami, zamierzając widocznie szukać schronienia na wyspach, z portu sunęły ku miastu gromady po wieści. W zapadającym zmroku potracano się wzajemnie wśród przekleństw i wyzwisk, zlorzcząc bogom i władzom miejskim, których jedyną oznaką działalności były rozświetlające się jedno po drugim ogniska. Pierwsze wici zabłyśły na Akropolu i kolejno zapalały się na Wzgórzcu Aresa, Pnyksie, na wyniosłościach przy bramie Świętej, Pirejskiej i Melityjskiej. Gdy idący wspięli się na zbocze Areopagu, jak ponura gwiazda zabłyśło światło wysoko na Likabettos, po czym jedno za drugim zapalały się na wszystkich wzgórzach Attyki, szerząc popłoch w całym kraju.

W budynkach Rady i kolegium strategów Fokion z towarzyszami zastali tylko służbę, od której dowiedzieli się, że w czasie wieczornego posiedzenia Rady przybył goniec z Amfissy z ostrzeżeniem, że przed kilkoma dniami wojska macedońskie zjawiły się na granicach Focydy, przystępując od razu do obwarowania Elatei. Amfissa obsadziła wiodącą do niej skalistym wąwozem drogę tysiącem najemników Proksenososa i nie wątpi, że zdoła ją utrzymać, niemniej prosi o pomoc, na wypadek bowiem obsadzenia wąwozu przez Filipa, miasto samo utrzymać się nie zdoła.

Wieść wywołała panikę. Urzędnicy zerwali się od stołu, każdy wydawał zarządzenia na własną rękę. Ci wołali o trębacza, by wieść ogłosić w mieście, tamci wysyłali po nieobecnych wodzów, jedni nakazywali zamknąć bramy i nie wpuszczać nikogo, inni znów trzymać je otwarte przez całą noc, by ludność ze wsi z do-

bytkiem mogła się schronić w murach. Zwijano kramy na agorze, płochliwsi ładowali dobytek, by wywieźć go z miasta, pod którego bramami każdej chwili ukazać się mógł nieprzyjaciel, o ile Teby nie stawią oporu. Jenó o obronie nikt nie myślał, jakkolwiek miasto, silnie obwarowane, z zapleczem zatoki i potężną flotą, zdolne było długo i skutecznie bronić się przeciw siłom Filipa, które nie mogły być jeszcze znaczne.

Fokion z gorzką pogardą obserwował panujący wszędzie chaos. Pożegnał Nauzykleśa i Diotimosa, mówiąc, że nie ma z kim i o czym radzić, i szedł z powrotem do domu, przysłuchując się krzykom i narzekaniom. Z niepokojem patrzył, jak tu i ówdzie niewolnicy, pijani winem z piwnic swych panów, którzy potracili głowy, wszczynają zajścia z obywatelami. To był wróg tkwiący w samym środku miasta, niewidoczny na co dzień, ale zawsze gotów wystąpić, ilekroć zachwiała się władza trzymająca go w ryzach. Żywe narzędzie stawało się wówczas żywą bronią, skierowaną w plecy swych panów.

Przyszedłszy do domu, wódz położył się, ale nie mógł zasnąć. Niepokój był w nim i niepokój panował dokoła. Wstał o świcie i wyszedł. Niebo dopiero jaśniało, przenikliwy wiatr napędzał od morza zimną mgłę, w której twarze ciągnących zewsząd ku miastu ludzi zdały się szare i bezbarwne. Hałas przycichł, widocznie znużenie wzięło górę nad podnieceniem, ludzie szli przeważnie w ponurym milczeniu na zebranie, które zgromadzona o brzasku Rada kazała zwołać na Pnyksie. Każdy oczekiwał, by znalazł się ktoś, co ujmie sprawę w ręce i przynajmniej będzie wiadomo, co robić. W półmroku ten i ów poznawał Fokiona i ustępowano mu z szacunkiem i pozdrowieniem, na które wódz nie odpowiadał. W ślad za nim rozlegały się pochlebne uwagi. Teraz go uznają, gdy nie wiedzą, co począć.

W pobliżu Pnyksu tłum gestniał. Fokion przepychał się z wolna ku mównicy. Pojaśniało, ale mgła nie ustępowała i tłumy, zalegające zbocza, zdały się nie mieć kresu, jak morze. Fokion spotkał Arystofona i razem wstępowali na wzgórze.

Arystofon nie należał do żadnego stronnictwa, z prze-

konania był umiarkowanym demokratą. Choć często miewał zatargi z Ebulosem, stronnictwo wojny nie lubiło go. Rozsądny, ale nie wymowny, zasłynął z tego, że ilekroć postawił wniosek, miał proces o jego bezprawność. Niejednokrotnie wzywał do porozumienia się z Tebami w obliczu niebezpieczeństwa macedońskiego, ale lud zdał się tym bawić, że każdy jego wniosek przepada. Teraz i jego przepelniała gorycz. Odezwał się do Fokiona:

— Co zamierzasz poczynać?

— Idę na zgromadzenie jak każdy inny obywatel. Uczynię, co uchwałą.

— Czy nie inaczej stałyby sprawy, gdybyśmy mieli porozumienie z Tebami? Przynajmniej wiadomo byłoby, co robić.

— A gdybyśmy mieli porozumienie z Filipem, można by nie robić nic, a to im — wskazał na tłum stojący w ponurym milczeniu — najlepiej odpowiada. Teraz nawet gadać nie chcą.

Jakoż w powszechnej ciszy przytłumiony przez mgłę rozlegał się to tu, to ówdzie głos herolda z obyczajowym zapytaniem:

— Kto chce przemawiać?

Głos, rozproszony przez mgłę, zdał się brzmieć jak wołanie tonącego. Odpowiedzią było milczenie. Fokion odezwał się zgryźliwie:

— Nie widać tłoku przy mównicy, do której zazwyczaj dopchać się nie można. Masz sposobność wystąpić, by postawić wniosek o zawarcie przymierza z Tebami... jeżeli będą jeszcze tak łaskawe... i głupie.

— Widzę koło mównicy wszystkich zwykłych mówców. Całą Radę i strategion. Niech oni postawią ten wniosek. Albo postaw go ty, Fokionie. Mniejsza z tym, że gdybym ja postawił go, miałbym siedemdziesiąty szósty proces o bezprawność wniosku, ale przepadnie jedyna rozsądna rada, jakiej teraz można udzielić.

— Ja mógłbym postawić wniosek, który już stawiałem, o porozumienie z Filipem, który moim zdaniem wcale nie pragnie wojny z Atenami. Ale wówczas miałbym proces o zdradę. Niczego nie powiem za wojnę, którą ma prowadzić tych dziesięciu Temistoklesów ze



strategion, na czele tej zgrai wyskrobków po bohaterach spod Maratonu, przeciw takiemu wodzowi jak Filip i macedońska falanga. Ale ten motloch nie potrafi już zrozumieć, że można mieć jakieś zdanie nie zapłacone — zakończył pogardliwie.

Umikli. Wciąż jeszcze słyhać było ochryple już wołanie herolda, wzywającego do głosu. Fokion mruknął:

— Jakoś nie widać największego mówcy Hellady. Widać, że nie zdążył ułożyć sobie przemówienia tak szybko, jak szybko działa Filip. A może sam przestał wierzyć, że wymową można zmiażdżyć Macedończyka, jak to sobie obiecywał w czasie poselstwa Filokratesa?

Fokion pomylił się jednak, gdyż w tej chwili przez tłumy przeszedł szmer jak powiew wiatru: Demostenes! Demostenes!

Jakoż Demostenes ukazał się na mównicy. Cisza zaległa taka, że słyhać było odległe odgłosy portu. Podrzucił nerwowo prawym ramieniem, ale głos miał opany, gdy zaczął:

— Ateńczycy! Z mównicy tej nie pierwszy raz mówić będę o Filipie. Jeżeli nie zaraz zgłosiłem się na wezwanie, to w przekonaniu, któremu nieraz dałem wyraz, a które dziś podzielają już wszyscy, że nie słów trzeba, lecz czynów. Mamy wojnę z Macedończykiem, samiście ją uchwalili. Czy — znając go od lat dwudziestu z górą — sądził ktoś, że i on prowadzić ją będzie jedynie na słowa? Gdyby tak było, słusznie moglibyście oczekiwać, by zwyciężył go jeden z nas. Razem z wami jednak czekałem, kiedy wodzowie każdą mi włożyć hełm i ująć włócznię. Pytam więc, skąd to obezwładniające przerażenie, i znajduję taką odpowiedź: moim zdaniem zbyt jesteście pewni wpływów Filipa na Teban. Nie rozeznajecie się jednak w położeniu. Gdyby ten wpływ był tak niewątpliwy, słyszelibyście o Filipie nie w Ela-tei, ale u naszych granic.

Westchnienie ulgi powiało i rozplynęło się szeptem po stokach wzgórza. Gdy znowu nastąpiła cisza, mówca podjął głosem pewnym i donośnym:

— *Ja wiem, że wyprawa Filipa jest ostatnim pocią-*

gnięciem w grze z Tebami. Ma już w zanadrzu wszystkich, których mógł przekupić lub oszukać, ale niezmiennych od początku do tej chwili żadnym już nie może zjednać sposobem. Po cóż tedy zajął Elateę? Pokazem zbrojnej gotowości, błyskiem miecza chce ośmielić swych przyjaciół, a przerazić przeciwników. Albo zatrwożeni poniechają oporu, albo ulegną przemocy.

Znowu szmer przeszedł przez tłum, ale Demostenes podniósł głos i ciągnął:

— Jeżeli teraz postanowimy wypominać Tebom dawne nasze urazy i nie ufać im jak wrogom, wypełnimy najgorętsze życzenie Filipa; co więcej, obecni przeciwnicy Filipa w Tebach poddadzą się, gdy całe Teby ogarnie jednolity, przyjazny Filipowi nastrój i wówczas Hebanie wraz z nim wyruszą na Attykę.

Mówca przerwał i zdał się nasłuchiwać jak człowiek, który w ciemności wstępuje na niepewny grunt. Gdy nie odezwał się żaden głos sprzeciwu, podjął ostrożnie:

— Mam nadzieję przekonać was, że kieruje mną zrozumienie istotnej potrzeby, i spodziewam się usunąć grożące państwu niebezpieczeństwo. Proszę jeno, rozważcie moje słowa, nie starajcie się ich zbić za wszelką cenę. Cóż ja rozumiem przez istotną potrzebę? Przestańcie się trwożyć o siebie, zmieńcie nastawienie i wzbudźcie w sobie obawę o Teban. Oni są o wiele bliżsi niebezpieczeństwu niż my. Niech więc roczniki poborowe i jazda ruszą do Eleuzis i niech tam okażą zbrojną gotowość. Wasi stronnicy w Tebach będą wówczas mieli taką samą swobodę podtrzymania swego poglądu na widok gotowej w wypadku zaczepki pomocy waszej dla zdecydowanych obrońców wolności, jak zdradcy ojczyzny w stojących dla ich poparcia w Elatei wojskach.

Rozległy się potakujące okrzyki. Poczucie bezradności mijało. Demostenes kończył podniesionym głosem:

— Żądam wyboru dziesięciu posłów i pozostawienia im jak również strategom do uznania, kiedy ma odejść poselstwo, a kiedy wyprawa. Poselstwu po przybyciu do Teb zalecam takie postępowanie — i tu proszę o szczególną uwagę: nie domagać się od Teban niczego, chwila jest zupełnie nieodpowiednia. Przyrzec im po-

*moc na żądanie, oznajmić, iż wychodzimy z założenia, że oni są w ostatecznym niebezpieczeństwie, my zaś jesteśmy przezorniejsi. Jeżeli się zgodzą, muszą zarządzić wszystko, co zmierza do spełnienia naszych życzeń, byśmy mogli wykonać odpowiednie kroki w sposób budzący podziw i godny powagi naszego państwa. Jeżeli zaś poselstwo nie osiągnie powodzenia, sobie przypiszą winę wynikłych stąd błędów. Nasza polityka jednak wolna być musi od jakiegokolwiek plamy i poniżenia.*

Mówca zakończył i stał nieporuszony. Poorana zmarszczkami i przybladła z wewnętrznego napięcia twarz jego świecić zdała się radosną dumą, gdy słuchał jednego ogromnego głosu potakiwania, jakim rozkrzyczało się całe wzgórze. Głos herolda, wzywającego wedle zwyczaju dalszych mówców, ginał jak szept wśród burzy. Nie trzeba było nawet głosowania. Rada i strategowie udali się na ratusz, by wydać zarządzenie, a tłumy rozplywały się rozmawiając z ożywieniem i ulgą.

I Fokion odczuł ulgę. Patrząc na niemal rozradowane twarze współobywateli, choć w położeniu nie zmieniło się jeszcze nic, a wynik poselstwa był co najmniej wątpliwy, odezwał się do Arystofona z gorzką pogardą:

— Oto dlaczego w Atenach lepiej jest być mówcą niż wodzem. Nawet rzeczywiste zasługi nic nie są warte, jeśli się ich nie umie odpowiednio przedstawić.

— Masz słuszność — przytaknął Arystofon. — Gdybym ja postawił ten wniosek, zapewne by go wygwizdano.

— Nie trąpcie się — posłyszeli głos za sobą. Obejrzel się i poznali Diogenesa. Filozof ciągnął: — W demokracji jeden człowiek nie zdoła nic, wszystko jedno, czy to będzie mówca, czy strateg.

— Jesteś tu znowu? — rzekł Arystofon niechętnie. — I filozof tu nic nie zdoła, niepotrzebnie się przeto trudziłeś.

— Rzeczą filozofa nie jest działać, lecz myśleć, a ja bynajmniej się nie trapię, że mnie w Atenach nikt słuchać nie będzie.

— Ja chętnie posłucham, co myślisz o naszym obecnym położeniu.

— Sądzę, że ciele, które rzeźnik zabija na ostatku,

ma jednak pewną korzyść w stosunku do innych, jeżeli założymy, że jego życie jest w ogóle coś warte.

— Imieniem miasta dziękuję ci za porównanie. Chciałbym jednak usłyszeć wnioszek.

— Nic nowego. To program waszego stronnictwa rozważa, Fokionie. Udawać, że się wierzy, iż Filip na rozkaz Amfiktionów chce tylko ukarać bezbożną Amfissę. Jak pisał, przestrzega pokoju wobec posłusznych. Ale trzeba przyznać, że pomysł stronnictwa wojny — wciągnięcia Teb do niej, ma też dobre strony. Jeżeli przypadkiem Ateny pokonają Filipa, zasługa im przypadnie i znów będziecie mogli panoszyć się w Helladzie. Jeżeli, jak przypuszczam, Fokionie, przegracie, Filip przede wszystkim będzie się mścił na wiarołomnych Tebach. Na was przyjdzie kolej później.

— Masz tu obola i odczep się — rzekł Fokion. — Nie mam dziś ochoty filozofować.

— To jest przecie filozofia praktyczna. Zmusz się do myślenia, Fokionie. Czyż nie powiedział twój mistrz Platon, że szlachetny wysiłek jest piękny bez względu na wynik? Słuszność tej tezy potwierdziłby na przykład widok Demostenesa jako hoplity, walczącego przeciw falandze Filipa. Byłoby to zarazem wzniosłe, głupie i symboliczne, coś jak platońska idea, i właśnie dlatego przekonywające. Ja sam skłonny byłbym wówczas uwierzyć, że Demostenes wierzy w to, co mówi.

— Wolałbym ciebie zobaczyć w tej roli. Wtedy nonsens byłby zupełny.

— Masz słuszność. Nigdy w życiu jeszcze nie zrobiłem niczego przeciw rozumowi, a cynik winien wszystkiego doświadczyć. Istotnie nic mnie nie obchodzi, kto będzie uciskał i wyciskał Helladę, Filip czy Ateny. Wobec tego idę się zaciągnąć.

## ROZDZIAŁ XVIII

Przez wąską gardziel bramy Dipylon wylewała się jazda i minawszy ją, przechodziła w kłus. Odgłos tysięcy kopyt na twardym gościńcu zagrział jak hurkot lawiny kamieni, idącej z górskiego zbocza, która wszystko łamie przed sobą. Poczucie tej mocy wypełniało serca tłumów wyległych z pochodniami i latarniami by zęgnąć wojsko i poselstwo. Zająły niemal całą przestrzeń między gościńcem a Dipylon i Hiera Pyle przez którą jednocześnie wychodziła piechota ciężkim miarowym krokiem, a pogłos jego odbijał się od leżących przy drodze wspaniałych nagrobków dawnych zwycięzców. Tą samą drogą ciągnęli niegdyś przodkowie tych wojowników pod Plateję, gdzie złamali potęgę perską, mimo że Teby szły wówczas z najeźdźcą. Teraz pójdą w jednym szeregu i razem złamią Filipa. W to nie wątpił nikt.

W miejscu gdzie wychodzące z obu bram gościńce zbiegają się w Drogę Świętą, było już pusto i ciemno. Wojska zatrzymały się i ustawiwszy w szyk podróżny, ruszyły.

Na czele wraz ze strategami jechał Demostenes. On przewodził poselstwu wysłanemu jednocześnie z wojskami, które pod wodzą Lizyklesa stanąć miały w Eleuzis, a pod Charesem iść z pomocą zagrożonej Amfissie. Jedne i drugie zaś miały być argumentem w przemówieniu Demostenesa w Tebach. Wbrew zwyczajowi nie

układał go, nie było zresztą czasu. W Tebach bawiły już poselstwa Filipa i jego sprzymierzeńców i wskazany był najwyższy pośpiech.

Nastrój wśród posłów był niepewny, ale Demostenes wierzył w powodzenie swej misji, wierzył we wszystko, co mówił, i wierzył, że jego nienawiść do Filipa jest miłością ojczyzny, tak wielką, że gotów życie dla niej poświęcić. Gdy zajdzie potrzeba, chwyci za włócznię i tarczę, choć to nie jego broń. Gryzłby Filipa choćby zębami. Ale pokona go swą sztuką, a jego triumf pozwoli mu zapomnieć o największym upokorzeniu, jakie przeżył: pobłażliwej wyrozumiałości dzikusa dla jego chwilowej słabości w czasie poselstwa Filokratesa. Wszystko, co Filip uczynił, by nie dać mówcy odczuć upokorzenia, wzmagało tylko jego nienawiść. Nieznośna mu była wyrozumiałość człowieka, którym gardził.

Położenie, jakie ateńskie poselstwo zastało w Tebach, było jednak groźne i pierwsze sprawozdanie wysłane do Aten ponownie wzbudziło niepokój. Poselstwo macedońskie z Klearchem i Amyntasem na czele, wzmocnione przez Tesalczyków i innych sprzymierzeńców Filipa, rozwinęło już skuteczną działalność i pewne było swej sprawy. Stronnicy Aten byli słabi i nieliczni, przywódca macedońskich — Filolaos, zasilany obficie złotem Filipa, zdołał już chwiejnych członków władz miejskich przekonać o beznadziejności oporu. Jeśli Filip przeciągnie Teby na swoją stronę, za nimi pójdą inni, Ateny znajdą się osamotnione w walce z jego potęgą.

Groza położenia podniecała jednak tylko zaciętość Demostenesa. Gdy inni żądali słania do Aten o upoważnienie do układów z poselstwem Filipa, uważając, że w tym położeniu walka miałaby chyba tylko znaczenie jakichś wielkich Termopil, Demostenes chciał być ich Leonidasem, jeśli nie będzie mu dane być Miltiadesem nowego Maratonu.

Niemniej w Tebach jeszcze nie zapadło postanowienie. Wszystko zależało od ogólnego zgromadzenia ludu, a ten był nieobliczalny. To była ostatnia nadzieja, i wraz z nienawiścią podtrzymywała zaciętość mówcy. Skupił wszystkie władze i czekał na chwilę rozstrzygającą.

Nadeszła wkrótce. Wielki rynek u stóp Kadmei wy-

pełnił się tłumem, który zbiegł się z miasta i okolicy. Obecność wojsk Filipa na granicy budziła jednak niepokój, zarówno jak zagrożenie zaprzyjaźnionej Amfissy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że zapaść mająca uchwała zmieni nieodwołalnie dotychczasowe położenie. Nastrój był niepewny i napięty.

Jako poseł sprzymierzonego monarchy, Klearchos pierwszy otrzymał głos, ale przemawiał niczym wysłannik władcy do podwładnych. Pomoc Teb nie jest ważna dla Filipa, potrzebuje tylko swobodnego przemarszu przez Beocję. Gdyby jednak Teby postanowiły iść z nim razem przeciw odwiecznemu wrogowi, znana wspaniałość i hojność Filipa przewyższy oczekiwania Teban.

Tu długo i szeroko Klearchos rozwodzić się począł o przewinach Aten wobec Teb, za które trafia się sposobność pomsty, jaka się nie powtórzy. Zakończył groźbą na wypadek zbrojnego oporu i wśród grobowego milczenia zszedł z mównicy. Stał opodal i szepcząc coś do Filolaosa, patrzył lekceważąco na ateńskiego mówcę.

Demostenes pewny był, że mówią o nim, a nawet przypuszczał co; wiedział, że Filip kupuje i podziwia jego przemówienia. Dzisiejszego przemówienia nie kupi, a podziwiać będzie mógł tylko jego skutki. Wolnym, pewnym krokiem wstępował na mównicę.

Zgromadzenie zaległa cisza. Bliżej stojący widzieli przybladłą twarz i rozognione oczy mówcy, wpatrzone gdzieś przed siebie. Stał przez chwilę w milczeniu, jakby się modlił. Od wątlej jego postaci promieniowało napięcie, które zdało się udzielać tłumom, gdy zaczął głosem niezbyt donośnym, ale dobitnym:

— Słuchałem, Tebanie, przemówienia posła Filipowego i, na Heraklesa, którego Macedończyk jest tak potomkiem jak wąż lwa, czy trzeba lepszego przykładu buty? Zastanawiam się, czy bogowie jego obrali z rozumu, zaślepiając pychą, czy też nabrał przekonania, że wy jesteście tępi. Ale jeśli on zapomniał, to wy pamiętajcie, że nie gdzie indziej, jeno u was uczył się sztuki wojennej, która sławą okryła wasze miasto. Wara zawdzięcza swoje zwycięstwa.

Przerwał i słuchał szmeru, w jaki zlewało się tysiące szeptów, jak muzyk słucha instrumentu, który stroi. Słucha jeszcze dźwięku, który dla innych już zaniknął. Podniósł głos. Zjadliwość zdała się syczeć jak kłębowisko węzów, gdy zwrócił się do Filipowego posła:

— Słuchałem, Klearchu, twego przemówienia i nie zaprzeczam, że lepiej znasz historię Hellady niż niejeden z Hellenów. Nic dziwnego; aktor, któremu powierzono rolę króla, musi ją lepiej umieć niż król prawdziwy.

Nie mogę zaprzeczyć, że walczyły nasze miasta o pierwszeństwo w Helladzie. I prawdę rzekłeś, że Teby nigdy nie wojowały z Filipem; przeciwnie były z nim w przymierzu. Wstyd przyznać, ale i Ateny bywały z nim w przymierzu. Wtedy, gdy on był słaby, a my w pełni sił. Był z nim w przymierzu i Olint, i Bizancjum, i kto tam jeszcze. Na każdego przychodzi to jak choroba, dla słabszych śmiertelna, silniejsi z trudem mogą się z niej dźwignąć. Ale niech ktoś wejdzie na mównicę i wymieni sprzymierzeńca, którego by Macedończyk nie oszukał. Może ktoś z was, Tebanie, ty, Filolaosie. Bierzesz przecie złoto, by gardłować za Filipem.

Przerwał, jakby czekał na odpowiedź, i podjął podnosząc głos. Słowa leciały jak pociski z coraz większą siłą:

— Milczysz, bo musiałbyś powiedzieć, kto wam, sprzymierzeńcom, odebrał Nikaję i Echinosa! Kto przeciw wam uzbraja Focyjczyków, których sam przedtem rozbroił, odbudowuje przeciw wam ich miasta, które sam zburzył. Ale wyczerpał już wszystkie oszustwa, którymi wbił się w potęgę. Wierzyć można mu tylko wtedy, gdy grozi.

Przeszedł w drwiącą ironię, zwracając się do Klearcha:

— Słyszeliśmy, że za udział w wyprawie przeciw nam twój król obiecuje Tebom udział w łupach ateńskich. Z zielonego zboża to chleb, ale mniejsza z tym. Filip zadowoli się przecież przemarszem przez wasz kraj. Nikomu wprawdzie przemarsz wojsk nie przysparza korzyści. Za to pozostawi was, swoich sprzymie-



zeńców, w spokoju. Na jak długo? O tym później. Nie powiedziałaś, Klearchu, co się stanie, jeśli Teby wcale nie zechcą się mieszać do wojny między nami i przepuścić waszych wojsk? Taka możliwość nie przyszła ci na myśl? Filip przecie przestrzega pokoju tylko wobec posłusznych. Ale jeślibyś teraz powiedział, że w tym wypadku Filip pokornie przyjmie, Tebanie, wasze postanowienia i zaatakuje Attykę przez góry Parnasu i Helikonu, to obawiam się, że śmiech nie pozwoli mi skończyć przemówienia.

Istotnie rozległy się tu i ówdzie śmiechy, ale Demostenes ciągnął:

— Wszyscy wiemy, ile kosztował was przemarsz przez góry Haemos, choć tam przejścia bronili tylko barbarzyńcy w skóry odziani, a tu bronić będą hoplici, równi bronią macedońskim, jeżeli nie lepsi. Pamiętamy też, ile wysiłku włożyliście w sprawę Bizancjum, aby wynieść tylko upokorzenie, choć tam pomagaliśmy tylko sprzymierzeńcom, z dala od ojczyzny, a tu bronić będziemy własnych ołtarzy. Gdyby nawet Filip chciał o tym zapomnieć, przypomni mu okaleczająca ręka i ochromiała noga, przez którą do dziś nie może uprawiać po pijanemu wyuzdanych tańców. A wojna z nami to nie taniec z fletnistką, Klearchu!

Nie byłeś oszczędny w słowach, przedstawiając nasze winy i błędy, a cnoty i zalety Filipa. Ja nie będę was nudził, Tebanie, mówiąc, co o nich myślę. Ale wyręcę Klearcha mówiąc jasno, jakie są prawdziwe zamiary Filipa: jeżeli, ważycie się nie ustąpić przed jego żądaniami, przeprowadzi je siłą. Droga do Aten prowadzi tylko przez Teby. Gdy Filip was napadnie, my nie będziemy patrzeć spokojnie jak na grad, który pada za miedzą. Wojska nasze stoją już w Eleuzis. Zważcie jednak, że wówczas my będziemy górą. Wy będziecie musieli wytrzymać pierwsze uderzenie, które jest zawsze najsilniejsze, wasz kraj będzie spustoszony, nam przypadnie dowództwo.

Nieprawdą tedy jest, że w tej walce, która ma rozstrzygnąć, czy Hellada będzie wolna, czy ulegnie barbarzyńcy, możecie po żadnej nie stanąć stronie. Ale uwierzmy na chwilę temu, który nigdy nikomu nie

dotrzymał wiary. Pozostawi was w spokoju? **Chcę przypuścić** najgorsze. Ateny, które nigdy i nikomu nie uległy we własnym kraju, ulegną sile Filipa. Wówczas stanie się panem ziem i mórz, od Pontu po Zatokę Koryncką. Chcecie go mieć dożywotnim beotarchą, wybierzcie go zaraz. Oszczędzi to zachodu sprzedawcykom, a zawodów uczciwym obywatelom. Dziś macie jeszcze wybór, a już zdrajcy straszą was, że razem z nami nie oprzecie się potędze Filipa. A cóż będzie, jeśli pokona Ateny? Płomień im więcej pożre, tym większej nabiera siły. A nie ma nic smutniejszego nad widok kraju okrytego sławą przodków, który z podłego strachu poddaje się znieprawionemu tyranowi. Nie ma jednak tak bezczelnego sprzedawczyka ani tak obranego z rozumu głupca, który by twierdził, że osamotnieni łatwiej się oprzecie Filipowi niż wspólnie z Atenami.

Nie przeczę jednak, że i nam łatwiej będzie zwyciężyć z waszą pomocą. Ale zdrajcy, którzy sprzedali już siebie i chcą sprzedać jeszcze was, powiedzą wam: straty Teb będą większe, sława przypadnie Atenom. Tym z góry odpowiem: Ateny poniosą dwie trzecie kosztów wojennych. Wojska nasze staną na granicy Focydy pod waszym dowództwem. Flotę dowodzić będziemy wspólnie. A o sławę współzawodniczyć będziemy w szlachetnej walce, która obali tyrana.

Demostenes skończył i stał jeszcze z oczyma przykniętymi i twarzą ściągniętą wysiłkiem. Ale uszy jego łowiły pomruk, który wzmagał się i przeszedł w burzę. Nie śmiał otworzyć oczu, jakby się lękał, że obudzi się ze snu. Tłum bił i wyzywał stronników Filipa, wznosił przeciw niemu wrogie okrzyki i ochryplymi głosami wrzeszczał na cześć Aten i Demostenesa. Mówca otworzył oczy i poił je triumfem, za który nie oddałby nawet widoku pierzchających w popłochu przemożnych zastępów Filipa. To było jego własne zwycięstwo nad znieprawionym wrogiem. Oczyma duszy widział już swój posąg między posągami Peryklesa i Temistoklesa. Zerwał najwyższy owoc swego trudu nad siły i napałwał się jego smakiem i wonią.

Ale z podniebnego wzlotu trzeba było zstąpić na ziemię, by jako przewodniczący poselstwa spisać układ

przyjaźni i przymierza z Tebami, odwiecznym wrogiem Aten i zaprzysięć go w świątyni na zamku w Kadmei.

Wiadomość o wyniku poselstwa doszła do Filipa w Elatei, gdzie stał ze szczupłymi siłami, czekając na posiłki, które w kraju dopiero zbierali i ćwiczyli Aleksander z Antypatrem. Zdrowie króla istotnie nie pozwalało jeszcze na trudy zimowej wyprawy w górach, ale Filip nie liczył się z oporem Teb, a w razie zajęcia Attyki dostępna od zatoki Korynckiej i południowych stoków Parnasu Amfissa musiałaby ulec.

Niemniej zaskoczyła Filipa szybkość działania nowych sprzymierzeńców. Wywiady doniosły o obsadzeniu przełęczy Koraks i Parnasu i zamknięciu drogi na Teby znacznymi siłami w skalnej bramie w pobliżu Parapotamioi.

Jak zwykle, gdy bywał słabszy, Filip próbował jeszcze rozbić nowe przymierze układami. Teby już zdały się do nich nakłaniać, lecz stanowcza postawa Demostenesa, który swym wystąpieniem pozyskał wielką wziętość u tebańskiego ludu, udaremniła zamiary Filipa. Mówca wyraźnie wysuwał się na czoło walczącej z królem Hellenady, poselstwa macedońskie w innych państewkach napotykały niezmordowane, zacięte przeciwdziałanie śmiertelnego wroga, który jak w natchnieniu kroczył od sukcesu do sukcesu, w ostatniej klęsce Filipa widząc ukoronowanie działalności całego życia.

Jednego tylko, najgłębszego pragnienia, którego nie chciał przyznać nawet sam przed sobą, nie zdołał Demostenes zaspokoić: zmusić Filipa, by jak równy odpłacił mu wzajemną nienawiścią. Filip, od dzieciennych lat nawykły żyć w atmosferze walki, kłamstwa, kłówek i przemieszania, uważał, że nienawiść jest zwykłym uczuciem słabego do silniejszego. Podziwiał mowy Demostenesa, w miotanych obelgach widział dowód jego bezsilności, a podniecała go gra, której wyniku był pewny.

Nienawiść była równie obca jego naturze jak miłość. Lubił ludzi, o ile byli mu przyjemni, dla innych miał

tylko mimowolnie wyniosłe lekceważenie. Lubił też swoją armię, jak się lubi dobrze ułożonego psa: głaszcze się go, karmi przysmakami i zezwala na poufałość, ale na łowach nie szczędzi się jego trudu i krwi. Filip zdolny był nakazać ściągnąć z murów drabiny oblężnicze, by wojskom swym odciąć drogę odwrotu i zmusić je, przez to do walki na śmierć i życie.

I teraz gotował się do takiej walki. Dla układów potrzebował szybkiego sukcesu. Gdy więc w górach spadły pierwsze śniegi i noce stały się jaśniejsze, Filip spróbował przełamać nagłym uderzeniem opór w wąwozie Afmissy. Poniósł jednak dotkliwą porażkę, która jeszcze bardziej rozzuchwaliła przeciwników. Demostenes umiał jej nadać rozgłos wielkiego zwycięstwa helleńskich sprzymierzeńców. W Atenach odprawiano uroczyste procesje dziękczynne, uchwalano publiczne pochwały i wieńce, na miejscu potyczki ustawiono pomnik zwycięstwa, a wyolbrzymione wieści o klęsce Filipa rozpuszczano po całej Helladzie.

Filipa ta sprawa zaczynała drażnić. Pozostawił dowództwo Parmenionowi, a sam wyjechał do Pelli, by przyspieszyć przygotowania wojsk i po swojemu wypocząć przed ostateczną walką.

Pokorna, uległa, spłoszona a nie znająca nawet helleńskiej mowy córka króla Getów uprzykrzyła się już Filipowi. Gdy tylko zaczął wstawać, porzucił ją i wrócił do fletnistek i heter. Peukaste zarobiła już swoje, ale zawiodła się w rachubie, że uroda jej choćby na krótki czas zdoła usidlić Filipa. Król potrzebował nastroju orgii, by choć na chwilę przestać myśleć o swoich planach, które go pochłaniały nawet we śnie. Teraz z pewnym zdziwieniem spostrzegł, że nawet pijaństwo i rozpusta nie usuwają kłębiącego się w nim niepokoju. Spowszedniały mu już. Zaczynał szukać czegoś, czego nie zaznał był jeszcze.

Źródło dodatkowego niepokoju Filipa leżało w Aleksandrze. Jeżeli król żywił jakieś głębsze i bezinteresowne uczucie, należało ono do syna. Jedyne, jakich zaznał w życiu, pieszczoty, poruszające w nim najgłębiej ukrytą i nieuświadomioną potrzebę czułości i przywiązania, łączyły się we wspomnieniu z dzieciństwem

Aleksandra. Podziw, jaki mu okazywał syn, kiedy doszedł do wieku chłopięcego, był dla Filipa źródłem dumy, a pierwszy objaw buntu, gdy Aleksander z chłopca wyrastał na młodzieńca, nie przestrzegł Filipa, że syn oddała się od ojca na zawsze. Zdało mu się to rzeczą zwykłą i przemijającą. Teraz odczuwał, że syn zamknął się przed nim, szacunek jego i posłuszeństwo były stosunkiem stratega do króla, ale pod ich pozorami krył się zimny i surowy sąd o postępowaniu ojca. Nawet nie zawsze się krył: gdy na uczcie u Attalosa, u którego król najchętniej bywał, bo tam czuł się zupełnie swobodnie, zaczął po pijanemu zalecać się bezwstydnie do znanego z urody i głupoty młodzika ze swego orszaku, Kerastosowego Pausaniasa, Aleksander wstał i wyszedł. Filip, choć pijany, zauważył to i ogarnął go gniew. Będzie robił, co mu się podoba, bez względu na to, co syn myśli o nim. Nigdy w życiu niczego się nie wstydził, dlatego wszyscy patrzyli na jego wybryki z wyrozumiałością. Gdy wytrzeźwiał jednak, stracił pewność siebie. Wspomnienie wybryku i zachowania się syna krępowało go. Może dlatego nie umiał się pozbyć wyrachowanego młodzika, który ulegając wyuzdanej zachciance króla, na tym budował nadzieje zysków i wpływów, gdy brak mu było zalet, jakimi poza rozpustą odznaczał się inni towarzysze zabaw Filipa. Zaczął z zazdrością odnosić się do każdego młodego człowieka, którego w jakikolwiek sposób król wyróżnił, nie bacząc, że ściąga na siebie niechęć rówieśników, a co gorzej Attalosa, którego zamiarom nie sprzyjało zboczone wyuzdanie Filipa.

Rozterkę króla pogłębiała troska o syna. Powszechnie szeptało w Pelli, że Aleksander dotychczas nie zadaje się z niewiastami, choć rówieśnicy jego już dawno rozpoczęli swawolne życie. Filip zaczynał podejrzewać u syna upośledzenie czy zwyrodnienie. Sam w jego s wieku był już doświadczonym miłośnikiem. Choć bacznie śledził syna, nie mógł niczego pomiarkować, a jakiś wstyd nie pozwalał mu z nim mówić o tym, by nie wywołać rozmowy o własnym życiu. Krępowała go szczególnie sprawa Pausaniasa. Po długich wahaniach postanowił pomówić o Aleksandrze z królową, choć

i z Olimpiadą rozmowa o tych sprawach nie mogła być miła.

Już od lat nie zamienili ze sobą słowa. Filip niemal zapomniał o istnieniu małżonki, na wszystko, co mu donoszono o niej, machał ręką. Nie umiał odwzajemnić nawet jej nienawiści, ograniczając tylko jej samowolę i knowania. Gdyby z nią walczył, uczucia królowej przecie znalazłyby jakieś ujście. Kamienna jego obojętność na wszystko, co dotyczyło Olimpiady, powodowała w niej napięcie do granic mistycznej ekstazy. Niepowodzenia, jakie ostatnio zaczynały ścigać Filipa, przypisywała skuteczności swych modłów i ofiar, guseł i czarów. Toteż po powrocie z wyprawy w góry Haemos powitała syna wyrzutami, że z narażeniem swego życia ocalił życie Filipa. Aleksander odparł wymijająco:

— Chcę, by każdy w Macedonii wiedział, że jest obowiązkiem żołnierza bronić swego króla.

— Ale cios, który by jego zabił, ciebie uczyniłby królem — odparła.

Patrzyła na syna badawczo, ale wybadać się nie pozwolił. Powiedział obojętnie:

— Czeka nas ciężka walka. Dziś szkoda nawet prostego żołnierza. O tych sprawach myślę ja sam — uciął i odwrócił rozmowę: zapytał o siostrę, której dawno nie widział, bo wraz z Lanike i towarzyszkami bawiła w Miezie.

Rozmowa zesłała na niewątpliwie niedalekie małżeństwo dojrzewającej już Kleopatry. Olimpias chciała mieć wpływ na przyszłe związki swych dzieci, obawiała się zaś, nie bez podstawy, że i tu Filip bez jej zgody poweźmie postanowienie. Niespodzianie zagadnęła Aleksandra:

— A ty co o swoim małżeństwie myślisz?

— W Macedonii nie ma zwyczaju żenić się tak wcześnie — odparł.

— Ciebie nie wiążą obyczaje. Zresztą nie o to chciałam zapytać. Rozumiesz pewnie, co miałam na myśli?

— Rozumiem. Nie znoszę brudnego dotknięcia, dlatego nie staję nawet do zapasów. I sił tracić nie myślę tak jak ojciec. Możesz spokojnie i te sprawy mnie pozostawić.

Patrzyła na syna z dumą. Na Olimpie chyba widziała godną jego małżonkę. Tylko jej wolno w czułej pieśzoczocie dotknąć tego półboga. Powiedziała jednak z namysłem:

— Ludzie szepcą...

— Czy wolałabyś, aby o mnie mówili tak jak o królu? A mówić o mnie będą zawsze. O tym nie zapominam.

Choć król zjawił się u małżonki niespodzianie, gdy poruszył sprawę syna, Olympias pewna była swego. Patrząc na męża wyzywająco, zapytała:

— Czy chciałbyś, by Aleksander cieszył się taką sławą jak ty?

— Pozostaw mnie troskę o moją sławę — odparł gniewnie. — Myślmy raczej oboje o synu. Obawiam się u niego jakiejś słabości... albo...

— Że jak ty uprawia attycką rozpustę — podchwyciła. — Tobie to nie przeszkodziło mieć dzieci tu i ówdzie.

Król zachnął się niecierpliwie i podjął:

— Sprowadziłem Kalikseję, najpiękniejszą heterę Tesalii. Staraj się Aleksandra namówić, by się do niej zbliżył. Zrozum, że to i twoja sprawa. Lud nasz wierzy, że Macedonia będzie rosła, póki rządzić w niej będą królowie z Perdikkasowego pokolenia. Gdyby Aleksander nie miał potomstwa, obawiam się zamętu. Berło Macedonii dostać się może w ręce niedołęgi Amyntasa lub Arridajosa, który jest półgłupkiem... dzięki tobie... albo ich potomkom. Wiem, że Amyntas ma stronników...

— A ty zamiast pozbyć się go, dałeś mu za żonę swego bękartą, Kynannę.

— Póki ja żyję lub gdyby Aleksander miał potomstwo, nie lękam się go. Ale wojna nie wybiera. Widzisz, co zrobiła ze mnie... Aleksander zaś walczy tak, jakby był nieśmiertelny. Pomyśl, co wówczas stałoby się z tobą?

— Widzę — odparła zjadliwie. — Dla mnie wyglą-

dasz aż za dobrze, ale inne mogą z tobą spać chyba dla twego złota. Dlatego zapewne zmieniłeś upodobania. Mówiła tak, by go dotknąć. Po ciężkich przejściach przyszedł już do siebie, jego siły żywotne nie były do złamania. Wyglądał jak uszkodzony posąg, ale nie jak kaleka. Odparł ze złością:

— Gdyby nie Aleksander, wygnałbym cię dawno. Pamiętaj i o tym.

Patrzył ze zdziwieniem na jej piękną twarz, na której czas zdał się nie zostawiać śladów. Zamiast gniewu lub zmieszania zjawiał się na niej rumieniec, jakby kto światło zapalił w alabastrowej lampie. Szepnęła do siebie:

— Achilles!

Zwracając się do Filipa mówiła:

— Nie lękam się o niego. Ma być najpotężniejszym z ludzi. Dlatego rwie się do swego celu jak górski strumień, a nie rozplywa się jak ty w bagno.

— Mówiłem, że mnie możesz pozostawić na boku. Ciebie już nie pokalam — dodał drwiąco. — Ale pomnij, że i Achilles zostawił potomka, Neoptolemosa, twego jakoby przodka. I ja pytam wróżb o przyszłość, ale czynię, co mi rozum nakazuje. Poradź się wróżb, a pomyśl o tym, com ci mówił. Jeżeli nie są głupie twoje wróżby, powiedzą ci to samo.



## ROZDZIAŁ XIX

Gdy tylko zazieleniły się łąki, Aleksander na czele całej jazdy odszedł do Elatei. Na przedwiośniu Parmenion spróbował raz jeszcze zaskoczyć sprzymierzone wojska Hellady i przełamać ich stanowiska nad Kefizosem, ale również bezskutecznie. I znowu przesadne wieści o klęsce macedońskiej zaczęły krążyć po całej Helladzie, a procesje dziękczynne — po Atenach. Wojska sprzymierzone czujnie baczyły na ruchy macedońskich. Ze stoków Parnasu i wąwozu pod Kitynion straże helleńskie widziały każdego żołnierza, słyszały niemal rozmowy. Filip nadszedł na czele trzydziestotysięcznej armii i rozłożył się obozem. Hellada jednak wystawiła już potężniejsze siły, a stanowiska miała niezdojbyte. Nigdy jeszcze, nawet w czasie wojen perskich, nie umiała się tak skupić pod wspólnym dowództwem: do sojuszu Teb i Aten przyłączyły się kolejno państewka helleńskie: Korynt, Megara, Achaja, Fokis, Lokris, Akarnania, Eubea i Kerkyra, jedno za drugim nadsyłały swe wojska, sprzymierzeńcy Filipa zaczęli się wahać. Arkadia, Messenia i Elis odmówiły udziału w walce. Zdały się sprawdzać przewidywania Demostenesa. Rozchodziły się wieści o niepokojach w Tesalii. A przepowiadał mówca, że nawet własni poddani Filipa dość mają wojen. Dopóki Filip odnosił zwycięstwa nad osamotnionymi państewkami, radzi byli łupem

i korzyściom. Gdy wiara w niezwykłość jego zachwieje się, i oni zwrócą się przeciw niemu.

Zdało się, że i ta przepowiednia się sprawdza. Straże nad Kefizosem przejęły list Filipa do Aleksandra, w którym król donosił, że w Tesalii wybuchło powstanie, a w Macedonii bunt, i zmuszony jest odejść natychmiast. Poleciał Aleksandrowi trzymać Elateę, póki zdoła, przestrzegając jednak, by nie wdawał się w bitwę i na wypadek napaści wycofał się brzegiem Zatoki Lamijskiej, unikając przejścia przez góry. Prawdziwość wieści potwierdziło odejście wojsk Filipa, których długi wąż zniknął za górami Oeta. Po raz pierwszy od roku dolina Kefizosu nie świeciła setkami ognisk, w wąwozie zaległa cisza, nie przerywana nawoływaniem się straży. Natomiast Amfissa, dokąd naprzód doszła radosna wieść, zapłonęła tysiącami świateł. Wojska wracały uwieńczone kwieciami jak po zwycięstwie; wozów, Charesa i Proksenosa, rozradowany tłum porwał i obnosił w procesji jak zbawców, ucztą ludowa pochłaniała zapasy przygotowane na wypadek oblężenia. Nie były już potrzebne.

Wieść o odwoicie Filipa nie dotarła jeszcze do Aten, które nadal żyły pod znakiem przygotowań wojennych. Nigdy od czasu wojen perskich nie było tak powszechnej gotowości do ofiary krwi i mienia. Zbrojenia i ćwiczenia zastąpiły procesje i widowiska. Demostenesowa reforma symmoriów podatkowych zmusiła bogaczy do świadczeń stosownych do ich majątków, wielu uzbrajało okręty ponad obowiązek, widząc skuteczność blokady wybrzeży macedońskich i trackich. Gdyby Filip uległ także na lądzie, odepchnięta od wybrzeży Macedonia znowu stanie się małym kraikiem, niezdolnym zagrozić Helladzie. Jeden dzień może obrócić wniwec: s owoce dwudziestu z górą lat krwawych trudów Filipa. Pokonany, już się nie dźwignie. Pracowano na ten dzień. Odrzekał się Filipa nawet Ajschynes, Demostenes używał wpływ niemal nieograniczony i zaprzysiągł na Atenę, że każdego, kto ośmieli się doradzić pokój, własną ręką za włosy zawlecze do więzienia. Toteż gdy nadszedł herold macedoński z żądaniem wysłuchania pokojowych przedłożeń Filipa, sam tylko Fokion ważył

się przemawiać za przyjęciem poselstwa. Gdy Demostenes napadł na niego, że ośmiela się stojących już pod bronią Ateńczyków zniechęcać do walki, wódz odparł:

— Tak czynię, chociaż wiem, że na wojnie ja rozkazuję tobie, a w czasie pokoju ty mnie.

Odszedł wśród niechętnego milczenia, a Demostenes bez trudu przeprowadził uchwałę odmawiającą nawet wysłuchania przedstawień Filipa. Fokion zaś znowu zamknął się w domu, zgorzkniał, i nie przyjmował nikogo. Nikt go też nie szukał, toteż wódz zdziwił się, gdy pewnego dnia odźwierny oznajmił mu przyjście Hypereidesa. Był on obecnie członkiem Rady Pięciuset i dlatego przebywał w mieście, gdy inni przywódcy stronnictwa wojny, do pięćdziesiątego roku życia, albo bawili już z wojskiem w Beocji, albo odbywali ćwiczenia. Fokion byłby odmówił przyjęcia go, ale nie wątpił, że musiało zajść coś ważnego, skoro chce z nim mówić jeden z przywódców wojennego stronnictwa. Ciekawość przyspieszyła jego kroki, gdy z ogrodu szedł do perystylu, gdzie, wytworny jak zawsze, siedział Hypereides bawiąc się od niechcienia poręczami krzesła, rzeźbionymi w kości słoniowej na kształt lwów. Piękna jego twarz miała zwyczajny, niedbały wyraz, Fokion jednak pewny był, że gość nie przyszedł na pogawędkę. Toteż po powitaniu, gdy niewolnik przyniósł amforę z winem, bo dzień był gorący, odezwał się:

— Miło mi widzieć cię pod swym dachem, Hypereidesie, ale wiem, że nie masz czasu na odwiedziny., zwłaszcza u mnie. Wiesz przecież, co myślę, a nie sądzę, byś ty skłonny był przychylić się do mojego zdania

— Wiem — odrzekł Hypereides. — Ale wiem również, że los miasta nie jest ci obojętny. Nie zaprzeczam ci też wielkiego doświadczenia, ale pomylić się może każdy. Spodziewam się, że poznavszy swój błąd, nie odmówisz nam swej rady i pomocy, by dobić barbarzyńcę.

Widząc zdziwione i pytające spojrzenie Fokiona, dodał z uśmiechem, ulewając wina na kamienną posadzkę:

— Wypijmy na cześć Zeusa Zwycięzcy,

— Wypijmy — odparł Fokion ulewając również winą. — Ale ofiara może być proszalna lub dziękczynna. Każesz mi się domyślać...

— *Nie* każę ci się domyślać. Filip zmuszony był odejść z wojskiem do Macedonii.

Patrzył z uśmiechem na zaskoczenie opanowanego zazwyczaj Fokiona, które zdradzał także głos jego, gdy wódz powiedział:

— Uczciłbym bogów hekatombą, gdyby to była prawda. Co się stało?

— Wiesz, że w Tesalii arystokracja sprzyja Tebom. Dość ma tyranii Filipa. Wzniciła powstanie, a jedno-, cześnie bunt wybuchł w Macedonii. I tam nie brak do tego powodów, choćby we własnym domu Filipa. Przyznasz więc, sądzę, że oto od bogów zesłana sposobność, by skończyć tę wojnę, i nie odmówisz swego w niej udziału. Tak będzie lepiej i dla ciebie. Wówczas przekonasz wszystkich, że nie z przyjaźni do Filipa doraźdzałeś pokój.

— Dałem chyba dowody tego już wcześniej — odparł Fokion gorzko. — Ale nic nie przekona tego, kto nie chce być przekonany. Skąd te wieści?

— Z Teb i Amfissy. Chares przejął list Filipa do Aleksandra, w którym pisze o tym.

— Chares przejął też list Filipa do Antypatra pod Bizancjum — odparł wódz zgryźliwie. — I dzięki niemu wymknęła się nam flota Filipa. Ja o tym pamiętam i Demostenes mnie to wypomniał.

— Fokionie! Fokionie! Bym ci nie powtórzył twych własnych słów, że kto przekonany być nie chce, tego nic nie przekona. Ale rzeczywistości przeczyć się nie da. I nasze, i tebańskie straże widziały, jak Filip odszedł. Kitynion jest puste.

— A Elatea?

— Zostawił w niej jazdę pod Aleksandrem, ale z wyraźnym rozkazem niewdawania się w walkę.

Patrzył z uśmiechem na Fokiona, pewny, że go przekonał. Ale na twarzy wodza widniało tylko zamyślenie tak głębokie, że czoło przecięła zmarszczka. Po chwili odezwał się:

—• Chciałbym uwierzyć, ale jeszcze się wstrzymam.

Jesteś rozsądnym człowiekiem, Hypereidesie, ale wybacz! Na wojnie rozumiesz się jak... Demostenes. Pomyśl jednak sam: jeśli Filipowi istotnie tak było pilno, to jazdę wysłałby przodem, a nie zostawiał, by wracać musiała sama przez kraj objęty powstaniem. Kto chce wierzyć, dla tego dowodem jest wszystko. I po cóż by Filip kazał trzymać Elateę, gdyby nie miał zamiaru, a przynajmniej nadziei wrócić? Zobaczymy, co powie Chares, i czekajmy na wieści od niego.

— Chares pisze właśnie, że wojska ściągnęły do Amfissy. — Niedbały uśmiech zniknął z twarzy Hypereidesa, gdy dodał: — Czczą go tam jak zbawcę.

Fokion rzucił szorstko:

— Komu innemu nie rzekłbym nic, by nie myślał, że zazdrość mówi przeze mnie. Tobie radzę: wstrzymajcie się z uwieńczeniem Charesa. Mam i ja od was jakieś wieńce, ale gdy wieńczyć będziecie każdego osła za to, że głośno ryczy, potanieją bardzo.

Hypereides zrozumiał przytyk do Demostenesa, który dwukrotnie w ostatnim roku został uwieńczony, ale pomiął złośliwość i zapytał:

— Co zdaniem twoim powinien był Chares uczynić?

— Zebrać wszystkie wojska, jakie były pod ręką, i iść za Filipem.

— Razem z Proksenosem ma jedenaście tysięcy najemników, a Filip trzydzieści.

— Jeżeli w Tesalii istotnie jest powstanie, siła to dostateczna, by przynajmniej zatrzymać Filipa, jeśli nie zniszczyć. Niech w Macedonii sprawy mają czas się rozwijać. A jeśli to tylko podstęp...

— Pójdźmy do strategion, Fokionie. To, co mówisz, wydaje się słuszne — przerwał Hypereides. — Może się jeszcze da wykonać.

— Lękam się, by mnie Demostenes nie zawlókł za włosy do więzienia. Niewiele ich mi już wprowadzie zostało, bo od czterdziestu lat z górą wycierał je hełm — powiedział wódz z gorzką ironią.

— O wojnie trzeba radzić, a nie o pokoju, cokolwiek by zaszło — odparł Hypereides, ale Fokion rzeki niechętnie:

— Na nic wozdom radzić z Aten, co mają czynić

pod Elateą. Spóźniona rada na wojnie — gorsza od żadnej. Oby choć ta nie była spóźniona: zawrzyjcie pokój z Filipem.

— Nigdy — rzucił twardo Hypereides, z trudem starając się utrzymać swój zwykły niedbały uśmiech.

Gniewny był na Fokiona. Zmącił mu nastrój zwycięstwa. Drażniły go też odgłosy dochodzące z miasta, które huczało jak ul. Niewczesna radość! Czas jeszcze święcić zwycięstwo i łatwowiernością jest sądzić, że cudzymi rękoma pozbędą się podstępного wroga.

Hypereides skierował się ku Wzgórzu Aresa, zamierzając jednak wątpliwości Fokiona przedstawić strategom i nalegać na pośpiech w działaniu, gdy z zamyślenia wyrwał go widok przypominający niedawny popłoch w Atenach, gdy Filip zajął Elateę. Zatrzymał człowieka pędzącego ku portowi i zapytał:

— Co nowego zaszło?

— Filip zburzył Amfissę! Idzie tu!

Zapytany popędził dalej. Hypereides pomyślał z pogardą, jak łatwo każda najgłupsza plotka znajduje wiarę, a demos ateński przechodzi od uniesienia do popłochu. Załoga Amfissy łącznie z wojskami Charesa liczyła dwadzieścia tysięcy ludzi, miasto z natury i sztuką mocno obwarowane może się bronić i rok, nawet jeśli Fokion słusznie podejrzewał podstęp w odwrocie Filipa.

Hypereides przyspieszył jednak kroku. Gdy tylko wszedł do strategion, poznał, że wiadomość była prawdziwa. Na szczęście zastał Charidemosą. Wojownik z rzemiosła — nie stracił głowy i wydawał zarządzenia obronne. Hypereides zapytał:

— Jak się to mogło stać?

— Amfissa święciła triumf, bramy były otwarte, wóz i przełęcz nie strzeżone, wodzowie na ucztach, wojsko pijane. Filip bez przeszkód przeszedł Grawię, zresztą zapewne wiesz...

— Nie wiem...

— Miasto spalił, mury zburzył, mieszkańców wyciął, wojska rozproszył. Trochę Chares zdołał zebrać i obsadził przejścia przez Opus i Tegurę, żąda jednak pomocy, bo sam się nie utrzyma, gdyby Filip uderzył.

— Może jednak Filip, wykonawszy wyrok Amfiktio-

nów, poniecha dalszej wojny — wtrącił niepewnie Demomades. — Trzeba by słać do niego...

— Milcz, głupcze!

Charidemos groźnie postąpił do mówiącego. Był ongiś wodzem wojsk szwagra swego, Kersobleptesa, i dobrze zakarbował się Filipowi, który po zwycięstwie zażądał jego wydania. Charidemos zbiegł do Aten, gdzie uzyskał nie tylko azyl i obywatelstwo, ale został członkiem strategion. Wiadomo było, że gdyby Filip zwyciężył, czeka go los Onomarcha.

Idąc na ratusz Hypereides myślał, że jednak sprawdzają się wszystkie przewidywania Fokiona. Może istotnie Hellada nie jest już zdolna oprzeć się barbarzyńcom i musi się poddać. Ale zamiast obawy budziła się w nim tylko zaciętość. Dotychczas gardził Filipem, teraz zaczynał go nienawdzić. Nie podda się nigdy.

Wbrew swym przyzwyczajeniom, bez jadła, snu i kąpieli rzucił się do pracy. Popłoch został opanowany najsurowszymi środkami, granice obsadzone, świeże oddziały odeszły, by wzmocnić Charesa. Zapanował ład, ale pozostał nastrój niepokoju i oczekiwania. Po trzech dniach przyszły nowe wieści. Nie były pomyślne, ale Ateny zyskiwały na czasie. Filip zajął Kirrę, uderzył na Naupaktos, wyrznął załogę achajską, stracił jej wodza i port oddał sprzymierzeńcom Etolom, sam zaś wrócił do Kitynion. Położenie pogorszyło się, Peloponez znalazł się pod bezpośrednim naciskiem Filipa. Ateny zrozumiały wreszcie, że Macedończyka pokonać można tylko najwyższym wysiłkiem oręża. Do rozstrzygającej z nim walki gotowały się z powagą.

Upalne lato wypilo wodę z Kefizosu, wyiskrzzone zaś gwiazdami sierpniowe niebo nie zapowiadało odmiany. Światło miesięczne tysiącami zimnych iskier rozsiało się na wodzie, rozbijanej przez głazy i progi skalne, które wynurzyły się z koryta górnego biegu rzeki, od źródeł w górach Oeta do skalnej bramy, utworzonej przez przedgórze Parnasu i Hedylionu.

Przedarłszy się tutaj, w równiny Beocji, rzeka zwal-

niała swój bieg i pogłębiała koryto o stromych gliniastych brzegach, w których cieniu sunęła cicho, pobłyskując jeno gdzieniegdzie srebrem na zakrętach. Wąska dotychczas jej dolina rozszerzała się przechodząc wreszcie w bagna i szuwary jeziora Kopias, w którym rzeka kończyła swój krótki bieg.

Położone u wejścia do skalnej bramy miasteczko Parapotamioi spało w ciszy księżycowej nocy, świecąc bielą kamiennych budynków na tle czarnej otchłani pogrążonego w cieniu skalistego wąwozu, przez który wiodła ścieżka z góry Parnasu, ku położonej na drugim krańcu pasma Amfissie.

Najłżejszy powiew nie poruszał liśćmi oliwnych drzew, rzucających swe ostre cienie na lśniącą biel ścian, ni pędami winorośli, którymi okryte były stoki schodzących aż ku miasteczku wzgórz. W ciszy tej trudno było domyślić się, że w Parapotamioi i dokoła obozują ponad trzydziestotysięczne sprzymierzone wojska Hellady, gdyby nie stojąca nad doliną kwaśna woń wyziewów końskich i kwiki gryzących się na pastwisku ogierów. Czasem też przerywał ciszę zaspany głos ludzki, gdy straże półgłosem podawały sobie hasła.

Zaciągano właśnie ostatnią zmianę, gdy księżyc schował się za górami. Mrok wpelznął w dolinę, cienie stały się głębsze, ale niebo niemal niewidoczne jeszcze odcinać się zaczynało od ciemnej masy wzgórz, zamykającej widnokrąg na wschodzie. Dzień zapowiadał się znowu upalny, tymczasem jednak powiew przedświtu przyniósł górski chłód i wilgoć jeziora. Ten i ów ze śpiących na stoku pod gołym niebem wojowników obrócił się na drugi bok, szczelniej otulając się chłajną, by dospać do niedalekiego już świtu. Spali spokojnie, choć w odległej o osiemdziesiąt jeno stadiów Elatei stał oddział hetajrów Filipa i tesalska konnica pod wodzą syna jego, Aleksandra. Słuchy już chodziły o jego zachwalstwie i lekkomyślności, choć nie osiągnął jeszcze wieku efeba. Ale uderzenie jazdy w wąskiej kotlinie, zamkniętej skalnym przesmykiem, gdzie jak w Termopilach setki mogły opierać się tysiącom, musiałyby skończyć się zupełną klęską. Pięknie wyglądał by tu jakiś napis, głoszący chwałę zwycięstwa helleńskiego



bohaterstwa nad chytrą barbarzyńcy, godny sąsiadować z dumnym jak Spartanin, prostym i krótkim jak miecz, a pełnym treści jak pieśni Homera napisem, wykutym na skale Termopil:

*Przechodniu! Pójdź oznajmić Lakedaimonom,  
Ze tu leżymy prawom ojczystym posłuszni.*

Aleksander stał jednak w Elatei już od roku blisko i nie próbował uderzenia. Stąd nie było ono możliwe, raczej od strony Delf lub Zatoki Korynckiej. Ale i tam przejście przez góry nie było łatwe, a skalista Attyka nie dawała odpowiedniego pola do walki zwartej falandze ni ruchliwej jeździe. Charidemos słusznie przypuszczał, że Filip zmierzać będzie do rozstrzygnięcia na równinach Beocji, dlatego stoi beczynnje.

Przedłużająca się jednak wojna ciężkim brzemieniem legła zwłaszcza na Atenach. „Trzy lata płaci się najemnika dla jednego dnia, w którym jest potrzebny” — jak mawiali Persowie. Ale ten jeden dzień w końcu winien nadejść. I obywatelom spieszo już było do swych wygodnych domów, do warsztatów i handlu. Skoro Filip nie uderza, należy samym poszukać rozstrzygnięcia. Dlatego też wodzowie wysłali podjazd do Elatei, by wy badać możliwość uderzenia, wojownicy jednak, choć nie w swych zdobnych talamach, spali spokojnie i głęboko, z tarczą i mieczem przy boku, miast hożej a stęsknionej małżonki.

Straż, stojącą u rozwidlenia dróg z Termopil do Teb i przez Cheroneę do Delf, również morzył sen przed świtem, ale otrzeźwił ją tętent idących w skok koni na kamienistej drodze. Jeźdźcy nie baczyli widocznie, że konie mogą nogi połamać w ciemności, a co najmniej na twardym podłożu poodbijać sobie kopyta. Ale już osadzili rumaki, a dowódca, nie wymieniając nawet zawołania, krzyknął do wojowników, którzy wyroili się na drogę:

— Budzić wodzów! Aleksander z jazdą tu idzie!

— Alboś ty oszalał, Hermiosie, albo on — odparł dowódca straży. — Szkoda budzić wodzów, gdy przed

świtaniem sen najlepszy. Jeżeli naprawdę tu idzie, to skończy wojować, nim na dobre zaczął.

— Na własne oczy widziałem. Różne szaleństwa trzymają się zielonych głów. Ale ponad dwa tysiące jazdy sam nie powstrzymasz. Tedy idź budzić Lizyklesa. Jego rzecz, co robić.

— Słusznie! — przytaknął Kallistratos. — Wdzięczność winniśmy Filipowi, że hipparchem mianował młokosa, który sił swych próbować chce tam, gdzie stary zbój przez rok nic nie zdziałał.

— Zapomniał widno jakiegoś Fojniksa przydać temu Achillesowi — zaśmiał się Hermios. — Tedy idź budzić starszyznę, bo czas ucieka, a kilkadziesiąt stadiów to nic dla jazdy.

— Idę. Zresztą i świt już wkrótce.

Jakoż niebo na wschodzie z granatowego czyniło się zielonawe i rozjaśniało się z każdą chwilą, a nim Kallistratos doszedł do budynków miasteczka, pasmo wzgórz na wschodzie obrzeżyło się złotym rąbkiem, a szczyty Parnasu zapłonęły różowym światłem jutrzeńki. Wschód był wspaniały i wrażliwy na piękno Kallistratos, mimo pośpiechu i podniecenia, oglądał się raz za razem jak urzeczony, szepcząc półgłosem wiersz „słodkiego śpiewaka” Mimnermosa:

*...na rydwan wsiada syn Hyperiona,  
znow się zaczyna jazda, wszystkim upragniona.*

Urwał jednak. W obozie dostrzegł niezwykle ruch i zamieszanie, a nim zapytał o przyczynę, sam ją zrozumiał. Z wąwozu, u wejścia do miasteczka, wysypywali się w nieładzie wojownicy. Światło wstającego dnia grało na pancerzach i tarczach hoplitów oraz na grotach włóczy peltastów. Szli bezładnie, z wyrazem pomieszania i znużenia na spotniałych mimo rannego chłodu twarzach.

Przyniesiona przez nich wieść obiegła już cały obóz. Lekka piechota Filipa posuwa się z Delf południowymi stokami Parnasu, by wojskom sprzymierzonym cdciać połączenie z Tebami, sam zaś król ruszył z Kitjmion wzdłuż rzeki. Stojące w Agorianie, Lilai, Ambrysos

i innych górskich miejscowościach oddziały sprzymierzonych ile tchu w płucach zdążyły teraz do Parapotamioi, by się z główną siłą połączyć. Ale przed świtem widzieli Macedończyków zmierzających ku przełęczy Kerata. Droga na Teby mogła być odcięta każdej chwili. Barbarzyńca, wbrew helleńskim obyczajom, zmierza widocznie do stoczenia rozstrzygającej bitwy uderzeniem z dwóch stron. Nie było czasu do stracenia. Kallistratos pognął jak na zawodach o wieniec na stadionie Olimpii. Rzekome „szaleństwo” Aleksandra teraz stało się zrozumiałe.

Ledwie słońce wychyliło się zza wzgórz, już wojska sprzymierzone cofały się długim wężem ku Cheronei. Dzielące je od Parapotamioi kilkanaście stadiów przebyli niemal biegiem i odetchnęli minawszy leżące na zboczu miasto, którego kuty w skale amfiteatr świecił bielą w blasku wschodzącego słońca. Wąwóz, którego wylot schodził w dolinę u podnóża stromych przedgórz Parnasu, był jeszcze pusty. Filip nie zdążył zaskoczyć tyłów sprzymierzonym wojskom. Jenó od strony Teb zbiegowie donieśli, że małe oddziały macedońskie rabują i palą położone na stokach wsie.

Upewniwszy się, że Filip nie zdołał ich okrążyć, wojska przysły do siebie po wstrząsie. Nie myślano już o bezkrwawym zwycięstwie, każdy wiedział, że bitwa jest nieunikniona, ale pomny na sławną przeszłość gotował się do niej z zapałem, by raz na zawsze położyć wreszcie kres roszczeniom barbarzyńcy do narzucania Helladzie swej roli.

W wojsku zapanował ład i spokój, cofało się jednak dalej, by wykorzystać pozostałą jeszcze przewagę wyboru najdogodniejszego pola bitwy. Po przebyciu trzech strumieni, zmierzających do Kefizosu, wódzowie zarządzili posiłek i wypoczynek, ale w bojowym już szyku. Mieniając się od kwiecia, rozległa w tym miejscu dolinę od południa zamykało pasmo stromych i urwistych wzgórz, a od północy zarosłe złotym kosaćcem, bagniste już tutaj brzegi Kefizosu zabezpieczały przed oskrzydleniem. Tu Filip nie będzie mógł zastosować swej taktyki okrążających uderzeń na skrzydła. Hellenowie narzuca mu taką, do jakiej nawykli sami: walkę

piersią o pierś, męża z mężem, jak za Homerowych czasów.

Po posiłku złożono ofiary. Wróżby były pomyślne: orzeł górski przeleciał z prawej strony, gdy ustawione już szyki odwróciły się twarzą ku północy, skąd nadejść miał nieprzyjaciel. Na zachód od tebańskiego gościńca do drogi na Labadeę, na pochyłym stoku wzgórza zabezpieczającego przed okrążeniem, lewe skrzydło zajęli Ateńczycy, środek sprzymierzeńcy pod tebańskim dowództwem, na prawym skrzydle zaś, sięgającym aż po rzekę, w obronie własnych już ognisk domowych najsilniejsze zastępy beockie pod wodzą Teagenesa, z jazdą w odwodzie, a „świętym hufcem” na czele, który nigdy jeszcze nie uległ nikomu. Dolinę zamykał jakby mur spiżowy. Tysiące serc biło zgodnym tętnem w żądry walki i zwycięstwa, a gdy wodzowie przejechali wzdłuż szyków, zagrzewając je wspomnieniem sławnej przeszłości, zapłon ogarnął szeregi. Sprzymierzeńcy z Peloponezu wzniesli pieśń, z którą na ustach Spartanie umierali do ostatniego pod Termopilami:

*Chwała temu, co walcząc za ojczyste łany  
Na czele jak bohater legnie pokonany...*

Pieśń niosła się po górach, oddawało ją echo, jakby śpiewał ją cały kraj. Podejmowało ją coraz więcej głosów, wypełniać zdała się dolinę, jak wzbierający potok:

*Walczmy mężnie za drogą ojczyzną i dziatki,  
Kiedy trzeba, krwi naszej wylejem ostatki...*

Zachłystywały się piersi zapłonem i wzruszeniem własną gotowością ofiary, a pieśń wzmogła się jeszcze, gdy na drodze od Cheronei ukazała się gromadka jeźdźców macedońskich. Zdać się mogło, że potęga dziesiątków tysięcy głosów, zwielokrotnionych odbiciem od skalnych ścian, zmyje nadciągających jak fala powodzi. Ale zbliżyli się spokojnie na strzelenie z łuku, skręcili z gościńca ku rzece i dotarli aż ku prawemu skrzydłu. Kilku zapaleńców oderwało się od niego i skoczyło naprze-

ciw. Macedończycy jednak zawrócili i odjechali klusem. Ścigały ich tylko słowa pieśni:

*Więc stójmy silnie jak mur, oczekując wroga.  
W wargi niech się ząb zatnie, w ziemią wryje*

*noga.*

Naprzeciw pieśni płynęła już milcząca fala macedońskich, tesalskich i etolskich zastępów. W jaskrawym świetle pogodnego dnia widać było, jak wojska Filipa rozdzieliły się na rozstaju dróg. Jazda zjechała na równinę, przebyła koryto strumyka Hajmonu i zmierzała ku prawemu skrzydłu helleńskiemu nad rzeką, z dala zaś znaczna lasem olbrzymich sarys falanga pedzetajrów zboczyła na drogę do Labadei, kierując się ku Ateńczykom. Wiadomo było, że falanga twarda w obronie, nie nadaje się do uderzenia, które wedle helleńskich obyczajów wykonać należało prawym skrzydłem jako honorowym. Ateńczycy liczyli na to i rozległy się wołania:

— Dzikus!

Gdyby Filip tutaj naprzód uderzył, Ateńczycy, stojący na górze stromego i kamienistego zbocza, mieliby widoczną przewagę. Szyk falangi musiałby się załamać, a w walce męża z mężem Hellenowie przeważali uzbrojeniem i wprawą. Trąby grały w macedońskich szeregach, które stały już gotowe do walki, gońcy biegali z rozkazami, po czym cisza zaległa dolinę, w której słyszeć niemal można było podnieceniem oczekiwania przyspieszone oddechy.

Filip jednak widocznie nie zamierzał pierwszy uderzyć. Z góry widać było wyraźnie, jak u kamiennego mostka na Hajmonie zatrzymała się gromadka zbrojnych, wśród których po olbrzymim wzroście poznano Parmeniona. Między nimi musiał być i sam król. Składał przed bitwą ofiarę, tych samych co i Hellenowie bogów prosząc o zwycięstwo. Potem dosiedli koni i odjechali się ku stojącym w gotowości oddziałom.

Filip w otoczeniu swych somatofilaków podjechał tak

blisko, że poznali go wszyscy. Na stoku zsiadł z konia i pieszo szedł do falangi. Kulał jeszcze, widocznie od rany odniesionej w trackiej wyprawie. Rozległy się śmiechy i wołania:

— Hefajstos! Gdy Zeus raz jeszcze tobą praśnie, nie pozbierasz się więcej!

— Siadaj na konia, bo nie będziesz mógł uciekać!

— Wracaj do domu! Ares śpi z twoją żoną!

Ale król nawet się nie obejrzał. Przeszedł przed frontem falangi, coś mówiąc do żołnierzy, opatrując szyk i rynsztunek. Potem zwrócił się do Antypatra, dowodzącego prawym skrzydłem macedońskim, wskazując na dolinę i, dosiadłszy konia, zjechał na gościniec. Widno wbrew swemu zwyczajowi nie zamierzał osobiście wziąć udziału w walce. Może nie czuł się jeszcze na siłach, ale posypały się za nim okrzyki:

— Huź! Huź! Opoju psiooki, jelenie masz serce, ale nie nogi!

Orzyki umilkły jednak zaraz, bo przed ateńskimi szeregami zjawił się Lizykles i podniósł rękę na znak, że chce mówić:

— Obywatele! Nim Helios rydwan swój na góry Parnasu zatoczy, broń wasza jako nowy liść wawrzynu w wieńcu helleńskiej sławy, obok Maratonu, Salaminy i Piątej, wplecie Cheroneę. Przed wami wolność! Naprzód!

Jak jeden mąż odpowiedzieli okrzykiem na cześć Enialiosa i po pochyłości ruszyli pędem na stojących w nizinie Macedończyków, niczym idąca z góry lawina kamieni. Trąby zagrały w macedońskich szeregach, pochylili się sarysy, że jeno błysk przeleciał po grotach. Ale widocznie zrozumieli, że nie wytrzymają uderzenia, bo nie odwracając się, krok za krokiem cofali się na stok, jak olbrzymi jeź uchodzący przed rozjuszonym brytanem. Ustawieni za falangą i na skrzydłach łucznicy i procarze wypuścili na Ateńczyków grad pocisków; pierwsza krew splamiła ziemię, ale hoplici dopadli już wroga. Jęki rannych zgłuszył wrzask, który jak grom przewalać się jął po górach. Krzykom zawtórował szcęk broni, trzask łamanych włóczni i ł-

skot tarcz bitych mieczami i uderzających wzajem o siebie.

Na wzgórzu przy drodze stał Filip i patrzył na rozpoczynającą się bitwę. Twarz miał spokojną, zdał się nad czymś namyślać. Mimo sprzeciwu ostrożnego Parmeniona, dowodzenie uderzeniowym skrzydłem powierzył Aleksandrowi. Wiedział, że syn uważa jego taktykę za zbyt przewlekłą. Doniesiono królowi, że Aleksander powiedział, iż na to, czego ojciec dokonał w dwanaście lat, jemu starczyłoby dwa. Filip odparł jeno:

— I ja tak myślę.

Teraz jednak . widocznie powstała w nim obawa, by zapalczywość nie poniosła niedoświadczonego młodzieńca. Zwrócił się do Parmeniona z uśmiechem:

— Mówiłeś: *me pa idi machajra* — nie dawać chłopcu miecza. Jedź tedy do Aleksandra. Poważa cię, możesz mu doradzać.

Parmenion ruszył z miejsca wyciągniętym kłusem. Rozumiał słabość Filipa do syna, bo i on ją żywił do swego pierworodnego, Filotasa, który przyjaźnił się z Aleksandrem. Wódz miał nadzieję, że dzięki swym zdolnościom syn jego zajmie kiedyś przy młodym władcy miejsce, jakie on sam zajmował przy Filipie. Ale by się to spełniło, obydwaj muszą dożyć dnia, gdy władzę obejmie Aleksander. Parmenion, który znał niemal każdego ze swych żołnierzy, znał też od dzieci hufiec przyboczny Aleksandra. Byli w nim i obaj młodszy synowie, Nikanor i Hektor. Gromada straceńców którzy nie cofną się przed niczym. Innych królewicz nie zaszczycił wyborem. Filip śmiał się mówiąc, że gdy Aleksander królem królów zostanie, królami będą jego towarzysze. Może sprawdzi się i ta przepowiednia, ale dzisiaj trzeba przebyć próg, na którym może legnie niejeden.

Filip patrzył w ślad za odjeżdżającym wodzem, ale zaraz wzrok jego pobiegł ku falandze. Natarcie ateńskie było tak gwałtowne, że w stu bitwach zahartowana falanga ugięła się: nie pękła jednak i odcinając się ustępowała krok **za** krokiem, ruch ten jednak oderwał le-

we jej skrzydło od etolskiej piechoty, stanowiącej środek wojsk Filipa. W powstałą lukę wdarli się helleńscy peltaści zabiegając tyły. Na ten widok Stratokles, dowódca ateńskich hoplitów, pewny już powodzenia, krzyknął potężnym ponad gwar bitewny głosem:

— Naprzód! Musimy iść za nimi aż do Macedonii!

Uderzyli z nową zaciekłością i ruch wsteczny falangi przyspieszył się, a linia zaczęła falować. W kilku miejscach Ateńczycy wdarli się w powstałe wyrwy, ale falangiści z dalszych szeregów wstępowali na miejsce poległych towarzyszy. Falanga kurczyła się, daremne jednak były wysiłki, by ją rozerwać i doprowadzić do walki męża z mężem. Wówczas długa macedońska sarysa stałaby się zgoła nieprzydatnym orężem wobec krótkich włóczni i mieczów attyckich. Stratokles parł, walcząc w pierwszych szeregach, w nadziei, że falanga, przyparta do stromego i poszarpanego zbocza, nie zdoła utrzymać linii i pójdzie w rozsypkę. Dwukrotnie ranny jednak musiał ustąpić, a i hoplici jego coraz częściej chwyтали oddech spieczonymi wargami. Gdy nie stało przykładu i zachęty Estratoklesa, z tylnych szeregów raz po raz wymykał się ktoś, zbiegając w dół do sączącego po kamieniach swe czyste pody strumienia, by ugasić pragnienie, nieznośnie dręczące znużonych już Ateńczyków w przybierającym skwarze letniego dnia, na stoku naświetlonym słońcem. Wreszcie walka ustała i wrogowie, dysząc chrapliwie, patrzyli jeno na siebie. Wówczas ateńscy dowódcy dali rozkaz cofnięcia się do strumienia, by dać oddech znużonym pierśiom i napoić spragnionych. Falanga w jednej chwili wypełniła luki, wyrównała wygięty front i stała czekając na rozkaz. I jej gardła wysuszyło pragnienie, ale zahartowany w trudach żołnierz stał spokojnie i patrzył, jak gasi je nieprzyjaciel. Teraz oni uderzać mogą z góry — nic ich nie wstrzyma od wody. Ale czekali cierpliwie. Król wie najlepiej, kiedy trzeba zaczynać.

Widoczny z dala, na wzgórzu przy drodze stał Filip i patrzył na bitwę. Gdy Ateńczycy odstąpili, powiedział spokojnie do przywódcy przybocznej agemy, Alkima-cha:



— Ateńczycy nie umieją zwyciężać. Wygrywa się ostatnim tchem.

Obojętnie odwrócił się i patrzył na odległy kraniec lewego skrzydła wojsk, gdzie główną rolę w bitwie, która rozstrzygnąć miała o losie obu stron, powierzył synowi. Męstwa jego był aż nazbyt pewien: dał Aleksander jego dowody pod Peryntem i w górach Haemos. Ale Filip zwykł mawiać, że męstwo jest zbyt małą zaletą dla wodza. Czy Aleksander, który sameму ojcu odmawiał już posłuszeństwa, zechce słuchać Parmeniona i nie pozwoli się ponieść niepohamowanej naturze? A miał przeciw sobie najliczniejszą część wojsk sprzymierzonych Hellady, okrytą świeżą jeszcze chwałą zwycięstw Epaminondasa. Twarz Filipa spokojna była i nieprzenikniona jak zwykle w bitwie, ale nie uszło uwagi Alkimacha, że król jakby sam zamierzał ruszyć na lewe skrzydło, trącił kilkakrotnie konia piętami, lecz powściągał go zaraz. Może i ojcowski niepokój targnął nim, bo zamęt na dalekim krańcu równiny był straszliwy, a wrzask dochodził aż tutaj. Odwrócił oczy. Jest wodzem i myśleć wolno tylko o zwycięstwie. Wskazując Alkimachowi peloponeskich peltastów, którzy nacierali na etolczyków od skrzydła, powiedział krótko:

— Wymieść!

Stał jeszcze przez chwilę patrząc, jak strateg wykona rozkaz, po czym zjechał ze wzgórką i ruszył do swojej falangi. Nie wiedział nawet, że wzrokiem śmiertelnej nienawiści patrzy na niego ze zbocza Demostenes. Teraz król nie myślał już o nim. Gdy doszło do rozstrzygającej walki, mówca był dla niego niczym.

To samo, gryząc wąskie wargi, musiał uświadamiać sobie Demostenes. Dla przykładu włożył pancierz i wziął tarczę hoplity z wyrytym napisem, który miał być wróżbą: „Agatę Tyche” — pomyślny los. Teraz czuł, że pierś, choć wypełniona nienawiścią, nie wypełnia jednak pancierza, a dłonie nawykłe do ryłca i tabliczki drętwieją od tarczy i włóczni. Tu mędrszy od niego jest każdy drwał macedoński. Z wyczerpania cmiły mu wzrok czarne płaty, a umysł myśli. Patrzył

na widnego z dala Filipa jakby ze zdziwieniu, że nienawiść, choćby największa — nie zabija.

Parmenion popędził konia i dopadł Aleksandra, gdy stał jeszcze w otoczeniu towarzyszy, którzy czekając na rozkaz uderzenia zabawiali się wymianą obelg ze stojącym naprzeciw „świętym hufcem” tebańskim, wybranym z tysięcy i związanym na śmierć przysięgą. Z ponurą twarzą czekali, kiedy im przyjdzie umrzeć lub zwyciężyć. Dotychczas nie pokonał ich jeszcze nikt.

Odległość była niewielka, tak że nie tylko słowa dołatywały wyraźnie, ale spod hełmów rozróżnić można było twarze wielkich i ciężkich wojowników. Nieobrotni w języku, nie chcieli stawać do walki na słowa z wyszczekanymi i zuchwałymi młodzikami, ale widać było, jak twarze ich czerwienieją z gniewu.

— Na co czekacie, muły? Na pastucha, który by was batem popędził? — wołał Filotas.

— Śpiewali przecie, że nogi im wrosły w ziemię. Spróbujemy, czy się wyrwać nie dadzą! — krzyknął ze śmiechem Krateros.

— A wargi tak się zacięły, że słowa przepuścić nie mogą — zadrwił Perdikkas.

— Nie bój się, zacznę wrzeszczeć, jeno im zęby zadzwonią ze strachu.

Chóralny śmiech zagłuszył jakąś odpowiedź z przeciwnej strony, a Leonnatos krzyknął:

— Powtórz! Chcę zapisać twe wiekopomne słowa, by je wyrycić na twym grobie.

— Tedy psu pod ogonem, bo w psich brzuchach będzie ich grób — dołał oliwy do ognia Nikanor.

— Miłośników pochowamy razem z oblubieńcami. Niech raz się należą do syta — powtórzył plugawą plotkę złośliwy Antygonos.

Znowu wybuch śmiechu zagłuszył odpowiedź, lecz umilkł, gdy wśród młodzieży zjawił się Parmenion. Teraz wyraźnie doszły obelgi i groźby doprowadzonych do wściekłości tebańskich wojowników. Widać było, jak dowódca przemawia coś do nich, powstrzymując

rozpalonych gniewem od nieopatrzego rzucenia się na zuchwałych kpiarzy, przez co złamałby się szyk.

Wśród tej wrzawy milczący stał obok swego konia Aleksander. Bukefalos, podniecony i zaniepokojony krzykami, bił kopytami niecierpliwie, ale pan jego zdał się ich nie słyszeć. Zwyczajnym swym ruchem odrzucił odkrytą jeszcze głowę w tył, z lekka przechylając ją na lewe ramię, a zamyślane, niemal rozmarzone oczy utkwił w przestrzeni jak ptak, który, nim wzbię się do lotu, patrzy na przyszły szlak podniebnej swej wędrówki.

Gdy Parmenion zbliżył się i wrzaski ucichły, z tebańskich szeregów doleciało wyraźne wyzwanie:

— Bękarcie barbarzyński! Spuść swoją sforę. Oduczy-my ją szczekać!

Aleksander drgnął z lekka. Spojrzeniem wrócił na ziemię i oczy jego pobiegły ku zuchwalcowi, który górując głową nad towarzyszymi, stał w pierwszych szeregach, olbrzymi i szeroki jak pień, potrząsając jak Herakles groźnie maczugą. Dzikie, rozognione oczy utkwił w Aleksandrze, ślubując hekatombę bogom ojczystego miasta, jeśli uda mu się w krwawą miazgę roztrzaskać tę głowę, której spokojne piękno drażniło go bardziej niż wymyślne obelgi towarzyszy królewicza. Nie mógł przewidzieć, że dla Teb trzęsienie ziemi mniej groźne byłoby w skutkach niż jego słowa. Aleksander skinął na konia, by przykląkł, i dosiadł go, gdy Parmenion, zbliżywszy się, powiedział:

— Król chce, by nieprzyjaciel naprzód wysilił się uderzeniem.

— Nie tarczą rozstrzyga się walkę, lecz mieczem — odparł Aleksander.

Parmenion widząc już, że królewicz ani myśli słuchać, zapytał:

— Jak zamierzasz uderzyć?

Czerwone wargi Aleksandra rozchylił się w dziecinym niemal, przekornym uśmiechu:

— Tak, by rozegnać jak wicher kurza'wę — odparł. — Sam zobaczysz.

Stał przez chwilę, zdając się nasłuchiwać. Skinął na stojącego obok trębacza, rozkazując:

— Graj, by jazda uderzyła.

Przeciągłe dźwięki spiżu zagłuszyły ludzkie głosy, a potem zabrzmiały krótkie, jeden za drugim, pochwycone zaraz jak (chem w szeregach tesalskiej jazdy stojącej nad rzeką. Równina zadrżała od tysięcy kopyt i straszliwa wrzawa wypełniła dolinę aż do wzgórza Akontion. Tesalczyki starli się już z ustępującymi liczbą jeźdźcami oddziałami sprzymierzonych, które miały jedynie chronić wojska beockie od pierwszego uderzenia i zmniejszyć jego siłę. Toteż odcinając się tylko, jazda helleniska odstępowała wlewając się w przerwy między pieszymi oddziałami tebańskimi, by dostać się na ich tyły i tam czekać, kiedy przyjdzie pora, by na rozbitych i rozproszonych nieprzyjaciół uderzyć. Kto z Tesalczyków zapędził się za jazdą w te przesmyki najeżone setkami włóczy, ginął. Wstrzymali pęd, a Beoci zwarli szeregi i cięli się już z jazdą, stojąc twardo, jakby nogi ich istotnie wrosły w ziemię. Na tesalskich jeźdźców zaś sypnął, się grad strzał i kamieni.

Aleksander znowu skinął na trębaczy i na dany sygnał w lukę powstałą po jeździe wtargnęli agriańscy łucznicy. Szereg ich pochylił się, gdy napinali cięciwy na potężne łuki, po czym, wysypawszy kołczany u swych stóp, z nieporównaną wprawą ponad głowami własnej jazdy i szeregami tebańskich hoplitów szyc jęli w stojące z tyłu oddziały procarzy i łuczników. Strzały szły nieprzerwanym ciągiem jak stada szarańczy, ze zjadliwym sykiem siejąc spustoszenie wśród niechronionych tarczą ni pancerzem wojowników. Grad pocisków idących na tesalską jazdę zrzędł. Natarła z nową siłą i miejscami beockie szeregi zakolebały się, ale nie puściły. Zaciętość obu stron wzrastała, obie ciałami ścieliły pole, ale widoczne już było, że jazda nie przełamie beockich szyków.

Aleksander patrzył na walkę spokojnie, a lekka zmarszczka przecięła jego gładkie czoło. Parmenion, który znał królewicza, dostrzegłszy ją, przysunął się:

— Każ cofnąć się jeździe — powiedział — bo pęd stanowi jej siłę i darmo giną. Niech peltaści zmiękczą tę ścianę, a potem jazdą dokończysz.

Aleksander wskazał ręką na wysoko już stojące słońce i rzucił:

— Powstrzymaj je!

Może chciał powiedzieć, że czas ucieka, a może miał na myśli, że łatwiej powstrzymać bieg rydwanu Heliosa niż jego. W tej chwili bowiem zwrócił się do stojącego na czele ili królewskiej Kraterosa i krzyknął:

— Pokażemy Tesalczykom, jak jazda uderza!

„Święty hufiec” tebański, grot i tarcza wojsk sprzymierzonych, głębiej zaczerpnął oddechu w potężne pierś. Wojownicy rozkraczyli się szerzej, szerzej otworzyły się oczy, by w porę uchwycić uderzenie, i zwarły się wyborowe oddziały obu wojsk, przeznaczone do rozstrzygnięcia bitwy. Aleksander parł do niego, tam zaczynając, gdzie kończyć należało. Trzystu twardych i wyćwiczonych wojowników bez zmużenia powiek stawilo czoło szaleńczemu uderzeniu stu pięćdziesięciu jeźdźców liczącej ili, która sławie zwycięzców spod Leukry i Mantinei miała do przeciwstawienia własną żądzę sławy, sile i doświadczeniu — młodość i lekceważenie śmierci. A wśród tych stu pięćdziesięciu szaleńców byli wszyscy trzej synowie Parmeniona. W straszliwym ścisku i zamęcie wódz darmo jednak wysilał oczy, by wypatrzeć w nim ich postacie, jakby żdźbło trawy wyłowić chciał w odmęcie wodospadu. Muszą być koło Aleksandra, którego pozłocisty hełm z purpurową kitą migał w słońcu, w samym środku wiru ciał ludzkich i końskich.

Potężna pierś Parmeniona podniosła się westchnieniem, potem głębiej zaczerpnęła oddechu. Stary wódz żgnął konia i skoczył w wir walki. Gdy wszystko rzucone na szalę i jego ramię zaważy.

Tebanie nie przynieśli ujemy swej sławie. Walczyli z nieporównaną zaciekłością i wprawą. Zwarli się, osadzili jazdę w miejscu i ciosem odpowiadali na cios. Skrzydła jednak macedońskiej jazdy nie napotkały takiego jak ich oporu i od jednego zamachu wyłuskały „święty hufiec” z pozostałych szeregów beockich, jak płomień wżerając się w stojące po obu stronach oddziały. Powstał w nich zamęt i popłoch. Kto jeno plecy odwrócił, ginął, ale Macedończycy nie puścili się za

uchodzącymi, lecz obskoczyli „święty hufiec” dokoła. Wodzowie helleńscy, widząc to, jeszcze usiłovali zamknąć powstałe luki, ale za zajadłą sforą agemy Aleksandra i ilą królewską wciskali się już macedońscy peltaści i całe skrzydło beockie zakolebało się. Aleksander jeno kątem oka ogarnął pole bitwy, krzyknął na swoich i na ich czele rzucił się na — twardo jak głaz wśród odmetów stojący — zastęp tebański. Iskry sypały się od ciosów, i choć hufiec nie pękł, ale kurczył się i kruszył. W nieopisanym ścisku tylko pierwszy szereg odpowiadać mógł ciosem na cios. Tebańczycy w ponurym milczeniu ginęli coraz gęściej. W miarę jak walka przeciągała się, serca Teban zaczynała ścisnąć pewność, że trzeba wyginąć do ostatniego. Nie śmierci się jednak lękali, bo z własnej woli przysięgali zginąć, a nie cofnąć się. Legną jak Spartanie pod Termopilami, ale śmiercią, jak tamci, nie kupią wiecznej sławy i zbawienia ojczyzny. Ją czeka zguba, a ich zapomnienie.

Nie było jednak już czasu nawet na rozpacz. W miarę jak zmniejszało się kolisko, oczy wszystkich kierować się zaczynały na młodego wodza macedońskiego, od początku walczącego w pierwszym szeregu. Czarny koń jego raz za razem wspinał się ponad falę głów i jak z chmury spadały na nie ciosy niespodziane i nieodparte jak grom Zeusa. Może to sam Ares przybrał na siebie postać tego młodzieńca o spokojnych, błyszczących oczach w lekko jeno zarumienionej twarzy, dziewczęcej niemal piękności. Choć rzucał się na niego, kto żył, nikt nie zdołał nawet drasnąć jego gładkiej, białej skóry, jakby go matka wykąpała w Letejskim strumieniu.

Tebański hufiec topniał jak bryła śniegu w południowym słońcu i już jeno kilkunastu ludzi skupiło się dokoła potężnego Nikostratosa, który skruszywszy miecz, maczugą miejsce czynił dokoła siebie. Od strony gdzie on walczył, najzuchwalsi nie wazyli się przystąpić i na mgnienie oka walka ustała. Za plecami posłyszał dźwięczny głos:

— Zwróć no się do barbarzyńcy, Heraklesie!

Nikostratos obejrzał się i w przekrwionych jego

oczach zaświeciła radość pomieszana z wściekłością. Nie umrze darmo. Roztrącił towarzyszy, którzy oddzielali go od Aleksandra, i skoczył wznosząc maczugę. Walka ustała jak uciał, wszyscy wstrzymując oddech patrzyli na przeciwników, jak Trojanie i Achajowie na spotkanie Hektora z Achillesem.

Ale nie nasycili oczy widowiskiem. Maczuga Nikostratosa nie na głowę Aleksandra spadła, lecz wraz z uciętą ręką na ziemię, a za nią potoczyła się jego głowa. Nim okrzyk zdołał wydrzeć się z piersi towarzyszy poległego, rozniesiono ich na mieczach. „Święty hufiec” dopełnił przysięgi.

Parmenion odetchnął z ulgą, widząc synów żywych i całych, jak wraz z innymi rzucili się, by uściskać Aleksandra, krzycząc na jego cześć. Ale on odgarnął ich ręką, donośnym głosem przywołał zastęp do sprawy i, nie dając ni chwili oddechu, na jego czele runął na związany jeszcze walką środek wojsk sprzymierzonych. A już tesalska jazda parła konie przez bezładne gromady cofających się wrogów. Obalając wszystko po drodze, Aleksander pognął ku ateńskiemu skrzydłu, znowu zmagającemu się z falangą.

Filip patrzył, jak ateńscy wojownicy chleptali wodę, czerpiąc ją rękoma lub hełmami, zlewali nią uznożone czoła lub zanurzając głowy, pili wprost ze strumienia. Wiedział, że i jego pedzetajrowie nie są z głazu, pragnienie dręczy także ich. Znał to uczucie równie dobrze jak przepicie i wiedział, że gdyby sam Kakos bronił im dostępu do wody, nie zawahają się. Ale znał także żelazną karność i wytrzymałość swych ludzi. Woda — po zwycięstwie! Zwrócił oczy ku równinie. Daleko na lewym skrzydle wicherzył się tłum, Aleksander musiał już uderzyć. Filip zmarszczył z lekka brwi i skinął na „chłopca królewskiego”, krewniaka Attalosa, młodego Pausaniasa z Beroi, syna Aretesa, który dziecinnymi jeszcze oczyma patrzył na swego króla z uwielbieniem.

— Biegnij co sił do Antypatra. Niech natychmiast

uderza, a nie zatrzymuje się przy strumieniu. Czemu stoisz jeszcze? — krzyknął.

— Dziś skończyłem, królu, osiemnaście lat. Czy pozwolisz mi walczyć?

Filip klepnął chłopca po ramieniu:

— W samą porę skończyłeś. Masz tu mój miecz, ja dziś walczyć nie będę. Pomnij, że walczysz za mnie, byś wstydu mi nie przyniósł. Ja zwykłem zwyciężać.

— Nie zapomnę i zwyciężymy! — krzyknął Pausanias już biegnąc. Gdy oddalił się kilkanaście kroków, odwrócił się i zawołał: — Oszukałem cię królu. Kończę dopiero jutro.

Filip zaśmiał się, pogroził chłopcu pięścią i wzrok skierował na bitwę.

Ateńscy dowódcy zaczęli właśnie ład wprowadzać w rozsypane szyki, zamierzając ponownie uderzyć na stojącą w milczeniu, jak ściana, falangę, gdy zabrzmiały dźwięki trąb macedońskich i jak pień toczący się po pochyłości pedzetajrowie ruszyli na attyckie szeregi. Pierwszym rozpędem zepchnęli je w koryto strumienia i sami z kolei przeć jęli pod górę, aż przyparli lewe skrzydło ateńskie do stromej skały Petrachos.

Stąd rozlegał się widok na całą szerokość doliny, ale mało który z Ateńczyków mógł oczy oderwać od nacierającego wroga, by spojrzeć na nią. Tym jednak, którzy spojrzeli, serca zadygotały. Jak fale wzburzonego morza toczyły się tamtędy gromady uciekających w popłochu wojsk sprzymierzonych, w poprzek zaś, jak gna na wichrem triera z bogiem wojny na rufie, przerzywał się klin pancерnej jazdy macedońskiej, obalając wszystko po drodze. Szczyt jego dosięgał już tebańskiego gościńca, przeszedł go i mierzył w plecy ateńskich szeregów. Na stoku jeźdźcy zeskakiwali z koni i jak kozy darli się z głazu na głaz w górę, odcinając odwrót na Teby. Na tyłach ateńskich wszczął się popłoch, co widząc Antypater napał i szyki ateńskie rozprysnęły się. Nie stawiały już oporu, każdy myślał jeno, by dostać się na gościniec do Labadei, zanim odcięta zostanie i ta droga odwrotu, który zmienił się już w bezładną ucieczkę.

Na czele uciekających pędził Demostenes. Rzucił tar-



czę z symbolicznym napisem, w tej chwili myślał tylko o jednym: by nie dostać się w ręce Filipa. Nie o życie się lękał, ale wiedział, że jego zgon oznaczałby koniec oporu Hellady. Na widok macedońskich wojowników, zabiegających drogę po stoku, rzucił się w ścianę głogów i tarniny, która zastąpiła mu przejście. Zostawił na niej płaszcz, kolce darły mu skórę, ale nie baczył na to, gnany jedną myślą: Hellada nie może ugiąć się przed barbarzyńcą, a bez Demostenesa opór jej skończy się w tej krwawej dolinie.

Tymczasem opór dawał jeszcze tylko oddział hoplitów ateńskich, który, przyparty przez falangę do ściany skalnej, a teraz obkoczony od skrzydeł przez sforę Aleksandra, nie miał już odwrotu. Gdy reszta, rzucając broń, bezładnymi gromadami pędziła do Labadei, oni stłoczeni ciasno bronili się z rozpaczą. Ale już z góry sypały się na nich głazy, miażdżąc i łamiąc, i opór malał, aż zgasł. Coraz to któryś rzucał tarczę i wyciągał rękę na znak poddania, aż uczynili to wszyscy.

Słońce pochyliło się tymczasem i cień pełznął na dolinę od wyniosłych szczytów Parnasu, przeszedł rzekę i pięć się jął po stokach Akontionu. Wkrótce już tylko szczyt góry płonął gasnącym światłem ostatniego dnia helleńskiej swobody: drugiego dnia miesiąca Metageitnion, trzeciego roku, sto dziesiątej olimpiady.

Filip w otoczeniu swej agemy, z Antypatrem i Alkimachem przy boku, skierował się na gościniec, by złożyć ofiarę dziękczynną i odebrać od wodzów sprawozdanie o stratach i łupach, a potem zarządzić biesiadę dla uczczenia zwycięstwa. Tam dopadł go Parmenion. Wskazując na dolinę, powiedział:

— Nie wiem, czy to po twojej myśli.

Tesalska jazda ruszyła właśnie w pościg za nieprzyjacielem. Na jej czele po karym koniu i zbroi można było Aleksandra. Król zmarszczył brwi i skinąwszy na trębacza, kazał podać jeździe sygnał

do powrotu. Zwracając się do Parmeniona rzekł z lekkim wyrzutem:

— Wiesz, że nie potrzeba więcej krwi, by zawrzeć taki pokój, jaki mnie jest potrzebny.

— Powiedz to swemu synowi. On jest hipparchem, nie ja, sam mi tak rzekł.

Król uśmiechnął się, a uśmiech nie schodził z jego twarzy, gdy jazda tesalska sprawnie zawróciła, do stojących zaś podjechał Aleksander z Hefajstionem i Kraterosem i zeskoczywszy z konia, przystąpił do ojca. Filip ogarnął syna ramieniem, mówiąc;

— Na ucztę idziemy. Bitwa skończona.

— Bitwa. Ale nie wojna. Ja bym ją skończył na tej jednej — odparł Aleksander nie oddając uścisku.

— I ja ją skończę bez dalszych — odparł Filip widocznie podrażniony, gdyż dorzucił ostro:

— Wolę zwycięstwa bez bitwy, bo są tańsze. A sławę ich nie potrzebuję dzielić się nie tylko z każdym żołnierzem, ale nawet z tobą.

Aleksander nic nie odrzekł, lecz wraz z towarzyszami, wycofawszy się z grona widzów, skierował kroki ku rzece. Szli jakiś czas w milczeniu, które przerwał Aleksander:

— Filip woli układy niż wojnę, a pijatykę niż bitwę.

— Ojciec twój lubi wszystko, w czym upust może dać swojej dzielności — odparł Krateros. — A i my, czyż wszystko wino wylewamy bogom na ofiarę? Ja sam napiję się dziś chętnie. Gorący był dzień!

— A dziewczki sam byś polubił, gdybyś raz spróbował — dorzucił Hefajstion.

— Aristandros przestrzegał króla, że drogo za dziewczki zapłaci...

— Płaci im drogo — zaśmiał się Krateros. — Za wrózby zaś, wiadomo, płaci nie ten, kto ich żąda. Pytanie płaci Filip, Aristandrosa zaś...

Urwał, bo Aleksander spojrzał na niego przenikliwie; przeskakując ciągnął:

— Zobaczysz, jak trudno się przed dziewczkami opędzić temu, na kogo patrzą wszyscy. Gdybyś sam z tego korzystał, przestałoby cię to mierzić u innych.

— U was mnie to nie mierzi — odparł Aleksander

patrząc z przyjemnością na potężną postać Kraterosa i niemal olbrzymią Hefajstiona, uderzającej męskiej urody. — Ale na Filipa każdy chce wpływ wywierać przez dziewczki. I wy pomnijcie, że nawet Heraklesa zgubiła niewiasta.

— Dziewki to taki dziwny towar, że wiele ich mniej kosztuje niż jedna — zaśmiał się Krateros. — I ty nie lękaj się, by przez nie ktoś opętał króla. Zbyt wiele ich jest i zbyt łatwo mu przychodzą. Przestań patrzeć na to oczyma matki.

— Sam widzę, że Attalos własną siostrzenicę mu podsuwa.

— To dziecko niemal. Ty nie znasz Attalosa, a Attalos zna króla. Toteż pilnuje jej jak oka, bo wie, że król nie zwykł pytać o przyzwolenie, ni o lata, zwłaszcza gdy podpije.

— Ja znam Attalosa.' Żal by mi było Eurydyki... — Aleksander urwał w zamyśleniu.

Hefajstion wiedział, o czym myśli przyjaciel, i wzdrygnął się. Po chwili milczenia wtrącił:

— Pamiętaj, że Attalos jest zięciem Parmeniona.

— Parmenion służy już trzeciemu królowi — odparł Aleksander. — Tak samo będzie służył czwartemu...

Urwał i zamilkł. Myśli ich zaszły już tak daleko, że słowa zaczynały być niebezpieczne. Wiedzieli, że nad głową króla najgroźniejsze chmury gromadzą się w jego własnym domu.

Aleksander zapatrzył się w gasnące zorze wieczoru. Myśli jego odwróciły się widocznie ku bitwie, bo rzekł niespodzianie:

— Filip lęka się wejść do Aten, jak chłop lęka się wejść do świątyni. Ja byłbym tam za trzy dni i z Akropolu podyktowałbym Helladzie macedoński pokój.

Doszli nad rzekę, gdzie jazda poła konie. Ruch tu panował i gwar. Aleksander polecił postawić dla siebie namiot na uboczu, pod samotnym dębem, po czym, zdjawszy zbroję i szaty, wypluskać się poszedł w górę rzeki. Gdy powrócił, Hefajstion rzekł:

— Czas nam zbierać się na ucztę.

— Idźcie. Ja zostanę.

Wszedł do namiotu i wyjął „Iliadę”, dar Arystote-

sa, którą zawsze woził ze sobą i wraz ze sztyletem miał pod zagłówkiem. Rzucił się na polowe łoże i przy świetle oliwnej lampki zatopił się w czytaniu.

Księżyc wschodził już i rozdzielał półmrok na światła i cienie. Mleczną bielą zalśniły budynki miasteczka na stoku, w którym panował ruch i gwar, a skrzepłe już kałuże krwi na równinie szczeniały. Z zimną miesięczną poświatą klócić się zaczynały czerwone blaski ognisk, które, zapalając się jedno za drugim, wyparły światło i spokój księżycowej nocy nad polem umarłych. Dymy przytłumiły surowy zapach krwi, wonie potu i odchodów i rozwlekając się w stojącym powietrzu rudawą zasłoną, zakryły przed spojrzeniem księżycyca przygotowania do uczty, jaką Filip wyprawiał swym zwycięskim wojskom. Przed walką i podczas niej król żądał od wszystkich wyrzeczeń i wysiłków nad ludzką miarę. W Elatei kazał wysmagać i wygnać z kraju dwóch ilarchów za to, że sprowadzili do obozu heterę. Po zwycięstwie wolno było wszystko. Toteż wśród żołnierskiego gwaru słyhać było głosy niewiast, które z miasteczka ciągnięto na biesiadę. Mężowie ich i ojcowie w więzach oczekiwali swojego losu wraz z przeszło sześciotysięczną gromadą jeńców wziętych w bitwie — lub wraz z nimi kopali nad Kefizosem sto łokci długą i szeroką mogiłę, w której spocząć mieli ci z macedońskich wojowników, którzy na ucztę już nie przyjdą. Leżeli długimi szeregami nad brzegiem rzeczutki, czekając na swe ostatnie łoże, milczący i zwarci jak falanga przed bitwą, a czerwone światła pochodni, odbijając się w szklistych oczach, dawały im pozory życia. Trupy helleńskie natomiast, obdarte ze zbroi i szat, leżały w dzikim bezładzie po całym poboju, a między nimi już włóczyły się głodne psy.

W jednym miejscu uprzątnięto zwłoki poległych i jeńcy ściągali z miasteczka stoły, legowiska i naczynia na ucztę dla króla i jego orszaku.

On sam wyjechał nad rzekę i zsiadłszy z konia, przechodził szeregi poległych, odbywając ostatni przegląd.

Szedł w milczeniu, kulejąc i zataczając się czasami, bo już był podpity, a na oblicze jego występował gniew. Światła pochodni uwydatniały żyły nabrzmiałe na jego gładkim czole. Przystanął i przez chwilę patrzył w milczeniu. Potem zdjął wieniec, którym przybrane miał skronie, i cisnął go na zwłoki. Odwrócił się i rzekł:

— Chodźmy pić.

Dosiadł konia i zawrócił go, gdy od straży przypadł goniec, oznajmiając przybycie herolda od Ateńczyków. Zły uśmiech pojawił się na twarzy króla. Kazał sprowadzić posła i czekał.

Ukazał się poważny mąż z laską herolda w rękę, który skłoniwszy się przed Filipem, zaczął:

— Bogowie dali ci, królu zwycięstwo. Z ich nakazu poległym należy się ostatnia cześć i spoczynek. Pozwól, byśmy i my je swoim oddali.

Król napał koniem na herolda i krzyknął:

— Bogowie nie dają zwycięstw głupcom! Wynos się stąd, bym i ciebie psom cisnąć nie kazał!

Herold cofnął się i pobladł, lecz odparł śmiało, choć głos trzął mu się ze wzburzenia:

— Posłów szanują nawet barbarzyńcy...

— Ale nie Ateńczycy. Czy mam ci przypomnieć, że pojmałście mego Nikiasa i wykupywać go musiałem? Tedy dziękuj mi, że cię puszczam wolno, bo mogłoby Atenom nie starczyć na okup jeszcze i za ciebie. Idź więc, bym się nie rozmyślił.

Odwrócił się i skinąwszy na swój orszak, odjechał. Herold wolno, z opuszczoną głową szedł przez pobojo-wisko, a po jego poważnym obliczu spływały łzy.

Filip pił do świtu, gdy zaś pojaśniało, zamiast udać się na spoczynek przystroił się w girlandy i każąc wozom iść ze sobą poszedł obejrzyć jeńców. Zgromadzo-no ich wzdłuż gościńca tebańskiego. Chłodna noc bez ognisk i pożywienia, po całodziennym wysiłku, wybiła już piętno niewoli na wynędzniałych twarzach. Widniało na nich otępienie lub rozpacz. Wstawali, gdy przechodził król z orszakiem, ale oczyma uciekali przed spojrzeniem Macedończyków.

Król w milczeniu przeszedł obojętnie koło wziętych do niewoli sprzymierzeńców ateńskich. Gdy mijał Te-

ban, twarz mu zmierzchła. Ateńczycy stali na końcu. Doszedłszy do nich, Filip przystanął. Nagle roześmiał się i ruszył skandując wstęp do uchwały, którą odmówiono przyjęcia jego poselstwa. Klaszcząc w ręce do rytmu, powtarzał raz po raz:

— Demostenes, syn Demostenesa z Pajanii...

Parmenion i Antypater milczeli, ale wśród reszty orszaku rozległy się śmiechy i szli tak, drwiąc z tych, co niedawno nie chcieli mówić o pokoju, a teraz nie śmieli poprosić zwycięzcy, by kazał ich nakarmić i napić.

Nagle śmiech urwał się. Z szeregu rozległ się donośny niski głos:

— Czy nie wstyd ci, królu, gdy Los wyznaczył ci rolę Agamemnona, odgrywać rolę Terystesa ?

Wszyscy umilkli zaskoczeni, w oczekiwaniu, co Filip uczyni. Na twarzach jeńców zjawił się strach. Tylko śmiałek patrzył na króla, który przystanął, jakby się zastanawiał. Odezwanie się jeńca obudziło snadź jego myśl, którą przytłumiło upojenie winem i zwycięstwem. Zapytał spokojnie:

— Ktoś jest?

— Demades, mówca.

— Nieczęsto można słyszeć rozsądne zdanie z ust ateńskiego mówcy. Pójdź za mną.

W milczeniu król doszedł do końca gromady jeńców. Tylko najbliżsi słyszeli zajście. Z trwogą patrzyli na twarz swego zwycięzcy, która nic jednak już nie zdradzała.

Na samym krańcu, w rowie przydrożnym, siedział stary człowiek z siwiejącą brodą. Małymi oczkami z okrągłej, na czerwono opalanej twarzy patrzył spokojnie na zbliżającego się króla. Nie powstał jak inni, nawet gdy Filip stanął przed nim i patrząc na siedzącego, zagadnął:

— Czy i ty jesteś mówcą?

— Czy wyglądam tak głupio? — odpowiedział pytaniem.

Filip zaśmiał się i zapytał:

— Dlaczego nie wstajesz jak inni?

— Dlaczego nie siądziesz, skoro sądzisz, że stanie jest postawą niewolnika?

Filip zmarszczył się z lekka. Attalos zaś rzucił pogardliwym głosem:

— To zapewne jeden z tych ateńskich półgłówków, których tam można spotkać na każdym rogu ulicy, jak świat naprawiają gadaniem.

— Miałbyś słuszność, gdyby nie to, że pochodzę z Synopy — odparł jeniec. — Dla ścisłości powinienes mnie zwać głupcem z Synopy. A ty skąd jesteś?

Attalos postąpił groźnie gu jeńcowi, ale Filip powstrzymał go ręką i zapytał:

— Zapewne jesteś filozofem. Jak widzisz jednak, niewielki z filozofii na wojnie pożytek.

— Czemuż jej tedy uczyć kazałeś swego syna?

Filip uderzył się w czoło i rzekł:

— Ty jesteś Diogenes z Synopy? Dlaczego nie rzekłeś zaraz? I coś robił w ateńskim wojsku?

— Towarzyszę mu jako znawca twego nienasycenia.

Król uśmiechnął się.

— Możesz iść ze mną lub odejść, kędy ci się podoba. Winien ci coś jestem za naukę mego syna, bo Filiskos nie wziął nic.

— To, co twój syn wczoraj uczynił, to nie moja nauka. Nic mi nie jesteś winien i nie skorzystam' z twego przyzwolenia, bo tak mi się właśnie podoba. Filozofia nie pomaga wygrywać wojen, ale pomaga znosić pogodnie ich skutki. Zostanę z nimi — wskazał na jeńców.

— Jak chcesz — odparł Filip i wzruszywszy ramionami odszedł.

Tymczasem wieść o wystąpieniu Demadesa i zmianie usposobienia króla zdołała już rozlać się wśród Ateńczyków jak woda. Przygnębienie i rozpacz ustąpiły nadziei i podnieceniu. Gdy Filip mijał gromadę jeńców ateńskich, wystąpiło z niej dwóch obywateli. Starszy skłonił się i rzekł:

— Pomnij, królu na wspaniałomyślność trojańskich herosów, jaką okazywali pokonanym. Nie mniejszą im chwałę przyniosła niż dzielność, w której ich przewyższyłeś. Każ nas nakarmić i zwrócić naszą własność.

Filip patrzył na mówiącego ze zdziwieniem. Nagle roześmiał się i powiedział do swoich wodzów:

— Im się wydaje, że pokonałem ich... na zawodach.

Zwracając się zaś do mówiącego, odparł:

— Dostaniecie żywność i szaty. Reszta zaś zależy od tego, czy wasze miasto wreszcie okaże rozsądek. Myślę, że teraz wysłuchają mego poselstwa.

Skinął głową i ruszył kierując się ku pobojowisku. Szedł wolno, jakby liczył leżące trupy, nad którymi już krążyły sępy i stada czarnego ptactwa. Gdy doszedł do miejsca, w którym Aleksander wyciął „święty hufiec” i przełamał tebańskie szyki, zatrzymał się. Ziemia tu była oślizła i stratowana w krwawe błoto, pośrodku zaś tej kałuży tkwiła sterta trupów, miejscami na męża wysoka, tak że poległi nie mieli gdzie upaść i stali jeszcze oparci o towarzyszy, jakby w bezwładzie ogromnego znużenia. Niektórzy dzierżyli jeszcze broń w zeszywniałych dłoniach. Widać było, że tu walka toczyła się do ostatniego tchu.

Filip zadumał się. Po chwili zdjął girlandę kwieciana, w którą przystroił się do uczty, i rzekł:

— I oni godni są uwieńczenia. Słyszałem, żeś ich zelżył, Antygonosie. Ja nie wierzę, by ci waleczni czynili lub znosili coś haniebnego. Pochowasz ich za to z bronią, skoro nawet śmierć nie wydarła im jej z ręki.

Filip, wróciwszy do miasteczka, nie spoczął jeszcze. Myśl miał zaprzątniętą wojną perską. Nie zamierzał tracić więcej sił na poskramianie Hellady, w której nie spodziewał się już oporu. Teby będą dla niej odstrasającym przykładem kary za odstępstwo, Ateny — dowodem jego wspaniałomyślności. Zaczerwienionymi od przepicia i bezsenności oczyma patrzył na szare ze znużenia twarze swych wodzów, wśród których świeżością odbijało wypoczęte oblicze Aleksandra. Zwracając się do niego powiedział:

— Pojedziesz do Aten, z Antypatrem i Alkimachem, zawrzeć pokój. Demades uda się przodem. Ja ciągnę do Teb, by je ukarać, a stamtąd na Plateje. Jeżeli Ateny przyjmą moje warunki, zwołam synhedrion wszystkich państw helleńskich do Koryntu. Siły Hellady potrzebne mi będą na wojnę perską. Rozumiesz?



— To nie Hellenowie spod Maratonu - rzekł Aleksander wzgardliwie. — Takimi siłami nie pobijesz Persów. Ja bym się z nimi nie układał.

Filip zmarszczył brwi i odparł sucho:

— A ja będę się układał. Wolę uchodzić przez długi czas za przyjaciela Hellady niż przez krótki czas za despotę. Zdasz dowództwo jazdy Parmenionowi, który z nią na Hellespont pociągnie, i jedź zaraz. Wojna w Helladzie skończona, a ja chcę się przespać.

## ROZDZIAŁ XX

Niedobitki wojsk sprzymierzonych uchodziły drogami na Labadeę i Teby, niepewne, czy wbrew helleńskim obyczajom „dzikus” nie każe ich ścigać w nocy, strach zaś przechodził w panikę na wspomnienie jego syna. Ci, którzy widzieli go w bitwie, jeszcze teraz przyspieszali kroku, rzucając tarcze, by sobie ulżyć, niepomi, że hańbę ściągają na siebie. Gościńce były nimi zasłane, jakby kto olbrzymią rybę z łuski oskrobał. Wspólników hańby było zbyt wielu, a nikt nie wierzył, by tarcze jeszcze zdały się na co. Wodzowie w zapadającej ciemności nawet nie usiłowali ładu wprowadzić i tłum, w miarę jak oddalał się od pola klęski, rozciągał się na coraz większej przestrzeni. Gdy słabsi i ranni wlekli się z tyłu, konni docierali już do Teb, gdzie przed północą straszliwa wieść jak trzęsienie ziemi rozbudziła miasto. Jedni sposobili się do obrony, każdej chwili spodziewając się nadejścia wojsk macedońskich, inni załamywali ręce w poczuciu bezsily, przeklinając bogów, przywódców i własną głupotę, która była przyczyną, że pozwolili się uwieść wymowie Demostenesa i wspólnie z odwiecznym wrogiem wystąpili przeciw niedawnemu sprzymierzeńcowi. Trzeba było gromu, by się z czarów wymowy retora otrząsnąć, ale dla nich już za późno. Teraz pierwsi spożywać będą gorzkie plony jego siewu.

Demostenes wiedział, że w Tebach nie ma już dla niego schronienia; nie nakłoni ich więcej do walki. Sam nie zamierzał się poddać. By jednak dalej walczyć, musi żyć. Gdyby zamilkł, zwłoki nie natchną już nikogo do oporu. W księżycowym świetle zalśniły przed nim z dala mury Kadmei. Niedawno opuszczał je w upojeniu zwycięstwa. Teraz omijał miejsce największego w życiu triumfu. W przeciwieństwie do innych uciekał, by walczyć; pierwszego starcia spodziewał się w rodzinnym mieście. Przekupieni stronnicy Filipa wezmą teraz górę, a zmienny motłoch ateński hojnie szafuje śmiercią tych, którym się nie powiodło. Niepomny na głód i zmęczenie, Demostenes już układał plan dalszej walki. Jeżeli zdoła ująć pierwszemu wzburzeniu rozpacz, potrafi odzyskać posłuch tłumu, bez którego jego sztuka była rybą bez wody. Ale trzeba dać tłumowi ofiar-nego kozła.

Demostenes biegł jak goniec z Maratonu, ale nie by zanieść szczęsną wieść, lecz by nieszczęsną uprzędzić.

Wyczerpany, zda się do ostatniego tchnienia, leżał Demostenes na południowym stoku przedgórzy Kitaironu, ale skłębione myśli odganiały sen. Jako mówca sam najlepiej znał skutki chybionej wzniosłości. Stawiał się w jednym rzędzie z herosami Hellady, która jemu zawierzyła swe losy. Jego posąg na szczycie Pnyksu miał być symbolem zwycięstwa myśli nad siłą. Zburzyła go Cheronea..

Straszliwa zjadłość przeciw Filipowi podtrzymywała go jak gorączka. Nie myślał o jadle i śnie, nie zatrzymał się dla wypoczynku. Nim wejdzie do miasta, musi mieć gotowy plan postępowania. A miasto byłoby już widoczne, gdyby nie to, że przedświt dopiero zaczynał rozjaśniać niebo na wschodzie, a mówca nie chciał wejść do Aten przed otwarciem bram, by nie być zmuszo-i nym oznajmić archontowi, dlaczego nocną porą domaga się otwarcia. Był niemal pewny, że wieść o klęsce zdołał wyprzedzić. Część drogi przebył na koniu, a podążał dniem i nocą. Zanim wiadomość wstrząśnie Ate-

nami, należy poczynić przygotowania, by nie na jego głowę zwała się burza.

Idąc już patrzył w stronę, gdzie z półmroku wyłaniały się zarysy wyniosłej skały Akropolu, ukoronowanej bielą marmurów. Rozjaśniało się z każdą chwilą, na nieboskłonie linia morskiego obszaru oddzieliła się już od nieba. Ale oczy Demostenesa przebijały nie tylko półmrok, ale zda się nawet skały. Znał tu każdy kamień. W każdym z nich zamknięta była i pulsowała cząstka jego życia. Na południowym stoku Akropolu, w skale wykuty, leży teatr Dionizosa. Tam dwukrotnie wieńczono jego głowę wobec zgromadzonych tłumów. Za majaczącym nieco na zachód Wzgórzem Aresa, pod szkarpą na stoku stoi mównica, pole jego Walki, a dalej, w kotlinie rzeczutki za wzgórzem Museion, leży dom jego, w którego ciszy i samotności wykuwał oręż swej walki. Nieco bliżej, między wzgórzami, znajduje się więzienie, w którym kielich trucizny wypił Sokrates, bo nie umiał czy nie chciał trafić do tłumu. Demostenes nie zamierzał pójść w jego ślady. Zna ateński motłoch i wie, jak podejść do niego. Ofiary miał już wybrane, siebie musi ocalić dla ocalenia Hellady.

Rozmyślenia mówcy przerwał pierwszy promień słońca, który jak strzała ognista rozżarzył marmury świątyń na Akropolu. W przeczystym powietrzu poranka zaświeciły różowym, gorącym światłem. Smukłe kolumny Erechteionu harmonijnie zlewały się z królującym nad wzgórzem, subtelnym a potężnym masywem Partenonu. Na zachodnim krańcu wzgórza, w cieniu jeszcze leżące, białą Propyleje, nad którymi wznosiła się mała świątynia Ateny Zwycięskiej. Opuściła swoje miasto!

W zaczerwienionych bezsennością oczach mówcy ukazały się łzy i z wolna po zapadłych policzkach pociekły na krótką, kędzierzawą brodę. Nie hamował ich, płakał jak dziecko, gorzyc i napięcie znajdowały w nich ulgę. Przetarł oczy, bo łzy cmiły mu widok umiłowanego miasta. Hellada — to Ateny, Ateny — to Akropol. Demostenes czuł, że gdyby rozgniewany Hades wchłonął tę skałę wraz z pomnikami wspaniałej przeszłości, w sercu jego powstałaby pustka, której nawet niema-

wieść do Filipa nie zdołałaby wypełnić. Przyspieszył kroku, zmierzając w kierunku bramy Dipylon.

Na wiodącej ku niej Świętej Drodze panował już zwykły ruch, który upewnił Demostenesa, że wieść o klęsce nie zakłóciła jeszcze codziennego życia Aten. Ale każdej chwili zjawić się mogli inni zbiegowie, zwłaszcza ci, co jak on zatroszczyć się musieli, by skutki klęski odwrócić od siebie: wodzowie — Lizykles, Stratokles i Chares. W tłumie chłopów, wiozących na targ owoce swej pracy, zasłaniając twarz, szedł mówca do miasta. Udało mu się bez zwrócenia uwagi minąć gęsto zabudowany południowy stok Areopagu, ale odetchnął dopiero przed propylejami swego domu. Nie wchodząc nawet, rozkazał zdziwionemu odźwiernemu:

— Biegnij co tchu do Likurga, Hypereidesa i Leostenesa. Powiedz im, by zjawili się natychmiast. Po drodze nie wolno ci ni dwóch słów z nikim zamienić.

Odźwierny ruszył biegiem. Demostenes wszedł do domu, ale nie skierował się do niewieściej części, by powitać żonę i córkę, ani do swego talamu, by spocząć po nie spanych nocach. Nie pomyślał nawet, by się pożywić. Ze skrzyni wyjął swe zapiski. Zawierały opis własnej działalności i napaści na najzjadlejszego z przeciwników, głównego służalca Filipa, mówcę Ajschynesa. Czytał:

*Nie ma obawy, aby nie było czego mówić o tobie i twojej rodzinie; przeciwnie, jestem w kłopotcie, od czego mam zacząć; czy stąd, jak ojciec twój Tromes posługiwał w setnych dybach i z kłodą u szyi u Elpiasa, który miał szkołę pod świątynią Tezeusza? Albo jak matka brała codziennie ślub w numerze pod „Świątyni ze słomy” i z dochodów wykarmiła taką cacaną figurą i arcydramatycznego artystą trzeciej klasy?...*

Demostenes przerwał i zamyślił się. Teraz płaz wypełźnie z nory i cuchnącym jadem będzie opluwał wszystkich, którzy podjęli walkę z jego chlebobdawcą. Nie pora, by go zdeptać, i nie pora siebie wynosić. Ofiar trzeba szukać między tymi, którzy nie znajdują poparcia ani w stronnictwie Filipa, ani w jego własnym.

Odłożył notatki, ale myśl z uporem krążyła dokoła osoby Ajschynesa. Nędzny komediant! Czymże jest wobec Demostenesa? Gdy on mówił, zdać się mogło, że lawa wybucha z kuźni Hefajstosa. Rzucane obelgi wydierały się same, jakby wbrew jego woli, z głębin świętego oburzenia. Ale przemyślany był każdy gest. Wyzwiska i zniewagi ułożone z góry starannie jak bukiety jadowitego ziela, a na przeciwnika spadały celnie kubłem nieczystości tak, by nie pozostała nie skalana jedna nitka z jego chitonu. Słusznie lud zwał go Żmiją!

Rozmyślenia przerwało wejście Likurga. Mieszkał najbliżej i najbliżej stał Demostenesa w dobieraniu wzorów cnót obywatelskich w minionej bezpowrotnie przeszłości. Sam mierny mówca, uwielbiał talent swego przyjaciela, wierząc mu nawet tam, gdzie Demostenes sam nie wierzył sobie. Nieposzlakowany w zarządzie funduszy publicznych, cieszył się powszechnym szacunkiem, a Filipa nienawidził za to, że sprowadzał ludzi z drogi cnoty, mężów przekupstwem, a niewiasty rozpustą. Ciasny umysł, zapatrzony w ideały swego mistrza Platona, dawał pewność, że nie zmieni swych przekonań politycznych pod wpływem osiągnięć Filipa. Dlatego ze wszystkich przyjaciół Demostenesa nadawał się najlepiej na wykonawcę jego planów.

Zdyszany Likurg, nie witając się, zawołał:

— Wróciłeś! Z Ojnoe przyszła już wieść o klęsce. W mieście popłoch. Coraz liczniejsi napływają zwiastunowie hańby własnej i ojczyzny!

Demostenes zagryzł wargi i odparł:

— Bez Temistoklesa nie byłoby Salaminy, Cheronei bez Lizyklesa. Jemu Hellada powierzyła swą sławę i siły dostateczne do jej obrony. Gdyby się okazał godnym naszych przodków, wszyscy legliby przy nim, ciałami swymi zamykając tyranowi drogę do serca Hellady. Jego to posąg byłby posągiem chwały w razie zwycięstwa, on jest posągiem hańby ojczyzny, której sławę zaprzepaścił, by ocalić swe nędzne życie...

Tyradę przerwało wejście Hypereidesa. I on mieszkał blisko, ale widać nawet straszliwa wieść nie zdołała wytrącić go ze zwykłej niedbalej równowagi. Woniał pachnidłami z Fenicji, włosy, zarost i fałdy chitonu

ułożone były starannie. Powitał Demostenesa, jakby wczoraj wstali razem od wesołej biesiady, z pewną ironią napomknąwszy o jego szybkim powrocie z wypraw. Mówca natychmiast też zmienił ton swój z patetycznego na rzeczowy. Krótko opisał przebieg wypadków, a Hypereides, mając już świeższe wiadomości z ust swego balwierza, wysłuchał spokojnie i d.:dał.

— Filip zajął Teby. W Kadmei stanęła jego załoga pod Filotasem. Przeciwników swych wyrznął, jeśli ujść nie zdążyli. Trzeba się nam naprzód zastanowić, co czynić, by Aten i nas nie spotkał podobny los. Ja z miasta się nie ruszę, bo wolę wygodnie umrzeć niż żyć niewygodnie, choć wkrótce i tu zbyt wygodnie nie będzie. Wieść rozlała się po całej Attyce i kto żyje, chroni się za mury. Areopag już radzi, trzeba by i nam dorzucić słowo.

— Zaczekajmy na Hegesippa i Leostenesa — odparł gospodarz. — I ja z miasta się nie ruszę, a bronić go będziemy do ostatniej kropli krwi. Nie wobec zewnętrznego wroga, ale wobec wewnętrznych trzeba przewidzieć środki, by korzystając ze wstrząsu, nie przeciągnęli tłumów na swoją stronę.

— Jeśli potrzebna była twoja krew, lepiej ją było wylać pod Cheroneą niż w Atenach — odparł z lekką drwiną Hypereides. — Tobie bezpieczniej byłoby wyjechać z miasta. Zagraża ci nie tylko Filip. Szukać będą winowajców klęski...

— Przed Filipem będę się chronił, choćby uchodząc do Erebu — rzucił namiętnie Demostenes. — Przed współobywatelami mogę stanąć nawet zaraz i palcem wskazać winowajców. Któż to zachęcał Filipa, by „zjednoczył” Helladę? Isokrates! Któż przez niedbalstwo i małoduszność zmarnował zwycięstwo, które już było w naszym ręku? Lizykles!

— Lepiej, by dzisiaj kto inny wytykał winnych, bo nógłby ktoś pomyśleć, że siebie chcesz zasłonić — idparł Hypereides. — Isokrates?! — skrzywił się z niemakiem. Blisko stuletni, zdziecinniały starzec. Byłem =go uczniem — a i tyś się niejednego Gd niego nyczył. Niech Mojry przetną nić jego żywota, kiedy same ;hcą. I tak cienko już przędzie. Któż zdychającego

barana przynosi na ofiarę? A Lizykles? Może. Jenu łatwo mu będzie zrzucić z siebie najcięższą część winy na Charesa, który w Amfissie dał się zaskoczyć...

— Charesa musimy obronić, be potrzebniejszy dziś niż kiedykolwiek, gdy jedyna siła, jaką jeszcze mamy, leży we flecie, którą dwukrotnie zwycięsko przeciw Filipowi dowodził. I Stratoklesa należy osłonić, zresztą bronić go będą własni żołnierze i rany odniesione na piersiach, bo walczył w pierwszych szeregach. Starczy samego Lizyklesa, a niechaj oskarża go Likurg.

— Pójdźmy więc — rzekł wstając Hypereides. — Ty zaś — zwrócił się do Demostenesa — idź spocząć, bo potrzebna być może twoja rada, a wyglądasz jak cień z Pól Elizejskich. — Zadeklamował:

*Gdybyś mógł tyle ramieniem, Demostenesie, co radą,  
Nigdy by macedoński zwycięzca nie rządził Helladą.*

Chares znalazł ateńską demokrację i sam najlepiej potrafił zatroszczyć się o swoje bezpieczeństwo. Nie pokazując się nawet w mieście, zajechał wprost do portu Pireus, i natychmiast, zarządziwszy przygotowania wojenne na wypadek, gdyby na wodach ateńskich zjawily się okręty Filipa, zawiadomił areopag o objęciu dowództwa floty, w której zwycięzca spod Bizancjum i Eubei cieszył się wielkim wzięciem. Nie było bezpiecznie w chwili powszechnego zamętu wzywać go do zdania sprawy z klęski w Amfissie. Areopag rad był nawet, że jedyna rzeczywista siła, jaką jeszcze rozrządzały Ateny, znalazła się w doświadczonym ręku, nie wciągnięta w powszechny chaos. W Radzie nawet podnosiły się głosy, że nie Charesa jest winą, iż powierzono mu dowództwo w górach, gdy żywiołem jego było morze. Wzajemnie się obwiniano o spowodowanie tego nieszczęśliwego kroku i w ten sposób osoba Charesa wyszła z zasięgu oskarżenia. Gdy zaś ranny Stratokles jeszcze nie nadjechał, żołnierze zaś głosili chwałę jego męstwa, cała odpowiedzialność zogniskowała się na Lizyklesie, który zresztą był naczelnym wodzem wyprawy.



Lizykles był to człowiek prostoduszny, a wódz niezbyt biegły. Postawienie go przeciw takiemu wojownikowi jak Filip, było błędem. Ale sądzić go mieli ci, którzy ten błąd popełnili.

Kłeska przygnębiła Lizyklesa, ale mu nawet na myśl nie przychodziło, że jego za nią obarczą odpowiedzialnością. Jasne bowiem było, że gdyby Chares nie dał się zaskoczyć w Amfissie podstępem Filipa, Macedończyk nigdy by nie zdołał przełamać górskiej pozycji. Najlepszym tego dowodem było, że dwukrotnie udaremnilo jego usiłowania w bitwie nad Kefizosem i Zimowej. Toteż strateg, zajęchawszy do domu, spokojnie wziął kąpiel, pożywił się i udał na spoczynek, przed zaśnięciem układając sobie sprawozdanie, jakie złożyć będzie musiał przed zgromadzeniem. Sprawy nie uważał za palącą, skoro bowiem Filip nie ścigał pobitych, zjawić się może pod miastem nie wcześniej jak za parę dni, a do oblężenia też będzie się musiał przygotować, nie prowadząc ze sobą sprzętu oblężniczego. Na własnych śmieciach, za silnymi murami czuł się Lizykles znacznie pewniejszy wobec Filipa niż w otwartym polu. Usnął tedy spokojnie.

Nie dane mu jednak było wypocząć do syta. Koło południa obudziła go zapłakana żona mówiąc, że głośno już w mieście, iż jego obwiniają o klęskę cheronejską. Dźwignął się leniwie, bo niemłody już był, a trud bitwy i ucieczki teraz dopiero zaczynał wychodzić z jego kości. Niepokój jednak otrzeźwił go zaraz. Był żołnierzem i wolał wyjść niebezpieczeństwu naprzeciw niż biernie go oczekiwać. Zachnął się, gdy żona doradzać mu zaczęła ucieczkę, i uspokoiwszy ją, że w niczym nie czuje się winny, a ucieczka byłaby przyznaniem się do winy — wyszedł na rynek, by spotkać się z przyjaciółmi i przygotować obronę przeciw spodziewanym już zarzutom.

Widok, jaki go uderzył, przywiódł mu jednak na myśl, że należałoby przedtem przygotować obronę miasta. Na ulicach roilo się od tłumów, podnieconych, rozkrzyczanych, przez które przepychała się, wioząc i niosąc swe mienie, fala zbiegów z podmiejskich fyl. Wszędzie powstawały kłótnie i bójkі o miejsce. Rynek za-

pchany był uchodźcami, bydło ryczało nie pojone, bo do studzien docisnąć się nie było można. Niewiasty i dzieci płakały, mężowie klęli i wyzywali. Straży scytyjskiej, która by ład jakiś wprowadzić mogła, nigdzie nie było widać, żadnych też przygotowań do obrony miasta. Przez bramy Hiera Pyle i Dipylon wciąż jeszcze płynął potok uchodźców i jasne było dla wodza, że gdyby teraz Filip nadszedł, tłum ogarnie paniczny popłoch i miasto upadnie bez walki.

Toteż Lizykles zaniechał szukania swych przyjaciół, których nie spodziewał się już zastać w domach ani tym mniej odnaleźć w tłumie, i zwrócił swe kroki do strategion na Wzgórzu Aresa, by wydać zarządzenia do obrony, które by same przez się wprowadziły pewien ład i karność w rozpasanym tłumie. Nikogo jednak w urzędzie nie zastał, natomiast czekał tam na mego dziesiętnik straży scytyjskiej z wezwaniem, by natychmiast zjawił się na zwołanym do teatru zgromadzeniu.

Lizyklesa tknęło, że zamiast przez herolda wzywają go przez straż, a bardziej jeszcze, że dziesiętnik ruszył za nim, gdy wódz skierował swe kroki krętą drogą między Wzgórzem Aresa a Akropolem, na którego południowo-wschodnim stoku, między świątynią Asklepiosa a Odeonem Peryklesa, znajdował się teatr. Strateg zrazu udawał, że nie widzi idącego za nim dziesiętnika, gdy jednak wyszli z tłumy, zwrócił się gniewnie do niego mówiąc:

— Po co wleciesz się za mną? Czy w mieście nie ma dla was innej roboty? Nie jestem więźniem.

— Nie wiem — odparł dziesiętnik. — Kazali mi cię przywieść, tedy wiodę.

Teraz dopiero Lizykles zrozumiał, że nie sprawozdanie ma przedstawić, ale obronę. Cóż jednak rzecz może ponad to, co wiedzieli wszyscy? Nie on dowodził w Atfissie, gdzie był początek klęski, i nie on dowodził skrzydłem beockim, które pierwsze pierzchnęło, rozbite w puch szaleńczym uderzeniem Aleksandra, odslaniając skrzydła i tyły wojsk sprzymierzonych. Ateńskie skrzydło walczyło najdłużej, a on z nim wytrwał do końca i uciekł, gdy już nie było kim dowodzić. Lizykles opuścił głowę. W tej chwili żałował, że nie legł wśród ofiar

Cheronei. Przeczuwał już, że będą jej ofiary i w Atenach, jeno wieńce pośmiertne nie ozdobią ich skroni. Zaciśnął zęby i szedł gotowy już na wszystko. Z kamienną twarzą przeciskał się przez tłum, który nie tylko wypełnił teatr do ostatniego miejsca, ale obsiadł skaliste stoki Akropolu i dachy sąsiednich budynków. Niecodzienne będzie widowisko, dlatego cisną się, choć miasto nie zapłaci symboli z teatralnego funduszu! Postanowił swą rolę odegrać z godnością. Przygnębienie jego ustąpiło miejsca oburzeniu. Żył w tym mieście od dziecka, ale nie znał go jeszcze. Poznał je teraz w dniu klęski, jak się gracza poznaje po przegranej. Uśmiechał się pogardliwie, kiedy na jego widok groźny pomruk przeszedł przez tłum, który ucichł jednak, gdy siedzący na podwyższeniu w otoczeniu Rady archont Charondas, skinąwszy na herolda, by uspokoił cizbę, donośnym głosem zaczął:

— Ojczyste miasto i cała Hellada powierzyła ci swe najlepsze siły, byś bronił ich czci i wolności. Jak zdasz sprawę z tego, czegoś dokonał?

Lizykles milczał przez chwilę, pasując się ze wzburzeniem. Teatr i stoki Akropolu zaległa cisza, jeno z dala dochodził pogwar tłumów. Gdy już był pewny, że głos go nie zawiedzie, zaczął:

— Czego dokonałem przez rok wojny, to wszystkim wiadomo, bo tutaj uchwalano dziękczynne ofiary. Od czego zaczęło się niepowodzenie, również wiedzą wszyscy, bo widzę tu żołnierzy, którzy byli w Amfissie, i oni — jeśli już nie zdali — mogą zdać sprawę z tego, co tam zaszło, lepiej niż ja, który bawiłem w Parapotamioi.

Odetchnął głęboko i ciągnął:

— Czego dokonałem potem, mogę powiedzieć: wyprowadziłem wojska z potrzasku i wybrałem miejsce najdogodniejsze do bitwy. Gdybym jej nie przyjął, Filip teraz stałby pod tymi murami, jeśli nie w murach, a ja — jak niejeden z was — pod oskarżeniem, że wziąłem od niego pieniądze. Walczyłem do końca i tylu mogę stawić świadków, ilu ich nie uciekło wcześniej niż ja. Niewielu ich było, a zapewne ani jeden między tymi, którzy na mnie chcą zrzucić winę klęski.

Pogardliwym wzrokiem obrzucił tłum, który znowu szemrać zaczął, i podniósłszy głos, ciągnął:

— Jedno mogę rzec: spełniłem obowiązek. Ale wy szukacie winnego! Więcej ich jest niż sędziów. I ja między nimi. Byłem gorszym wodzem od Filipa. Nie wiem, czy mieliście lepszego niż on, ale był lepszy ode mnie: Fokion! Czterdzieści razy wybieraliście go strategiem, tedy można było ufać temu, co powiedział. A powiedział, że trzeba albo być najsilniejszym, albo przyjacielem najsilniejszego, i doradzał pokój. Ale nie słuchaliście głosu doświadczenia i rozsądku, bo krzykacz, który zna się tyle na wojnie, co ja na wymowie, zagroził, że własną ręką zawlecze do więzienia każdego, kto odważy się doradzać pokój z Filipem. Niechże wam teraz doradzi, co czynić i skąd wziąć wojsko lepsze, niż ja miałem, bo z takim nie oprzecie się Filipowi. Gdybyście wedle prawa karać chcieli wszystkich, co rzucili tarcze, nie mielibyście żadnego, chyba tych, co legli pod Cheroneą, bo oni jedni cześć ocalili — własną, a nie waszą. I jeśli czego żałuję, to — że nie dane mi było lec między nimi...

Pomruki, jakie chwilami podnosiły się w tłumie, gdy Lizykses mówił, teraz przeszły w burzę. Lizykses stał blady, z pogardliwym uśmiechem na twarzy. Nie łudził się już, ale gdyby miał złudzenia, pierchnęłyby zaraz. Dźwignął się Likurg i prosił o głos, a heroldowie uspokajając jęli podniecony tłum. Umilkli, gdy wystąpił, i rozpoczął donośnie:

— Tobie, a nie twoim wojownikom, którzy legli w bitwach nad Kefizosem i Zimowej, uchwaliliśmy podziękowania. Lizyksesie! Na twojej głowie spocząłby wieniec zwycięstwa, gdybyś pokonał Filipa. Nie szukałbyś współników, by się dzielić chwałą, jak szukasz współwinnych, by się hańbą podzielić!

Groźny pomruk przeszedł przez wzgórze, ale ucichł, gdy Likurg, palcem wskazując wodza, podniósł głos:

— *Ty byłeś wodzem, Lizyksesie! Gdy tysiąc obywateli legło, a dwa tysiące dostało się do niewoli, gdy ustanowiono pomnik zwycięstwa nad naszym miastem, a cała Hellada popadła w poddaństwo — i gdy to wszystko stało się pod twoim przewodem i naczelnym do-*

*wództwem, ty ważysz się jeszcze żyć i patrzeć na Światło  
dzienne, i wciskasz się na rynek, ty?! Wymowny  
pomnik hańby i wstydu ojczyzny!*

Burza gwizdów i wrzasków przerwała przemówienie Likurga, ale nie trzeba było mówić więcej. Blady jak ściana Lizykles stał spokojnie, gdy mu nakładano pęta, a straż, która go otoczyła, potrzebna była, by go uchronić od wykonania wyroku rękami rozpasanego tłumu, który jak fala odbita od skał Akropolu popłynął za nim z krzykami i urąganiem. Ale w teatrze uspokoiło się i można było do dalszych obrad przystąpić.

Hypereides, który w milczeniu, z wyrazem pogardliwego niesmaku przysłuchiwał się sprawie Lizyklesa, teraz, gdy herold wzywać zaczął do zabierania głosu, wystąpił na orchesterę. W powszechnej ciszy głos jego docierał do najdalszych zakątków teatru:

— Znaleźliście winowajcę tego, co się stało. To było najłatwiejsze. Trudniej, zwłaszcza po tym przykładzie, będzie znaleźć takiego, który bez wojsk i sprzymierzeńców podejmie walkę z Filipem.

— Fokion! Fokion! — rozległy się wołania z różnych stron, ale Hypereides uciszył je skinieniem ręki i ciągnął:

— Gdy staliśmy naprzeciw Filipa w pełni sił i w nadziei zwycięstwa, nie wybraliśmy Fokiona, bo doradzał pokój. Może wówczas miał słuszość: potrzebował pokoju Filip i chciało wielu z nas. Wybraliście wojnę, bo nie ma pokoju między wolnością a tyranią. Może być tylko rozejm. Ale wówczas Filip skłonny był za niego zapłacić. Jakież pokój uzyskać możecie dzisiaj? Jak niewolnik z panem, taki jak Teby? Na Akropolu stanie załoga butnego zwycięzcy, rządzić wami będą płatni zdrajcy. Nasza flota, jedyna i ostatnia przewaga, na której możemy budować, wzmocni barbarzyńcę, by nigdy już jarzmo nie spadło z naszych karków. Kto chce takiego pokoju — niech rękę podniesie!

Nie poruszył się nikt, odpowiedzią było ponure milczenie, Hypereides podjął:

— Dziś trzeba nam nie zimnego rozsądku i doświad-

czenia Fokiona, ale wodza, dla którego walki z Filipem byłaby walką o własne życie, do ostatniego tchnienia.

— Charidemos! — odezwał się jakiś głos.

Mówca podchwycił:

— Tak jest! Charidemos. On dowodził wojskiem Kerobleptesa w wojnie z Filipem, a że dobrze dowodził, uznał sam Filip żądając jego głowy po zwycięstwie. Schronił ją u nas. Gdyby Ateny padły, on padnie wraz z nimi. Los miasta jest jego losem. Dlatego możecie mu go zawierzyć.

Teraz już z wielu stron rozległo się wołanie o Charidemos, ale Fokiona imię powtarzało się nierzadko. Widocznie nie wszyscy chcieli walki na śmierć i życie. Herold uciszać zaczął zgromadzonych, a gdy zapanował porządek, archont zarządził głosowanie. Znaczna większość była za Charidemosem, ale powstały znowu kłótnie i hałasy. Charidemos nie czekał jednak, aż herold je uciszy. Ponad wrzawę zabrzmiał potężny jego głos, docierając do najdalszych. Przemogła ciekawość i gwar uciszał się, w miarę jak Charidemos mówił:

— Walczyłbym z Filipem choćby sam, tym chętniej na waszym czele. Wiecie, co wybór oznacza: żadnych układów z tyranem, a na czas wojny taka władza dla mnie, jaką posiada on. Kto tylko zdolny jest udźwignąć broń, jest żołnierzem i podlega moim rozkazom. Rada Pięciuset, niepotrzebna w czasie wojny, obejmie obronę portu, gdzie natychmiast należy przenieść niewiasty z dziećmi, starców i święte naczynia. Roczники do lat sześćdziesięciu obsadzą mury, młodsze — poniżej pięćdziesięciu — pod Leostenesem wyjdą na granice, by chronić kraj przed łupieżstwem i zniszczeniem. Nikomu poza tym nie wolno opuszczać miasta ni wywozić mienia. Kto nie posłucha, jako zdrajca pójdzie pod mój sąd.

— Przedwcześnie nam rozkazujesz, Charidemosie! Areopag może jeszcze zmienić wybór! — zawołał jakiś głos, znowu wywołując wrzawę. Ale ponad nią wybił się głos wodza:

— Może zmienić! Ale Filip nie będzie czekał, aż się areopag namyśli, i ja czekać nie będę. Rad tu nigdy nie brakło, jeno czynów. Czy ja będę przy władzy, czy

którykolwiek z was, to, com powiedział, musi być wykonane lub słuchać będziecie rozkazów Filipa. Tych areopag nie zmieni.

Wrzawa podniosła się znowu, ale ucichła, gdy wystąpił Hypereides:

— Niech areopag radzi, kto ma być wodzem. Ale to, co mówił Charidemos, jest słuszne. Stawiam to jako wniosek. Lecz nie dęć na tym. Są jeszcze u nas siły i zasoby, których tknąć nie wolno w zwyczajnym czasie. Targowaliśmy się z ojczyzną o każde świadczenie. Późno, ale jednak zrzekł się lud ateński korzyści, jakie miał z funduszu teatralnego, dla walki z Filipem. Nie starczyło tego, wróg stoi u naszych granic, każdej chwili stanąć może pod murami miasta. Teraz pora na większe wyrzeczenia. Od czasu wojen perskich i peloponeskich ojczyzna nigdy nie była w większym niebezpieczeństwie. Ale ojcowie nasi zostawili nam przykład, jak i w takim położeniu można zwyciężyć. Niech usną wszystkie prawa, gdy jedynym prawem jest zbawienie ojczyzny. Ja stawiam wniosek: powołuje się pod broń każdego zdanego do niej męża w Attyce. Niewolnicy z kopalń i ergasteriów, którzy wezmą udział w walce o naszą wolność, sami ją uzyskają. Metojkowie, sprzymierzeńcy, dłużnicy państwa, wygnancy i pozbawieni obywatelstwa otrzymają je, jeśli obowiązek swój spełnią jak obywatele. Ci z obywateli, którzy go nie spełnią, tracą cześć, mienie i wszelkie prawa. "Uchwała zyskuje moc natychmiast, nawet jeśli zostanie zaskarżona, bo jeden jest dziś tylko proces, który wygrać musimy za wszelką cenę: walka z Filipem!

Głos powszechnego zapału zagłuszył sprzeciwy. Uboga ludność niewiele korzystała z praw obywatelskich, niewolników zaś posiadali tylko bogacze. Zebranie nie dopuściło nikogo już do głosu i powziawszy uchwałę, zaczęło się rozchodzić. W areopagu jednak bogacze mieli większość i Charidemos zniesiony został z dowództwa na rzecz Fokiona. I on zażądał pełni władzy na wypadek wojny i podtrzymał zarządzenia Charidemosa. Ale otrzymał też uprawnienia do układów z Filipem, gdyby Macedończyk chciał się jeszcze układać. Aristejton wniósł wprawdzie skargę o bezprawność wnio-

sku Hypereidesa, ale wódz żelazną ręką natychmiast zaczął wykonywać uchwałę. Nie czynił jednak tajemnicy, że jedynie w tym celu, by Ateny, jak Teby, nie były zmuszone do przyjęcia wszelkich warunków zwycięzcy.

Wstrząs, jaki przeżywała Attyka, najpóźniej dotarł do leżącego na jej południowo-wschodnim krańcu przyłądka Sunion. W podziemiach zaś kopalń w Laurion dał się odczuć dopiero, gdy nadjechał tam prytan z rozkazem wybrania i uzbrojenia zdatnych do broni niewolników, którzy oświadczą gotowość do walki o wolność Aten. Praca tu była najcięższa i największa, bo ponad dwadzieścia tysięcy ludzi liczące, skupisko niewolników mogło dostarczyć poważniejszej siły.

O niecodziennej porze wygnani z zimnych nor stali w długich szeregach, otoczeni strażą scytyjską, nadzy i brudni, w jaskrawym słońcu mrużąc wyblakłe oczy, w których świeciła jednak iskierka nadziei. Nie wiedzieli jeszcze, co ich czeka, wszelka zmiana jednak mogła oznaczać tylko poprawę losu. Już się poprawił: mieli oto niespodzianą przerwę w pracy; zarządcy i nadzorcy, sami czymś poruszeni, poniechali zwyczajnych wyzwick i bicia, jakkolwiek wszędzie praca stanęła. Starcy, niewiasty i wyrostki, których nie odrywano od pracy, sami jej zaprzestali, bo i ich ogarnął pełen oczekiwania niepokój. Patrzyli z dala, co się będzie działo.

Przed szeregami zjawiała się gromadka ludzi. Widać było, jak przechodzą od jednego niewolnika do drugiego, oglądając ich niczym konie, i oddzielając jednych od drugich. Potem straż otoczyła gromadę, liczącą około tysiąca ludzi, ruszyli drogą wiodącą w dół, ku przystani, i wkrótce zniknęli z oczu towarzyszy.

Teraz dozorcy zajęli się pozostałymi. Bicie i klątwy oznajmiły, że znowu zaczyna się zwyczajna praca, tylko jeszcze cięższa. Trzeba nadrobić stracony czas, a zabrakło najtęższych rąk.

Szczęśliwi wybrańcy zaś szli, jeszcze nie śmiejąc uwierzyć, że mogą na zawsze wyjść z grobów, w których żywcem pogrzebani czekać mogli wyzwolenia tylko przez śmierć. I tam, dokąd szli, może ich czekała. Ale



lżej się umiera w słońcu i walce. A kto przeżyje, będzie wolny! Zapomniane już znaczenie tego słowa rosło w piersiach z każdym krokiem, wypełniając się treścią. Pytano ich, czy chcą walczyć o wolność! Jak można pytać o to? Wolność oznacza wszystko: powiew świeżego wiatru, rozległy widok na mieniące się w słońcu morze, wyprostowany grzbiet, pieszczotę ciepłej fali, zmywającej narosły latami brud, sytość nakarmionych brzuchów, a może nawet zapomnianą już w zwierzęcym trudzie miłość! Czy chcą walczyć o to? Tak może pytać ktoś, kto sam nie rozumie, co to jest wolność.

Nakarmieni i odziani, ładowali się na stojące przy brzegu statki. Gdy w świeżym powiewie zafurkotały nad głowami napięte żagle, zdało im się, że to szelest skrzydeł Zwycięstwa, które ich niosą do wolności. W wynędzniałych ciałach budziło się poczucie siły, która wrywała się pieśnią z wezbranych piersi.

Wiedzieli już, że mają walczyć przeciwko Filipowi. Wielu niewolników, pochodzących ze zdobytych przez niego miast trackich i jońskich kolonii na trackim wybrzeżu, wiedziało, co oznacza walka z Filipem. Jemu zawdzięczali swą niewolę. Wówczas poddali się, by ocalić życie. Teraz wiedzieli, że życie jest aż nazbyt małą ceną za wolność. Walczyć trzeba do ostatniego tchu.

Słońce już zachodziło i wiatr nacichał. Na statkach zapadała cisza i mrok, tylko lekka fala skrobała burty, a świeciły wlokące się za okrętami smugi piany. Nad głowami roziskrzyło się niebo. Gwiazdy! Te same co ongiś.

Słone, świeże powietrze, od którego odwykli, upajało jak wino. Jeden po drugim zapadali w sen. Gdy się jutro obudzą, zamiast żółtego światła lampek oliwnych znowu świecić im będzie słońce. Błogosławione, choćby świecić miało ostatni raz.

Obudzono ich jednak koło północy. Pierwszy statek zawinął do przystani koło Munichii, następne pozęgłowały dalej i zniknęły w mroku.

Niewolnicy wysiadali na ląd rozglądając się. Ciemny masyw wzgórza odcinał się od nocnego nieba bielą murów strażnicy na szczycie, dokąd schodami pnącymi się po ostrym zboczu poprowadzono część przybyłych. Resz-

ta szła wybrzeżem na południe. Wkrótce i przed nimi zamajaczyły mury twierdzy, położonej na skalistym cyplu, który wchodził w morze obwiedzionymi murem urwiskami. Na północno-zachodnim narożniku, od lądu, wyskakująca poza linię murów kamienna baszta strzegła bramy na zewnętrzny dziedziniec, na którym przewodnicy zatrzymali gromadę i pozwolili jej spocząć.

W twierdzy panowała cisza. Załoga ateńska wyszła niemal w całości w pole pod Leostenesem, pozostawiając obronę najważniejszego umocnienia wybrzeża kilkunastu niemłodym już mężom, którzy zbiegli się teraz wszyscy, patrząc w milczeniu na przybyłe posiłki. Niewolników ustawiono w podkowę i w środek jej wstąpił dowódca twierdzy, Leptynes. Przy świetle pochodni wodził oczyma po twarzach przybyłych, jakby starając się odgadnąć, czego spodziewać się może od nowych podkomendnych, po czym przemówił do nich:

— Od dzisiaj jesteście ludźmi. Na wszystkich bogów i prochy przodków złożycie przysięgę, że walczyć będziecie o wolność aż do śmierci. Jeden nam los i jedna walki nagroda, dlatego miasto nasze obdarzyło was zaufaniem, powierzając wam obronę przystani Muni-chii. Choćby wróg zajął całą Attykę, a nawet poszczęściło mu się zdobyć miasto, tu jego noga nie postanie. Nie ma czym pokonać potężnej floty naszej. Od niej przyjdzie wybawienie, a my stanowimy pomost, po którym do ojczyzny wróci wygnana wolność.

Skinął. Dwóch pachółków przyprowadziło ofiarnego wołu. Wśród modłów Leptynes spalił na ołtarzu skórę i tłuszcz bydlęcia, po czym z kolei odbierał przysięgę od niewolników, a po jej złożeniu każdemu wręczał tarczę, hełm, włócznię i miecz.

Po skończeniu uroczystości zapanował radosny gwar. Teraz rozdzielano chleb, mięso piekło się na wielkim ognisku, a miechy z kozich skór, wypełnione winem, bulgotały słodko.

Pić nie pozwolono tylko pierwszej zmianie, która wkrótce odeszła na mury. Pozostali, objedzeni i opici jak bąki, zasypiali pod dachem na miękkich posłaniach, w poczuciu szczęścia, które samo zdało się snem. Nie

wiedzieli, że miasto przeżywa nowy wstrząs, który ostatecznie zaważy na ich losie.

O tej samej porze, przed zamkniętą bramą Świątą, konno, w pełnej zbroi zjawił się Demades żądając jej otwarcia. Wobec najsurowszego zakazu otwierania bram po zapadnięciu ciemności, na natarczywe żądania obudzono samego Fokiona, który po krótkiej rozmowie z Demadesem kazał go wpuścić i udał się wraz z nim do Prytaneion, polecając natychmiast obudzić Radę. Filip ofiarowywał pokój, a warunki jego przechodziły najśmielsze nadzieje.

Jeszcze tej nocy wyruszyło do niego poselstwo z Fokionem, Demadesem i Ajschynesem na czele. Po jego powrocie miasto przez kilka dni żyło jak w gorączce, własnemu szczęściu i wspaniałomyślności Filipa nie mogąc uwierzyć. Zapewniał nie tylko dotychczasowy stan posiadania, z wyjątkiem trackiego Chersonezu, ale oddawał Atenom kość niezgody z Tebami, okręg Oropos. Przyrzekał nienaruszalność granic Attyki, niemieszanie się do jej spraw wewnętrznych, nie żądał, jak w Tebach, wydania przeciwników, natychmiast oddawał prochy poległych, a po zaprzysiężeniu pokoju zapewniał zwolnienie jeńców bez okupu. Tylko szaleniec mógłby odrzucić takie warunki po doznanej klęsce. Z łaski Filipa Ateny zachowywały wolność, nie potrzebując walczyć o nią. Natychmiast też wdrożony został proces o bezprawność wniosków Hypereidesa, który bronił się tym, że nie on je postawił, lecz konieczność. Zapłacił grzywnę i z pogardą odwrócił się plecami od współobywateli, jak psy płaszczących się przed zwycięzcą. Nic nie było zdolne pogodzić wyrafinowanego pięknoducha z dzikusiem, który jak pastuch wymawia: „Adena” i „Hafajstos!”, żre krówskie masło i zapija się czystym winem — ni zakamieniałego arystokraty z motłochem, dumnym i okrutnym wobec słabych, a wobec silnych pokornym.

Nie szukali także zgody z Filipem Demostenes i Charidemos. Mówca, który z nienawiści do Macedończyka nasłałby na niego skrytobójców, gdyby ich znaleźć zdołał, wyjechał z Aten rzekomo po zboże. Nie chciał uwierzyć, by Filip nie płacił mu równą nienawiścią, kró-

lowi zaś nietrudno przyszłoby pozbyć się wroga. To, że nie żądał jego wydania, poczytywał Demostenes za podstęp.

Słuszniej jednak obawiać się mógł tego Charidemos. Jego sztuki wojennej Filip nie lekceważył jak gadania mówcy. Widząc, że Ateny nigdy już nie podźwigną się do walki z Filipem, wódz zbiegł do perskiego króla, ostatniego już „obroncy” helleńskiej wolności.

Mało kto jednak nawet w Atenach wiedział, że walka o wolność jednak się rozegrała. Gdy rozbrajano niewolników, by wysłać ich z powrotem do kopalń i ergasteriów, mała garstka w twierdzy Munichii nie dała się zaskoczyć i rozbroić. Dotrzymali złożonej przysięgi i choć otoczeni ze wszystkich stron przygniatającą przewagą, bez nadziei zwycięstwa czy ocalenia, dopiero z martwych rąk wypuścili broń. Ciała ich wyrzucono za mury na pastwę ryb i ptactwa, a śmierć ich nie stała się natchnieniem żadnego z poetów, bowiem ci właśnie współzawodniczyli w układaniu epitafium dla poległych pod Cheroneą. Napis winien być dumny i wzniosły, godny tych, które sławiły Maraton i Salaminę, a jednocześnie obawiano się, by nie uraził zwycięzcy. Wraz z wyborem mówcy pogrzebowego stanowił teraz główny przedmiot troski Ateńczyków.

## ROZDZIAŁ XXI

Na drodze zbiegającej do Aten stokiem wzgórz Ajgaleos, zjawił się okazały orszak. Jadący na czele, z Hefajstionem przy boku, Aleksander powściągnął konia i zapatrzył się na leżące w dole jak na dłoni miasto. Widok był wspaniały. Uniżony Ajschynes zatrzymał się koło królewicza:

— Czy niesłusznie zwą nasze miasto „słońcem Hellyady”?

Gdy Aleksander się nie odezwał, zaczął go objaśniać, wskazując co wspanialsze budowle. Demades przysunął się do stojących, by wtrącić swoje uwagi. Fokion z Antypatrem zatrzymali się z tyłu, oczekując, aż królewicz ruszy dalej. Aleksander po chwili trącił konia i jakby od niechcienia wypytywać zaczął o stosunki w mieście, z pozornym roztargnieniem słuchając odpowiedzi posłów ateńskich, nieco zdziwionych, że pyta o drobiazgi, które go widocznie nic nie obchodzą. Potem zamilkł i wraz z Hefajstionem wysunął się naprzód. Demades mruknął do Ajschynesa:

— Układny jest i zda się bystry, ale poznać barbarzyńcę. Więcej niż Partenon, który do cudów świata zaliczyć można, obchodzi go wodociąg, bo go jeszcze nie widział...

— Co nam do tego — przerwał Ajschynes wzruszając ramionami. — Na heterach pewnie się pozna, bo

dosyć ich widział w Pelli, gdzie Filip ściąga nie tylko filozofów i poetów, ale i fletnistki.

Zaśmiał się, a Demades uśmiechnął się złośliwie.

— Filip kupuje wszystko, co pachnie lub śmierdzi Atenami... nawet ciebie. Ale czy ten młodzieniec będzie miał podobny brak smaku, nie wiadomo, bo rozgryźć go trudno. Więcej słucha, niż mówi, a nie widziałem, by się kiedy uśmiechnął. Nasi trefnisie nie zarobią nic od niego.

— Mógłby ktoś mniemać, że mi zazdrościsz — odciął się drwiąco Ajschynes — iż Filip mnie kupił drogo, a ciebie tanio. Jeśli zaś chodzi o tego młodzika, to mamy czas nad nim się głowić. Filip liczy sobie dopiero czterdzieści cztery lata i siły ma jeszcze jak koń.

— Filip kupił tanio całe Ateny — odparł Demades. — Zobaczysz, jak rozplywać się będą w wdzięczności za jego wspaniałomyślność. Ale wolę już mieć z nim do czynienia, bo znam jego słabość: za wszelką cenę chce uchodzić za Agamemnona. A z młodym nie wiadomo, czego się trzymać.

I on nas będzie potrzebował. Nie ma Hellady bez Aten.

— Cieszę się z twojej pewności, że przez długie lata będziesz miał z czego żyć.

— Teraz już chyba nikt nie będzie miał trudności w wyborze między perskim a macedońskim złotem — odparł cynicznie Ajschynes i rozmowa się urwała.

Wątpliwości posłów ateńskich rozwiąłyby się, gdyby słyszeli, jak Aleksander rzekł do Hefajstiona:

— Umocnienia są dość potężne, ale zbyt rozległe, a wodę można by odciąć bez trudu. Wolałbym tu z wojskiem przyjść niż posłować.

— Ojciec twój szczerze pragnie pokoju z Atenami, by zjednoczyć rozbitą Helladę przeciw Persom.

— Król kleić chce rozbitą garnek, jakby on ważniejszy był niż jego zawartość, której ocenić nie umie. Nazywając go dzikusiem, słuszność miał Demostenes, który poza tym jest głupcem, bo mu się zdaje, że' obelgami może pokonać przeciwnika, a żyć dniem wczorajszym. Niemniej rad bym też go spotkał. Jego przemówienia bardzo się podobają mej matce, bo lży w nich Filipa...

a nawet samemu królowi, na równi ze sprośnymi opowiastkami, jakie układają dla niego ateńscy dowcipnicy.

Hefajstion nic nie odrzekł, zresztą dojeżdżali już do miasta. Przy bramie Acharneńskiej widać było zgromadzony na powitanie poselstwa tłum, mury po obu stronach baszt czerniały od głów, wzdłuż gościńca zaś. na przepięknych rumakach, w dwu rzędach ustawiała się młodzież ateńska, by jako orszak honorowy towarzyszyć poselstwu przy wjeździe do miasta.

Archont Charondas powitał macedońskie poselstwo wykwinnym przemówieniem, w którym podnosił zaszczyt, jaki miasto spotyka przez przyjazd syna i następcy Filipa oraz najznakomitszych jego wodzów. Odpowiedział mu Antypater gładko, lecz z niezbyt ukrywanym lekceważeniem, iż po raz drugi już zawiera w tym mieście pokój imieniem Filipa. Wobec tego, że co do szczerości zamierzeń króla teraz już nikt nie może żywić wątpliwości, wyraża niepłoną nadzieję, że po raz trzeci już tu pokoju zawierać nie będzie.

Po przemówieniach orszak wjechał w bramę miasta. Aleksander, pochylając się do Hefajstiona, rzekł półgłosem:

— Widziałeś, jakie piękne konie? Pod Cheronei; zmarnowałyby się. Tu przydały się lepiej.

Hefajstion przytaknął z roztargnieniem, bo oczu jego nie ciągnęły konie, lecz tłum pięknych niewiast, które ciekawością wiedzione wyległy na ulice. W strojnych w jaskrawe suknie, lśniące klejnoty, woniejących pachnidłami Sydonu i Tyru pięknościach nikt nie poznałby zrozpaczonych niewiast, które dopiero przed kilku dniami w zaniedbanych szatach, z rozwianymi włosami opuszczały miasto, przeklinając zwycięzców. Teraz najkrwawszego z nich witały pochlebny szmerem podziwu dla jego urody, przekonane, że to o nich mówił ze swym dorodnym towarzyszem. Rozkoszny efeb! Na jego widok do reszty traciły szacunek dla swych mężów i braci, którzy jak stado baranów pozwolili się gnać temu dzieciuchowi. Z nim żadna nie lękałaby się spotkania sam na sam. Każda czuła się Omfalią zdolną usidlić młodocianego Heraklesa i jak Lizystrata utrwalić

swym wdziękiem pokój, który imieniem swego dzikiego rodzica zaprzysiąc przyjechał ten piękny heros. Stronictwo macedońskie zyskiwało potężne poparcie.

Stary arystokrata Fokion z drwiącym uśmiechem patrzył na nie ukrywane wrażenie, jakie wśród niewiast wywołał urodziwy młodzian. Były między nimi niewątpliwie wdowy i sieroty po poległych dopiero przed kilku dniami, może nawet z jego ręki, wojownikach, których prochy przywiozło poselstwo. Patrzył z pogardą na ten dowód, jakimi drogami chodzą nastroje tłumu, który miał prawo stanowić o wszystkim, za nic nie przyjmując odpowiedzialności. Zarazem jednak doświadczeniem starego wojownika przewidywał w młodzieńcu wodza, za którym ludzie pójdą w ogień i wodę. Z uśmiechem zwrócił się do jadącego obok Antyparta, mówiąc:

— Szkoda było naszej i waszej krwi. Zda się, że starczyło przysłać tu Aleksandra, by zdobył Ateny bez walki.

Antypater również uśmiechnął się pogardliwie i odparł:

— Obawiam się, wodzu, że pomyli się każdy, kto tego młodzieńca zechce mierzyć zwykłą miarą; a już na pewno wasze niewiasty.

Fokion spojrzał pytająco, ale Antypater urwał rozmowę. Docierali już zresztą do Prytaneion, gdzie przygotowana była biesiada dla uczczenia poselstwa. Co jedno było znakomitego w Atenach, zgromadziło się już w perystylu wspaniałego budynku. Przed propylejami Aleksander zsiadł z konia, a archont przedstawił mu członków areopagu, strategów, prytańców i wybitniejszych obywateli. Aleksander witał ich z ujmującą uprzejmością, a gdy archont prosił do wnętrza, powiedział niespodzianie:

— Zdaje mi się, że brak tu największego w waszym mieście człowieka.

Na zdziwione spojrzenie Charondasa dodał:

— Demostenesa. Rad bym mu przypomniał znajomość z Pelli, choć zapewne mnie tam nie zauważył.

— Wybacz, panie — odparł nieco zmieszany Charondas. — Wysłaliśmy go po zakup zboża...



— Czy nie szkoda do tak drobnych spraw używać człowieka wielkiego... jak cień Filipa? — odrzekł Aleksander i ruszył nie patrząc na osłupiałego Charonda. Archont pomyślał, że młodzieniec głaszcze lwią łapą. Natomiast Fokion, słysząc rozmowę, upewnił się w przekonaniu, że lepiej jednak mieć do czynienia z Filipem, który przy całej swej przewrotności, chytryści i nieokiełznaniu bardziej jest zrozumiały od swego syna, a dla Aten żywi szacunek, jaki ma dorobkiewicz dla upadłego arystokraty. I on ma ciężką rękę, ale głaszcząc umie chować pazury. Oto i teraz zdobył Ateny, a ni jeden z jego żołdaków nie przekroczył z bronią w rękę attyckiej granicy.

Stary wódz z gorzką pogardą słuchał, jak po zaprzysiężeniu pokoju w Partenonie zgromadzenie bez jednego głosu sprzeciwu uchwalało honorowe obywatelstwo Aten dla Filipa i jego syna, a proksenię dla jego posłów — Antypatra i Alkimacha, w tym samym teatrze, w którym przed kilkoma dniami padały na nich przekleństwa i obelgi. Koroną upokorzenia była uchwała przyznająca Filipowi posąg na rynku, a świecący klejnot wprawił w nią Diogenes. Powrócił już wraz ze zwolnionymi jeńcami i wśród powszechnego milczenia wyrwał się z wnioskiem, by posąg Filipa odlać z posągów Harmodiosa i Aristogejtona, ponieważ jako zabójcy tyrana gotowi zejść ze swych cokołów i stracić intruza, co Filip mógłby niesłusznie wziąć za złe Ateńczykom i podejrzewać, że wdzięczność ich za doznane odeń dobrodziejstwa nie jest szczera. Wszyscy udali, że nie słyszą szczekania „Psa”, i by zatrzeć niemiłe wrażenie, uchwalono szybko i jednomyślnie pomnik nagrobny świetności Aten. Pozostały z niej jeszcze wspaniałe dzieła sztuki, które ze znanstwem i zamięłowaniem oglądał nieodgadniony młodzian, w ten sposób korzystając z pozostawionej mu swobody ruchów, po której spodziewano się nawiązania stosunków, choćby takich, jakie wszędzie nawiązywał jego ojciec. Aleksander jednak nie zbliżył się do nikogo. Zajmowało go miasto i jego przeszłość, wypytywał o zniszczenia dokonane przez Mardoniosa, złożył bogate ofiary w świątyni Ateny Zwycięskiej, kazał sobie pokazać więzienie, w któ-

rym umarł Sokrates, gaj Akademos, w którym nauczał Platon, i zadziwiał swych przewodników znajomością helleńskiej filozofii i poezji. Zapytany o wrażenia, jakie na nim wywarły świątynie na Akropolu, przyrównał je do dramatów Ajschylosa z ich prostotą pomysłu, pięknem szczegółów i harmonią całości. Dodał jednak, że są aż nazbyt świetne i wspaniałe dla małych bogów jednego niewielkiego narodu, w kraju, gdzie jeden drugiemu depce po piętach.

Natomiast gdy na jego cześć wystawiono w teatrze komedię Menandra o bliźniaczych siostrach heterach, które uwiodły dwóch czcigodnych obywateli, przybyłych, by ratować swych synów z ich drapieżnych łapek, Aleksander nie tał niesmaku, patrząc w niebo lub ziewając. Wobec kobiet rycerski, okazywał im więcej szacunku, niż sobie życzyły, i wyjechał po kilku dniach jeszcze mniej zrozumiały, niż przyjechał. Poza Fokionem jednak, którego uderzała znajomość spraw wojennych w tak młodym wodzu, nikt sobie nim dłużej nie zaprzętał głowy. Dość mieli do myślenia o uroczystym pogrzebie poległych pod Cheroneą i poczynaniach Filipa, który rozwiązał Związek Morski i zwołał zjazd wszystkich państw helleńskich do Koryntu, by utworzyć panhelleński związek przeciw Persom. Atenom pozostawił wolną rękę w tej sprawie, Fokion doradzał przystąpienie, Demostenes, który powrócił zaraz po wyjeździe poselstwa, odradzał, i nie myślano więcej o Aleksandrze.

Wspomniał go tylko jeszcze Antyfanos, którego frywolnej komedii, odczytanej podczas uczyty, Aleksander wysłuchał z widocznym niesmakiem. Antyfanos nie mógł mu tego darować i mówił:

— Kto tego z nami nie robi, kto jak my nie bije się z innymi o hetery, nie zadaje i nie odbiera ciosów, zasługuje na to, by się nudzić.

Mylił się jednak, Aleksander bowiem nie nudził się w Atenach. Zobaczył, co chciał widzieć, poznał, kogo chciał poznać. Jedyne z Isokratesem nie udało mu się już zetknąć. Wieść o klęsce cheronejskiej zламаła blisko stuletniego starca, który przez całe życie głosił zjednoczenie Hellady, a chybiwszy gdzie indziej, upa-

trzymał zjednoczyciela w Filipie. Takiego jednak zjednoczenia się nie spodziewał. Gdy posłyszał, że wśród winowajców klęski wymienione było z przekleństwem jego imię, zamknął się w domu i zgaśł nie przyjmując jadła i napoju. Pogrzeb jego odbył się tego samego dnia, co pogrzeb poległych pod Cheroneą. Ale choć i on był jej ofiarą, nie o nim mówił Demostenes w swej mowie, w której pominął także własną rolę:

— Jak gdyby ktoś z tego świata zabrał światło, całe życie stałoby się smutne i ciężkie, tak przez śmierć tych mężów cała dawniejsza sława Hellenów przemieniła się w ciemność i niestawę... Łatwo objaśnić, dlaczego wszyscy z obawy napiętnowania i ze wstydu przed haniebnymi skutkami przeciwnego zachowania się dzielnie i wytrwale stawili czoło niebezpieczeństwu, grożącemu im ze strony nieprzyjaciół, i przenieśli zaszczytną śmierć nad haniebne życie.'

Wiedząc już, że Filip nie troszczy się o słowa, uchwalono wreszcie epitafium, które rozczulało teraz całe tłumy swym patosem. Zwarte w szeregi jak żołnierze gotowi do bitwy, wykute w kamieniu stały obok siebie imiona tysięcy poległych, a pod nimi widniał napis:

To oni, co dla Ojczyzny na bój chwyciwszy za miecze,  
Dusz swych nie oszczędzili, bo dzielność ich wiodła —  
nie trwoga.  
Pychę złamali i stoją przed sądem podziemi boga.  
Śmiertelnym żywoty zawsze Los każe zakończyć  
zgonem,  
Tylko bóg nieśmiertelny przed klęską i błędem  
uciecze.  
Ci karków helleńskich nie zgięli w jarzmo butnego  
wroga,  
Więc ziemia nasza ojczysta w mozołe tym uznajone  
Szczątki ciał swych bohaterów matczynym utuli  
łonem.  
Taki był wyrok Zeusa i takie są losy człowiecze. <sup>2</sup>

Po tym epilogu tłumy zaczęły się rozchodzić do codziennych spraw. Hypereides stał jeszcze w zadumie przed grobem gdy do niego zbliżył się Demostenes. Milczał przez chwilę w nadziei, że Hypereides sam wypowie swe zdanie. Widząc jednak, że się tego nie doczeka, zapytał:

— Co sądzisz o tym napisie i o moim przemówieniu?

— Sądzę, że jest pięć razy dłuższy niż napis w Termopilach oraz że są sprawy, w których najwymowniejsze jest milczenie.

Odwrócił się i odszedł samotny.

Kamienne lwy na grobach tebańskich bohaterów pod Cheroneą ni słowem napisu nie żaliły się na poniżenie przez Filipa, a krzywdę i zdradę ze strony sprzymierzeńców. Za ostatnią posługę oddaną przez bratnich jeńców i drzewo na stos z ojczystych lasów Filip na drwiny kazał sobie grubo zapłacić. Nieszczęsnego Isokratesa jednak zmusił do mówienia nawet z za grobu. Sfałszowany list jego, nakłaniający do hołdu i uległości wobec zwycięzcy, krążył w odpisach po całej Helladzie:

*... Przedtem upominałem cię, byś przekonywał Hellenów, aby posłuchali twego planu zjednoczenia Hellady; teraz już nie potrzeba wielu słów, teraz muszą iść za tobą. Potem możesz ruszyć przeciw Persom, a gdy ich podbijesz, nie pozostanie ci nic innego, jak zostać bogiem.*

Przykład upodlenia dały Helladzie Ateny, nie tylko zawierając odrębny pokój z Filipem i zostawiając sprzymierzeńców na jego łasce, ale wbrew oporowi przywódców wojennego stronnictwa przyjmując jako dobrodziejstwo z jego ręki sporny z Tebami graniczny okręg Oropos. Skuteczniej niż przegrana bitwa złamało to resztki oporu. Gotujące się do niego Korynt i Megara na tę wieść poddały się bez walki, gdy tylko pierwszy żołnierz macedoński pojawił się na Istmie.

Teraz nadszedł okres zwycięstw, jakie Filip cenił najwyżej. Wojska nie były mu już potrzebne. Parmeniona z jazdą wysłał na odebrany Atenom tracki Chersonesz, Aleksandra i celniejszych wodzów do Pelli, z poleceniem gotowania wojsk na perską wyprawę, sam zaś ze szczupłymi siłami ruszył na Peloponez, poczynając od przyjaznej Argolidy, kolebki rodu Heraklitów. Ze wszystkich stron na wyścigi płynęły do niego poselstwa, zabiegając o łaski wszechwładnego: Chalkis, Fokis, Eubea, Achają, Epidauros, Troizen zawierały odrębne układy. Filip ustanawiał im rządców, wyznaczał granice, zostawiał swoje załogi. Nawet dalekie Bizancjum, które czyniąc szczerbę w jego sławie zwycięzcy, skutecznie przez rok niemal opierało się całej sile Filipa, teraz prosiło o pokój, usiłując zyskać znośne warunki.

Ale Filip nie zapomniał miastu ni jego przywódcy, Leonowi, doznanego upokorzenia. Zażądał poddania pisząc, że gdyby chciał kupować Bizancjum, mógł je mieć z pierwszej ręki, płacąc Leonowi tyle, ile żądał. Zrozpaczony i podburzony oszczerstwem lud rzucił się na dom zasłużonego wodza, który chcąc ująć śmierci z rąk własnych współobywateli, sam zadał sobie śmierć.

Z Argos ruszył król dalej, wszędzie przyjmowany hymnami, posągami i wieńcami. Obywatele stręczyli mu własne żony, by zaskarbić sobie jego łaski, w Olimpii wystawiono mu świątynię z posągami króla i jego rodziny, dłuta Leocharesa, ze złota i kości słoniowej.

Milczała tylko Sparta.

Żyzna dolina Eurotasu nie widziała najeźdźcy od czasu, gdy przybyli z północy Dorowie podbili pierwotną ludność i wprzęgli ją w jarzmo pracy dla siebie, sami pozostając tylko wojownikami. Gdy reszta Hellady rozkwitała bogacąc się handlem, a niewieściała doprowadziwszy sztukę życia i używania do wyżyn nigdy przedtem nie spotykanych, Sparta, niezmienna jak głaz, po staremu umiała tylko umierać. W niewielkiej mieścinie o kilkuset domkach z drewna lub suszonej cegły,

pod dachami z trzciny wodnej, pokolenie za pokoleniem tylko do broni się rodziło, rzadko pod dachem umierając. Kilka okazalszych budynków kamiennych mieściło Radę Starców, urząd eforów, dworce dwóch królów i koszary, w których młodzież spartańska wiodła żywot surowy i twardy, od dziecka wdrazana do panowania nad sobą i nad innymi.

Minął jednak czas, gdy tysiąc Spartiatów narzucało swą wolę całej Helladzie. Nowe sposoby wojowania Epaminondasa, w których osobiste męstwo i pogarda śmierci ulec musiały umiejętności dowodzenia masą, po raz pierwszy w dziejach Sparty przyniosły jej klęski pod Leuktrami i Mantineą, które pozostawiły osad nienawiści do Teb, a wojna peloponeska zaszczepiła niechęć do Aten. Dlatego Spartanie nie połączyli swojej broni z wojskami Hellady, gdy stawiała ostatni opór Filipowi. Spartańskie wojska, zamiast na równinach Beocji, walczyły za pieniądze, posiłkując Tarent. W tym samym dniu, gdy Filip pod Cheroneą rzucił Helladę na kolana, spartański Archidarnos wraz z kwiatem młodzieży położył swe życie w krwawej bitwie z Messapiami i Lukanami.

Obie te wieści przyszły razem i eforowie zwołali zgromadzenie. Niewielki rynek z łatwością mieścił nieliczne zebranie. Młodzież do lat trzydziestu nie brała w nim udziału, połowa zdolnych do broni pociągnęła z Archidamosem i niewielu ich powróci, z pozostałych znaczna część przebywała stale poza miastem, pilnując skłonnych zawsze do buntu helotów, nad którymi jak głąz ciążyła twarda władza zdobywców. W jaskrawym słońcu wczesnej jesieni ciemnoczerwone chlamidy Spartiatów rzucały krwawy poblask na bezwase, brodate ich twarz, skupione, ale nie poruszone groźnymi wieściami. Gdy efor Antiochos, oznajmiwszy śmierć Archidamosa, ogłosił następcą syna jego, Agisa, zakrzyknęli na cześć młodego króla i wraz zamilkli, by wysłuchać, co powie.

Na podwyższenie wstąpił młodzieniec, któremu pierwszy dopiero zarost okrywał brodę. Surowymi, starymi oczyma powiódł po zgromadzonych i donośnym, szorstkim głosem rzucił:

— I my potrafimy umrzeć.

Tutaj Termopile nie były jeszcze pustym słowem, udział w świętym hufcu straceńców był po dawnemu najwyższym zaszczytem Spartiaty, a złoto Filipa nie znajdowało odbiorców, zbyt miękkie na krótkie miecze spartańskie, a zbyt ciężkie na tarcze.

Mimo to upojony triumfem Filip nie liczył się już z oporem. Arkadia, Messenia i Elis połączyły swe siły z macedońskimi, by szukać pomsty po dawnych zdobywcach.

Zjazd jednak w Koryncie już się był rozpoczął i Filip wolałby widzieć tam wysłanników Sparty. Miecze spartańskie, których brak ułatwił mu zwycięstwo nad Helladą, rad by-widział w walce przeciw Persji. Dlatego sięgnął po wspaniałomyślność i wysłał do Sparty poselstwo, zapewniając, że pozwoli żyć Spartanom, jeżeli stawią się na synhedrion. Nie spodziewał się odpowiedzi, jaka nadeszła:

„Ale nie możesz nie pozwolić nam umrzeć za ojczyznę.”

Mimo że czuł się wszechwładnym, tego nie mógł istotnie. Nie mógł też zostawić zuchwalstwa bez odpowiedzi i wysłał groźne pismo, w którym przestrzegał, że jeżeli zmuszony oporem wkroczy do Lakonii, nie pozostawi ze Sparty kamienia na kamieniu. Odpowiedź była jeszcze krótsza: „Jeżeli!”

Wbrew naleganiom Messańczyków, którzy najbardziej zajadli na Spartan, czyhali na ich zgubę, Filip jeszcze zwlekał. Teraz już gotował wyprawę przeciw Persom, żał mu więc było sił, które skierować zamierzał do tego celu. Dlatego wysłał pismo do Agisa:

„Filip, król Makedonów, królowi Spartan, Agisowi, pozdrowienie. Jeżeli było wyrazem rozsądku z waszej strony nie podnosić na mnie miecza pod Cheroneą, to czynić to teraz, gdy dawni wrogowie, przekonawszy się o szczerości i łaskawości mojej, stoją po mojej stronie, byłoby szaleństwem, tym większym, że Sparta, nie mając ze mną zadawnionych porachunków, liczyć może na moją szczególną łaskawość. Nikt znający wojnę, choćby tylko z opowiadania, nie może przypuścić, by dla moich wojsk, którym nie oparły się połączone woj-

ska niemal całej Hellady, przedstawiało trudność pokonać Spartę. Choć jesteś młody i nie dowodziłeś jeszcze w żadnej wojnie, rozumieć musisz, że łatwiej byłoby mi wydać rozkaz do pochodu niż nawet napisać ten list, co niech będzie dowodem mojej dla was przychylności. Dlatego, choć rozsądek nie zawsze zwykł towarzyszyć młodemu wiekowi, spodziewam się, że zjedziesz do Koryntu na synhedrion wszystkich państw helleńskich, by zająć tam poczesne miejsce i zabrać głos we wspólnych sprawach całej Hellady, i korzystać z dobrodziejstw powszechnego pokoju, tym dla was potrzebniejszego, że otoczeni jesteście zewsząd wrogami i nie brak ich w waszym własnym kraju. Daję ci przeto łatwy wybór i sądzę, że choć późno, skorzystasz z mojej łaskowości, i ja zapomnę o twym dotychczasowym zuchwalstwie. Pomnij jednak, że niejednego już przekonałem siłą, gdy słowa moje nie znalazły posłuchu, i że więcej ich tracić nie będę.

Filip"

Odpowiedź Agisa rozdrażniła króla:

„Zmierz swój cień, a przekonasz się, że nie jest większy po Cheronei.”

Filip, który umiał śmiać się z rzucanych na niego obelg i wyzwisk, nie potrafił się jednak uśmiechnąć na zuchwalstwo młodzika, który, mając po raz pierwszy dowodzić, wyzywał do walki takiego jak on mocarza. Dolina Eurotasu zawlokła się dymami palonych osad i miasteczek, dopływy rzeki zarumieniły się krwią mordowanych bez litości mieszkańców. Nie prosili zresztą o nią, walcząc do upadłego. Niszcząc wszystko po drodze, Filip dotarł aż do Gyteion, skąd raz jeszcze wysłał zapytanie, czy Sparta zamierza się poddać. Poparte przelaną krwią, jedno słowo odpowiedzi — „nie”, wymowniejsze było niż wszystkie razem filipiki.

Król zbyt doświadczonego był wodzem, by nie wiedzieć, ile krwi, trudu i czasu kosztować może opór, gdy przeciwnik naprawdę walczyć zamierza do ostatniego tchnienia ostatniego człowieka. Gniew Filipa już przeszedł, męstwo król umiał cenić, a rozważa mówiła mu, że lepiej, by peloponescy sprzymierzeńcy nadal potrzebowali jego pomocy przeciw odwiecznym wrogom. Za-



spokoił ich przeto zwrotem wszystkich ziem, jakie od setek lat utracili na rzecz Sparty.

Gdy herold macedoński oznajmił to zebrany na rynku Spartianom, efor Antiochos zapytał go drwiąco:

— Czy król twój dał im także prawo utrzymania tych ziem z bronią w ręku?

Na tę odpowiedź Filip już się uśmiechnął. Zapowiedź walki, jaką niewątpliwie była, dawała mu porękę wierności sprzymierzeńców. Że stanowiła zarazem zapowiedź oporu, o to się nie troszczył. Z tym w razie potrzeby poradzi sobie Antypater, który nie miał zwyczaju podziwiania wrogów. Spartanie umieją umierać, Antypater zabijać.

W Koryncie natomiast Filip nie napotkał już żadnego oporu. Powszechny pokój i wieczne przymierze zabezpieczyć miało Filipowi zaplecze w czasie perskiej wyprawy, na którą wszystkie państewka helleńskie zobowiązały się dostawić ustalone ilości wojsk, służba Persom uznana została za zdradę. Siły, przeciw którym Filip dotychczas musiał walczyć, teraz skupione w jego ręku, jego celom miały służyć. Wracał do Pelli jako przewodniczący panhelleńskiego związku i hegemon Hellady. Stanął u progu celu swego życia.

## ROZDZIAŁ XXII

Po powrocie króla zawrzało w stolicy. Teraz oczy całej Hellady na nią były zwrócone, ale choć cichaczem podrwiwano z niej nadal, było na co patrzeć. Filip ze zwykłą rozrzutnością rozdelał nagrody zasłużonym, dary, godności i dostojęstwa, wyprawiał uczty, uroczystości oraz igrzyska. Z królewskiego skarbcza złoto strumieniem płynęło do rąk wojowników, i tak już zbożonych łupami, a ci z tą samą rozrzutnością trwonili je, obiecując sobie stokrotnie powetować wydatki, gdy dobią się do skarbów Persji, przeciwko której wyprawa dla nikogo już nie była tajemnicą. Toteż jak pszczoły do miodu ścigały zewsząd do Pelli gromady najemników, kupców z towarami, rzemieślników, artystów i wszelkiego rodzaju darmozjadów, goniących za łatwym zyskiem, by wykąpać się w potoku złota, pożywić ochłapami uczt czy skorzystać z łaskawego nastroju króla i uzyskać godność lub stanowisko, jakich otwierało się mnóstwo wobec nowych zaciągów, ustawicznych poselstw i tworzenia nowych urzędów.

Strumień królewskich łask nie ominął również młodego Pausaniasa z Beroi, który pod Cheroneą istotnie nie przyniósł wstydu królewskiemu mieczowi. Jeden dzień wysunął go od razu na stanowisko ilarchy i zdał się zapewniać świetną przyszłość. Gdy po bitwie stał wśród innych przedstawionych do nagrody za męstwo, król roześmiał się na jego widok i powiedział:

— Oszukałeś mnie o jeden dzień, ale nie byle jaki. Oszukaj mnie jeszcze raz: za mój miecz kup ode mnie zbroję i konia. To nie gorsza zamiana niż Diomedesa z Glaukosem.

Sądził, że chłopak skwapliwie skorzysta z jego hojności, toteż zdziwił się usłyszawszy odpowiedź:

— Jeślim nie był godny walczyć twoim mieczem, odbierz mi go wraz z życiem, bo sam go nie oddam.

Zarumieniona twarz i rozognione podnieceniem oczy wskazywały, że chłopak istotnie myśli to, co mówi. Filip spojrział na niego życzliwie i odparł:

— Godny byłeś miecza i nie chcę ci go odebrać, jeno odkupić. Sam powiedz przeto, czego żądasz. Dam ci, co zechcesz.

Patrzył badawczo na chłopca, choć uśmiechał się nadal. Męstwo nie było rzadkie w jego wojsku, ale rzadka była bezinteresowność. Filip nie wierzył, by chłopak oparł się pokusie. Nie okazał po sobie zadowolenia, gdy chłopak odparł śmiało:

— Czy ty, królu sprzedałbyś swoje zwycięstwo pod Cheroneę?

— Masz słuszość. Nie! Ale ten miecz nie to jedno ma za sobą zwycięstwo. Lubię go, może tedy oddasz mi go bez zapłaty?

Pausanias bez słowa wręczył Filipowi miecz, po czym niespodzianie odwrócił się i odszedł. Wszyscy patrzyli w milczeniu, co poczynił król. Pozwolił chłopcu oddalić się kilkanaście kroków i zawołał:

— Pausaniasie!

Chłopak przystanął, lecz nie od razu zawrócił. Gdy podszedł, król zauważył, że szklą mu się oczy. Mrugnął na niego żartobliwie i przygarnawszy go ramieniem, rzekł:

— Nie chcę cię pozbawić pamiątki ni nagrody twojego zwycięstwa. Jakoś się musimy pogodzić. Zatrzymaj tedy miecz, ale masz zawsze być z nim przy mojej osobie.

Pausanias w wybuchu prostodusznej wdzięczności rzucił się Filipowi na szyję i serdecznie go ucałował, a nieskłony do wzruszeń Filip oddał mu pocałunek. Czuł, że zyskał człowieka wierniejszego niż pies.

Zajście to znane było w całym wojsku. Attalos, który żadnej nie zaniedbywał sposobności, by mieć przy królu oddanych sobie ludzi, a przeczuwał w swym krewniaku nowego ulubieńca Filipa, zajął się Pausaniasem jak rodzonym synem. Mimo początkowego wyrachowania i on wkrótce polubił niezspsutego, wrażliwego i ufego chłopca, który odplacał mu szczerą wdzięcznością, a w łatwowierności swej sądził, że wszyscy cieszą się jego szczęściem wraz z nim.

Początkowo zdziwiony był, gdy w Pelli zauważył, że tak nie jest. Zdało mu się, że to zazdrość powoduje, iż niektórzy towarzysze odsuwają się od niego. To uczucie rozumiał, choć sam go nie znał. Nie dbał o to, natomiast dotknęła go zmiana w odnoszeniu się króla; zdał się wprawdzie nadal darzyć chłopca życzliwością, ale odsuwał go od siebie i nie dopuszczał do poufałości, do jakiej Pausanias nawykł w czasie wyprawy na Peloponez i zjazdu w Koryncie. Posmutniał, bo nie widział na to rady, a w niczym nie czuł się winny.

Przebiegły Attalos natomiast zaraz pomiarkował, że ktoś krzyżuje jego zamierzenia, i wkrótce dotarł do źródła. Imiennik chłopca, Pausanias Kerastyda, chcąc odsądzić ulubieńca od króla, rozpuszczać zaczął o nich uwłaczające wieści, które doszły do uszu Filipa. Król, znając życie, wiedział, że wszelkie zaprzeczenia nie zdolają zapobiec plotce, i przez życzliwość odsunął chłopca, miast dworskiej służby zalecając mu ćwiczenia wojskowe. Attalos, chcąc krewniaka uspokoić, że niełaska króla jest pozorna, wyjawiał mu powód. Żałował potem, że to uczynił. Prostoduszny i szczerzy chłopiec z małej miejsciny do głębi przejął się niegodnym oszczerstwem. Nie potrafił ani szukać pomsty za obelgę, ani przejść nad nią z pogardą. Zamknął się w sobie, unikał ludzi, do utraty sił oddając się ćwiczeniom. Attalos daremnie starał się go rozruszać. Chłopak zaciął się w jakimś postanowieniu.

Attalos natomiast nie miał zwyczaju niczego pozostawiać bez odpłaty. Haniebna, choć przygasła już sprawa Pausaniasa Kerastydy przez niego znowu znalazła się na wszystkich ustach. Zarozumiałca sprośnymi a wyuzdanymi gestami zaczepiali ulicznicy, hetery odmawia-

ły mu swych świadczeń, pytały z kpiną, ile król mu płaci, lub robiły wyrzuty, że odbiera im chleb. Pausanias trząsał się z bezsilnego gniewu. Podejrzewał w tym rękę Attalosa i pobiegł do króla żądając dochodzeń i ukarania sprawcy.

Filip jednak nie miał zamiaru sam mieszać się w sprawę, w którą i tak był wmieszany. Starał się uspokoić Kerastydę, radząc mu, by udawał obojętność, a szeptu przycichną. I on zresztą podejrzewał Attalosa, ale nie chciał wiedzieć, Attalos bowiem wciągnął go już w grę, której stawką była władza nad Macedonią. W rękę miał przedmiot nowej namiętności Filipa, która z niezwykłą siłą ogarniała zbliżającego się do starości króla.

Eurydyka nie wiedziała, że życie jej, które dotąd płynęło cicho i spokojnie jak strumyk wśród kwiatnych łąk, znajduje się na zakręcie ku potężnej rzece, pełnej raf, wirów i wodospadów.

Opiekun odebrał ją z dworu, królowny, gdy wróciła do Pelli. Nieśmiała i cicha Eurydyka nie zbliżyła się do żadnej z towarzyszek. Brat, z którym razem uczyła się w dzieciństwie, odszedł do „chłopców królewskich”; stryj, nawet gdy powrócił z Hellady, widywała rzadko. Zajęty był przygotowaniem wojsk, które w ślad za teściem swym, Parmenionem, powieść miał do Azji Mniejszej, i pochłonięty jakimś sprawami, których nie rozumiała. Wciąż jeszcze budził w niej niepokój, jaki poczuła od pierwszego wejrzenia. Małżonka jego odnosiła się do dziewczyny chłodno i podejrzliwie. Z królem Eurydyka zetknęła się kilkakrotnie. Słyszała o nim wiele, ale nie wszystko potrafiła pojąć. Podobał się jej mimo kalectwa. Promieniowała z niego jakaś siła, o której nie wiedziała, dobra jest czy zła. Płoszył ją jednak jego wzrok, którym zdawał się przenikać ją głębiej, niż sama siebie przeniknąć zdołała.

Najsilniej jednak utkwilo w niej spotkanie z królową. Nie wiedziała, że Attalos surowo nakazał Kleandrze unikać jej. Patrzyła jak urzeczona urodą Olimpiady, gdy padło na nią spojrzenie wielkich, błękitnych i lśniących oczu. Dziewczynka zalękniona odruchowo przytuliła się do piastunki, która, chwyciwszy ją za

rękę, oddaliła się szybko. Takie oczy musiała mieć Medea. Niepokój dziewczynki wzrósł, gdy piastunka wymogła na niej, by o tym spotkaniu nie wspominała nikomu.

Eurydyka była sama, ale lubiła swą samotność. Dom roił się od służby, przewijało się w nim mnóstwo ludzi, odbywały się uczyty i zebrania, ale dziewczyna stroniła od nich. Ciepłą porą wraz ze starą piastunką Kleandrą, która ją dzieckiem przywiozła z Lynkestis uciekała na łąki nad Ludiasem i Aksiosem, zbierała kwiecie i wiła wieńce. Gdy Góra Bogów okrywała się srebrzystą śnieżną szatą, a zimowe wichry hulały na zatoce, lubiła snuć marzenia przy ich wtórze lub słuchać żalonych opowieści, płacząc nad smutnym losem Edypa, żaląc się nad Antygoną, trwożnie dziwiąc się straszliwej namiętności Medei. Łagodne jej serce nie rozumiało buntu przeciw niesprawiedliwości losu. Rostała jak kwiat, który rozwija się w słońcu, a opada pod uderzeniem zimnego wichru. Sierocą potrzebę czułości kolia piastunka, zarówno jak tęsknotę za domem dzieciństwa.

Ale dzieciństwo jej minęło już. Motyli wdzięk dziecka przeistaczał się już we wdzięk nieświadomej jeszcze swych uroków kobiety. Ciemne oczy, ocienione długimi rzęsami, spjrzały na świat jakby odmieniony. I ludzie dokoła się zmienili. Nawet Kleandrą. Częściej teraz zabierała Eurydykę do miasta, gdzie u fenickich i jońskich kupców długo i starannie dobierała jej coraz nowe stroje, klejnoty i pachnidła. Stryj nie żałował kosztów, by podnieść jeszcze urodę bratanicy; coraz częściej i wyraźniej Eurydyka słyszała, że jest piękna. Nie wiedziała jeszcze, czy to dobrze, czy źle. Niepokoiło ją, że opiekun coraz więcej poświęca jej uwagi. Nawet rozhukany brat spjrzał na nią pewnego razu jakby zaskoczony i powiedział:

— Kto byłby przypuścił, że z polnego korrika ptak wyrośnie. Jeszcze ci tylko pazurków brak.

Nie rozumiała, co chciał rzec, ale śmiech jego był nieprzyjemny. Nie lubiła też, gdy zaczął sprowadzać towarzyszy. Mówili przy niej o sprawach, których nie pojmowała, ale których zaczynała się domyślać. Wkrót-

ce domyśliła się wszystkiego, a w to, czego jeszcze nie rozumiała, wtajemniczyła ją piastunka.

Wówczas Eurydyka szeroko otwartymi oczyma ujrziała, że Pella trzęsie się od tych spraw. Chodziła do miasta niechętnie, bo niepokoiło ją swym gwarem i ruchem. Roilo się od obcych. Imię pięknej Kaliksejny było na wszystkich ustach wraz z szeptanymi uwagami o królewiczu, który wśród kłębiących się dokoła namiętności tkwił na pozór obojętny jak kamień wśród odmętu. Eurydyka widywała czasami Aleksandra. Zdał się jej nadludzko piękny, ale zimny jak marmur, z którego Lizyp wyrzeźbił jego posąg, z tymi samymi niewidzącymi oczyma, jakie z posągu patrzyły daleko w przestrzeń. Coś jej się w sercu poruszyło, ale nie była to miłość. Raczej uwielbienie, które nie czeka wzajemności. Gdyby wyciągnął do niej ramiona, przeleżałaby się, tak jak gdyby uczynił to jego posąg. Wstrząsnęło nią jednak, gdy jeden z towarzyszy brata ozwał się z przekąsem:

— Dziękować nam Aleksandrowi za Kaliksejnę. Dobrze, że jemu wystarczy Hefajstion.

Hippostratos syknął wskazując oczyma na siostrę:

— Trzymaj gębę.

Rozpuszczony młodzik nie o to dbał, że towarzysz obraża uszy młodej dziewczyny. Lękał się raczej, by szepety te nie doszły do królewicza. Sprawa Kerastydy Pausaniasa przestrzegąca Hippostratosa przed mieszaniem się w podobne obmowy. Aleksandrowi, któremu matka wszczepiła do tych spraw wstręt i nieufność, niebezpieczniej było się narazić niż samemu królowi, niezbyt dbającemu o pozory, gdy ogarnęła go namiętność. Lud przy tym, a nawet stara arystokracja rodowa przywykli patrzeć z pobłażaniem na wybryki króla, który wiódł Macedonię do wielkości. Nie pobłażano jednak jego współpracownikom w rozpuście. Filip podarunkami i godnościami starał się załagodzić rozjątrzonego byłego miłośnika, który, jakby go bogowie obrali z rozumu, obnosił się nadal z własną hańbą, hańbiąc jednocześnie rzekomego współzawodnika i ośmieszając króla. Dlatego też, choć w Pelli ważyły się najdonioślejsze zagadnienia — czyniono zabiegi o zabezpieczenie zaplecza

wobec przewidywanej długotrwałej nieobecności Filipa — sprawa Pausaniasa wciąż zajmowała umysły, jątrząc się jak nieczysta rana, której zaduch narzuca się całemu otoczeniu.

Mimo że wszyscy, od króla do niewolnika, wciągnięci byli w nawał pracy związanej z wyprawą, mającą ukoronować działalność Filipa i okryć go nieśmiertelną chwałą, sprawa nie chciała zgasnąć. W Pelli zaczynały się tworzyć stronnictwa, dzieląc ludzi na zwolenników Pausaniasa i Attalosa, a bystry Antypater, przeznaczony na rządcę Macedonii pod nieobecność Filipa, czuł, że ktoś rozmyślnie podkopuje powagę króla, dodając sprawie rozgłosu. Zrazu czekał, kiedy Filip urwie jej łeb, choćby razem z łbem jednego z przeciwników. Ale choć znał Filipa od chłopca, nigdy nie widział u niego takiego braku postanowienia i nadmiaru niezrozumiałej pobłażliwości w sprawie błażej w porównaniu z tymi, jakie zaprzętały go obecnie. Filip nigdy nie był wzorem cnót ojca rodziny i wybryki jego dawno przestały budzić zgorszenie, teraz jednak mniej niż kiedykolwiek miłe mu być mogło kapanie na głowę brudnych kropel obmowy i drwin. Doświadczony i dalekowzroczny mąż postanowił więc sam skończyć tę sprawę, ale przezornie wolał naprzód wy badać, w czym leży przyczyna, że nie kończy jej Filip.

W gorącym czasie trudno było schwytać sposobność, by pomówić z królem w cztery oczy. Filip od świtu do zmroku pracował bez wytchnienia, doglądając osobiście ćwiczeń wojska, wyposażenia, budowy statków, przyjmując i odprowadzając poselstwa i zbierając wiadomości. Od zmroku zaś do świtu wypoczywał po swojemu i albo nie można go było uchwycić, albo mówić się nie dało przy winie i tancerkach.

Gdy wódz przybył do pałacu, strażnik przy drzwiach do królewskiego talamu oznajmił mu, że król wybiera się na ucztę do Attalosa, teraz zaś bawi u niego Kerastyda. Można się zresztą było domyślić, bo przez podwójną zasłonę sły chać było podniesiony głos natarczywego młodzieńca.

Wąskie wargi Antypatra zacisnęły się gniewnie. Nie bacząc na sprzeciw strażnika, odsunął go na bok i od-



chyliwszy zasłony, wszedł. Stojący na środku izby z rozognioną twarzą Pausanias urwał w pół zdania, a król zgasił sztuczny uśmiech i powiedział do wodza:

— Zaczekaj, aż skończę.

— Czekałem zbyt długo — zimno odparł Antypater. Zmierzył Pausaniasa oczyma, uśmiechnął się pogardliwie na zuchwałę spojrzenie młodzika i dorzucił:

— Jeden z nas wyjść musi, skoro, jak widzę, obaj mamy do mówienia o sprawach, którym niepotrzebni świadkowie.

Gniewny i pytający wzrok skierował Pausanias Jia króla, który jednak umknął z oczyma. Nie skłoniwszy się młodzieniec wyszedł szybko. Filip odetchnął i zapisał Antypatra:

— Cóż tak pilnego cię sprowadza?

— Każda sprawa jest pilniejsza od takiej — pogardliwie kciukiem przez ramię wskazał na drzwi, przez które wyszedł Pausanias.

— Jak wiesz, te sprawy nigdy nie przeszkadzały mi w innych — odparł król z wymuszonym uśmiechem.

— Nawet gdy szło o twoją własną małżonkę. Tym bardziej nie rozumiem, że tej skończyć nie umiesz.

;— I Achilles miał swoją piętę — zaśmiał się król.

— Wiesz, że go życie kosztowała.

— Gadaj, czego chcesz — rzucił się Filip już niecierpliwie — bo spieszno mi do Attalosa.

— Pausaniasa mogłeś wyrzucić, nie mnie — odparł Antypater. — Teraz niech poczekają tancerki. Jeśli mam tu odpowiadać za spokój, gdy ciebie nie będzie, żądam, byś sam nie siał niepokoju.

— Głupstwo! Cóż z tym wspólnego ma sprawa Pausaniasa?

— Właśnie dlatego, że głupstwo, trzeba ją skończyć. Nie chcesz czy nie możesz zatkać zuchwałego pyska Kerastydzie, wyślij go do Parmeniona.

— Tam ma iść Attalos. Nie chcę, by się stykali w wojsku.

— Tedy wyślij Attalosa. Niech jeden zejdzie z oczu, a sprawa przycichnie.

— Jeszcze nie czas. Attalos zbiera wojska, które ma powieść swemu teściowi...

Antypater spojrział na Filipa podejrzliwie. Odparł sucho:

— Dość masz wodzów, którzy tu czy tam zastąpić mogą Attalosa. A pierwszy — twój własny syn, skoro nie ma być twym namiestnikiem, jak w czasie trackiej wojny. Teraz go trzymasz na uboczu, gdy pokazał już, że i rządzić i wojować potrafi. Co jemu przeznaczasz?

Król jednak nie chciał widocznie dać odpowiedzi, bo wstał, jakby na znak, że rozmowa skończona. Ale Antypater nie pozwolił się zbyć. Usiadł, dając do poznania, że nie odejdzie bez odpowiedzi, i rzekł:

— Słuchaj, królu! Sprawa Pausaniasa Kerastydy jest głupia i niejednoś już głupstwo zrobił po pijanemu. Ale nie jest głupia sprawa Aleksandra...

— Chcesz wiedzieć, czego ja sam nie wiem — odparł król podrażniony. — Jutro dowiemy się obaj. Teraz już czas mi do Attalosa.

Nie było dla Antypatra tajemnicą, co tam ciągnie króla, mniej natomiast rozumiał, dlaczego Attalosa, człowieka przeciętnych zdolności a wygórowanego o sobie mniemania, wysuwa król na jedno z pierwszych w wojsku stanowisk. Za wysługiwanie się jego słabostkom Filip zwykł płacić złotem, rzadziej zaszczytami, ale nigdy ważnymi stanowiskami ludziom, którzy czym innym się odznaczyli niż roztropnością i męstwem. Przypadkowo zaś poruszona sprawa Aleksandra zaskoczyła Antypatra. Niezrozumiała mu była zmiana króla w stosunku do syna, a na wypadek rozłamu między nimi groził państwu nieobliczalny wstrząs, w którym stanowisko wodza stawało się niezmiernie trudne. Jego własni synowie, zarówno jak Parmeniona i innych najwyższych dostojników, ślepo pójdą za Aleksandrem, a gwałtowność królewicza kazała się obawiać, że nie cofnie się przed niczym. Latami, największym mozołem i prze-myślnością wykuwana wielkość Macedonii, za której współtwórcę Antypater słusznie uważał siebie, może okazać się złudą, którą rozwieje wicher domowej burzy. Jaskinie wiatrów, które je rozpętać mogą, były wodzowi znane: jedna w gyneceum zamku Fakos, druga w dworcu Attalosa.

Antypater pożałował, że nie ma Parmeniona. Nie

uszło bowiem jego uwagi, że Olimpias liczy się z nim. On jeden mógł wpłynąć na nią, a zarazem okiełzać zięcia i nie pozwolić, by pod dachem, gdzie żyła córka, stręczył swą bratanicę Filipowi.

Wracając nad rzeką do domu, Antypater rozmyślał. Nie czas porozumiewać się z Parmenionem. Filip zapowiedział, że jutrzejszy dzień przynieść ma rozstrzygnięcie. Letnie gwiazdy wskazywały zbliżającą się północ, termin był niedaleki, a postanowienie swe Filip poweźmie pod wpływem wina i namiętności, która nie była pierwsza, ale mogła być ostatnia i największa.

Oblegany tymi myślami Antypater czuł, że nie zaśnie. Nie zwykł przy tym beczynn timerce czekać na to, co los przyniesie. Z Olimpiadą nie lubili się wzajemnie, Attalos wprawdzie zabiegał o jego względy, ale stary wódz znał ludzi i wiedział, że po to tylko, by go dla własnych planów pozyskać. Trzymał więc Attalosa z dala, zimno i wyniośle. Natomiast świadom był swego wpływu na Filipa i postanowił użyć go, nim będzie za późno. Kazał sobie podać konia i ruszył do dworca Attalosa.

Zamek za mostem zdał się już pogrążony we śnie, tylko w części niewieściej jeden światełk pod okapem majaczył niepewnym światelkiem. Miasto jednak zewsząd dawało oznaki życia. Od szynków i domów publicznych, nad rzeką i koło przystani, dochodziły dźwięki instrumentów, ochryple śpiewy, hałasy, odgłosy kłótni i bójk. Wódz zmarszczył czoło. Pamiętał, jak Pella była osadą rybacką ledwie zasługującą na miano miasta, żyjąc wraz z całym krajem życiem surowym i twardym. W tym leżała siła Macedonii, którą narzuciła zwycięściej w zbytkach Helladzie, jednocześnie zarażając się jej słabością. Wódz lekceważył czczą gadaninę retorów i sofistów i ich spekulacje, w których słowa zastępowały pojęcia. Wierzył tylko w doświadczenie, przede wszystkim własne. Platonik z wykształcenia bliższy był cynikom, za jedyną prawdę uważał czyny. Dlatego też ręka jego nie zawahała się, gdy uderzał młotkiem w miedzianą tabliczkę nad bramą dworca Attalosa, chociaż wiedział, że nie jest oczekiwanym gościem.

Zaspany odzwierny odebrał od niego konia, po czym

na polecenie wodza pobiegł oznajmić jego przybycie gospodarzowi. Zaskoczyła Antypatra panująca w domu cisza. Czyżby Filip chciał zmylić ślad, mówiąc, że idzie do Attalosa?

Na odpowiedź Antypater nie czekał długo. Sam Attalos wybiegł zapraszając wylewnie i z wielkim szacunkiem do wejścia. Antypater rzekł szorstko:

— Nie będę cię zwodził, że ucztować do ciebie przyjechałem. Muszę się widzieć z królem.

— Niemniej rad ci jestem, a sędzę, że i królowi miło będzie wychylić krater wina ze starym druhem przy takiej sposobności — odparł Attalos gładko, lecz ze złym błyskiem w oczach.

— Często zdarza mu się podobna sposobność — odparł Antypater lekceważąco i ruszył do wnętrza. Uderzyło go jednak, gdy Attalos odparł:

— Nie tak często, jak sądzisz.

W milczeniu już prowadził wodza przez prodomos i wewnętrzny dziedziniec. Gdy Antypater wszedł, Filip, z twarzą poczerwieniałą od wina i namiętności, szamotał się z Eurydyką, którą na widok wchodzących puścił i dziewczyna uciekła. Antypater zauważył łzy w jej oczach. Przygotowany był, że Filip wybuchnie gniewem lub co najmniej ofuknie go. Zdziwił się więc, gdy król powiedział życzliwie:

— Dobrze, żeś przyszedł. Będiesz świadkiem naszej umowy z Attalosem. Napij się wina.

Antypater wziął krater z ręki Filipa, mówiąc:

— Mogę się zarówno napić, jak i posłuchać, o co umówiłeś się z Attalosem; chyba nie o tę dziewczynę — dorzucił. — Przy takich umowach obywałeś się zazwyczaj bez świadków.

Filip zmarszczył czoło, Attalos zaś wtrącił zjadliwie:

— Wybaczam ci, że mnie krzywdzisz. I mam nadzieję, że król ci wybaczy, bo nie wiesz jeszcze, że mówisz o przyszłej królowej.

Antypater nie zwykł się dziwić, zwłaszcza wybrykom Filipa. Odparł obojętnie:

— Priam miał pięćdziesiąt żon, ale on był barbarzyńcą. W Macedonii jedna jest żoną, a inne nałożni-

cami. Umawiajcie się tedy, jak chcecie, ale mnie w to nie mieszajcie, bom do tego niepotrzebny.

Zdało się, że z twarzy króla wytrysnie krew. Krzyknął bełkotliwie:

— Olimpias z barbarzyńców pochodzi... niech wraca, skąd przyszła. Dość mam jej... i jej knowań! A kto się ujmie za nią, jest moim wrogiem!

Antypater spojrział zimno na króla i rzekł:

— Ja się za nią nie ujmę. Ale Olimpias ma syna. Dobrze byłoby, gdybyś raz jeszcze sprawę rozważył na trzeźwo. Miałeś nałożnicami królewskie córki, możesz mieć i bratanicę Attalosa. I to zaszczyt byłby dla niego.

Nie patrząc na gospodarza, który przeszywał go wzrokiem, Antypater wstał. Filip zerwał się również, wywracając z trzaskiem tronos.

— Będzie, jak mówię! — krzyknął. — Dawno to chciałem uczynić. A nie chcesz mi być świadkiem, to po coś przyszedł? Wynos się!

— Właśnie się wynoszę. Mnie do swoich spraw z Olimpiadą nie mieszaj. Niech Erynie troszczą się o domowe ogniska. Ich to rzecz, nie moja.

Wyszedł bez pożegnania i wracał do domu zatroskany. Wobec zamierzonej perskiej wyprawy i dzięki znaczeniu, jakie posiadał w wojsku i w kraju, był Filipowi niezbędny. Posunął się, jak daleko mógł. Ale widział już, że król pod wpływem namiętności i opętania gotów nie zważać nie tylko na niego, ale nawet na syna. Znając go, król winien był przewidzieć, że Aleksander ujmie się za matką, a co w gniewie uczyni, tego przewidzieć się nie da. Natomiast Antypater utwierdził się w przekonaniu, że na to właśnie liczy Attalos i dokłada starań, by Aleksandra z ojcem poróżnić. Teraz gra jego stała się jasna i wódz postanowił pomieszać mu szyki.

Krótką noc letnia uciekała już, ale Antypater nie pojechał do domu. Zsiadłszy przy moście z konia, puścił go wolno, sam zaś skierował się ku bramie zamku. Strażnik, poznawszy wodza, chciał ją przed nim otworzyć, ale ten rozkazał:

— Spieszno mi. Chcę tylko mówić z synem moim Kassandrem. Każ go zbudzić i niech natychmiast przyjdzie do mnie.

Odwrócił się i szedł wolno brzegiem rzeki. Usiadł na przybrzeżnym kamieniu i patrzył, jak rzuca się żerująca" przed świtaniem ryba. Wkrótce posłyszał szybkie kroki. Drogą biegł Kassandros, spostrzegłszy ojca, zatrzymał się o kilka kroków.

— Zbliź się — powiedział wódz. — Tego, co ci chcę powiedzieć, nawet ryby nie mogą słyszeć.

Ciągnął półgłosem:

— Muszę się zaraz widzieć z Aleksandrem. Nie śmie o tym wiedzieć nikt, nawet ty masz zapomnieć. Pojadę w górę Ludiasu. Niech mnie dogna jak najprędzej.

Doszedłszy do domu, Antypater zabrał konia pasącego się na łączce przed bramą i ruszył przed siebie.

Niebo już jaśniało na wschodzie, za chwilę pierwsze głosy ptaków gnieźdzących się w chaszczach, którymi okryte były pagórki, powitały wstający dzień. Wódz jednak wyteżał słuch czy nie posłyszysz tętentu konia. Gdy go jednak doszedł, obejrzał się i skręcił w wąwozik zarośnięty krzami kwitnących róż. Za chwilę posłyszał szelest gałęzi i zjawił się Aleksander w krótkiej purpurowej tesalskiej chlamidzie, z gołą głową i rumieńcem podniecenia na twarzy. Zeskoczył i przystąpił do siedzącego na kamieniu wodza, patrząc na niego pytająco lśnącymi oczyma.

— Domyślasz się, że mówić mamy o sprawach, dla których nawet ściany zbędnymi świadkami — zaczął wódz.

Aleksander skinął głową w milczeniu, a Antypater ciągnął:

— Ale mówić o nich będę tylko wtedy, jeżeli mi przyrzekniesz, że postąpisz zgodnie z tym, co uradzimy. Jeżeli nie, wyjeżdżam na wieś wraz z synami, a bogowie niech mają w opiece Macedonię.

Aleksander znowu skinął głową, ale w głosie jego było gniewne zniecierpliwienie:

— Dość prologu. Mów!

Wódz odparł sucho:

— Nie jestem mówcą. Nie tylko do wysłuchania potrzebna ci będzie cierpliwość. Jeżeli się na nią zdobyć nie potrafisz, mówiłbym na próżno... a niczego próżno czynić nie zwykłem.

— Mów! — powtórzył Aleksander.

Usiadł koło wodza i twarz jego przybrała zwykły, nieprzenikniony wyraz. Antypater zapytał:

— Czy ojciec wyznaczył ci stanowisko lub dowództwo w perskiej wyprawie?

— Nie! — odparł Aleksander i drgnął z lekka.

— Tak? — powiedział Antypater 'jakby do siebie. — Tedy powiem ci, dlaczego nie. Uzależni to od twego zachowania się po wygnaniu przez niego Olimpiady.

Myślał, że Aleksander zerwie się, ale królewicz już widocznie panował nad sobą. Głos miał lekko jeno przyćmiony, gdy zapytał:

— Skąd wiesz?... I dlaczego właśnie teraz?

Wódz opowiedział pokrótce zdarzenia ostatniej nocy, a wyraz zadumy nie schodził z twarzy Aleksandra. Gdy wódz skończył, królewicz wstał.

— Gdzie idziesz? — zapytał Antypater.

— Pierwej się ojciec spije na stypie Attalosa niż na swym weselu — odparł Aleksander.

— Czeka! — rzekł Antypater gniewnie. — Nie po to sam nie śpię i tobie sen przerwałem, byś wcześniej głupstwo zrobił.

Gdy Aleksander odpowiedział mu groźnym spojrzeniem, wódz ciągnął:

— Attalos to łotr, ale łotr przebiegły. Ty bacz -na siebie. A chcesz jemu pomieszać szyki, udawaj, że cię ta sprawa nie obeszła. Wtedy jego zamiar poróżnienia cię z ojcem chybi. Przez kłótnię z Filipem tyle jeno wskórasz, że ci siły nie da do ręki. A temu, co zamierzył i tak nie zapobiegiesz, matce zaś i bezpieczniej na czas się usunąć. Kronos, choć sam stary, trzyma z młodymi.

Aleksander zwrócił zamyślane oczy na wodza; powiedział cicho:

— I ty nie lubisz Olimpiady. Rad byś, by nie było jej w kraju, gdy zostaniesz rządcą Macedonii...

Twarz wodza zmierzchła. Wytrzymał przenikliwe spojrzenie Aleksandra i powiedział twardo:

— I ja nie lubię Olimpiady i wolę, by jej nie było, gdy będę rządcą Macedonii. Bo ja dbam o dobro naszego kraju, a ona jeno o własne... jak Attalos. I ani

knuć, ani pochlebiać wam nie muszę, dlatego powiem ci jeszcze: nie dla Filipa ani też dla ciebie chcę zapobiec, byście nie zburzyli tego, coście nie sami budowali. Aleksander przygasił gniewny błysk oczu i gdy Antypater powstał, rzekł spokojnie:

— Wierzę ci, wodzu. Czy długo mam patrzeć biernie, jak ten łotr umacnia się przeciw mnie?

— Nie od dziś i nie bez celu Attalos rozsiewa wieści o barbarzyńskim pochodzeniu Olimpiady. Teraz powtórzył to za nim Filip. Nietrudno zgadnąć, co będzie podszeptował królowi, gdyby Eurydyka urodziła syna...

— A jeżeli tak będzie, jak przewidujesz, co ty uczynisz?

— Macedonia potrzebuje silnych królów, kraj będzie po twojej stronie, a mnie zawsze znajdziesz z nim razem. Czy ci to wystarczy?

— Tak. Jeszcze jedno: czy to, coś mi rzekł, ma zostać tajemnicą nawet i przed matką?

— Ciebie przestrzec chciałem, byś w zaskoczeniu nie pozwolił się powodować podszeptom lub nierozwadze. Olimpiadzie przestroga na nic się nie zda, chyba na to, by zamęt powiększyć i mnie wciągnąć w niego. I ona mnie nie miłuje.

— Nie wiem, czy potrafię ukryć to przed matką — powiedział cicho Aleksander. — I niełatwo mi się z nią rozstać...

— Wiem, że niełatwo. Lepiej przeto, by cię w Pelli nie było, gdy to nastąpi.

Aleksander dosiadł konia i skierował go ku wyjściu z wozu. Po chwili Antypater posłyszał tętent, który oddalał się w stronę przeciwną od miasta. Odetchnął i ruszył ku domowi. Zdawało mu się, że zapobiegł najgorszemu.



## ROZDZIAŁ XXIII

Olimpias, nie czekając nawet na powrót syna, wyjechała wraz ze swym dworem do Epiru, miotając na zamierzone przez Filipa stadło straszliwe klątwy, które drżeniem przejmowały ludzi, znowu szeptających sobie na ucho plotkę, która już przycichła, iż to królowa swymi czarami sprawiła, że Filip stracił oko. Teraz oczekiwano straszliwszych jeszcze wypadków.

Attalos głośno jednak drwił z klątw i czarów, a Filip radośnie i na pozór beztrosko urządził na przyjęcie nowej królowej opróżnioną przez Olimpiadę część zamku. Złoto płynęło ze skarbcza strumieniem do mieszkań kupców, artystów i rzemieślników. Jakby na dodatkowe urągowisko wobec Olimpiady nowa żona miała otrzymać imię jej córki — Kleopatry.

Beztroska Filipa była jednak pozorna, a podniecenie i radość mącił niepokój, jak wypadnie nieuchronna rozmowa z synem, który po kilku dniach zjawił się równie niespodzianie, jak wyjechał.

Unikając ojca, wziął się do zwyczajnych zajęć, ujeżdżania koni i ćwiczeń ze swą agemą.

Bliski już dzień wesela naglił Filipa. Attalos nalegał, by król wprost zażądał od syna uznania nowego związku, ale Filip, znając przywiązanie Aleksandra do matki oraz jego upór, obawiał się, że syn nie ugnie się przed jego wolą. Gdyby nie obce mu dotychczas uczucie dla swej wybranki, jakiego nie żywił dla żadnej z kobiet,

które przesunęły się przez jego bujne życie, byłby się może nie wahał. Ale lękał się przyszłości. Usiłował wiedzieć się, co Aleksander mówi o sprawie. Ale jeżeli mówił z kim, to tylko z Hefajstionem, który umiał milczeć. Rozmowa z synem była nieunikniona i nie można było jej odwlekać.

Na wezwanie ojca Aleksander stawiał się. Lekko przybladła twarz jego była spokojna, tylko oczy świeciły się bardziej niż zazwyczaj. Filip nie patrzył na syna; by zacząć rozmowę, zapytał:

— Gdzieś bywał?

— Polowałem na kozły skalne.

— Nie masz nic ważniejszego do czynienia?

— Nie moje wesele, bym się nim jak ty zajmował. A wojska masz widocznie za dużo, skoro na fenicką purpurę i pachnidła trwonisz pieniądze.

Filipa ogarniało rozdrażnienie, ale się powściągnął.

— Nie twoja sprawa — rzucił szorstko.

Aleksander nic nie odrzekł, jeno wpijał w ojca rozognione oczy. Filip czuł wzrastające napięcie, ale szczególnie zależało mu na obecności syna na weselu, uważał ją bowiem za pośrednie uznanie prawości nowego związku. Postanowił więc przejść wprost do tej sprawy.

Uciekając ze spojrzeniem, powiedział:

— Wiesz, że matka wyjechała?

Aleksander roześmiał się drwiąco. Filip jednak, udając, że tego nie zauważył, ciągnął:

— Musiałem ją usunąć, bo życia własnego przy niej nie byłem pewny.

— I musiałeś na jej miejsce wziąć inną?

Żył nabrzmiały na czole Filipa, ale odparł z wymuszonym uśmiechem:

— Co ty wiesz o tych sprawach... Na wesele cię proszę wraz z twoją agemą.

Odetchnął i czekał, co powie Aleksander. Syn widocznie jednak przygotowany był na to, bo odrzekł bez namysłu:

— Jeżeli prosisz mnie nie jako ojciec syna, lecz jako król jednego ze swych wodzów — przyjdę

Filip roześmiał się nieszczerze:

— Oczywiście, że nie jako hypaspistę.

— A czym ja będę dowodził?

Pytanie zaskoczyło Filipa. Uradził z Attalosem, by synowi nie wyznaczać dowództwa, póki się nie przekonają, jak zachowa się na weselu ojca. Odparł wymijająco:

— Wiesz, że dopiero przed samą wyprawą zwykłem rozdzielać dowództwa.

— Ale Attalos już teraz wyznaczony na zastępcę Parmeniona, choć wesele gotuje — nie wojnę. Tedy sądzę, że i dla mnie możesz odstąpić od swego zwyczaju.

— Dobrze! Będziesz dowodził ilą królewską. Potem zobaczymy.

Aleksander odparł spokojnie:

— Pod Cheroneą dowodziłem całą jazdą. Czy poza tym, że zmieniasz żonę, ma zmienić się coś jeszcze?

Patrzył na ojca przenikliwie. Filip znał go dobrze. Czuł, że jeśli powie prawdę albo będzie się starał wykręcić od odpowiedzi, wybuch nastąpi zaraz. Odparł z przymusem:

— Nie zmieniło się nic. Będiesz hipparchem. Czy jesteś zadowolony? — zapytał gniewnie.

Musiał ustąpić przed synem tam, gdzie ustąpić nie zamierzał. Syn zaczynał mu ciążyć. Macedonia istotnie zbyt ciasna dla nich obu. W Persji znajdzie się więcej miejsca. Zakończył sucho:

— Masz, czegoś chciałem, i rozumiesz, czego ja wzajem żądam od ciebie. Wesele jest pojutrze. Potem zajmiesz się swoją jazdą. A teraz możesz odejść.

Letnie słońce wyskoczyło zza Kaladrosu, jakby ktoś piłką cisnął, i cień wzgórze uciekał szybko, by przytulić się do jego stóp, a powiew wstający z zachodu zegnał opar wznoszący się z bagien, wśród których tkwił zamek Fakos. Mury rozjarzyły się w jaskrawym świetle, wewnątrz ruch panował niezwykły, a i z miasta dochodził jakby szum pasieki, gdy ciepłe promienie roje pszczoł poruszają do weselnego wzlotu. Brzęczeniem owadów brzmiały z dala dźwięki cytr, śpiewy i gra na

fletniach, przebijając się rytmem przez bezładną wrzawę tłumów ludzkich, ściągających zewsząd. To królewskie wesele poruszyło cały kraj. Lecz gdy arystokracja i rycerstwo podzielone były na dwa stronnictwa, nie objawiające jednak na zewnątrz panującego rozdwojenia, chłopci i żołnierstwo nie głowili się, czy król słusznie postąpił, odegnavszy Olimpiadę. Obca im była, niedostępna i niezrozumiała, a króla znał każdy i każdy wiedział, że od czasu, gdy ujął w rękę berło Macedonii, kraj dźwignął się z upadku i poniżenia na szczyt chwały i pomyślności. Toteż ciągnęły tłumy chłopstwa z pobliskiej Botiai i Pierii i pasterzy z Elimiotis, Orestis i hen! z Lynkestis, od samej górzyściej granicy Epiru i Ilirii, niosąc królowi swe ubogie dary: suszone sery, owoce, miód, dziczyznę i drób, radzi w zamian skorzystać ze znanej szczodrobliwości króla, skosztować weselnego placka czy wziąć udział w zapowiedzianych igrzyskach, a przede wszystkim zaspokoić ciekawość.

W tych tłumach prostych ludzi tkwiła potęga Macedonii i mimo całego zaślepienia namiętnością i nieznym mu dotychczas uczuciem dla młodziutkiej oblubienicy, Filip rozumiał, że ta siła nie może ulec rozdwojeniu, jeśli nie mają się zawalić jego dalekosiężne plany. Tym też tłumom przede wszystkim pokazać chciał, że syn, którego sława rozniosła się już po najdalszych zakątkach kraju, w tym dniu stoi przy jego boku. Gdy tylko zerwał się o świcie, pytał o Aleksandra.

Królewicz spał jeszcze. Nie zdołały go rozbudzić ani jaskrawe promienie słońca, wpadające przez świetlik, ani ruch w zamku, ani odgłosy dochodzące z miasta. Gdy upał dzienny przenikać zaczął do talamu, a promień słońca wpelznął na twarz leżącego, przez sen obrócił się na drugi bok, odrzucając okrycie. Szeroka, z lekka zaróżowiona pierś podnosiła się lekko widocznym, długim i spokojnym oddechem. Nie ocknął go powiew, który wpadł, gdy uchyliła się zasłona przy wejściu i nad łóżem stanął Hefajstion mówiąc szeptem:

— Czas już! Czekamy.

Stał, spodziewając się, że coraz większy gwar zbudzi przyjaciela, któremu sam przerywać wypoczynku nie miał serca, a może i śmiałości. Wiedział, że Aleksander

nie lubi, by go budzić. Od czasu gdy wyszli spod opieki surowego Leonidasa, prowadził najnieskładniejszy tryb życia. Tak spał Aleksander przed Cheroneą. Gdy inni zasnąć nie mogli z podniecenia czy niepokoju, on spał twardo, że dobudzić się go nie było można, jakby zbierał te niewyczerpane, zda się, siły, wykazywane w walce i czynie. Czyżby się spodziewał, że teraz będą mu potrzebne? Hefajstion z niepokojem patrzył na niewielką, ale jakby z marmuru wykuta postać Aleksandra, którą znał tak dobrze, a nigdy nie mógł się oprzeć uczuciu podziwu. Leżąc Aleksander zdał się większy, niż był w istocie. Pod gładką skórą uwydatniały się mięśnie. Czerwone, rozchylone we śnie wargi niewielkich ust nadawały mu niemal dziewczęcy wyraz, gdy prosty nos z cienkimi nozdrzami wyostrzył się już i z twarzy zniknął brzoskwiniowy puch. Aleksander golił zarost wbrew macedońskiemu zwyczajowi i kazał golić swęj agemie, mówiąc kpiąco, że w bitwie nieprzyjacieli mógłby któregoś chwycić za brodę. Ale Hefajstion wiedział, że Aleksander rozmyślnie chce zachować wygląd efeba, by zaskakiwać ludzi sprzecznością między swą powierzchownością a postępowaniem, tak jak zaskakiwał ich potężny i niski głos niewielkiej postaci.

Toteż i towarzysze jego, którzy przystrojeni już i uwieńczeni na królewskie wesele oczekiwali Aleksandra w perystylu pałacu, mieli pozór gromady młokosów, choć niejeden dawno już nosił oszczep i tarczę. Niecierpliwili się i rozprawiali w podnieceniu, a Hefajstion wciąż jeszcze nie nadchodził. Wreszcie Marsjas wybiegł i wpadając do talamu, zakrzyknął:

— Na Hekatę i Erynie! Dokąd każecie nam czekać? Król już wyruszył.

Hefajstion palec na ustach położył. Aleksander jednak rozbudzony usiadł na łożu, patrząc na towarzyszy trzeźwymi oczyma, i głosem, w którym nie znać było resztek snu, odpowiedział:

— Nie każę ci czekać. Ze mną pójda tylko Harpalos, Ptolemaios, Erygios i Laomedon. Reszta może iść pomnożyć tłum gapiów. Czy kąpiel gotowa?

— Nie będziesz się teraz kąpał — wtrącił pogardli-

wie Marsjas, choć wiedział, że szkoda przekonywać Aleksandra, gdy coś postanowi. Umilkł z westchnieniem, Aleksander zaś, bez słowa włożywszy sandały i chłajnę, wyszedł.

— Coś się gotuje — mruknął Marsjas.

— A przynajmniej na coś jest gotowy. Czemuż to żadnemu z nas, najbliższych, nie kazał iść ze sobą, jakby chronić nas chciał przed czymś?

— Tedy nie brałby Harpalosa i Ptolemaiosa.

— To krewniacy króla, winni być na weselu, boby im król wziął za złe ich nieobecność.

— Leonnatos i Perdikkas także krewni, a im nie kazał iść.

Nawykli, że Aleksander niczego nie czynił bez celu, ale nie stało czasu głowić się nad znaczeniem wyboru towarzyszy, bo wrócił królewicz. Przybrany był jak do konnej jazdy: w krótką chlamidę z cienkiej wełny, narzuconą na lniany chiton z tyryjskiej purpury, z półrękawami, na głowie zaś, miał weselnego wieńca, miał macedońską kausię filcową, stopy obute w trzewiki z czerwonej skóry. Celtycki, krótki miecz zwisał na pasie ze złotych klamer, przewieszony przez ramię. Rzucił:

— Gotowym.

Wyglądał na gotowego do bitwy, nie na wesele. Gdy dosiadłszy koni ruszyli przez groblę na bagnach ku miastu, Hefajstion, zasępiony, powiedział do pozostałych:

— Jedźmy i my pod dom Attalosa. Może przydamy się na co.

Ruszyli za Aleksandrem. Miasto było niemal wyludnione, kto jeno żył, ciągnął termajską drogą ku mostowi na Aksiosie, za którym leżał weselny dom. Tymczasem Aleksander dojeżdżał już na miejsce.

Filip przybrany w pozłocisty pancerz, jeno z wieńcem na głowie miał hełmu, w otoczeniu krewniaków i dostojników stał przed bramą wśród zwyczajowych przemówień wręczając Attalosowi wykup i dary dla oblubienicy. Przybyłego syna powitał przelotnym, gniewnym spojrzeniem i gdy Attalos, który ojca zastępował Eurydyce, przystąpił do ołtarza, by złożyć ofiarę

bogom opiekuńczym małżeństwa, Filip mruknął do Aleksandra:

— Niespieszno ci! Gdzie reszta twojej agemy i krewniacy: Leonnatos i Perdikkas?

— Kazałem im zostać — odparł głośno Aleksander. — Dom Attalosa zbyt mały, by pomieścić wszystkich, którzy by ze mną iść chcieli.

Król nic nie odparł, jeno obrzucił syna groźnym spojrzeniem, Attalos jednak, patrząc wyzywająco na Aleksandra, zawołał:

— E u f e m e i t e — uciszcie się!

Obrzędowy ten okrzyk oznaczał rozpoczęcie ofiary, ale nikt nie miał wątpliwości, że skierowany był do Aleksandra. Cisza, która zaległa, nie była nabożnym skupieniem. Wszyscy spojrzeli na królewicza, jakby w obawie, że uczyni coś, co przerwie rozpoczęte obrzędy, ale Attalos już skinął na fletnistów, którzy rozpoczęli przygrywkę, a pacholkom trzymającym ofiarnego cielka za uwieńczone białym kwieciem pozłacane rogi, kazał przystąpić i ręką dał znak. Ugodzony obuchem w czoło byczek runął bez głosu; wprawnie podejrzięto mu gardło, a bluzgocącą krew Attalos zaczerpnął do złotego kubka i skropił nią ołtarz, buchający płomieniem stosu. Byczek już ledwo drgał, a dokoła głowy jego tworzyła się kałuża, w której samotnie pływał biały kwiat oderwany od wieńca.

Aristandros przystąpił do leżącego zwierzęcia, by wedle obyczaju z wnętrzości wróżyć o losach nowego stadła, ale Filip odsunął go niecierpliwie. Dziś nie chciał wróżby i spieszno mu było do oblubienicy. Pacholkom wie z wprawą obdarli ofiarne bydlę ze skóry i poćwiartowali. Attalos zaś ociekające jeszcze krwią, owinięte w skórę i tłuszcz kawały mięsa rzucił w płomień, który skwiercząc, chwycił je chciwie i czarny słup dymu wznosił się ku niebu. W tej chwili jednak uderzenie wiatru zakręciło nim, owiewając zgromadzonych i wpędzając im w nozdrza swąd spalonej sierści. W tłumie rozległy się szepty. Bogowie sami zsyłają wróżbę odpychając dym ofiarny. Wesela winny odbywać się zimą^ a już co najmniej przy malejącym księżycu, jeżeli ko-

muś czekać zbyt długo. Teraz lato jest w pełni, a księżyc do niej dobiega. Niepokój wstawał w tłumie.

I Filip nie był wolny od niepokoju. Sny miał tej nocy skłócone, bezładne. Budząc się kilkakrotnie, starał się je zapamiętać, ale nad ranem usnął tak głęboko, że nie umiał nic powtórzyć swemu wróżbicie. Pozostało w nim dręczące uczucie, jakby uchyliła się przed nim na mgnienie oka zasłona kryjąca jakąś tajemnicę, a nie zdążył zajrzeć za nią. Teraz już nie chciał. Wbrew rozsądkowi i radom, pod wpływem namiętności, której zbliżające zaspokojenie mroczyło mu umysł, powziętego postanowienia nie cofnie z powodu niejasnego przecucia. Dlatego nie chciał już wróżby, która by je mogła umocnić. Tym bardziej też drażniło go wszystko, co do głosu przywoływało trzeźwy rozum i stawało w poprzek jego niecierpliwości. Ale już Attalos kończył obrzędowe modlitwy, a niewolnicy roznosili w koszach między tłumem sezamowe placki weselne i zapraszali lud na ucztę przy zapalonych ogniskach. Rozległ się ryk bitego bydła, beczenie owiec i kwik świń, a gospodarz prosił gości weselnych do wnętrza domu.

Gdy Attalos dopełniał obrzędów przed domem, Eurydyka w otoczeniu niewiast składała w megaron ofiarę bogini opiekuńczej dziewic — tea kurotrofos. Załzawionymi oczyma patrzyła, jak płomień pochłania jej dziewczęcą opaskę i dziecinne zabawki, miłe przedmioty, pamiątki spokojnego dzieciństwa, niektóre jeszcze z ojczystego domu w dalekich górach Lynkestis. Serce jej ścisnęła tak wielka, nagła tęsknota za wszystkim, co wraz z nim porzuciła, że rozszlochała się niespodzianie. Własnymi rękoma niszczy oto resztki tej przeszłości dla przyszłości ciemnej i nieprzeniknionej jak dym, który powstał z nich, rozpełzając się pod belkowaniem powały ku świetlikom, gdzie porywał go wstający na polu wiatr, rozpraszając po świetle ten ostatni ślad dzieciństwa. Piastunka Kleandra, zastępująca oblubienicy matkę przy weselnych obrzędach, objęła ją czule ramieniem, rozumiejąc rozżalenie dziewczyny. Hippostratos, który przybył o świcie, by przynieść wody ze świętego źródła u stóp Kaladrosu na obrzędową kąpiel dla siostry, ofuknął ją jednak:



— Czym witać będziesz nieszczęście, gdy szczęście witasz łzami?! Niejedna rada by wepchać się do królewskiego łoża, choćby i bez ślubów, a ty płaczesz, że będziesz królową? Że król niemłody już, tym lepiej, bo łatwiej go utrzymasz przy sobie. Już ja cię objaśnię, jak to uczynić...

Urwał i powściągnął się, bo dostrzegł, jak Helena patrzy na niego surowo poważnymi oczyma, których spojrzenie przypominało oczy Parmeniona. Choć jest małżonką Attalosa, Hipostratos niezbyt jej ufał, a król nie śmie wiedzieć, że bratanica Attalosa ma być jeno narzędziem, przy pomocy którego jej stryj wpływ chce wywierać na niego.

Starsza o kilka lat od Eurydyki, poważna i wykształcona Helena nie była z nią zżyta i niezbyt lubiła ją nawet, mając za złe, że pozwala się użyć za przynętę dla króla. Teraz jednak żał jej się uczyniło bezwolnej dziewczyny, widząc, że jest tylko stawką w grze, którą rozpoczął jej małżonek. Biorąc ją za ramiona, powiedziała:

— Lepiej, byś nie słuchała rad, których winnaś nie słyszeć. Ale nie płacz. Przeszłości nie pomoże żałować, a przyszłość w ręku bogów. Do małżonka się przywiążesz, jako i ja się przywiązałam, choć ojcowy dom musiałam porzucić, gdzie dobrze mi było. Prawda, że król z wieku ojcem by ci mógł być, ale miłuje cię po swojemu — może ci i ojca zastąpi.

Obrzuciła Hipostratosa wyniosłym spojrzeniem i wyprowadziła dziewczynę do niewieściej części dworca, by ją przybrać i uwieńczyć.

Zaślepiony namiętnością król kazał oblubienicy wziąć, wbrew obyczajom, udział w weselnej uczcie, a Helena miała jej towarzyszyć. Prowadząc dziewczynę, która przy rosłej niewieście dzieckiem zdać się mogła, czuła pod ręką przyspieszone bicie jej serca i w porywie cieplejszego uczucia pochyliła się ku niej, mówiąc łagodnie:

— Nie lękajże się. Każda z nas przejść przez to musi. Jenó — przyciszyła głos — nie pozwól się małżonkowi memu i swemu bratu wciągnąć w ich sprawę. Słabaś jak ptak, nie tobie mieszać się do walki...

Urwała nie chcąc dziewczyny spłoszyć do reszty. Nad wszystkimi, którzy zbliżali się do Filipa, zdał się wisieć cień Olimpiady. Eurydyka znajdzie się tam, gdzie jest najgłębszy.

Gdy niewiasty przybierały się do uczyty, gromada niewolników ustawiać jąła w podkowę legowiska dla biesiadników, a przy każdym osobny stolik na trójnogu. Na lewym skrzydle, na honorowym miejscu, obok stołu przeznaczonego dla niewiast ustawili na podwyższeniu bogatsze od innych kline dla króla.

Megaron zaroilo się od biesiadników, których attyckim obyczajem Attalos usadzał wedle godności, od lewej ku prawej stronie. Obok króla pierwszy spoczął Antypater i zdejmując sandały, patrzył spod oka, jak gospodarz następne miejsce wyznaczył brantankowi Filipa, Amyn-tasowi. Surowa twarz wodza nie poruszyła się ni okiem nie rzucił, gdy Aleksander odezwał się drwiąco do Attalosa:

— Mnie zapewne szczególnie chcesz uczcić, odstępując miejsce gospodarza?

— Nie — odparł zimno Attalos. — Jeno ponieważ przychodzisz jako jeden z królewskich strategów, przynasz, że nie tylko Antypater, ale i inni starsi zasłużeńsi są od ciebie.

Aleksandrowi jeno oczy błysnęły, ale patrzył obojętnie, jak Attalos z kolei wskazywał miejsce Antygonosowi, towarzyszewi wszystkich bojów Filipa, a potem usadzał krewniaków królewskich, od Aleksandra z Lynkestis począwszy, tak że nawet Ptolemaios i Harpalos zajęli miejsca przed Aleksandram, który znalazł się opodal miejsca gospodarza na prawym skrzydle podkowy.

Goście układali się, zdejmując obuwie, a rój pacholąt wpadł do megaron, niosąc chernipsy z ciepłą wodą, lniane ręczniki i lekytosi z wonnymi olejkami. Myli, namaszczeni nogi biesiadnikom, a służba już wnosila amfory z winem, hydrie z wodą i czerpaki, inni zaś roznosili w koszach placek weselny. Wśród panującego gwaru król odezwał się do Antypatra:

— Czemuż to Arystoteles nie przyjechał?

Antypater wiedział, że filozof odmawiał króla od mał-

żeństwa pod pozorem, że Eurydyka, nie mając jeszcze lat dwudziestu, za mąż wychodzić nie powinna. Sam odradził przyjacielowi wzięcie udziału w uroczystościach weselnych. Nie był pewny, jak zachowa się Aleksander, a na wypadek zatargu z królem chciał oszczędzić filozofowi konieczności narażenia się któremukolwiek z nich. Królowi odpowiedział:

— Prosił, by go usprawiedliwić, bo słąbuje, i został w Nimfajon. Ale życzenia złożyć ci kazał oraz pean zaśpiewać na twoją cześć.

Służba ustawiała już potrawy przed każdym z biesiadników i rozlewała w kubki czyste wino, przeznaczone na libację dla Zeusa i olimpijskich bogów. Filip pierwszy wylał wino i wskazał niewolnikowi, który stał przy nim do posługi, by nalał kantar. Wychylił go chciwie, nim jeść rozpoczął, i patrzył niecierpliwie ku wejściu z akседry, skąd powinna była nadejść oblubienica.

Zamiast niej jednak wkroczył wraz z fletnistą aktor Neoptolemos, obaj uwieńczeni białym kwieciami, i stanęli we wnętrzu *podkowy*. Skłonili się królowi i biesiadnikom, czekając aż wszyscy umilkną.

Gdy zapanowała cisza, Neoptolemos rozpoczął pięknym, niskim głosem pół śpiewać, pół mówić;

- *Korono śmiertelnych, dzielności!*
- *Łowów życia wzniosła zdobyczy!*
- *Za urok twój, Piękna, dziewiczy*
- *Śmierć nawet jest godna zazdrości...*

Pean, ułożony swego czasu dla Hermolaosa, sławił cnotę męstwa, ale aktor umiejętnie zwracał pochwałę do króla i gdy skończył, Filip zadowolony skinął na niego i rozmawiał z nim życzliwie. Biesiadnicy również rozpoczęli rozmowy, w tej chwili jednak szmer uczynił się przy wejściu i ukazała się Eurydyka, z zasłoną na twarzy, prowadzona przez Helenę, za nimi zaś szła Kleandra. Król urwał rozmowę, jak niecierpliwym młodzik zerwał się z legowiska i postąpił naprzeciw. Odbierając Eurydykę z rąk Heleny, podprowadził ją do swej kline, zamiast do niewieściego stołu. Niektórzy

z biesiadników rękoma zasłaniaли śmiech, gdy król zdjął z narzeczonej zasłonę, co zwyczaj nakazywał czynić dopiero w małżeńskim talamie. Patrzył z bliska w wilgotne od łez, fiołkowe, dziecięce oczy i nieznana czułość pohamowała jego pożądanie. Poglądził dziewczynę po jedwabistych, ciemnych włosach i biorąc kubek podał go jej, mówiąc:

— Napij się wina! Słodkie jest i wonne jak ty.

Gdy umoczyła wargi, wypił resztę i jak w upojeniu powtórzył wiersz peanu:

*Za urok twój, Piękna, dziewiczy  
Śmierć nawet jest godna zazdrości!*

Aleksander patrzył drwiąco na ojca i pochyliwszy się do Ptolemaiosa powiedział półgłosem:

— To samo mówił pewnie kiedyś jej babce. Już wtedy wprawiał się w dzielności.

Ptolemaios obejrzał się niespokojnie. Attalos leżał blisko, a słuch miał wyborny. Patrzył w ich stronę. Harpalos jednak, który zdążył już wypić, roześmiał się głośno i rzucił:

— Chciałbym i ja miłować trzy pokolenia niewiast, ale iście trzeba na to dzielności.

— Tymczasem już na pierwsze brakło ci jej i pieniędzy nadrabiać musisz — rzucił uszczypliwie Nearchos.

Cios był celny, bo ułomny Harpalos nie cieszył się względami kobiet i często bywał w kłopotach trwoniąc wszystko na hetery. Poczzerwieniał i zbierał się do gwałtownej odpowiedzi, Aleksander jednak trzepnął ręką o zagłówek i patrząc na ojca, który ułożywszy się koło oblubienicy, przygarniał ją i ustami muskał jej włosy, powiedział głośno:

— Dzielny czy nie dzielny, heterom zawsze płacić musi, dobrze, jeśli jeno pieniędzmi.

Tym razem Ptolemaios pewny był, że Attalos słyszał, bo przygryzł wargi i zimna jego twarz skurczyła się, jakby zamierzał coś odpowiedzieć, ale tymczasem gwar powstał, znowu bowiem służba wносиła potrawy.

Attalos chciał pokazać, że stać go na urządzenie kró-

lewskiego wesela. Na złotych półmiskach płynęły z kuchni wymyślnie przybrane, umiejętnie przyprawione mięsiwa, drób, dziczyzna, ryby, w koszach roznoszono sezamowe placki i chleb, służący biesiadnikom do nabierania przypraw, który po wytarciu weń palców rzucali psom. Gromada ich wpadła za służbą do megaron, powiększając wzrastający gwar uczt. Pacholeta znowu roznosić poczęły ciepłą wodę i ręczniki do mycia i wycierania rąk. Puchary krążyły coraz gęściej, a król wychylał jeden za drugim, jakby winem chciał ugasić płomień, który wstawał mu w piersiach i zaczynał obejmować głowę. Rozognioną twarz zbliżał do twarzy Eurydyki, która cofała ją, onieśmielona i zawstydzona. Szeptał namiętnie:

— Wkrótce już będziemy sami. Nie lękaj się. Cały świat położę u twoich stóp, królowie będą twymi niewolnikami.

Nie widział, że Eurydyka patrzy na Aleksandra, który oczu nie spuszczał z ojca, mówiąc coś z, drwiącym wyrazem twarzy do towarzyszy. Podziw, jaki żywiła dla królewicza, zmieniał się w obezwładniającą trwożę. Chciałaby uciec przed jego spojrzeniem, ale król trzymał ją silnym ramieniem, szeptał coś, czego nie rozumiała.

Gdy skończono jeść, Attalos skinął na wyzwolenca przełożonego nad służbą, która zaczęła sprzątać resztki biesiady, a do megaron weszli śpiowacy i trefnisie, by zabawić uczujących. Ale wino już szumiało we wszystkich głowach, a gdy śpiewacy przy wtórze cytr i fletni rozpoczęli śpiewy, król niecierpliwie machnął ręką, by mu nie przeszkadzali szeptać do Eurydyki. Attalos, widząc to, kazał wyjść wesołkom i śpiewakom, a gdy uciszyło się nieco, biorąc puchar, poprosił króla o głos.

— Zanim wedle obyczaju wychylimy ostatni krater ku czci agathos daimon i zanim pochodnia weselna poniesie święty ogień tego domu pod dach królewski, jeszcze jeden krater wychylić nam przystało.

Przerwał i skinął na służbę, by napełniła kielichy biesiadnikom, po czym ciągnął:

— Każdemu wiadomo, co przyniosło nam panowanie Filipa: zwycięstwo, zwycięstwo i zwycięstwo! Macedo-

nia z dna poniżenia dźwignęła się na szczyt sławy i potęgi. Jeżeli w sercach tych, co stojąc przy królu mają udział w jego zwycięstwach, powstawał kiedy niepowój, jak owoce tych zwycięstw przyszłym pokoleniom zabezpieczyć, to myśl zwracała się ku następcy naszego króla, który kiedyś objąć ma i nadal prowadzić jego dzieło...

Przerwał znowu, ujmując puchar. Za nim uczynili to inni, przekonani, że Attalos zamierza wypić na cześć Aleksandra. Tylko Antypater nie ruszył się i spojrzał nieufnie na Attalosa: posunął się zbyt daleko, by mógł wierzyć, że słowami załagodzi królewicza. Attalos twarz miał nieprzenikloną, ale Antypater wyczuwał w nim napięcie. Attalos wymusił uśmiech, ale był to uśmiech gracza, który zamierza rzucić najwyższą stawkę.

Antypater czekał i nie pomylił się. Attalos podjął:

— Zanim król opuści te progi, zabierając, co w nich znalazł najcenniejszego, tu go żegnamy najgorętszym życzeniem całego kraju: niech z zawartego dziś równej krwi związku urodzi się wreszcie godny następca Filipa!...

Martwą ciszę, jaka nastąpiła po niespodzianych słowach Attalosa, przerwał potężny, drgający jak pomruk gromu głos Aleksandra:

— Psie! To ja dla ciebie jestem bękartem?!

Nim kto zdołał się spostrzec, błyskawicznym ruchem chwycił ciężki kantar i oblewając winem biesiadników, cisnął go w głowę Attalosa.

Attalos jednak miał się na baczości. Mimo to zdołał się uchylić jedynie na tyle, że kantar drasnął mu skroń i ugodził stojącą pod ścianą kamienną hydrię, która rozpadła się z trzaskiem, rozlewając wodę dokoła. Nikt nie wątpił, że gdyby nie przytomność Attalosa, mozaikę weselnego domu zalałaby krew gospodarza. Osłupienie przerwał król, który zerwawszy się z wytrzeszczonymi wściekłością oczyma, chwycił leżący przy nim miecz i skoczył ku synowi.

Eurydyka wtuliła twarz w zagłówek, Antypater dźwignął się z legowiska, inni natomiast patrzyli w osłupieniu, jak na walkę tytanów, w której udział ludzki nic nie znaczy.

Filip w zamroczeniu wściekłością i winem zapomniał jednak, że noga mu nie służy. Uczyniwszy krok z podwyższenia, na którym stało kline, nie zdołał utrzymać na niej ciężaru ciała i runął z łoskotem, wypuszczając z ręki miecz. Pierwszy oprzytomniał Ptolemaios. Skoczył ku królowi, niby go podnieść, lecz zarazem kopnął leżący obok miecz, który odleciał daleko, a Nearchos w ogólnym zamieszaniu podniósł go, gdy Laomedon i Harpalos, pochwyciwszy Aleksandra za ramiona, ciągnęli go ku wyjściu.

Filip szamotał się z Ptolemaiosesem, usiłując się podnieść, ale już rzucili się inni, obstępując króla i dźwigając go, zapewne również w tej myśli, by dać czas wyjść Aleksandrowi. Ten jednak przed wyjściem zatrzymał się i patrząc na ojca, rzucił głośno:

— Opoju! Ty chcesz z Europy do Azji" przeskoczyć?! Nie potrafisz nawet z łoża do łoża, by się nie przewrócić!

Filip z pianą na ustach rzucił się ku synowi, ale drogę zastąpił mu Antypater, mówiąc zimno:

— Zaczekaj, aż wytrzeźwiejesz.

Wódz spojrział z wyrzutem na Aleksandra, który wciąż stał jeszcze. W powszechnym popłochu i zamieszaniu on tylko zdał się opanowany, a drugi — Attalos, który obojętnie przemywał wodą draśnięcie na skroni, uśmiechając się złośliwie. Widno oni dwaj nie byli zaskoczeni tym, co się stało. Eurydyka, która w czasie zajścia zsunęła się z kline i przytuliła do Heleny, jakby u niej szukając osłony, patrzyła na Aleksandra jak spłoszony ptak. Ale on nawet nie spojrział na nią. Oczy utkwiał w Filipie, zimne, okrutne oczy Olimpiady, które niegdyś tak przeraziły dziewczynę, ukryła twarz w fałdach chitonu Heleny i nie widziała, jak Aleksander odszedł. Doszedł ją tylko głos Attalosa:

— Teraz, gdy niepotrzebni goście wyszli, możemy ucztować spokojnie.

Jakoż w megaron uciszyło się i przerzedziło, natomiast przed domem, gdzie ucztował lud, zapanował popłoch. Pogardliwa obelga, rzucona królowi przez syna, lotem błyskawicy obleciała dworzec i wybiegła na pole, by wraz z uciekającymi polecieć ku miastu. Dostojnicy

musieli wybierać między Filipem a Aleksandrem, ale prosty lud uchodził przed wyborem. Zdało się, że to Krcnos z Zeusem wszczęli znów walkę o władzę nad światem, do której nie mieszać się śmiertelnym. Lud porzucał rozpoczętą ucztę i rozbiegał się na wszystkie strony. Pustoszało z każdą chwilą obejście dworca, a wstający porywisty wiatr targał i kręcił kłębam czarnego dymu z pozostawionego na roznach mięsa, które zajmowało się płomieniem.

Gdy Aleksander wyszedł, doskoczył do niego Hefajstion i podał mu konia, mówiąc:

— Uchodź do domu Periandra za miastem. Marsjas tam będzie, a ja zaraz nadejdę. Musimy się naradzić, co dalej począć.

— Jedź ze mną — rzekł Aleksander.

Skinął na Harpalosa, by konia odstąpił Hefajstionowi, i nie oglądając się popędził. Gdy wysforowali się przed uchodzący tłum, który z trwogą rozstępował się przed nimi, Aleksander pohamował konia i zrównawszy się z Hefajstionem, uprzedzając pytania, powiedział:

— Nikt teraz nie powie, żeś uznał ten związek. Niech się Filip pobawi dziewczyną, tyle będzie zysku Attalosa.

— A co ty będziesz miał w zysku? — powiedział posępnie Hefajstion. — To, że teraz król stanie całkowicie po stronie Attalosa i choćby ten cię ubił, nie uczyni mu nic. Złe, żeś się ponieść dał Erydzie, by ojca zelżyć wobec wszystkich...

— Wcale się ponieść nie dałem. Niech się Filip przekona, że beze mnie nie zdoła nic.

Odwrócił się i wskazując na tłumy, biegnące w kłębach kurzu rozganianego przez wiatr, powiedział:

— W zwarciu jest siła falangi, a w falandze Filipowa. Oto ona!

— A twoja siła gdzie? Uchodzić będziesz musiał z kraju, jeśli cię nawet król nie wygna, bo Attalos choćby trucizny użyć gotów. Co zdołasz sam?

— Macedonia to jeszcze nie wszystko, choćby ją po Eufrat rozszerzyć, jak chcą starzy.

— A ty co zamierzasz?

— Wyjeżdżam do Agrianów. Powrócę z Langarosem,



który ślubował, że pójdzie ze mną wszędzie i przeciw każdemu. Ty ślij do Dodony i powiedz Olimpiadzie, co zaszło. Niech brata nakłoni, by wraz ze mną na Filipa uderzył. Inni sprzymierzeńcy sami się znajdą... Hefajstion przybladł i odparł po chwili:

— Zniszczysz wszystko, co ojciec wywalczył przez całe życie...

— Zniszczę, jeśli służyć ma moim wrogom. A odbuduję prędzej niż Filip.

Na spokojnej twarzy Hefajstiona mignął cień zniecierpliwienia.

— Ukorz się przed Adrasteą, by się w domu waszym nie zagnieżdził demon-mściciel Alastor.

Aleksander przechylił głowę na lewe ramię i utkwivszy oczy w przestrzeni, milczał przez chwilę. Potem odpowiedział słowami Ajschylosowego Prometeusza:

*W nieodpartyach obrotach na Tartaru niech dno  
Ciśnie Zeus me ciało w mroczną otchłań i noc.  
Lecz uśmierzyć nie zdota mnie nikt...*

— Czemuż nie powiesz jeszcze „uśmiercić”? Attalos wie, co rozpoczął, i nie cofnie się przed niczym.

— I ja także!

Filip, chociaż pijany, natychmiast zdał; j. obie sprawę ze znaczenia zajścia. Ponaglał zakończenie obrzędów i towarzysząc oblubienicy, jadącej na wozie w weselnym orszaku, patrzył przekrwionymi oczyma na objawy niepokoju, a miejscami i popłochu, jakie zajście wywołało.

Za wozem, płacząc jak na pogrzebie, szła Kleandra z pochodnią hymenu. Gdy zapaloną u domowego ołtarza niosła za wychowanką, by zażec święty ogień w jej nowym domu, uderzenie wichru porwało płomień. Król udał, że nie dostrzegł złowróżbnego znaku i zagadywał oblubienicę, by dać czas piastunce zapalić pochodnię na nowo. Ale dostrzegli to wszyscy i orszak ciągnął w milczeniu, któremu obyczajowe pieśni przy wtórce cytr i fletni zdały się urągać.

Z płaczem też, przed bramą zamku, gdzie ją król powitał nowym imieniem Kleopatry, spożywała Eurydyka pigwę, symbol płodności. Córa Filipa witać jej nie wyszła. W starym domu zegnała oblubienicę nieważną, w nowym witała ją niechęć. I Filip ponury był jak noc jesienna. Na powitalnej uczcie pił, ale wino nie szło mu do głowy. Wszyscy odetchnęli, gdy skończyła się posępna biesiada i król wyszedł z młodą małżonką do gynecceum. Hamując namiętność, z niezwykłą tkliwością przygarnął smukłą dziewczynę do swej szerokiej piersi i powiedział wzruszonym głosem:

— Nie lękaj się. Póki ja żyję, włos ci z głowy nie spadnie...

Urwał. Oboje wraz pomyśleli, co z nią będzie, gdyby go nie stało.

O tym samym myślał Attalos, swoją zresztą głowę mając na względzie. Ale nie zwykł czekać na wypadki. Filip, gdy mu przejdzie pierwszy gniew, może się jeszcze z synem, do którego żywił słabość, pojednać, tym bardziej, że nie mogąc opuścić targanego wewnętrzzną rozterką kraju, musi odłożyć z dawną zamierzoną perską wyprawę. Gdyby nawet pojednanie to miało być tylko pozorne, Attalos wiedział, że jego kosztem jedynie dojść może ono do skutku. Dla niego nie było powrotnej drogi, zbyt dobrze znał Aleksandra. Wiedział też, że Filip dla osiągnięcia swoich celów nawet własnego życia nie zwykł szczędzić.

Przebieg narady, jaka odbyła się nazajutrz, umocnił Attalosa w jego przekonaniu. Król spokojny był już, ale chmurny. Zapytał o syna, może w nadziei, że ochłódniejszy ukorzy się. Attalos, ukrywając zadowolenie, odparł:

— Aleksander wyjechał.

— Dokąd? — rzucił król gniewnie.

— W górę Aksiosu pognał, jakby go kto ścigał. Do kogo, zgadnąć nietrudno.

— Ale nie ścigał go nikt? — wtrącił Antypater patrząc podejrzliwie na Attalosa, który odparł zaczepnie:

— Król nie wydał takiego rozkazu, ale sądzę, że wyda. Pamiętamy wszyscy, że barbarzyńca Langaros zakochał się w tym zuchwalcu i tarcze wzajem pomie-

niali na znak braterstwa. Lepiej uprzętyBtó' wypadki niż czekać na nie.

— Jeszcze nam Agrianie niegroźni — wtrącił Antygonos.

Attalos jednak, podrażniony widoczną niechęcią doradców do zaostrzania sprawy, rzucił:

— Ale nie na rękę wojna domowa, gdy perską mamy przed sobą. A nie zapominajmy, że u korzeni tej sprawy tkwi Olimpias. Bez wątpienia jej to sprawa bunt w Lynkestis. Teraz siedzi w Dodonie i podjudza brata, a wpływ ma na niego. Jeżeli epirocki Aleksander i Agrianie poprą Pleuriasa, wojna może być ciężka. Wiadomo, że Aleksandrowi i tu nie brak stronników, że własnych ludzi nie możemy być pewni.

Spojrzał znacząco na Antypatra, który dotychczas siedział zadumany. Teraz odparł ostro:

— Mnie nie. Ale nie jestem potrzebny, bo ty walczyć będziesz do ostatniego tchnienia, gdy nic ci innego nie pozostało. Nie ludźmy się jednak, by Hellada nie skorzystała z rozdziwienia i nie zechciała zrzucić macedońskiej hegemonii.

Milczeli. To samo, co ot warcie, wyznał Antypater myśli wielu, i wielu na niego się ogląda. Zwracając się do króla, wódz dodał:

— Parmeniona z Azji trzeba odwołać, bo i on sam, i wojska jego tu mogą być potrzebne, a tam mogą przepaść, gdy zamęt w Azji się skończy, a u nas zacznie. Zaiste, dobrą obraliście porę, by walkę wszczynać o następstwo po tobie na rzecz nie urodzonego przeciw synowi, którego sam królem zwać pozwalałeś!

Attalos patrzył na Filipa, który siedział ze zmarszczonym czołem. Trzeźwa myśl zmagala się w nim z gniewem. Wstał i zakończył naradę:

— Harpalos, Ptolemaios, Nearchos, Erygios i Laomedon pójdą na wygnanie. By ich do jutra tu nie było, jeśli głowy chcą unieść. Do Lynkestis zaraz ruszę sam. Obrzydę im bunt. A ty — dodał zwracając się do Pytona — pojedziesz z poselstwem do epirockiego króla. Ofiarujesz mu symmachię wraz z ręką mej córy. Gdyby nie chciał... Arybbas pozostawił syna, któ-

by chętnie wróci na tron. Jeszcze bez Aleksandra jestem Filipem.

Attalos odetchnął. Król nie zapomniał obrazy, a wygnanie przyjaciół syna nie jest krokiem do zgody. Wyszedł, by natychmiast wypełnić rozkaz. Potrzebował zwłoki jeno na tyle, by bratanica dała królowi potomka. Niech się Filip tylko o to stara, resztę załatwi za niego Attalos. Wojsk, które sam zebrał na perską wyprawę, był pewny, wszystkie stanowiska obsadził swoimi ludźmi. Jeśli zaś Aleksander z obcą pomocą rozpęta wojnę domową, wiele umysłów odwróci się od niego. Attalosowi wówczas nie wezmą za złe, jeśli go zgubi. Był dobrej myśli.

Pleurias, młodszy brat ostatniego samodzielnego księcia Lynkestis, Aeroposa, nie poszedł wraz z bratanikami służyć Filipowi. Łowca zwierząt i przygód, nawykły do dzikiej swobody, gardził wszelkimi nowościami, których nie znał i nie chciał poznać, odmówił przyjęcia urzędu wielkorządcy Lynkestis i siedział na swym niedostępnym dworcu w górach na granicy Ilirii i Peonii, uważając się za samodzielnego jej władcę, skoro prawowity dziedzic, Aleksander Lynkestis, ukorzył się przed uroszczycielem.

W początkach panowania Filipa przyczyniał mu kłopotów, na które jednak król w końcu machnął ręką. Zniszczenie Pleuriasa kosztowałoby więcej trudów i strat, niż kosztowała jego samowola. Gdy Filip uporządkował kraj i w umocnionych miejscach stanęły załogi macedońskie, a ludność wobec oczywistych korzyści, niesionych przez rządy Filipa, przechyliła się na jego stronę, działalność Pleuriasa, jak i innych niesfornych żywiołów, ograniczyła się do zbójceckich wypraw do Ilirii. Przez to mimo swej woli zabezpieczała pogranicze od iliryjskich napaści, obawiano się bowiem zapuszczać w górskie komysze, gdzie kilku ludzi znających każdą ścieżkę, kamień czy zwalony pień opierać się mogło setkom. Od lat już przeto Pleurias „panował” na swym zameczku i Filip nie miał powodu troszczyć się o niego.

Teraz jednak otrzymał wiadomość, że Pleurias, zgromadziwszy pod swym dowództwem zbójckie szczepy pograniczne, wyruszył ze swej warowni, ciągnąc w kierunku Epiru i po drodze niszcząc zaskoczone załogi macedońskie. Jednocześnie wrzenie powstało wśród ujarzmionych szczepów peońskich, które dotychczas trzymał w karchach sprzymierzony z Filipem Langaros. Choćby wieść o udziale Olimpiady w tym ruchu była przez Attalosa zmyślona, zdało się nie ulegać wątpliwości, że między tymi zjawiskami istnieje związek, zwłaszcza że pobyt Aleksandra u Langarosa, a Olimpiady u brata w Dodonie był pewny.

Teraz już sprawy nie można było lekceważyć. Gdyby Epir przyłączył się do tego ruchu, a na czele jego stanął Aleksander ze swoją sławą wojenną i powagą następcy tronu Macedonii, skutki mogłyby być nieobliczalne.

Filip jednak nie należał do ludzi, którzy w zaskoczeniu tracą głowę. Zanim się bunt rozwinie, postanowił dać odstraszący przykład, a na kozła ofiarnego najlepiej nadawał się Pleurias, którego poczynania, samowolne, czy z poduszczenia Olimpiady, stanowiły czyn i stały się ogniwem wypadków.

Filip natychmiast wysłał Pytona do epirockiego Aleksandra, by zawarł z nim przymierze umocnione małżeństwem z córką króla Kleopatry, sam zaś, zebrawszy lekkie oddziały peltastów i łuczników oraz swój hufiec przyboczny, trzeciego dnia po weselu był już w pochodzie. W Ajgaj otrzymał bliższe wiadomości o postępach Pleuriasa i wielkimi marszami wyruszył, by zabiec mu drogę. Idąc dniem i nocą, w ciągu doby przebył pasmo Barnos i górny bieg Haliakmonu i u przeprawy napotkał już rozbitków swych pogranicznych załóg, od których dowiedział się, że bunt rozszerza się na Orestis i Parauaję, Pleurias zaś z głównymi siłami ciągnie w górę rzeki Eordaikos, zamierzając widocznie przez pasmo Boios przejść do Epiru.

Do tego król za wszelką cenę postanowił nie dopuścić. Parł na zachód, wysyłając naprzód drobne oddziały wywiadowców, sam zaś, jak ongi w górach Haemos, siedł w przedniej straży na czele swej agemy, wbrew

ostrzeżeniom Attalosa, że w lesistych i skalistych wąwozach łatwo się natknąć na zasadzką.

Na tyłach przybocznego oddziału straży królewskiej samotny i milczący jechał Pausanias z Beroi. Trudno w nim było poznać wesołego ongiś chłopaka. Wychudła i postarzała twarz miała wyraz nieufny. Tylko oczy, zda się powiększone w zeszczuplonej twarzy, pozostały młode, ale smutne do głębi i smutny był uśmiech, jakim odpowiadał na zyczliwe zagadywania króla. Sam jednak nie zbliżał się do niego.

Zapadał pogodny wieczór letniego dnia, gdy wojska Filipa dotarły do górnego biegu rzeki Eordaikos, stanowiącej tu górski strumień, który z szumem rozbijał swe wody o głazy na dnie głębokiego wąwozu o skalistych i lesistych zboczach. Na zakręcie potok tworzył beło o zielonkawej głębi i przez skalisty próg zeska kiwał wodospadem. Słońce zaszło za ścianę wąwozu, zaległ już cień, a błękitne niebo szkliste było jeszcze od słonecznego światła, które złociło skałki, wylaniające się wysoko w górze z czarnej ściany boru.

Filip postanowił stanąć tu obozem i wybrawszy za dnia odpowiednie miejsce do walki, czekać na nadejście Pleuriasa. Zaciągnięto strażę i wojownicy brali się do niecenia ogni, by przygotować wieczerzę, gdy zjawił się zdyszany żołnierz z wywiadowczego oddziału, donosząc, że wróg znajduje się już tylko o kilkanaście stadiów poniżej, ale widocznie również zamierza zatrzymać się na nocleg, gdyż w kotlinie, za skalną bramą, przednia jego straż zatrzymała się i ustawia namiot, zapewne dla wodza. Z zachowania jej widoczne było, że bynajmniej nie spodziewa się spotkania z nieprzyjacielem.

Filip natychmiast nakazał zupełną ciszę i zaniechanie palenia ogni. W ciszy tej ze zbocza, dokąd nie dochodził już szmer strumienia, słychać było odległe, lecz wyraźne odgłosy wielkiej gromady ludzi, które również dowodziły, że stary zbój nie spodziewa się spotkania żadnych wojsk na swej drodze, w przeciwnym bowiem razie, doświadczony w górskich walkach, nie byłby nigdy zatrzymał się w kotlinie zamkniętej z dwóch stron skalistymi bramami, o niemal prostopadłych ścianach, między którymi przejście, szerokości zaledwie kilku

sążni, stanowiło zarazem koryto bystrego strumienia. Zaskoczony z obydwu zboczy, miał tylko jedną drogę: walkę do ostatniego człowieka, a do tego właśnie zmierzał Filip. Jego strażę stały już na zboczach nad obozem, dając baczenie na każdy ruch Pleuriasa.

Król odbył krótką naradę ze starszyzną i rozdzielił role w walce, po czym w zapadającym już mroku peltaści i łucznicy, podzieleni na dwa oddziały, pod wodzą Attalosa i Antygonosa, piąć się jęli na strome zbocza, by oskrzydlić wojska Pleuriasa i zająć jego tyły. Górne przejście natomiast zająć miał sam król ze swą agemą, ale dopiero przed świtem, można się bowiem było spodziewać, że doświadczony Pleurias wyśle zwiadowców w górę wąwozu.

Dlatego też Filip przesunął swój oddział na zbocze i wyszukawszy zakrytą kotlinkę, zatrzymał się na krótki wypoczynek, wyruszyć bowiem musiał w pełnym jeszcze mroku, by przed świtem zająć stanowisko, nim pierwszy ruch zacznie się w nieprzyjacielskim obozie.

Król, znużony mozolnym pochodem, zasnął zaraz w skleconym naprędce szałasie, bo noc zapadała chłodna, obudził się jednak wkrótce po północy i wyszedł na pole. Na granatowym niebie iskrzyły się gwiazdy. Filip spojrział na nie, by wymiarkować czas. Cisza była zupełna, skądś z lasu dochodził gwizd lelka i hukanie sowy. Szepem zwrócił się do ledwo widocznego w mroku, nieruchomo stojącego strażnika:

— Idź zbudzić ludzi. Niech się szybko pożywią i ruszamy.

Strażnik oddalił się bez słowa i po chwili wrócił. Wręczając coś królowi, powiedział cicho:

— I ty pożyw się, królu.

Filip poznał Pausaniasa i biorąc od niego chleb i mięso, szepnął:

— Siadaj i jedz.

Widząc jednak, że Pausanias nadal stoi w milczeniu, ciągnął:

— Wciąż jeszcze się trapisz? Ja wiem, że jesteś dzielnym i wiernym sługą swego króla. A na oszczerstwo nie ma innej rady jak milczenie i cierpliwość.

— Ja znajdę radę — cicho odparł Pausanias.

W mroku nie widać było jego twarzy i Filip nie mógł z niej odczytać, co Pausanias ma na myśli. Zresztą sam myślał o walce i *nie* pora była zajmować się czym innym. Przejście kilkunastu stadiów w ciemności, po kamienistej drodze, wymagało dłuższego czasu i trzeba już było ruszać. Konie pod strażą zostawiono na miejscu, by rzeniem lub odgłosem kopyt nie zdradzały pochodu. Sam tylko Filip, któremu nie służyła złamana noga, jechał na czele, ale rumaka wiódł Pausanias dzierżąc wodze przy pysku. Nie padło już żadne słowo. Król patrzył na niebo, które odcinać się zaczynało od ciemniejszych zboczy górskich. Lekki powiew zwiastujący dzień zaszumiał borem, poza tym słychać tylko to silniejszy, to słabszy łoskot strumienia. Kamienna ścieżka nabierała jaśniejszej barwy i poruszali się szybciej. Lada chwila odezwą się pierwsze ptaki, ale wawóz zwięzał się już w czeluść skalną, tak, że wojownicy musieli iść jeden za drugim. Zaraz powinien być zakręt, a za nim kotlina.

Filip zatrzymał konia i polecił Pausaniasowi skoczyć po trębacza, który miał dać hasło do uderzenia, gdy z kotliny doszły do jego uszu naprzód jakieś niepewne odgłosy, potem kilka okrzyków i nagle wrzawa wypełniła powietrze i jak echo gromu chodziła po górach to nasilając się, to słabnąc. Przez nią wybijał się coraz bliższy gwar.

Filip żgnął konia, by przebywszy gardziel skalną ogarnąć okiem pole walki, gdy nagle zaczerniał w niej tłum dzikich postaci. Widocznie Pleuriasowi spostrzegli, że są otoczeni, i parli w jedyne miejsce, gdzie jeszcze nie spodziewali się wroga.

Król sięgnął do miecza. W tej chwili jednak gwizdnął rzucony z wielką siłą oszczep i rumak, ugodzony w szyję, uskoczył w bok. Filip spadł, uderzając plecami o głaz leżący przy ścieżce. Przytomności nie stracił, lecz stracił oddech, i szeroko otwartymi oczyma patrzył, jak mierząc oszczepami, biegną ku niemu napastnicy gdy on niezdolny był się poruszyć. Jak iskra przeleciało przez jego świadomość jedno słowo:

— Śmierć!

Ciężar jakiś zwałił się na niego. Przez czarne płaty,



skaczące mu przed oczyma, widział kłębowisko nóg, przewalających się ponad nim. Wrzask w wąskiej gardzieli skalnej świdrował mu w uszach, po chwili naciął i zdał się oddalać. Ktoś zdjął brzemię z króla i swobodniejszy oddech poruszył mu piersi. Silne dłonie ujęły Filipa pod ramię i dźwignęły w górę.

Usiadł na kamieniu, łapiąc powietrze i mrugając oczyma, przed którymi jeszcze migotały płaty. niespokojny głos zapytał:

— Gdzie jesteś ranny, królu?

Zamęt w głowie Filipa ustępował. Spojrzał na swe ręce i spostrzegł, że cały zalany jest krwią. Nie czuł jednak żadnego bólu.

— Nigdzie — odparł i rozejrzał się. U stóp jego leżał Pausanias, w którego piersiach tkwiły cztery oszczepty. Żył jeszcze, a smutne oczy wlepił w króla. Zsiniałe wargi poruszały się bezgłośnie.

Filip pochylił się nad leżącym. Przez gwar bitewny bardziej domyślił się, niż posłyszał szept rannego:

— Takeśmy społem leżeli. To moja odpowiedź oszczercom.

Król teraz zrozumiał posłyszane w nocy słowa. Położył mu rękę na głowie i rzekł:

— Masz słusność. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Wstał i wskazując Pausaniasa, zwrócił się do otaczających go wojowników z rozkazem:

— Przenieść go w bezpieczne miejsce i opatrywać.

Schylił się i podnosząc leżący miecz, ruszył na gwar walki, przestępując leżące po drodze zwłoki, którymi zapchana była skalista gardziel i koryto strumienia. Gdy otwarła się przed nim kotlina, przystanął i objął oczyma pole bitwy.

Miała się już ku końcowi. Wszędzie leżały porozrzucone ciała, a kłębowisko żywych przetoczyło się pod wschodni stok, gdzie wystająca ze zbocza naga skała tworzyła półokrągłą wnękę. Przyparciu do niej Pleuriasowi zbóje tam dawali ostatni opór, a skała zabezpieczała ich od tyłu. Nikt nie prosił o litość i nie było jej w krwawej dolinie, bo Filip z góry wydał rozkaz, by nikogo żywcem nie puścić, a wodzowie pilnowali wykonania rozkazu.

Attalos, dostrzegłszy króla, przybiegł do niego, by zdać sprawę, a widząc krew, zapytał niespokojnie:

— Znowu jesteś ranny?

— To krew Pausaniasa. Pójdź! Tu już nie ma na co patrzeć.

Chmurny był mimo zwycięstwa. Kilkoma urywanymi zdaniem opowiedział, co zaszło, i w milczeniu zmierzali na miejsce wypadku.

W załomie skały za głazem leżał już opatrzony Pausanias, ale rzut oka wystarczył doświadczonym wojownikom, by poznać, że dogorywa. Przytomny musiał być jednak, bo gdy stanęli nad nim, otworzył oczy. Na wyostrojonej twarzy pomалу zaświtał uśmiech, niemal wesoły i przekorny. Poruszył jeszcze wargami, ale zamiast głosu wydobyło się z nich trochę krwawej piany. Pierś podniosła się raz jeszcze, ale oczy już zmętniały i uczyniły się szkliste.

Attalos zwrócił do króla zacięte oblicze:

— Czy za tę śmierć ukarzesz winowajcę?

— Czy siebie mam ukarać? — rzucił Filip ze złością. — Jemu — dodał wskazując na zwłoki — nic nie ujmie sławy i nic już życia nie zwróci. A ja chcę zapomnieć o tej sprawie.

Odwrócił się i odszedł. Attalos stał jeszcze, patrząc na zwłoki krewniaka. Powiedział cicho:

— Ten, co cię znieważył, w hańbie będzie żył i w hańbie zdechnie. Na Hekatę i Hades!

Gruchanie ptaków bogini miłości, gnieźdzących się w rozłożystych gałęziach odwiecznego świętego dębu, głużyło cichy ich poszum, którym zwykł przemawiać do śmiertelnych tesprocki Zeus. Stojący u stóp drzewa kapłan Eufron zwrócił się do epirockiego Aleksandra:

— Wybacz, panie! Nie mogę ci wróżby udzielić, bo głos Afrodyty zmacą szept Gromowładnego; gdy Notos nadciągnie, będzie on wyraźniejszy.

— Nie mogę czekać. Filip zaraz żąda odpowiedzi.

Stojąca obok brata Olimpias wtrąciła ze złym uśmiechem na twarzy:

— Miłosne gruchanie zmaćło nie tylko szept Zeusa, ale i głos rozsądku. Gdy grom uderzy, wróżba nie będzie już potrzebna.

Na pięknej twarzy epirockiego króla odbiło się zniecierpliwienie. Wróżby chciał zasięgnąć, by pozbyć się nagabywań starszej od niego siostry, w której domu się wychował i zwykł jej ulegać. Ale teraz i on już nie jest chłopięciem, odkąd zaś z łaski Filipa<sup>a</sup> zasiadł na tronie Epiru, nie chciał rzucać losów własnych i swego państwa na szalę siostrzanej namiętności. Wiedział, że jej dziełem był bunt Pleuriasa, lecz zanim zdołał się rozszerzyć i zanim zdobyła przyrzeczone poparcie, Filip zgniół go krwawo od jednego zamachu. Mogło nie być Filipowi tajne, tak jak nie było Aleksandrowi, komu ten bunt zawdzięczał, i obecność Olimpiady, dotychczas uciążliwa, stawała się niebezpieczna: otwarcie już zażądała od brata, by wraz z jej synem wystąpił zbrojnie przeciw macedońskiemu królowi. Na jej adpwiędś czekał posłaniec syna, ale czekał też Pylon, poseł Filipa, który stał z wojskiem na granicy jego kraju. Epirocki Aleksander znalazł się w położeniu, w którym natychmiast musiał dokonać wyboru. Gdyby nie Olimpias, nie wahałby się ni chwili. Wojna z Filipem, nawet w razie pomyślnego obrotu, w który nie wierzył, zadnych mu nie rokowała korzyści. Straciłby poparcie Filipa dla własnych zamierzeń w Italii i na Sycylii. By się więc siostrze wywinąć, postanowił sprawę oddać rozstrzygnięciu Zeusa, przekonany, że rozsądny Eufron potrafi dogodnie dla swego władcy wołę boga objaśnić. Ale Eufron też nie chciał narazić się Olimpiadzie. Ciężar odpowiedzi wobec siost-y musiał więc król wziąć na własne barki.

Szli milcząc ku pałacowi. Aleksander głowił się już tylko, jak oznajmić Olimpiadzie swe postanowienie. Żal mu było siostry, lecz niepohamowana jej mściwość budziła w nim niepokój o przyszłość. Syn jej, a jego imiennik, niewątpliwie będzie kiedyś władcą Macedonii, o tym Aleksander nie wątpił, a siostra posiada wpływ na jedynaka. Zaczął niepewnie;

— Choćbym zapomniał, że to Filip oddał mi ojcowe dziedzictwo, wypędzając stryja, pomyśl, czy warto wszczynać wojnę o następstwo po Filipie, który żyje i cieszy się najlepszym zdrowiem...

Zbudzona z zamyślenia, zaśmiała się złowrogo:

— Czy to Eufron wywróżył ci może, jak długo Filip żyć będzie? Czy też mam wróżyć ja po to, by jak Kasandrze nie dawano mi wiary?

Aleksander drgnął i odparł:

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co zamyślasz. Ale to wiem, że nienawiść bardziej niż miłość głuszy głos rozsądku. Powiem ci jedno: takich, którzy staną przy synu twoim przeciw każdemu, byle nie przeciw Filipowi, jest wielu, a między nimi i ja.

— Boisz się go! — odparła pogardliwie. — Myślałam, że duch Ajakidów nie we mnie jeno mieszka. Jestem tylko niewiastą, ale nie lękam się niczego i nie zawaham się przed niczym... póki nie szcześnie ostatni z bę-karcich płodów jego rozpusty...

Aleksandra dreszcz przeszedł. Rzucił po chwili milczenia:

— Klitajmnestra przy tobie zda się jagnięciem. Pomnij na jej los.

Zaśmiała się szyderczo.

— Ale mój syn nie jest Orestesem. „Razem z mlekiem krew czarną ssał z serdecznej rany.”

Doszli do pałacu. Olimpias bez słowa skierowała się do budynków niewieścich. Król stał zadumany, patrząc za oddalającą się siostrą. Znał ją aż nazbyt dobrze, a rozumiał może lepiej niż ona sama siebie. Ale czuł się bezradny. Demon, który w niej zamieszkał, już tylko krwią może się nasycić.

## ROZDZIAŁ XXIV

Kantar, ręką Aleksandra rzucony w głowę Attalosa, i cięższa od niego obelga, jaka dotkliwie ugodziła króla, wzburzyły falę wypadków, której powierzchnię, żeglując ku swemu celowi, długoletnim trudem i przemyślnością zdołał Filip wreszcie wygładzić. Rozbryzg uderzenia opadł zaraz, ale kręgi jego rozchodziły się na wszystkie strony. Natomiast poruszony na dnie osad nie był jeszcze widoczny.

Filip, mimo zapiekłego gniewu na syna, nie mógł się zdobyć na to, by z całą — właściwą sobie — bezwzględnością przeciw niemu wystąpić, i poprzestał na pokrzyżowaniu jego zamierzeń. Radzie Attalosa, by pod groźbą wojny zażądać od Langarosa wydania Aleksandra, nie dał posłuchu. Niewygasłe mimo wszystko przywiązanie i podziw dla syna, a niemniej wyrachowanie i rozsądek skłoniły Filipa do niezastrzania sprawy. Epirocki Aleksander przyjął ofiarowane mu wraz z ręką Kleopatry przymierze i wkrótce oczekiwano w Pelli jego przybycia.

Filip wolał, by syn pozostał z dala, póki się poruszenie nie uspokoi. Gdy ujrzy, że ojciec wbrew niemu wolę swą przeprowadzić potrafi, ukorzy się. Zajął się przeto znowu przygotowaniem do perskiej wyprawy. Azja jest wielka, miejsca w niej starczy dla wszyst-

kich. Macedonia zaś dawno już zbyt ciasna była, by pomieścić Filipa wraz z synem.

Filip jednak musiał uprzytomnić sobie, że jeszcze nie brak w Macedonii i innych sił, które, choć przytłoczone jego ciężarem, gotowe wyjść na jaw, gdy ciężar ten się poruszy. Dojrzały już bratanek, Amyntas, miałby prawo o tron się upomnieć, lecz dotychczas nigdy i niczym nie zdradził, by to uczynić zamierzał. Spokojny i zgoła nieprzedsiębiorczy żył na swej majątności koło Ajgaj, nie próbując nawet sprzeciwić się zarządzeniu Filipa, by przestano go zwać basileusem, z wdzięcznością przyjął rękę córę królewskiej Kynanny. Z teściem żył w dobrych stosunkach i nie zabiegał nawet o uzyskanie w wojsku czy w rządach odpowiedniego jego urodzeniu stanowiska. Ale bezwolność ta mogła łatwo uczynić Amyntasa cudzym narzędziem. Dawni książęta szczepów macedońskich, zda się, już zapomnieli o samodzielnności, zadowolając się dworskimi czy wojskowymi godnościami, na których prędzej porastali w pierze przy potężnym i zwycięskim królu niż ojcowie ich na swych chwiejnych tronach drewnianych. Od dziesiątków lat już wiernie służyli Filipowi, a synowie ich chowali się przy królu, by kiedyś równie wierne służyć jego następcy. Bunt Pleuriasa przypominał, że i tu tkwić może zarzewie niebezpieczeństwa. Gdy sprawa następstwa raz podana została przez Attalosa w wątpliwość, wśród szeptów, jakie rozległy się po wszystkich zakątkach Macedonii, nie brakło i takich, które przypominały nieprzedawnione prawa Amyntasa, a także książąt Lynkestis, ongiś przodujących wśród panujących Macedonii, z rodu Perdikkasa. Gdyby Aleksander, syn Aeroposa, a wnuk króla Arrhabajosa, mający ponadto za żonę córę Antypatra, zyskał poparcie teścia, który nie ukrywał niechęci do Attalosa i jego zamierzeń, mógłby liczyć na potężne w kraju stronnictwo. Antypater, który miał wycucie tego, co się w kraju dzieje, wiedział, że w razie śmierci Filipa po berło sięgnie wiele rąk. Kleopatra już obiecywała dać królowi potomka. Nim ten jednak dojrzeje, król będzie stary, a gdyby go nie stało, Attalos obejmie opiekę. Jak się zaś kończy taka opieka, przykład dał sam Filip,

choć i innych nie brakło. Attalos wprawdzie umiejętnie skarbił sobie stronników, zwłaszcza w wojsku, ale i niechętnych miał wielu, którzy z istniejącego porządku byli niezadowoleni lub spodziewali się korzyści przy zmianie.

Na pozór drobna i zda się przygaszona sprawa Pausaniasa Kerastydy również za sprawą Attalosa rozogniła się na nowo. Po powrocie króla do Pelli Pausanias otrzymał pismo, które go zaskoczyło:

„Attalos, syn Balakrosa, do Keratosowego Pausaniasa. Po raz pierwszy, ale i ostatni wyciągam dłoń do zgody. Nie dlatego, bym się obawiał pomsty za to, o czym wiesz lub się przynajmniej domyślasz, lub bym sam zapomniał, com ci winien, lecz dlatego, że tak chce król, który, jak mówił, życia poległemu nie zwróci, a nie chce, by w nasze obrachunki mieszane było jego imię. Sądzę, że i dla ciebie byłoby to korzystne, jeżeli więc chcesz wyzyskać sposobność, by pozbyć się skutków tego, coś uczynił, a co ci chluby nie przynosi, przyjdź dzisiaj do mnie na ucztę, na którą zaprosiłem kilku przyjaciół. Ludzie przestaną mówić o tym, co było, gdy zyskają nowy przedmiot swej ciekawości. Nie zapraszam cię przez posłańca, lecz pisemnie, byś miał w ręku dowód, że nie zamierzam cię zwabić potajemnie, by cię otruć lub zabić. Jeżeli jednak nie przyjdiesz, król będzie wiedział, kto jest winien, że jego sprawa z tobą nie ucichnie, a ty oczekuj wszelkiego zła, którego ci życzy Attalos”.

Pausanias w pierwszym porywie zmiął papirus w rękę, lecz po chwili doszedł do przekonania, że sprawa godna jest przynajmniej namysłu. Teraz, gdy usunął się domniemany współzawodnik, tym bardziej należy dbać o względy króla, a jawna nieprzyjaźń z Attalosem, powinowatym i mającym posłuch u Filipa, nie może wpływać dodatnio na stosunki z królem. Attalos nie pozostawia zresztą wątpliwości, że zgoda ma być pozorna, podane przez niego powody nie budziły zastrzeżeń. Choć Pausanias teraz upewnił się, komu zawdzięczał doznane przykrości i upokorzenia, może odłożyć porachunek do czasu, gdy sam się umocni, a na

razie osiągnie tę korzyść, że Attalos minione sprawy zostawi w spokoju.

Po namyśle Kerastyda postanowił przyjąć zaproszenie. Gdy nadeszła pora, przybrał się, kazał sobie podać konia i pojechał.

Attalos powitał gościa chłodno, lecz uprzejmie, co upewniło Pausaniasa, że nie ma ubocznych zamiarów i niczego nie udaje. W czasie uczty nie zwracał na niego większej uwagi, niż wynikało z obowiązków gospodarza. Wina i potrawy były wyborne, rozmowa żywa, towarzysze nie pomijali w niej Kerastydy i po raz pierwszy od dawna czuł się wewnętrznie swobodny. W miarę jak wino szło mu do głowy, coraz bardziej upewniał się, że Attalosowi zależy na zgodzie, i choć sam zaszedł już wysoko, musi się z nim liczyć. Powziąwszy to przekonanie, poczuł napływ wspaniałomyślności. Raz i drugi przypił do Attalosa, dając mu do zrozumienia, że pozorną zgodę byłby nawet skłonny zmienić na rzeczywistość. Attalos był nadal powściągliwy, towarzysze natomiast potakiwali mu gorąco, a jeszcze goręcej przypijali, podniecając zarozumiałość młodzika porównaniem pogodzenia się Achillea z Agamemnonem, które wszystkim korzyść przyniosło. Kerastyda tak już był pijany, że wszystko brał za dobrą monetę, zapominając chwilami, kim jest i gdzie się znajduje. Do reszty przestał nad sobą panować, gdy weszły tancerki i fletnistki. Przez chwilę śledził je rozognionymi oczyma, po czym zerwał się z łoża i pochwyciwszy jedną z nich, ciągnął na swe kline. Dziewczyna zaśmiała się i ująwszy go pod ramię, powiedziała:

— Pójdź!

Attalos skinął na dwóch frygijskich niewolników i wskazał na Pausaniasa, czyniąc wyuzdany gest. Kerastydzie zdało się, że słyszy za plecami wybuch śmiechu, ale pijany był tak, iż nic już nie było w stanie obudzić jego czujności. Zdawał sobie jeszcze sprawę, że go gdzieś wiodą, że legł na czymś miękkim i do reszty stracił przytomność.

Odzyskiwał ją pomału, gdy światło zaczęło razić jego oczy. Chciał się od niego odwrócić i ułożyć wygodniej,



by spać dalej. Poczul, że ktoś go trąca, i posłyszał słowa:

— Wstawaj, albo cię wywieziemy razem z gnojem.

Dźwignął się i od razu oprzytomniał. Siedział na kupie nawozu za stajnią Attalosa, powalany nieczystością i skutkami pijaństwa. W głowie kręciło mu się jeszcze, ale coś zaczynał sobie przypominać. Zapytał: — Skąd się tu wzięłem?

— Nawet wieprze więcej dziś mają wstydu niż młodzież z dostojnych rodów. Tfu! — splunął stary parobek i dodał:

— Zacząłeś od króla, a skończyłeś na niewolnikach. Gnój w sam raz łożem dla takiej rozpusty.

Pausanias chwycił się za głowę i jak oparzony pędził ku miastu.

Kerastyda szalał i groźnie domagał się od króla ukarania sprawcy swego poniżenia, a Filip nie umiał odepchnąć dawnego miłośnika i łagodził go podarunkami, a w końcu zamianował swym somatofilakiem. Ale obojętność i pycha i żądza zemsty młodzika nie mogła się tym ukończyć. Zdało mu się, że nie tylko Pella, ale cały kraj już wie o jego hańbie, a zemsta, o której marzył w bezsenne noce, miał się przybliżyć, odsuwała się jeszcze: Attalos nadal cieszył się największymi względami króla, znaczenie jego wzrastało. Nienawiść do niego Pausanias przeniósł na króla, który nie ujął się za nim. Teraz żałował, że nie skorzystał z poparcia królowej, gdy była sposobność. Dziś byłby gotów na wszystko, ale Olimpias wygnana, Aleksander wyjechał, a Attalos panoszy się i rośnie.

Wściekłość i gorycz przelewały się na przemian w piersi Kerastydy. Nie pokazywał się na zamku, a król nie posyłał po niego. Widno wolał zapomnieć o sprawie. Pausanias siedział samotny w swym obszernym domu, który zbudował w nadziei, że będzie mu potrzebny, gdy dzięki łasce królewskiej dojdzie do godności i znaczenia. Jeden fałszywy krok, z winy Filipa, przekreślił

marzenia o sławie i używaniu życia. Nie odwiedzał go nikt. Wszyscy mają go za skończonego człowieka, o którego przychylność nie warto zabiegać. Unikający ludzi i opuszczony przez nich Pausanias bliski był samobójstwa.

Toteż pewnego jesiennej wieczora, gdy ciszę ponurego domu mącił jeno wstający na dworze wiatr, Pausanias nie poruszył się nawet na stuk młotka przy bramie, oznajmiający czyjeś przybycie.

Pewnie wraca któryś z zapóźnionych niewolników. Rozpuścili się, gdy pan przestał przyjmować gości. Niepotrzebni są na równi z całym zbytkownym urządzeniem domu. Pausanias przygotowywał to wszystko z myślą, że sięgnie po rękę córy któregoś z pierwszych domów Macedonii, by pozyskać możliwych krewniaków. Teraz i ten zamiar rozsypywał się w proch. Zdało mu się, że nawet niewolnice, z którymi sypiał, poza plecami dworują sobie z niego.

Na myśl o tym zerwał się i biegać począł po pustym megaron, a z ciemnych kątów echo dawało odgłos jego kroków po mozaikowej posadzce. Zatrzymał się przed posągami Filipa, którego Lizyp przedstawił jako Agamemnona. Pausanias patrzył z nienawiścią na piękne oblicze, zarazem żywe i kamienne. Żywe jest tylko na pozór, a w istocie jedynie kamień, z którego nie można wytoczyć krwi, by zmyć hańbę...

Pausanias drgnął, gdy posłyszał za sobą głos:

— Podziwiasz Lizypowe dzieło, czy modlisz się do Filipa?

Odwrócił się. W drzwiach stał sofista Hermokrates, u którego Pausanias niegdyś pobierał naukę. Zaskoczony patrzył na gościa, a sofista zapytał:

— Może ci przeszkodziłem w rozmyślaniach, skoro siadać mnie nie prosisz? Ale przyszedłem jeno zapytać o twoje zdrowie, bo dawno nie byłeś na zamku.

— Zdrow jestem — rzucił Pausanias popędliwie — a ty wiesz, czemu na zamku nie bywam.

Drażliwemu człowiekowi zdało się, że Hermokrates drwi, ale sofista odparł:

— Nie wiem. Ale skoro mówisz, że wiem, to się do-

myślał. Tedy niech mi wolno będzie rzec, że czynis źle.

— Źle czynię?! — Pausanias aż zachłysnął się. — A cóż mam czynić?? Patrzeć, jak ten... — brakło mu słów — rozpiera się, i słuchać, jak śmieją się ze mnie, gdzie się pokażę?

— Gdy człowiek żyje jak ścigany pies, oczekuje zawsze kopnięcia. Nie Mojry, ale on sam własnymi rękami przędzie nić swego przeznaczenia.

— Łatwo ci mówić. Wiesz, czyje ręce splątały nić mego przeznaczenia...

Sofista wstał i podszedł do posągu Filipa, jakby zamierzał odwrócić rozmowę.

— Pięknie rzeźbi Lizyp — powiedział. — Agamemnon, pasterz ludów! A nić jego losu zerwała niewiasta... razem z życiem...

Znowu przechodząc do innych spraw, podjął:

— Nie słyszałeś zapewne, że król zamówił dwanaście posągów bóstw olimpijskich, a swój jako trzynasty.

Roześmiał się i ciągnął:

— Isokrates napisał Filipowi, że gdy pobije Persów, nie pozostanie mu chyba już nic innego, jak tylko stać się bogiem. Ale Filip albo zbyt niecierpliwy jest, albo zbyt pewny siebie, skoro wcześniej chce ubóstwienia, A może spodziewa się, że tym sposobem osiągnie nieśmiertelność... Któż by się ważył na boga rękę podnieść?

Patrzył na Pausaniasa, który siedział w milczeniu z opuszczoną głową, zaciskając splecione palce.

— Nie obchodzi cię to, co mówię? Myślałem, że rad będziesz posłuchać nowin, a jest ich sporo. Posłowie wszystkich miast zjadą w lecie do Ajgaj na wesek Kleopatry z epirockim Aleksandrem i wówczas to Filip zapewne bogiem się ogłosi.

— Po co mi to opowiadasz<sup>7</sup> Mnie nie zaprosi.

— Kto się swych czynów wstydzi, gani sam siebie a uczyłem cię, że różnica między cnotą a występkiem jest tylko dialektyczna. Zło i dobro wynika z umowy a nie z przyrodzonej konieczności. Patrz na Filipa! Ni<

żyje jak ty plecami oawrocony do życia, wszystkiego, co czyni, czyni śmiało.

Zacytował „Fedrę” Eurypidesa:

*... bo gdy się dopuszcza  
Występków ktoś z najpierw szych, od razu i thuszcza  
Rzecz dobrą w tym dostrzega, wielce sobie chwali  
Jak gdyby jakąś cnotą...*

— Chwałę jego w tym nawet widzą, że wypić potrafi więcej niż inni, że dziewczek tylu nikt nie miał co on, że nie ma rozpusty, której by nie popróbował, że nikt tylu przysięg nie złamał co on.

— Właśnie dlatego, że jest królem i ma władzę.

— Czy zawsze był królem? Czy nie siedzi na Amyn-tasowym tronie? Ludzi przekonuje tylko powodzenie, a to osiąga się śmiałością. Raz zaś zdobytej sławie służy wszystko, nawet to, co za hańbę poczytywane jest tym, którym się nie powiodło.

— Sława! — zaśmiał się gorzko Pausanias. — Mądrze mówisz, może jeszcze mi powiesz, jak mam ją zdobyć?

Zaległo milczenie. Sofista zdał się namyślać. Potem zaczął, jakby rozważał:

— Najprostszą drogą do sławy jest śmierć... własna albo cudza. Leonidas zdobył ją swoją śmiercią, Harmodios i Aristogejton przez śmierć tyrana. Sława zabitego spada na zabójcę. Jenó pomnisz, co rzekł Odysowi cień Achillesa: że wolałby być parobkiem u dzierżawcy niż królem cieniów.

Pausanias siedział głęboko zamyślony, a Hermokrates ciągnął:

— Twój wróg i imiennik zyskał sławę za cenę własnego życia, ocalając życie Filipowi. Gdy pomrą ci, co was obu znali, nikt nawet nie będzie wiedział, czy to on był, czy ty. A i to nawet nie jest pewne, czy istnieje królestwo cieniów...

— Kogóż radzisz mi zabić?

— Czy ja ci coś radzę? Zresztą, jak mówią, głupi

o więcej potrafi pytać niż mądry odpowiedzieć —  
drwiąc zakończył sofista i wstając dodał:

— Idź między ludzi, patrz dokoła siebie. Przekonasz się, że Attalos nie w tobie jednym ma wroga, a ty we mnie jednym przyjaciela. Jutro jest biesiada u książąt Lynkestis...

Przechodząc koło posągu Filipa, zatrzymał się i powiedział jakby do siebie:

— Dosięła go mściwa ręka, gdy był u szczytu...

Pausanias wdzięczny był Hermokratesowi, że wyciągnął go z odosobnienia, w którym, jak robactwo w ciemnościach, leżały się zgryzoty i ponure myśli. Biesiada u Heromenesa i Arrabajosa nie była liczna, ale gdy przy kubkach rozwiązały się języki, Pausanias przekonał się, że nieprzypadkowo został na nią ściągnięty, że książęta Lynkestis szukają ludzi tak jak oni myślących. Zaciętość i Laratumiałość, podniecone «mem', poniosły go tak, że otwarcie zaczął miotać przeciw królowi pogrożki, które nie tylko nie spotkały się ze sprzeciwem, ale współbiesiadnicy zaczęli się do niego zwracać jak do ważnej osobistości, a gdy odchodził na chwiejnych nogach, sami gospodarze odprowadzili go aż do bramy, zachęcając, by odwiedzał ich jak najczęściej.

Wyszedłszy raz z odrętwienia, Pausanias pomiarkował wkrótce, że knowania Attalosa i zajście między królem a Aleksandrem poruszyły przytłumione wieloletnim powodzeniem Filipa siły, których istnienia w kraju dotychczas nawet się nie domyślał. Rodowa arystokracja, siedząca w swych dobrach, z zawiścią patrzyła, jak dokoła osoby króla tworzy się nowa, oparta o jego łaskę i władzę. Chłopów, dawniej jedynie w razie potrzeby odrywanych od pługów czy pasterskiego kija do miecza i sarysy, ustawiczne wojny zmieniły w wojowników z rzemiosła, przywykłych do beztroskiego życia z dnia na dzień, zapatrzonych nie na porzucone przez nich gospodarstwa, lecz na drabinę wojskowej hierarchii, po której szczeblach obrotnością i męstwem nie-

jeden wspiął się już był wysoko. Jeżeli nawet wracał na rolę, to na zdobytych obszarach, gdzie przydzieloną sobie ziemię uprawiał niewolnymi rękoma, gdy własne już jeno do broni nawykły. Wzorem Hellenów uczyli się gardzić pracą ręczną. W miastach natomiast kwitnąć zaczynało rzemiosło dawniej zbędne, gdy skromne potrzeby każdy sam umiał zaspokoić. Z pracowni wyrastały ergasteria, a w nich pracowało nieraz po kilkudziesięciu niewolników, by kiesę swego pana napełnić złotymi staterami, które Filip bił w obfitości, wypierając z rynków Morza Egejskiego srebrny pieniądz ateński. Wraz z flotą królewską rozrastał się handel, a z nim chęć zysków i użycia. Złoto jednak jest złotem, wszystko jedno, czy wybić na nim zwycięską czwórkę koni Filipa, czy postać perskiego króla z włócznią i łukiem. Pausanias, choć niezbyt bystry, pomiarkował, że perskie darejki, które w państewkach helleńskich z dawna szły w zawody z czwórką Filipa, dotarły i do Macedonii. Chciwość, zawiść, chęć władzy i lęk przed Filipem szukały sojuszu przeciw niemu, a chwila zdała się sposobna i ostateczna. Gdyby królowi udało się skierować powołane do życia siły przei.w Persji, której zmurszały tron, raz za razem drogą trucizny przechodzący z rąk do rąk, podpierały już tylko silne dłonie helleńskich najemników, wszelkie przeciwne mu prądy porwane zostałyby falą wypadków. Ale w przeddzień perskiej wyprawy Filip pozwolił swej namiętności wyzwolić, jak z miecha Eoła, wściekłe wichry, zdolne połamać ster i strzaskać maszty prowadzonej przez niego nawy.

Był jednak biegłym sternikiem. Choć rozpętał niebacznie burzę, nie wypuszczał z rąk steru; mimo że nie widział ukrytych w głębinie groźnych raf, powierzchnię postanowił uspokoić.

Wojska, które Attalos powieść miał do Azji, stały w gotowości. Uchwalone na zjeździe w Koryncie kontyngenty wojsk państw helleńskich zbierały się już, odciągają bezrobotnych najemników od służby Persom, którą uznano za zdradę. Kielich trucizny, który zmuszony przez Dariusza wypił Bagoas, zakończył zamęt w Persji. Czas naglił; po weselu w Ajgaj, które zabez-

pieczyć miało granice Macedonii od północnego zachodu, wyprawa winna wyruszyć.

Ale ciepłe promienie wiosennego słońca odzierały już południowe stoki gór z śnieżnej szaty, budząc tysiące strumyków, które w wesołych płasach zbiegały w uwieńczone kwieciami doliny, ciepły powiew niósł woń rozkwitłych fiołków, a sprawa Aleksandra wciąż jeszcze zatruwała powietrze Macedonii! Filip nie mógł pierwszy wyciągnąć ręki do zgody z synem, póki ten nie uzna powagi króla i ojca. Udaremnił wprawdzie zamierzone przez Aleksandra dochodzenie siłą praw do tronu, ale znał go zbyt dobrze, by nie rozumieć, że syn nigdy nie zgodzi się grać roli Amyntasa. Nie zanedbując wprawdzie przygotowań do perskiej wyprawy, Filip zdawał sobie sprawę, że nie może jej rozpocząć, pozostawiając nieprzejednanego syna.

W Pelli wraz z ciągnącym ptactwem zjawiły się poselstwa jońskich miast w Azji Mniejszej z przyrzeczeniem poparcia i pomocy. Piksodaros, król Karii, zabiegał o przymierze, ofiarując rękę swej córki Ady dla Filipowego Arridajosa, zapewne w przypuszczeniu, że po usunięciu syna Olimpiady jemu przypadnie stanowisko następcy macedońskiego tronu.

Ale było już pewne, że Eurydyka spodziewa się potomka, a król, mimo podszeptów Attalosa, wciąż jeszcze nie mógł powziąć postanowienia. Zapytywani o zdanie inni doradcy powściągliwie milczeli, wyraźnie unikając wmieszania ich w tę drażliwą sprawę. Antypater zaś wprost odpowiedział, że radził sprawy nie wszczynać, a teraz mógłby jeno takiej rady udzielić, której król nie posłucha. Wszyscy zrozumieli, że ma na myśli oddalenie nowej królowej i przywrócenie stanowiska Olimpiadzie. Ale jasne też było, że tego Filip nie uczyni, choćby miał stracić królestwo. Jeżeli zrazu spodziewać się można było, że Eurydyka będzie jednym więcej narzędziem zaspokojenia jego namiętności, to pełne tkliwej czułości przywiązanie, jakie okazywał młodej małżonce, wskazywało na niemożliwość takiego rozwiązania. Po raz pierwszy bezwzględny, stanowczy i obrotny człowiek stanął przed wyborem, którego nie umiał dokonać.

Z radością też przyjął wiadomość o przyjeździe Demaratos z Koryntu, przywódcy Filipowego stronnictwa w tym mieście, jednego z niewielu, którzy żywili dla króla przyjaźń niezależnie od płynących z niej korzyści. Filip spodziewał się, że rozważny, doświadczony i znający ludzi i stosunki starzec udzieli mu rady, jak wyjść z położenia, którego trwanie zaważyć mogło zgubnie na zamierzonej wyprawie.

Uczcił przyjaciela wspianą biesiadą, jak równego sobie, a gdy pozostali sami, zaczął wypytywać o stan spraw i umysłów w Helladzie, zamierzając skierować rozmowę na dręczącą go sprawę. Demaratos ułatwił mu to. Patrząc na króla poważnie, powiedział wprost:

— Masz wiele przyczyn, by troszczyć się o Helladę, gdy własny dom napęłniłeś rozdwojeniem i złem.

Filip zachnął się niecierpliwie i odparł:

— Wiem, że to uczyniłem, i nie potrzebujesz mi przypominać. Radź lepiej, co teraz począć.

— Usunąć rozdwojenie i zło.

Filip przypuszczając, że Demaratos radzi to samo, o czym myślał Antypater, rzucił się gniewnie:

— Nigdy tego nie uczynię, na Zeusa i I lokatę! Wiesz, że królowa spodziewa się potomka. Przysięgłem jej z dobrej woli, że nie opuszczę jej nigdy. I dotrzymam.

Demaratos pomyślał, że Filip nie jednej Eurydyce przysięgał, ale rozumiał przyjaciela: u progu starości znalazł uczucie, jakiego nie zaznał przedtem nigdy. Uśmiechając się pobłaźliwie, odparł:

— Prometeusz zakrył przyszłość przed oczyma śmiertelnych. Skąd wiesz, że małżonka urodzi ci syna, a jeżeli tak, czy będzie to lwie szczenię zdolne do walki z Aleksandrem? A przede wszystkim skąd wiesz, czy dożyjesz tego? Jeśli walka ma nastąpić, czemuż jej nie podejmiesz sam? Przyznaj, że nie byłbyś pewny jej wyniku, natomiast pewne jest jedno: wszyscy dokoła nie omieszkają tego wykorzystać.

— Pytałem o swój los wyroczni w jaskini Trifomosa — powiedział posępnie Filip. Widocznie i jemu przychodziły na myśl te wątpliwości.

Po chwili milczenia Demaratos zapytał:

— Cóż ci odrzekła?



— Strzec się wozu.

— Filattesteai to harma? Bogowie niechętnie i niejasno odsłaniają przyszłość. Możesz strzec się wozu, choć nie wiadomo, czy o to chodzi. Jest jezioro tejże nazwy w Beocji. Tedy lepiej zaufaj rozumowi i pojednaj się z Aleksandrem.

— Ty jemu sprzyjasz.

— Sprzyjam i tobie. Więcej jest takich jak ja. Przedtem to znaczyło jedno, teraz trzeba by wybierać lub jak Antypater odsunąć się od tej sprawy. I pozwól sobie rzec, że tak uczynią właśnie ci, co dobro Perdikka-sowego rodu mają na względzie, a nie własne korzyści. Ci nie będą wybierać.

Filip widocznie sam to rozumiał, gdyż milczał. Mruknął wreszcie:

— Nie mogę po tym, co zaszło, prosić młokosa, by wrócił. Sam rozumiesz, że wówczas on byłby tu panem, a mnie pozostałoby słuchać i znosić wszystko... nawet obelgi.

— A jeżeli się ukorzy, czy powrócisz mu stanowisko swego następcy, którego przez dwadzieścia lat ani ty sam, ani nikt inny nigdy nie podawał w wątpliwość?

— Uczynię to. Jeno kto jego przekona, by uznał swą winę? Zadnego jarzma nie znosi.

— Lwy nie chadzają w zaprzęgu, ale obłaskawić je można. Spróbuję tego dokonać. Lubił mnie od dzieciństwa, i mniemam, że mi zaufa. Każ mi tedy orszak i przewodników przygotować. Pojadę zaraz, bo czas drogi.

Filip odetchnął z ulgą, po namyśle jednak powiedział:

— Możesz mu przyrzec, że jeśli się ukorzy, uznam jego prawo do macedońskiego tronu. Ale nic więcej. Zadnych warunków nie będzie mi stawiał.

— Tedy ja je postawię. Sam rozumiesz, że z Attalosem spotkać się nie mogą. Musisz go oddalić.

— Dobrze — odparł król. — Wojska, które z nim mają iść — gotowe. Może zaraz ruszyć do Parmeniona z pomocą dla miast jońskich.

— I musis? zezwolić na powrót Olimpiady — ciągnął Demaratos. — Od jej wygnania zło się rozpoczęło.

Filip z niezwykłą gwałtownością rzucił:

— Na to nie przystanę.

— Dlaczego? Czy mało tu jest niewiast, z którymi żyłeś, a porzucając je, nie wyгнаłeś z kraju?

— Nie rozumiesz. Nie potrzeba tu dwóch królowych,

— O tym należało pomyśleć, zanim drugą pojąłeś, a już przynajmniej nie szukać pozorów wygnania Olimpiady w tym, że jest nierównego urodzenia. Czy nie rozumiesz, że choćby Aleksander nie był tak, jak jest do matki przywiązany, tego zarzutu nie może pozostać bez odwołania, bo przeciw niemu też jest zwrócony? Dość wyraźnie to chyba oświadczył Attalos, a ty nie zaprzeczyłeś.

Gdy Filip milczał zachmurzony, Demaratos ciągnął:

— Jeżeli tego, czego się domagam, nie uczynisz, nie mam po co jechać do Aleksandra, bo nie uwierzy, że chcesz szczerego z nim pojednania, nie jeno na czas, gdy spokój ci potrzebny. A tak będzie to rozumiał... bo i ja też tak rozumiem.

— Złe rozumiesz — powtórzył Filip.

— Jeżeli źle rozumiem, powiedz otwarcie, o co ci idzie. Bo jeżeli się uprzesz, by Olimpiadę na wygnaniu pozostawić, to musisz podać takie przyczyny, którym można dać wiarę. Jeśli chcesz pojednać się z synem, to nie po to, by go zwieść, choćby się zwieść pozwolił.

— Tobie mogę powiedzieć. Kleopatra lęka się Olimpiady, jak ptak węża. Ja znam Olimpiadę... i ty ją znasz. Wiesz, co grozi Kleopatrze, gdyby mnie nie stało.

Demaratos zamyślił się. Potem odparł:

— Przyszłość jest w ręku bogów. Ale gdyby nawet zaszło to czego się lękaasz, to Aleksander natychmiast odwoła matkę z wygnania. A wówczas wróci bardziej rozżarta niż teraz, gdy jej sam wrócić zezwolisz. Jeśli zaś Kleopatra urodzi córkę, odpadnie obawa pozbawienia Aleksandra praw do tronu i nie będzie słusznego powodu, by na niej mścić twoje winy.

— Tedy nie znasz Olimpiady. Nigdy nie zapomni upokorzenia i będzie się mściła na wszystkim, co ja miłuję.

— Skoro tak, to tym bardziej winieneś szczerą zgodę uczynić z synem. Wówczas od niego zdołasz wymóc, by niewinnych i niegroźnych jego panowaniu przed

matką obronił. Jeśli ci zaś chodzi o to, by się <sup>teraz</sup> Kleopatra nie zetknęła z Olimpiadą, możesz ją mieć w Ajgaj. I tam jest zamek królewski, na wesele twej córki Kleopatra i tak nie pojedzie, bo właśnie będzie w połogu, i Olimpias może być na weselu, co ją ułagodzi winno.

— Niechże tedy wraca — odparł Filip niechętnie. Nie chciał przyznać, że i jego niepokoju możliwość jej powrotu. Demaratos zaś dodał:

— Jeszcze jedno: pozwól wrócić wygnanym przyjaciołom syna. Niechże ostatni ślad tego zajścia zniknie.

— Dosyć! — przerwał Filip ostro. — Pozostaną na wygnaniu. Synowi wybaczę, że przeciw mnie wystąpił. Nie wybaczę nikomu więcej, bobym jeno zaciętę dał naśladowcom.

Łagodnie zaś dodał:

— Dzięki ci za życzliwą radę i gotowość trudu pośrednictwa. Pewny być możesz mej wdzięczności.

I Aleksander wdzięczny był Demaratosowi za umożliwienie mu powrotu, mimo całej bowiem zaciętości pomiarkował, że walka z Filipem, bez względu na jej wynik, klęską będzie dla obu. Skwapliwie skorzystał przeto, że warunki, jakie wyjednał dla niego sędziwy przyjaciel, pozwalają się ugiąć przed ojcem bez wstydu. Wysławszy wiadomość matce o swym postanowieniu, pożegnał Langarosa zapewnieniem życzliwości i wyjechał do Pelli, która już wrzała przygotowaniami do nadchodzących uroczystości.

Filip przyjął Aleksandra surowo, ukrywając przed nim zadowolenie z usunięcia ostatniej przeszkody swych zamierzeń, a przed samym sobą dumę z syna, który stojącemu u szczytu potęgi ojcu nie wahał się rzucić wyzwania. Takiego następcy potrzeba Filipowi, a radość z powrotu Aleksandra, jakiej nie tało teraz zarówno pospólstwo, jak i najwyższa arystokracja z Antypatrem na czele, dowodnie dawały poznać królowi, jak niewielu znalazłby szczerych zwolenników swej walki z synem.

Natomiast nieufność Aleksandra, raz rozbudzona, nie

zgasła, a podszepty zawiedzionych w swych nadziejach wrogów ojca znalazły posłuch u syna. Mówiono, że Arridajos, zostawszy zięciem króla Karii, wysunięty zostanie na jedno z pierwszych w kraju stanowisk, a przy poparciu teścia sięgnąć może kiedyś po tron Macedonii lub w razie ponownego zajścia między królem a Aleksandrem może być wyznaczony następcą. Aleksander, w tajemnicy przed ojcem, wysłał aktora Tessalosa do karyjskiego króla z oświadczeniem, że sam gotów pojąć jego córkę.

Parmenion dowiedziawszy się o poselstwie, napisał do syna swego, Filotasa, list z poleceniem, by zapytał króla, czy zamierzony przez Aleksandra związek za jego zgodą ma być zawarty, nie tając, że sam jest mu przeciwny. Tessalos, pomiarkowawszy, co się święci, zbiegł do Koryntu, Filip zaś, zabrawszy z sobą Filotasa, udał się z listem Parmeniona do Aleksandra. Hamując gniew, wręczył mu pismo, a gdy syn przebiegł je oczyma, zapytał:

— Powiedz, co to ma znaczyć?

Aleksander, patrząc na ojca lśnjącymi oczyma, odparł śmiało:

— Ty szukasz sprzymierzeńców przeciwko mnie, nie dziw się, że i ja szukam ich dla siebie.

— Głupiś! — wybuchnął król. — Szukam sprzymierzeńców dla Macedonii. Wahałem się, czy dla mego bę-karta dość dobre będzie to małżeństwo, a ty chcesz poślubić córkę Karyjczyka, ongiś niewolnika Eubulosa, a teraz perskiego? Na twarz padać musi przed królem królów, któremu bym odmówił, gdyby swoją córę chciał wydać za ciebie. Twego posła w kajdanach tu odesłać kazałem, by się przekonał, że niczego bez mej woli poczynać nie wolno, a ty nie nadużywaj więcej mej cierpliwości.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Aleksander stał zamysłony, a Filotas patrzył na niego niepewnie i przerwał nieśmiało jego zadumę:

— Nie miej za złe ojcu ni mnie, żeśmy królowi donieśli. Przecie i tak bez jego wiedzy i zgody nie zawarłbyś tego związku, a w końcu co ci z tego?

— Nic — odparł Aleksander. — Wcale Ady pojąć nie

zamierzałem. Ale teraz i Arridajos jej nie pojmie. Ojca zaś chciałem jeno rozgniewać, bo w gniewie nawet Filip prawdę mówi.

Filotas odetchnął. Niechętnie i z obawą szedł do Aleksandra i na wyraźny rozkaz króla. Teraz podziwiał przemyślność i zuchwalstwo towarzysza i rad był z obrotu sprawy, za którą zapłacił tylko Tessalos. Nie jest bezpiecznie mieszać się między ojca i syna.

## ROZDZIAŁ XXV

Zawiedziony Piksodaros wydał córkę za satrapę Orontodatesa, stając tym samym po perskiej stronie, ale Filip nie dbał o to, wpatrzony swym jedynym okiem w zbliżający się cel, ponad wszystkie przeszkody, które lekceważył lub zdał się nie dostrzegać. Nieprzerwane pasmo powodzeń, pochlebstwa i płaszczenie się niedawnych wrogów wytwarzały w nim pewność, że osiągnie wszystko, co zamierzył. W portyku pałacu w Pelli stało już gotowych trzynaście posągów, dzieło Lizypa z Sykionu i syna jego Eutykratesa, przedstawiających dwanaście bóstw olimpijskich i Filipa jako współboga. Król podziwiał sam siebie i osobiście pilnował wysłania bóstw do Ajgaj. Niepokój i złe przecucia, jakie nachodziły go w czasie sporu z Aleksandrem, rozwiały się bez śladu, niejasna przestroga Trifoniosa wyszła mu z myśli, a otrzymana w Delfach przepowiednia Apollina żadnych nie wzbudziła wątpliwości: „Uwieńczony już wół, koniec bliski, ofiarnik czeka!” Któż to inny, jak król perski? Filip czuł się nieśmiertelnym. Niezwykle wcześnie, bo już z wiosną, drzewa dały obfity zbiór, w czym dopatrywano się przychylności bogów dla zamierzeń Filipa, gorące lato zapowiadało przebogaty urodzaj. W przewidywaniu zjazdu, jakiego nie widziała jeszcze Hellada w Ajgaj ukończono już prace nad rozbudową na dziesięć tysięcy widzów teatru, w którym miały się odbywać uroczystości.

Zjazd już się rozpoczął. Filip kazał gościć i zabawić wszystkich na swój koszt, sam jednak siedział jeszcze w Pelli, która wyludniła się już znacznie. Co jeno było znakomitszego, wyjechało do Ajgaj, by zapewnić sobie odpowiednie swej godności pomieszczenie w niewielkiej, jaką została po przeniesieniu stolicy do Pelli, mieścinie, pomnej jednak swego dawnego znaczenia i starożytności sięgającej w baśniowe pomroki. Potwierdzała je sama nazwa, wskazując, że powstała już wówczas, gdy cofające się morze oblewało jeszcze podnóża gór, na których stoku rozłożyło się miasto. Tu się zaczęła wielkość Macedonii i tu wedle wiary ludu leżała jej poręka: groby królów, od pierwszego Perdikkasa począwszy, którego ród był jej twórcą. Żywi królowie odeszli w ślad za cofającym się morzem, ale tu każdy wrócić musi, by kości swe złożyć obok przodków na zawsze, jako zastaw panowania rodu.

Teraz jednak stolica zmarłych ożyła. Niewielki zameczek na wyniosłej skale, której podnóża obmywał wesołych kaskadach zbiegający z góry potok Ludiasu, wypełniony był już po brzegi. Miasto, schodzące w dolinę wąskimi, stromymi uliczkami wśród kamiennych domów, roilo się od przyjezdnych, a w dolinie jak obóz przed wyprawą bieleło mrowie namiotów. Brakło już bowiem miejsca pod płaskimi dachami domów, na których w skwarnej porze roku spędzała noc większość mieszkańców i gości, uchodząc z dusznych słońcem rozprażonych wnętrz. Wyiskrzzone gwiazdy letniego nieba noc za nocą przyćmiewała luna bijąca od świateł lamp i pochodni. Nie było niemal domu, by w nim nie uczto-wano do białego dnia, który dopiero gasił roje świateł i nadawał miastu codzienny wygląd, pomału pograżając je w sennej martwocie skwarnych godzin południa aż do chwili, gdy słońce pochyliło się ku góróm i chłodniejszy powiew spędził spiekotę rozgrzanych murów. Wówczas wyrajały się z nich tłumy i ciągnęły w dolinę na stadion, gdzie rozpoczęły się już igrzyska, lub do teatru wykutego w skalnym stoku, by w miłym cieniu posłuchać naj słynniejszych śpiewaków, lutnistów, poetów i aktorów, których królewska hojność ściągnęła ze wszystkich stron dla uświetnienia uroczystości zaślubin

córy królewskiej z epirockim Aleksandrem i Filipa z Helladą. Oblubienice czekały posłuszne i uległe, nadjechał też król Epiru z weselnym orszakiem, tylko Filipa jeszcze nie było. Rozstawne konie przygotowano we wszystkich osadach przy gościńcu nad Ludiasem, a Filip oczekiwał rozwiązania Eurydyki.

Wyludniony niemal zamek Fakos leżał w ciszy i spokoju. Ale spokoju nie było w młodej królowej. Od chwili gdy dowiedziała się, że Olimpias powróciła do kraju, żyła w ustawicznym przerażeniu. Nawet we śnie przez zamknięte powieki widziała władcze, zimne i okrutne oczy Olimpiady. Darmo uspokajała ją Kleandra, że odwołanie z wygnania ułagodzi dawną królową, a urodzenie córki, które przepowiadała, ugasi w domu królewskim zarzewie niezgody. Eurydyka może sama jednak wyczuwała, że jadowite korzenie nienawiści Olimpiady tkwią głębiej: w wyszydzonej i zawiedzionej, przerażającej namiętności do Filipa. Lekkomysłny król postępowaniem swym umiał zmienić ją w nienawiść, która zogniskowała się teraz na bezwinnym młodej kobiecie. Choć przywiązała się do Filipa, widząc w nim jedyną osłonę, chętnie oddałaby jego miłość rywalce, byle móc z dzieckiem zaszyć się w zapadły zakątek ojczystych gór, gdzie, zdało jej się, czeka porzucone szczęście własnego dzieciństwa, które by mogła oddać swemu dziecku. Wbrew przyrodzeniu, rozwiązanie Eurydyki opóźniało się, jakby matka chronić chciała jak najdłużej wątłą istotkę przed czyhającą już na nią nienawiścią.

Ale wreszcie jutrzeńka jednego dnia powitała przyście na świat dziewczynki i gdy tylko dokonano obrzędowych czynności, wszedł król, przybrany już do drogi. Poglądził spotniałe czoło małżonki, a gdy podniosła na niego żalose oczy, pełne niewypowiedzianej prośby, powiedział beztrasko:

— Raduj się, jako i ja się raduję. Nazwiemy dziewczynkę Europę, na pamiątkę, że urodziła się w dniu, gdy Europa jest w moim ręku. Drugą nazwiemy Azją. Dobrze, żeś nie urodziła syna. Odjadę spokojny.

Wyczerpana do cna Kleopatra nagłym wysiłkiem objęła wątlami dłońmi potężną rękę Filipa, niby gałązki oliwne ołtarz bóstwa, przy którym błagalnik szuka



ochrony. Jak dziecko opuszczane przez ojca, jęła powtarzać:

— Nie jedź! Nie porzucaj mnie!

Ale Filip nie czuł rozpaczliwego wysiłku jej dłoni. Odsunął je łagodnie, mówiąc z uśmiechem:

— Spełnię każde twoje życzenie, ale tego nie mogę. Czeka na mnie cała Hellada, gdy ja czekałem na Europę. Wyjeżdżam na krótko i wrócę tu jeszcze przed wyprawą. Zobaczymy się. Żegnaj.

Ucałował ją w czoło i wyszedł. Ręce jej opadły bezsilnie i leżała z przymkniętymi oczyma, jeno spod powiek jedna za drugą spływały łzy na wpadnięte policzki.

Aleksander z najbliższymi towarzyszami zamieszkał na zamku, ale na wyraźne życzenie ojca udzielał się w mieście, na stadionie i w teatrze, by cała Hellada wiedziała, że nie ma co liczyć na rozdzwięk, który wstrząsnął królewskim domem. Olimpias natomiast, powróciwszy z orszakiem brata, nie pokazywała się nigdzie, spędzając dni wraz z córką na przygotowaniach weselnych.

Syn powitał matkę serdecznie, ale gdy próbowała czynić mu wyrzuty, że zgodził się służyć zamierzeniom Filipa, nie uzyskawszy nawet ukarania Attalosa, który z oznakami największej czci wysłany został z wojskami do Azji, odparł stanowczo:

— Niczym zamierzeniom służyć nie będę. Attalosa sam ukarzę, gdy przyjdzie pora, a co ty zamyślasz — nie chcę nawet wiedzieć.

Znała go zbyt dobrze, by się spodziewać, że ulegnie prósbom czy namowom, ale wzmogło to jedynie jej zaciętość.

Pausanias natomiast, który po wyjeździe Attalosa powrócił na dwór, przyjęty został przez Filipa z pobłażliwym lekceważeniem. Król udawał, że nawet nie zauważył dąsów dawnego oblubieńca, i wysłał go do Ajgaj, powierzając mu dowództwo swej przybocznej straży. Pausanias skorzystał, że w tłumie nie zwraca uwagi,

i przewąchiwał, jakie nastroje panują na dworze, w wojsku i w Helladzie. Wiedział, że księżęta Lynkestis dla siebie zamyślają o tronie, ale wiedział też, że jeśli nie znajdą poparcia Antypatra, teścia pierworodnego Aleksandra z Lynkestis, zamierzenie ich chybi. Jeżeli zaś znajdą, to za nim niewątpliwie pójdzie przyjaciel jego Parmenion, a wówczas Attalos znajdzie się znów u szczytu. Na myśl o tym Pausaniasowi zdało się, że gotów jest na wszystko. Stronnictwo Amyntasa, mającego swych zwolenników wśród licznej jeszcze, ale pozbawionej już znaczenia drobnej szlachty wiejskiej, mogło rachować tylko na przypadek, gdy inni współzawodnicy wytepią się nawzajem. Pozostawał Aleksander, który miał bardzo wielu wielbicieli w wojsku, wśród chopstwa i wśród synów najwyższej arystokracji macedońskiej. Zająście jego z ojcem wskazywało, że gotów się przeciwstawić samemu Filipowi, a od dawna było widoczne, że ciąży mu władza ojca.

Pewnego wieczoru, gdy Pausanias mijał kolumnadę wewnętrznego dziedzińca zamku, jakaś niewiasta, z twarzą zakrytą przez kredemnon, uchwyciła go za rękę. Szarpnęła się z przekleństwem, ale nie puściła go i zachichotała:

— Nie lękaj się, nie chcę cię uwieść. Mam lekarstwo na to, co cię gryzie.

Gdy Pausanias zawahał się, pociągnęła go przez aulę do talamu. W izbie płonął oliwny kaganek, a powiew wpadający przez świetlik pod pułapem chybotął płomykiem, w którego świetle cień Pausaniasa tańczył dziwacznie na ścianie. Niewiasta, nie odsłaniając twarzy, wskazała na cień, mówiąc:

— Tak miota tobą byle tchnienie, drwiny młodzików i śmiech niewiast. Jeżeli się mężem nie okażesz, urwisy biegać będą za tobą po ulicach.

— Idź do Erebu, więdźmo! — wrzasnął Pausanias i porwał się, ale zastąpiła mu drogę.

— Chcę ci pomóc.

— Znasz mnie?

— Znam. Bogowie dali ci urodę i siłę. Od ciebie samego zależy, czy ludzie wielbić cię będą jak herosa, czy śmiać się jak z błazna.

Gdy milczał przygnębiony, zaczęła mówić. Twarz jej krył głęboki cień fałdów zasłony, tylko oczy błyskały w świetle kaganka, a stłumiony, przenikliwy głos drżeniem przejął Pausaniasa:

— Nie urodą, jak hetera, ale siłą, jak mąż, zmierzaj do wytkniętego celu. Choćbyś wyprosił śmierć dla swego wroga, nie zmyje hańby krew cudzymi rękoma rozlana.

Pausanias, zmieszany, powiedział drżącym głosem:

— Zabiłbym Attalosa... ale za nim stoi król, którego opętał.

— Attalosa?! — zaśmiała się niewiasta. — Król miał cię za zabawkę. A teraz mu Attalos inną podsunął, tedy za nim stoi. Jeżeli boisz się pomyśleć nawet, jak zmyć swoją hańbę, tedy służ ludziom za pośmiewisko.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał ujmując głowę rękoma.

— Gdy dojrzeje w tobie wielki czyn, przyjdź tutaj. Znajdziesz sprzymierzeńców potężniejszych, niż możesz pomyśleć. A gdy osiągniesz wielką sławę, takich wrogów jak Attalos zniszczysz jednym skinieniem dłoni.

Pausanias wyszedł zataczając się. Jeszcze nie śmiał rozumieć.

Mimo że niezbyt bystry, domyślił się, kto i w czym imieniu z nim mówił, ale wzdrażał się przed podsuniętym mu rozwiązaniem, jakby ktoś kazał mu stracić z Olimpu ojca bogów i ludzi. Niemniej nie mógł pozbyć się myśli, która mu sen spędzała z powiek.

Kręcił się tedy Pausanias koło Aleksandra, wiedząc, że w każdym razie łączy ich nienawiść do Attalosa. Gdyby Filipa nie stało, Aleksander sam skończy wroga. Pausanias nie mógł jednak mówić z Aleksandrem w tłumie, w jakim się widywali. W głębi duszy tchórzliwy, nie mógł powziąć postanowienia, nie upewniwszy się wprzód o życzliwej przynajmniej obojętności Aleksandra. Czas naglił, dokonanie zamachu na oczach całej Hellady w chwili, gdy Filip stanie u szczytu swego przeznaczenia, podniecało pychę i wyobraźnię Pausaniasa, gotującego się do wielkiego czynu.

Przypadek sprawił, że wpatrzony tylko w swój cel,

pozyskał w swym mniemaniu zapewnienie, jakiego mu było potrzeba, by wyjść z dręczącej go niepewności. Po przedstawieniu „Medei” Eurypidesowej w teatrze przez ateńskich aktorów Aleksander z Hefajstionem i Marsjsem wracał pieszo na zamek, pod widocznym wrażeniem sztuki ulubionego poety, rozmawiając o niej z ożywieniem. Tu, w Ajgaj, tworzył Eurypides ostatnie swe dzieła na dworze Archelaosa i tu, jak ongiś Orfeusza bachantki, rozszarpały go rozżarte psy. Pausanias, również zmierzający na zamek, przyłączył się do idących w nadziei, że uda mu się skierować rozmowę na sprawę, która tkwiła w nim jak oścień w rybie.

Wieczór był piękny, wschodzący księżyc srebrzył zarysy kamiennych budynków i legł poświatą na górskich szczytach. W blaskach jego lśniły marzące oczy Aleksandra, który z pamięci cytował całe ustępy ulubionych utworów. Hefajstion swoim zwyczajem milczał, z zachwytem słuchając Aleksandra, Marsjas zaś wtrącał swoje uwagi, do których przyłączył się Pausanias, wciąż w nadziei, że to, co Aleksander mówi w podnieceniu, pozwoli mu uzyskać potrzebne upewnienie.

W pewnej chwili Aleksander zaczął się spierać z Marsjsem, który twierdził, że Eurypides w tragediach swych przedstawia rolę przeznaczenia, które, wyznaczając los człowieka, nie pozwala mu od niego się uchylić. Aleksander odparł żywo:

— Eurypides przedstawia tragizm człowieka, którego los wyznacza nie opanowana rozumem namiętność. Najlepiej zaś z namiętności tych rozumiał i przedstawił zemstę. Medea, kosztem wszystkiego, co kochała, zniszczyła wszystko, co nienawidziła.

— Żadna to namiętność, którą rozum może opanować — wtrącił Pausanias.

— Wiadomo, że konie silniejsze od woźnicy — odparł uśmiechając się Aleksander. — Ale żaden to woźnica, który pozwoli im się ponosić przed ostatnim okrążeniem.

— Ale jeżeli cel już jest bliski?

— Tedy jeszcze biczem zachęca je do szybszego biegu.

Spojrzał na Pausaniasa i jakby wracając do poprzedniego przedmiotu, zacytował słowa Medei?

...zglupiał do tej miary,  
Ze mogąc — *uprzedziwszy te zamysły moje*  
*Wygnać mnie z kraju, dopuścił do tego,*  
*Łż pozostałam do dnia, kiedy wrogów troje*  
*Położę trupem: dziewczką, męża mego*  
*I ojca...*

Opełtanemu jedną myślą Pausaniasowi zdało się, że słowa te powiedział Aleksander ze szczególnym naciskiem, jakby do niego je zwracając. Ale gdy spojrzał na królewicza, oczy Aleksandra wpatrzone były zwykłym, nieodgadniętym wyrazem we wschodzący księżyc.

Szli dalej już w milczeniu, a w uszach Pausaniasa ostatnie słowa królewicza rozrastały się do wyraźnego wskazania. Pożegnali się u wejścia do zamku. Pod pozorem, że musi jeszcze obejść strażę, Pausanias skierował się na mury. Gdy sądził, że go nikt nie widzi, chyłkiem przemknął się do gyneceum. Powitała go ta sama niewiasta, która ofiarowała mu pomoc. Gdy zażądał widzenia z królową, powiedziała drwiąco:

— Długo jej dałeś czekać na siebie. Czy i w czynie jesteś tak szybki jak w namyśle?

Nic nie odpowiedział i skierował się do talamu Olimpiady.

Spienione konie niosły króla i jego szczupły orszak do Ajgaj. Teraz, gdy minęła obawa nowego tarcia i wzmoczenia nieufności syna, nic już nie stało na przeszkodzie królewskim zamiarom, Filip spieszył się przeto. Wieści z Azji były nagłące. Parmenion dotarł już do Efezu i Magnezji, ale z każdą chwilą tężał opór, jaki na czele czterech tysięcy helleńskich najemników stawił mu Memnon. Filip znał go, gdyż bawił on niegdyś na dworze macedońskim, gdzie zapoznał się z organizacją i sposobem wojowania Macedończyków, a król, który jak nikt inny umiał ocenić zdatność do wojny

każdego człowieka, wiedział, że choć niewielu tylko wodzów dorównać zdoła męstwem i doświadczeniem Parmenionowi, Memnon jest jednym z nich. Ma zaś nad nim przewagę, jaką daje bliskość zaplecza, gdy Parmenion zdany był jeno na to, co przywiódł z sobą. Na pomoc miast jońskich może liczyć tylko dopóty, dopóki sprzyja mu powodzenie. Przy pierwszej porażce zwrócić się przeciw niemu, z obawy przed zemstą Dariusza, pomnie losu, jaki spotkał zbuntowany Milet. Nadejście króla z całymimi siłami było konieczne i pilne, wyparcie Parmeniona z Azji stworzyłoby na samym początku wyprawę trudność, która mogła zaważyć na całym jej przebiegu. Natomiast, choć Filip wiedział, że w wojnie, jaką rozpoczyna, jedna klęska może jej los przesądzić, nie żywił żadnych wątpliwości, że co zamierzył — dokona. Bliskość celu napawała go nieodpartą pewnością, że nic nie jest w stanie mu się przeciwstawić. Dwadzieścia cztery lata nieustających niemal zwycięstw, które — najmłodszego z królewskich synów leżącej w prochu Macedonii — wyniosły go na szczyt, jakiego nikt przed nim nie osiągnął, dawały mu pewność że nie ma granic jego zdobyczom. Ale sam postawił je sobie. Rozszerzy władztwo Macedonii do Eufratu. Zasyby Azji i helleńska kultura pozwolą mu wówczas budować, gdy dotychczas burzył. Więcej miast położył w gruzach, niż lat sobie liczył. Pozostałe poświęcił dziełom, które zaćmia wszystko, co było dotychczas. I Kleopatrze. Wystawi jej posąg nad Hellespontem, przy którym rodyjski kolos wyda się karłem, i świątynię, której zadróścić jej będzie efeska Artemida. Aleksander zaś niech dalej wojuje, by dać upust siłom, które stawały się uciążliwe, a nawet niebezpieczne. Nie brak jeszcze państw, których królowie staną się niewolnikami macedońskich, a ich ludy niewolnikami Hellenów, jak chce Arystoteles. Wyzwolona z wędzideł duma ponosiła króla, podczas gdy spieniony koń ostatkiem tchu dobijał już do Ajgaj. Tu, jutro, po raz pierwszy ujarzmiona Hellada uczci w nim nie swego zwycięzcę, lecz równego bogom herosa, twórcę jej wielkości.

Mimo, że skwarne godziny dnia już się rozpoczęły, przybycie króla poruszyło Ajgaj, jak wielkie mrowisko.

Wśród nie milknących okrzyków szedł na zamek, na którego tarasach już wrzały przygotowania do weselnej uczty, jakiej nie mogło pomieścić szczupłe jej wnętrze.

Upojenie króla zmaćiła na chwile myśl o spotkaniu z Olimpiadą. Dlatego choć od dawna złamał zwyczaj, wedle którego niewiasty nie brały udziału w biesiadach, tym razem kazał do niego powrócić. Nie chciał, by jej obecność maćiła mu nastrój uwielbienia, którego objawami zachłystywał się jak winem. Krwawo pracował dziesiątki lat na dzień jutrzejszy, z jej strony tylko przeszkód doznając w wykorzystaniu krótkich chwil wypoczynku tak, jak jemu się podobało. Wykreślił ją ze swego życia i starał się o niej nie myśleć. Podniecony, nie spoczął nawet po podróży, lecz wzięwszy kąpiel, zasiadł na tronie, przyjmując cisnące się poselstwa wszystkich miast związkowych. Z przymkniętymi oczyma rozkoszował się słuchaniem powitań, życzeń i uchwał, którymi państwa helleńskie czciły go, przyznając mu posągi i wieńce, które niedawni wrogowie zGżyć mają, gdy wśród innych bóstw posąg jego stanie w świątyni Posejdona. Filip z samouwielbieniem myślał o tym, że odmówił radom, by we wszystkich miastach helleńskich postawić swoje załogi. Teraz zbierał owoce swej dalekowzroczości: oto herold poselstwa Aten, miasta, w którym niedawno na pomoc mógł liczyć każdy wróg Filipa i które nawet pj cheronejskiej klęsce ważyło się przygarnąć zbiegów tebańskich — teraz głosił powziętą dobrowolnie uchwałę Zgromadzenia Ludowego, że w razie gdyby ktoś ważył się popełnić zamach na króla, miasto odmówi mu schronienia i wyda przestępcę. Wbrew wrodzonej nieufności Filip wierzył **już** we wszystko, co sprzyjało jego zamierzeniom i schlebialo jego dumie. Poselstwo ateńskie natchnęło go taką pewnością, że po ukończeniu posłuchań przywołał Pausaniasa i polecił na jutrzejszych uroczystościach trzymać straż z dala, by wszyscy widzieli, że czuje się wśród nich jak wśród swoich, którym ufa. Potem udał się na spoczynek przed ucztą weselną, która późno w noc musi się przeciągnąć.

Podniecenie nie pozwalało mu jednak usnąć. Życie

rozpędziło się w nim jak górski strumień, który, rwąc i łamiąc wszystko w swym krótkim biegu, przyspiesza pęd, zbliżając się do wodospadu, by zniknąć w podziemnej czeluści.

Gdy skwar letniego dnia zaczął przygasać, Filip kazał się przybierać, słuchając z przyjemnością gwaru przygotowań do uczty i ciągnących już na nią biesiadników. Król Epiru wyjechać miał zaraz po ukończeniu uroczystości i przyjmował teraz dary weselne, których bogactwo było jednym więcej świadectwem czci i uznania dla Filipa. Miasta i ludzie współzawodniczyli w wyścigu o jego łaskę.

Słońce nie schowało się jeszcze za grzbietem górskim, gdy Filip w otoczeniu krewnych i dostojników przy słupie Demetry składał weselną ofiarę. Gdy Aristandros przystąpił, by z wnętrzości zwierzęcia wróżbę ogłosić, Filip uśmiechnął się i słowami Jona powiedział:

— Nie wolno badać rzeczy niemiłych dla bogów.

Tym bogiem sam się czuł. Nie potrzebował już wróżb, była w nim pewność.

Morze głów, okrywające stoki góry zamkowej, faloowało z szumem, a szczyt jej rozbrzmiewał dźwiękami cytr i fletni oraz głosami weselnych peanów:

*Hymenajosie! Hymenie!  
Zapał mi, zapał pochodnią,  
Daj mi ją, daj mi ją w ręce!  
Ogniem świątynię poświęcę,  
Ogniem poświęcę ją godnie!  
Wielbię cię, sławię cię, cenię,  
Hymenajosie! Hymenie!*

Pieśń szalonej Kasandry nie wszystkim zdała się odpowiednią, ale król kończył modły i goście weselni ruszyli do ustawionych przed zamkiem na tarasie stołów. Zorze już gasły, a resztki ich poświaty wypierały światła zapalonych lamp i pochodni, jak gdyby wszystkie gwiazdy nieba zstąpiły na górę zamkową. Roje pacholąt wieńczyły głowy biesiadników i namaszczały im stopy. Dymy sypanych w płomień kadzideł mieszały się z wo-



nią róż i zapachami olejków Polem ^Wytłumił je zapach wina, którego pierwszy pm-har w ofierze bogom wylano na nagrzaną jeszcze si<n'n-em kamień, aż wszystkie zapachy wyparła won ro/nos/.otych potraw. Gdy biesiadnicy wzięli sit; do jedy.eiua, gwar przycichł trochę, a na podwyższenie wystąpił poeta i aktor Neoptolemos i opiewał piękno nocy, gwiazdzistym płaszczem okrywającej świat. Ale płonące światła odcinały od niej weselników i mało kto zwracał uwagę na poetę, który, skończywszy, usunął się poza obręb blasków i oczy utkwili we wschodzący księżyc. Blaski jego wysrebrzały mgłę, pełznącą z lekkim powiewem od zatoki i bagien ku podnóżom wzgórz, jakby uciekłe przed wiekami morze wracało ku dawnej stolicy, gdy w dniu triumfu odżyła jej świetność.

Filip rozmawiał z Antypatrem o jutrzejszych uroczystościach, inni też, nasyciwszy pierwszy głód, rozprawiali: dostojnicy wojskowi o nadchodzącej wyprawie, młodzież o koniach, zapasach i kobietach. Czekające ich trudy i niebezpieczeństwa stanowiły jedną więcej z przypraw uczty, z których brakło tylko niewiast. Ale już zjawiał się korowód tancerek w powiewnych szatach i gdy tylko Neoptolemos skończył, przesunęły się jak senne zjawiska w tanecznych płasach przed oczyma biesiadników przy dźwiękach cytr i fletni i zniknęły za węglem, jakby wchłonęła je noc. W ślad za nimi popłynęły wesole i frywolne okrzyki, ale umilkły, gdy wystąpili ateńscy dowcipnisie i błazny. Za złoto, jakim płacił Filip, wyszydzali jego przeciwników, a swych własnych niedawnych przywódców. Kozległy się chichoty, a wśród nich wybijał się huczny i szeroki śmiech Filipa, który już podpiał sobie. Ateńscy posłowie przykładali gorliwie, patrząc, czy król widzi, jak się płaszczą.

Ale Filip nie zwracał na nich uwagi, natomiast Neoptolemos spozierał z pogardą na swych ziomków. I on po królewsku zapłacony był, nie kupiony jednak. Drażniła go służalczość rodaków wobec króla, którego nadal uważał za barbarzyńcę sypiącego złotem za helleńską sztukę i filozofię dlatego, bo przeczuwa, że trwalsze są od jego falangi; ale ich nie rozumie. Bardziej niż piękno

poezji przemawia do niego płaski i niesmaczny żart. Oczy poety padły z kolei na Aleksandra, który spoczywał między ojcem a Antypatrem. To jest sfinks, dla którego odgadnięcia Helladzie brak Edypa. Królewicz milczał i tym samym zadumanym wzrokiem wodził po tancerkach i błaznach, nie ulegając rozgrzewającemu nastrojowi uczt.

Neoptolemosa zaś ogarnął bunt. Zanim biesiadnicy spiją się do reszty, postanowił wstrząsnąć nimi. Umiał panować nad tłumem. Skinąwszy na cytrzystów, szepnął coś do nich. Wesoły gwar biesiady zrazu nieznacznie mącić zaczął dźwięk jednostajny i ponury. Ten i ów obejrzał się, a gdy hałas przycichł nieco, Neoptolemos wystąpił na podwyższenie i surowymi oczyma powiódłszy po biesiadnikach, zatrzymał je na Filipie i jakby do niego się zwracając, zaczął mówić śpiewnie. Głos miał niski, dźwięczny a przenikliwy, umiał grać na nim jak na harfie. Zdało się, że nie słowa wychodzą z jego ust, lecz czarne ptaki, które krążą w powietrzu. Głos nabrzmiał i potężniał niczym pienie nadchodzącego chóru, które wypełniło pustkę ciszy, jaka zaległa:

*Po ziemi szeroko, nad gwiazdy wysoko,  
Gmach piętrząc na gmachu wspaniale,  
Daleki cel życia stawiając dążycie  
W niezrozumiałym szale.  
A pędem się chyżo skon rychły przybliża,  
Mrok nocy dzieło zaciera,  
Podstępna śmierć kroczy, zakryta dla oczu,  
Nadzieję śmiertelnym odbiera.*

Ciszę przerwał śmiech Filipa, rozpasany, beztroski:  
— Piękna pieśń! Zaśpiewasz ją na stypie Dariusza. Przynieść większe puchary. Noc krótka, nie zdążymy wypić wina, nim jutrenka zacznie płoszyć gwiazdy.

— Noc krótka... jak życie — szepnął do siebie Neoptolemos i skłoniwszy się zszedł z podwyższenia.

Patrzył na wschód. Niebo przybierało już zielonkawą barwę. Nadchodził dzień.

Dla króla nie był to dzień nowy, wczorajszego od dzisiejszego nie odciął sen, który zmorzył innych biesiadników. Filip baraszkował z błaznami i fletnistkami do chwili, gdy na horyzoncie wychynał złocisty rąbek słońca i świat z perłowego stał się złoty. Król przeciągnął kości, wzrokiem ogarnął miejsce biesiady, jak zwycięzca pobojowisko, i roześmiał się szeroko, patrząc na pobladłe w dziennym świetle twarze współbiesiadników. Skierował się do wnętrza, by wziąć kąpiel, namaścić się i domowym bogom złożyć ofiarę. Potem z murów patrzył na rojący się nisko w dolinie tłum, który już ciągnął na stadion, gdzie rozdanie nagród zwycięzcom w zawodach rozpocząć miało uroczystość. Ludzie z tej wysokości zdali się mniejsi od mrówek. Nawet nadnaturalnej wielkości posągi bóstw olimpijskich z białego marmuru znaczyły się jedynie białymi plamkami; rozjarzyły się w słońcu, czekając, kiedy w uroczystej procesji przeniesione zostaną do wiecznego cienia świątyni. Powietrze było przejrzyste jak kryształ, daleko na widnokręgu lśniła płaszczyna zatoki, na której majaczyły trzy ciemniejsze smugi jak trzy palce dłoni, którą półwysep Chalkidike wysuwa w morze. Za nimi w prześwieślonej dali leży cel wyprawy Filipa, od której dzieliły go już jeno godziny. Zbledną przy niej bohaterskie legendy, nawet to, czego sam dokonał dotychczas. Sposobił skrzydła, które teraz rozwinie, by wzbić się pod słońce po nieśmiertelność.

Niechętnie oderwał wzrok i myśl od dalekiego widoku. Czas zstąpić między ludzi, jak Zeus ze szczytu Olimpu. Świecący wszystkimi barwami orszak czekał już. Sam tylko król w białej szacie, bez ozdób ni broni kroczył na czele po stromym stoku. U stóp wzgórza dosiedli rumaków i popłynęli rzeką tłumów, jak statek gnany wichrem. Wśród nie milknących okrzyków wpadli na stadion.

Filip zasiadł pod purpurowym baldachimem, rzucającym czerwony cień na jego postać. Siedział samotny. Triumfu tego dnia nie ma prawa dzielić z nim nikt: ani wodzowie, ani dostojnicy, którzy z tyłu za królem zajęli miejsca, ani wojownicy, których kwiat przesunął się przed nim, by odebrać nagrody za szybkość nóg.

za siłę ramion, za sprężystość członków i wytrzymałość na trud i ból. Ich wieńce z gałązek oliwnych, przywiedły już w upale, jego wieńce, które dziś złoży Hellada, nie zwiędną nigdy. Król uśmiechnął się na myśl, że niedawno jeszcze Hellanodikowie nie dopuszczali jego górali do igrzysk olimpijskich, a jego samego ateński pyskacz nazwał barbarzyńcą. Nie chcieli Uznać współzawodników, którym nie potrafili sprostać.

Oko Filipa spoczęło na Aleksandrze. Jemu nie sprostałby żaden z tych potężnych wojowników, ale syn odmawiał udziału w zawodach. A jeżeli istnieje przeciwnik godny Filipa, to tylko on jeden. W pierwszym starciu zwyciężył król, ale wolał, by dalszych nie było. Dobrze, że Kleopatra urodziła córkę. Jej syn nie dorównałby synowi Olimpiady.

Król zmarszczył czoło. Myśl ta zmąciła mu uczucie pełnego zadowolenia. Olimpias jest już dla niego tylko cieniem.

Ale cień ten legł na prześwieconym dniu i król niósł go w sobie, gdy w uroczystym pochodzie ruszył ku świątyni Posejdona. *Przed nim, wysoko nad tłumem, dźwigane na noszach przez silnych niewolników, kołysały się i świeciły w słońcu posągi bóstw.* Otwierał ten pochód bogów olimpijskich Zeus, trzymający w ręku skrzydlatą boginię zwycięstwa, zamykał go sam Filip w postaci Heraklesa — ze skórą nemejskiego lwa na barkach, a paszczą jego na głowie — zwycięzcy we wszystkich walkach. Przegrał jedynie z niewiastą. Filip uśmiechnął się. W tym góruje nad swym przodkiem.

Szczupła świątynia Posejdona, stara jak sama stolica, zaledwie zdołała pomieścić wszystkie bóstwa Olimpu. Posąg Filipa stanął w przedsionku. Z łupów perskich wybuduje dla niego świątynię, jakiej nie ma drugiej w Helladzie!

Po modłach i ofiarach nastąpiła krótka przerwa w uroczystościach. Tłumy pociągnęły do teatru, a Filip na zamek, by się posilić, czekając, aż wypełni się pobliski teatr w półkolistej kotlinie zamkowego wzgórza, pod urwistą skalną ścianą, z górującym nad orkiestrą i sceną występem, z którego biegły w dół wykute w skale schody do wschodniego wejścia. Teraz wejście to

było zamknięte i tłumy płynęły przez dwa pozostałe. Jeden ze strażników trzymał pięknego tesalskiego ruma dowódcy straży Pausaniasa. Koń obskubywał zwoje bluszczu, który porastał kamieniste zbocze, pędami wpełzając na schody, sam Pausanias zaś poszedł nimi na górę, widocznie po dalsze rozkazy.

Teatr szumiał już gwarem i wypełniał się do ostatniego miejsca. W dolnych rzędach zasiedli naprzeciw sceny dostojnicy macedońscy, po obu stronach zaś poselstwa sprzymierzonych z Filipem czy podległych mu państw, które tu, na oczach wszystkich, złożą królowi hołd i dary, po czym ateńscy aktorzy wystawić mieli tragedię Eurypidesa „Archelaos”. Filip chciał przypomnieć widzom, że Macedonia nie od dziś związana jest z helleńską kulturą i sztuką.

Upał przybierał, słońce oparło się już całym ciężarem nad orkestrą na ścianie skalnej, która zdała się falować w drgającym powietrzu. Niewolnicy roznosili wodę z winem lub miodem oraz owoce. Tłumy, przywykłe do przebywania w teatrze całymi dniami, posilały się gwarząc, ale coraz więcej oczu kierowało się na zejście, na którym miał zjawić się król. Przed chwilą ukazał się tam Pausanias, ogarnął wzrokiem widownię i zniknął. Zapewne poszedł zawiadomić Filipa, że wszystko gotowe na jego przyjęcie.

Jakoż z góry wpadły w gwar dźwięki spizu. Po chwili na występie skalnym ukazał się król i przystanął. Dziesiątki tysięcy oczu skierowało się ku niemu. Za nim zjawił się syn i zięć i zatrzymali się o kilka kroków z tyłu.

Król stał, świecąc białą szatą w jaskrawym słońcu i chłonał burzę powitalnych okrzyków, która rozpętywała się w kotlinie. Potem dzwignął ręce, odpowiadając na powitanie.

Nagle spoza skały wypadł Pausanias. Na mgnienie oka zatrzymał się przy królu. Iskra przeskoczyła między nimi i król runął jak rażony gromem, a Pausanias pędem puścił się w dół. Skakał po kilka schodów niczym kozioł. Za nim jak ogary pognały trzy postacie. Wrzask tysięcy ga dzieli gromem uderzył w pogodne niebo i zgasł jak błyskawica w osłupiałym milczeniu.

Na występie skalnym bielą plama szaty leżącego Filipa, nad którym pochylali się syn i zięć, usiłując go dźwignąć. Z tyłu doskoczył do nich Antypater. Po krótkiej chwili Aleksander wyprostował się i wzrok skierował na widownię, na której gotowało się jak w kotle. Dostojnicy macedońscy jedni biegli na górę w przerażeniu, inni wymykali się chyłkiem. Poselstwa helleńskie gnały do koni, by bez chwili zwłoki zawiadomić swe miasta, że ciężar, który od lat dwudziestu z górą przytłaczał Helladę, zepchnęła mściwa dłoń. Waliło się wszystko, co wybudował Filip, jak sklepienie nieba, gdyby ktoś obalił tytana Atlasa. Aleksander patrzył na to z nieodgadnionym pogardliwym uśmiechem. Na schodach od wejścia ukazali się Perdikkas i Leonnatos, wlokąc Pausaniasa. Głowa jego podskakiwała na kamiennych schodach.

Pausanias obliczył wszystko, prócz jednego: pęd bluszczu schwytał go za nogę i obalił na ziemię w chwili, gdy był o kilka kroków od konia. W oczach osłupiałych strażników krewniacy królewscy dopadli go; broniącemu się zażarcie połamali ręce i żebra, w rozjuszeniu kopiąc go, gdzie popadło. Leonnatos opanował się pierwszy i powiedział:

— Starczy, bo ubijemy go, a musi jeszcze gadać.

Zwracając się zaś do strażników, rzucił wyjaśnienie:

— Zranił króla.

Ale na kamiennym występie król dogorywał. Celtycki, krótki miecz Pausaniasa, wbity w bok, świecił ostrzem po drugiej stronie, głowica sterczała spod pachy. Pięknie rzeźbiona w kości słoniowej przedstawiała parę koni ciągnących rydwan.

— Filattesteai to harraa! — szepnął Antypater. — Bogowie drwią z ludzi swymi ostrzeżeniami.

Filip padł na twarz, ale żył jeszcze. Gdy rzucono się go podnosić, wsparł się na rękę i głowę zwrócił ku Aleksandrowi. Patrzył w twarz jego jedynym swym okiem, w którym skupiać się zdało uciekające życie. W spojrzeniu jego była jakaś prośba, na której wypo-

wiedzenie nie było już tchu w przebitych, wypełniających się krwią płucach. Aleksander pochylił się nad ojcem, mówiąc:

Bądź spokojny o swoje dzieło.

W spojrzeniu króla w miejsce prośby zjawiała się rozpacz. Ostatnia myśl Filipa odbiegła już od wszystkiego, co zaprzętało ją przez całe życie. Prosić chciał tylko ochronę dla bezbronnych, których zostawił nienawiści Olimpiady. Ale syn go nie chciał zrozumieć. Ręce, na których się wspierał Filip, rozluźnił ostatni wysiłek i legł na kamieniu twarzą. Koło niej tworzyć się zaczęła kałuża krwi, rozlewając się w pięć strumyków, na kształt palców szczupłej dłoni niewieściej. I tak zastygły.

- a g a t h o s d a i m o n — do-  
 bry duch  
 a g e m a — doborowy oddział  
 jazdy stanowiący gwardię  
 królewską  
 a g o n — zapasy, zawody  
 a g o r a — plac-rynek cen-  
 tralnie położony, na którym  
 skupiało się życie politycz-  
 ne i handlowe  
 a g y r t e s — kapłan wędro-  
 wny  
 a k r o p o l — osada lub część  
 miasta położona na wzgó-  
 rzu; pierwotnie warowny  
 zamek  
 A l k m e o n i d z i — ród eu-  
 patrydów (arystokratów) w  
 Atenach, z którego wywo-  
 dził się Perykles  
 a n a k s y r i d y — długie wą-  
 skie spodnie noszone przez  
 ludy starożytnego Wschodu  
 A n d r o f o n o s — zabójca  
 mężów  
 A n d r o p o r n o s — męska  
 nierządnicza  
 „a i c h e” — naczelnictwo  
 (Związku)  
 a r e h o n t — wysoki urzęd-  
 nik; od drugiej połowy VI  
 w. p.n.e. w Atenach wybie-  
 rano 9 archontów, którzy  
 sprawowali najwyższą wła-  
 dzę przez jeden rok, potem  
 automatycznie wchodzili  
 w skład a r e o p a g u.  
 Przewodniczący kolegium  
 dziewięciu — e p o n y m o s  
 był najwyższym sędzią; a r-  
 c h o n t b a s i l e u s (król)  
 kierował sprawami religij-  
 nymi i kultowymi, a r-  
 c h o n t p o l e m a r c h o s  
 zaś miał w swej pieczy spra-  
 wy polityki zagranicznej  
 i wojsko, a w czasie wojny  
 był dowódcą. Pozostałych  
 6 —• zwanych t s e m o t e t a -  
 m i — zajmowało się usta-



wodawstwem i sądownictwem w sprawach prywatnych. Demokracja w Atenach ograniczyła władzę archontów, w końcu stał się to tylko tytuł honorowy. Areopag — Wzgórze Aresa w Atenach, na którym obradowało najstarsze zgromadzenie Ateńczyków, potem rada państwa — areopag. Wieki VII—VI to okres największego znaczenia areopagu — skupiał on w tym czasie najwyższą władzę polityczną i sądową. Wiek V — okres monarchii w Atenach — przynosi ograniczenie władzy, areopag staje się organem strzegącym praw, obyczajów i moralności. W skład rady wchodzi dożywotnio byli archonci, przez co areopag staje się ostoją arystokracji. Rozwój demokracji ogranicza władzę areopagu do władzy sądowniczej w sprawach prywatnych.

barbarzyńca — człowiek nie należący do wspólnoty helleńskiej, każdy cudzoziemiec

Barychodos — ciężkosraj

basileus — król

beotarcha — naczelnik państwa tebańskiego, wybierany na 1 rok

Charon — pinewoźnik do Hadesu — państw umarłych

Charýbda — polwór morsk wciągający w wody okręty; nic/głębiona ton

chernip; miednicachiliareha ty.sicznik

chiton lu/n.i szala lniana wkładana na ciało Mężczyźni nosili krótkie, pasane pasem, kobiety i kapiani diunie, układane w fałdy

chlaina n>d.uj narzutki nakładanej na chiton

chlāmida "wierzchnia szata, owalny płaszcz spinany na lewym barku lub pod szyją

Chrysoopolis Skntari cykuta U ui/na wyrobiana z szaleju, rośliny trującej

Chrysoopolis Skntari cykuta U ui/na wyrobiana z szaleju, rośliny trującej

darejka — złoty pieniądz perski

demurg — rzemieślnik

demos — lud; również gmina

diatryba — rozmowa, wykład

drachma — główna moneta srebrna w Grecji, 1 drachma = 6 obolom

dromoi — ogrzędy orfickie

efeb — młodzieniec grecki (18—20 lat) przygotowujący się do życia publicznego

eforowie — najwyżsi urzędnicy w Sparcie; sprawowali władzę sądową, cywilną, czuwali nad finansami państwa, kierowali polityką zagraniczną. Było ich 6 wybieranych przez lud na 1 rok  
Eksedra — krużganek, kryty ganek  
Eleuteros — rzeźbiarz grecki z przełomu VI i V w.p.n.e.

emporion — plac lub część portu, składano tu towary wywożone drogą morską  
., imion — mitologia gr.;  
., ny pasterz pogrążony  
-«i Zeusa w wiecznym i'e w grocie góry Latmos.  
noc odwiedzała go Sele-  
& — bogini księżycy

afium — mowa porębowa wygłaszana ku reci poległych w walce lub „pis na pomniku poległych  
b — państwo podziemne, zie po śmierci udawały % dusze zmarłych  
- chtion — świątyni: " Akropolu  
a Sterie — pracownice mieśnicze, w których - eBwali zamknięci niewol-

os — nawyk, zasada

ig a — szyk bojowy 'egający na ustawieniu w zwartych szeregach cięż-

kozbrojnej piechoty. Przed falangą stali lekkozbrojni, konnica zaś znajdowała się na skrzydłach

farettra — kołczan

Fojniks — pedagog Achilleśa

fyle — Okręg składający się z 10 demów

genelia — uroczystość nadania imienia

gynecium — '• niewieścia część domu <

Hades — bóg świata podziemnego, również państwo umarłych

Hekate — bogini ciemności

hekatomba — ofiara stu wołów

Hekatombajon — wrzesień

heloci — ludność niewolna w Sparcie, pierwotni mieszkańcy tych ziem

Heraklida — potomek Heraklesa

heros — bohater; zwykle potomek boga i śmiertelnej matki

hela — nierządnicza

hieromnemón — urzędnik w Radzie Amfiktionów

hiperboreje — mieszkańcy północy, północ

hipodrom — tor wyścigowy

hipparch — dowódca ja-

— ciężkozbrojny

naczynie na wodę,

zdy

hoplita

piechur

hydria -

dzban

hypaspista — lekkozbroj-  
ny piechur macedoński

Hypnos — bóg snu

ii a — oddział jazdy

ilarcha — dowódca ili

Ister — Dunaj

istmos — przesmyk

Kakos — dosł. zły, **pqVw&r**  
mityczny

kandys — kaftan

kantar — duże naczynie  
do picia

katatryba — nudziarstwo,  
nękanie

kausia — płaski macedoń-  
ski kapelusz

kleruch — osadnik rolny

krater — naczynie do mie-  
szania wina z wodą

kredeimon — welon, za-  
słona

Ksenofont — pisarz grec-  
ki, zachowały się jego pis-  
ma historyczne, filozoficzne,  
ekonomiczne i techniczne.  
Pochodził z Aten, był uc-  
niem Sokratesa

legitymistyczny — na-  
stawiony pozytywnie do obo-

wiązujących praw, prze;

sów

lektyos — naczynie, flas ta

iochagos — dowódca n; j-  
mniejszej **Jednostki** wojsk o-  
wej

łoszak — źrebię

Margites — postać z ko-  
medii greckiej, tzw. imię  
mówiące; przemądrzały pro-  
stak

mathematk-pathe-  
ta — wyuczone, wycierpia-  
ne

mechanopojje — wojska  
techniczne

megaron — główna sala  
domu, pomieszczenie prostokątne,  
w którym płonęło  
ognisko; dach z dymnikiem  
wspierały 4 kolumny. Me-  
garon był pomieszczeniem  
dla mężczyzn

metojkowie — napływo-  
wa wolna ludność w mia-  
stach greckich nie posiada-  
jąca pełnych praw obywa-  
telskich

mina — jednostka monetar-  
na i wagowa; 1 mina =  
100 drachmom

molosy — epirocka rasa  
psów

Notos — wiatr południowy

- obol — drobna moneta obie-  
 gowa ze srebra, V« drach-  
 my; również jednostka wa-  
 gowa  
 O j i o l e s — jebuła  
 o r c h e s t r a — część sceny  
 dla chóru  
 o r f i c y — sekta religijna  
 otaczająca szczególnym kul-  
 tem Dionizosa. Wierzyli w  
 reinkarnację i dlatego nie  
 wolno im było spożywać  
 mięsa; wprowadzili pojęcie  
 raju, piekła, pośmiertnego  
 sądu. Ogromną wagę przy-  
 pisywali misteriom i prze-  
 pisom rytualnym  
  
 P a j d u r g o s — dzieciórób  
 p a n h e l l e Ń s k i — ogólno-  
 grecki  
 p a n t a r h e i — wszystko  
 płynie (Heraklit)  
 p a r a s a n g a — miara odle-  
 głości używana w Azji  
 Mniejszej, równa od 20 do  
 60 stadiów  
 P a r t e n o n — świątynia  
 Ateny na Akropolu  
 p e l t a s t a — lekkobrojni  
 żołnierz w piechocie greckiej  
 uzbrojony we włócznię.  
 Osłoną jego była mała tar-  
 cza w kształcie półksiężyca,  
 tzw. pelte  
 p e p l o s — długa szata ko-  
 bieca, drapowana, spinana  
 na ramieniu  
 p e r y s t y l — wewnętrzny  
 kwadratowy dziedziniec,  
 często z fontanną pośro-  
 dku, otoczony krytą kolum-  
 nadą  
 p e t r o b o l — machina do  
 wyrzucania kamieni  
 P n y k s — wzgórze w Ate-  
 nach, miejsce obrad zgro-  
 madzeń ludowych  
 p r o d o m o s — sień, przed-  
 sionek  
 p r o k s e n o s — sprawujący  
 pieczę nad cudzoziemcami.  
 Ponieważ państwa greckie  
 nie miały swych przedstawi-  
 cielstw w obcych miastach,  
 spośród ich obywateli wy-  
 bierano ludzi godnych za-  
 ufania i szacunku i miano-  
 wano proksenosami. Prok-  
 senos spełniał funkcje po-  
 dobne do dzisiejszego kon-  
 sultatu — przyjmował na  
 siebie obowiązek dbania o  
 przybyszów z danego pań-  
 stwa i o ich interesy  
 P r o p o n t y d a — morze po-  
 między Hellespontem i Bos-  
 forem Trackim, dziś morze  
 Marmara  
 P r o p y l e j e — monumen-  
 talna brama  
 p r y t a n — wysoki urząd w  
 wielu greckich państwach,  
 przewodniczący kolegium  
 rady. W Atenach pryta-  
 nowie stanowili Vio Rady Pię-  
 ciuset i sprawowali władzę  
 przez Vio roku  
 P r y t a n e i o n — budynek  
 urzędu prytańców  
 p y l a g o r o w i e — delegacji

miast greckich, członkowie Rady Amfiktionów	stater — pieniądz macedoński
Rada Amfiktionów — instytucja ogólnohelleńska, pierwotnie religijna	strateg — dowódca armii lub flocie; w Atenach zgromadzenie ludowe co roku wybierało kolegium 10 strategów, którzy sprawowali dowództwo armii
Rada Pięciuset — rada administracyjna w Atenach	strateg-autokrator — w Atenach tytuł naczelnego dowódcy, wybieranego spośród 10 strategów
rydwan (z niem.) — w starożytności dwukołowy wóz, z tyłu otwarty, używany na wojnie i igrzyskach	strategion — budynek dowództwa; kolegium strategów
sarysa — długa dzida	sybaryta — człowiek uwielbiający przepych, zbytek i wygodne życie
satrapa — zarządca prowincji w Persji — satrapii	symbol — przekaz, szton
sofista — nauczyciel wędrowny, przenoszący się z miasta do miasta i przygotowujący młodzież wszechstronnie do życia publicznego. Sofiści przywiązywali ogromną wagę do wymowy i biegłości oraz zręczności w uzasadnianiu własnych tez — choćby fałszywych — i zbijaniu tez przeciwnika. Z czasem doprowadziło to do wypaczenia pierwotnego celu i nadało sofistyce cechy ujemne	symmachia — przymierze
somatofilak -i- gwardziści	symmoria — okręg podatkowy
soter — zbawca	synhedrion — zgromadzenie, posiedzenie
Spartiata — pełnoprawny obywatel Sparty	tagos — naczelnik Związku Beockiego
stadion — miara długości, ok. 190 m	talam — sypialnia
	talent — jednostka wagi od 21 do 68 kg, zależnie od miasta; jednostka monetarna o największej wartości: 1 talent = 60 min = 6000 drachm = 36 000 oboli
	taleros parakoitis — hoży małżonek
	teogonia — mity o rodowodzie bogów
	Terystes — Grek, uczestnik wojny trojańskiej, podbu-

rżał przeciw Agamemnonowi  
wojsko

tesmoteta — archont zajmujący się ustawodawstwem i sądownictwem w sprawach prywatnych

trierarcha — dowódca okrętu o trzech rzędach wioseł — triery; także fundator trójrzędowca

tron os — okazałe krzesło, siedzenie pana domu

tympanon — fronton, trójkątny przyczółek bogato zdobiony płaskorzeźbami między płaszczyznami dachu dwuspadowego

tyran — władca uzurpujący sobie nieograniczoną władzę

Wielkie Panateneje — święto ku czci Ateny